

**V.C. ANDREWS**

**Na imię mi Rain**

# PROLOG

Obie - moja młodsza siostra Beni i ja - poderwałyśmy się równocześnie na łózkach. Ze snu wyrwał nas donośny huk talerza roztrzaskującego się o ścianę kuchni. Usłyszałyśmy brzęk okruchów sypiących się na podłogę pokrytą bladożółtym linoleum. Leżałam w ciemności, wstrzymując oddech. Beni usiadła na łóżku, żeby lepiej słyszeć. Długie włosy opadły jej na twarz, zasłaniając oczy. Rozsunęła je jak firanki w oknie.

- Co się dzieje? - spytała bez tchu.

Bałam się ruszyć, a co dopiero odezwać. W naszym pokoju panowała przez moment cisza; podobnie bywa wówczas, gdy niebo przetnie błyskawica i wszyscy czekają na chwilę, kiedy światem wstrząśnie huk gromu. Jak można się było spodziewać, usłyszałyśmy rozpaczliwe szlochanie mamy i wściekłe warczenie Kena.

Odkąd sięgam pamięcią, Beni, Roy i ja nigdy nie nazywaliśmy go ojcem czy tatą - mówiliśmy na niego Ken. Zawsze, a zwłaszcza dopóki byliśmy mniejsi, wyczuwaliśmy w jego spojrzeniu coś, co mówiło nam, że za żadne skarby nie chciałyby uchodzić za ojca, a już na pewno nie za naszego ojca.

- Śmiało - usłyszałyśmy podniesiony głos mamy. - Idź! I tak nie mamy z ciebie wiele pożytku. Nigdyśmy nie mieli.

- Jeśli tak uważasz - ryknął w odpowiedzi - to pójdę! Zobaczysz, że pójdę!

- Idź, idź, idź! - krzyknęła mama, jak te dziewczyny w college^ zagrzewające chłopaków do walki podczas zawodów. Czułam w jej głosie napięcie, które sprawiło, że mnie samej omal nie puściły nerwy.

- A żebyś wiedziała, że pójdę - odpowiedział tonem gniewnej pogroźki. - Nie zostanę w domu, gdzie mają mnie za nic! Zapewniam cię, że za cholerę nie zostanę w miejscu, gdzie mnie nie cenia!

- A za co takiego mielibyśmy cię cenić?! - Mama roześmiała się histerycznie. - Za to, że wszystko, co zarobisz, przepijasz i przepuszczasz na dziwki? Za to, że wracasz do domu tak pijany, że padasz na pysk? Nigdy nie mieliśmy z ciebie żadnego pożytku, Kenie Arnold. Zapewniam cię, że nikt nawet nie zauważy twojego odejścia.

- Ty niewdzięczna suko! Już ja ci...

- Tylko mnie dotknij! No, odważ się! Wezwę policję, przekonasz się. No, śmiało, spróbuj!

Naraz poczułam dławiący strach. Wszyscy już widzieliśmy, jak Ken bił mamę. To było okropne i nie sposób było nie czuć lęku. Usiadłam na łóżku. Usłyszałam pełen przerażenia jęk Beni. Moja siostra wstała z łóżka i ruszyła do drzwi powoli, jak człowiek, którego pędzą w płomienie.

- Nie idź tam - szepnęłam. - Jeśli pójdziesz, mamie będzie jeszcze trudniej.

Beni się zawahała. Mimo panujących w pokoju ciemności dostrzegłam w jej oczach błysk przerażenia.

W drzwiach stanął nasz starszy brat Roy, pocierając dłonią czoło, jakby polerował kawałek drewna. Musieli się zachowywać naprawdę głośno, bo zwykle za nic nie można go było dobudzić. Mama mówiła, że Roy jest dowodem na to, iż kiedy człowiek śpi, to jakby umarł dla świata.

Teraz Roy stał przed drzwiami do naszego pokoju.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - mruknął, krzywiąc się, jakby bolał go brzuch.

- Nie wtrącaj się, Roy! - krzyknęłam.

Raz już się zdarzyło, że to zrobił, i wówczas Ken uderzył go na odlew w twarz. Roy upadł, zalewając się krwią, a następnego dnia miał opuchnięte wargi. Gdyby mama nie osłoniła go własnym ciałem, oberwałby najdotkliwsze lanie w całym swoim życiu.

- Zasługujesz sobie na to, żebym cię zostawił - wymamrotał Ken.

Najwyraźniej nie zdobył się na to, by stawić mamie czoło. Utkwiła w nim swe płomienne hebanowe oczy i zmusiła, żeby się cofnął. Zaraz potem usłyszeliśmy, jak otwiera frontowe drzwi i natychmiast zatrząskuje je z hukiem, od którego zatrzęsły się ściany naszego małego mieszkania. Przez chwilę panowała cisza, a zaraz potem dobiegł nas płacz mamy.

Wstałyśmy z Beni z łóżek i razem z Royem poszliśmy we trójkę do kuchni. Mama siedziała zgarbiona, z opuszczoną głową, nad poszczerbionym plastikowym blatem taniego stołu. Jej ramionami wstrząsał szloch.

Widzieliśmy to już wiele razy.

- Co się znowu stało, mamó? - zapytał Roy z płonącymi gniewem oczami.

Mama wyprostowała się powoli, z wielkim wysiłkiem, jakby jej głowa była z kamienia. W zaczerwienionych oczach lśniły łzy, szczupłe ramiona wznosiły się i zaraz opadały wstrząsane szlochem. Wyglądała jak kukiełka, którą ktoś szarpie za sznurki. Potem zapadła się w krzesło. Kiedy była tak beznadziejnie smutna, krajało mi się serce. Miałam tak ściśniętą pierś, że nie mogłam zaczerpnąć głębszego oddechu. Spływające łzy zostawiły na policzkach mamy nierówne linie.

Mama westchnęła głęboko i przesunęła dłonią po włosach, które kiedyś miały piękny zdrowy połysk, a teraz były matowe i przetykane pasemkami siwizny, wdzierającymi się pomiędzy czarne loki jak groźba. Nienawidziłam tych znaków wskazujących, że mama się starzeje. Zmartwienia i troski

przyśpieszały bieg wskazówek jej biologicznego zegara. Chciałam, żeby zawsze pozostała młoda, żeby na jej twarzy malowała się radość i nadzieja, żeby głos dźwięczał śmiechem i piosenką. Jak daleko sięgam pamięcią, zawsze ciężko pracowała, bo nienawidziła myśli, że mogłaby żyć z zasiłku. Niezależnie od tego, ile pieniędzy przepuszczał i marnotrawił Ken, mama nigdy się nie poddawała. Duma nie pozwalała jej się ugiąć bez względu na okoliczności.

- Dopóki w tych nogach i rękach jest choć odrobina siły - powtarzała nam - nigdy nie pozwolę, by rząd mógł mi powiedzieć, że jestem częścią problemu. Nie, mój panie, nie moja pani, nie i już. Latisha Carrol jeszcze nieprędko sięgnie dna.

Tej nocy nie wyglądała już na równie pewną swego. Ostatnio pracowała w Krandel's Market, układając warzywa na półkach, jakby była jakimś nieukiem wyrzuconym ze szkoły, nigdy jednak nie narzekała na swój los.

Żadne z nas nigdzie nie pracowało, ale Roy, dopóki był młodszy, zarabiał drobne sumy, zanosząc ludziom zakupy do samochodów. Kiedyś pewna starsza biała kobieta dała mu aż dwadzieścia dolarów napiwku. Mama była pewna, że chciała mu dać dolara, lecz się pomyliła. Powiedziała Royowi, żeby oddał tej pani pieniądze przy najbliższej okazji, gdy ją znów spotka. Roy nie chciał tego zrobić, ale też nie miał odwagi wydać owej dwudziestki. Ostatecznie, kiedy zobaczył tę białą starszą panią, powiedział jej, co zrobiła. Popatrzyła na niego, jakby miała do czynienia z wariatem, i odparła, że musiał się pomylić, bo nie zdarza jej się popełniać takich błędów. Roy wrócił pędem do domu i opowiedział o wszystkim mamie, a ona po namyśle zawyrokowała: „No, cóż, Roy, skoro ta biała starsza pani jest taka arogancka, że nie potrafi przyznać się do błędu, to te pieniądze uczciwie ci się należą”.

Ken mówił wprawdzie Royowi, że nie powinien sobie zawracać całą historią głowy, ale mama zawsze wywierała na

nas silniejszy wpływ od niego. Nie wiem, kiedy Roy stracił szacunek dla ojca, myślę jednak, że Ken zawsze czuł, iż syn go nie poważa. Być może był to jeden z powodów, dla których rzadko bywał w domu.

- Tata znów sobie poszedł - powiedziała mama.

- I chwała Bogu, żeśmy się go pozbyli - odpalił Roy.

- Wiesz, że nie lubię, gdy tak mówisz, Royu Arnold. Ken jest twoim ojcem, a wiesz, że Biblia każe czcić ojca i matkę.

- Pisząc o tym, Bóg nie myślał o Kenie - odparł gniewnie Roy.

- Nie gadaj tak, jakbyś wiedział, o czym Pan Bóg myślał, i co zamierzał, Royu Arnold! - zganiła go mama. - Nie jesteś prorokiem.

Była teraz naprawdę zła, a jej oczy płonęły gniewem. Mama zawsze uważała, że wiara jest jedyną siłą, która trzyma nas razem. Sama nie chodziła regularnie do kościoła, ani nie zmuszała nas, żebyśmy chodzili tam co niedziela, jak czyniły to inne matki, ale nigdy nie pozwoliła nam odejść zbyt daleko od modlitwy i Biblii.

Roy pokręcił głową i opuścił ją, jakby poczuł się bardzo zmęczony.

- Wracam do łóżka - mruknął.

- Wszyscy wracajcie do łóżek. Rano musicie iść do szkoły, a ja nie mam ochoty walczyć z wami, żebyście wstali na czas. Słyszycie?

- A ty idziesz do łóżka, mamo?

- Niedługo pójdę - odpowiedziała.

Spojrzałam na Beni. Obie wiedziałyśmy, że mama spędzi noc, gryząc się i zamartwiając, dopóki nie zaśnie nad ranem, żeby zaraz wstać i pójść do pracy. Na jej barkach kładły się brzemieniem rachunki, bielejące na ścianach jej pokoju jak złe duchy nawiedzające nasz dom. Ken nigdy się nimi nie przejmował. Nawet jeśli już zdarzyło się, że zarobił jakieś pieniądze, mama zawsze musiała stoczyć z nim prawdziwą bitwę, nim

zdołała go zmusić, żeby zapłacił jakiekolwiek rachunki, nim wszystko przepije i przehula.

Ilekcio Ken opuszczał dom, jak tej nocy, wraz z nim znikala wszelka nadzieja na najskromniejszą choćby pomoc z jego strony. W supermarkecie mama nie miała najmniejszych szans, żeby zarobić dość pieniędzy na wszystkie nasze wydatki.

- Jutro poszukamy sobie z Beni jakiejś pracy, mamó.

- Nie ma mowy - odpowiedziała tak szybko, jakby spodziewała się moich słów. - Chcę, żebyście skoncentrowały się na nauce.

- Ależ mamó, mnóstwo dziewczyn w naszym wieku pracuje - zaprotestowała Beni. - Dlaczego my nie możemy?

- Tak, a kiedy odrabiają lekcje, co, Beni? Pracują po szkole, wracają do domu za późno, żeby zapamiętać cokolwiek z tego, co przeczytają, nie mówiąc nawet o odrabianiu lekcji. W soboty i niedziele też idą do pracy, zamiast się uczyć.

- I tak nie pójdziemy do college'u, mamó, więc co to za różnica? - upierała się Beni.

- Dlaczego nie spróbujesz myśleć pozytywnie, Beni? Rain jakoś się to udaje - powiedziała mama, patrząc na moją siostrę zwięzonymi z irytacji oczami.

Beni rzuciła mi niechętne spojrzenie.

Mama pokręciła głową i spojrzała na Roya.

- Wszystko będzie w porządku, mamó - zapewnił Roy. - Pójdę do pracy w Slim's Garage. Będę przynosił do domu tyle samo, ile Ken, a może nawet więcej.

- Nie chcę, żebyś rzucił szkołę, Roy - oświadczyła mama, ale nieco mniej zdecydowanym tonem.

Roy był już mężczyzną, miał osiemnaście lat i potężne bary. Chodził dumnie wyprostowany; tę postawę odziedziczył po mamie.

- Dobrze - odparł i przyjrzał mi się uważnie. Potem odwrócił się i poszedł do swego pokoju.

Mama spojrzała na mnie i westchnęła.

- Nie zrób w życiu tych samych błędów, jakie ja popełniłam. Dobrze się zastanów, nim zwiążesz się z jakimś mężczyzną. Słyszysz mnie?

- Tak, mammo.

- I nie wierz w żadne obietnice - ostrzegła mnie. - Mężczyznom tak łatwo przychodzi obiecywać. Od pierwszego słowa czerpią z niewyczerpanej studni fałszywych nadziei, która napełnia się, ilekroć spojrzą na pełną ufności kobietę.

- Dobrze, mammo - odpowiedziałam i uśmiechnęłam się do niej.

- Spójrz tylko, jaka jesteś ładna, nawet zbudzona w środku nocy. Chodź, pocałuj mnie, żebym miała lepsze sny. - Przez krótką chwilę oczy mamy znów były młode, takie jakie zapamiętałam z czasów, kiedy mi śpiewała, trzymała mnie za rękę lub kołysała w ramionach i całowała, gdy przebudziłam się z koszmarów.

Objęłam mamę, a ona przytuliła mnie trochę mocniej niż zwykle i pogładziła po włosach. Poczułam, jakby w moim żołądku zatrzepotały skrzydła motyla. Czułam, jak drżą jej wątle mięśnie pod cienką skórą. Mama chudła, pewnie zżerały ją troski.

- Jesteście teraz moją jedyną nadzieją - szepnęła. - Nie sprawcie mi zawodu.

- Nie zawiedziemy cię, mammo.

- Beni żywi jakąś urazę do świata - wyjaśniła mama zmęczonym głosem, gdy już wypuściła mnie z ramion. - Nie wiem dlaczego. Nie uczyłam jej nienawidzić, ale ona najwyraźniej sądzi, że skoro człowiek jest czarny, to musi być wiecznie wściekły. Powinna się częściej uśmiechać. Miałam nadzieję, że ty ją tego nauczysz, Rain. Miałam nadzieję, że coś z twego światła rozjaśni mrok w jej oczach.

- Wszystko będzie dobrze, mammo - obiecałam.

- Wiem - powiedziała, ale nie patrzyła mi w oczy, jakby sądziła, że w ten sposób ukryje przede mną dręczące ją troski i niepokoje.



- Idź już spać, mamo. Wiesz, jaki jest Ken. Odgraża się, że więcej tu jego noga nie postanie, a potem wraca.

- Wiem - zgodziła się ze mną mama. - Wracaj do łóżka, Rain. Pora spać.

W przedpokoju obejrzałam się jeszcze za siebie. Mama wstała i zaczęła zbierać kawałki potłuczonej porcelany z talerza, którym cisnęła o ścianę. Potem wyspała okruchy do kosza na śmieci i stała nad nim, odwrócona do mnie plecami. Jej drobną postacią znów wstrząsnął szloch. Siły mamy były na wyczerpaniu. Kiedy właściwie sprawiedliwi otrzymują obiecaną im w Biblii nagrodę? - przyszło mi do głowy i byłam pewna, że mama myśli w tej chwili dokładnie o tym samym.

Beni leżała w łóżku z szeroko otwartymi oczami. Kiedy weszłam, spojrzała na mnie płomiennym wzrokiem.

- Mama zawsze ciebie kochała bardziej niż mnie - rzuciła na wpół gniewnie, na wpół żałośnie.

- Nieprawda, Beni - zaprotestowałam.

- Nie? Dlaczego nie możesz być taka jak Rain? Rain potrafi to, Rain potrafi tamto - powiedziała, przedrzeźniając mamę. - Wciąż to słyszę. Przewróciła się na bok, odwracając się do mnie plecami.

- Mama po prostu martwi się o nas, Beni. Ale dobrze wiesz, że nigdy nie twierdziła, że jesteś ode mnie gorsza. - Podeszłam do siostry i położyłam dłoń na jej ramieniu. - Nie bądź taka, Beni. Nie teraz, kiedy zdarzyła się ta historia z Kenem. To dołożyło i mamie, i nam wszystkim.

Nie odwróciła się do mnie.

- Zawsze traktowała cię inaczej niż mnie, Rain - powiedziała do ściany. - To tak jakby... jakby należało ci się więcej ode mnie czy co...

- To głupie, Beni.

- Nieprawda - odparła sztywniej. - W tym coś się kryje. Mama nie zachowuje się tak bez powodu.

Odwróciła głowę. W słabym świetle, wpadającym do pokoju

przez uchylone drzwi, jej oczy lśniły jak nowe dziesięciocentówki.

- Jestem pewna, że w głębi serca wiesz, o co mi chodzi, Rain - dodała Beni łagodniejszym tonem. - Udajesz przed sobą, że nie ma żadnej różnicy, ale równie dobrze jak ja wiesz, że to nieprawda.

Pokręciłam głową.

- Nie okłamujmy się nawzajem, Rain - ciągnęła Beni. - Przynajmniej tego nie róbmy.

Nic nie odpowiedziałam.

W gruncie rzeczy czułam, że Beni ma trochę racji. Zawsze odnosiłam wrażenie, że mama patrzy na mnie inaczej. Nie wiedziałam, dlaczego tak jest, i nie chciałam tego wiedzieć. Bałam się. Nie miałam pojęcia, czemu tak się dzieje, ale w głębi duszy czułam strach, którego wolałam nie analizować, któremu wolałam zaprzeczać. W mroku niewiedzy czułam się bezpieczniej.

Wróciłam do swego łóżka i wsunęłam się pod kołdrę. Potem leżałam, wpatrując się w sufit.

- Nienawidzę go - mruknęła Beni. - Nienawidzę go za to, co nam robi. A ty?

- Nie. Nie czuję nienawiści do Kena. Nie umiałabym go nienawidzić. Nie rozumiem go, ale nie chcę go nienawidzić. Jest naszym ojcem, Beni.

- Nie obchodzi mnie, kim jest. Nienawidzę go - powtórzyła Beni. - Mama się myli. Czasem nienawiść sprawia, że człowiekowi robi się lżej. Staje się... silniejszy. To coś, czego powinnaś się nauczyć, Rain. Powinnaś nauczyć się tego ode mnie.

Milczała przez chwilę, a potem oparła się na łokciu i spojrzała na mnie.

- Może to dlatego mama bardziej się o ciebie troszczy - powiedziała z namysłem, jakby usiłowała rozstrzygnąć dręczący ją dylemat. - Może czuje, że jesteś ode mnie słabsza i że potrzebujesz ochrony. Tak - Beni opadła na poduszki. - Założę się, że tak właśnie jest.

Spodobał jej się ten pomysł. Niemalże czułam satysfakcję w głosie siostry. Dzięki temu łatwiej było Beni zamknąć oczy i usnąć.

Może ona ma rację, pomyślałam. Może jestem słabsza. Pewnie Beni rzeczywiście ma większe szanse, żeby poradzić sobie w tym świecie, właśnie dlatego, że jest taka, jaka jest.

Odwróciłam się i powędrowałam własnymi drogami w ciemności snu.

# 1

## POCZĄTEK KOŃCA

Jak daleko sięgam pamięcią, mieszkaliśmy w bloku na osiedlu, któremu nadano nazwę Projekty. Znienawidziłam tę okolice już jako dziecko. Nazwa Projekty nie sugerowała domu, miejsca, gdzie mieszka się z rodziną, lecz wyraźnie kojarzyła się z biurokratycznym planem czy rządowym programem rozwiązania problemu biedoty. Beni nazywała nasze osiedle Klatkami, co trafnie wyrażało moje własne odczucie, że żyjemy tu jak zwierzęta.

Przypuszczalnie kiedyś te bloki były nowe, czyste i schludne. Dopiero z czasem ich ściany szczelnie pokryły graffiti tworzące, jak to nazywam, Księgę Szaleństwa. Ulice zapełniły się śmieciami, a trawniki zostały zasypane puszkami, szczątkami samochodów i tłuczonym szkłem. W powietrzu unosiły się strzępy starych gazet. Cała okolica wyglądała jak popielniczka pełna niedopałków i popiołu.

Nasze mieszkanie, numer dwieście piętnaście, znajdowało się na pierwszym piętrze. Mieliśmy szczęście, mieszkając na pierwszym piętrze, bo gdy popsuła się winda, co zdarzało się często, nie musieliśmy wysoko wchodzić po schodach, a jednocześnie nie byliśmy narażeni na włamanie przez okno, czego bali się nieustannie mieszkańcy parteru. Większość z nich okratowała swoje okna, co nasunęło Beni pomysł, by nazwać Projekty Klatkami. Na nic się nie zdało tłumaczenie jej, że w zoo pręty służą do utrzymania zwierząt w klatkach, a nie

temu, by ludzie nie dostali się do środka. Beni twierdziła, że to rząd chce nas trzymać w zamknięciu.

- Jesteśmy jak pryszcz na twarzy stolicy. Założę, się, że rząd nie chce, żeby cudzoziemcy nas widzieli. To dlatego nikt z nimi nie przyjeżdża na nasze osiedle - oznajmiła tonem, którego nauczył ją rozczulający się wiecznie nad swoim losem i pełen pretensji do świata Ken.

Nie mogłam zaprzeczyć, że wokół nas było wiele strachu i przestępczości. Każdy miał zamontowany taki czy inny alarm, i te alarmy wciąż włączały się przypadkowo. Zdarzało się to tak często, że w końcu nikt nie zwracał na nie uwagi. Jeśli miałabym wskazać przykład wywoływania wilka z lasu, to byłyby to właśnie Projekty.

Beni, Roy i ja mieliśmy do szkoły tylko trzy przecznice, ale czasem czuliśmy się, jakbyśmy szli przez dzielącą linię frontu ziemię niczyją. W ciągu ostatniego pół roku dwie osoby zginęły od przypadkowych kul, wystrzelonych z przejeżdżających samochodów - członkowie gangów strzelali do ludzi z innych gangów, nie zwracając uwagi na Bogu ducha winnych przechodniów. Wszyscy przyznawali, że to straszne, ale godzili się z tym, jakby nie było żadnego sposobu, żeby zapobiec podobnym wypadkom, jakby chodziło o trąbę powietrzną czy trzęsienie ziemi.

Mama nie ukrywała strachu, gdy któreś z nas wychodziło z domu po zmierzchu. Zaczynała się wtedy dosłownie trząść. Kiedyś pomyślałam, że żyjemy jak w średniowieczu. Pamiętam, że gdy nauczyciel opowiadał nam o zamkach obronnych, fosach i mostach zwodzonych, myślałam o Projektach. Prócz krat w oknach i alarmów każdy miał po kilka zamków i łańcuchy w drzwiach. Starsi ludzie siadali zwykle z dala od okna, wzdrygając się, gdy nocą rozlegały się krzyki w korytarzu.

Z mojego okna widziałam światła w budynkach rządowych, a kiedy minęliśmy kilka przecznic na wschód i spojądaliśmy w kierunku Kapitolu, widzieliśmy upajające zarysy Washington Monument i Lincoln Memoriał. Na wycieczkach z klasą odwiedzaliśmy takie miejsca, jak Treasury Building, gdzie oglą-

daliśmy drukowanie banknotów, czy budynek FBI, w którym pokazywano nam laboratoria kryminalistyczne i odciski palców. Nie widzieliśmy obrad Kongresu, ale byliśmy w jego budynkach.

Podczas tych wycieczek z klasą czułam się niekiedy niczym astronautka. To było tak, jakbyśmy znaleźli się na innej planecie. Oglądaliśmy piękne domy, przykłady na to, jak wygodnie i w jakim bogactwie żyją inni ludzie. Słuchaliśmy o nadziejach, których symboliczny wyraz stanowiły wszystkie te budowle i pomniki, ale potem wracaliśmy do własnej rzeczywistości, do świata, w którym na każdym rogu ulicy można kupić narkotyki, a pozbawione opieki dzieci bawią się pośród tłuczonego szkła i zardzewiałego złomu. Zadawałam sobie pytanie, co wyrosnie z tych dzieci. Co z nas wyrosnie? W szkole uczyliśmy się o demokracji, poznawaliśmy marzenia, które nigdy nie miały się spełnić w naszym życiu.

Niedawno na naszej klatce schodowej, przy zejściu do piwnicy, znaleziono trupa. Ktoś umarł wskutek przedawkowania heroiny. W całym bloku zaroilo się od przypominających niebieskie pszczoły policjantów. Zniknęli równie szybko, jak się zjawili. Żaden z nich nie wyglądał na przejętego czy choćby zainteresowanego wypadkiem. Sądzę, że tak jak my akceptowali okropność naszego świata.

Mama oczywiście zawsze marzyła, żebyśmy się stąd wyrwali. Co do mnie, miałam wrażenie, że większość ludzi żyjących w Projektach nie potrafi sobie nawet wyobrazić, że mogliby coś takiego zrobić. Mama nie rozmawiała o swoich marzeniach z nikim, prócz nas, bo nienawidziła powątpiewania, z jakim odnosili się do tego rodzaju pomysłów pozbawieni wszelkiej nadziei sąsiedzi. Kiedy Ken jeszcze tyle nie pił, natomiast całkiem przyzwoicie zarabiał, mamie udało się zaoszczędzić dość pieniędzy, by mogła naprawdę zacząć się rozglądać za małym domkiem gdzieś w lepszej dzielnicy. Niestety, nim coś znalazła, Ken wydał wszystkie pieniądze i zniknął. Pamiętam, że gdy to odkryła, wróciła do domu blada, jakby nie, miała w żyłach ani kropli krwi.

- Zabił nasze marzenia - powiedziała wtedy.

Bałam się, że mama dostanie ataku serca. Miała sine wargi, a oddychanie sprawiało jej poważny wysiłek. Żeby się uspokoić, wypła duszkiem szklanę whisky. Potem przez całe popołudnie siedziała przed oknem, wyglądając na odrażające osiedle i mrużąc jakąś starą melodię, całkiem jakby rozciągały się przed nią piękne łąki albo majestatyczne góry. Próbowałam z nią rozmawiać, namówić ją, żeby coś zjadła, ale zachowywała się, jakby w ogóle nie słyszała, co do niej mówię. Okropnie się wtedy bałam - o mamę i o nas wszystkich.

Wreszcie Ken wrócił. Roya nie było w domu. Cieszyłam się z tego, bo gdyby był, na pewno doszłoby do awantury. Beni i ja siedziałyśmy w naszym pokoju, wstrzymując oddech. Spodziewałyśmy się, że mama wybuchnie i zrobi Kenowi straszną awanturę, ale ona całkowicie nas zaskoczyła. Spytała Kena łagodnie, czemu wziął pieniądze, nic jej o tym nie mówiąc, i co z nimi zrobił. Ken zwlekał z odpowiedzią. Chodził po kuchni, wyjął sobie z lodówki piwo, otworzył butelkę i pociągnął długi łyk. Potem oparł się o szafkę koło zlewu.

- Były mi potrzebne - powiedział w końcu. - Miałem dług do spłacenia.

- Dług? Jaki dług? Mówisz o niezapłaconym rachunku za prąd? O rachunku u dentysty za wizyty Beni i Rain? O jakim długu mówisz?

- Miałem dług - powtórzył, nie patrząc jej w oczy.

Mama z widocznym wysiłkiem podniosła się z krzesła.

- Nie tylko ty pracowałeś na te pieniądze - przypomniała mu. - Ja także ciężko na nie tyrałam. Czy nie mam prawa wiedzieć, co się z nimi stało? - Wszystko to mówiła zadziwiająco spokojnie,

- Miałem dług - powtórzył Ken.

Mama uniosła głowę, prostując wąskie ramiona. Spojrzałam na Beni. Na twarzy siostry malował się gniew. Miałam wrażenie, że w moim żołądku zaległo się stado szerszeni.

- Przegrałeś nasze pieniądze w karty, prawda, Kenie Arnold? Śmiało, powiedz mi prawdę. Przepuściłeś wszystkie pieniądze, tyle miesięcy harówki poszło na marne!

Popatrzył na nią obojętnie i przyłożył butelkę do ust. Gdy pił, jego grdyka poruszała się, wyglądał jak wąż połykający zdobycz. Nagle mama wytrąciła mu butelkę z ręki. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i na bladożółtym linoleum rozlała się kałuża spienionego piwa.

Ken zupełnie osłupiał. Był tak zdumiony, że na chwilę po prostu skamieniał. Gniew mamy, jej wybuch, kompletnie go zaskoczył. We mnie i w Beni widok naszej drobnej, szczupłej mamy, podnoszącej rękę na mężczyznę, który był od niej o głowę wyższy, o wiele szerszy w ramionach i dwukrotnie cięższy, wzbudził śmiertelne przerażenie. Ken mógłby ją zgnieść jak muchę, ale mama stała przed nim i patrzyła mu prosto w oczy.

- Ot, tak sobie, poszedłeś i przekreśliłeś wszystkie nasze nadzieje, a teraz mówisz mi o jakimś długu? Przepuściłeś moją krwawicę, mój pot, i powiadasz, że miałeś dług?

- Odejdź, kobieto - powiedział Ken, ale widziałam, że się trzęsie. Nie miałam tylko pojęcia, czy z wściekłości, czy ze strachu. Naraz odkrył naszą obecność i uniósł się dumą. - Co ty wyprawiasz? Jak śmiesz rozlewać moje piwo? - zagrzmiął nieoczekiwanie z oczami rozszerzonymi gniewem. - Chyba zupełnie zwariowałaś, kobieto! Nie mam zamiaru stać spokojnie i słuchać bredzenia wariatki.

Odwrócił się i wyszedł, trzaskając drzwiami. Przez chwilę mama spoglądała za nim, a potem wzięła się do sprzątania. Rzuciłam się na pomoc.

- Uważaj, żebyś się nie skaleczyła, Rain - ostrzegła mnie głuchym, matowym głosem, gdy zaczęłam zbierać kawałki szkła.

Beni wciąż siedziała na krześle. Cała się trzęsła.

- Ja to zrobię, mamó - powiedziałam.

Mama nie spierała się ze mną. Poszła do swego pokoju i położyła się na łóżku. Pamiętam, bałam się wtedy, że po tym



ciosie już nigdy się nie podniesie, ona jednak w niepojęty dla mnie sposób znalazła siły do dalszej walki o realizację swoich i naszych marzeń.

Myślę, że odwaga i upór mamy, bardziej niż cokolwiek innego, pozwoliły mi zachować wiarę w spełnienie moich największych pragnień. Pomyślałam, że skoro mama potrafiła podźwignąć się po tym, co zrobił Ken, to ja - o wiele od niej młodsza i wciąż mająca przed sobą szansę, by coś w życiu osiągnąć - w żadnym wypadku nie powinnam się poddawać. Muszę zachować uśmiech na twarzy, nie mogę być taka jak Beni. Muszę stłumić w sobie nienawiść wobec wszystkiego i wszystkich wokół. Nawet przy najgorszej pogodzie dostrzegać błękit nieba i lśnienie gwiazd. Gdybym wiedziała, jak wiele czeka mnie deszczowych dni...

Nasza szkoła nie miała w sobie nic godnego uwagi. Ja sama często zamykałam oczy, kiedy już minęłam róg ulicy i stałam przed ponurym, surowym budynkiem o zakratowanych oknach, który bardziej przypominał fabrykę niż szkołę. Cały teren otaczało wysokie ogrodzenie z tabliczkami zakazującymi wstępu komukolwiek poza uczniami i nauczycielami.

Przy wejściu stało dwóch umundurowanych strażników. Żeby się znaleźć w szkole, trzeba było przejść przez bramkę do wykrywania metali, taką, jakie widuje się na lotniskach. Bramki ustawiono, bo już wielokrotnie zdarzyło się, że uczniowie należący do gangów atakowali nożami innych uczniów, a raz przy pewnym chłopaku z dziesiątej klasy znaleziono nabity rewolwer. Nauczyciele byli przerażeni i domagali się ochrony. Kuratorium oczywiście wcale nie miało ochoty przydzielać szkole środków na wykrywacz metalu i strażników, ale część nauczycieli zagroziła strajkiem, jeśli władze nie zapewnią im bezpieczeństwa.

Pan McCalester od historii powiedział, że nauczyciele w naszej szkole oprócz normalnego wynagrodzenia powinni dostawać dodatkowe premie za ryzyko, jakie podejmują, wcho-

dząc do budynku szkolnego. Brzmiało to tak, jakbyśmy powinni dziękować Bogu, jeśli uda się nam po tych kilku godzinach wrócić cało do domu. Trudno było się skupić na poezji czy dramacie, algebrze czy geometrii, chemii czy biologii, ze świadomością, że za wysokim ogrodzeniem wążsają się młodzi gangsterzy, gotowi zabijać nawzajem siebie i każdego, kto na swoje nieszczęście przypadkiem wejdzie im w drogę.

Większość naszych przyjaciół niejedno już przeżyła na ulicach Projektów. Wszyscy wiedzieli o narkotykach i nikt się nie dziwił, gdy ktoś palił na przerwie trawkę czy wachał kokę, zależnie od tego, co mu akurat wpadło w ręce. Beni i ja nie próbowałyśmy narkotyków. Roy także nie. Wcale zresztą nie było to takie proste. Czasem bałam się, że moja siostra ugnie się pod presją koleżanek, które śmiały się z niej i mówiły, że zachowuje się jak dziecko.

Poza tym, że nie brałam narkotyków, wyróżniałam się także wyglądem. Niektóre dziewczyny miały mi to najwyraźniej za złe. Mama zawsze powtarzała, że próżność jest grzechem, ale mimo to nie umiałam nie odczuwać pewnego zdziwienia, gdy patrzyłam na swoje odbicie w lustrze. W odróżnieniu od koleżanek miałam proste włosy i jaśniejszą cerę. Nigdy nie dokuczał mi trądzik. Roy powiedział kiedyś, że mogłabym zostać modelką, ale bałam się nawet marzyć o czymś takim. Szczerze mówiąc, bałam się snuć jakiegokolwiek marzenia. Wszystko, co miłe, mogło się wydarzyć tylko przypadkiem, niespodziewanie. Miałam poczucie, że za bardzo czegoś pragnąć to tak, jak ścisnąć zbyt mocno kolorowy balon. Po prostu pękłby na strzępy, nie pozostawiając żadnej nadziei.

Kiedy byłam mniejsza, mama uwielbiała mnie czesać, podśpiewując przy tym jedną z piosenek, których nauczyła ją w dzieciństwie babcia.

- Wyrośniesz na piękną dziewczynę, Rain - szeptała mi do ucha - ale musisz pamiętać, że uroda także może być ciężarem. Im bardziej będą ci się przyglądać mężczyźni, tym ważniejsze

jest, żebyś umiała się pilnować i w razie czego powiedzieć „nie”.

Jej słowa budziły we mnie strach. Nic nie mogłam na to poradzić, że najbezpieczniej czułam się, chodząc po szkolnym korytarzu ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Unikałam cudzych spojrzeń i nie odwzajemniałam uśmiechów. Wiedziałam, że większość ludzi uważa mnie za snobkę, ale tylko w ten sposób mogłam zapanować nad drżeniem, jakie ogarniało moje serce, ilekroć jakiś chłopak spojrzał na mnie z zainteresowaniem. Gdy się to zdarzyło, po grzbiecie przebiegały mi ciarki. Czułam się z tym tak źle, że wołałabym być brzydka, byle tylko mieć spokój.

Beni nie czuła się ładna, choć moim zdaniem, miała miłe rysy i piękne hebanowe oczy, a także większe piersi ode mnie - i zwykle nie zapinała bluzki na wszystkie guziki albo nosiła obcisłe sweterki. Była też jednak szersza w biodrach niż ja, i Roy mówił, że wygląda jak tramp. Moja siostra miała pełniejsze wargi, ja z kolei miałam prostszy i węższy nos. Czasem, gdy tego nie widziała, przyglądałam jej się uważnie i próbowałam znaleźć jakieś podobieństwo między nami. Prawda była jednak taka, że Beni bardziej przypominała Roya, choć on z kolei miał włosy podobniejsze do moich.

Kiedyś spytałam o to mamę, a ona odpowiedziała mi, że czasem tak bywa. Zdarza się, powiedziała, że ktoś jest podobniejszy do dziadków niż do rodziców. Zaciekawiło mnie to i długo wpatrywałam się w zdjęcia rodziców mamy i Kena, ale tu również nie znalazłam żadnego podobieństwa.

Moi dziadkowie nie żyli. Ojciec Kena zginął w wypadku samochodowym, a jego matka zmarła na marskość wątroby od picia. Moja babcia macierzysta umarła wcześniej od męża na atak serca. Dziadek mieszkał w Północnej Karolinie i zmarł na rozedmę płuc, nim skończyłam pięć lat. Jedyne, co zapamiętałam z wizyt, jakie mu kilkakrotnie złożyliśmy, to panujący w jego domu smród dymu z papierosów. Nieustannie palił. Miałam wrażenie, że wszystko wokół przesiąknięte jest dymem, który zdawał się wydobywać z dziadka nie tylko

nosem i ustami, lecz nawet uszami. Mama miała siostrę Alanę w Teksasie i brata Lamara, który mieszkał gdzieś na Florydzie. Alanę widziałam raz, podczas świąt Bożego Narodzenia. Miałam wtedy siedem lat. Lamara nigdy w życiu nie oglądałam na oczy.

Ken miał starszego brata, lecz rzadko go wspominał. Curtis Arnold siedział w więzieniu w Oklahomie za napad z bronią w rękę. Zastrzelił kogoś i dostał dożywocie.

Ciotka Alana urodziła dziecko, ale oddała je jakimś ludziom. Nie wiedzieliśmy o nim nic poza tym, że była to dziewczynka. Czasem rozmawialiśmy o niej z Beni. Wyobrażaliśmy sobie, że musi być mniej więcej w naszym wieku i zapewne podobna do nas. Niekiedy Beni drażniła się z Royem, mówiąc na przykład, żeby uważał na dziewczyny, z którymi sypia, bo jedna z nich może się okazać jego kuzynką.

Roy strasznie się wtedy złościł. Okropnie go drażniło, gdy Beni mówiła o seksie. Nie cierpiał również, gdy snuła się po mieszkaniu w majtkach i staniku, a jeszcze bardziej, kiedy chodziła bez bielizny w luźno zawiązanym szlafroku. Czasem był tak wściekły, jakby miał zaraz wybuchnąć. Roy odziedziczył temperament po Kenie, choć poza tym bardzo się od niego różnił.

Do mnie zawsze odnosił się inaczej. Jeśli zdarzyło się, że natknął się na mnie, gdy byłam rozebrana, odwracał wzrok i oddalał się bez słowa. Zresztą rzadko się to zdarzało, bo w przeciwieństwie do Beni wcale nie lubiłam obnosić się ze swoimi wdziękami.

Mimo że niekiedy szorstki, Roy był dla mnie i dla Beni tak kochającym i opiekuńczym bratem, jak tylko można tego pragnąć. Zawsze starał się być z nami, gdy znajdowałyśmy się na ulicach. Teraz, kiedy prosto ze szkoły szedł do pracy w Slim's Garage, martwił się, jak damy sobie radę, wracając bez niego. Co najmniej sześciokrotnie powtórzył nam, że mamy iść prosto do domu, nie zatrzymując się po drodze przy żadnych szafach grających, żeby słuchać muzyki hip-hopowej.

- Pamiętajcie, że w takich miejscach zbierają się najgorsze męty - ostrzegł nas.

Beni rady Roya wcale się nie spodobały.

- Chciałby, żebyśmy na całe życie zostały małymi dziewczynkami - narzekła.

Jej dwie przyjaciółki - Alicia i Nicole - zawsze próbowały zaciągnąć Beni dokądś ze sobą po szkole. Wreszcie pewnego dnia, gdy już Roy poszedł do pracy, Beni znalazła mnie na szkolnym korytarzu tuż przed końcem lekcji i powiedziała, że wybiera się Alicia i Nicole do „Oh Henry's”, żeby posłuchać muzyki. „Oh Henry's” była to niewielka, ciemna nora w wyjątkowo podłej okolicy. Roy mówił, że gdyby zaprząć razem wszystkie karaluchy, które tam żyły, można by zwalić cały budynek.

- Mama będzie niezadowolona - ostrzegłam Beni.

- Jeśli ty się nie wygadasz, o niczym się nie dowie. I tak wrócę do domu wcześniej od niej.

- Po co chcesz tam iść? - nie dawałam jej spokoju. - Przecież wiesz, jak wygląda „Oh Henry's”.

- Wcale nie - zaprotestowała Beni. - Nigdy tam nie byłam. Poza tym... chciałabym zobaczyć się z kimś, kto tam bywa - dodała z tajemniczym uśmiechem.

Wiedziałam, że Beni flirtuje ostatnio z Carltonem Thomase, i wcale mi się to nie podobało, bo jego kuzyn był szefem jednego z okolicznych gangów.

- Skoro chcesz tam iść, będę musiała iść z tobą - powiedziałam niezadowolona.

- Nie, nie musisz. Dam sobie radę - zapewniła mnie chętnie. Specjalnie mówiła to głośno, tak by słyszały ją Nicole i Alicia.

- Wiem, że dasz sobie radę, ale Roy mnie zabije, jeśli cię tam puszczę samą.

- W nosie mam Roya. Nie będzie mi mówił, co mam robić! - odpaliła moja siostra. - Twojej opieki też wcale nie potrzebuję, Rain. Nie jestem dzieckiem.

Beni odwróciła się na pięcie, dołączyła do czekających na nią dziewczyn i razem z Nicole i Alicią ruszyły do wyjścia.

- No, dobrze, zaczekaj! - zawołałam. - Pójdę z tobą, ale wrócimy do domu przed powrotem z mamy - zastrzegłam, gdy je dogoniłam.

Dziewczyny szły różnym krokiem. Beni udawała zadowolona z siebie, ale spod jej nadętej miny przebijała lekka niepewność.

Muzyka grała strasznie głośno; panował ścisk i tłok, w powietrzu unosił się dym, mdlący słodkawy zapach i smród przypalanego tłuszczu, nikt jednak nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Część gości tańczyła. Starsi chłopcy, którzy wcześniej wyszli ze szkoły, pili piwo, częstując młodszych, bo ci nie mogli jeszcze sami kupować alkoholu. Widziałam ludzi, którzy podawali innym zwitki banknotów, otrzymując w zamian trefny towar. Większości tych transakcji dokonywano zupełnie otwarcie. Właściciel, barman i kelnerka zachowywali się, jakby nic się nie działo. Jeśli nawet ich wzrok padł akurat w niewłaściwym kierunku, udawali, że niczego nie dostrzegają.

Kiedy weszliśmy do środka, zerknęłam spod oka na moją siostrę. W pierwszej chwili na jej twarzy odmalował się zawód i obrzydzenie, ale kiedy się zorientowała, że na nią patrzę, natychmiast zrobiła taką minę, jakby wciąż była zachwycona i jakby w „Oh Henry' s” bardzo jej się podobało.

- Czy teraz, kiedy już wiesz, jak to miejsce wygląda, nadal chcesz tu siedzieć? - spytałam.

- Oczywiście, że chcę zostać. A po co tu niby przyszłam?

Po tych słowach Beni zanurkowała za Nicole i Alicią w największą ciżbę wokół Carltona, przemawiającego do chłopaków z gangu. Widziałam, że są z gangu, bo wszyscy mieli firmowe spodnie Dickie z luźno zwisającymi niebieskimi paskami; niebieskimi, bo to był kolor Cripsów.

Nie widziałam nikogo, z kim miałabym ochotę zamienić choćby słowo, więc starałam się trzymać na uboczu, koło wyjścia, tak jakby lada chwila miał wybuchnąć pożar i lepiej

byłoby móc w każdej chwili prysnąć na ulicę. Po chwili przyszła do mnie Beni.

- Jeśli będziesz tu stać jak manekin, Rain, to z powodzeniem możesz wracać do domu. Wszyscy się z ciebie śmieją. Dalej, zrób coś, przynajmniej zatańcz albo posłuchaj muzyki.

- Powinnyśmy wracać do domu, Beni. Rozejrzyj się, popatrz, co to za miejsce. Spójrz, co się tu dzieje.

Wskazałam siostrze parę całującą się i pieszczącą, jakby była sama na tylnym siedzeniu samochodu. Obok zwiślał bezwładnie na krześle jakiś chłopak; wyglądał, jakby stracił przytomność. Muzyka zadudniła głośniej. Ledwo się nawzajem słyszałyśmy.

- Beni! - wrzasnęła Nicole. - Carlton chce cię o coś spytać!

- Ja zostaję - oznajmiła stanowczo moja siostra i wróciła do znajomych.

Tak źle się czułam w „Oh Henry's”, że zastanawiałam się, czy nie zostawić Beni i nie wrócić do domu. Z jednej strony zdawałam sobie sprawę, że byłoby to podłe, z drugiej nie mogłam się doczekać, kiedy się stamtąd wyrwę.

- Jeszcze cię tu nie widziałem - rozległ się nieoczekiwanie jakiś głos.

Odwrociłam się i zobaczyłam przed sobą młodego mężczyznę o dziobatej twarzy. W kąciku rozchylnych ust dymił przyklejony do wilgotnych warg papieros. Nad prawą brwią ciągnęła się wąska blizna, oczy miał zaczerwienione i szkliste. W spodniach Dickie luźno wisiął niebieski pasek. Facet był starszy od innych chłopaków w barze; tak na oko musiał mieć ze dwadzieścia parę lat.

- To dlatego, że nigdy tu jeszcze nie byłam.

- I co, jak ci się tu podoba? - mruknął z zimnym uśmiechem.

W jego ustach błysnął złoty ząb. Kiedy przyjrzałam się uważniej, dostrzegłam, że ma rzadką bródkę. Bardziej siny niż czarny, przypominał wyschniętą na słońcu śliwkę. Wargi miał wywinięte, poniżej kącika ust zadrapaną brodę. Na sam jego widok robiło się niedobrze.

- Nie czuję się tu najlepiej.

Facetem wstrząsnął cichy śmiech. Wypluł papierosa na podłogę, rozdeptał go i natychmiast zaczął dłużyć w zębach wykałaczką.

- Chodź, pokażę ci spokojniejsze miejsce. - Wyciągnął do mnie rękę.

- Nie, dziękuję. - Cofnęłam się.

- Nie gryzę... bez powodu - rzucił, szczerząc zęby.

Na jego szyi dostrzegłam kolejną bliznę. Ciągnęła się od prawego ucha w dół i nikła pod koszulą.

- No cóż, nie jestem szczepiona przeciwko tężcowi - odpowiedziałam, udając dzielną, choć w środku byłam kompletnie roztrzęsiona. Przyjdź już, Beni, modliłam się w duchu. Chodźmy stąd.

Facet zaśmiał się znowu. Podeszło do nas dwóch innych fanów Cripsów. Mruknął coś do nich i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Napijesz się czegoś? Zapalisz? - spytał.

- Nie, dziękuję - odpowiedziałam i cofnęłam się jeszcze o krok w stronę drzwi.

- Ej, dziewczyno - popatrzył na mnie z niesmakiem - przecież przyszedłeś tu, żeby się zabawić, nie?

- Nie - powiedziałam.

- To po co w takim razie? - Jego twarz zmarszczyła się gniewnie, oczy rozszerzyły się, a nozdrza rozdęły jak u dzikiego konia.

- Może ona chce coś zjeść, Jerad? - mruknął jeden z chłopaków i wszyscy znów wybuchnęli śmiechem.

- Jak masz na imię? - spytał Jerad, podchodząc bliżej.

Rozglądałam się za Beni, ale nigdzie jej nie mogłam wypatrzeć.

- Jestem tu z siostrą - odpowiedziałam bez związku i nadal rozglądałam się za Beni.

- To czekaj, aż do ciebie przyjdzie. Jak masz na imię? - powtórzył twardszym tonem.

Jego kolesie zastawili mi drogę do drzwi. Przycisnęłam



kurczowo książki do brzucha. Rozejrzałam się wokół, ale nikt nie zamierzał przyjść mi z pomocą. Jeśli już nawet ktoś zwrócił na nas uwagę, to przyglądał się całej scenie z nieprzyjemnym uśmieszkiem, najwyraźniej świetnie się bawiąc moją wystraszoną miną. To mnie jeszcze bardziej przeraziło.

- Co tam masz? - spytał, wskazując na mój brzuch. - Jakiś ukryty skarb?

Wszyscy się roześmiali. Do tworzącego się wokół nas kręgu dołączały coraz to nowe twarze. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Gorączkowo rozglądałam się za siostrą. Okazało się, że tańczy z Carltonem.

- Naprawdę muszę już iść - powiedziałam.

- Tak szybko? Jesteś na zwolnieniu warunkowym czy co? -

Ilekcio zadawał mi kolejne pytanie, widownia zarykiwała się śmiechem. Czułam oczy chłopaków błędzące po moim ciele. Rozbierali mnie wzrokiem. Zrobiło mi się gorąco. Byłam śmiertelnie przerażona.

- Może ona chce, żebyś ją odprowadził do domu, Jerad - rzucił jakiś chłopak.

- Czemu nie? Mogę cię nawet odwieźć - zaproponował Jerad.

- Nie, dziękuję.

- Zadziera nosa - skomentował moje zachowanie jeden z koleśków.

- Zadzieras nosa? - spytał ostro Jerad. - Myślisz, że jesteś lepsza od nas, bo masz jaśniejszą skórę, co?

- Nie - zaprzeczyłam.

- To czemu nie chcesz powiedzieć, jak się nazywasz?

- Rain.

- Że co?

- Rain. Mam na imię Rain, w porządku? A teraz zostaw mnie w spokoju - poprosiłam.

- Rain? Znaczy się, deszcz? - Jerad wyjął wykałaczkę z ust i skinął głową. - Podoba mi się. Ja i moja deszczowa dziewczyna. Co ty na to, Chumpy?

- Deszcz to kłopot, przed którym nigdzie nie uciekniesz, Jerad - odpowiedział niski, krępy chłopak.

- Taaa... Dobrze mówisz, Chumpy. Chcesz być moją deszczową dziewczyną, Rain?

- Nie. Chcę zabrać siostrę i wracać do domu - jęknęłam.

- No wiesz - powiedział z wyrzutem Jerad - ja jestem dla ciebie taki miły, a ty chcesz do domu? Chodź. - Chwyć mnie za ramię. - Postawię ci coś do picia.

- Nie, dziękuję. - Wyrwałam rękę.

- „Nie, dziękuję”. Jaka grzeczna, nie? No co, nie jest grzeczna, Chumpy?

- W życiu nie widziałem grzeczniej szego deszczu - przytaknął zagadnięty.

Znów wszyscy wybuchnęli śmiechem. Wokół mnie zrobiło się tak ciasno, że nie widziałam baru ani nawet parkietu dla tancerzy.

- Założę się, że lubisz się całować, co, Rain? - Jerad znów zbliżył się do mnie o krok.

Cofnęłam się. Wpadłam na stojącego za mną chłopaka, który popchnął mnie do środka kręgu. Jerad chwycił mnie za ramiona.

- Spokojnie, mała! Nie ma co się na mnie tak rzucać! - powiedział ze śmiechem, przyciągając mnie do siebie. - Nic się nie bój, nigdzie ci nie ucieknę.

Znów ten ryk śmiechu wokół mnie. Szarpnęłam się, próbując się wyrwać z uścisku Jerada.

- Puść mnie - powiedziałam.

- Jak dasz buzi. No chodź! - Przynął wargi do moich ust. - No chodźże, Rain, nigdy jeszcze nie całowałem się z deszczową dziewczyną.

- Nie! Puść mnie! - Wykręcałam się, usiłując się wyswobodzić.

Jerad rozejrzył się po swoich koleśkach, którzy zacieśnili krąg. Ogarnęło mnie takie przerażenie, że nie mogłam się ruszyć z miejsca.

Któryś ze stojących za mną chłopaków chwycił mnie za

ramiona tuż nad łokciami i pociągnął tak mocno, że książki wysliznęły mi z rąk i upadły na podłogę. Zanim zdążyłam krzyknąć, grube, wilgotne wargi Jerada przylgnęły do moich ust, a jego dłonie objęły moje piersi. Wokół rozległy się głośne okrzyki zachęty, śmiechy i oklaski. To zwróciło na nas powszechną uwagę. Kiedy Jerad w końcu mnie puścił, wszyscy na nas patrzyli. Beni przestała tańczyć i także spoglądała na mnie rozbawiona.

- No, nie był to deszczowy pocałunek - powiedział Jerad - ale tam to prawdziwy skarb - dorzucił, wskazując na moje piersi.

Nie mogłam się ruszyć. Nigdy w życiu nikt nie zrobił mi nic równie obrzydliwego. Czułam się sponiewierana i byłam przerażona.

- Chumpy - rzucił Jerad. - Podnieś dziewczynie książki. Gdzie twoje maniery?

- Przepraszam - powiedział Chumpy. Podniósł książki i podał mi.

Miałam ochotę otrzeć usta, ale bałam się, że to sprowokowałoby Jerada do jeszcze ohydniej szego zachowania, więc tylko się odwróciłam, chcąc iść do wyjścia. Stojący przede mną kolesie nie ruszali się z miejsc.

- Puście ją - zarządził Jerad i dopiero wtedy się rozstąpili. - Na razie - rzucił za mną.

Nie odpowiedziałam.

Pośpiesznie wyszłam na ulicę. Czułam się brudniejsza i bardziej sponiewierana od śmiecia z rynsztoku. Szłam, jak mogłam najszybciej. Nogi mi się trzęsły, po policzkach spływały łzy.

- Rain! - Usłyszałam krzyk Beni, zanim doszłam do rogu ulicy. Odwróciłam głowę. - Co ci się stało?

- Wracam do domu, Beni. Jak chcesz, możesz sobie zostać. Nic mnie to nie obchodzi. Ja wracam.

Otarłam usta i policzki wierzchem dłoni.

- No dobra - powiedziała Beni, dostrzegając w końcu, że naprawdę fatalnie się czuję. - Zaczekaj na mnie chwilę, dobra?

Wróciła do baru i po chwili wyszła z książkami pod pachą. Dogoniła mnie i ruszyła obok chodnikiem.

- Co się tam stało? Dlaczego on cię pocałował?

- Na pewno nie dlatego, że tego chciałam - odpowiedziałam. - Ten facet pocałował mnie wbrew mojej woli. Czuję się, jakby mnie zgwałcił. Nienawidzę tego miejsca.

- Wiesz, kto to jest? To Jerad Davis, tutejszy szef Crip-sów. - Beni oznajmiła to takim tonem, jakby mówiła o gwiazdorze filmowym.

- Nic mnie nie obchodzi, co to za jeden. Jest równie obrzydliwy jak jego kolesie. - Przyśpieszyłam kroku. - Wiedziałam, że jak pójdę do tego baru, to zdarzy się coś złego. Wiedziałam, że tak będzie.

- No i co się właściwie takiego straszego stało? - spytała moja siostra. - Pocałował cię i tyle.

Zatrzymałam się i odwróciłam głowę do Beni.

- Co się takiego stało? Powiedziałam ci, że wcale nie miałam ochoty, żeby mnie całował. To było takie straszne. I to, że mnie obmacywał. - Wskazałam gestem piersi.

Beni zrobiła wielkie oczy.

- Naprawdę?

- Jest obrzydliwy, jego kolesie są obrzydliwi. - Ruszyłam. - Cały ten bar... ci wszyscy ludzie, którzy tam się bawią, są obrzydliwi, wstrętni! - krzyknęłam i przyśpieszyłam kroku.

Beni mruknęła coś pod nosem. Chwyciła mnie za łokieć. Stanęłam.

- Lepiej o niczym nie mów mamie ani Royowi - rzuciła ostrzegawczym tonem.

- Nic się nie bój. Nie chcę o tym więcej myśleć. Nie wpakuję cię w żadne kłopoty.

Znów ruszyłam w stronę domu. Beni wlokła się obok mnie z ponurą miną. Czułam się zgwałcona i sponiewierana.

Zawsze trudno mi było ukrywać swoje myśli i uczucia przed Royem. Patrzył na mnie jakoś tak, że miałam wrażenie,

iż zagląda mi przez oczy do serca. Nikt lepiej nie wyczuwał mojego nastroju, nawet mama. Bałam się, że gdy wróci z pracy, zauważy, że coś się wydarzyło.

Jak zwykle wzięłam się do przygotowywania obiadu. Jeśli się czymś zajmę, nie będę wciąż myślała o tym, co się stało. Beni trochę pomagała, ale nie mogła mi darować, że przeze mnie nie została dłużej w barze. Po powrocie do domu Roy od razu podszedł do kuchenki i popatrzył na pieczonego kurczaka w brytfannie. Włożyłam do brytfanny ziemniaki i wkroiłam cebulę. Nad brytfanną unosił się smakowity zapach. Roy pociągnął nosem i pogłaskał się po brzuchu.

- Umieram z głodu - powiedział. - Przez cztery godziny narobiłem się za cały dzień. Slim jest kapitalistycznym wyzyskiwaczem, ale nie narzekam.

Beni siadła przy stole i zaczęła przerzucać jakieś kolorowe pismo. Roy przyjrzał się mojej siostrze, a potem przeniósł wzrok na mnie.

- Lepiej zmyj z włosów cały ten tłuszcz i smar, zanim i mama wróci - powiedziałam.

Kiwnął głową, ale nie ruszył się z miejsca. Odwróciłam głowę.

- Wszystko w porządku?

Popełniłam błąd i zanim odpowiedziałam, zerknęłam na Beni.

- Tak.

- Co się stało, Rain?

- Nic się nie stało, Roy. Po prostu martwimy się... wszystko przez Kena.

Roy wpatrywał się we mnie tym swoim przenikliwym wzrokiem. Łatwiej byłoby mi się uwolnić od lepu na muchy niż od jego spojrzenia. Intensywnie zajęłam się kurczakiem.

- Wróciłyście prosto ze szkoły do domu, dziewczyny?

- Tak - odpowiedziała szybko Beni. - I przestań traktować nas jak dzieci. To że Ken wyniósł się z domu, nie znaczy jeszcze, że jesteś naszym tatusiem, Royu Arnold.

- Jeśli nie przestaniesz sprawiać mamie kłopotów, to jeszcze

się przekonasz, kto będzie twoim tatusiem. - Roy pogroził Beni swoim długim, grubym palcem.

Moja siostra nie dawała się łatwo nastraszyć, a już najmniej bała się Roya. Złożyła pismo i trzepnęła go w pierś. Roya wcale nie zabolalo. Chodziło o to, że Beni w ogóle coś takiego zrobiła. Rzucił się za nią biegiem wokół stołu.

- Roy! - krzyknęłam.

Zatrzymał się z uniesionymi ramionami i popatrzył na mnie.

- Narobisz sobie kłopotów, dziewczyno - burknął pod adresem Beni.

- Nie twój interes!

- Daj jej spokój, Roy - powiedziałam. - Lada chwila wróci mama. Proszę - błagałam. - Nie chcecie jej chyba jeszcze bardziej zmartwić?

Roy znów spojrzał na mnie, potem na Beni i wyszedł z kuchni.

- Po co to zrobiłaś, Beni? Przecież wiesz, jaki Roy jest nerwowy.

- Niech sobie nie myśli, że skoro jest od nas starszy i uważa się za mężczyznę, to może nami pomiatać - odparła. - Czuję się w tym domu jak ptak w klatce, a ten jeszcze wciąż powtarza: nie rób tego, nie rób tamtego, jak ty się ubierasz, czemu nosisz takie krótkie spódnice? Nikt mi nie będzie mówił, co mam nosić - oznajmiła Beni. - Tobie nigdy słowa nie powie.

- Roy się o ciebie po prostu boi. Chce wiedzieć, że jesteś bezpieczna. Nie rozumiesz tego, Beni?

- Nigdy go o to nie prosiłam. Jestem dostatecznie dorosła, żeby sama zatroszczyć się o własne bezpieczeństwo. - Popatrzyła na mnie groźnie. - Lepiej dla ciebie będzie, jeśli nie wpakujesz mnie swoim gadaniem w kłopoty, Rain - dodała tonem ostrzeżenia i poszła do naszego pokoju.

Mama wróciła, nim Roy wyszedł z łazienki. Była zmęczona i rozczarowana faktem, że Ken wciąż nie wraca. Wiedziałam, że codziennie ma nadzieję znowu zobaczyć go w domu.

- Obiad wygląda wspaniale, kochanie. Czy Beni ci poma-

gała? - spytała mama, spoglądając na zamknięte drzwi do naszego pokoju.

- Tak, mamó - skłamałam.

Kłamstwo, które ma oszczędzić mamie zmartwień, nie jest grzechem, pomyślałam. Mama pokiwała głową i uśmiechnęła się do mnie.

- Aha, już ja to widzę. Ta dziewczyna palcem nie ruszy, jak nie stanę nad nią z kijem. Roy wrócił?

- Właśnie bierze prysznic, mamó.

- To dobrze. Zrobię to samo i pomogę ci przy obiedzie - powiedziała.

- Nic już nie zostało do zrobienia, mamó. Stół jest nakryty - oświadczyłam.

Mama westchnęła ciężko, uśmiechnęła się do mnie jeszcze raz i ruszyła do drzwi. W progu zatrzymała się i odwróciła głowę.

- Chwała Bogu, że cię mam, Rain. Życie z tobą jest o wiele łatwiejsze.

Patrząc, jak idzie ze zwieszoną głową, powłócząc nogami, myślałam, że mi serce pęknie. Mama była zmęczona i przytłoczona troską. Skąd ta drobna kobieta bierze siły, żeby sobie z tym wszystkim radzić?

Podczas obiadu wszyscy byli cichsi niż zwykle. Mama wypytywała nas o szkołę, ale Beni siedziała naburmuszona, a Roy spoglądał na nas podejrzliwie. Staralam się czymś zająć, więc kiedy Beni zaczęła się skarżyć, że ma okropnie dużo lekcji do odrabiania, z ulgą pomyślałam, że zostanę sama w kuchni.

- Nauczyciele strasznie dużo zadają. W ogóle się nie liczą z naszymi możliwościami - jęczała moja siostra.

- Nie szkodzi, odrób wszystko, co masz zadane - poleciła surowo mama.

- Nie dam sobie z tym rady, jeśli zaraz nie zacznę - oznajmiła Beni.

- W porządku, mamó. Ja już odrobiłam większość lekcji. Posprzątam sama.

Po chwili moja siostra wisiła na telefonie i rozmawiała

z koleżanką. Mama została ze mną w kuchni, a Roy siedział w bawialni przed telewizorem.

- Wciąż mam nadzieję, że coś się zmieni w naszym życiu na lepsze, ale coraz trudniej mi w to naprawdę wierzyć. Zapamiętaj sobie, gdy tylko nadarzy się okazja, żeby się wyrwać z tego piekła, masz dać nogę. Rozumiesz?

- Nigdy cię nie zostawię, mam - obiecałam.

- Wiem, że tego nie zrobisz. Wy, dzieci, jesteście moją nadzieją.

Objęła mnie i przytuliła. Potem poszła do łazienki. Kiedy wracałam do pokoju, po drodze zatrzymał mnie Roy. Okazało się, że nie tyle oglądał telewizję, ile czekał, aż skończę.

- Pozwól ze mną na chwilę do bawialni, Rain - powiedział.

- Co?

- Chodź, chcę z tobą porozmawiać - powiedział nieustępliwie.

Opuściłam głowę i weszłam za nim do bawialni.

- Muszę odrobić pracę domową, Roy.

- Odrobisz. Chcę, żebyś powiedziała mi prawdę, Rain. Co się dziś zdarzyło?

- Proszę cię, Roy, nie stwarzaj niepotrzebnych problemów.

- Boję się, że jeśli nie powiesz mi całej prawdy, problemy dopiero się zaczną, Rain. Proszę cię, nie kłam. Nigdy nie mieliśmy przed sobą tajemnic - rzekł łagodnie. Patrzył mi w oczy miękkim, proszącym spojrzeniem.

- Beni dała się namówić koleżankom na wizytę w barze „Oh Henry's” - przyznałam się. - Poszłam z nią, żeby coś jej się nie stało, a tymczasem sama wpakowałam się w kłopoty.

- Jakie kłopoty?

- Przyczepił się do mnie jakiś facet. Na imię ma Jerad. Jego znajomi mnie otoczyli, więc nie mogłam uciec, a on mnie pocałował.

Wolałam nie mówić Royowi całej prawdy. Czułam, że nawet jeśli ograniczę się do pocałunku, to i tak będzie tego za wiele.

- I co było potem?



- Wybiegłam, a Beni pobiegła za mną. Przyszliśmy prosto do domu. To się więcej nie zdarzy, obiecuję. Przyrzekam, że już tam nie pójdziemy, Roy.

- Jerad Davis?

- Tak.

- On jest mordercą, Rain. Ten facet ma na sumieniu ludzkie życie - powiedział Roy.

Serce mi waliło. Wzięłam głęboki oddech.

- Jeśli zdarzy się jeszcze kiedykolwiek, że ten facet się do ciebie zbliży, chcę o tym wiedzieć, rozumiesz?

- Tak. - Kiwnęłam głową.

- Beni robi się coraz głupsza - mruknął Roy, spoglądając na drzwi naszego pokoju. - W końcu wpakuje się w poważne kłopoty. Nie włącz się z nią, Rain, bo Beni tylko pociągnie cię za sobą.

- Nie mogę jej zostawić własnemu losowi, Roy.

- Nie zostawiaj jej własnemu losowi, ale jeśli będzie się upierać przy jakimś głupim pomysle, nie idź za nią, nie pozwól, żeby cię w coś wpakowała - rzekł poważnie. - Obiecuj mi. - Wziął mnie za rękę. - Obiecuj mi to, Rain.

- Obiecuję, Roy.

Wzrok Roya złagodniał.

- Cieszę się, Rain - powiedział. - Jesteś za dobra, żeby spędzić życie w takim miejscu. Któregoś dnia cię stąd zabiorę.

- Wszyscy się stąd kiedyś wyniesiemy, Roy.

- Jasne.

Roy długo się we mnie wpatrywał. Zmieszałam się. Roy zamrugnął oczami, ale zaraz się pozbierał.

- Idź, weź się do lekcji - odezwał się tonem starszego brata. - I pamiętaj, Rain, nie ukrywaj przede mną niczego.

Uśmiechnęłam się do Roya, a potem pod wpływem nagłego impulsu wspięłam się na palce i cmoknęłam go w policzek.

Kiedy położyłam dłoń na klamce, odwróciłam do niego głowę. Wciąż jeszcze stał w drzwiach bawialni. Wzrok Roya sprawił, że w moim sercu zaczął trzepotać skrzydłami motylek

niepokoju, ten sam, który wzbijał się do do lotu, gdy napotykałam spojrzenia chłopaków gapiących się na mnie na szkolnym korytarzu czy na ulicach naszej dzielnicy. Może Roy to wyczuł, bo szybko odwrócił się i zniknął w bawialni.

Czułam w głowie zamęt i niepokój. Ratunku szukałam w sanktuarium swej pracy domowej, szczęśliwa, że nauka pozwoli mi zapomnieć o nieprzyjemnych wydarzeniach, jakie zaszły w ciągu dnia.

## 2

### NA DOBRE I NA ZŁE

Ani Beni, ani ja nic o tym nie wiedziałyśmy, ale gdy opowiedziałam Royowi, co zdarzyło się w „Oh Henry's”, umówił się ze Slimem, że będzie później przychodził do pracy i kiedy wracałyśmy ze szkoły, potajemnie nas śledził. Obiecał Slimowi, że odpracuje to, zostając na dodatkową godzinę w sobotę, ale o tym miałam się dowiedzieć dopiero później.

Beni nadal flirtowała z Carltonem Thomasem, który domagał się od niej, żeby przychodziła po lekcjach do baru „Oh Henry's”. Była na mnie zła jak osa. Nie dlatego, że nie chciałam się tam z nią wybrać, bo wcale jej nie zależało na moim towarzystwie. Beni była wściekła, bo zdecydowanie zapowiedziałam, że nie mam zamiaru zatajać prawdy, jeśli spyta mnie o nią mama lub Roy. Przy okazji musiałam jej wyznać, że Roy wie o naszej pierwszej wyprawie do „Oh Henry's”.

- Dlaczego mu o tym powiedziałaś? - zirytowała się Beni.  
- Czuł, że coś jest nie w porządku - odparłam. - Wiesz, jaki on jest. Nie spocząłby, dopóki by nie odkrył prawdy. Gdyby powiedział mu o tym ktoś inny, byłoby jeszcze gorzej - wyjaśniłam.

Beni zastanawiała się chwilę.

- Roy nie ma żadnego prawa wściubiać nosa w moje sprawy - zdecydowała wreszcie, ale nie podjęła tego tematu w rozmowie z bratem, żeby nie zaognić sytuacji w domu.

Wiedziałam, że koleżanki Beni drwią sobie z tego, że nie chcę jej kryć, i bardzo ją to złościło. Pewnego dnia Nicole i Alicia zatrzymały mnie podczas przerwy na korytarzu i zrobiły mi awanturę.

- Fakt, że zadzierasz nosa, nie znaczy jeszcze, że twoja siostra musi być taką samą snobką - zaczęła Nicole.

Nicole była wysoka, chudą dziewczyną o brzydkich ustach i wielkich oczach. Ponieważ uznano ją za gwiazdę szkolnej drużyny koszykówki, zachowywała się, jakby była kimś wyjątkowym. Kiedy wpadała w złość, przysuwała twarz do twarzy osoby, z którą się kłóciła, tak że niemal szturchała ją swoim spiczastym nosem. Dwukrotnie pobiła się w szkole z innymi dziewczynami. Za każdym razem skończyło się na tym, że je skopała, podrapała do krwi i wyrwała im z głów całe garście włosów. W ciągu paru lat została kilka razy zawieszona. Kiedy Beni zaczęła się przyjaźnić z Nicole, wiedziałam, że wynikną z tego jakieś kłopoty.

- Nie trzeba być snobką, żeby czuć obrzydzenie do takich miejsc jak „Oh Henry's” - odpowiedziałam, starając się nie pokazać po sobie, że się boję. Nicole wyglądała, jakby chciała mi przyłożyć, ale nie cofnęłam się przed nią.

- Obrzydzenie? - Nicole zatrzepotała rzęsami i wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Obrzydzenie? Słyszysz, Alicio? Słyszysz, co ona gada?

- W tym, co mówię, nie ma nic nadzwyczajnego, Nicole - oświadczyłam, próbując ją wyminąć i wrócić do klasy.

Chwyliła mnie za ramię i szarpnęła, odwracając twarzą do siebie. Moje książki posypały się na podłogę. Jacyś chłopcy, którzy przechodzili korytarzem, zatrzymali się obok nas. Na ich twarzach pojawiły się nieprzyjemne uśmiechy; najwyraźniej bardzo podobała im się myśl, że zaraz będą świadkami bójki.

- Nie odchodź ode mnie w taki sposób, Rain Arnold! - warknęła Nicole. - Nie wyobrażaj sobie, że jesteś kimś nadzwyczajnym.

- Nie mam zamiaru spóźnić się na lekcję - odpowiedziałam i przykucnęłam, żeby pozbierać książki. Potem wstałam i ruszyłam do klasy.

- Ty wredna suko! - zawołała za mną Nicole.

Serce waliło mi jak młotem. Odprowadzał mnie obelżywy śmiech chłopaków.

- Przez głupią zawiść marnujesz życie swojej siostrze! - usłyszałam jeszcze.

Przez resztę tego i większość następnego dnia widziałam na twarzach dziewczyn, które trzymały się Nicole i Alicii, drwiące uśmiechy, czułam na sobie ich pogardliwe spojrzenia. Beni przesiadywała z nimi na przerwach, w szkole i w domu odzywała się do mnie tylko wtedy, kiedy nie miała innego wyjścia.

- Gdybyś lubiła jakiegoś chłopca, nie groziłabyś, że wpakuję się w kłopoty - powiedziała wreszcie któregoś dnia po powrocie do domu. - Ładna mi siostra - mruknęła zjadliwie.

- Właśnie staram się być dobrą siostrą, Beni. Całe to towarzystwo w „Oh Henry's” jest nic niewarte, zapewniam cię. Jeśli będziesz trzymać z tamtymi, dopiero narobisz sobie prawdziwych kłopotów.

- Nie bój się. Mam swój rozum. A ty boisz się dorosnąć - rzuciła oskarżycielskim tonem.

Usiadła na łóżku i patrzyła, jak wkładam dzinsy i trykotowy podkoszulek. Kiedy się przebrałam, odwróciłam się do niej z uśmiechem.

- Ja się boję dorosnąć, Beni? Kto nakładł ci takich głupot do głowy?

- Nie śmieję się ze mnie, Rain. Może nie mam takich dobrych stopni jak ty, ale nie jestem głupia. Nikt mi nie musi niczego wmawiać.

- Nie powiedziałam, że jesteś głupia, Beni. Tyle że ludzie potrafią oddziaływać na człowieka na różne sposoby, a czasem wystarczy znaleźć się w niewłaściwym miejscu, żeby wpakować się w tarapaty albo...

- Przestań mnie pouczać! - krzyknęła Beni. - Za kogo ty się masz? Myślisz, że jesteś nauczycielką czy co? Nie chciałabyś mieć chłopca? Jesteś ode mnie starsza, ale nigdy nie miałaś chłopaka, Rain. Wszyscy mówią, że uważasz się za lepszą od całej szkoły. Nazywają cię Panna Cnotka.

- Nieprawda. Po prostu nie spotkałam nikogo, kogo bym dość lubiła i kto także mnie by lubił - zaprotestowałam.

- I co z tego? A ja kogoś spotkałam. Czemu nie dasz mi spokoju? Musisz mi tak utrudniać życie?

- Wcale ci nie chcę utrudniać życia, Beni. Chcę cię ustrzec przed niebezpieczeństwem.

- To wszystko, co macie mi z Royem do powiedzenia. - Beni kopnęła stół i splotła ręce na piersi. Była na mnie obrażona.

- Mogłabyś wybrać sobie kogoś lepszego od Carltona Thomasa.

Spojrzała na mnie. W jej oczach płonął ogień.

- Carlton mnie lubi, a ja lubię jęgo. On mnie szanuje - dodała.

- Jasne - powiedziałam - szanuje cię. Carlton Thomas nie ma pojęcia, co znaczy słowo „szacunek”.

- No oczywiście. Ty za to wiesz doskonale. Ty wszystko wiesz... - W oczach Beni załśniły łzy. - Moje przyjaciółki miały rację co do ciebie. Nie zamierzam z tobą dłużej rozmawiać. - Poszła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Czy rzeczywiście coś ze mną nie tak? Czy jestem jakaś wyjątkowa? Panna Cnotka? Czy za bardzo boję się chłopców? Może zanadto wzięłam sobie do serca przestrogi mamy. Chciałabym porozmawiać z nią o tym, ale wiedziałam, że Beni dostanie furii, jeśli zdradzę mamie szczegóły jej ledwo co rozpoczętego romansu.

- Nie próbuję ci zatruć życia, Beni. Szczerze ci życzę szczęścia - powiedziałam, kiedy przyszła do kuchni.

Odburknęła coś niezrozumiałego i zaczęła nakrywać do stołu.

- Naprawdę... Uwierz mi.

Walnęła talerzem o stolik tak gwałtownie, że omal go nie rozbiła. Potem odwróciła się do mnie, biorąc się pod boki.

- Naprawdę? Mam ci wierzyć? Wobec tego nie zatruwaj mi życia. W piątek Alicia organizuje prywatkę. Chcę do niej pójść, spotkać się z Carltonem. Mama mnie nie puści, jeśli będzie wiedziała, o co chodzi. Ale jeżeli powiesz jej, że to nie będzie prywatka, tylko spotkanie samych dziewczyn, nie będzie miała nic przeciw temu, żebym tam została na noc. No więc jak, pomożesz mi czy nie?

- Popełniasz wielki błąd, Beni.

- Jeśli nawet popełniam błąd, to co cię to obchodzi? To będzie mój błąd, a nie twój, Rain. Mów, pomożesz mi czy nie?

Przez chwilę zastanawiałam się nad odpowiedzią.

- No i co?

- Dobrze - zgodziłam się. Miałam dosyć kłótni z Beni. - Może lepiej będzie, jeśli na własnej skórze przekonasz się, że to głupi pomysł.

- Nareszcie mówisz jak człowiek. - Beni wyraźnie poweselała. Pomogła mi nawet przygotować obiad.

- Mam do ciebie tylko jedną prośbę - powiedziałam. - Trzymaj się z dala od baru „Oh Henry's”. Proszę cię.

- No dobra. Ale Carlton i Jerad naprawdę uważają, że jesteś ładna - oznajmiła Beni.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Oniemiałam. - Czemu z nimi rozmawiasz na mój temat?

- Powtarzam tylko, co mówił Carlton. Jerad uważa, że jesteś niezła.

- Wolałabym usłyszeć komplement od Frankensteina niż od Jerada.

Beni wzruszyła ramionami.

- Wszyscy się go boją.

- To nie czyni z niego wcale bohatera. Ja też się go teraz bardziej boję i uważam, że jest ohydny.

- Przynajmniej nikt facetowi nie podskoczy - odpowiedziała. - Nawet gliny wolą nie wchodzić mu w drogę.

f

Beni poszła do pokoju, żeby telefonicznie podzielić się nowiną z koleżankami, a ja nagle poczułam, że stanie się coś strasznego. Było tak, jakby do mieszkania wpłynęła przez okno czarna chmura i zawisła pod sufitem, żeby w najmniej spodziewanej chwili spuścić lodowatą ulewę na nasz żałosny mały świat.

Dwa dni później omal to nie nastąpiło. Wracaliśmy z Beni ze szkoły. Odkąd wiedziała, że pomogę jej wyrwać się w piątek do Alicii, jej koleżanki przestały mi dokuczać i znów miałam spokój. Wyglądały na zadowolone z siebie i robiły ważne miny, jakby wygrały bitwę.

Rzeczywiście nie miałam w szkole niemal żadnych bliskich przyjaciół. Nigdy nie zdarzyło mi się zostać u jakiejś dziewczyny na noc. Chłopcy zapraszali mnie na randki, ale tak jak powiedziałam Beni, żadnego z nich nie udało mi się naprawdę polubić i o żadnym nie mogłabym powiedzieć, że jest moim chłopakiem. Z czasem zniechęcili się i przestali mnie podrywać. Większość czasu spędzałam z Lucy Adamson z mojej klasy, która miała co najmniej dwadzieścia funtów nadwagi. Lucy była bardzo inteligentna i równie nieśmiała. Czasem uczyłyśmy się razem, ale nigdy nie opowiadałam jej o żadnych osobistych sprawach, a zwłaszcza o problemach z siostrą.

W czwartek po lekcjach Beni i ja jak zwykle poszłyśmy do domu. Odkąd obiecałam, że pomogę jej przekonać mamę, by wypuściła ją z domu w piątek wieczorem, Beni stała się na powrót sobą - gadała jak najęta. Opowiadała o Carltonie - co lubi, a czego nie lubi, jakiej muzyki najchętniej słucha, a nawet jakie są jego ulubione potrawy. Uświadomiłam sobie, że naprawdę jest w nim zakochana po uszy, i w pewnym sensie trochę jej tego nawet zazdrościłam. To było tak, jakby siła uczuć, jakie żywiła wobec Carltona, odmieniła cały świat wokół niej i ubarwiła ponurą szarzyzną codziennego życia. Głos Beni stał się radośniejszy, przepełniony radosnym podnieceniem, pełen dzwoneczków i muzyki. Rozmawiała z ożywieniem na temat swoich strojów i włosów, wreszcie wyraziła żal, że nie może nosić niektórych z moich rzeczy.



- Czy nie byłoby fajnie, gdybyśmy miały podobne figury, Rain? Czemu musiałam się urodzić taka szeroka w biodrach? Dlaczego nie jestem taka wąska w ramionach jak ty? Do licha, Rain, mam bary zapaśnika - jęknęła na koniec.

- Och, wiesz dobrze, że to nieprawda, Beni. A poza tym to niemożliwe, żeby wszyscy wyglądali tak samo. Masz bardzo dobrą figurę. Znam wiele dziewczyn, które dużo by dały, żeby wyglądać jak ty.

- Tak? Jakie dziewczyny? Może Lucy Adamson?

- A chociażby ona, ale są też inne.

- Naprawdę uważasz, że jestem ładna, Rain?

- Tak, pewnie, że tak uważam. I zapewniam cię, że nie mówię tego tylko dlatego, że jesteś moją siostrą, Beni. Masz piękne oczy.

- Mama nigdy mi tego nie mówi.

- Owszem, Beni, mówi. Sama słyszałam.

- Nawet jeśli tak się zdarzyło, to bardzo dawno temu, tak dawno, że ja już tego nie pamiętam. - Beni posmutniała, ale po krótkiej chwili rozpogodziła się. - Spróbuj namówić Roya, żeby pożyczył mi w piątek swoją skózaną kurtkę. Jeśli ty go poprosisz, to się zgodzi. A ja naprawdę dobrze w niej wyglądam. Poprosisz go, Rain? Co?

- Jasne - odpowiedziałam ze śmiechem. - Ale jestem pewna, że gdybyś sama go o to poprosiła, Roy również nie robiłby żadnych trudności.

- Nieprawda. Mówiłby, że wyglądam w niej jak ci gangsterzy z naszej dzielnicy, albo coś w tym rodzaju. Roy nie chce, żebym dobrze wyglądała.

- Och, Beni, przestań wciąż narzekać na Roya. Kocha cię, w końcu jesteś jego siostrą, a odkąd Ken zwiął, czuje się za nas odpowiedzialny. To nie takie łatwe być starszym bratem.

Beni przekrzywiła głowę i przyjrzała mi się uważnie.

- Czasem mówisz tak, jakbyś była ode mnie o dwadzieścia lat starsza, Rain. Kiedy cię słucham, zastanawiam się, jak to możliwe, że wychowałyśmy się pod jednym dachem.

Roześmiałam się, ale właśnie minęliśmy róg ulicy i śmiech zamarł mi na ustach, bo tuż przed nami stał oparty o maskę samochodu Jerad Davis. Na nasz widok wyprostował się. Miał na sobie to samo ubranie, co w „Oh Henry' s”, ale gdy ruszył ku nam z wyszczerzonymi zębami, wydał mi się jeszcze brzydszy i jeszcze bardziej przerażający niż wtedy.

- Proszę, proszę, kogo ja widzę? Moja deszczowa dziewczyna we własnej osobie - rzucił.

Beni stanęła osłupiała, z otwartymi ze zdumienia ustami, a potem spojrzała na mnie, czekając, co zrobię. Ja także gapiłam się na Jerada, ale nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa.

- Nie możesz powiedzieć „cześć”? Nie udawaj, że się nie znamy. Do diabła, jeszcze niedawno się ze mną całowałaś.

- To ty mnie pocałowałaś siłą - oburzyłam się.

Jerad tylko się roześmiał.

- Przecież sama się na mnie rzuciłaś, dziewczyno. Myślałam o tobie i uznałam, że zasłużyłaś sobie, żebym poświęcił ci chwilę czasu. - Spojrzał na Beni. - Słyszałem, że będziesz się w piątek bawiła z Carltonem. Może byśmy się tak spotkali we czwórkę?

- Przepraszam - odezwałam się - ale musimy iść do domu.

Ruszyłam, próbując go ominąć, ale zastąpił mi drogę, rozkładając szeroko ramiona.

- No nie, to wcale nie jest grzeczne zachowanie, a ja już naopowiadałem wszystkim, że poznałem najgrzeczniejszy deszczyk w mieście - zaśmiał się.

- Przepuść nas - powiedziałam.

- Dopiero kiedy mi dasz buzi.

- Wolałabym pocałować śmiecia z ulicy.

Zarechotał. Jeszcze raz spróbowałam go minąć, ale znów zastąpił mi drogę, wyciągając ręce, jakby chciał mnie objąć.

- Podobało ci się, mała. Przyznaj się.

- Niedobrze mi się robi na twój widok - oświadczyłam. - To wszystko, co mam do powiedzenia.

Beni miała przerażoną minę, a groza malująca się na jej twarzy potęgowała mój strach. Twarz Jerada stwardniała, jego oczy były jak kamienie.

- To nie było miłe z twojej strony - powiedział ostro.
- Puść je! - krzyknął ktoś za nami.

Odwróciłyśmy się i zobaczyłyśmy nadchodzącego spieszenie Roya. W prawej ręce ścisnął jak pałkę metalową łyżkę do opon. Jerad nie ruszył się z miejsca. Stał i gapił się na Roya. Jego oczy się zwięzły, a na ustach pojawił się nieprzyjemny, zimny uśmiezek.

- A tyś, do diabła, co za jeden?
- Jestem ich bratem, oto kim jestem - odparł Roy.
- Na co ci ta łyżka do opon?
- Zawsze może się przydać - rzucił Roy, stając obok mnie.

Zrobiło się tak cicho, że miałam wrażenie, że wszyscy słyszą, jak wali mi serce.

Nieoczekiwanie na twarzy Jerada pojawił się uśmiech.

- No, muszę przyznać, że takiego właśnie zachowania spodziewałbym się po każdym porządnym bracie. Szczęściara z ciebie, Rain. Braciszek pilnuje, żeby nic ci się nie stało. - Odwrócił się z powrotem do Roya i uśmiechnął krzywo. - Na pewno pilnujesz jej tylko jak dobry brat?

- Co to, do diabła, znaczy?

- Sam nie wiem. Może coś znaczy, a może nic nie znaczy. Zawsze tak za tobą chodzi, nie spuszczać wzroku z twojego... tyłu, dziewczyno?

Spojrzałam na Beni, która wbiła wzrok w chodnik, potem na Roya. Na jego twarzy malowała się wściekłość, grube palce zacisnęły się mocno na ciężkim narzędziu. Gwałtownie pokręciłam głową.

- Może on chce cię mieć wyłącznie dla siebie? - ciągnął Jerad.

Roy popatrzył na mnie i postąpił krok do przodu. Gotował się ze złości.

- Tylko śmieć może tak pomyśleć.

Jerad zaśmiał się nieprzyjemnie. Przerażał mnie, ponieważ

w najmniejszej mierze nie bał się mego brata, choć Roy był od niego wyższy i zdecydowanie szerszy w barach.

- No, dobra, pilnuj jej sobie. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. Naraz popatrzył na Roya przenikliwym, groźnym wzrokiem. - Ale kto będzie pilnował ciebie, bracie?

- Sam się upilnuję.

- To może się okazać za mało.

- Nic się nie bój - odpowiedział Roy bez mrugnięcia okiem.

Jerad znów wyszczerzył zęby. Jego uśmiech był tak zimny, jakby zamiast zębów miał w ustach kawałki lodu.

Moje serce oklapło niczym przekłuty balonik. Miałam wrażenie, że odkąd pojawił się Roy, nie zaczerpnęłam jednego oddechu.

- W porządku. Dopóki wszystko pasuje, jest w porządku. - Jerad spojrział na mnie. - Do zobaczenia, dziecino - rzucił i cofnął się, robiąc mi przejście.

Nie byłam pewna, czy nogi mnie posłuchają. Beni nie patrzyła na nas. Ruszyliśmy z miejsca.

- Po prostu idź - polecił mi Roy. - Nie oglądaj się za siebie.

Nie powiedziałam ani słowa. Przyśpieszyłam kroku i Beni zrobiła to samo. W taki sposób dowiedziałyśmy się, że Roy śledził nas przez ten tydzień. Odprowadził nas do Projektów.

- Muszę wracać do pracy - powiedział, kiedy znaleźliśmy się przed domem. - Na razie nigdzie nie wychodźcie. Czy trzeba kupić coś na obiad, Rain?

- Mama o niczym nie wspominała - odrzekłam.

Roy wpatrywał się we mnie przez chwilę. Nic nie mogłam poradzić na to, że wciąż się trzęsłam, i wiedziałam, że on to widzi.

- Nic ci nie jest?

Spojrzałam na Beni. Ona również wyglądała na przestraszona, ale nie trzęsła się tak jak ja.

- Może powinniśmy wezwać policję, Roy? - zapytałam.

- Policja nic nam nie pomoże. Sami się musimy o siebie zatroszczyć. Właśnie dlatego - podkreślił, patrząc przy tym raczej na Beni, niż na mnie - musimy uważać, dokąd chodzimy i z kim się spotykamy.

Spojrzał jeszcze raz na mnie, odwrócił się i poszedł do Slim's Garage. Ruszyłam w kierunku wejścia do bloku. Beni tuż za mną.

- Skąd on się wziął? Musiał nas śledzić, obserwować bez chwili przerwy - zauważyła.

- I całe szczęście - powiedziałam, chociaż w tej chwili bardziej martwiłam się o Roya niż o siebie.

- To Roy może mówić o szczęściu. Jego szczęście, że Jerad nie miał ze sobą swoich chłopaków - mruknęła moja siostra. - Chociaż pewnie i tak miał nóż albo i rewolwer. To było czyste szaleństwo. Roy to wariat.

Zatrzymałam się i odwróciłam do siostry.

- Co byśmy zrobiły, gdyby Roy się nie zjawił, Beni?

- Och, nic by się nie stało - odpowiedziała lekceważąco. Nagle mina jej się zmieniła. - Tylko lepiej nie próbuj się wycofać z tego powodu z obietnicy, że pomożesz mi przekonać mamę, żeby puściła mnie w piątek. Pamiętaj.

- Nie przestraszyłaś się tego, co się dziś zdarzyło?

Beni zrobiła lekceważącą minę.

- Nie - zaprzeczyła.

Szłam schodami, myśląc o tym, że Beni ma świętą rację, gdy się dziwi, skąd mogły się wziąć takie ogromne różnice między dwoma siostrami, które wychowały się pod jednym dachem.

Jak się miało ostatecznie okazać, wcale nie różniłyśmy się od siebie tak bardzo, ale Beni miała to dopiero odkryć. Tego wieczoru poprosiła mamę, by pozwoliła jej w piątek zostać u Alicji na noc.

- Kto tam będzie? - spytała natychmiast mama.

- Tylko ja i parę innych dziewczyn - odpowiedziała Beni. - Czy dziewczyny nie mogą się czasem spotkać i pogadać?

Hebanowe oczy mamy mierzyły Beni podejrzliwym spojrzeniem. Moja siostra tylko pogorszyła sprawę, bo uciekła przed mamą wzrokiem. Mama odwróciła się do mnie.

- Czy to prawda, Rain?

- Beni od tygodnia o niczym innym nie myśli, mamó - odrzekłam, właściwie pozostawiając pytanie mamy bez odpowiedzi.

- Jakie oceny dostałaś w tym tygodniu, Beni?

- Nie dostałam żadnych złych stopni - oświadczyła moja siostra. To była prawda, choć prawdą było również, że nie dostała żadnych dobrych ocen.

- Która to jest Alicia? Czy to ta dziewczyna, której matkę zatrzymała policja za urządzenie po pijanemu awantury w kinie?

- Nie - odpowiedziała Beni.

Mama znów popatrzyła na mnie, ale ponieważ nic o całej historii nie słyszałam, więc pokręciłam głową.

- Pójdziemy do niej zaraz po szkole, nie będziemy się włączyć po zapadnięciu zmierzchu.

- I nie zamierzacie się potem nigdzie wybrać od tej Alicii?

- Nie, mamó. Chcemy się złożyć, zamówić sobie pizzę i posłuchać muzyki. Mogę pójść? - Beni wstrzymała oddech.

Mama wahała się przez chwilę. Wiedziałam, jak trudno jej zdecydować się na wypuszczenie którejś z nas wieczorem z domu. Widziałam niepokój malujący się na maminej twarzy, czułam, że w jej sercu kłębią się sprzeczne emocje. Nie chciała być potworem, ale po prostu bała się o nas. Beni nie potrafiła tego w tej chwili pojąć. Obchodziła ją tylko własna przyjemność.

- Ale żebyście nie poszły potem na żadną hip-hopową dyskotekę - zastrzegła mama.

Beni natychmiast zaczęła się zaklinać i przysięgać na Biblię, ale mama nie chciała tego słuchać.

- Po prostu spójrz mi w oczy i powiedz, że nigdzie nie pójdziesz, Beni Arnold. To wszystko, czego od ciebie chcę. Pragnę, żeby moje dzieci były uczciwe wobec mnie, żeby nigdy mnie nie okłamywały, rozumiesz?

- Tak, mamó.

- Kiedy człowiek zaczyna okłamywać swoich najbliższych,

przegrywa wojnę z diabłem. Po prostu pamiętaj o tym, ilekroć się zdarzy, że inne dziewczyny będą chciały namówić cię na coś, czego nie pochwalam - powiedziała mama. - Kiedy byłam w twoim wieku, popełniłam wiele błędów, Beni. Wiem, jak człowiek się czuje, kiedy wszyscy przyjaciele namawiają go, żeby zrobił coś, na czym im zależy.

- Och, mamó - jęknęła Beni.

- Och, mamó, och, mamó - westchnęła mama, a jej ramiona ugięły się pod ciężarem trosk. Ken nie dał znaku życia, odkąd wyszedł z domu tamtej nocy i w naszym małym świecie panowała coraz cięższa atmosfera. Siedzieliśmy w małej łódce, którą targały fale kłopotów i zmartwień. - Dobrze, idź - powiedziała wreszcie, ale postaraj się, żebym nie żałowała, że cię puściłam.

Kiedy Roy wrócił z pracy i dowiedział się, że mama pozwoliła Beni iść do Alicii, był bardzo niezadowolony.

- Ty też idziesz? - spytał mnie.

- To przyjaciółki Beni - odpowiedziałam.

- Aha, już ja widziałem te jej przyjaciółki - rzucił, i musiałam odwrócić wzrok, bo inaczej Roy natychmiast zorientowałby się, że coś jest nie tak.

W tej chwili czułam, że gorzej zrobiłabym, wsypując Beni, niż mówiąc mu prawdę.

W piątek Beni poszła prosto ze szkoły do Alicii. Mama zdażyła już zapomnieć o wszystkim i po powrocie z pracy spytała zdziwiona, gdzie jest Beni. Przypomniałam jej.

- Ach, tak. - Mama potarła policzki dłońmi, żeby się trochę ożywić. Wyglądała na okropnie zmęczoną. - Mam nadzieję, że nie wpakuje się w żadne kłopoty - mruknęła. Przez chwilę zastanawiała się nad czymś, a potem przyjrzała mi się uważnie. - A dlaczego właściwie ty nie chodzisz do żadnych koleżanek, Rain? Czemu nie umawiasz się z chłopakami na randki?

- Nie wiem, mamó. Chyba jestem zbyt wybredna - wyjaśniłam. - Tak przynajmniej mówią dziewczyny.

- To dobrze - powiedziała mama. - To dobrze. Powinnaś

być wybredna, powinnaś stawiać sobie ambitne cele. Nie będziesz tego żałować.

- A jeżeli za wiele wymagam, mamó? Co będzie, jeśli nigdy nie znajdę sobie chłopaka?

- We właściwym czasie znajdzie się odpowiedni chłopak - orzekła mama pewnym tonem. - Jesteś wyjątkowa, Rain. Nigdy o tym nie zapominaj.

- Dlaczego jestem wyjątkowa?

Mama ujęła mnie za ramiona i odwróciła, tak bym mogła popatrzeć w lustro. Stanęła za mną i spojrzała w oczy memu odbiciu.

- Popatrz na siebie, dziewczyno. Jesteś wyjątkowa. Każdy może zobaczyć, że w twoich oczach, w twojej głowie kryje się coś więcej. Nie jesteś po prostu ładna. Masz w sobie coś szczególnego i wiem, że pewnego dnia będę z ciebie dumna.

Pokręciłam głową. Nie wiedziałam, czy mamę po prostu zaślepiła miłość, czy też dzięki temu, że jest ode mnie starsza i więcej wie o życiu, istotnie widzi we mnie coś, czego ja sama nie potrafię dostrzec. Miałam nadzieję, że to prawda, ale jednocześnie się tego bałam. Jeszcze bardziej się bałam, że popełnię jakiś okropny błąd.

Roy wrócił z pracy i zaczął od pytania, czy Beni rzeczywiście poszła do Alicii. Kiedy usłyszał, że owszem, poszła, wcale nie był zadowolony. Podczas obiadu tak zrzędził, że aż mama powiedziała mu, żeby przestał się zamartwiać i znalazł sobie jakieś zajęcie odpowiednie dla chłopaka w jego latach.

- Czemu nie poszukasz sobie jakiejś miłej dziewczyny, Roy? Chłopak w twoim wieku nie może ciągle siedzieć w szkole, w pracy albo w domu. Masz własne życie, zrób coś dla siebie. Nie chcę, żeby twoja młodość upłynęła na nieustannej trosce o innych. Nie chcę odbierać wam dzieciństwa.

- Niczego nam nie odbierasz, mamó - zaprotestował Roy.

Mama uśmiechnęła się i spojrzała na mnie. Potem znowu posmutniała.

- Moje dzieci muszą stać się dorosłe wcześniej od innych. To niesprawiedliwe.



- Ta okolica jest zbyt niebezpieczna dla dzieci - powiedział Roy. - Tu trzeba wcześniej dorastać.

- Niestety, to prawda. Nasz pastor również tak mówi. Bezcenne lata niewinności trwają dla was krócej niż dla innych.

Widziałam, że mama popada w przygnębienie. Próbowałam jakoś ją z tego wyciągnąć, prosząc, żeby opowiedziała nam o własnym dzieciństwie, o miejscu, w jakim wyrosła, o naszej babci. Trochę się ożywiła, ale po obiedzie zamknęła oczy i omal nie zasnęła na krześle. Roy i ja posprzątaaliśmy, a ona poszła oglądać telewizję, co oznaczało, że zaśnie w fotelu i obudzi się po ostatnich wiadomościach, by przenieść się chwiejnym krokiem do łóżka.

- A może rzeczywiście poszlibyśmy do kina? - spytał mnie naraz Roy.

- Nie musisz się mną zajmować, Roy - odpowiedziałam. - Z przyjemnością poczytam książkę.

- To żadna ofiara z mojej strony. Z przyjemnością wybrałbym się do kina, ale nie mam najmniejszej ochoty iść sam.

- Mama ma rację, Roy. Powinieneś sobie znaleźć jakąś dziewczynę.

Mój brat się zirytował.

- A ty?

- Kiedy znajdę kogoś, kogo będę lubiła, i ten ktoś zaprosi mnie do kina, pójdę.

- Dokładnie to mam na myśli - oświadczył i oboje się roześmialiśmy. - A dopóki to nie nastąpi, może wybrałabyś się do kina ze mną? Zarobiłem parę dolców i nie mam lepszego pomysłu, jak je wydać.

W towarzystwie Roya czułam się bezpieczna. Nie tylko dlatego, że był równie postawny i silny jak Ken. Roy zawsze był czujny, zawsze widział wszystko, co się działo wokół nas, i czuwał nade mną jak anioł stróż. W razie czego bez słowa ujmował mnie pod rękę i przeprowadzał przez ulicę albo zatrzymywał na chwilę, żeby uniknąć spotkania z chłopakami z jakiegoś gangu. Był zdania, że lepiej i mądrzej jest unikać

konfrontacji. Uważał, że to wcale nie dowodzi, iż jest się tchórzem, ale wyłącznie tego, że nie jest się idiotą.

Ani słowem nie wracaliśmy do świństw, jakie sugerował Jerad, ale wiedziałam, że mój brat odczuwa lekkie skrępowanie, ilekroć na mnie spojrzy, ilekroć mnie przypadkiem dotknie. Kiedyś nie przywiązywałam żadnej wagi do tego, że bierze mnie za rękę, gdy idziemy ulicą. W końcu był moim starszym bratem. Jednak nagle wszystko nabrało trochę innego znaczenia - każdy gest, każde słowo, jakie padło między nami, każde spojrzenie, jakie wymieniliśmy. Nawet tak niewinna rzecz jak propozycja wspólnego wyjścia do kina wprawiła mnie w lekkie zakłopotanie, ale nie chciałam, żeby Roy to poczuł, więc się zgodziłam i poszliśmy.

Wybraliśmy się na film sensacyjny, pełen scen, podczas których podskakiwałam w fotelu, ale jednocześnie był w nim romantyczny wątek miłosny. Widownia zachowywała się hałaśliwie, a w końcu jacyś chłopcy z przednich rzędów się pobili. Obsługa wyrzuciła rozrabiaków z kina. Kiedy ich wyprowadzano, poznałam chłopaków z naszej szkoły.

- Durnie - mruknął Roy. - Zachowują się dokładnie tak, jak ludzie od nich tego oczekują.

Roy nie był aktywistą. Nie należał do żadnej organizacji, nie opowiadał się za żadną sprawą. Zachowywał dystans wobec ludzi, w gruncie rzeczy był samotnikiem, ale nie uznawał podziałów rasowych i uważał, że wszyscy są równi. Nigdy o tym wiele nie mówił, ale z tego, co mu się czasem wymknęło, jasno wynikało, że zachowanie mieszkańców Projektów napawa go wstydem. Dlatego tak nienawidził gangów i nigdy nie przyjaźnił się chłopakami, którzy do nich należeli.

- Dopóki zachowujemy się tak, jak się tego ludzie spodziewają, zawsze będziemy uznawani za obywateli drugiej kategorii - twierdził.

To było niemal wszystko, co miał do powiedzenia na ten temat. Nigdy nie wdawał się w żadne dyskusje czy spory. Ken nieustannie narzekał na niesprawiedliwość i winił za własne

kłopoty wszystkich, poczynając od handlarzy niewolnikami, ale Roy nigdy nie przyłączał się do jego biadolenia. W rezultacie Ken wciąż się irytował, że syn nie podziela jego stanowiska w tej sprawie.

- Jak ci się podobał film? - spytał Roy, kiedy wyszliśmy z kina.

- Podobał mi się - odpowiedziałam. - Nie pościgi samochodami i te wszystkie eksplozje, ale podobało mi się, kiedy on na końcu powiedział, że tak naprawdę nigdy nie zależało mu na niczym prócz niej.

Mój brat roześmiał się w odpowiedzi.

W jednym z bloków ktoś otworzył okno. Muzyka grała tak głośno, że było ją słychać na ulicy. Daleko przed nami wzbijał się w niebo samolot unoszący ludzi gdzieś na zachód, może do Kalifornii.

- Lubisz romantyczne historie, co?

- Miło mieć kogoś, komu bardziej zależy na tobie niż na własnych sprawach.

Roy spojrzał na mnie. Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Chłopcy z jakiegoś gangu minęli nas i wybiegli na ulicę, zmuszając kierowców do gwałtownego hamowania. Niektórzy kierowcy irytowali się i trąbili, ale to dało tylko tyle, że chłopcy zwolnili kroku, dłużej tarasując jezdnię. W końcu zniknęli za rogiem.

- Oni wszyscy po prostu się nudzą - powiedziałam. - Dlatego pakują się w kłopoty.

- Może po prostu są źli.

- Nieprawda. Mogliby być inni - obstawałam przy swoim.

Roy roześmiał się.

- Jesteś naprawdę słodka, Rain. Wiesz, dlaczego tak rzadko umawiam się z dziewczynami? Chciałbym spotkać kiedyś taką dziewczynę jak ty, taką, która nie myśli tylko o sobie, lecz także o innych. Większość dziewczyn, jakie znam, jest zakochana wyłącznie w sobie. Wszystko, o czym chcą rozmawiać, to one same, ich ciuchy, fryzury i figury. Ciągłe domagają się komplementów. Jak wyglądam? Jak ci się

podoba moja fryzura? A może powinnam zmienić kolor włosów? Wiedzą, co odpowiem, ale tego właśnie chcą - żebym się nimi zachwycał, jakbym należał do jakiegoś fan-klubu.

Roześmiałam się w odpowiedzi.

- Co cię tak śmieszy?

- Nigdy nie słyszałam, żebyś mówił takie rzeczy.

- No cóż. Nic na to nie poradzę, że czasem mnie to natchodzi. Ty nigdy nie przechwalasz się swoim wyglądem ani nie dokuczasz Beni. W końcu patrzę na was codziennie i słucham waszych rozmów, Rain. A przecież jesteś najładniejszą dziewczyną w całej szkole.

- Och, nie. Nie jestem, Royu Arnold.

- Owszem, jesteś. Wszyscy to widzą. Jak myślisz, dlaczego inne dziewczyny są wobec ciebie takie nieprzyjemne? Zazdroszczą ci twojego wyglądu, to wszystko.

- Mówisz tak, bo jesteś moim bratem - odpowiedziałam z uśmiechem.

- Przecież nie mówię tego samego o naszej siostrze, Rain. Nie chcę powiedzieć, że Beni jest brzydka, ale sama przyznasz, że nie jest taka piękna jak ty.

Poczułam, że się rumienię, więc czym prędzej odwróciłam głowę. Roy nigdy nie mówił mi takich rzeczy wprost i nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć.

- Dziewczyna nie powinna być próżna. Próżność to nic dobrego. Słyszałeś, ile razy mama powtarzała, że to grzech.

- Nie mówię, że masz zadzierać nosa. Chciałbym tylko, żebyś nie czuła się gorsza od kogokolwiek, Rain.

- Każdy ma jakieś wady, Roy. Ja też. Nie powinieneś za wiele oczekiwać od dziewczyn, bo nigdy nie będziesz z żadnej zadowolony - ostrzegłam brata. - Wcale mi się nie podoba, że jesteś sam. Zasługujesz na jakąś świetną dziewczynę.

- Właśnie idę ze świetną dziewczyną - rzekł i ścisnął moją dłoń.

Po drodze zastanawiałam się, czy znajdę w sobie dość odwagi, żeby uwierzyć w to, co mówił Roy.

Kiedy przyszliśmy do domu, mama już spała, ale ku naszemu zdumieniu okazało się, że na kuchennym stole stoi sześćciopak piwa. Roy spojrzął na mnie i razem poszliśmy do bawialni. Na kanapie spał rozciągnięty Ken. Na stoliku przed kanapą stały puste butelki po piwie. A więc wrócił.

Popatrzyliśmy po sobie. Roy pokręcił głową. Oboje poczuliśmy się jak bokserzy przed kolejną rundą.

## STRASZNA PRAWDA

Obudziłam się w środku nocy. Beni weszła tak cicho, że najwyraźniej nikt prócz mnie tego nie usłyszał. W pierwszej chwili myślałam, że to Ken kręci się po mieszkaniu. Usiadłam na łóżku. Serce waliło mi jak młotem. Ktoś stał w drzwiach naszego pokoju. Przez długą chwilę Beni nie poruszyła się. Ciemna sylwetka, ledwo widoczna w mroku, jak w koszmarnym śnie. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

- Beni? - spytałam wreszcie szeptem.

Co się stało? Dlaczego wróciła w środku nocy? Czemu tak stoi, jakby nie mogła się ruszyć?

Usłyszałam krótki, urywany szloch, a potem moja siostra podeszła do mnie i opadła na podłogę przed łóżkiem, opierając głowę na moich nogach. Znów wstrząsnął nią rozpaczliwy szloch.

- Beni, co się stało? Dlaczego wróciłaś do domu?

- Och, Rain, dodali czegoś do mojego drinka. Obudziłam się kompletnie goła w łóżku. Ledwo odnalazłam swoje rzeczy. Nie wszystkie. Ukradli moje majtki. Ktoś zabrał mi majtki! - Zaszlochała.

Pomogłam jej stanąć na nogi, a Beni uwiesiła mi się na szyi, jakby tonęła. Czułam na policzkach jej łzy. Zakołysałyśmy się. Nigdy dotąd Beni nie ścisnęła mnie tak mocno. Było mi jej straszliwie żal.

- Jak to się stało, Beni? Opowiedz mi wszystko.

Beni opadła na moje łóżko i wcisnęła twarz w poduszkę. Jej ciałem wstrząsnął szloch.

- Nie mogę. Tak strasznie się wstydzę. Kiedy się obudziłam, zobaczyłam na podłodze puste opakowanie po filmie. Nie wiem... może zrobili mi zdjęcia... Tak się wstydzę...

- Myślałam, że te dziewczyny są twoimi przyjaciółkami, Beni. Jak mogły na to pozwolić?

Uniosła głowę i wzięła głęboki oddech.

- Wszyscy pili i palili trawkę, a potem... nie wiem, co się potem działo. Muzyka grała strasznie głośno. Wszyscy się świetnie bawili. Nie myślałam o tym, co robię. Wydawało mi się, że Carltonowi się to spodoba. Pił wódkę z sokiem żurawinowym. Ja też. Nawet nie poczułam smaku wódki. Pamiętam, że poszliśmy do pokoju Alicii. Carlton mnie całował i mówił, że mnie... bardzo lubi. Siedzieliśmy na łóżku, a potem...

- Co potem?

- Otworzyły się drzwi. Ktoś zapalił światło. Usłyszałam śmiechy i do pokoju weszli inni chłopcy. Zaczęło mi się kręcić w głowie. Potem... nie pamiętam, co się potem wydarzyło. Nic nie pamiętam. Po prostu obudziłam się i okazało się, że jestem goła. Byłam kompletnie goła! Musieli dosypać czegoś do mojego drinka!

- Już dobrze, Beni. Uspokój się. Obudzisz Roya - powiedziałam. Nie sądziłam, by istotnie mogło się to zdarzyć, ale chciałam, żeby się uciszyła.

Wzięła głęboki oddech i kiwnęła głową.

- Nie wiem, co oni ze mną zrobili, Rain. Kiedy się obudziłam... na całym ciele, na rękach i na brzuchu miałam... to świństwo - szepnęła.

Wstrzymałam oddech.

- Jakie świństwo?

- No... chłopaków - odpowiedziała. - Wiesz, kiedy się podnieca...

- O Jezu - jęknęłam. Nie mogłam się powstrzymać. To

było takie obrzydliwe. - Musisz zaraz wziąć prysznic, Beni. Chodź do łazienki.

Ścisnęła mnie za rękę tak mocno, że aż mnie to zabolęło.

- Boję się, że będę miała okropne kłopoty, Rain.

- Nie, na pewno nie - próbowałam ją uspokoić.

- A jeżeli tak? A jeżeli zaszłam w ciążę czy coś?

- Nic ci nie będzie. Przestań myśleć o najgorszym. Przygotuję ci gorącą kąpiel, Beni. Poczekaj tu na mnie.

Wstałam z łóżka. Beni wcisnęła twarz w poduszkę i znów zaczęła płakać. Szlochała coraz głośniej.

- Opanuj się, Beni. Obudzisz mamę. Poza tym Ken wrócił. Przestała szlochać.

- Wrócił Ken?

- Tak. Byliśmy z Royem w kinie, a kiedy przyszedliśmy do domu, znaleźliśmy go na kanapie. Pewnie wciąż tam leży. Nie mam nawet pojęcia, czy mama o tym wie.

- O cholera! Wszystko zważyło się naraz. Ken mnie zabije, kiedy się dowie, co się stało.

- Nikt cię nie zabije, Beni. Wykąpiesz się i pójdziesz spać.

- Co powiem, kiedy mama spyta, czemu wróciłam w nocy?

- Nie mam pojęcia. Muszę się zastanowić, Beni. Nienawidzę tych wszystkich kłamstw - jęknęłam.

- Nawet nie wiem, co mi zrobili - zaczęła swoje. Objęła się ramionami i zaczęła kołysać na łóżku. - Ktoś zabrał moje majtki.

- Może po prostu nie mogłaś ich znaleźć - wymamrotałam i poszłam do łazienki.

Czułam się winna, że zgodziłam się wziąć udział w oszustwie i pomogłam Beni namówić mamę, żeby ją puściła do Alicji. Powinnam być mądrzejsza od niej. Powinnam ją była jakoś powstrzymać, przekonać, żeby tam nie szła. Roy będzie na nas wściekły, pomyślałam. A biednej mamie, jakby miała za mało kłopotów, spadnie na głowę jeszcze dodatkowe zmartwienie. Bałam się, że w końcu rozsypie się niby gliniana figurka, kompletnie wyschnięta od tych wszystkich łez, które przez nas wylała. Czułam, że muszę coś wymyślić, muszę



znaleźć jakieś wyjście, które pozwoli oszczędzić mamie tej strasznej prawdy. To było dla mnie w tej chwili ważniejsze od pomocy dla Beni. Chociaż na myśl o siostrze również cierpła mi skóra na grzbiecie. Nie miałam pojęcia, co zrobi Ken.

Tym razem cieszyłam się, że Roy śpi kamiennym snem. Kiedy wlokłam do łazienki rozszlochaną Beni, byłam pewna, że ktoś wstanie z łóżka i spyta, co my, u licha, wyprawiamy. Na szczęście nikt się nie zbudził. Ken chrapał na kanapie, a mama musiała być taka zmęczona, że hałas, jaki robiłyśmy, nie mógł jej wyrwać ze snu.

Kiedy Beni się rozebrała, zrobiło mi się jej jeszcze bardziej żal. Tak jak powiedziała, chłopcy wyprawiali z nią straszne rzeczy. Na brzuchu i piersiach miała zaschniętą spernę. Narzekała, że bołą ją uda. Pomogłam jej wejść do wanny i umyć całe ciało łącznie z głową. Włosy Beni śmierdziały, jakby ktoś polał je whisky. Potem owinęłam ją w wielki ręcznik i wytarłam, bo naraz zaczęła się cała trząść. Dzwoniła zębami i dygotała, jakby dostała ataku malarii. Wróciłyśmy do pokoju. Pomogłam jej włożyć koszulę nocną i okryłam ją kołdrą.

- Głowa mi pęka - jęknęła.

Przyniosłam aspirynę. Beni ścisnęła mnie za rękę, jakby się bała, że kiedy mnie puści, zniknie bez śladu, więc siedziałam obok niej i słuchałam jej mamrotania, dopóki nie usnęła. Dopiero wtedy rozwarłam palce Beni zaciśnięte na mojej ręce, otuliłam siostrę szczelniej kołdrą i wróciłam do swego łóżka.

Nie mogłam zasnąć. Leżałam i myślałam, usiłując znaleźć dla wcześniejszego powrotu Beni jakieś wytłumaczenie, które nie wzbudziłoby podejrzeń mamy i nie wywołałoby w domu kolejnego kryzysu.

Rano obudziły mnie odgłosy dobiegające z bawialni. Mama wstała i znalazła Kena śpiącego na kanapie. Zdenerwowałam się i kompletnie zapomniałam, że miałam jakoś przygotować mamę na widok Beni.

- Więc w końcu zdecydowałeś się wrócić do domu, Kenie Arnold - usłyszałam jej gniewny głos. - Jestem pewna, że wróciłeś, bo skończyły ci się pieniądze. Jak zwykle.

- Ciszej, kobieto - jęknął Ken. - Głowa mi pęknie od tego twojego gadania.

- Mam nadzieję - odcięła się mama.

Spojrzałam na Beni, która wciąż spała, odwrócona plecami do mnie, twarzą do ściany. Włożyłam szlafrok i wyszłam z pokoju, żeby powstrzymać mamę, nim doprowadzi do kolejnej awantury z Kenem. Po drodze spotkałam Roya. Popatrzyliśmy po sobie, a potem weszliśmy do kuchni.

- Wrócił - oznajmiła mama i machnęła ręką w kierunku bawialni. - Wygląda jak bezdomny włóczęga. Idź, weź prysznic albo się wykap, Kenie Arnold! - zawołała. - Przez ciebie zaśmierdnie nam cała bawialnię.

- Nie dręcz mnie, kobieto. Lepiej zrób mocnej kawy - poprosił Ken.

- Kawy mu zrób, kawy mu się zachciewa... - zrzędziła mama, włączając ekspres. - Mam nadzieję, że nie stracił pracy.

Ken pracował ostatnio jako dozorca w jednej z instytucji rządowych. Gdyby wytrzymał w pracy jeszcze pół roku, zyskałby zabezpieczenia socjalne.

Roy podrapał się w głowę i wrócił do swojego pokoju. Przechodząc obok naszego pokoju, stanął jak wryty na widok Beni.

- Myślałem, że będzie nocowała u swojej przyjaciółki. Skąd się wzięła w domu?

Mama odwróciła się na pięcie.

- Kto? - Popatrzyła na mnie. - Beni wróciła w nocy?

- Tak, mamó.

Mama pokiwała głową, zagryzając wargi. Jej ramiona opadły bezsilnie. Zmarszczyła czoło, jej oczy spochmurniały.

- Co się stało Beni?

- Nic, mamó - odpowiedziałam szybko. - Beni zrobiła, jak chciałaś. Kiedy jej koleżanki poszły na hip-hopową dyskotekę, wróciła do domu.

Mama przekrzywiła głowę i przyjrzała mi się sceptycznie. Odwróciłam wzrok i natrafiłam na spojrzenie Roya, co było jeszcze gorsze. Roy zmarszczył brwi.

- Tam się musiało zdarzyć coś więcej - rzekł.

- Powiedziała, że ludzie palili trawkę i pili piwo - przyznałam.

- Beni też? - spytała natychmiast mama.

- Wypiła trochę piwa, poczuła się niedobrze i wróciła do domu, mamó. - Przynajmniej w części była to prawda.

Mama i Roy popatrzyli po sobie. Wiedziałam, że jeśli Roy zostawi Beni w spokoju, mama także nie będzie zadawać więcej pytań.

- To wszystko? - spytała.

- To nie było fajne miejsce, mamó, i Beni to sobie uświadomiła. Większości dziewczyn nie starczyłoby rozsądku, żeby zostawić koleżanki i wrócić do domu - dodałam, usiłując zdobyć się na entuzjazm.

- Zapewne - mruknęła mama. - Poza tym wszystko w porządku?

- Założę się, że będzie ją bolała głowa - rzucił Roy.

- No i dobrze. Mam nadzieję, że stanie się to dla niej nauką. Mogą przeleżeć z ojcem cały ranek, jęcząc sobie w duecie - oświadczyła mama. - Jak to się mówi... Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- O Rain nie da się tego powiedzieć - wtrącił szybko Roy.

- Ani o tobie - przyznała mama. - I chwała Bogu.

Mama patrzyła na mnie przez chwilę, potem skinęła głową.

- Idź, zobacz, co się z nią dzieje - poleciała. - Dziś rano mam większe zmartwienia na głowie.

Odwróciła się i zajęła kawą. Spojrzałam na Roya, który przyglądał mi się z podejrzliwą miną. Czym prędzej wróciłam do naszego pokoju, by poczekać przy Beni, aż się zbudzi. Musiałam uprzedzić ją o tym, co powiedziałam mamie i Royowi, żeby nie wpackowała nas obu w kłopoty.

Beni jednak spała kamiennym snem. Po godzinie, gdy wszyscy zbierali się w kuchni na śniadanie, a ona wciąż spała, zaczęłam ją tarmosić za ramię.

Z jękiem odwróciła do mnie głowę i uchyliła zapuchnięte od snu powieki.

- Co? - spytała.

Zrelacjonowałam jej, co powiedziałam mamie i Royowi.

- Czemu powiedziałaś, że się upiłam? Teraz nigdzie mnie nie puszczą - jęknęła niezadowolona.

- Mama się cieszy, że jesteś w domu, Beni. Powiedziałam jej, że zachowałaś się rozsądniej, niż postąpiłaby większość dziewczyn na twoim miejscu, więc choćby nawet cię zburczała, to w gruncie rzeczy nie jest na ciebie bardzo zła. To było najlepsze wyjście z sytuacji - wyjaśniłam jej.

- Okropnie się czuję - westchnęła, siadając. - Jedną rękę przyłożyła do brzucha, drugą zasłoniła oczy. Siedziała tak chwilę i z jękiem opadła na poduszkę. - Zostaw mnie w spokoju - poprosiła.

- Lepiej wstań i ubierz się, Beni. Jak przeleżysz cały ranek w łóżku, będzie jeszcze gorzej. Tak czy siak, niedługo wybierze się tu do ciebie mama - ostrzegłam siostrę.

Beni spojrzała na mnie zwięzonymi ze złości oczami.

- Cieszysz się, prawda? Jesteś szczęśliwa, że mi się to przytrafiło. Teraz wszyscy widzą, jakaś ty mądra i doskonała.

- Nieprawda, Beni. Dobrze wiesz, że szczerze ci współczuję.

- Jasne - mruknęła, odwracając się znów twarzą do ściany. - Jerad tam był. To pewnie on kazał im to wszystko zrobić, żeby zemścić się na tobie i Royu - powiedziała tonem wymówki. - Założę się, że tak właśnie było. - Rozzłoszczona zrzuciła kołdrę. - Gdyby nie wy, nic by mi się nie przytrafiło.

- To, co mówisz, jest głupie, Beni. Nic nie usprawiedliwia tych ludzi. A ty nie masz prawa zrzucić winy na mnie i Roya. Lepiej puknij się w głowę - odpaliłam.

Ubrałam się i wyszłam z pokoju, nim Beni wygrzebała się z łóżka.

Mimo porannej demonstracji złości mama usmażyła Kenowi jego ulubione naleśniki z mąki gryczanej. Roy siedział przy stole i jadł w ponurym milczeniu.

- Wstała? - spytała mama.

- Tak, mammo. Zaraz przyjdzie.

- Co się dzieje z Beni? - spytał Ken. - Jest chora?

- Owszem, jest chora. Zaraziła się od ciebie - odpowiedziała mama.

Ken popatrzył na mnie wielkimi oczami.

- Co tu się, u licha, dzieje, Rain?

- A odkąd cię to cokolwiek obchodzi, Kenie Arnold? - rzuciła zirytowana mama.

- Uciszyć się, kobieto. Rain?

- Nie krzycz na mamę - ostrzegł go Roy.

Ken powoli odwrócił się do Roya. W jego nabiegłych krwią oczach pojawił się gniewny płomień. Mama dołała Kenowi kawy.

- Nie zaczynajcie się tu teraz kłócić. Tylko tego trzeba mi jeszcze dzisiejszego ranka. A ty, Roy, nie martw się tak o mnie. Już ja sobie z nim poradzę. - Popatrzyła na Kena, kiwając głową.

Pochylił głowę nad kubkiem, upił łyk kawy i odwrócił się z powrotem do mnie.

- Co znów narobiła Beni? - spytał surowo.

- Wypiła trochę piwa na wieczorku u koleżanki i źle się poczuła - odpowiedziałam szybko.

Przez chwilę patrzył na mnie, a potem wybuchnął śmiechem, klepiąc się hałaśliwie po udzie.

- Źle się poczuła, co? Niedaleko pada jabłko od jabłoni, powiadasz? - zwrócił się do mamy. - Ja tam się zawsze dobrze czuję. To po tobie Beni ma taki słaby żołądek, nie po mnie - oświadczył, jakby zdolność sprawnego trawienia alkoholu i podłego żarcia stanowiła powód do dumy.

Mama wzniosła oczy do nieba.

- Panie, daj mi siłę - powiedziała tylko.

Z pokoju wyszła Beni i wszyscy jak na komendę odwrócili się do niej. Moja siostra stała ze spuszczoną głową. Była niemal szara i wpatrywała się w podłogę podkrażonymi oczami.

- No, dobrze, dziewczyno - oznajmiła mama, biorąc się pod boki. - Co masz nam do powiedzenia?

- Popełniłam błąd i źle się czuję - odpowiedziała Beni. Unikała wzroku mojego i Roya. Gdy spojrzała na Kena, natychmiast opuściła przekrwione oczy i z powrotem wbiła spojrzenie w podłogę.

- Można by sądzić, że od patrzenia przez te wszystkie lata na ojca powinnaś zostać abstynentką - zauważyła mama.

- Co to znaczy od patrzenia na ojca? Dlaczego masz do mnie pretensje o jej postępowanie? Spędza z tobą więcej czasu niż ze mną. Jeśli źle postępuje, to ty jesteś temu winna, kobieto, nie ja.

- Prawda - powiedziała mama. - Ty tylko spłodziłeś dzieci i pognałeś przed siebie jak koń wyścigowy.

Beni popatrzyła na mnie, wdzięczna, że mama kieruje swoją złość przeciwko Kenowi, a nie przeciw niej.

- Usiądź przy stole i zjedz coś. - Mama wskazała Beni krzesło.

- Chciałabym się tylko napić kawy, mammo.

- Nie pytam, czego chcesz. Powiedziałam, żebyś siadła i coś zjadła.

Beni posłusznie siadła przy stole. Po śniadaniu Ken znów poszedł spać. Beni także szybko wycofała się do łóżka. Pomogłam mamie posprzątać i pozmywać. Roy musiał iść do Slim's Garage, ale zanim wyszedł, odczekał na chwilę, kiedy byliśmy sami.

- Ona coś kręci - powiedział, kiwnięciem głowy wskazując na nasz pokój. - Nie wierzę jej.

- Najważniejsze, że nie stało jej się nic złego, Roy - odpowiedziałam. - Na przyszłość zastanowi się dwa razy, nim znowu pójdzie się gdzieś włóczyć z dziewczynami.

- Nie jestem tego wcale taki pewny - oświadczył Roy. - A ty przestań jej bronić. Wszyscy pływamy w głębokiej wodzie. Jeśli pozwolisz, żeby się na tobie uwiesiła, pójdiesz na dno razem z nią - zapowiedział ponurym tonem i poszedł.

Beni przespała niemal cały dzień. Mama narzekała, ale jej nie budziła. Po południu Ken wybrał się do swoich przyjaciół, a ja wzięłam się do odrabiania lekcji. Beni obudziła

się w jeszcze gorszym nastroju niż rano. Gdy tylko wyszła z naszego pokoju, mama zaczęła gderać i wygłosiła jej wykład na temat tego, jak powinna się prowadzić.

- Niech ci nawet na myśl nie przyjdzie prosić mnie, żebym cię jeszcze kiedyś puściła wieczorem do tych twoich koleżanek - oznajmiła surowo. - Masz prosto ze szkoły wracać do domu. Dopóki nie skończysz osiemnastu lat, jestem za ciebie odpowiedzialna, rozumiano?

- To niesprawiedliwe, mamó. Każdemu się zdarza popełniać błędy - jęknęła Beni.

- Dobrze, dobrze. I bez ciebie mam dość kłopotów na głowie. Pamiętaj, że masz się przyłożyć do nauki. Będę ci się przyglądać uważniej niż do tej pory, słyszysz?

Beni wróciła do naszego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Rzuciła mi wściekłe spojrzenie.

- Bardzo dziękuję - powiedziała.

- O co ci chodzi? Co ja zrobiłam?

- Wpakowałam mnie w kłopoty. Gdybyś nic nie mówiła, wymyśliłabym lepszą wymówkę! - wrzasnęła. - Teraz mama nigdzie mnie nie puści. Nienawidzę tego miejsca.

- Jesteś niesprawiedliwa, Beni. Chciałam ci pomóc. Myślisz, że przyjemnie mi okłamywać mamę? Jeśli tak sądzisz, to jesteś w błędzie. Więcej tego nie zrobię.

- No i dobrze. - Beni rzuciła się na swoje łóżko i odwróciła do mnie plecami.

Roy ma rację, pomyślałam. Jeśli będę ją próbowała holować, Beni pociągnie mnie za sobą na dno.

W szkole miałyśmy obie same nieprzyjemności. Część chłopaków, którzy byli na prywatce u Alicii, drwiła sobie z mojej siostry, a rzekome przyjaciółki nie robiły nic, żeby jej pomóc. Wszyscy zachowywali się tak, jakby to, co jej się przydarzyło, było świetnym dowcipem. Beni wyglądała bardzo marnie, było mi jej żal. Przyglądałam się siostrze, gdy siedziała w stolówce zawstydzona, ze wzrokiem wbitym w podłogę, podczas

gdy chłopcy szydzili z niej, a dziewczyny zaśmiewały się do rozpuku. Nikt nie miał dla niej ani odrobiny litości. W końcu nie mogłam tego wytrzymać, zostawiłam Lucy Adamson i odeszłam do siostry.

- Czemu tu z nimi siedzisz? - rzuciłam. - Przecież to nie są twoi przyjaciele. Przypomnij sobie, co ci zrobili. Popatrz, jak się teraz zachowują. - Spojrzałam gniewnie na Nicole i Alicie.

- A to co ma znaczyć? - oburzyła się Alicie. - Nic nikomu nie zrobiłyśmy. Wszystko, co się zdarzyło Beni, spotkało ją na własne życzenie.

- Jasne - powiedziałam. - Z takimi przyjaciółmi jak wy człowiek nie potrzebuje wrogów.

- Ty suko - warknęła Nicole, wstając od stolika.

- Zostaw nas w spokoju - zwróciła się do mnie Beni.

- Jak możesz tu z nimi siedzieć?

- Lepiej z nami niż z tobą, Panno Cnotko - przycięła mi Alicie. - Z nami przynajmniej jest jakaś zabawa.

- Nazywasz to, coście zrobili Beni, zabawą? - Skrzywiłam się z obrzydzeniem. - Naprawdę wam współczuję.

- Zamknij jadaczkę! - rzuciła Nicole. - Bo sama ci ją zamknę.

- Czy nie możesz po prostu odejść? - krzyknęła Beni. - Przez ciebie wszystko wygląda jeszcze gorzej.

Popatrzyłam w jej smutne oczy, które spoglądały na mnie prosząco. Było mi jej żal, ale nie wiedziałam, co zrobić.

- Jesteś zazdrosna i tyle - powiedziała Nicole. - Umarłabyś ze szczęścia, gdyby jakiś chłopak zechciał dotknąć tego twojego bezcennego ciała, Panno Cnotko.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

- Tak, to co innego niż dotykać się samej - dorzuciła Alicie. Wszyscy znów się roześmiali.

- Jesteście obrzydliwi. - Odwróciłam się i odeszłam; ich śmiech gonił za mną przez całą drogę do stolika Lucy Adamson.

- Po co z nimi zaczynasz? - spytała Lucy.



- Chciałam pomóc siostrze.
- Tyle z tego będzie, że teraz nigdy nie dadzą ci spokoju, a przy okazji i mnie się oberwie.
- Jeżeli się tak boisz, to nie musisz tu ze mną siedzieć, Lucy.

Lucy popatrzyła na dziewczyny, a potem znowu na mnie.

- Muszę iść do łazienki - powiedziała i szybko odeszła od stolika.

Beni nie życzyła sobie mojej pomocy, a jedyna przyjaciółka bała się ze mną pokazywać. Jak ja nienawidzę tego miejsca, pomyślałam. Ale w ciasnym mieszkaniu w bloku, gdzie czułam się niczym zwierzę w klatce, wcale nie było lepiej. Mama nie mogła nic zrobić, żeby nam pomóc. Ken w ogóle nie zwracał na nas uwagi, a biedny Roy z trudem ratował obie przed zatonięciem.

Po południu, kiedy wróciliśmy do domu, Ken siedział przed telewizorem. W bawialni unosił się dym z papierosów, na stoliku stało piwo. Dlaczego nie poszedł do pracy?

- To wy, dziewczyny? - zawołał.
- Tak, Ken - odpowiedziała Beni.
- To dobrze. Przynieś mi piwo z lodówki, Beni. Bola mnie nogi.

Beni popatrzyła na mnie i poszła do kuchni. Kiedy wracała z piwem, poszłam za nią do bawialni.

- Czemu jesteś w domu tak wcześnie? - spytałam.
- Ten kretyn, kierownik zmiany, wyrzucił mnie z pracy - wyjaśnił Ken. - Od początku się na mnie uwziął.
- Więc dlaczego nie szukasz sobie innego zajęcia? - zapytałam takim tonem, że Ken natychmiast odwrócił głowę.
- A odkąd to zrobiłaś się taka ciekawska?

Poczułam strach. Jego mina nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do tego, że już i tak wypił za dużo.

- Martwię się o mamę. Wzięła dodatkową pracę, żeby jakoś wiązać koniec z końcem.

- A co z Royem? Przecież dobrze zarabia. Nic się nie martw - machnął ręką - nie umrzemy z głodu. - Popatrzył po

nas i pociągnął z butelki. - Wy, dziewczyny, też powinnyście znaleźć sobie jakieś zajęcie.

- Mówiłam o tym mamie - powiedziała Beni.

- To dobrze. Ty przynajmniej nie jesteś leniwa. To dobrze.

- Ale mama nie pozwoliła mi iść do pracy - poskarżyła się moja siostra.

- Co? Dlaczego? To głupie. Obie jesteście zdrowe i silne. Możecie trochę popracować, póki nie znajdę sobie jakiejś posady.

- A kiedy to będzie? - spytałam.

Szkliste czerwone oczy Kena znów zmierzyły mnie wściekłym spojrzeniem.

- Kiedy będzie, to będzie - burknął. - Przestań się mnie czepiać, dziewczyno. Nie masz prawa odzywać się do mnie w ten sposób. W ogóle nie masz prawa niczego się ode mnie domagać.

Zdumiona uniosłam brwi. Powiedział to tak, jakbym nie była jego dzieckiem i członkiem rodziny.

- Żadne z was nie ma prawa się mnie czepiać - dodał Ken. - A teraz zostawcie mnie w spokoju. Próbuję się uspokoić, bo zdenerwowałem się tym wszystkim, i chciałbym choć na chwilę zapomnieć o zmartwieniach.

- Powiedz mamie, żeby pozwoliła mi rzucić szkołę i pójść do pracy - odezwała się Beni. - Powiedz jej to, Ken.

- Dobrze - obiecał i pokiwał głową. - Jasne, że powiem. Jesteście już dostatecznie duże, dziewczyny, żeby pomóc w domu. Nie widzę żadnych przeszkód. - Znów pociągnął z butelki. - Dzieci powinny pomagać rodzicom. Czemu nie? - mamrotał, jakby starał się przekonać siebie samego.

Beni wyglądała na zadowoloną.

- Nie słuchaj go, Beni - szepnęłam, kiedy wyszliśmy z bawialni. - Przecież widzisz, że jest pijany. Nie ma pojęcia, co wygaduje.

- Owszem, ma. Liczę na to, że przekona mamę, żeby pozwoliła mi rzucić szkołę i pójść do pracy.

Pokręciłam głową. Głupota Beni była przerażająca. Prze-

brałyśmy się, a potem zaczęłam przygotowywać obiad. Poprzedniego dnia mama przyniosła z supermarketu kotlety wieprzowe. Tyle dobrego, że mogła czasem w pracy kupić coś taniej. Jakiś czas temu nauczyła mnie robić zawijane zrazy z nadzieniem, które bardzo lubił Roy. Zaczęłam przysmażać siekaną cebulę. Mieszkanie wypełnił smaczkowy zapach czosnku i przypraw. Ken zajrzał do kuchni, ciekaw, co robię. Jednocześnie z łazienki wynurzyła się Beni. Ken odwrócił głowę i przyjrzał się krytycznie mojej siostrze.

- Dlaczego nie umiesz gotować, jak Rain? - spytał.

- Niczego nie potrafię robić tak dobrze jak Rain... - odparła Beni urażonym tonem, jakbym to ja była wszystkiemu winna - ...więc nawet nie próbuję.

Miałam wrażenie, że Ken popatrzył na mnie z niechęcią.

- Daj no mi jeszcze piwo - zażądał.

- Nie wydaje ci się, że masz już dość? - spytałam.

- Żaden dzieciak nie będzie mi mówił, kiedy mam dość!

Jezu, ta wasza matka podjudza was wszystkich przeciwko mnie!

- Ja ci podam. - Beni wyjęła piwo z lodówki.

- Dzięki, Beni - uśmiechnął się do niej, potem spiorunował mnie wzrokiem i wrócił do bawialni, gdzie opadł na fotel.

Beni popatrzyła na mnie z zadowolonym uśmiechem.

- Ken lubi mnie bardziej niż mama.

- Masz wielki powód do radości. - Tak mnie rozżłościła, że pracowałam szybciej i staranniej, żeby nie mieć czasu na myślenie o niczym innym.

Kiedy mama przyszła do domu, obiad właśnie się dogotowywał.

- Niebiański zapach - powiedziała. Słyszała jak gra telewizor, ale była pewna, że to Beni.

- Dlaczego Beni przynajmniej nie nakryje stołu, nim Ken i Roy wrócą z pracy? - mruknęła pod nosem.

- Ken jest w domu - powiedziałam. - Wyrzucili go z pracy.

- No nie! Tego się właśnie bałam. Z niego naprawdę nic

dobrego. - Ściągnęła ramiona i zebrała się w sobie, szykując się, by stawić mu czoło.

- Chyba trochę za dużo wypił, mamó. Może lepiej na razie zostaw Kena w spokoju.

- Niech go szlag trafi! - krzyknęła mama i ruszyła do bawialni.

Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam nakrywać do stołu.

Ken pił przez cały dzień. Zaczął od jakiejś knajpy, do której poszedł prosto po tym, jak wyrzucono go z pracy. Potem przyszedł do domu i przed powrotem mamy wypił chyba ze dwanaście piw. Kiedy zaczęła się rozmowa, był już na wpół przytomny. Nie chciałam tego słuchać. Ich rozmowa była jak zacinająca się płyta CD, ale krzyczeli coraz głośniej; jestem pewna, że wszyscy sąsiedzi słyszeli każde ich słowo.

- Jak mogłeś stracić tę pracę? Drugiej takiej posady łatwo nie znajdziesz - powiedziała mama. - Gdybyś wytrzymał te pół roku, mielibyśmy wreszcie porządnego lekarza i dentystę. Czy ciebie w ogóle nie obchodzi los własnej rodziny?

- Kierownik się na mnie zawziął. Sukinsyn, od dawna się mnie czepiał - mamrotał Ken. - To łobuz, traktuje ludzi jak śmieci.

- Zawsze to powtarzasz. To tylko wymówka, która ma usprawiedliwić twoje obraźliwe zachowanie, i tyle.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Co my teraz zrobimy, Ken? Musimy zapłacić czynsz, dziewczynom potrzebne są różne rzeczy, na które nas nie stać. Potrzebują ubrań. Ze wszystkiego wyrastają. Zalegamy z opłatami za prąd i gaz, nie mogę iść z córkami do dentysty, bo nie zapłaciłam jeszcze poprzedniego rachunku. Któregoś dnia wyrzucą nas na bruk. Tak powiedział administrator. Co wtedy zrobimy? Gdzie będziemy mieszkać? Na ulicy?

- Znajdę sobie pracę - obiecał Ken.

- Kiedy? Od ładnych paru tygodni nie dostaliśmy ani centa z twoich zarobków. Jak mogłeś przepuścić wszystkie te pieniądze?

- Powiedziałem, że znajdę sobie robotę, kobieto, więc się

ode mnie odczep. Poza tym dlaczego nie miałyby się wziąć do pracy dziewczyny? Przyniosłyby do domu parę groszy.

- Chodzą do szkoły. Nie chcę, żeby pracowały do jedenastej wieczorem, sprzedając gdzieś hamburgery. Nie chcę, żeby rzuciły szkołę. Poza tym Rain ma szansę na stypendium do college'u - dodała.

Nie miałam pojęcia, że mama wie o tym stypendium.

- Beni może iść do pracy.

- To by się źle skończyło. Tylko by się wpakowała w kłopoty, Ken. Ma za mało rozumu, żeby puścić ją między ludzi z ulicy.

- Tak? Co ty powiesz? - wybełkotał. Wiedziałam, że jest zbyt pijany, żeby zastanowić się nad tym, co mówi. - To wszystko moja wina, prawda? Uważasz, że Beni jest taka jak ja, co? A ta druga nie, tak?

- Jest tak, jak jest - odpowiedziała mama. - To niczyja wina.

- Jasne. Ale uważasz, że Rain jest wyjątkowa. Zawsze tak myślałaś. Bardziej ci na niej zależy niż na własnej. Teraz żałuję, że to zrobiłem.

Odwrociłam się od kuchenki i podeszłam bliżej drzwi. Co to znaczy „bardziej niż na własnej”? O czym on mówi?

- Przestań gadać głupoty. Jesteś pijany - powiedziała mama.

- Zawsze się tak zachowywałaś, jakby ci podarowali jakąś księżniczkę - oznajmił. - Powinna na nas pracować. My już dość dla niej zrobiliśmy.

- Nie chcę tego słuchać - przerwała mu mama.

Usłyszałam, że idzie do drzwi.

- Tylko przestań mi wypominać, że mamy te wszystkie gęby do wykarmienia i dentystę, i lekarzy do popłacenia! - krzyknął za nią. - Chciałaś ją mieć i nigdy nie narzekałaś na pieniądze, które za nią wzięłaś.

- Nigdy nie widziałam pieniędzy! - odpaliła mama. - Sam o tym najlepiej wiesz. A teraz się wreszcie zamknij.

- Pora, żeby i ona wzięła na barki jakąś część ciężaru. Nie

jestem już taki młody, jak byłem. Ja też czuję się zmęczony. Niech i ona coś wniesie do gospodarstwa. Białe dziewczyny także mogą pracować.

Było tak, jakby nasze mieszkanie nagle rozświetliła błyskawica. Potem zapadła cisza, znajoma cisza oczekiwania na chwilę, gdy rozlegnie się ogłuszający huk pioruna, tyle że tym razem grom miał zagrznieć w mojej głowie. Co miały znaczyć słowa, że białe dziewczyny też pracują? Czekałam w napięciu.

- Proszę cię, Ken, mów ciszej. - Mama najwyraźniej starała się przywołać Kena do opamiętania.

- Nie będę mówił ciszej. Jestem u siebie w domu, rozumiesz? Mam tu pewne prawa. Wiele dla nich zrobiliśmy. - Przez chwilę w bawialni panowało milczenie. - Za mało nam dali za pierwszym razem. Należy nam się więcej. Tak, o to właśnie chodzi. Pójdę do nich i zażądam więcej.

- Nawet o tym nie myśl, Ken.

- Czemu nie? Sama powiedziałaś, że rachunki są coraz wyższe. Wtedy pojęcia nie mieliśmy, ile to wszystko będzie kosztowało, rozumiesz? Nie dali nam tyle, ile trzeba, więc mamy pełne prawo domagać się więcej.

- Siedź tu i nigdzie się nie ruszaj. Nie zrób niczego głupiego, Kenie Arnold.

- Dość mam tego pomiatania mną, Latisha. Zjeżdżaj mi z drogi, już! Mam sprawę do załatwienia.

- Przestań!

Natychmiast potem usłyszałam krzyk mamy i trzask pękającego drewna. Rzuciłam się do bawialni. Także Beni wyskoczyła z naszego pokoju. Kiedy wpadłam do bawialni, mama leżała na podłodze obok stolika. Ken chwiał się nad nią z zacisniętymi pięściami. Słyszac mnie i Beni, uniósł głowę i rzucił mi wściekłe spojrzenie.

- Uderzyłeś mamę?! - krzyknęłam.

- Odczep się, dziewczyno!

Mama podniosła się z trudem. Wokół jej prawego oka tworzyła się opuchlizna.

- Zostaw Rain w spokoju, Ken - jęknęła.

Ken ominął mnie i ruszył do drzwi.

- Nie rób tego, Ken - prosiła mama, ale on był już za drzwiami.

- Przynies mi lodu - poleciła mama Beni. Potem odwróciła się do mnie. - Nie chcę, żeby Roy się o tym dowiedział. To byłoby bardzo niedobrze.

- Mamo, oko już ci puchnie. Lód nic na to nie pomoże.

- Powiem mu, że się przewróciłam. Ty potwierdzisz moje słowa, Rain.

- Kiedy skończą się te wszystkie kłamstwa, mamó? - mruknęłam bardziej do siebie niż do niej.

Beni przyniosła mamie kostki lodu zawinięte w ścierkę. Mama przyłożyła zimny kompres nad okiem.

- Co Ken miał na myśli, mamó?

- Co miał na myśli?

- Trudno, żebym tego nie usłyszała. O co mu chodziło, kiedy powiedział, że białe dziewczyny też mogą pracować? Co chciał przez to powiedzieć?

- Skąd mogę wiedzieć? - Wzruszyła ramionami i usiadła na kanapie. Położyła się, przyciskając kompres do oka.

Usiadłyśmy obok niej. Spojrzałam na Beni, która wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem.

- *Dokąd poszedł Ken?* - spytałam, ale mama nie odpowiedziała.

- O co mu chodziło, kiedy mówił, że nie dostaliście od nich dość pieniędzy? Od kogo dostaliście pieniądze?

- Przestań zadawać tyle pytań, Rain - rzuciła mama. - Idź do kuchni, dopilnuj, żeby obiad się nie przypalił.

Wstałam powoli, spoglądając na zmianę to na Beni, to na mamę.

- Zawsze nam mówiłaś, że to wielki grzech okłamywać najbliższych. Zawsze nam to powtarzałaś.

- Och, Rain, proszę. Czy nie mamy już dość kłopotów?

- *Dokąd poszedł Ken, mamó?* Od kogo chce dostać więcej pieniędzy i co to ma wspólnego ze mną? Proszę cię, mamó, powiedz mi. - Mama nigdy nie zostawiała moich pytań bez

odpowiedzi. Fakt, że teraz nie chciała mi powiedzieć prawdy, bardziej mnie przeraził niż brutalność Kena.

- O Boże, pomóż mi, Boże, proszę - rozpląkała się mama.
- Mamo?

Mama wbiła oczy w sufit. Wiedziałam, że się modli. Patrzyłam na Beni, która wyglądała na równie przerażoną jak ja. Obie wstrzymywałyśmy oddech, czekając, co powie mama.

- Mamo?

Popatrzyła na mnie. Usta miała mocno zaciśnięte.

- Nigdy nie chciałam, żebyś dowiedziała się tego w taki sposób, w takich okolicznościach. To niesprawiedliwe.

- Proszę cię, mamo. Po prostu powiedz, o co chodzi.

Serce mi waliło. Przycisnęłam rękę do brzucha. Z oczu popłynęły mi łzy.

- Czy nie możemy tego po prostu zostawić w spokoju, dziecko?

- Mamo, proszę cię, powiedz mi wszystko! - krzyknęłam.

Mama odetchnęła głęboko. Miałam wrażenie, że sięga gdzieś do samego dna duszy, żeby zaczerpnąć sił.

- Ken chce wyciągnąć od twojej prawdziwej mamy więcej pieniędzy - wyjaśniła wreszcie.

Było tak, jakby zawalił się na mnie sufit.

W mojej głowie rozległ się huk dawno wyczekiwanego gromu, a potem nastąpiła cisza.



## WSZYSTKO, CO KIEDYKOLWIEK WIEDZIAŁAM

Spojrzałam na Beni. Jej oczy były pełne zdumienia. Usta miała szeroko otwarte, zastygłe w niemym krzyku. Na twarzy mamy malował się taki ból, jakby znalazła się w ogniu. Ja sama miałam wrażenie, że kompletnie ogłuchłam. Wokół zapanowała głucha cisza. Nie docierał do mnie odgłos kroków, krzyki z korytarza, bulgotanie w rurach, trąbienie przejeżdżających samochodów. Wszystkim, co słyszałam, było dudnienie krwi i poczucie, że przez moją twarz, szyję i całe ciało przepływa gorąca fala.

Bez słowa odwróciłam się na pięcie i wybiegłam z bawialni, a potem z naszego małego mieszkania.

- Rain! - krzyknęła za mną mama, ale huk drzwi uciął jej krzyk, a ja zbiegłam głośno po schodach.

Nawet nie pamiętam, jak opuściłam nasz blok. W jednej chwili stałam w bawialni, patrząc na mamę i Beni, a w następnej szłam ulicą tak szybko, że praktycznie rzecz biorąc, biegłam. Niczego nie widziałam ani nie słyszałam, nawet samochodów. Kierowcy trąbili na mnie i krzyczeli, gdy przebiegałam jezdnię na czerwonym świetle. W pewnej chwili usłyszałam przenikliwy pisk hamulców. Mimo to szłam cały czas przed siebie, jakbym zmierzała do konkretnego celu. Po moich policzkach i brodzie spływały łzy. Miałam wrażenie, że

serce mi pięknie, ale nie zwalniałam kroku, choć świat przede mną i wokół mnie pochłonęła mgła.

Latisha Arnold nie jest moją prawdziwą matką? Kobieta, którą przez całe życie nazywałam mamą, nie urodziła mnie, a ja nie byłam jej dzieckiem? Kim jest moja prawdziwa matka? A Ken? Czy Ken to mój ojciec? A przede wszystkim, kim jestem ja sama? Ken nazwał mnie białą dziewczyną. Jak to możliwe? Co miał na myśli?

W jednej chwili moje imię, nazwisko, rodzina, cała moja historia, wspomnienia, wszystko to zamieniło się w pękające bańki mydlane. Cały świat stanął na głowie, ziemia usunęła mi się spod nóg. Czułam się, jakbym unosiła się w stanie nieważkości.

Zatrzymałam się, by popatrzeć na swoje odbicie w sklepowej witrynie. Wydało mi się, że patrzę na kompletnie obcą osobę. Włosy miałam potargane, w oczach gorączkę. Rozśmieszyło mnie to i wybuchnęłam szaleńczym śmiechem. Zatkałam sobie usta dłonią, by powstrzymać śmiech, i znów zaczęłam płakać. Ruszyłam, idąc coraz szybciej i szybciej. Gdzieś na marginesie świadomości odnotowałam gapiących się na mnie ludzi, pośród nich jakichś znajomych.

Gorące łzy spływały mi po twarzy, zostawiając palący ślad. Po dziesięciu minutach czy po kwadransie zatrzymałam się, czując w końcu narastający ból nóg i żołądka. Przez chwilę stałam na rogu ulicy, wpatrując się w rozciągający się przede mną park.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, jak daleko za-  
szłam. Znalazłam się w zupełnie innej, daleko przyjemniejszej  
dzielnicy miasta. Wokół rozciągały się niewielkie domy z ele-  
wacjami licowanymi piaskowcem w kolorze ciepłego brązu,  
zamieszkałe przez rodziny z klasy średniej. Dzieci w parku  
bawiły się na huśtawkach i zjeżdżalniach. Obok, na ławkach,  
siedziały ich matki i niańki. Śmiechy i radosne krzyki dzie-  
ciaków składały się na muzykę szczęścia, którą można było  
usłyszeć tylko w tym miejscu.

Przeszłam przez ulicę i stanęłam przed ogrodzeniem, by

przyjrzeć się tym zadowolonym dzieciom. Jakaś dziewczynka płakała i matka przykucnęła przed nią, by ją pocieszyć. Odgarnęła kasztanowe loki dziecka i to, co mówiła, łagodność głosu i płynąca z oczu miłość, szybko poprawiły jej córce humor. Matka przytuliła dziewczynkę, która wróciła na karuzelę, śmiejąc się i podskakując, jakby nie zdarzyło się i jakby nigdy nie miało się wydarzyć nic straszego.

Taka była dla mnie mama, pomyślałam. Ocierała mi łzy, napełniała moje serce nadzieją, śpiewała kołysanki, przy których słodko zasypiałam. Nic w jej zachowaniu nigdy nie zasugerowało, że może nie być moją prawdziwą matką. Jak ona to zrobiła? Czemu to zrobiła?

Prawdą było również i to, co mówiła Beni. Często odnosiłam wrażenie, że mama troszczy się o mnie i kocha mnie bardziej niż ja. O ileż bardziej Beni musiała mnie teraz nienawidzić, odkąd wiedziała, że nie jestem nawet jej rodzoną siostrą! To było takie trudne i takie niesprawiedliwe.

Jakiś dziewięcio- lub dziesięcioletni chłopiec pobiegł za czerwoną piłką i stanął przed ogrodzeniem. Podniósł piłkę i przyjrzał mi się z ciekawością.

- Cześć - powiedziałam.

Uśmiechnął się do mnie. Miał najbardziej promienne, błękitne i radosne oczy, jakie w życiu widziałam.

- Cześć - rzucił i uśmiechnął się szerzej.

Odwrócił się i odbiegł. Jego nogi poruszały się tak szybko i niezręcznie, że wyglądały, jakby były owinięte gumowymi taśmami. Obejrzał się przez ramię i przesłał mi jeszcze jeden promienny uśmiech. Czy kiedykolwiek byłam równie szczęśliwa? Czy kiedykolwiek będę?

Poszłam dalej. Robiło się coraz później. Słońce skryło się za wysokimi budynkami. Coraz dłuższe i głębsze plamy cienia rozlewały się na asfalcie, jak syrop klonowy na naleśnikach. W oknach mieszkań zapalały się światła. Ludzie zasiadali do posiłku. Przypomniały mi się kotlety wieprzowe, które zo-

stawiałam na patelni, i przez chwilę zastanawiałam się, czy wszystko, co mi się przydarzyło, nie było tylko snem. Czy jeśli zamrugam oczami, znajdę się z powrotem przed kuchenką? Wolałabym już nawet nasze ciężkie życie od tego wszystkiego, pomyślałam.

Zmęczona usiadłam na ławce na przystanku autobusowym. Po chwili obok mnie usiadły dwie starsze ciemnoskóre kobiety. Właściwie ich nie słuchałam, ale wychwytywałam jakieś strzępy rozmowy o dzieciach, wnukach i nadchodzących wakacjach. Bez rodziny nie ma wakacji, pomyślałam. Nie ma Bożego Narodzenia, nie daje się prezentów ani się ich nie dostaje, nie ma Święta Dziękczynienia i tradycyjnego indyka na obiad.

Musiałam chyba mimo woli jęknąć głośno, bo obie starsze panie odwróciły do mnie głowy.

- Wszystko w porządku, dziecko? - spytała ta siedząca bliżej mnie.

Nie odpowiedziałam. Nadjechał autobus i starsze panie podniosły się z miejsc, oglądając się na mnie, zdziwione, że nie ruszam się z ławki. Wsiadły i autobus odjechał. Zrobiło się ciemniej i chłodniej. Zadrżałam z zimna i otuliłam się ramionami. Wokół toczył się normalny ruch, ludzie przechodzili przez ulicę, mijali mnie, idąc chodnikiem, ale nic z tego nie zauważałam. Patrzyłam przed siebie, w głowie miałam kompletną pustkę.

Wreszcie podniosłam się z ławki i ruszyłam przed siebie, nie zastanawiając się, dokąd idę. Szłam ze spuszczoną głową, ale w pewnej chwili uświadomiłam sobie, że obok mnie zwalnia samochód pełen czarnych chłopaków. Minęli mnie i zawrócili. Samochód był poobijany i brakowało mu tylnej szyby. Było to jedno z tych aut, które Roy nazywał łazarzami, cudem wskrzeszonymi nieboszczykami. Tym razem, mijając mnie, wszyscy chłopcy wyglądali przez okna. Kierowca zagwizdał, a jego koledzy zaczęli się wydzierać pod moim adresem. Nie zwracając na nich uwagi, skręciłam w boczną ulicę.

Nie odczepili się jednak, tylko bardzo powoli jechali dalej za mną, jak kot, który skrada się, nim rzuci się na mysz. Kiedy

rozejrzałam się w końcu wokół, uświadomiłam sobie, że popełniłam błąd. Znow znalazłam się pośród obskurnych bloków i zdewastowanych podwórek. Ogarnął mnie lęk. Nie wiedząc o tym, zatoczyłam koło i trafiłam z powrotem do naszego osiedla. Wiedziałam, że wpakowałam się w niebezpieczną sytuację, ale nie myślałam teraz o sobie; myślałam o mamie i o tym, że pewnie kręci się zdenerwowana po mieszkaniu, pełna lęku i niepokoju o mnie.

Ale jednocześnie nie mogłam uwolnić się od złości. Już dawno powinna była powiedzieć mi prawdę. Całe moje życie było jednym wielkim kłamstwem, a mama nienawidziła kłamstwa. Dlaczego zatem tak długo mnie oszukiwała? Czy kiedykolwiek powiedziałaaby mi prawdę, gdyby Ken nie wygadał się po pijanemu?

- Podwieźć cię, mała? Co powiesz na przejażdżkę? - zawołał za mną chłopak siedzący za kierownicą poobijanego samochodu.

Przyśpieszyłam kroku, ale do naszego bloku miałam wciąż jeszcze kawał drogi; co gorsza, w panice skręciłam w niewłaściwą ulicę. Im dłużej szłam, tym mniejszy panował wokół ruch. Chodniki były praktycznie puste. Ciemność opadała na świat niczym kurtyna z ołowiu. Wszyscy śpieszyli się, by czym prędzej znaleźć się w domu i zamknąć za sobą drzwi.

- Nie bądź taka nieśmiała - odezwał się jeden z chłopaków.

Samochód podjechał bliżej i toczył się teraz tuż obok mnie. Zerknęłam spod oka, w środku siedziało czterech chłopaków wyglądających na członków gangu. Auto przyśpieszyło, wyprzedzając mnie. Już myślałam, że dadzą mi spokój, ale samochód się zatrzymał i jeden z pasażerów z tylnego siedzenia wysiadł, przytrzymując szeroko otwarte drzwi.

- Wskakuj, skarbie - powiedział. - Twoja limuzyna zajęła.

Zatrzymałam się kilka kroków przed nim.

- Odczepcie się ode mnie! - krzyknęłam.
- Chcemy ci tylko pomóc.
- Nie potrzebuję waszej pomocy.

Samochód cofnął się powoli, chłopak szedł chodnikiem, trzymając otwarte drzwi. Odwróciłam się i ruszyłam z powrotem tam, skąd przyszłam.

- Ej, dokąd to? To niegrzecznie! - zawołał za mną chłopak.

Usłyszałam trzaśnięcie drzwi, zaraz potem ryk silnika i pisk opon. Samochód zawrócił. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam, że moi prześladowcy jadą za mną. Zaczęłam biec, ale nie miałam pojęcia, dokąd mam się kierować. Wszystkie przecznice były jeszcze ciemniejsze i jeszcze bardziej opustoszałe niż ta, którą dotąd szłam. Zaraz mnie dopadną! - przemknęło mi przez głowę. Samochód był coraz bliżej. Zdyszana pędziłam przed siebie na oślep, dopóki nie wpadłam na jakiegoś mężczyznę, który chwycił mnie mocno w ramiona. Uratował mnie przed upadkiem, ale jednocześnie miał mnie w swoich rękach. Znalazłam się w pułapce!

Przerażona podniosłam wzrok. Tuż przed oczami błysnęły mi białka oczu osadzonych w czarnej twarzy. Mężczyzna, który mnie zatrzymał, musiał być dobrze po pięćdziesiątce, miał przerzedzone siwe włosy, ale wciąż jeszcze z pewnością dość siły, wysoki i szeroki w barach jak niedźwiedź. Był we flanelowej koszuli z podwinietymi rękawami, dżinsach i trampkach. Kiedy na niego wpadłam, worek, który niósł przewieszony przez ramię, upadł na chodnik.

- Hej! Uważaj, dziewczyno, bo jak będziesz tak pędzić, wpadniesz na jakiś dom i zrobisz sobie krzywdę.

Samochód zatrzymał się obok nas. Chłopcy przyglądali się nam przez okna.

- Za młoda dla ciebie, Pop. Daj ją nam tutaj - rzucił kierowca.

- Wynoście się stąd - rzekł w odpowiedzi mężczyzna.

- A co nam zrobisz? Zawołasz policjanta? - zaśmiał się jeden z chłopaków.

Jego koledzy też wybuchnęli śmiechem.

Mężczyzna puścił mnie, schylił się i sięgnął po worek. Myślałam, że zamierza mnie zostawić, ale on wyciągnął rewolwer. Z bliska widziałam, że broń jest stara, i wątpiłam, by można z niej było jeszcze wystrzelić, ale moi prześladowcy się przestraszyli.

- Jezu! Co chcesz zrobić? Daj spokój, Pop! Nie celuj we mnie! - rozległy się przerażone głosy.

- Zbierajcie się stąd! - rzucił mężczyzna i odbezpieczył broń.

Samochód ruszył z piskiem opon i zniknął za rogiem.

- Dziękuję panu - powiedziałam.

Starszy mężczyzna popatrzył na mnie i z dezaprobatą pokręcił głową.

- Czemu kręcisz się o tej porze sama po takiej okolicy, dziewczyno? - spytał surowo. - Szukasz kłopotów czy co?

- Nie, proszę pana. Zgubiłam się.

- To nie jest miejsce, w którym można się gubić.

Rozejrzał się wokół. Serce wciąż mi waliło jak szalone. Bałam się, że faceci z samochodu czają się gdzieś za rogiem, czekając, aż znów zostanę sama. Mężczyzna najwyraźniej też tak pomyślał, bo kiedy ponownie na mnie spojrzeł, miał łagodniejszą minę.

- Chodź ze mną - powiedział. - Mieszkam tu obok, na parterze. Masz pieniądze na taksówkę?

- Nie, proszę pana.

- W domu jest telefon. Masz kogoś, po kogo mogłabyś zadzwonić, żeby cię zabrał?

- Tak, proszę pana.

Uśmiechnął się z ulgą.

- No to chodźmy. To obok, w sąsiednim budynku - oznajmił, wsunął rewolwer do worka, a worek zarzucił na ramię.

Stałam niezdecydowana. Trochę się go bałam.

- Chodź, dziewczyno, nie mamy tu na co czekać. Robi się chłodno.

Kiwnęłam głową i poszłam za nim. Raz jeszcze rozejrzałam się wokół, żeby sprawdzić, czy nie śledzą nas faceci z samochodu.

Mieszkanie, do którego mnie zabrał, było niewiele większe od pokoju, który dzieliłam z Beni. Pod ścianą stała kanapa, naprzeciwko był zlew i kuchenka elektryczna. W kącie mała lodówka, fotel i stolik. Ciasne wewnątrz oświetlała lampa z zielonym abażurem, obrzeżonym frędzlami. W jej blasku pokój Popa pomimo oczywistej biedy wyglądał całkiem przyjemnie i przytulnie.

- Tam jest łazienka. - Wskazał wąskie drzwi po prawej.

- Nie potrzebuję łazienki - odpowiedziałam niepewnie.

Mężczyzna zakaszłał.

- Tu masz telefon - rzekł, wskazując brodą stojącą pod stołem dziecinną zabawkę.

Oślupiałam.

- To nie jest prawdziwy telefon.

Mężczyzna popatrzył na mnie, a potem na zabawkę.

- Ależ tak! Mój chłopak dzwoni do mnie co tydzień. Śmiało, dzwoń.

Stałam pośrodku pokoju, nie wiedząc, co robić. Mój gospodarz zaczął rozładowywać worek. Wyciągnął z niego kolejno torebkę z resztką chipsów, jakieś puszki, zardzewiałe narzędzia, puste butelki po piwie. Uświadomiłam sobie, że włóczy się po śmietnikach i gromadzi, co popadnie, jakby to były skarby. Na koniec położył na stoliku rewolwer. Potem spojrział na mnie.

- Zadzwoń?

- Tak, proszę pana.

- To dobrze. Mogę ci zrobić herbaty. Niestety, nie mam dziś kawy.

- Nic nie szkodzi. Dziękuję - odpowiedziałam, cofając się do drzwi.

- Może chcesz pooglądać telewizję? - Wyciągnął zza kanapy mały telewizor, wcisnął guzik i kręcił gałkami, dopóki nie pojawił się czarno-biały obraz i dźwięk. - Jak chcesz,



siadź sobie na kanapie i pooglądaj telewizję, dopóki ktoś po ciebie nie przyjdzie.

- Dziękuję panu, ale poczekam na zewnątrz.

- Robi się chłodno.

- Nie jest tak źle - powiedziałam, robiąc kolejny krok do drzwi. - Już wiosna.

- Tak, wiosna - przyznał z uśmiechem. - Wiśnie kwitną. Zaraz powinien zadzwonić mój syn. - Usiadł na kanapie i zapatrzył się w przestrzeń.

- A gdzie jest pański syn?

- Och, na północy, w Rochester, w Nowym Jorku - odpowiedział. - Jest kierownikiem restauracji.

- To miło. A co pan robi?

- Ja? Jestem emerytem. Kiedyś byłem tu dozorcą. Teraz... jestem na emeryturze - powtórzył. - Wyszedłbym z tobą, ale muszę czekać na telefon od syna. Nie odchodź daleko, a gdyby pokazali się ci chuligani, wracaj tu do mnie, dobrze, panienko?

- Jasne. Dziękuję panu. - Otworzyłam drzwi. - Och, przepraszam. Jak się pan nazywa?

- Jestem Norris Patton - odparł. - W wojsku trenowałem boks. Byłem mistrzem wagi półśredniej. - Zacisnął pięść. - Nazywali mnie Młot Kowalski.

Roześmiał się i zauważyłam, że brak mu kilku zębów w głębi ust.

- Dziękuję za pomoc, panie Patton.

- Nie ma za co - powiedział i naraz jego twarz rozjaśnił uśmiech wielkiej radości. - To on! - oznajmił i sięgnął pod stolik po telefon-zabawkę.

Patrzyłam na niego przez chwilę, a potem wyszłam na ulicę. Czy i mnie czeka taki los? Czy nie mając prawdziwej rodziny, ja także wymyślę sobie najbliższych?

Z grubsza wiedziałam, w którą stronę powinnam iść, ale okropnie bałam się maszerować sama przez noc. Zbliżając się do rogu ulicy, ujrzałam jednak znajomą ciężarówkę, jadącą bardzo powoli ulicą. W świetle latarni ujrzałam na drzwiach

napis SLIM'S GARAGE. Za kierownicą siedział Roy. Gdy tylko mnie zauważył, zjechał pod krawężnik chodnika, na którym stałam, i wyskoczył z szoferki.

- Rain! Chwała Bogu, że cię znalazłem. Co się z tobą dzieje? Dlaczego, u diabła, uciekłaś z domu? Mama jest tak roztrzęsiona, że musiała się położyć. Co ty tu robisz? - spytał gniewnie, rozglądając się dookoła. - To paskudna okolica!

Popatrzył na mnie. Nigdy w życiu nie widziałam, żeby był równie wściekły.

Ogromnie się cieszyłam, że go widzę, ale nie wiedziałam, jak to okazać.

- Nie wiesz, czemu uciekłam z domu?

- Wskakuj do wozu, Rain. Muszę go odstawić do garażu. Wziąłem samochód, gdy tylko mama zadzwoniła. Slim nawet o tym nie wie.

- A teraz masz ze mną kłopot - powiedziałam, wsiadając do ciężarówki.

- Nigdy nie ma z tobą żadnych kłopotów, Rain, ale prawdę mówiąc, nie powinnaś była tego robić. Szukałem cię na oślep po całej dzielnicy. Potem Pete Williams powiedział mi, że widział cię w tych okolicach. Niech to diabli, Rain, mama jest kompletnie załamana.

- Ja też - odpowiedziałam. - Przez te wszystkie lata ukrywała przede mną prawdę.

Popatrzył na mnie i pokręcił głową.

- Nie wiem nic na ten temat, Rain, ale mama nie jest osobą, której łatwo przyszyłoby kłamstwo. Sama to wiesz. Powinnaś wiedzieć. W całym mieście nie ma kobiety lepszej niż mama.

- Czy naprawdę nie wiesz, co się stało?

- Wiem - odpowiedział miękko. - Beni mi powiedziała.

Wbiłam wzrok w ziemię.

- Ona nie jest moją prawdziwą matką - wyjaśniłam cicho.

- To nie znaczy jeszcze, że mama nie kocha cię równie mocno, jak kochałaby cię prawdziwa matka - zapewnił mnie Roy.

- Co nie zmienia faktu, że cała ta historia bardzo mnie boli, Roy. Może lepiej byłoby, gdybym nigdy się nie dowiedziała. Może i ona wolałaby nigdy mi o tym nie mówić.

Roy nie odpowiedział. Odwiozł mnie prosto do Projektów.

- Po prostu idź do domu i porozmawiaj z mamą, Rain. Ja muszę odstawić ciężarówkę Slimowi. Zaraz potem wrócę.

Zawahałam się, patrząc na nasz blok.

- To jest jedyny dom, jaki masz, Rain. - Roy wskazał kiwnięciem głowy ponury szary budynek. - Tu mieszkają jedyni ludzie, którzy cię kochają.

Patrzyłam na niego przez chwilę oczami pełnymi łez. Potem otworzyłam drzwi i wyskoczyłam z samochodu. Roy odjechał dopiero, gdy weszłam na klatkę schodową.

Kiedy przyszłam do domu, przy stole siedziała tylko Beni. Dziobała widelcem jedzenie. Uniosła głowę i przesłała mi ponure spojrzenie.

- Gdzie się podziewałaś?

- Byłam na spacerze.

- Na spacerze? - powtórzyła zjadliwie. - Mama przez ciebie płakała. Nic nie chciała jeść i poszła prosto do łóżka.

Stałam w drzwiach kuchni.

- O co się tak wściekłaś?

Patrzyłam na nią oczami pełnymi łez.

- Miałam prawo dowiedzieć się tego już dawno. Jak byś się czuła, gdyby tobie zdarzyło się coś podobnego?

Beni wzruszyła ramionami. Potem popatrzyła na mnie z odrazą i głęboką niechęcią.

- Więc masz w żyłach białą krew. Zawsze to czułam. Nie potrafię wytłumaczyć skąd, ale to wiedziałam.

- To niczego nie zmienia.

Beni uśmiechnęła się głupawo.

- Rain - usłyszałyśmy głos mamy. - Czy to ty, skarbie?

Spojrzałam na Beni, która zmierzyła mnie wzrokiem pełnym odrazy. Było to tak nieprzyjemne, że odwróciłam oczy.

- Skarbie - jęknęła mama.

- Tak, mammo.

- Chodź tu do mnie, proszę - błagała.

Weszłam do jej pokoju. Miała na głowie kompres ze zwilżonej zimną wodą ścierki. W świetle małej lampki, stojącej na stoliku obok kanapy, bruzdy na jej twarzy wydały mi się głębsze niż zwykle. Mama jest węższa, niż komukolwiek z nas się wydaje, pomyślałam. Zbyt długo ugiwała się samotnie pod ciężarem nadmiernego brzemienia.

Mama wyciągnęła do mnie szczupłą dłoń. Ujęłam ją.

- Zranić cię, Rain, kochanie, to ostatnia rzecz, jaką chciałybym zrobić. Uwierz mi, proszę.

- Wiem, mamo.

Nie umiałabym nazwać jej inaczej. Zawsze była moją... mamą.

- Nieraz omal ci wszystkiego nie powiedziałam, Rain. Czasem zdawało mi się, że sama się tego domyślasz. Nie mówiąc już o tym, ile razy zdarzyło się, że Ken palnął coś, co mogło wzbudzić twoje podejrzenia. Zagroziłam mu, że jeżeli kiedykolwiek cię z tego powodu zrani, to go zabiję. Zabawne... - Mama się uśmiechnęła. - Gdy Ken pierwszy raz zaproponował mi, żebyśmy cię wzięli, omal nie przyłożyłam mu po głowę patelnią. Jak moglibyśmy przyjąć odpowiedzialność za cudze dziecko, nawet za takie pieniądze?

- Jakie pieniądze, mamo?

- Nic ci nie przyjdzie z tego, że będziesz wiedziała, ile ich było, dziecko. Ken i tak wszystko to przegrał i przepił.

- Ile tego było? - Nie ustępowałam. Chciałam wiedzieć, ile byłam warta dla swojej prawdziwej matki. - Powiedz mi, ile?

- Dwadzieścia tysięcy dolarów. Chciałam część tych pieniędzy dobrze ulokować, żebyś miała za co iść do college'u, ale Ken położył na nich łapska, zanim się zorientowałam, i wszystko przepuścił.

- Czy powiesz mi w końcu całą prawdę, mamo? Bez żadnych kłamstw?

- Nie okłamywałam cię, dziecko. Zawsze byłaś dla mnie jak własna córka - oświadczyła mama.

- Kłamałaś, opowiadając mi o rodzinie, mamó; kłamałaś, mówiąc, że jestem podobna do dziadków. Opowiedziałaś mi mnóstwo nieprawdziwych historii - przypomniałam jej.

Mama tylko się uśmiechnęła, jakby nie czuła się niczemu winna.

- To wszystko po to, żebyś wiedziała, że należysz do rodziny, Rain. Tyle razy opowiadałam ci te historie, że w końcu sama w nie uwierzyłam.

- Teraz wreszcie przyszła pora, żebyś powiedziała mi prawdę, mamó.

Kiwnęła głową, zdjęła kompres z czoła i usiadła na łóżku. W tej samej chwili uchyliły się drzwi do pokoju. Beni oparła się o futrynę.

- Czy to jakaś tajemnica, czy ja też mam prawo wiedzieć, o co chodzi?

- Decyzja należy do Rain - oświadczyła mama.

- Oczywiście, że masz prawo wszystko wiedzieć, Beni. Należymy do jednej rodziny - powiedziałam.

Beni weszła do pokoju. Mama popatrzyła na nas, westchnęła głęboko i zaczęła:

- Twoja prawdziwa matka zaszła w ciążę jako uczennica college'u. Jej rodzice byli bogaci, ale ona była buntowniczym duchem, włączyła się w radykalny ruch polityczny. Zaszła w ciążę z pewnym młodym czarnym facetem... nie, kochanie, to nie był Ken, ale o niczym nie powiedziała rodzicom, aż w końcu było za późno. Musiała wybuchnąć niezła draka.

Mama urwała i wzięła głęboki oddech. A więc Ken nie był moim ojcem. Muszę przyznać, że kiedy się o tym dowiedziałam, poczułam ulgę. Już się bałam, że miał romans z jakąś białą dziewczyną i wziął dziecko do domu, zmuszając mamę, żeby wychowała mnie jak własną córkę.

- Ale faktem jest, że Ken pracował u jej ojca, który zaproponował mu, żebyśmy wzięli na wychowanie dziecko, to znaczy ciebie. Miałaś się urodzić z dala od domu, tak żeby nikt się nie zorientował. Oczywiście Kenowi bardzo się spo-

dobal pomysł, że dostanie tyle pieniędzy po prostu za to, że zaopiekujemy się cudzym dzieckiem. Cóż mu to w końcu mogło przeszkadzać? I tak bywał w domu rzadkim gościem.

- Jak to możliwe, że tak po prostu wzięliście dziecko, udając, że jest wasze? - spytałam sceptycznie.

- Mnie się to wcale nie podobało i nie chciałam tego zrobić, ale Ken w końcu przyniósł cię do domu i tyle... Nie mogłabym wyrzucić dziecka na ulicę, więc zajęłam się tobą najlepiej, jak umiałam. I tak oto jesteśmy tu razem. To wszystko są dawne sprawy, Rain. Przysięgam, że od lat o tym nawet nie myślałam. Wszyscy cię kochamy, skarbie. Mam nadzieję, że potrafisz zaakceptować obecny stan rzeczy; my jesteśmy twoją rodziną - zakończyła.

- Czy moja matka kiedykolwiek przysłała mnie zobaczyć?

- Och, nie, skarbie. Odkąd tata przyniósł cię do domu, twoi rodzice nie dali znaku życia. Żadne z nich nawet nie zadzwoniło.

Poczułam się obrzydliwie, kiedy to usłyszałam. Jak to możliwe, żeby oddać komuś dziecko i nie okazać najmniejszego zainteresowania jego losem?

- Wymogli na nas także obietnicę, że my również nie będziemy próbowali się z nimi kontaktować - dorzuciła mama.

- Nie chcieli cię widzieć na oczy, bo miałaś czarnego ojca - oświadczyła Beni z ponurą satysfakcją.

- Cicho bądź! - ofuknęła ją mama. - Dla Rain to i tak jest trudna sytuacja.

- Czemu zawsze bronisz Rain, mammo? Nawet teraz bardziej przejmujesz się jej uczuciami niż moimi. Jezu, mammo, przecież ona cię zostawiła i uciekła z domu. Mówi ci w oczy, że kłamiesz. Dlaczego zawsze bierzesz jej stronę, a na mnie krzyczysz?

- Nie biorę niczyjej strony, Beni.

- Beni ma rację, mammo - odezwałam się łagodnie. - Nie powinnam uciekać z domu; boli mnie, że przeze mnie źle się czujesz. To nie twoja wina, że moja prawdziwa matka mnie nie chciała.

Spojrzałam na nią przez łzy.

- Dostałam od ciebie więcej, niż na to zasługuję. Nie powinnam była tak się zachować. Przepraszam, mammo.

- Tylko mi teraz nie zacznij płakać, Rain. - Mama pociągnęła nosem.

Podeszłam do niej. Wyciągnęła ramiona i objęłyśmy się z całych sił. Gdy zerknęłam na Beni, dostrzegłam w jej oczach ból.

- Mam nadzieję, że nadal będziesz mnie traktowała jak siostrę, Beni?

- Oczywiście - odpowiedziała za nią mama.

- A mam jakiś wybór? - prychnęła Beni i wyszła z bawialni.

Odwróciłam się do mamy.

- Martwię się o to, co może wymyślić Ken - powiedziała mama. - Boję się, że zechce szantażować tych ludzi, a to nie są ludzie, którzy pozwoliliby się szantażować.

- Chciałabym wiedzieć, co to za ludzie, mammo.

- Tylko bardziej by cię to bolało, Rain.

- Czy moja matka wciąż mieszka w Waszyngtonie?

- Szczerze mówiąc, nie wiem na pewno.

- Nie możesz mi powiedzieć, jak się nazywa moja matka?

- Miałam nadzieję, że nie będziesz chciała się tego dowiedzieć, Rain. To tak jakbyś poszła do śródmieścia i wpatrywała się w te wszystkie wspaniałe wystawy i marzyła o rzeczach, których nie będziesz nigdy miała. Tym trudniej będzie ci zaakceptować, kim jesteś i jak musisz żyć.

- Zawsze będzie mnie to dręczyło, mammo. Nic na to nie poradzę - powiedziałam.

Mama skinęła głową i powoli wstała z łóżka. Otworzyła szafę i wyjęła z niej stare pudełko po butach. Podniosła pokrywkę i grzebała przez chwilę we wnętrzu pudełka. Wreszcie znalazła to, czego szukała.

- Od tej pory pewnie wyszła za męża i zmieniła nazwisko. - Z tymi słowami podała mi kartkę.

Spojrzałam na nią i przeczytałam „Megan Hudson”. To

wszystko, co wiedziałam o mojej biologicznej matce, znałam jej imię i nazwisko.

- Czy mogę to zachować, mammo?

Mama skinęła głową.

- Bardzo mi przykro, że tak się to wszystko potoczyło, Rain. Chciałabym, żebyś mi uwierzyła, że to w niczym nie umniejsza mojej miłości dla ciebie.

- Wiem, mammo.

Uścisnęłyśmy się jeszcze raz.

- Idź, weź sobie coś do jedzenia - powiedziała - i zobacz, co Beni zrobiła na obiad. Lada chwila wróci twój brat i nie mam żadnych wątpliwości, że będzie głodny jak wilk.

- Dobrze, mammo - zgodziłam się i poszłam do kuchni.

Beni nie zdjęła na czas kotletów z ognia. Uratowałam z nich, co się dało, i odgrzałam warzywa. Beni usłyszała, jak się krzątam, i przysłała do mnie, do kuchni. Stała w drzwiach ze splecionymi na piersiach rękami.

- Nie jesteś głodna, Beni?

- Nie jesteś głodna, Beni? - przedrzeźniała moje słowa.

- Co ci się stało?

- Nic - odpowiedziała. - Nigdy nie zdarza ci się zrobić nic złego. Teraz wiem, dlaczego mama zawsze tak cię wyróżnia. Założę się, że będziesz jeszcze bardziej zadzierać nosa.

- Głupio gadasz, Beni. Oczywiście, że nie będę zadzierać nosa. Teraz przecież nie zadzieraam.

Otworzyły się drzwi i wszedł Roy. Stał i popatrzył na Beni i na mnie.

- Jak się czuje mama? - zapytał.

- Dobrze - odparła szorstko Beni. - Zwłaszcza odkąd jej szczęście jest znowu w domu.

- Że co?

- Idę do Alicji - oświadczyła Beni i ruszyła do drzwi.

- Lepiej nigdzie teraz nie wychodź - ostrzegł ją Roy.

- Dlaczego? Co mi mama zrobi, kiedy wrócę? Może przytuli mnie, pocałuje i nazwie swoim kochaniem? - Beni wyszła z mieszkania i trzasnęła z rozmachem drzwiami.



- Co jej się stało? - spytał Roy.  
- Nie wiem - powiedziałam. - Bardziej ją to wszystko przygnębiło niż mnie.

- Czy mama naprawdę dobrze się czuje?

- Tak, ma się już lepiej. Leży w łóżku i odpoczywa. Z kotletami zrobiłam, co mogłam. Przepraszam, ale trochę się przypaliły.

- Dziś zjadłbym nawet gotowane podeszwy - odpowiedział Roy. - Zaraz przyjdę do kuchni.

Poszedł do łazienki. Nałożyłam mu jedzenie na talerz.

- Co z Kenem? - spytał, siadając do stołu.

- Nie wiem.

- Skończy w więzieniu jak jego brat - wyrokował Roy, zjadając z apetytem.

Ja zjadłam zaledwie parę kęsów, bo wciąż miałam ściśnięty żołądek. Po posiłku Roy zjrzał do mamy. Pozmywałam i wzięłam prysznic; miałam szczęście, bo chociaż raz starczyło ciepłej wody. Owinięta w ręcznik usiadłam w pokoju i zaczęłam wycierać włosy drugim ręcznikiem. Usłyszałam pukanie do drzwi.

- Tak?

- Czy mogę ci dotrzymać przez chwilę towarzystwa?

- Jasne - odpowiedziałam.

Roy otworzył drzwi, ale na mój widok zatrzymał się niepewnie.

- Jeśli chcesz, zajrzę później.

- Nie, wchodź teraz. Już skończyłam.

Wszedł i usiadł na moim łóżku ze spuszczoną głową.

- Jak się czuje mama? - spytałam.

- Dobrze. Spi. - Popatrzył na mnie. W oczach miał ból. - Ta kobieta przeszła prawdziwe piekło. Nie trzeba jej więcej kłopotów.

- Nie zamierzam przysparzać mamie kłopotów, Roy.

Nie wyglądał na przekonanego.

- Myślisz, że ja też zacznę się zachowywać inaczej niż dotąd, Roy? Tak jak się to zdaje Beni? Sądzisz, że zacznę zadzierać nosa, jakbym była kimś lepszym?

- Nie - zapewnił. - Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabyś kogokolwiek źle traktować, Rain. Beni też to przejdzie - pocieszył mnie. - Zawsze tak się zachowuje, bo chce, żeby jej ktoś współczuł.

- Ona potrzebuje twojej miłości, Roy. Potrzebuje poczucia, że ktoś ją kocha - powiedziałam.

Spojrzał w bok, a potem powoli odwrócił do mnie głowę. Hebanowe oczy wpatrywały się we mnie z takim napięciem, że moje serce zatrzepotało jak spłoszony motyl.

- Co, Roy? - spytałam.

- Wiesz, co poczułem, kiedy pierwszy raz usłyszałem o tym wszystkim?

- Domyślam się, że miałeś zamęt w głowie i poczułeś się przygnębiony.

- Nie - odpowiedział. - Poczułem ogromną ulgę. Cieszyłem się, Rain. Przestałem mieć takie wyrzuty sumienia.

Pokręciłam głową.

- Teraz ja się czuję zakłopotana.

Roy spuścił głowę, ale potem uniósł ją znowu i popatrzył na mnie miękko.

- Wydawało mi się, że dzieje się ze mną coś strasznego, Rain. Odkąd sięgam pamięcią, czułem wobec ciebie takie rzeczy, że czasem było mi strasznie głupio i wstyd.

- Wstyd? - spytałam. - Czemu?

- Ponieważ patrzyłem na ciebie tak, jak brat nie powinien patrzeć na siostrę. Nic na to nie mogłem poradzić. Próbowałem nie podnosić na ciebie oczu, jeśli nie było to konieczne. Starałem się ciebie nie dotykać. A jeśli już się to zdarzyło...

- ...to? - spytałam, czując, że głos więźnie mi w krtani.

- Czułem się bardziej jak mężczyzna niż jak brat. Rozumiesz mnie?

Rozumiałam go, ale pokręciłam głową, bo nie chciałam go zrozumieć.

- Z zazdrością myślałem o tym, że mogłabyś mieć chłopaka. Bardzo się cieszyłem, że jesteś taka niedostępna. I czułem

do siebie nienawiść za takie myśli. Chciałem nawet iść z tego powodu do spowiedzi. Niekiedy leżałem, nie śpiąc, i słuchałem twojego głosu, kiedy rozmawiałaś z Beni. Nie chciałem tego, nie masz pojęcia, jak bardzo tego nie chciałem. Raz... raz nawet wbiłem sobie długopis w nogę, żeby się oderwać od tych myśli.

Zrobiłam takie wielkie oczy, że aż się przestraszył.

- Tak naprawdę nie wyrządziłem sobie wielkiej krzywdy - dodał szybko.

- Od jakich myśli, Roy?

Popatrzył w bok, a potem rzucił mi złe spojrzenie.

- Od myśli o tobie, od ogarniającej całe ciało gorączki. To nie w porządku, powtarzałem sobie. To złe, wstrętne, grzeszne. Ale nie mogłem na to nic poradzić i im byłaś starsza i ładniejsza, tym trudniej mi przychodziło nad tym panować. Kiedy ten łobuz Jerad robił wtedy na ulicy te swoje obrzydliwe uwagi, miałem ochotę go zabić gołymi rękami. Nie ze względu na to, co powiedział, ale ponieważ czułem, że mnie przejrzał. Nienawidziłem go za to i nienawidziłem siebie za to, że coś takiego we mnie jest.

- No więc - podjął po krótkiej przerwie z niepewnym uśmiechem na ustach - kiedy dowiedziałam się od Beni, jak wygląda prawda, kamień spadł mi z serca, Rain. Pomyślałem, że w końcu nie jestem takim potworem, jakim się czułem. Wiem, że to dla ciebie bolesne, ale nie mogę na to nic poradzić... cieszę się, że nie jesteś moją rodzoną siostrą - przyznał w końcu.

Nagle uświadomiłam sobie, że siedzę w samym tylko ręczniku. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad tym wiele, ale teraz zaczęłam się czuć trochę niepewnie. Nie wiedziałam, co zrobić ani co powiedzieć, żeby Roy nie poczuł się okropnie. Był duży i silny, ale jednocześnie wrażliwy jak chłopiec, którego widziałam w parku za ogrodzeniem. Pragnął akceptującego uśmiechu, potrzebował otuchy.

- Nie czujesz do mnie nienawiści, Rain?

Pokręciłam głową.

- Nie, ja po prostu nie... Chciałam powiedzieć... sama nie wiem, jak to wyrazić, Roy. Kiedy wróciłam do domu i mama opowiedziała mi całą historię, moje uczucia dla Beni i dla ciebie w niczym się nie zmieniły. Rodzina to musi być coś więcej niż ta sama krew krążąca w ludzkich żyłach. Jest wiele sióstr i braci, którzy się nigdy nie widują ani nigdy ze sobą nie rozmawiają. Mama od lat nie spotkała się ze swoim rodzeństwem, Ken także rzadko wspomina brata.

- Och, wiem o tym - odpowiedział szybko Roy. - Nie oczekuję, że cokolwiek zmieni się z dnia na dzień.

- Nie wiem, jak mogłoby się to zmienić, Roy - rzekłam i wzięłam go za rękę. - Przez całe moje życie byłeś dla mnie starszym bratem. Takiego cię kocham - dodałam. - Mam nadzieję, że zawsze nim będziesz.

Roy znów miał smutną minę, a w oczach ból, ale robił, co mógł, żeby to ukryć przede mną.

- Jasne - odpowiedział i uśmiechnął się z wysiłkiem. - Wiadomo. Zawsze będę z tobą, Rain. Nic tego nie zmieni.

- Muszę to wszystko przemyśleć. Będę ci bardzo wdzięczna za pomoc.

Uśmiechnął się szerzej i cieplej.

- Słusznie. Wiesz, z czasem, kiedy ułożysz sobie całą tę historię w głowie, spojrzysz na wszystko inaczej - odezwał się z nadzieją w głosie.

Wiedziałam, o co mu chodzi, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mogłabym traktować go inaczej niż jak starszego brata.

- Ależ słodko sobie gruchacie - oświadczyła Beni, wchodząc do pokoju.

Twarz Roya zrobiła się szara jak popiół. Wyrwał mi dłoń, jakby go parzyła, i zerwał się z łóżka.

- Daj spokój tym brudom! - rzucił do Beni.

- Ciekawe, że jeszcze śmiesz nazywać to, co mówię, brudami, Royu Arnold. Dowiedzieliście się, że nie jesteście rodzeństwem, i natychmiast trzymacie się za rączki?

- Nie trzymaliśmy się za ręce! - zaperzył się Roy. - Po prostu... rozmawialiśmy.

- Jasne - zadrwiła Beni. - Rozmawialiście! - prychnęła. - Jestem zmęczona. Idę spać.

Zaczęła rozpinać bluzkę.

Roy spuścił wzrok, zerknął na mnie i pośpiesznie wyszedł z pokoju. W progu zatrzymał się i spojrzął na siostrę.

- Lepiej nie rób więcej takich nieprzyzwoitych uwag, bo...

- Bo co? - odpaliła, biorąc się pod boki. - Teraz tylko ja jestem twoją prawdziwą siostrą. Ona nie należy do rodziny. - Wskazała na mnie palcem.

Roy otworzył usta, zamknął, a potem się odwrócił i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Beni uśmiechnęła się, zadowolona z siebie. Patrzyłam, jak kręci się po pokoju, szykując do snu.

- To było okrutne z twojej strony, Beni. Nie miałaś powodu, żeby tak się na nas wściekać.

- No proszę - rzuciła ironicznie i odwróciła się do mnie. - Sądząc z tego, jak się mnie traktuje w tym domu, to ja mogłabym być adoptowanym dzieckiem.

- Beni...

- Chodźmy spać - przerwała mi. - I udawajmy, że jesteśmy siostrami.

- Jesteśmy. Zawsze będziemy siostrami, Beni. Tak naprawdę nic się nie zmieniło.

Popatrzyła na mnie, jakbym powiedziała najgłupszą rzecz na świecie, a potem uśmiechnęła pełnym wyższości uśmiechem.

- Oczywiście, Rain, skarbie, zawsze mnie będziesz kochać - przedrzeźniła mnie, a potem roześmiała się i szybko poszła do łazienki.

Włożyłam nocną koszulę i wsunęłam się pod kołdrę. Beni nie miała mi nic więcej do powiedzenia. Po chwili wskoczyła do łóżka i zgasiła nocną lampkę na stoliku. Było ciemno i zdumiewająco cicho. Leżałam z otwartymi oczami i myślałam o leżącym za cienką ścianą Royu. Byłam pewna, że podobnie

jak ja wpatruje się w ciemność, być może nasłuchując, czy się jeszcze nie odezwę.

Byłam wystraszona, ale jednocześnie miałam w głowie straszny zamęt. Nic nie mogłam poradzić na to, że słowa Roya zarazem mi pochlebiały i budziły we mnie niepokój. Może tak czuła się Ewa, kiedy sięgała po zakazany owoc, przerażona i podniecona jednocześnie.

Niemalże bałam się zasnąć.

Niemalże bałam się tego, co mogło mi się przyśnić.

## NARAŻONA NA NIEBEZPIECZEŃSTWO

Tego wieczoru Ken wrócił do domu bardzo późno. Dręczona koszmarami, to zasypiałam, to znów się budziłam, wiercąc się i przewracając na łóżku, jakbym unosiła się w maleńkiej łódeczce na wzburzonych falach morza. Nie słyszałam, jak Ken wchodził do mieszkania, ale później dobiegły mnie uniesione głosy, krzyk i bolesny płacz mamy. Potem zapanowała cisza. Uniosłam się na łokciu i spojrzałam na Beni, żeby przekonać się, czy i ją zbudziły odgłosy kłótni, lecz ona spała kamiennym snem. Długo leżałam, nie mogąc zasnąć, potem pograżyłam się na powrót w niespokojnej drzemce. Następnego ranka Beni wstała pierwsza. Huk zatrzaśniętych przez nią drzwi do łazienki wyrwał mnie ze snu jak nagły wystrzał. Czym prędzej zerwałam się z łóżka, umyłam i zaczęłam ubierać.

Kiedy w końcu weszłam do kuchni, Roy szukał czegoś w lodówce, Beni żuła słodki rogalik, a mama siedziała zgarbiona nad kubkiem kawy. Wszyscy spojrzeli na mnie, ale nikt nie powiedział ani słowa. Panowała głęboka, złowieszcza cisza, jakby w pokoju obok ktoś umierał.

- O, nasza księżniczka wreszcie wstała - odezwała z w końcu ze zjadliwym uśmiechem Beni.

- Jeśli ktokolwiek zachowuje się tu jak księżniczka, to ty - rzucił Roy.

Mama jęknęła, przerażona wspomnieniem nocnej awantury,

i spuściła głowę jeszcze niżej. Jej jęk zdawał się dobiegać skądś z głębi serca, z samego dna duszy. Wymieniliśmy z Royem zatroskane spojrzenia, nawet Beni wyglądała na trochę zawstydzoną swoim zachowaniem.

- Co z Kenem, mamó? - zadałam pytanie.

Mama pokręciła głową i wzięła głęboki oddech.

- Ken postąpił bardzo niedobrze - powiedziała. - Boję się, co z tego wyniknie.

- Co zrobił Ken, mamó? - spytałam, wstrzymując oddech. Mama powoli uniosła spojrzenie.

- Poszedł do tych ludzi i zażądał od nich więcej pieniędzy. Tak przynajmniej twierdzi.

- Do jakich ludzi? - spytał Roy.

- A jak myślisz? - wtrąciła się Beni. - Do starych Rain, a do kogo miałby iść?

Roy spojrzał gniewnie na Beni, a potem odwrócił się z powrotem do mamy.

- Ken tylko tak gada, mamó. Nie odważyłby się ich szantażować.

- Nie wiem, Roy. Nie potrafię przewidzieć, do czego Ken może się posunąć - odrzekła znużonym głosem. Wyprostowała się na krześle i popatrzyła na drzwi sypialni. - Ken jest jak nieokiełznany koń, nigdy nie wiem, co robi. A tak się starałam... Bóg jeden wie, że przez całe życie próbowałam go czegoś nauczyć.

- To czemu za niego wyszłaś? - Beni wstała i cisnęła kubek do zlewu tak, że omal się nie rozbił.

Mama popatrzyła na Roya, potem na mnie, a wreszcie roześmiała się z pytania Beni.

- Czemu za niego wyszłam? A to sobie znalazłam sędziego. Czy nie powtarzałam ci tysiąc razy: dziewczyno, nie sądz, abyś nie była sądzona?

- Nie boję się żadnego osądu, mamó! - krzyknęła Beni, przewracając oczami. - I nic mnie nie obchodzi, co mogli ci o mnie nagadać. - Zgromiła mnie wzrokiem.

- Beni nie jest złą dziewczyną, mamó.



- Nie potrzebuję twojej pomocy, Rain - rzuciła gniewnie Beni.

- A dlaczego nie chcesz jej pomocy? Po winny ście wspierać się nawzajem. Jesteście rodziną - przypominała mama. - Zawsze tak będzie. Słyszysz mnie, Beni? Beni? - powtórzyła, kiedy moja siostra odwróciła wzrok. - Słyszysz, co mówię?

- Tak, mam. Jesteśmy rodziną - powtórzyła Beni z taką miną, jakby jadła cytrynę.

- Dobrze. Dobrze - powiedziała mama. Odetchnęła głęboko. - Zapamiętaj sobie, że za którymś zakrętem na drodze życia czeka na ciebie taki właśnie mężczyzna jak Ken. Nie ufaj każdemu, kogo spotkasz w życiu. Nie śpiesz się. Nie wpakuj się nigdy więcej w coś, czego potem mogłabyś żałować.

Beni spojrzała na mnie podejrzliwie. Zająłam się śniadaniem, nie miałam jej nic do powiedzenia. Kiedy szłyśmy do szkoły, Beni wróciła do tematu i zaczęła mnie wypytywać, czy wypaplałam mamie, co naprawdę wydarzyło się u Alicii.

- Na pewno wszystko wygadałaś. Przyznaj się, Rain.

- Oczywiście, że nic nie powiedziałam. Jak możesz w ogóle tak myśleć?

- Dobrze wiem, że obgadujesz mnie przed nią za moimi plecami. Nieraz słyszałam te wasze rozmowy. Robisz, co możesz, żeby się jej podlizać.

- Wiesz, Beni, że nie zrobiłabym tego. Powinnaś znać mnie już na tyle, żeby wiedzieć, że nie jestem taka.

- Nikogo nie znam, nic o nikim nie wiem - wymamrotała Beni, jakbym to ja ukrywała przed nią przez te wszystkie lata prawdę o swoim pochodzeniu.

Gdy tylko znalazłyśmy się w szkole, odwróciła się do mnie plecami i poszła prosto do swoich przyjaciółek. Nie mogłam się nadziwić, że jej nie zniechęciło ich postępowanie. Czy jeszcze kiedykolwiek będziemy dla siebie jak prawdziwe siostry? Nie umiałam sobie odpowiedzieć na to pytanie.

Nic także nie mogłam poradzić na to, że czułam się, jakbym narodziła się na nowo albo wcieliła się w zupełnie nową

osobę. Spoglądałam na siebie w lustrze, śledziłam swoje rysy, zastanawiając się, w jakim stopniu przypominają rysy twarzy mojej prawdziwej matki i mojego prawdziwego ojca. Tak bardzo czułam się kimś innym, że wątpiłam, by ktokolwiek mógł nie dostrzec mojej odmienności.

Zanim jeszcze poznałam prawdę, miewałam wrażenie, że inni uczniowie przyglądają mi się podejrzliwie. Beni często mówiła mi ze złośliwą radością, że wielu znajomych uważa mnie za osobę mającą o sobie wygórowane mniemanie.

- Nawet białe dziewczyny narzekają, że patrzysz na nie z góry, Rain - oświadczyła kiedyś ze śmiechem.

To prawda, że we własnym przekonaniu niewiele miałam sobie do zarzucenia. Zawsze starałam się wypełniać swoje obowiązki najlepiej, jak mogłam. Nauczyciele chwalili mnie za postępy w nauce. Być może byłam zanadto dumna ze swoich osiągnięć. Ale teraz, gdy poznałam prawdę, czułam się jeszcze bardziej samotna. Nie byłam ani białą, ani czarną. Byłam Mulatką, co brzmiało dla mnie bardziej jak nazwa jakiejś groźnej choroby niż jak obiektywna konotacja stanu rzeczy.

Kim byłam, białą dziewczyną czy Afroamerykanką? Kto mógłby mnie uznać za swoją? Może to wyłącznie sprawa wyobraźni, ale w miarę upływu godzin czułam się coraz bardziej wyobcowana. Odnosiłam wrażenie, że wszyscy mi się przyglądają. Jak się okazało, nie miałam żadnej paranoi. Po prostu dobrze wyczuwałam, co myślą.

Z powodów, których później miała żałować, Beni opowiedziała o wszystkim Nicole i Alicii. Myślę, że oczekiwała po nich współczucia, co było oczywiście najgłupszym pomysłem na świecie. Równie dobrze mogłaby szukać współczucia u diabła we własnej osobie. W rzeczywistości było tak, jakby zrobiła im prezent, zdradziła mój najsłabszy punkt, sposób, żeby dostać się do mojej twierdzy i cieszyć się moją klęską. Zbyt wiele razy stawiałam czoło tym dziewczynom. Od dawna czekały na podobną okazję. I to właśnie moja siostra Beni wydała mnie w ich ręce.

Tego samego dnia Nicole i Alicia wraz z gromadą swoich przyjaciółek dopadły mnie między lekcjami w łazience. Gdy tylko weszłam do ubikacji, zaczęły się zbierać w przedsiönku. Z początku nie zdawałam sobie sprawy, co się dzieje, ale w końcu widok tyłu par stóp i odgłosy stłumionych śmiechów i rozmów zwróciły moją uwagę.

- Długo tam będziesz siedzieć, Rain... czarna, biała, czy jaka tam jesteś? - krzyknęła Alicia.

Rozległ się chóralny śmiech.

Kiedy otworzyłam drzwi, stanęłam wobec pół tuzina dziewczyn z krzywymi uśmiechami na twarzach.

- Założę się, że teraz ci się dopiero wydaje, że wreszcie jesteś kimś! - rzuciła zaczepnie Nicole.

- O co ci chodzi? - spytałam.

- Teraz wiadomo, czemu patrzyłaś na wszystkich z góry. Zawsze się czułaś lepsza od tych czarnych śmieci, za które nas miałaś. - Zabrzmiało to jak kwestia z jakiegoś starego filmu o rasistach i czarnych niewolnikach.

- Nieprawda - odpowiedziałam. - To bzdura i wołałabym, żebyś nie próbowała mi tego wmawiać.

- Och, naprawdę? Patrzcie dziewczyny, Panna Cnotka zarzuca mi, że ją szkaluję!

Wszystkie dziewczyny uśmiechnęły się zadowolone w oczekiwaniu draki. Serce zaczęło mi walić jak młotem.

- Muszę iść do klasy - powiedziałam, próbując przepchnąć się między Nicole i Alicia. Cofnęłam się o krok.

- Muszę do klasy? - przedrzeźniała mnie Alicia. - A po co? Żeby pokazać swoją śliczną białą twarzyczkę i potrząsać swoimi wdziękami, żeby uwodzić chłopaków na korytarzu?

- Nie - odpowiedziałam. - Nikogo nie uwodzę. Zostawiam to tobie i twoim przyjaciółkom. No jak, zejdziesz mi z drogi?

Robiłam pewną siebie minę, ale w środku cała się trzęsłam.

- Nie, ani mi się śni - odrzekła na to Alicia. - A ty, Nicole? Masz zamiar zejść Pannie Cnotce z drogi?

- Nie wydaje mi się. Podoba mi się twoja bluzka, laluniu. Myślę, że na mnie wyglądałaby jeszcze lepiej.

- Jesteś śmieszna - powiedziałam. - Nawet by na ciebie nie weszła.

- Mogłabym ją przerobić - oświadczyła. - Jak myślisz, Alicio?

- Na pewno, Nicole.

- Ściągaj ją - rozkazała Nicole.

- Co takiego?

- Słyszałaś. Ściągaj bluzkę - powtórzyła Alicia.

- Nie.

- Jeśli sama jej nie zdejmiesz, zedrę ci ją z grzbietu - zagroziła Nicole.

Spojrzałam na drzwi, ale dziewczyny zagradały mi drogę do wyjścia. Wszystko, co mogłam zrobić, to cofnąć się przed nimi.

- Zostawcie mnie w spokoju! - krzyknęłam.

- A czemu? Bo masz białą matkę? - spytała Alicia.

Kiedy zrozumiałam, że Beni im wszystko powiedziała, kolaną się pode mną ugięły. Nie potrafiłam powstrzymać łez.

- Patrzcie no tylko, ona płacze - zaśmiała się Nicole.

- Czarnymi łzami czy białymi? - rzuciła złośliwie jakaś dziewczyna.

- A bo ja wiem? Chyba szarymi.

Wszystkie dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

Nicole wyciągnęła rękę i chwyciła mnie za kołnierz. Upuściłam książki i złapałam ją za nadgarstek, żeby oderwać jej rękę, ale trzymała mnie mocno. Szamotałyśmy się przez chwilę.

- Przestań! - krzyknęłam.

Dziewczyny zaczęły się śmiać. Pierwszy guzik urwał się i upadł na posadzkę, potem drugi i następne. Alicia chwyciła za tył mojej bluzki i pociągnęła tak mocno, że aż się zatoczyłam na ścianę. Potem szarpnęła bluzkę i rozdarła ją na mnie.

- Teraz dawaj stanik! - zakomenderowała.

Gdy wyciągnęła rękę, kopnęłam ją w brzuch. Zaskoczona puściła mnie na chwilę, ale też wpadła w okropną złość. Kiedy się wyprostowała, było jasne, że wpakowałam się w poważne kłopoty.

W tej samej chwili do łazienki weszła Beni.

- Co tu się dzieje? - spytała.

Dziewczyny rozstały się i Beni zobaczyła, że kulę się pod ścianą, ściągając bluzkę na piersiach. Popatrzyła na Nicole i Alicie.

- Co wy wyprawiacie?

- Próbuje ją namówić, żeby pożyczyła nam swoje ciuchy - odpowiedziała Alicia.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

- Dajcie jej spokój - rzuciła Beni. - Zostawcie Rain w spokoju! - krzyknęła. Śmiech ucichł. - Nie prosiłam, żebyście się tak zachowywały. Zostawcie ją w spokoju.

- A o co się martwisz? - spytała Nicole. - Przecież nie jest twoją prawdziwą siostrą. Sama to powiedziałaś.

- Nie jest moją rodzoną siostrą, ale jest moją siostrą. Odczepcie się od niej, do diabła! - rzuciła otaczającym mnie dziewczynom. Uniosła rękę, zaciskając pięści.

Dziewczyny cofnęły się przed Beni.

- Po czyjej stronie ty jesteś, dziewczyno? - spytała Alicia.

Beni popatrzyła na mnie, a potem odwróciła się do Alicii.

- Nie powinnaś była tego robić. Mojej matce będzie przykro, kiedy się o tym dowie, a wcale nie chcę jej robić przykrości. Zwariuję od tego wszystkiego.

Oczy Beni płonęły gniewem. Alicia popatrzyła na Nicole. Przez chwilę w łazience panowała kompletna cisza. Beni nie cofnęła się ani o krok.

- Chodźmy stąd, zanim te dwie wariatki wywołają jakąś awanturę - powiedziała Nicole.

Bez słowa wyszły z łazienki, mijając Beni. Reszta dziewczyn pociągnęła za nimi, jakby były ogonem komety, której jądrem były Alicia i Nicole.

Opadłam na sedes.

- Wszystko w porządku?

- Nie - jęknęłam. - Popatrz na mnie. Czy wyglądam, jakby wszystko było w porządku? - krzyknęłam histerycznie.

Beni zaczęła zbierać moje książki z posadzki.

- Po prostu cię nie lubią - mruknęła. - Nigdy cię nie lubiły i nigdy cię nie polubią.

- W każdym razie na pewno mi nie pomogłaś, mówiąc im, że mam białą matkę. Czemu to zrobiłaś, Beni?

- Sama nie wiem. Tak mi się jakoś wyrwało - przyznała. - Byłam przynębiona i powiedziałam to, zanim pomyślałam. Przepraszam.

Rozległ się dzwonek.

- Teraz obie spóźnimy się na lekcję! - burknęłam rozgoryczona i wściekła.

- W takim stanie i tak nie możesz nigdzie iść. W szafce mam bluzę. Zaraz ci ją przyniosę. Poczekaj chwilę. - Odwróciła się, żeby odejść, ale zatrzymała się jeszcze na chwilę. - Przepraszam - powtórzyła.

Wpatrywałam się w posadzkę. Byłam zła na Beni, byłam zła na mamę, byłam zła na cały świat, na wszystkich ludzi, którzy mnie wpakowali w tę nieszczęsną sytuację. Z trudem powstrzymywałam płacz. Coraz poważniej myślałam o tym, żeby uciec na dobre. Wszędzie będzie mi lepiej niż tu, pomyślałam. Tutaj czekają mnie tylko coraz większe kłopoty.

Wkrótce wróciła Beni. Ściągnęłam z siebie strzępy bluzki i włożyłam przez głowę jej bluzę.

- Zachowują się jak stado zwierząt - powiedziałam. - Nie rozumiem, jak możesz znosić ich towarzystwo.

- To jedyne przyjaciółki, jakie mam.

- Na twoim miejscu wołałabym nie mieć żadnych. Nie idę na lekcję. Idę do pielęgniarki.

- Nie namawiałam ich, żeby cię tak urządziły - zapewniła mnie Beni.

Stałam nadal, gapiąc się w posadzkę.

- Teraz mama mnie jeszcze bardziej znieawidzi - dodała.

- Mama cię kocha, Beni.

Zacisnęła usta, w jej oczach zalśniły łzy.

- Wołałaby, żebyś to ty była jej rodzoną córką, a nie ja - powiedziała. - Ty zawsze robisz wszystko jak trzeba. Masz dobre stopnie, pomagasz jej w domu, nie włączysz

się z chłopakami... ze mną mama ma same kłopoty. To dlatego nigdy o niczym nie powiedziała. Na pewno wołała, żebyś ty była jej prawdziwym dzieckiem, a nie ja - dokończyła smutno.

- Nieprawda, Beni. Nie ma mocniejszych więzi niż więzy krwi. Ty naprawdę jesteś częścią mamy. Nosiła cię w brzuchu, urodziła cię, wykarmiła cię własną piersią. To ja jestem podrzutkiem. Ken zjawił się ze mną z nienacka, jakby przyniósł mnie ze sklepu. Popatrz na mnie. Pomyśl, jak wygląda teraz moja sytuacja. Nie należę nigdzie. Kto mnie chce? Gdzie jest moje miejsce? Jak myślisz, jak się czuję, kiedy myślę, że moja rodzona matka pozbyła się mnie równie łatwo, jakby wyrzucała starą sukienkę czy jakiś inny znoszony łach? Jesteś jedyną siostrą, jaką mam, a teraz ty także mnie nienawidzisz.

- Nie czuję do ciebie nienawiści... - Beni urwała, wbiła wzrok w posadzkę, a potem spojrzała na mnie smutnymi oczami. - Przepraszam - dodała po chwili. - Ja po prostu gadam, zanim pomyślę. Zawsze wynikają z tego same kłopoty. Spójrz na swoją bluzkę.

Obie popatrzyłyśmy na strzępy, które trzymałam w rękach.

- Mama kupiła mi ją w zeszłym roku na urodziny - powiedziałam.

- Przyłożę tej cholерnej Nicole.

- Nie, Beni. W ten sposób ściągęłabyś na nas tylko jeszcze większe kłopoty. Nie zwracaj na te dziewczyny uwagi.

- Co powiesz mamie?

- Nic. Mama ma dość kłopotów na głowie i nie będziemy jej ich jeszcze dokładać. Po prostu schowam bluzkę. Mama o niczym się nie dowie, dobra?

Beni wpatrywała się w posadzkę, więc klepnęłam ją po ramieniu.

- Tak?

Uśmiechnęła się do mnie.

- Tak. Może ja też powinnam pójść do pielęgniarki? W przeciwnym razie będę miała nieprzyjemności z powodu spóźnienia.

- Jak myślisz, co powie pielęgniarka, kiedy zobaczy nas obie naraz?

Beni się roześmiała.

- Uzna, że kręcimy. To pewne. Zobaczymy się później, dużo później - dodała i wyszła z łazienki.

Odetchnęłam głęboko i poszłam za nią.

Nie należałam do dziewczyn, które szukają pomocy pielęgniarki, żeby wykręcić się od lekcji. Prawdę mówiąc, to był w ogóle pierwszy raz, kiedy skorzystałam z gabinetu lekarskiego. Pielęgniarka przyjrzała mi się i powiedziała, żebym się położyła. Zmierzyła mi temperaturę i doszła do wniosku, że rzeczywiście mogę być chora.

- Czy ktoś może po ciebie przyjść, żeby odprowadzić cię do domu? - spytała.

- Dam sobie radę - zapewniłam. - Jestem w stanie wrócić o własnych siłach. Moja matka pracuje.

Mimo moich słów zadzwoniła do nas do domu, co okazało się poważnym błędem. Telefon odebrał Ken.

- A co ja mogę na to poradzić? - powiedział, kiedy usłyszał, co się dzieje. - Nie jestem lekarzem.

Pielęgniarka była tak zdumiona jego słowami, że aż mi je powtórzyła.

- Stracił właśnie pracę - wyjaśniłam jej. - Jest tym okropnie przygnębiony.

- Ach, ci rodzice - mruknęła i wypisała mi zwolnienie.

Zanim wróciłam do domu, Ken już zdążył wyjść. Byłam mu za to szczerze wdzięczna. Wzięłam gorący prysznic i położyłam się do łóżka. Roy dowiedział się, że się zwolniłam ze szkoły, i zamiast iść prosto do Slim's Garage, przyszedł do domu. Beni za karę, że się spóźniła, musiała zostać dłużej po lekcjach. Kiedy Roy wrócił do domu, leżałam w łóżku.

- Co się stało? Dlaczego pielęgniarka odesłała cię do domu? - W jego oczach malowała się troska.

Zastanawiałam się, co właściwie może wiedzieć.

- Okropnie bolała mnie głowa.



Gdybym powiedziała mu, co mi zrobiły dziewczyny, wywołałby awanturę i cała historia ciągnęłaby się nie wiadomo jak długo, a tymczasem na razie i tak nie miałam najmniejszej ochoty wracać do szkoły.

- Źle się czujesz?

- Wszystko będzie w porządku.

- Beni została za karę po lekcjach - mruknął. - Spóźniła się po przerwie do klasy. Nie chciała mi powiedzieć dlaczego. Jestem pewny, że paliła w łazience z dziewczynami.

- Beni nie pali.

- Jasne - przytaknął ironicznie. - To prawdziwy anioł.

- Nie powinieneś jej tak ciągle krytykować, Roy. Beni czuje się niesłusznie prześladowana.

- Zasługuje na to.

- Zasługuje na naszą miłość i przyjaźń. Nie możesz wytykać jej każdego błędu, bo dojdzie do wniosku, że jest naprawdę zła. Nikt nie chciałby się tak czuć.

Zaśmiał się.

- Słowo daję, zaczynam podejrzewać, że gdyby kiedyś diabeł wpadł do Kena na piwo, też znalazłabyś w nim jakieś zalety - zażartował.

Roześmiałam się.

- Założę się, że coś by się w nim dało znaleźć.

- To już lepiej. Lubię, kiedy się uśmiechasz, i nie mogę znieść, kiedy jesteś nieszczęśliwa, Rain.

Popatrzyliśmy na siebie. Roy wpatrywał się we mnie z takim napięciem, że serce zabiło mi mocniej.

- Czy nie powinieneś już iść do pracy, Roy? - spytałam łagodnie.

- Zostanę pół godziny czy godzinę dłużej. Slim jest porządnym facetem. Jeśli wszystko jest zrobione jak należy, nie czepia się drobiazgów.

Roy podszedł bliżej i usiadł w nogach łóżka.

- Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek zwalniała się ze szkoły, Rain. Nawet wtedy, gdy byłaś taka przeziębiona, siedziałaś i kaszłałaś, dopóki nauczyciel nie poprosił, żebyś

poszła do domu zamiast zarażać innych. Jak on się nazywał... Ketchum czy jakoś tak.

- Pan Kitsman - odpowiedziałam z uśmiechem.

- A tak. Ta głowa musiała cię naprawdę boleć - powiedział, przyglądając mi się uważnie. - Założę się, że to przez całe to zamieszanie w domu, co?

- Tak.

- No cóż, może ostatecznie wyniknie z tego coś dobrego. - Opuścił wzrok, a potem wyciągnął rękę i nakrył swoją twardą dłonią moją dłoń.

- Roy - szepnęłam.

Podniósł na mnie wzrok. W jego oczach było tyle miłości, że nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa.

- Może gdybyś spróbowała, udałoby ci się spojrzeć na mnie, jakbym nie był twoim bratem. Może mogłabyś zobaczyć mnie inaczej.

- Nie wiem, czybym potrafiła, Roy - odpowiedziałam najszczerzej, jak mogłam.

- Nigdy nie dotykałem cię ani nie całowałem inaczej niż jak brat. Takie rzeczy mogą wiele zmienić.

Pokręciłam głową, ale Roy przesunął lekko dłonią po moim przedramieniu i nachylił się nade mną.

- Pamiętam, że kiedyś... miałaś wtedy tylko trzynaście lat, przechodziłem obok łazienki. Drzwi były uchylone, a ty stałaś pod prysznicem. Byłaś naga i wiedziałem, że powinienem się odwrócić, ale nie mogłem. To było tak, jakbym miał oczy z metalu, a ty byłabyś magnesem.

Poczułam falę gorąca zalewającą moją szyję i policzki.

- Byłaś wtedy o krok od tego, żeby stać się piękną dziewczyną, Rain. Choć od tamtej pory upłynęło tyle czasu, wciąż cię widzę, jakby to się zdarzyło przed kwadransem. Nie jesteś na mnie wściekła, powiedz, Rain?

Pokręciłam głową bez słowa. Bałem się, że głos uwięźnie mi w krtani.

- Twoja skóra jest jak krem kawowy - ciągnął, dotykając palcami mego nagiego ramienia.

Leżałam pod kołdrą, drżąc, niepewna, co zrobić. Zastanawiałam się, co powiedzieć, żeby go nie urazić i nie rozgniewać. Wydawał mi się obcy, ale zarazem słaby, zmieszany i niepewny siebie. Wstrzymałam oddech. Miałam wrażenie, że wskazówki zegara stanęły w miejscu. Opuszki palców Roya znalazły się tuż za krawędzią kołdry, o kilka cali od moich nagich piersi. Nie mogłam zapanować nad dreszczem podniecenia narastającego gdzieś w głębi ciała, ale jednocześnie miałam rosnące poczucie winy i byłam okropnie zakłopotana.

Palce Roya zaczęły powoli odsuwać kołdrę.

- Nie rób tego, Roy - wymamrotałam, drżąc jeszcze mocniej. Z wysiłkiem uniosłam rękę, żeby przytrzymać kołdrę.

- Wiem, że nie powinienem tego robić, Rain, ale nie mogę się powstrzymać. Tak bardzo chcę na ciebie spojrzeć. Wyrosłaś na piękną dziewczynę. Czuję się niczym chmura przepływająca nad ogrodem, w którym kwitniesz jak róża. Powinniśmy spróbować, Rain... Tylko wtedy przekonamy się, czy to możliwe.

Palce rozluźniły uścisk niezależnie od mojej woli, jakby kierowały się własnym rozumem. Patrząc mi w oczy, Roy powoli zsunął kołdrę i odsłonił moje piersi. Czułam się, jak gdybym była przyklejona do łóżka i nie mogła wykonać najmniejszego ruchu.

- Jesteś piękna, Rain.

Powoli, bardzo powoli opuścił głowę i delikatnie musnął ustami moje sutki, naprężone w niemalże bolesnym wyczekiwaniu na dotknięcie jego warg. Dotknął mnie tak delikatnie, że nie wiedziałam, czy stało się to naprawdę, czy tylko owionął mnie jego oddech. Potem potarł nosem mój brzuch i pocałował boczną stronę piersi. Przesunął głowę i zbliżył usta do moich warg. Nie całował mnie długo, ale to wystarczyło, żeby moje ciało przeszło dreszcz. Kiedy uniosł głowę, miał okropnie zakłopotane spojrzenie.

- Czemu płaczesz? - spytał wystraszony.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że po policzkach spływają mi łzy.

- Nic na to nie mogę poradzić... Nic na to nie mogę poradzić, ale czuję, że źle robimy, Roy.

- Nie uczyniliśmy nic złego. - Wyciągnął rękę i ujął mnie palcami pod brodę, unosząc moją głowę, tak bym spojrzała mu w oczy. - Nie zrobiłem niczego, co byłoby złe albo bezbożne. W naszych żyłach nie płynie wspólna krew. Gdybyśmy spotkali się gdzie indziej, wszystko byłoby w porządku, prawda?

- Ale nie spotkaliśmy się gdzie indziej, Roy. Przez całe moje życie i niemal przez całe twoje byliśmy bratem i siostrą. Nie potrafię o tym zapomnieć. - Naciągnęłam kołdrę pod szyję. - Nie mogę nic poradzić na to, co czuję.

- Ale przez moment czułaś inaczej, prawda? Teraz, przed chwilą, czułaś inaczej, powiedz, Rain.

- Tak.

Skinął głową. Miał bardzo poważną minę.

- Może kiedyś także spojrzysz na to wszystko inaczej.

- Nie wiem, Roy. Boję się, że nie mogę ci niczego obiecać. Przepraszam - powiedziałam.

- Jasne. - Poklepał mnie po ręce. - Jasne, to zupełnie zrozumiałe. Gorsza sprawa, że ja też nie mogę ci obiecać, że zacznę czuć wobec ciebie coś innego, niż czułem dotąd. Przykro mi, ale zawsze tak było.

- Mama będzie się tym strasznie martwić, Roy.

- Z początku pewnie tak, ale potem może się to zmieni - rzekł z otuchą w głosie, choć miałam wrażenie, że stara się raczej przekonać siebie samego niż mnie. Potem uśmiechnął się i wstał. - Muszę już iść do pracy. Dasz sobie radę?

Skinęłam głową, choć moje serce wciąż biło tak mocno i szybko, że bałam się, iż zemdleję.

- To dobrze. Wszystko będzie w porządku - pocieszał mnie Roy. - Zobaczysz. Potrzeba ci czegoś?

- Nie, dziękuję.

- Do zobaczenia - rzucił i ruszył do drzwi. W progu zatrzymał się jeszcze na chwilę i odwrócił głowę. - Nie wini mnie za to, co czuję - poprosił i wyszedł.

Kogo powinnam winić za moje własne uczucia? - zastanawiałam się. Nic nie mogłam poradzić na to, że chciałabym, aby ktoś kochał mnie tak bardzo jak Roy. Czy to możliwe, zadawałam sobie pytanie, by jego miłość dla mnie była tak mocna i głęboka, że mogłaby przekreślić jakoś te wszystkie lata, kiedy czuliśmy się bratem i siostrą? Czy ktoś potrafi kochać cię tak bardzo, że nie możesz oprzeć się jego uczuciu i zaczynasz je odwzajemniać, choćby wbrew woli?

Może dlatego nigdy nie zainteresowałam się żadnym chłopakiem ze szkoły? Może, podobnie jak Roy, czułam w głębi serca, że między nami jest albo mogłoby być coś więcej? Wiele dziewczyn chciałoby mieć chłopaka, który byłby jak starszy brat. Może właśnie to ja mam szczęście. Mój starszy brat chciałby i mógłby być moim chłopakiem.

A może w tym dreszczu, który wywołał jego pocałunek, było tyleż strachu, co podniecenia? Krew to krew i oczywiście moglibyśmy spotkać się zupełnie gdzieś indziej i zakochać się w sobie, ale tak się nie stało i przez całe życie byłam pewna, że jesteśmy rodziną. To nie jest coś, o czym potrafiłabym łatwo zapomnieć, nawet po tym pocałunku, od którego przebiegł mnie dreszcz. A może... może właśnie nie powinnam o tym zapominać?

Im więcej dowadywałam się o sobie, tym bardziej moje życie okazywało się poplątane i pokręcone. Czułam się, jakbym rozplątywała kolejne węzły tylko po to, żeby odkryć dalsze supły w niepojętej gmatwaninie. Żywiłam niejasne podejrzenie, że do kresu moich odkryć jest jeszcze daleko. Coś mi mówiło, że przede mną czai się coś, jakaś mroczna prawda, która przyćmi znaczenie wszystkiego, co wydarzyło się dotychczas.

Te niezwykle przeżycia i emocje tak mnie wyczerpały, że zasnęłam. Obudziłam się, kiedy wróciła Beni. Na jej szczęście mamy jeszcze nie było w domu, a Ken siedział pewnie gdzieś w jakimś podłym barze. Roy wciąż był w Slim's Garage. Ze snu wyrwało mnie szlochanie. Otworzyłam oczy. Nade mną stała zapłakana Beni.

- Co się stało? - Zerwałam się i usiadłam na łóżku.

- Mam nowe kłopoty - zaszlochała. - Narobiłam sobie nowych kłopotów.

- Chodzi ci o to, że zatrzymali cię dłużej w szkole?

Zaśmiała się gorzko.

- Już nieraz siedziałam dłużej za karę. Mama o tym wiedziała.

- W takim razie co się stało? Pobiłaś się z kimś? - spytałam, choć nie widać było po niej żadnych śladów bójk.

Beni odetchnęła głęboko i wyciągnęła do mnie rękę, w której ścisnęła zdjęcie. Rozchyliła palce i pokazała mi fotografię. Wstrzymałam oddech.

Na zdjęciu widać było Beni leżącą nago, z szeroko rozrzuconymi nogami. Moja siostra zaczęła płakać jeszcze głośniej.

- Zrobili to - jęknęła. - Zrobili to, czego się najbardziej bałam. Widzisz?

- Och, Beni, wyrzuć to. Podrzyj i wyrzuć - powiedziałam. Nie mogłam patrzeć na to zdjęcie.

- I co mi z tego przyjdzie? - spytała, posłusznie drąc fotografię. - Mają tego więcej. Jest negatyw.

- Od kogo to dostałaś?

- Od Carltona - wyznała z bolesnym uśmiechem. - Powiedział, że zdjęcie dał mu Jerad, który chciał, żeby mi je pokazał.

- Po co?

- Jerad żąda za negatyw dwieście pięćdziesiąt dolarów. Jutro o ósmej wieczorem mam zanieść pieniądze do magazynów dawnej fabryki materaców przy Grover Street. Jeśli tego nie zrobię, rozdadzą te zdjęcia dzieciakom w szkole. Ja się zabiję, Rain. Nigdy więcej nie pójde do szkoły. Mama mnie znienawidzi. Ucieknę z domu tak jak ty, tyle że ja ucieknę naprawdę.

- Nie mów tak, Beni.

- A co mam zrobić, może mi powiesz? Mama dowie się, że ją okłamałam. Sama będzie chciała, żebym znikła z jej życia.

Patrzyłam na nią przez chwilę.

- Musimy po prostu zdobyć pieniądze i zobaczymy, czy oddadzą nam negatyw.

- Skąd weźmiemy tyle pieniędzy?

- Ile mamy wszystkiego razem?

- Mam w szufladzie dwadzieścia dwa dolary.

- Ja mam siedemdziesiąt dwa dolary w starym pudełku po butach.

Odkładałam tam wszystko, co mogłam, na prezenty pod choinkę.

- To za mało.

Zastanawiałam się przez chwilę.

- Zastawię w lombardzie moją bransoletkę - powiedziałam.

Bransoletka, prawdziwa złota bransoletka z maleńkimi brylancikami była moją najcenniejszą własnością. Mama długo oszczędzała na wszystkim, żeby kupić mi ją w prezencie, kiedy kończyłam szesnaście lat. Tak się bałam, że mogłabym ją zgubić, że prawie nigdy jej nie nosiłam.

- Naprawdę byś to zrobiła? - Beni spojrzała na mnie zdumiona. Zawsze bardzo chciała mieć taką bransoletkę i była zazdrosna, że mama zrobiła mi taki drogi prezent. Podobno Ken dorzucił parę dolarów, ale naprawdę bransoletka była podarunkiem od mamy.

- Mama się o tym dowie i...

- Szybko tego nie odkryje, a zanim się dowie, być może będzie już dawno po wszystkim.

- Jak to po wszystkim?

- Wykupimy bransoletkę z lombardu.

- Skąd weźmiemy tyle pieniędzy, jeśli mama nie pozwoli nam pracować po szkole?

- Znajdziemy jakiś sposób.

- Ale jaki? - nie ustępowała Beni.

- Nie wiem jeszcze. Na razie mamy na głowie większe zmartwienia - powiedziałam ostro.

Beni się skrzywiła.

- Dlaczego właściwie mi pomagasz? Nie pamiętasz już, jak cię dziś urządziłam?

- Jesteś moją siostrą, Beni. Zawsze nią będziesz. Wspólna krew nie ma tu nic do rzeczy.

Beni kiwnęła głową.

- Wiem - przyznała. - Próbowałam się zachowywać, jakbyś już nie była moją siostrą, ale nic z tego nie wyszło.

- Za wiele razem śmiałyśmy się i płakały w tym pokoju - powiedziałam.

Beni uśmiechnęła się do mnie.

- Tak naprawdę to nie mam prócz ciebie żadnej przyjaciółki, Rain. Chciałam wierzyć, że mam całą kupę znajomych, ale w rzeczywistości nie mam nikogo poza tobą.

Objęłyśmy się i uścisnęły z całych sił.

- Weźmy się do obiadu, zanim mama wróci - powiedziałam, wyskakując z łóżka.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Beni zaproponowała mi pomoc.

Ubrałam się i zjrzałam do szuflady. Bransoletka leżała na swoim miejscu. Przypomniało mi się, z jaką dumą i przejęciem mama mi ją wręczała. Bransoletka była piękna i ślicznie wyglądała na moim przegubie. Roy powiedział wtedy, że mam dłonie stworzone do noszenia biżuterii. To były najwspanialsze urodziny w całym moim życiu. Kiedy patrzyłam na bransoletkę, przypominały mi się uśmiechy i pocałunki, jakimi obsypała mnie rodzina. Mama tak młodo wyglądała, kiedy była szczęśliwa i uśmiechnięta, a nigdy nie uśmiechała się do mnie tak często, jak wtedy.

Jak potrafiła się zdobyć na to wszystko, wiedząc, że przecież nie jestem naprawdę jej córką? Skąd w tej drobnej kobiecie brało się tyle miłości? Byłam pewna, że moja prawdziwa matka nie dorasta jej do pięt. Boże, tak bardzo chciałam, żeby to wszystko okazało się tylko nieporozumieniem! Tak strasznie pragnęłam, żeby mama okazała się moją prawdziwą matką.

Odłożyłam bransoletkę do szuflady. Rano zabiorę ją ze sobą. Zaraz po lekcjach pójdziemy z Beni do lombardu. Wcale nie czułam się szczęśliwa, robiąc takie rzeczy za plecami



mamy, ale nie było innego wyjścia. Beni miała rację: gdyby mama dowiedziała się o całej tej obrzydliwej historii, jej słabe serce mogłoby tego nie wytrzymać. Byłaby kompletnie załamana, a Beni już nikt nie wybiłby z głowy, że na zawsze utraciła miłość mamy. Musiałam jej pomóc.

Miałam nadzieję, że postępuję słusznie. Miałam nadzieję, że nie kupuję po prostu na powrót miłości mojej siostry.

## ROZBITA RODZINA

Roy i ja nie wspomnieliśmy mamie ani słowem o tym, że Beni została po lekcjach za karę w szkole. Na szczęście mama była tak zmęczona, że ledwie starczyło jej sił, żeby coś zjeść. Potem położyła się na kanapie. Awantura z Kenem poprzedniego wieczoru tak ją wyczerpała, że nie starczyło jej sił, by wypytywać nas, co się zdarzyło w szkole. Ken wrócił po obiedzie i zażądał, żeby dać mu jeść. Kiedy pił za dużo, robił się opryskliwy i obwinał nas o wszystkie swoje niepowodzenia. Tyle razy już to słyszeliśmy, że jego zrządzenie nie robiło na nas większego wrażenia. Nawet mama zachowywała się, jakby nic szczególnego się nie działo.

Ken wygadywał to samo, co zwykle.

- Jesteście dla mnie tylko ciężarem. Żadne nie docenia tego, co dla was robię. Powinniście wreszcie i wy coś zrobić dla mnie. Nich ci się nie wydaje, Roy, że jesteś ponadto. W końcu mam prawo oczekiwać po tobie pomocy w utrzymaniu rodziny. Ja zacząłem pracować, jak miałem dziesięć lat, i nigdy nie miałem ojcu za złe, że posłał mnie do roboty. Przestań tylko ciągle się mnie czepiać, Latisha.

Gadał tak i gadał, przechodząc od narzekań na rodzinę do tyrad przeciw rządowi i uprzedzeniom rasowym.

- Teraz, kiedy wiesz, że w twoich żyłach płynie biała krew - odezwał się, patrząc na mnie oskarżycielsko - pewnie nie będziesz nas chciała w ogóle znać.

- Nieprawda - zaprzeczyłam.

- Uwierz mi, Rain, sama się nie zorientujesz, kiedy twoja biała część weźmie górę. Założę się, że w głębi serca cieszysz się ze swojej białej krwi.

- To nieprawda - powtórzyłam. - Nigdy nie odejdę od Beni, Roya i mamy. Nigdy.

Tylko z tobą nie chcę mieć nic wspólnego, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno.

Ken uśmiechnął się tym swoim pogardliwym uśmieszkiem, którego tak bardzo nienawidziłam.

- Jeszcze zobaczymy - wyrokował.

Odrzuciłam jedzenie i podałam mu, mając nadzieję, że kiedy będzie miał pełny żołądek, uspokoi się i pójdzie spać. Odkąd odsłonił przede mną prawdę o moim pochodzeniu i próbował wyłudzić jakieś pieniądze od moich biologicznych rodziców, nie czułam się dobrze w jego towarzystwie. Kiedy kręciłam się po kuchni, cały czas przeprowadzał mnie wzrokiem. Było to tak denerwujące, że talerz omal nie wypadł mi z rąk. Roy zniknął w swoim pokoju zaraz po przyjściu Kena. Widziałam, że jest w fatalnym humorze i Ken szczególnie go irytuje, a tymczasem bójka między nimi czy choćby awantura była ostatnią rzeczą, na jaką mogłaby mieć ochotę mama. Na szczęście Roy był wystarczająco rozsądny, żeby uświadomić sobie, iż do tego właśnie może dojść, jeśli on zostanie w kuchni.

Nienawidziłam ich obu, kiedy zachowywali się jak lwy rywalizujące między sobą o terytorium, krążąc po ciasnej kuchni, mierząc się wzrokiem, gotowi w każdej chwili zacząć ryczeć. Teraz, gdy to Roy przynosił do domu pieniądze, a Ken tylko przepijał skromne resztki, jakie jeszcze zostawały w domu, Roy coraz bardziej czuł się głową rodziny, co okropnie irytowało Kena. Biorąc na dodatek pod uwagę problemy Beni, można było powiedzieć, że w domu panowało takie napięcie, jakby lada chwila miał rozedrzeć powietrze huk nagłego wyładowania.

Beni był okropnie przejęta i wystraszona tym, co miało się wydarzyć następnego dnia. Wyjątkowo nie spędziła wieczoru

przed telewizorem, bardzo wcześnie natomiast poszła do łóżka. Mama zasnęła na kanapie, oglądając telewizję. Ken dokończył jedzenie. Kiedy nalałam mu kawy, odsunął stół i spojrzał na mnie przekrwionymi oczami.

- Wcale nie żałuję, że w końcu powiedziałem głośno prawdę - powiedział. - To Latisha chciała ją przed tobą ukrywać przez te wszystkie lata.

- Wolałabym nigdy nie poznać prawdy - odrzekłam na to i zaczęłam zmywać naczynia.

- No cóż, teraz ją znasz i chyba sama rozumiesz, że jesteś mi coś winna. Wziąłem cię na wychowanie, kiedy twoi prawdziwi rodzice nie chcieli mieć z tobą nic wspólnego.

- Dobrze ci za to zapłacili - odcięłam się.

Kiedy przypominał mi o tym, że moi prawdziwi rodzice oddali mnie, jakbym nic dla nich nie znaczyła, i zapomnieli o mnie, czułam się, jakby zrywał świeży strup z ledwo zbliznionej rany.

- To było za mało. Teraz pora na ciebie. Jesteś już dorosła.

- Czego ode mnie chcesz? - krzyknęłam.

Wzruszył ramionami.

- Niczego poza tym, że kiedy weźmiesz się w końcu do jakiejś roboty, powinnaś mi zawsze odpalać jakąś działkę. Najwyższa pora, żebyście obie z Beni zaczęły przynosić do domu pieniądze. Powinnyście zapewnić mi znośne warunki życia, dopóki nie znajdę sobie jakiegoś nowego zajęcia. Może nawet nie tyle Beni, co ty - dodał po chwili, patrząc na mnie z naganą. - Nikt mnie nie ceni tak, jak sobie na to zasługuję - powtarzał, jakby recytował modły jakiejś swojej własnej religii.

Powściągnęłam się i nie powiedziałam mu tego wszystkiego, co już miałam na końcu języka. Stałam przy zlewie i zmywałam. Ken omal nie zasnął na krześle nad swoją kawą i wreszcie powlókł się do bawialni. Próbował jeszcze wciągnąć mamę w jakąś rozmowę, ale bez powodzenia. Po pół godzinie spał już, chrapiąc głośno.

Beni leżała w łóżku ze słuchawkami walkmana na uszach. Miała zamknięte oczy. Wiedziałam, że chce się odciąć od

całego świata. Rozumiałam ją, bo sama czułam się ostatnio bardzo podobnie. Niestety, w końcu zawsze trzeba zdjąć słuchawki i otworzyć oczy. Przed rzeczywistością nie da się uciec.

Kiedy dotknęłam jej ręki, Beni aż podskoczyła na łóżku.

- Przepraszam - powiedziałam.

Zdjęła słuchawki i usiadła.

- Jak wydestaniemy się jutro wieczorem z domu, Rain? Mama nigdzie nas nie puści - rzuciła natychmiast; najwyraźniej cały czas ją to dręczyło.

- Ja też się nad tym zastanawiałam. Wiesz, że nienawidzę okłamywać mamy, ale w tym wypadku nie mamy innego wyjścia.

- No i?

- Powiemy mamie, że musimy się uczyć matmy. Zbliżają się egzaminy. Ty powiesz, że idziesz się uczyć z Alicią Hanes, a ja, że idę do Lucy Adamson. Poprosimy je, żeby w razie czego to potwierdziły. Ale jestem pewna, że mama nie będzie nikogo o nic pytać.

Beni kiwnęła głową, zaskoczona, że tak to wszystko dobrze obmyśliłam.

- Wiem, jak strasznie tego nienawidzisz, Rain. Nigdy nie zapomnę, ile jestem ci winna.

- Nic mi nie jesteś winna, Beni. Jesteśmy siostrami.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Tak - powiedziała. - Jesteśmy siostrami.

Mimo wszystko sumienie nie dawało mi spokoju. Leżałam pod kołdrą i czułam się tak, jakbym spała na bombie zegarowej. O siódmej zadzwonił budzik i nastąpił wybuch. A jednak w głębi serca pozostawałam optymistką. Roy słusznie to kiedyś zauważył. Zawsze wierzyłam, że w końcu wszystko musi się dobrze ułożyć. Spodziewałam się, że uda się nam odzyskać zdjęcia, wypłacić Beni z całej tej historii, w jaką się wpakowała, i zacząć normalne życie. Och, jak bardzo tego w tej chwili pragnęłam! To zabawne, że marzyłam o życiu, które jeszcze przedwczoraj wydawało mi się nie do wytrzymania.

Przy śniadaniu zaczęłam rozsnuwać nici intrygi. Roy wyglądał, jakby spał tej nocy niewiele więcej ode mnie czy Beni. Siedział przy stole z przymkniętymi oczami i o nic nie pytał. Mama trochę nie dowierzała, kiedy usłyszała, że Beni zamierza się uczyć do sprawdzianu, ale wyjaśniłam jej, że wyniki testu będą miały decydujący wpływ na nasze oceny na semestr, i dała nam spokój. Ilekroć spoglądałam na Beni, musiałam odwracać wzrok. Mimo wysiłków, jakie wytrwale czyniła w tym kierunku, Beni była fatalną kłamczuchą. Jej twarz przypominała szybę. Wystarczyło popatrzeć mojej siostrze w oczy, żeby wyczytać z nich, że kłamie.

Ken nie miał zwyczaju wstawać z łóżka, zanim wyjdziemy do szkoły, wątpię zresztą, czy nasze plany na wieczór cokolwiek go obchodziły. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek pytał nas o wyniki w nauce. Nawet gdy jako dzieci pokazywaliśmy mu nasze rysunki, patrzył przez chwilę, chrząkał, najwyraźniej nie mając nam nic do powiedzenia, i zaraz zaczynał zajmować się czymś innym.

Po drodze do szkoły dowiedziałam się, dlaczego Roy był taki zmęczony i skąd wzięły się jego trudności z zaśnięciem. Gdy Beni poszła przodem, żeby porozmawiać z Dede Wilson, dosłownie rzucił się, chwycił mnie pod rękę i przytrzymał, żebym zwolniła.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Wyglądasz na zmęczonego - powiedziałam, sądząc, że zaczął coś podejrzewać.

- Przepraszam cię za to, co się wczoraj stało. To było za wcześnie, nie w porządku wobec ciebie. Całą noc się męczyłem. Nie mogłem usnąć... Wiesz, jak rzadko mi się to zdarza - dodał z bladym uśmiechem.

- Wiem. - Odpowiedziałam mu uśmiechem.

- Nie chcę, żebyś mnie nienawidziła, Rain.

- Nie mogłabym cię nienawidzić, Roy - odparłam najzupełniej poważnie.

Beni skończyła załatwiać swoje sprawy i czekała na nas. Roy tylko skinął głową i odsunął się ode mnie.

- Roy coś podejrzewa? - spytała Beni.

- Nie.

- Wygląda, jakby był w fatalnym humorze. Okropnie się boję, Rain - wyznała Beni.

- Ja też.

Beni zrobiła wielkie oczy.

- Ale nie martw się, wszystko będzie dobrze - zapewniłam, żeby dodać jej otuchy.

Ten dzień był dla nas obu równie nieprzyjemny jak poprzedni. Koleżanki nie mogły darować Beni, że wystąpiła w mojej obronie, i dokuczały jej na każdym kroku. Podczas lunchu po raz pierwszy od niepamiętnych czasów usiadłyśmy przy wspólnym stoliku. Alicia i Nicole popatrywały na nas i gadały coś, nachylając się do dziewczyn, po czym wszystkie wybuchały gromkim śmiechem, spoglądając w naszą stronę. Beni tak się tym gryzła, że nie mogła jeść.

- Powinnaś się zastanowić, co to jest prawdziwa przyjaźń, Beni - powiedziałam jej. - Te dziewczyny bawią się twoim kosztem. Prawda jest taka, że każda z nich zrobiłaby drugiej to samo, co razem zrobiły tobie.

Beni kiwnęła głową, ale nie wyglądała na przekonaną.

- Nie znajduję w tej szkole lepszych przyjaciółek. Reszta dziewczyn mnie nie lubi - oświadczyła.

- Na pewno znajdą się dziewczyny, które chętnie z tobą pogadają, kiedy zobaczą, że przestałaś się trzymać swoich przyjaciółek, o ile w ogóle można je tak nazwać - zapewniłam ją, ale Beni wcale nie była zadowolona.

Jej zdaniem, inne dziewczyny były nudne i dziecinne. Kiedy już raz zaczęła się pędzić z brawurową szybkością, kiedy czuje się emocje, jakie niosą ze sobą przygody i niebezpieczeństwa, rudno zwolnić i zacząć żyć w normalnym tempie ze zwykłymi ludźmi. Pomimo wszystkiego, co się jej zdarzyło, Beni nie umiała się uwolnić od fascynacji zabawą na krawędzi ryzyka. Wiedziałam, że powinnam się cieszyć, iż moja siostra spędza tak wiele czasu ze mną, ale nie potrafiłam jej współczuć. Czułam, że powinna się całkowicie zmienić, i jedno-

cześnie się bałam, że nie będzie umiała. Jeszcze bardziej lękałam się, że mimo najszczerzej chęci nie będę jej potrafiła pomóc.

Po lekcjach poszliśmy do lombardu. Nie było w tym nic nadzwyczajnego - wiele osób z naszej szkoły bywało w nim częstymi gośćmi, niektórzy zanosili tam kradzione drobiazgi. Kiedy wyjęłam złotą bransoletkę z maleńkimi brylancikami, stojący za ladą niski, łysy mężczyzna o ziemistej cerze i pomarszczonej twarzy zmierzył nas podejrzliwym spojrzeniem, rychło jednak wodniste oczka odzyskały swój zwykły obojętny wygląd. W lombardzie cuchnęło pleśnią i zgnilizną, jakby całe pomieszczenie zostało niedawno zalane wodą. Nad ladą wisiała słaba żarówka, w której wątłym blasku wszystko sprawiało byle jakie, tandetne wrażenie. Właściciel lombardu włożył grube okulary i zaczął obracać bransoletkę w pożółkłych od tytoniu palcach.

- To prawdziwe osiemnastokaratowe złoto - powiedziałam. - Wewnątrz jest próba.

Uniósł krzaczaste brwi, przyjrzał mi się obojętnie i odłożył bransoletkę na ladę.

- Skąd to masz? - wymamrotał, ledwo poruszając grubymi wargami.

- Dostałam w prezencie. Na szesnaste urodziny - dodałam, żeby zrobić na nim większe wrażenie.

- Mogą za nią dać sto i... dwadzieścia pięć.

- Potrzebujemy więcej! - krzyknęła Beni,

- Nie jest więcej warta - odpowiedział obojętnie.

- Wiem, że kosztowała około pięciuset dolarów - poinformowałam. - I to prawie rok temu.

Zaśmiał się krótko. Zabrzmiało to bardziej jak chrząknięcie niż jak normalny śmiech.

- Jeśli tyle zapłaciłaś, to dałaś się zrobić w konia - oświadczył.

- To prawdziwe brylanty! - zwróciła mu uwagę Beni. - Powinien nam pan dać więcej!

- Dam sto pięćdziesiąt - powiedział. - I ani centa więcej.

Popatrzyliśmy po sobie z Beni, podliczając w myśli posiadane



pieniądze. Wraz ze stoma pięćdziesięcioma dolarami za bransoletkę miałyśmy w sumie dwieście dwadzieścia dwa dolary. Zastanawiałam się przez chwilę, a potem odpięłam złoty łańcuszek z małym krzyżykiem.

- Czy dostanę za to dwadzieścia osiem dolarów? - spytałam, kładąc krzyżyk na ladzie.

Właściciel lombardu uśmiechnął się złośliwie, ale wzięł krzyżyk w tłuste palce i obejrzał uważnie.

- To także prawdziwe złoto - dodałam.

- Złoto nie jest aż takie drogie, jak ci się zdaje - powiedział. - No dobrze - westchnął. - Dam wam dwadzieścia osiem dolarów.

- Rain! - krzyknęła przestraszona Beni. - Przecież mama zauważy, że nie masz krzyżyka.

- Odkupimy go. To pożyczka pod zastaw, tak? - spytałam. - Nie sprzeda pan tych rzeczy, prawda?

- Na razie nie będę tego sprzedawał - odpowiedział - ale, prawdę mówiąc, moi klienci rzadko wracają, żeby wykupić swój towar.

- My na pewno wrócimy - obiecałam. Odwróciłam się do Beni. - Pożyczę te dwadzieścia osiem dolarów od Roya.

- Będziesz musiała pożyczyć więcej, żeby zapłacić odsetki - mruknął mężczyzna.

- O ile więcej?

- To zależy od tego, kiedy wrócisz.

- Szybko - odpowiedziałam.

Wzruszył ramionami i wrzucił bransoletkę i łańcuszek z krzyżykiem do szuflady. Potem otworzył kasę i odliczył pieniądze. Dla pewności także je przeliczyłam, po czym wyszłyśmy z Beni z lombardu.

- Zaraz zwymiotuję - jęknęła Beni. - Tak się boję, że mama się wszystkiego dowie.

- Po prostu nie myśl o tym teraz - poradziłam jej.

- Jak niby mam to zrobić?

- Powtarzaj sobie, że to tylko sen.

Roześmiała się z mojej rady.

- Skąd bierzesz takie pomysły na oszukiwanie siebie?
- Nie wiem, Beni. Może dlatego, że często trudno mi było pogodzić się z rzeczywistością.

Mój pomysł był jak mały ptaszek, lecący za szybko i za wysoko, żeby Beni mogła go pochwycić. Zdziwiona pokręciła głową i ruszyła dalej, stąpając po chodniku, jakbyśmy szły boso po lodzie.

W porze obiadu zadzwonił Roy, żeby powiedzieć, że będzie musiał zostać dłużej w pracy. Slim obiecał klientowi, że samochód będzie gotowy na wieczór. Ostatnio Roy kilkakrotnie korzystał z uprzejmości szefa i teraz czuł się zobowiązany do pomocy. Kiedy spytałam, co będzie jadł, odpowiedział, że Slim zamówił telefonicznie pizzę. Szczerze mówiąc, byłam nawet zadowolona, że Roya nie będzie w domu, gdy przyjdzie mi okłamywać mamę. Bałabym się, że mógłby przejrzeć moje kłamstwa i na przykład śledzić nas, żeby się przekonać, czy rzeczywiście pójdziemy się uczyć.

Mama siedziała nad niezapłaconymi rachunkami i gdy tylko Ken wrócił do domu, zaczęła go wypytywać, kiedy w końcu znajdzie sobie jakieś zajęcie. Ken zamachał rękami, jak człowiek, którego opadły pszczoły, i obiecał, że wkrótce pójdzie do pracy i przyniesie jakieś pieniądze, ale przy okazji obrzucił przekleństwami moją rodzinę.

- Nawet nie chcieli ze mną gadać - oznajmił oburzonym tonem. - Wszystko, co mogłem zrobić, to nagrać się na automatyczną sekretarkę.

- Wcale im się nie dziwię - oświadczyła mama. - Gdybym tylko mogła, też bym z tobą nie rozmawiała.

To sprowokowało Kena do dalszego złorzeczenia i narzekania. Powtarzał, że odpłacamy mu czarną niewdzięcznością za wszystko, co dla nas zrobił przez te lata. Mama i Ken przenieśli się do bawialni, gdzie kontynuowali kłótnię, ja z Beni szykowaaliśmy się do wyjścia.

- Nie siedźcie za długo! - zawołała za nami mama. - Powinnyście się porządnie wyspać przed sprawdzianem.

- A co ty możesz o tym wiedzieć, kobieto? Przecież nawet

nie skończyłaś szkoły - obruszył się Ken i od nowa zaczęli się sprzeczać.

Było to tym bardziej beznadziejne, że żadne z nich naprawdę nie słuchało drugiego. Co z nimi dalej będzie? Pewnego dnia Ken wyjdzie z domu i więcej nie wróci, pomyślałam. A przecież kiedyś musieli być szczęśliwi, musieli żywić jakieś nadzieje na przyszłość. Co się z nimi stało?

Popatrzyliśmy po sobie z Beni i wyszliśmy z mieszkania. Dopóki nie znalazłyśmy się na ulicy, żadna z nas nie odezwała się ani słowem.

- Pamiętaj, Beni, to ja będę z nimi rozmawiać - zastrzegłam. - To, co oni robią, to szantaż. Jeśli nie oddadzą nam tych zdjęć, pójdziemy na policję. Musimy tak z nimi rozmawiać, żeby uwierzyli, że to prawda.

Beni tylko kiwnęła głową. Była zanadto wystraszona, żeby się odezwać. Ja z kolei mówiłam, bo byłam zbyt wystraszona, żeby znieść ciszę, choćby jedynym dźwiękiem, jaki ją przerywa, miał być tylko mój własny głos.

Magazyny dawnej fabryki materaców przy Grover Street znajdowały się w mrocznej i nieprzyjemnej okolicy, w kwartale wypełnionym przez stare, zrujnowane budynki. Większość okien była powybijana, reszta zabita deskami. Na drzwiach wisiały jakieś ogłoszenia i obwieszczenia. Nikt nie zadał sobie trudu, by naprawić potłuczone latarnie. W opustoszałych budynkach mieszkali bezdomni lub miały swoje kryjówki gangi. Gdyby Roy wiedział, gdzie jesteśmy, byłby wściekły. Zbliżając się do starych magazynów, mimo woli przysunęłyśmy się bliżej do siebie. Wokół panowała martwa cisza. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszczał się w tę okolicę za dnia, a tym bardziej wieczorem.

Magazyn mieścił się w czteropiętrowym budynku o ścianach barwy zardzewiałego żelaza. Wszystkie okna były powybijane albo zabite deskami, nad wejściem wisiał krzywo stary szyld, jakby zaraz miał się urwać i spaść komuś na głowę. Dziwiło

mnie, że nikt nie dba o to miejsce, ale w gruncie rzeczy w mieście było mnóstwo takich rozpadających się, przygnębiających starych gmachów, a urzędnicy administracji po prostu udawali, że o nich nie pamiętają. W Waszyngtonie są miejsca, w które widocznie bardziej opłaca się zainwestować pieniądze.

Przed magazynem stały zaparkowane trzy samochody - wszystkie puste. Na chodniku również nikogo nie było widać.

- Która godzina? - spytała Beni.

- Tuż po ósmej - powiedziałam. Wzięłam głęboki oddech, jakbym miała dać nura do wody. - Chodź, zaraz będziemy to miały z głowy.

Frontowe drzwi były uchylone. Pchnęłam je i weszłyśmy do środka. Gdzieś z głębi dobiegał blask światła i muzyka. Usłyszałyśmy czyjś śmiech.

- Może lepiej nie wchodzimy - mruknęła Beni.

Ja także się bałam. Na widok wielkiej, mrocznej, pustej hali, rozciągającej się przed nami, wyparowała ze mnie cała odwaga. Czułam się, jakbyśmy wchodziły do piekła.

Rozległ się dźwięk metalu, na beton upadła chyba jakaś ciężka szyna, potem znów usłyszałyśmy śmiech. Weszłam dalej. O kilka cali od mojej nogi przemknął wielki szczur. Cofnęłam się pośpiesznie.

- Spóźniłyście się - rozległ się nagle czyjś ostry głos.

Oślepił nas snop światła. Osłoniłam oczy dłonią. Na biegnącym wzdłuż ściany pomoście stał Carlton.

- Przyprowadziłaś ze sobą swoją białą siostrę? - spytał Beni.

- Zamknij się, Carlton - rzuciła wojowniczo moja siostra. Zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Mamy pieniądze - oznajmiłam.

- Poczekajcie.

Zgasił latarkę. Usłyszałyśmy jego kroki na metalowych stopniach i zaraz potem Carlton stanął przed nami.

- Chodźcie - powiedział.

- Dlaczego po prostu nie weźmiesz forsy i nie oddasz nam

negatywu? - spytałam, nie mając najmniejszej ochoty zapuszczać się w głąb ciemnego budynku.

- Bo ich nie mam - warknął. - To jak, chcecie go dostać czy nie?

Obejrzałam się na uchylone drzwi na ulicę. Do końca życia będę pamiętać te drzwi. Przez głowę przemknęło mi wspomnienie wiersza Roberta Frosta, który czytaliśmy w szkole, tego o rozwidleniu dróg w lesie i o tym, że wszystko wzięło się z wyboru jednej z nich. Beni przestępowała z nogi na nogę. Te zdjęcia ją zniszczą, pomyślałam. Musiałam być odważna i silna za nas obie.

- No, jak?

- Idziemy - odpowiedziałam, podjąwszy decyzję.

Carlton poprowadził nas w głąb magazynu. Z ciemnych kątów dobiegały szelesty i piski. Kiedy minęliśmy kolejny filar, zobaczyliśmy w świetle nagich żarówek kilku chłopaków i dwie dziewczyny. Siedzieli na starych materacach i gadali, popijając whisky i tanie wino. Podłoga wokół materaców była usłana opakowaniami po hamburgerach i frytkach; niektóre zawierały jeszcze resztki jedzenia. W powietrzu unosił się dym z papierosów i marihuany.

- Jest tu! - zawołał Carlton i wszyscy się uciszyli.

W pierwszej chwili nie zauważyłam nigdzie Jerada, co bardzo mnie ucieszyło. Miałam nadzieję, że zapłacimy za negatyw i czym prędzej wrócimy do domu.

- Kto z nią przyszedł? - spytał ktoś z ciemnego kąta.

Zaraz potem z mroku wyłonił się Jerad. Wstał z materaca, na którym leżała jeszcze jakaś dziewczyna.

- No, proszę, przecież to moja stara znajoma, Rain - odezwał się, zapinając koszulę i pasek od spodni. - To dopiero miła niespodzianka.

Usłyszałam śmiechy. Jerad podszedł bliżej.

- Czego tak stoisz, Carlton? Nalej no dziewczynom po drinku. Nie umiesz się zachować, czy co?

- Nie chcemy niczego pić - odpowiedziałam. - Przyniosłyśmy pieniądze. Daj nam negatyw i pójdziemy do domu.

- I to ma być przyjacielska wizyta? - Jerad się zwrócił do swoich znajomych.

- Nie! - rzucił ktoś z grupy.

- W końcu robimy wam przysługę. Mogłybyście się grzeczniej zachować i okazać jakąś wdzięczność.

- Mamy dwieście pięćdziesiąt dolarów - oświadczyłam. - Dla nas to wielka suma. Starczy tego, jak na okazanie wdzięczności.

Jerad zaśmiał się w odpowiedzi.

- Dwieście pięćdziesiąt dolców to ma być dużo? Do diabła, dziewczyno, tyle to ja noszę przy sobie drobniazków. Trzymaj z nami, a zobaczysz dużo większe pieniądze.

- Wolę już zostać biedna - powiedziałam.

Zimny uśmiech spełzył z twarzy Jerada niczym topniejący lód.

- Jak chcesz. - Pstryknął palcami i przysadzisty chłopak, którego podczas naszego pierwszego spotkania w „Oh Henry's” nazywał Chumpym, zerwał się z materaca i podał mu kopertę. Jerad powoli wyjął z koperty negatyw zawierający szereg zdjęć. Podniósł go i przyjrzał mu się pod światło. - Tak, to jest to - rzekł z obleśnym uśmiechem. - Popatrzył na nas i podszedł bliżej. - Ale skąd mogę mieć pewność, że to jest dziewczyna ze zdjęć? - rzekł, spoglądając na moją siostrę.

- Co takiego? - spytała zaskoczona Beni.

Rozległ się głośny śmiech. Moje serce, które zamarło w oczekiwaniu, zaczęło gwałtownie bić, jakby chciało mnie ostrzec przed niebezpieczeństwem. Wzięłam głęboki oddech i zebrałam resztki odwagi.

- Bardzo śmieszne - powiedziałam. - Wiesz, że na zdjęciach jest Beni, wiesz, jakie obrzydliwe są te zdjęcia i jak straszną rzeczą było dla Beni, że się na nich znalazła. Z powodzeniem mogłybyśmy pójść na policję i zeznać, że nas szantażujesz, ale jesteśmy skłonne zapłacić i raz na zawsze skończyć z całą sprawą.

- Ach, tak? Chcesz iść na policję? Co o tym myślicie, chłopaki? - rzucił pod adresem swoich koleśków.

Odpowiedziały mu krzyki, gwizdy i śmiechy, darły się nawet te nieznanne mi dziewczyny. Domyślałam się, że musiały wylecieć ze szkoły.

- Tak, to, co robisz, to szantaż - powiedziałam. - To przestępstwo, poważne przestępstwo.

- Och, więc znasz się także na prawie. Słyszałem, że cwaniaczka z ciebie. - Jerad wyszczerzył zęby w złowrogim uśmiechu. - Skoro jesteś taka sprytna, to czemu nie uprzedziłaś siostry, że powinna być ostrożniejsza, bo może się wpakować w kłopoty?

- Odczep się od Rain - odezwała się nagle Beni, robiąc krok do przodu. - To nie jest wina Rain, tylko moja. - Beni wyjęła mi pieniądze z ręki i wyciągnęła dłoń do Jerada. - Masz, czego chciałeś, i daj mi negatyw.

Jerad wyciągnął rękę, jakby chciał wręczyć Beni zdjęcia, lecz nagle się zawahał.

- Teraz, kiedy przyjrzałem ci się lepiej przy świetle, coś mi się wydaje, że to chyba jednak nie ty jesteś na tych zdjęciach.

- Zgłupiałeś czy co? - zdumiała się Beni.

- Nie wyglądasz na tę dziewczynę ze zdjęć. No jak, chłopaki, wygląda?

- Nie - odpowiedzieli jednym głosem.

- To zabawne - rzuciłam. - Widziałam jedno z tych wstrętnych zdjęć. Nie ulega wątpliwości, kto na nich jest. Myślisz, że byłybyśmy tutaj, gdyby to nie Beni była na tych fotografiach?

- Nie - pokręcił głową Jerad. - Im dłużej na nią patrzę, tym większej nabieram pewności, że na zdjęciach jest jakaś inna dziewczyna. Istnieje tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Poczułam, że serce podchodzi mi do gardła. Rzuciłam wzrokiem w głąb ciemnej hali, ku odległemu wyjściu na ulicę. Trzeba było się wycofać, dopóki mogliśmy.

- O co ci chodzi? - spytała Beni, nie rozumiejąc, co się dzieje. - Czego chcesz?

- Musisz się rozebrać, tak żebyśmy mogli cię sobie obejrzyć i sami się przekonać - odpowiedział Jerad.

Reszta wybuchnęła śmiechem. Dziewczyny śmiały się najgłośniej. Jak one mogą tak siedzieć i śmiać się, kiedy on sobie z nas drwi? - pomyślałam. Czy żadnej z nich nie przyjdzie na myśl, że mogłoby jej się zdarzyć to samo?

- No, podejdź tu, bliżej światła, i wyskakuj z ciuchów.

- Ani mi się śni - rzuciła Beni. - Oddawaj zdjęcia, ty sukinsynu.

- Ooo... noo. To dopiero pyskata dziewczyna z ciebie - zdziwił się Jerad. Uniósł rękę z kopertą. - Powiedziałem, jeśli chcesz dostać te fotografie, chodź tu i wyskakuj z ciuchów, żebyśmy mogli ci się przyjrzeć i porównać.

- Idziemy, Beni - powiedziałam, ujmując ją za rękę. - Tą sprawą będzie się musiała zająć policja.

- Tu my jesteśmy policją - oświadczył gniewnie Jerad. - To nasze terytorium. My tutaj rządzymy, kapujesz?

- Idziemy, Bem - powtórzyłam, ciągnąc siostrę za rękę, ale Beni była półprzytomna ze złości i lęku, więc wyrwała dłoń i rzuciła się, próbując pochwycić kopertę.

On natychmiast cofnął rękę z kopertą i objął Beni drugą ręką w talii.

- Rzuciła się na mnie! To był zamach na moje życie! - krzyknął. - Wszyscy to widzieliście.

Beni szarpała się, próbując się uwolnić.

- Puść ją! - zażądałam.

- Popełniła przestępstwo. Czekają sąd i kara. My tu jesteśmy policją i sądem - oświadczył Jerad. - Chcesz być jej adwokatem, proszę bardzo. No, powiedz coś na jej obronę, śmiało.

Bem wyrwała się i próbowała go kopnąć. Jerad oddał kopertę Chumpy'emu i chwycił Beni za gardło, by złamać jej opór. Wyrwał jej z ręki nasze pieniądze i schował do kieszeni. Ogarnęło mnie przerażenie.

- Przestań! Zrobisz Beni krzywdę! Puść moją siostrę!

- Jeśli wystąpisz w jej zastępstwie, proszę bardzo. Nasze prawo dopuszcza taką zamianę.



Beni jęknęła. Cała jej twarz napięła się w wysiłku, by zaczerpnąć tchu.

- Dobrze - zgodziłam się. - Puść ją.

Jerad puścił Beni, która upadła na kolana, krztusząc się i kaszląc.

- Jesteś okropny - powiedziałam. - Jak mogłeś to zrobić? Czujesz się ważny i silny w oczach swoich przyjaciół, terroryzując dwie dziewczyny?

Z oczu Jerada zniknął wyraz zadowolenia z siebie. Popatrzył na mnie zimno.

- Bardzo jesteś pyskata - rzekł. - Widzę, że trzeba ci będzie dać nauczkę. Masz szczęście, że na mnie trafiłaś, dziewczyno. Chodź tu, zrobię z ciebie prawdziwą kobietę.

Beni spojrzała na mnie. To, co dostrzegłam w jej oczach, sprawiło, że pokręciłam głową, chcąc ją powstrzymać, ale już było za późno. Nie wstając, odwróciła się i z całych sił uderzyła Jerada między nogi, w najczulsze miejsce chłopaka. Stracił dech, chwycił się rękami za krocze i opadł na kolana. Beni dołożyła mu pięścią w nos i Jerad opuścił bezwładnie głowę. Wszyscy patrzyli na to w kompletnym osłupieniu.

- Uciekaj, Rain! - krzyknęła Beni, z trudem wstając na nogi.

Odwróciłam się i pobiegłam do wyjścia. Byłam pewna, że Beni biegnie za mną, i pędziłam, nie oglądając się za siebie. Usłyszałam krzyki, wpadłam na jakiś słup i omal się nie przewróciłam, ale odzyskałam równowagę i ruszyłam dalej. Chwilę później byłam już na ulicy. Przebiegłam jeszcze kilka metrów i odwróciłam się, spodziewając się ujrzeć Beni w drzwiach magazynu. Tymczasem z ciemnego otworu wyłonił się Carlton.

- Wracaj tu! - krzyknął.

- Beni! - zawołałam.

- Wracaj tu, twoja siostra nigdzie się stąd nie ruszy.

Rozejrzałam się po opustoszałej ulicy i spojrzałam na Carltona.

- Idę na policję - powiedziałam.

- Lepiej tego nie rób - rzucił groźnym tonem.

W drzwiach pojawił się jeszcze jeden chłopak.

Czułam się, jakbym miała stopy z ołowiu, ale wiedziałam, że muszę coś zrobić, i to szybko. Odwróciłam się i pobiegłam pustą ulicą, nie oglądając się za siebie. Kiedy znalazłam się za rogiem, zobaczyłam samochód. Wskoczyłam na jezdnię i zaczęłam machać rękami. Kierowca zatrzymał się przede mną. Był czarny, mniej więcej w wieku Kena.

- Co się dzieje?

- W starych magazynach złapali moją siostrę. Proszę mnie zawieźć na policję! Błagam!

- Kto złapał twoją siostrę?

- Bandyty z gangu - powiedziałam.

Twarz mężczyzny skurczyła się ze strachu.

- Nie chcę mieć do czynienia z żadnym gangiem.

Zanim zdążyłam poprosić go jeszcze raz, dodał gazu i szybko odjechał. Usłyszałam za sobą tupot nóg i natychmiast znów puściłam się biegiem. Chociaż wkrótce poczułam przejmujące klucie w brzuchu, nie zwalniałam, dopóki nie znalazłam się na bardziej ruchliwej ulicy, gdzie zobaczyłam policyjny wóz patrolowy. Ostatkiem sił przyśpieszyłam kroku, bo bałam się, że policjanci odjadą, zanim ich dopadnę. Kiedy dobiegłam szybko samochodu, dosłownie rzuciłam się na drzwi. Kierowca, ciemnowłosy biały mężczyzna, i jego partner, niższy, silnie zbudowany czarny, odwrócili głowy i spojrzeli na mnie zaskoczeni. Pomiedzy nimi leżała rozłożona pizza.

- Moja siostra! - krzyknęłam ostatkiem tchu.

- Co takiego?

- Moja siostra... złapali ją w magazynie.

Popatrzyli po sobie, kierowca odłożył kawałek pizzy, który właśnie jadł, i wysiadł z wozu.

- Spokojnie, dziewczyno - powiedział. - Co się dzieje?

Walcząc z kłującym bólem w piersi, wyjaśniłam im całą sytuację najkrócej, jak mogłam. Wreszcie dali się przekonać i zdecydowali się pojechać do magazynu. Posadzili mnie na

tylnym siedzeniu i połączyli się z komisariatem, żeby wezwać wsparcie. Potem pojechali zgodnie z moimi wskazówkami do magazynu materaców. Kiedy znaleźliśmy się przed wejściem, zobaczyłam, że zaparkowane tam samochody zniknęły. Nigdzie wokół nie było widać żywej duszy.

- To tu? - spytał policjant.

- Tak, pokażę wam.

- Zostań tutaj - polecił mi kierowca. - My sprawdzimy, co się tam dzieje.

Za nami zatrzymał się kolejny wóz policyjny. Czterech policjantów weszło do magazynu, ściskając w rękach broń. Czekałam, aż wyjdą, z twarzą przyciśniętą do szyby.

Miałam wrażenie, że mijają godziny, ale nie mogłam wysiąść z samochodu, bo - jak się okazało - wewnątrz nie było klamek. Tymczasem podjechał kolejny samochód i zaparkował przed tym, w którym byłam uwięziona. Wyskoczyło z niego dwoje policjantów - mężczyzna i kobieta - i wbiegli do magazynu. Krzyczałam i tłukłam dłońią w szybę, ale nie zwrócili na mnie uwagi. Może po prostu nie chcieli mnie zauważyć.

Wreszcie z magazynu wyłonił się kierowca samochodu, w którym siedziałam. Powoli podszedł do wozu i otworzył drzwi.

- Nic jej się nie stało? - spytałam, wyskakując z samochodu.

- Jak wygląda twoja siostra? - odpowiedział pytaniem, otwierając służbowy notatnik.

Zaczęłam opisywać Beni, i to, co na sobie miała. Z magazynu wyszedł następny policjant, za nim kolejny.

- Powiedz, jak się nazywasz, i podaj mi wasz numer telefonu. Matka albo ojciec są w domu?

- Tak, są oboje - odpowiedziałam i podałam nasz numer. - Co się dzieje z Beni? - spytałam niecierpliwie. - Jest tam? Zabrali ją dokądś? Niech pan coś powie! - krzyknęłam.

Policjanci popatrzyli po sobie. Z ich min wyczytałam, że stało się coś złego.

- Beni! - krzyknęłam i rzuciłam się do drzwi.

Policjant chwycił mnie za ramiona.

- Nie masz tam po co iść, dziewczyno - odezwał się dziwnie łagodnym tonem.

- Dlaczego? Co się dzieje z moją siostrą? Czy coś jej się stało? Proszę mi wreszcie powiedzieć!

- Dziewczyna, którą tam znaleźliśmy, nie żyje - oznajmiła policjantka. - Ktoś ją pociął nożem. Paskudnie ją pociął. Przykro mi, dziecko.

Popatrzyłam na nią, ale nie zobaczyłam twarzy kobiety. Do dziś nie potrafię jej sobie przypomnieć. Poczułam, że mnie obejmuje, a potem ziemia uciekła mi spod nóg. Wpadłam w ciemność wypełniającą magazyn jak w czarną wodę.

Kiedy odzyskałam świadomość, znajdowałam się z powrotem na tylnym siedzeniu policyjnego wozu. Nade mną pochylał się pielęgniarz.

- Spokojnie - powiedział, gdy uniosłam powieki.

Ostry zapach soli trzeźwiących wywołał u mnie atak kaszlu. Zajął mi chwilę, nim uzmysłowiłam sobie, gdzie jestem i co się stało.

Zaczęłam szlochać. Cała się trzęsłam. Zupełnie nie potrafiłam się opanować.

- Uspokój się, dziewczyno - powtórzył pielęgniarz.

Gwałtownie pokręciłam głową.

- To moja wina - powiedziałam łamiącym się głosem. - Zostawiłam Beni i uciekłam. To wszystko moja wina.

## POŻEGNANIE

Gdyby Beni mogła zobaczyć, jak mama zareagowała na jej śmierć, wyzbyłaby się wszystkich wątpliwości co do tego, czy była kochana. Wystarczyło, że spojrzałam mamie w oczy, bym wybuchła na nowo histerycznym płaczem. Mama słuchała cierpliwie tego, co mówiono, ale wydaje mi się, że nie docierało do niej ani jedno słowo. Jej oczy były niczym małe zwierciadła, odbijające obrazy świata zewnętrznego i nie dopuszczające ich do wnętrza. W chwili gdy dowiedziała się o śmierci Beni, jej umysł zamknął się na wszelkie bodźce, zatrzasnął żelazne wrota świadomości i odmawiając przyjęcia jakichkolwiek dalszych tragicznych wieści.

Ileż razy mama spojrzała na mnie, tyleż razy jej wzrok wyrażał błaganie. Mimo że milczała, wiedziałam, o co mnie prosi. „Rain, powiedz mi, że to się nie stało. Powiedz mi, że to nieprawda. Powiedz, że nie zaprowadziłaś Beni do tego magazynu. Nie ty, Rain. Nie moja odpowiedzialna, rozsądna Rain. Proszę. Proszę, obudź mnie. Potrząśnij mną mocno. Zdejmij z moich ramion brzemię rozpacz i tragedii. Zabierz to wszystko ode mnie i wrzuć na powrót do rynsztoka, gdzie jest na to miejsce”.

Moje własne serce było w strzępach. Tak strasznie płakałam, że aż rozboleły mnie żebra. Policja sprowadziła mamę, Kena i Roya do kostnicy, żeby zidentyfikowali zwłoki. Beni wyglądała tak okropnie, że Roy sprawiał wrażenie, jakby z niego

samego uciekło życie. Jego skóra zszarzała, ramiona były zgarbione, a głowa opadła, jakby brakło mu sił, żeby trzymać się prosto.

Nawet Ken nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Odezwał się dopiero, gdy znaleźliśmy się z powrotem w domu. O dziwo, nawet te tragiczne wypadki udało mu się wpasować w jego szczególne, obłądne widzenie świata. Tak to wszystko po swojemu wykreślił, że śmierć Beni okazała się kolejnym ciosem, wymierzonym mu przez niesprawiedliwy los w chwili, gdy jego wieloletnie wysiłki zaczęły wreszcie przynosić owoce.

- Że też coś takiego musi się zawsze zdarzyć właśnie wtedy, kiedy człowiek w końcu wychowa dzieci i ma prawo oczekiwać od nich pomocy w trudnych chwilach! Gdzie są ci cholerni policjanci, kiedy ich naprawdę potrzebujesz? Biednym zawsze wiatr w oczy.

Pił i po raz kolejny przeżuwał swoje urazy do świata i społeczeństwa, rozczulając się nad losem skrzywdzonych i prześladowanych, do których we własnym mniemaniu oczywiście się zaliczał. Zaczął tak złorzeczyć natychmiast po przyjściu do domu. Mama była bliska omdlenia i szybko położyła się do łóżka. Roy się nią zajął. Ja błąkałam się po mieszkaniu, nie mogąc zebrać myśli, nie mając odwagi, by kogokolwiek dotknąć czy odezwać się choćby słowem. Mama, Ken i Roy dowiedzieli się tego i owego od policji, ale żadne z nich nie pytało mnie dotąd o koszarne szczegóły wydarzeń.

Mama nie mogła sobie pozwolić na taki luksus, jak proszki nasenne czy lekarza, który by je przepisał. Poprosiła Roya, żeby przyniósł trochę whisky. Stałam w drzwiach jej pokoju. Chciałam się odezwać, ale nie wiedziałam, jak zacząć, bojąc się, że cokolwiek powiem, nie zdołam wyrazić swoich prawdziwych uczuć. Roy poszedł do kuchni, gdzie Ken przemawiał do swojego wymyślanego audytorium, i nalał mamie pół szklanki whisky. Mama zawsze mówiła, że randki z nią nikogo wiele nie kosztowały, bo już po pierwszym drinku usypiała. Miałam nadzieję, że okaże się to prawdą i whisky pozwoli jej znaleźć ukojenie we śnie.

Roy wrócił do pokoju i podał mamie szklankę. Pociągnęła długi łyk i zakaszłała. Jej głowa opadła na poduszkę, a pełne bólu oczy rozejrzały się nieprzytomnie po sypialni.

- Gdzie jest Rain? - spytała Roya.

Roy odwrócił się w moją stronę. Do tej pory nie odezwał się do mnie ani słowem, nie spytał nawet, jak się czuję.

- Jestem tu, mammo.

- Opowiedz mi o wszystkim - poleciła mama.

Podeszłam do łóżka. Roy patrzył na mnie swymi hebanowymi oczami, pełnymi bólu i gniewu.

Zaczęłam od tego, że opowiedziałam mamie o tym, co wydarzyło się Beni podczas prywatki u Alicii, jak strasznie to przeżyła i jak okropnie wstydziła się przyznać do tego przed kimkolwiek.

- Chciała ukryć to swoje nieszczęście przed wami. Nie chciała cię ranić, bała się, że to będzie dla ciebie straszny cios. Wymogła na mnie obietnicę, że nikomu o niczym nie powiem. Miała nadzieję, że cała sprawa nie będzie miała dalszych konsekwencji. Przestała się zadawać z tymi okropnymi dziewczynami.

Zaczerpnęłam tchu i zaczęłam opowiadać o szantażu i o tym, jak jeszcze raz usiłowałyśmy z Beni uchronić mamę przed okropną prawdą.

- Naprawdę sądziłaś, że dogadacie się z tym śmieciem? - spytał gniewnie Roy. - Naprawdę wierzyłaś, że dostaniecie od niego to, czego chcecie?

- Myślałam, że chodzi im wyłącznie o pieniądze. Sądziłam, że kiedy dostaną forszę, oddadzą zdjęcia i odczepią się wreszcie od Beni.

- O Boże! - jęknęła mama. - Moja maleńka! O Boże, jak oni mogli jej to zrobić?

- Mówiłem ci, że są niebezpieczni - powiedział Roy. - Dlaczego nie przyszyście z tym do mnie?

- Bałyśmy się, że wpakujesz się w kłopoty... że coś ci zrobią - wytłumaczyłam.

- Że coś mi zrobią? Pomyśl, co zrobili Beni! - krzyknął,

wyrzucając ramiona w geście wściekłości i rozpacz. - Myślałem, że jesteś mądrzejsza.

Znów zaczęłam płakać. Mama wyciągnęła do mnie rękę.

- Rain chciała jak najlepiej, Roy - powiedziała.

Roy odwrócił wzrok i wyszedł z pokoju. Wzięłam mamę za rękę i usiadłam obok niej na łóżku. Przyciągnęła mnie do siebie i mocno się objęłyśmy. Długo płakałyśmy, a potem wstałam i poszłam do swojego pokoju, żeby mama mogła się trochę przespać.

Ken wciąż mamrotał coś pod nosem, jakby oberwał w głowę i nie mógł przyjść do siebie. Zaczął popijać dzin. Wiedziała, że im bardziej się upije, tym będzie z nim gorzej. Roy wyszedł ze swojego pokoju i powiedział Kenowi, żeby się uciszył.

- Mama musi odpocząć.

- Mama? A co ze mną?

- Z tobą? Ty najlepiej byś zrobił, gdybyś się wyniósł do diabła - odpowiedział Roy.

- Co powiedziałaś, chłopcze?

Och nie, pomyślałam. Zaraz się pobiją. Nie teraz, błagam, nie w tej chwili.

- Przypaletałeś się do mamy i zawróciłeś jej w głowie swoimi obietnicami - zaczął Roy. - Miałeś rodzinę, ale nigdy nic cię ona nie obchodziła. Czemu tu mieszkamy, tato? - Roy po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nazwał Kena w ten sposób. - Dlaczego mieszkamy w tych Projektach, co? Czemu żyjemy pośród gangsterów i śmieci? Czemu mama pracuje w supermarkecie, razem z dzieciakami, którym nie chce się chodzić do szkoły? Dlaczego w szufladzie leży taka masa niezapłaconych rachunków? Dlaczego Beni skończyła w tym starym magazynie, pełnym szcurów i śmieci?

- Chcesz powiedzieć, że to wszystko moja wina? - Głos zaskoczonego Kena rozbrzmiewał urazą do całego świata.

- Czy spojrziałeś kiedykolwiek do lustra? Czy zdarzyło ci się kiedykolwiek popatrzeć w lustro i zobaczyć to, co wszyscy widzą?



- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób. Jestem... Jestem...

- Kim jesteś? Nawet nie potrafisz tego powiedzieć. Nie jesteś niczym ojcem. Nie masz pojęcia, co znaczy być ojcem. Napij się jeszcze. Zapij się na śmierć. - Roy odwrócił się i wyszedł z kuchni. Tyle że nie wrócił do swojego pokoju. Wszedł do mnie i zamknął za sobą drzwi.

Leżałam na brzuchu z twarzą wciśniętą w poduszkę. Powoli odwróciłam głowę i podniosłam na niego wzrok.

- Beni się tak strasznie bała, że wszyscy mogliby się dowiedzieć, Roy - powiedziałam. - Chciała się od tego uwolnić i zacząć wszystko od nowa. Naprawdę miałam nadzieję, że jej pomogę. Uwierz mi.

- Wierzę ci - zapewnił. - Po prostu jestem rozczarowany, że nie przyszedł z tym do mnie.

Kiwnęłam głową.

- Masz rację - przyznałam. - Powinłam była poprosić cię o pomoc.

- Jak mogłaś wybrać się sama w taką okolicę? Czy teraz, kiedy się okazało, że masz bogatą białą matkę, wydaje ci się, że posiadasz jakiegoś prywatnego anioła stróża? - spytał gniewnie.

Jego słowa zabolowały, jakby w samo serce użądliła mnie pszczoła. Na twarzy Roya malował się gniew, w jego oczach wściekłość. Tak łatwiej było mu znieść ból i rozpacz.

- Nie - odparłam łagodnie. - Nigdy nie uważałam się za kogoś wyjątkowego i zapewniam cię, że teraz również tak nie myślę.

- Dopadnę tego sukinsyna Jerada - zapowiedział Roy. - Gołymi rękami rozerwę go na strzępy.

- Proszę cię, zostaw to policji, Roy. Gdyby cokolwiek ci się stało, czułabym się jeszcze gorzej, niż się czuję teraz. Słusznie czy nie, uważałabym, że to wszystko moja wina.

- Za późno, żeby się rozczulać nad sobą - rzucił twardo Roy.

Spojrzał na puste łóżko Beni, na plakaty, które powiesiła na

ścianie, walkmana i kasety. Potem popatrzył na mnie, pokręcił głową, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Gdyby jeszcze zostały mi łzy, płakałabym, dopóki nie wypłakałabym ich do samego końca. Ale moje łzy już się wyczerpały. Wszystko, co mogłam zrobić, to leżeć, wpatrując się w nasze wspólne zdjęcie z Beni. Byłyśmy wtedy dziećmi i wierzyłyśmy jeszcze, że świat jest Disneylandem. Choć wokół siebie widziałyśmy tak wiele przemocy, Beni nigdy nie mówiła o śmierci. Przypomniałam sobie, jak kiedyś natknęłyśmy się na leżące na chodniku, nakryte prześcieradłem zwłoki. Obok stali policjanci i gromadka gapiów. Na betonowych płytach zaschła kałuża krwi.

Policjny fotograf robił zdjęcia, ale poza tym wszyscy stali, rozmawiając półgłosem, jakby nie wydarzyło się nic szczególnego. Zabici byli bezimiennymi pozycjami w rubrykach statystyk przestępczości i bohaterami krótkich wzmianek w lokalnych wiadomościach telewizyjnych czy radiowych. Ludzie słuchali i patrzyli, a jednocześnie jedli i pili. Niekiedy ktoś pokręcił głową lub wygłosił krótki komentarz, ale przez większość czasu słowa i obrazki przelatywały obok nich, składając się na mieszaninę scen i wydarzeń z życia miasta, które nazywaliśmy rodzinnym.

Czułyśmy się niemal, jakby zabici mieli za chwilę wstać, zrzucić płótna, którymi ich okryto, zapytać, jak wypadli w swojej roli, i odejść, by powrócić następnego dnia i wystąpić w kolejnym reportażu. Kiedy rzeczywistość staje się nie do wytrzymania, człowiek zaczyna żyć pobożnymi życzeniami, żeby przetrwać kolejny dzień. Tyle tylko, że kiedy tak leżałam w naszym pokoju, patrząc na to, co zostało po Beni, nie było już we mnie miejsca na żadne pobożne życzenia. Mogłam zamknąć oczy i czekać na chwilę, gdy drzwi się otworzą i stanie w nich Beni, ale wiedziałam, że to nie przywróci jej do życia. Już nigdy jej nie zobaczę. Zaczęłam się zastanawiać, czy naprawdę byłam dobrą siostrą.

Czy nie powinnam zrobić więcej, żeby wyrwać ją z towarzystwa tych okropnych dziewczyn? Czy nie powinnam mniej

myśleć o sobie, o swoich stopniach i wyglądzie, a zamiast tego pomóc Beni? Gdybym bardziej się postarała, czy nie mogłabym zapobiec temu, że wpakowała się w kłopoty, które doprowadziły do jej śmierci? Czy nie okazałam się zbyt samolubna, zbyt pruderyjna i zbyt wyniosła, żeby ubrudzić sobie ręce, pomagając jej?

Biednej Beni tak bardzo brakowało poczucia własnej wartości. Tak bardzo chciała zaskarbić sobie ludzką sympatię. Myślała, że zadając się ze szkolnymi twardzielami, zdobędzie szacunek. Pamiętałam, jak bardzo była przejęta, kiedy zainteresował się nią Carlton. Pamiętałam jej melodyjny, rozmarzony głos, gdy opowiadała o swoim kiełkującym romansie.

Wiedziałam, że zawsze porównywała się do mnie. Pozornie chciała, żebym była taka jak ona, ale w najskrytszej głębi serca, tak naprawdę, chciała być taka jak ja. Wiedziałam, że zazdrościła mi i jednocześnie mnie kochała. Właśnie dlatego trzymała się tych okropnych dziewczyn, dlatego udawała w szkole, że mnie nie zna, choć zawsze stawała przy mnie, kiedy jej najbardziej potrzebowałam.

Najtrudniej było mi przyznać się do tego, nawet przed sobą samą, że Beni poświęciła własne życie, żeby mnie ratować. Być może gdyby nie uderzyła Jerada, gdyby nie walczyła o mnie, nie zdążyłabym uciec z magazynu. Czy powinnam była uciekać? Czy okazałam się tchórzem? A może, gdybym została, jej poświęcenie na nic by się nie zdało i obie nas spotkałby taki sam los? Wyobraziłam sobie wściekłość, jaka odmalowałaby się na jej twarzy, gdybym zmarnowała okazję, którą mi stworzyła. Myśl o tym była tak komiczna, że omal się nie roześmiałam. Popatrzyłam na łóżko Beni i wyobraziłam sobie, że leży na nim i jak zwykle wyrzuca mi, że jestem zbyt dobra.

„To nie twoja wina, tylko moja. Ty po prostu próbowałam mi pomóc. Przestań brać na siebie moje grzechy, jakby należały do ciebie. Doprowadzisz w końcu do tego, że wszyscy będą bardziej żałować ciebie niż mnie”.

Roześmiałam się, kiedy sobie to wyobraziłam. Usiadłam na

łóżku i objęłam wzrokiem wszystko, co należało do mojej siostry. Wciąż myślałam o naszych sekretach i marzeniach, którymi dzieliłyśmy się w tym pokoju. Dopóki byłyśmy młodsze, trzymałyśmy się bardzo blisko. Kiedy zaczęłyśmy dorastać, oddaliśmy się od siebie. Długo byłyśmy jak dwie płynące jednym kursem łodzie. Potem oddzieliły nas od siebie coraz większe fale i wreszcie straciłyśmy kontakt. Niezależnie od tego, jak bardzo się starałam, jak się nateżałam i wyciągałam do Beni rękę, nie mogłam jej uchwycić.

Fale uniosły ją daleko ode mnie.

A teraz już jej nie było.

Wszyscy baliśmy się pogrzebu. Pamiętam, jak idąc do kościoła, myślałam o tym, że najokropniejsze w pogrzebach jest to, że przekreślają irracjonalną, upartą nadzieję, iż rzeczywistość okaże się tylko koszmarnym snem. Nazajutrz po śmierci Beni, przebudziwszy się, długo leżałam z zamkniętymi oczami. Tak cudownie byłoby ocknąć się rano ze snu, popatrzeć na łóżko Beni i zobaczyć ją śpiącą, odwróconą do ściany, zagrzebaną w kołdrę, z rozrzuconymi na poduszce warkoczykami. Choć wiedziałam, że to nie ma sensu, leżałam i nasłuchiwałam, czy nie usłyszę szumu wody w łazience, jakby to była jedna z tych rzadkich okazji, kiedy zdarzyło jej się wstać wcześniej ode mnie. Może to nieprawda, że Beni nie żyje. Może tylko miałam okropny sen.

Leżałam i nasłuchiwałam.

W końcu ta cisza wydała mi się równie straszna jak huk młotki wbijającego gwoździe w wieko trumny. Wokół serca zacisnęła mi się żelazna obręcz.

Wkrótce zaczęli przychodzić przyjaciele i sąsiedzi, żeby złożyć nam kondolencje. Wiele osób ofiarowywało domowe wypieki i owoce. Znajomi Kena przynosili ze sobą piwo i dzin. Nie upłynęło wiele czasu, gdy z bawialni zaczęły dobiegać podniesione głosy, pomstujące na niesprawiedliwość społeczną i przekrzykujące się w gniewnych zapowiedziach dnia sądu

nad całą zgniłą strukturą władzy. Tak jakby sprawiedliwość dla biednych i skrzywdzonych przez los czekała tuż za rogiem ulicy. Jeszcze trochę, i zapomniawszy, po co przyszli, zaczęli rozprawiać o codziennych kłopotach. Wszyscy wypili za dużo, robili zbyt wiele szumu i w końcu ich hałaśliwe zachowanie wypłoszyło z mieszkania tych, którzy mogliby naprawdę pocieszyć trochę mamę.

Roy nie mógł tego wszystkiego wytrzymać. Gdy tylko zaczęli się schodzić ludzie, a zwłaszcza przyjaciele Kena, wyszedł z domu. Bałam się, że wałęsa się po ulicach, wypatrując Jerada. Policja podobno również szukała Jerada i Carltona, ale nie znalazła żadnego z nich. Wszystko, co mogłam zrobić, to opisać podczas przesłuchania pozostałych chłopaków i dziewczyny, które widziałam w magazynie. Nie miałam pojęcia, jak się kto nazywa, poza chłopakiem, do którego Jerad zwracał się „Chumpy”.

Na drugi dzień po pogrzebie przyszła do nas po południu Alicia Hanes. Ken ze swoimi kumplami okupował kuchnię, a mama z przyjaciółkami i ze mną siedziała w bawialni. Zachowywałam się, jakbym doznała kompletnej amnezji - siedziałam, gapiłam się na ludzi i słuchałam ich rozmów, nikogo nie poznając i nie rozumiejąc ani słowa z tego, co mówili. Zdaje się, że na ogół kręcili głowami i użalali się nade mną, ale ci, którzy znali dokładniej całą historię, wygłaszali komentarze w rodzaju: „Jak mogłaś pójść wieczorem w takie miejsce? Co sobie właściwie myślałaś?”.

Pod maską współczucia kryło się potępienie. Miałam wrażenie, że poczucie, iż to ja jestem wszystkiemu winna, wypełnia nasze mieszkanie jak mgła, spowijając mnie coraz gęstszą chmurą. Widziałam to w oczach ludzi, w spojrzeniach, jakie rzucali na mnie spod oka, i uwagach, które wymieniali szeptem, kręcąc głowami. Poczucie winy rosło, kładąc się coraz głębszym brzemieniem na moim sercu i ścisnąc mnie za gardło, dopóki nie stało się tak dotkliwe, że ledwo mogłam oddychać. Miałam wrażenie, że zaraz się uduszę.

- Muszę z tobą porozmawiać - szepnęła Alicia, spoglądając trwożliwie na mamę. - Na osobności.

Z wysiłkiem uniosłam opadające powieki.

- Czego chcesz?

- Mam coś dla ciebie i muszę ci coś powiedzieć.

Przez cały dzień siedziałam na kanapie, tylko czasem wstając po to, żeby pójść do łazienki. Częstowaniem żałobników i sprzątaniami zajmowały się przyjaciółki mamy. Ode mnie nikt niczego nie chciał; czułam się trochę tak, jakby te kobiety wołały, żebym trzymała się z daleka od ich jedzenia i zastawy, którą ze sobą przyniosły.

Podniosłam się z kanapy i zaprowadziłam Alicie do pokoju. Zamknęłam drzwi.

- Czego chcesz? - powtórzyłam.

Żadna inna z tak zwanych przyjaciółek Beni nie pokazała się u nas, nie przyszły nawet te, które mieszkały w naszym bloku.

Alicia rozpięła bluzkę i wyciągnęła kopertę z tymi potwornymi zdjęciami. Kiedy poznałam Beni, poczułam się, jakby uderzył we mnie piorun - przeszył mnie ostry ból, a potem ogarnęło odrętwienie. Krew zastygła mi w żyłach, jakby zmieniała się w lód. Próbowалаm przełknąć ślinę i powiedzieć cokolwiek, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Patrzyłam na kopertę w rękach Alicii.

- Powiedział, żebym ci to dała.

- Kto? - szepnęłam.

- Jakiś facet - wyjaśniła. - Nie znam go, nigdy go nie widziałam - dodała szybko. - Podszedł do mnie na ulicy. Kazał, żebym ci to dała. W środku jest list. Ten facet powiedział, że lepiej zrobisz, jeśli go od razu przeczytasz.

Sięgnęłam po kopertę powoli, jakbym wkładała rękę w ogień. Popatrzyłam na Alicie, żeby się przekonać, czy zaglądała do środka, ale wydaje mi się, że tego nie robiła. I bez tego robiła wrażenie wystraszonej, wręcz przerażonej.

Otworzyłam kopertę i wyjęłam kartkę. Kiedy ją czytałam, Alicia przypatrywała mi się wielkimi oczami.

*Powiedz na policji jeszcze słowo o tym, kogo widziałaś i co się działo, a twój brat będzie następny.*

To było wszystko.

Nogi ugięły się pode mną. Wyciągnęłam negatyw, żeby przekonać się, czy to rzeczywiście zdjęcia Beni.

- Kto ci to dał? - zapytałam Alicii.

- Powiedziałam ci, że jakiś chłopak, którego w życiu nie widziałam na oczy.

- Jak wyglądał?

- Nie pamiętam - odpowiedziała, cofając się do drzwi. - To wszystko wydarzyło się tak szybko. Dał mi tę kopertę i kazał, żebym ci ją przyniosła. Muszę już iść - dorzuciła, chwytając za klamkę.

- Musisz powiedzieć na policji, jak wyglądał. Musisz to zrobić, słyszysz?

Gwałtownie pokręciła głową.

- Nie ma mowy. Nie chciałam nawet iść z tym do ciebie, ale zagroził, że pożałuję, jeśli odmówię. Nie pytaj mnie o nic więcej. Jeśli powiesz policjantom, że przyniosłam tę kopertę, wyprę się wszystkiego. Nie mam zamiaru przez ciebie zginąć.

Odwróciła się i szybko wyszła z pokoju.

- Alicia! - krzyknęłam.

Zanim zdążyłam zawołać ją jeszcze raz, wypadła z mieszkania. Ken spojrzał na mnie znad stołu w kuchni, przy którym siedział z dwoma innymi pijakami. Wszyscy trzej gapili się na mnie szklistymi oczami.

- Co się stało? - spytał Ken.

Popatrzyłam na nich.

- Nic - wykręciłam się.

- To o co chodzi? - rzucił Ken, na co jego kompani zarechotali, jakby powiedział świetny dowcip.

Wróciłam do pokoju i zamknęłam za sobą drzwi. Co powinienam zrobić? - zadawałam sobie pytanie. Jeśli nie powiem Royowi, co się stało, będzie na mnie jeszcze bardziej zły, o ile w ogóle jest to możliwe. Ale jeżeli zobaczy zdjęcia, będzie wściekły. Usiadłam na łóżku z kopertą w dłoni. Czułam się

bezradna i bezsilna, jakbym była skępowana powrozem. Resztę popołudnia przesiedziałam w pokoju, zastanawiając się i zamartwiając. W pewnej chwili usłyszałam pukanie do drzwi i zajrzał Roy.

- Co się dzieje? - spytał.

Popatrzyłam na niego zaskoczona.

- Ken powiedział, że była u ciebie jakaś dziewczyna i że dziwnie się zachowywałaś. Mówił, że krzyczałaś coś za nią. Zresztą już sam fakt, że cokolwiek zwróciło uwagę Kena, jest dostatecznie zdumiewający, aby się domyślić, że zdarzyło się coś niezwykłego. - Spojrzał na kopertę, którą wciąż trzymałam w ręku. Nawet o tym nie pamiętałam. - Co to była za dziewczyna? Co cię tak przygnębiło?

- To była Alicia Hanes - przyznałam. - Mówiła, że ktoś kazał jej to przynieść. Nie chciała powiedzieć kto, nie chciała nawet powiedzieć, jak wyglądał.

- Co to jest?

Pokręciłam głową i zaczęłam płakać. Roy zamknął drzwi i podeszedł do mnie.

Zawahałam się, ale podałam mu kopertę. Otworzył ją i wyjął kartkę. Potem rzucił okiem na negatyw. Jego twarz zrobiła się szara jak popiół.

- Mówiłaś o tym komukolwiek?

- Nie, jeszcze nie. Ale uważam, że powinniśmy zanieść to na policję.

Roy prychnął gniewnie.

- A po co? Myślisz, że policjanci znajdą Jerada? A nawet jeśli go znajdą, to czy spodziewasz się, że zgromadzą dość dowodów, żeby go skazać? Przecież wiesz, jak policja zwykle załatwia takie sprawy, Rain. Dla nich śmierć Beni znaczy tylko tyle, że jest o jedną czarną gówniarę mniej. Nic ich to nie obchodzi - powiedział gorzko.

- Mówisz jak Ken.

- No cóż, widać nie wszystko, co mówi Ken, jest takie głupie.

- Co chcesz w takim razie zrobić, Roy?



Zastanawiał się przez chwilę.

- Chodź - powiedział nieoczekiwanie.

- Dokąd?

- Tak czy siak, dobrze ci zrobi, jeśli się trochę przejdiesz.

Chodź - powtórzył, odwracając się do drzwi.

Wstałam i poszłam za nim.

Ken zniknął gdzieś z przyjaciółmi, ale mama wciąż siedziała w bawialni z sąsiadkami z Projektu. Roy rzucił na nie okiem i skierował się do drzwi.

- Nikt nie zauważy, że nas nie ma. Nie ma się czym martwić.

Wyszłam za nim z mieszkania. Dziwnie się poczułam, kiedy znalazłam się na zewnątrz. Dopóki otaczali mnie żałobnicy, spowijał mnie kokon cierpienia, ale byłam ukryta przed obcymi spojrzeniami. Głosy ludzi, ich śmiechy spadały na mnie jak razy. Nie mogłam uwierzyć, że życie toczy się nadal, jakby nic się nie wydarzyło. Dlaczego nikt nie czuł się równie smutny i nieszczęśliwy jak my? Czemu nikt nie przejął się okropną śmiercią Bem? Czy wydarzyła się nie dość blisko? Nie potrafiłam pogodzić się z cudzą radością i beztrąską, hałasem i ruchem ulicznym.

Roy szedł szybko. Ramiona miał ściągnięte, jakby czuł to samo co ja. Obeszliśmy blok i skierowaliśmy się na pusty plac po drugiej stronie ulicy. Pełno tam było worków ze śmieciami, złomu, starych opon i szczątków mebli. Roy rozglądał się przez chwilę, jak generał, który lustruje polowisko. Znalazł to, o co mu chodziło, i ruszył przed siebie.

Wrzucił zmięte gazety i połamane kawałki mebli do opony. Podniósł leżącą nieopodal poobijaną bańkę na benzynę i przechylił ją, wylewając resztkę benzyny na niewielki stos. Potem rzucił na wierzch kopertę.

- Chcesz spalić negatyw?

- Niech go szlag trafi!

- Czy to nie jest dowód w sprawie, Roy?

Pokręcił głową.

- Chcesz, żeby ktokolwiek to oglądał? Choćby nawet z policji?

Zastanawiałam się przez chwilę.

- Nie - odpowiedziałam. Nie chciałam, żeby ktokolwiek gapił się na biedną nagą Beni. - Nie chcę.

- To tak jak ja.

Uklęknął przed oponą i podpalił maleńki stos. Oboje patrzyliśmy, jak płomienie ogarnęły kopertę, pochłonęły ją i strawiły. Negatyw zwinął się w ogniu, a w powietrze uniosła się chmurka czarnego dymu. Tak bardzo bym chciała, żeby cała ta koszmarna historia, wszystkie te ohydne rzeczy, które zrobiono Beni, mogły zostać tak samo unicestwione, nie pozostawiając po sobie nic prócz smużki dymu. Roy klęczał, zapatrzone w płomienie. Rozejrzałam się wokół. Nieoczekiwanie ogarnął mnie lęk, wydawało mi się, że ktoś na obserwuje. Każdy pusty budynek, każde wybite okno, każda ciemna otchłań ziała grozą. Nawet niebo pokryło się chmurami. Wiatr się wzmógł. Silny powiew poderwał w powietrze śmieci, podarte papiery, plastikowe torebki. Objęłam się ramionami.

- Wracajmy już do domu, Roy - powiedziałam niecierpliwie.

Przez chwilę zachowywał się, jakby mnie nie słyszał. Potem wstał i rozdeptał dogasające resztki małego ogniska, wdeptując wszystko, co z niego zostało, w ziemię. Kopnął oponę i odwrócił się gwałtownie. Dostrzegłam, że ma w oczach łzy. Zdumienie i współczucie zaparły mi dech w piersi. Potem Roy skinął głową i ruszyliśmy do domu. Ulicą przejechał samochód policyjny z wyjącą syreną i migocącą lampą na dachu. Patrzyliśmy, jak mija nasz blok.

- Złapią ich, prawda, Roy?

- I co z tego? Jerad ma już za sobą inne zabójstwa. Wiem o tym, a jednak policja niczego mu nie udowodniła - odpowiedział. - Na kogoś takiego jest tylko jeden sposób...

Kiedy wróciliśmy, w mieszkaniu było cicho. Wszystkie przyjaciółki mamy już poszły. Posprzątały po żałobnikach,

uporządkowały nawet bałagan, jaki zostawił w kuchni Ken ze swoimi kumplami. Mama leżała na kanapie w bawialni.

- Zjesz coś, Roy? - spytałam.

- Może - powiedział. - Najpierw wezmę prysznic.

Zajrzałam do bawialni i popatrzyłam na mamę. Jak zwykle wyczuła, że jestem w pobliżu. Zawsze tak było, niezależnie od tego, jak cicho się zachowywałam. Otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

- Jutro - odezwała się - będę musiała pochować moje dziecko. Dla matki nie ma nic straszniejszego, Rain. Nawet szatan nie wymyśliłby gorszej męki.

Podbiegłam do niej i objęłam ją ramionami. Pogłaskała mnie po głowie, pocieszając, choć to ja powinnam była ją pocieszać.

W dniu pogrzebu poczucie winy dręczyło mnie bardziej niż kiedykolwiek dotąd, rozwijając się we mnie jak podstępna choroba. Zaczynało się w sercu i rozprzestrzeniało po całym ciele wraz z krwią, zakażając ręce i nogi, kark i ramiona. Wyrzuty sumienia sprawiały, że albo zamykałam oczy, albo spoglądałam pod nogi, unikając ludzkiego wzroku. Kiedy siedzieliśmy w kościele, czułam na karku ciężar potępiających spojrzeń, a gdy wstaliśmy z miejsc, bałam się obejrzeć w lewo czy w prawo. Na nabożeństwo przyszło niewiele ludzi, jeszcze mniej na cmentarz. Wszyscy całowali i ściskali mamę, obejmowali współczującym uściskiem Roya, ściskali dłoń Kena. Mnie tylko kiwali głowami albo po prostu mi się przyglądali. Zostawiłam swoją siostrę na pastwę śmierci. Jestem przekonana, że tak o mnie myśleli.

Nocą spadł deszcz, ale nad ranem się przejaśniło i jeszcze tylko od czasu do czasu trochę mżyło. Akurat w czasie takiej przerwy odbyła się nad grobem Beni skromna ceremonia. Potem znów spadł deszcz i zagonił wszystkich do samochodów. W rezultacie pogrzeb trwał krócej, niż się spodziewałam. Nim się naprawdę pożegnałam z Beni, już było po wszystkim.

Kiedy wróciliśmy do domu, ogarnęło nas uczucie smutku i pustki. Ken oczywiście czym prędzej sięgnął po butelkę i wkrótce spał na kanapie w bawialni, pijany jak bela. Roy zamknął się w swoim pokoju i również położył się spać. Mama krzątała się w kuchni, zaparzyła herbatę i posiedziała chwilę ze mną, zanim spróbowała zasnąć.

- Wszyscy musimy żyć dalej - powiedziała. - Nic nie zmieni tego, co się stało.

Wydawało mi się to niemożliwe, ale mama zdołała się jakoś pozbierać, przynajmniej na tyle, by następnego ranka pójść do pracy. Jej siła pokrzepiła i mnie. Roy i ja zśliśmy do szkoły, nie mogąc się uwolnić od dręczącego uczucia pustki. Jakże wiele dalibyśmy za to, żeby znów mieć przy sobie Beni i móc kłócić się z nią o jakieś głupstwa, błahostki! Roy powiedział mi, że prosto ze szkoły pójdzie do pracy.

Jak na razie nie dowiedzieliśmy się niczego o Carltonie ani o Jeradzie. Wyglądało na to, że Roy ma rację i zapewne policja nie zrobi nic w sprawie Beni. Miała utonąć w zapomnieniu, jak tyle innych ofiar bezsensownej przemocy. Jednak powrót do szkoły okazał się dla mnie cięższy, niż się tego spodziewałam. Część ludzi, których lepiej znałam, wyraziła mi współczucie, ale przyjaciółki Beni nie przebierały w oskarżeniach pod moim adresem. Słuchając ich, można by sądzić, że Jerad i jego kolesie byli przypadkowymi uczestnikami wydarzeń, a tak naprawdę za wszystko ja ponosiłam winę.

- Gdybyś Beni nie zostawiła - zaatakowała mnie na przerwie Nicole - nic by się jej nie stało. Na początku to były z ich strony tylko żarty.

- Chyba nie wiesz, co mówisz - odpowiedziałam.

- Owszem, wiem, co mówię. To twoja biała krew dała o sobie znać - oświadczyła. - Dlatego uciekłaś, porzucając Beni na pastwę losu. Nie jesteś siostrą, nie dla mnie.

Jej przyjaciółki kiwały z aprobatą głowami.

- To bzdury. Nawet sobie nie wyobrażacie, jakie jesteście głupie - odpaliłam. Miałam dość Nicole, miałam dość ich wszystkich.

- Jasne, że jesteśmy głupie - przytaknęła z ironią Alicia. - Ale to ty żyjesz, a Beni nie.

- Gdyby nie ten numer, który wycięliście jej u ciebie na prywatce, to wszystko nigdy by się nie wydarzyło. To wy powinniście się czuć winne temu, co się stało, nie ja! - krzyknęłam. - Dobrze z was przyjaciółki, zdradziłyście ją, sprawiłyście, że wstydziła się pokazać ludziom na oczy.

- Tylko posłuchajcie, dziewczyny - oburzyła się Nicole. - Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała, przysuwając twarz do mojej twarzy. - Próbujesz zwalić winę na nas? Tak?

Szturchnęła mnie swoim twardym, kościstym palcem między żebra. Zabolało, ale nie cofnęłam się ani o krok.

Coś we mnie ostatecznie wybuchło. Nienawidziłam ich za to, co zrobiły Beni, i nie mogłam pozwolić, żeby tak wszystko wykręciły, jakby były niewiniątkami, a cała wina leżała po mojej stronie. Z całych sił zdzieliłam Nicole książkami w bok, tak że upadła na podłogę. Dziewczyny wokół nas zaczęły krzyczeć. Nicole siedziała chwilę kompletnie osłupiała, ale kiedy dotarło do niej, na co się odważyłam, zerwała się na równe nogi i skoczyła na mnie jak pantera, wczepiając się we włosy. Upuściłam książki i chwyciłam ją wpół. Zatoczyłyśmy się i Nicole wpadła na szafkę, lecz mimo to natychmiast mnie przewróciła. W jednej chwili zebrał się wokół nas tłumek gapiów.

Zanim Nicole zdążyła się ze mną rozprawić, pan McCalester i pan Scanlon odciągnęli ją ode mnie. Wierzgała i szarpała się, ale nie zdołała im się wyrwać. Kiedy wlekli ją korytarzem, wydierała się, miotając na mnie przekleństwa. Z klas wyglądali inni nauczyciele. Korytarzem nadbiegli umundurowani ochroniarze i kazali uczniom się rozejść. Zaprowadzono mnie do gabinetu dyrektora w ślad za Nicole, która przeklinała mnie i wyzywała, jakby chciała napluć mi w twarz.

Strażnicy posadzili ją w sekretariacie i wprowadzili mnie do gabinetu dyrektora. Mimo całego zdenerwowania myślałam tylko o tym, że znów sprawię przykrość mamie.

Nasz dyrektor, pan Morgan, był postawnym, silnym mężczyzną. W college'u zasłynął jako doskonały piłkarz. Podobno mógł zostać zawodowcem, ale wolał pójść na studia pedagogiczne, bo lubił pracować z młodzieżą. Miał głęboki, dźwięczny głos i śpiewał w kościelnym chórze. Podziwiałam go za to, że umie być twardy, gdy jest to konieczne, ale jednocześnie interesuje się swoimi uczniami i ma dla nich wiele życzliwości.

Kiedy stanęliśmy w drzwiach gabinetu dyrektora, popatrzył na mnie zaskoczony, a gdy usłyszał, co się stało, na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie.

- W porządku - powiedział. - Siadaj.

Podziękował nauczycielom, którzy wyszli, zamykając za sobą drzwi.

- No dobrze - zaczął, siadając za biurkiem. - Czy powiesz mi dokładnie, co się wydarzyło?

- Nicole napadła na mnie na korytarzu! - krzyknęłam. Dotknęłam głowy w miejscu, gdzie bolała mnie najbardziej, i popatrzyłam na krew na opuszkach palców.

- Dlaczego?

- Bo powiedziałam, że to jej rzekome przyjaciółki są winne śmierci mojej siostry. - Pod spojrzeniem stalowych oczu pana Morgana odwróciłam wzrok. - Nienawidzę ich. Nienawidzę ich wszystkich i one mnie nienawidzą. Zawsze mnie nienawidziły.

- Dlaczego zawsze cię nienawidziły?

- Po prostu mnie nienawidzą. Za to, że jestem o nich jak najgorszego zdania i próbowałam przekonać siostrę, żeby się z nimi nie zadawała. Mówią o mnie, że jestem snobką - dodałam.

- Myślałaś, że bójka na korytarzu cokolwiek zmieni? - spytał łagodnie pan Morgan.

- Nie, ale miałam dosyć ich zaczepek. Miałam dość dokuwania, drwin, popychania i poszturchiwania.

- Wiesz, że mamy surowe przepisy dotyczące przemocy. Z drobnych sprzeczek bardzo szybko wynikają poważne awantury. Nie mogę tego tolerować; muszę traktować takie wybryki z największą powagą.

- Wiem. Przepraszam.
  - Na przyszłość, jeśli ktoś będzie ci sprawiał kłopoty, przyjdź do mnie - pouczył mnie dyrektor.
  - Nie zastanawiałam się, co robię - przyznałam i popatrzyłam na pana Morgana. - Ostatnie dni nie były łatwe dla mnie i dla mojej rodziny.
  - Rozumiem i przykro mi z tego powodu, ale muszę myśleć o całej szkole. Będę musiał zawiesić cię na trzy dni. W ciągu tych trzech dni chcę zobaczyć jedno z twoich rodziców lub ich oboje. Mam nadzieję, że po powrocie do szkoły zastanowisz się dwa razy, zanim znów wdasz się w bójkę, albo przyjdiesz do mnie.
  - Jeszcze bardziej będą mnie wtedy nienawidzić - powiedziałam. - Będzie znacznie gorzej niż dotąd.
  - Zobaczymy. Czy któregoś z twoich rodziców jest teraz w domu?
  - Nie wiem, może Ken.
  - Kto taki?
  - Chciałam powiedzieć, mój ojciec. Stracił pracę.
  - Poproszę panią Dickens, żeby zadzwoniła do ciebie do domu. Jeśli nikogo nie będzie, odprowadzi cię strażnik. Bardzo mnie rozczarowałaś, Rain. Jesteś jedną z naszych najlepszych uczennic.
  - Nie chciałam, żeby do tego doszło, panie Morgan - odpowiedziałam.
- Skinął głową. Jego spojrzenie wyrażało współczucie, może nawet zrozumienie. Ale wiedziałam, że byłoby dla niego trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe, puścić mnie i ukarać Nicole. Naprawdę nie miał wielkiego wyboru.
- To się więcej nie zdarzy - obiecałam.
- Kena nie było w domu, więc odprowadził mnie strażnik. Nie mogłam ukryć tego, co się stało, przed mamą, bo przecież musiała pójść do szkoły, a w tym celu zwolnić się z pracy, co jeszcze pogarszało sprawę. Roy dowiedział się o zajściu i zanim poszedł do Slim's Garage, wstąpił do domu. Opowiedziałam mu o wszystkim.

Uśmiechnął się.

- Słyszałem, że nabiłaś Nicole wielkiego guza.

- To żaden powód do dumy. Pomyśl, ile kłopotu znowu sprawiłam mamie.

- Lepiej zrobią, trzymając się z dala od ciebie - powiedział z oczyma płonącymi gniewem.

Odwrociłam wzrok. Czy moim przeznaczeniem jest wpędzać wszystkich w kłopoty?

Mama była oczywiście zmartwiona, kiedy usłyszała o awanturze, ale bardziej martwił ją fakt, że zostałam napadnięta, niż to, że mnie zawieszono w prawach ucznia.

- Nikt z nas nie jest tu bezpieczny - mruknęła. Skarżyła się na to Kenowi, ale on niewiele mógł i chciał zrobić. Nie miał nawet pracy, nie mówiąc już o możliwości znalezienia dla nas innego mieszkania.

Trzy dni później mama odprowadziła mnie do szkoły i poszła porozmawiać z panem Morganem. W pracy oczywiście nie zapłacili jej za te dwie godziny, ale poświęciła je, żeby zdecydowanie zażądać, by zapewniono mi bezpieczeństwo. Szkoła niewiele jednak mogła w tej sprawie zrobić, a w dodatku następna napaść miała miejsce poza terenem szkolnym.

Nicole bała się zaczepiać mnie w szkole. Pan Morgan zagroził jej, że jeśli jeszcze raz wywoła awanturę, zostanie wyrzucona, ale ona pałała żądzą zemsty. Ilekroć napotkałam spojrzenie Nicole, widziałam w jej wzroku nienawiść. Powinam być ostrożniejsza, ale własny los był mi wtedy niemal obojętny.

Nicole i jej przyjaciółki czekały na okazję. Tydzień później śledziły mnie, kiedy wracałam ze szkoły. Usłyszałam je dopiero, kiedy znalazły się tuż za mną. Ktoś wymówił moje imię, odwróciłam się i zostałam polana benzyną z niewielkiej bańki.

Krzyknęłam i wtedy podeszła do mnie Nicole i rzuciła we mnie zapaloną zapałką.

- Trochę się przypieczesz. Będziesz ciemniejsza, Panno Cnotko! - krzyknęła.



Objęły mnie płomienie. Przerazona rzuciłam się do ucieczki. Na szczęście mój krzyk przyciągnął uwagę ludzi. Z biurowca, obok którego się to wszystko wydarzyło, wyskoczył strażnik i wrzasnął, żebym rzuciła się na trawnik i tarzała, by stłumić ogień. Zrobiłam, co kazał, ale mimo to miałam tak poparzone uda, że zabrało mnie pogotowie. Ze szpitala zadzwonili po mamę. Kiedy przyjechała, leżałam obandażowana na stole. Nie czułam bólu, bo podano mi środki przeciwbólowe.

Stojący na korytarzu policjant powiadomił mamę, co się stało, a lekarz wyjaśnił jej, jakie odniosłam obrażenia. Groziło mi, że będę miała blizny na nogach.

Mama weszła do pokoju, w którym leżałam, płacząc. Podbiegła do mnie i chwyciła mnie za rękę.

- Nic mi nie jest, mamó. Naprawdę, wszystko będzie dobrze.

- Mogłaś już nie żyć! - krzyknęła. Pokręciła głową. - To się nigdy nie skończy. Nie dadzą ci spokoju. Ja ich znam. Żyją wyłącznie nienawiścią. - Wyprostowała się i zacisnęła usta. - Nie wydam cię na pastwę ulicy - oznajmiła zdecydowanie. - Nie pozwolę, żeby cię ktokolwiek skrzywdził.

- Co chcesz przez to powiedzieć, mamó?

- Straciłam już jedno dziecko. Nie zamierzam stracić drugiego. Co to, to nie, moi państwo. Nie.

- Nie stracisz mnie, mamó - zapewniłam.

Wyraz jej twarzy się nie zmienił. Nigdy nie widziałam w jej oczach takiej determinacji. Oczy mamy były twarde jak głąz. Odsunęła mi włosy z twarzy i popatrzyła na mnie, kręcąc głową.

- Wiem, że nigdy nie przestaniesz winić się za to, co się stało, Rain. A poza tym teraz już nigdy nie będziesz tu bezpieczna, dziecko.

- Więc... co zrobimy, mamó? - spytałam, czując, jak wali mi serce.

- To nie my zrobimy, Rain. To ty będziesz musiała to zrobić.

- Ja? Co takiego mam zrobić?

- Musisz wrócić do swoich. Z powrotem do bezpieczniejszego świata. Już ja się tym zajmę - oświadczyła.

Byłam pewna, że moje serce zatrzymało się na chwilę, zanim zaczęło na powrót bić. Pokręciłam głową.

Ale ze słownika mojej mamy zniknęło słowo „nie”. Utrata Beni była dla niej zbyt bolesnym ciosem. Nie zamierzała przeżyć czegoś takiego jeszcze raz, obojętne, za jaką cenę, choćby nawet za cenę rozstania ze mną. Postąpiła jak ta matka z Biblii, której król Salomon zagroził, że każe przekroić jej dziecko na pół. Wolała raczej mnie stracić, niż pozwolić, żeby stała mi się krzywda.

Chciałam znienawidzić ją za samą myśl o tym, ale w głębi serca widziałam, że jej zamiary są jak kwiaty, wyrastające na grzędce miłości.

Mogłam nienawidzić tej okolicy, mogłam nienawidzić dziewczyn, które mi to zrobiły. Mogłam znienawidzić nawet samą siebie.

Ale nigdy, przenigdy nie mogłabym znienawidzić mamy.

## TWARZĄ W TWARZ

Z powodu oparzeń chodzenie sprawiało mi trudność, więc przez tydzień po napaści nie ruszałam się z domu. Policja zatrzymała Nicole, ale jako nieletnia została jedynie poddana nadzorowi kuratora sądowego. Roy był zdania, że wnoszenie skargi jest tylko stratą czasu. Nicole wróciła do szkoły, gdzie przyjaciółki traktowały ją jak bohaterkę, podczas gdy ja leżałam w domu, wylizując się z obrażeń i tracąc możliwość nauki.

Roy był wściekły z powodu daremności wniesionej skargi i nieudolności policji, która nie potrafiła znaleźć Jerada ani nikogo z jego gangu. Frustracja i poczucie bezsilności potęgowały trawiący go gniew. Jerada widziano wprawdzie to tu, to tam, ale policja jakoś nigdy nie reagowała na doniesienia dostatecznie szybko, żeby go zatrzymać. Wokół wydarzało się tyle przestępstw i zbrodni, że Roy był przekonany, iż policjanci odłożyli akta sprawy na samo dno niebotycznego stosu, piętrzącego się na posterunku. Mama i ja zauważyliśmy, że od czasu do czasu znika wieczorami z domu, by przeczesywać hip-hopowe lokale, gdzie spodziewał się znaleźć Jerada. Czułyśmy się wtedy jak widzowie oglądający kryminał i wstrzymujący oddech w chwilach najsilniejszego napięcia. Leżałyśmy w łóżkach, nie mogąc zmrużyć oka, dopóki nie wrócił do domu.

Nieoczekiwanie pewnego dnia pod koniec tygodnia, który spędziłam w łóżku, usłyszałyśmy nowinę, że Jerada znaleziono

martwego wskutek przedawkowania narkotyków w jakimś opuszczonym mieszkaniu. Nagle z cienia wyłonili się jego znajomi, którzy oczywiście obciążyli go wyłączną odpowiedzialnością za śmierć Beni. Myślałam, że Roy się wreszcie uspokoi, ale on był jeszcze bardziej wściekły. Nie mógł sobie darować, że nie wymierzył osobiście sprawiedliwości mordercy swojej siostry, którego współnicy, zrzuciwszy na niego całą odpowiedzialność za zbrodnię, pozostaną bezkarni.

Nigdy w życiu nie widziałam Roya w takim napięciu; jego nerwy przypominały tłące się lonty, grożące w każdej chwili eksplozją. Nie potrafił mówić o niczym innym poza pogłębiającą się nędzą i degeneracją na naszym osiedlu i obojętnością rządu na los biedaków. Coraz bardziej przypominał w takich chwilach Kena. Z byłe powodu wpadał w złość i po raz pierwszy widziałam, jak pił taną whisky. Mama zamartwiała się o niego, chudła, mizerniała, a nieustanna troska wyciskała na jej czole coraz głębsze zmarszczki.

W końcu doszło do nieuniknionego starcia tytanów. Bezpośrednią przyczynę stanowił fakt, że Ken wciąż nie mógł sobie znaleźć pracy, a zasiłek przepijał z kolegami w jakichś podłych knajpach. Kłótnia wybuchła późno wieczorem. Mama i ja leżałyśmy już w łóżkach. Moje oparzenia wygoiły się na tyle, że mogłam chodzić, i mimo obawy przed dalszymi zaczepkami ze strony Nicole i dziewczyn z jej gangu czekałam z utęsknieniem na chwilę, gdy wrócę do szkoły.

Ze snu wyrwały mnie dobiegające z kuchni podniesione głosy Kena i Roya. Zaraz potem usłyszałam brzęk rozbijanej butelki i łoskot przewracającego się krzesła. Wskoczyłam z łóżka i pobiegłam do kuchni w samą porę, by zobaczyć, jak Ken, popchnięty przez Roya wpada na krzesło, które pod jego ciężarem rozsypuje się w drzazgi. Ken wstał niepewnie na nogi, po policzku spływała mu krew. Ciężko dysząc, ruszył na syna z zaciśniętymi pięściami. Mama krzyknęła. Ken odwrócił się do niej.

- Pięknie mnie traktują w tym domu! - ryknął wściekły. - Do diabła z wami wszystkimi!

Wyszedł z mieszkania, nawet nie zamykając za sobą drzwi. Mama zasłoniła sobie usta dłonią, by stłumić jęk. Roy patrzył na nią, dysząc ciężko, po czym opadł na krzesło. Po twarzy spływał mu pot, jego oczy miały wciąż dziki wyraz schwytanego w potrzask zwierzęcia.

- Robisz się taki sam jak on - powiedziała mama, wskazując na drzwi, za którymi zniknął Ken. - Idź za nim, zobacz, co cię czeka na tej drodze życia.

Odwróciła się, nie dodając ani słowa, i wróciła do swojego pokoju. Roy spozjrzał na mnie ze skruszoną miną.

- Nie patrz tak na mnie, Rain - rzekł zbolalym głosem. - Nie mogłem... po prostu nie mogłem go już znieść z tymi wiecznymi narzekaniami na nas wszystkich.

Uciekał przede mną spojrzeniem, co nasunęło mi myśl, że zapewne odegrałam niepoślednią rolę w narzekaniach Kena.

Podeszłam do Roya i położyłam mu rękę na ramieniu. Nakrył ją swoją potężną dłonią i podniósł na mnie wzrok. Od pijaństwa i bijatyki oczy nabiegły mu krwią.

- Nie będziesz taki jak on, Roy - powiedziałam. - Nieważne, co mówi mama, ja wiem, że nie będziesz taki jak Ken.

- Będę, jeśli tu zostanę - odparł. - Ale nie zostanę.

- Co to znaczy? Co chcesz zrobić? - Na myśl, że nas opuści, ogarnęło mnie przerażenie.

- Zaciągnę się do wojska. Wczoraj się zdecydowałem, Rain. W ten sposób się stąd wyrwę, a poza tym muszę spędzić jakiś czas z dala od... z dala od ciebie - dodał miękko.

- Roy...

- Nie rozumiesz mnie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się czuję, kiedy wracam wieczorem do domu i kładę się spać ze świadomością, że leżysz tuż "za ścianą. Nic na to nie mogę poradzić, że nasłuchuję każdego dźwięku, jaki dobiega z twojego pokoju. To nic dobrego. - Spojrzał w kierunku pokoju mamy. - Ma teraz tyle zmartwień, nie trzeba jej jeszcze dodatkowego strapienia.

- Ale do wojska? Jesteś pewien, że tego chcesz?

- Tak. W wojsku nauczę się czegoś pożytecznego, a od

czasu do czasu będę wam mógł przysłać trochę pieniędzy. Nie będzie mi wiele potrzebna, a gdy wyjadę, z domu ubędzie jedna gęba do wykarmienia.

- Mamie się to nie spodoba, Roy.

Uśmiechnął się.

- Sama mi to doradziła.

- Mama? - Pokręciłam z niedowierzaniem głową.

- Tak - odpowiedział. - Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaka jest dzielna. Nigdy nie myśli o sobie, wszystko robi z myślą o nas. - Jego twarz stężała. - Właśnie dlatego tak go nienawidzę. Nigdy nie pomyślał o nikim prócz siebie. Niech go diabli wezmą. Jeśli go więcej nie zobaczę, nie będę żałował.

Jak mogłam się pogodzić z myślą o tym, że Roy opuści dom? Teraz, po śmierci Beni, oznaczało to po prostu koniec naszej rodziny. Zaczęłam cicho płakać. Roy odwrócił się, objął mnie w tali ramionami i oparł lekko głowę na moich piersiach. Trwał tak przytulony do mnie przez długą chwilę, najdłuższą, przez jaką zdarzyło się nam dotykać w całym naszym życiu, po czym wstał i bez słowa odszedł do swego pokoju.

Posprzątałam najlepiej, jak mogłam, i wróciłam do łóżka.

Kiedy wstałam rano, umyłam się, ubrałam i weszłam do kuchni, mama siedziała przy stole, obejmując dłońmi kubek z kawą. Wyglądała, jakby nie spała przez całą noc. Wypadki ostatnich kilku tygodni sprawiły, że bardzo się postarzała. Jej włosy posiwiały, pod oczami miała worki.

- Dzień dobry, mamó - powitałam ją.

Uniosła na mnie oczy z wysiłkiem, jakby były z ołowiu, i odetchnęła głęboko.

- Gdzie jest Roy? - spytałam.

- Poszedł do pracy - odpowiedziała. - Nie chciał śniadania. Powiedział, że zje coś w warsztacie.

- Wczoraj po tej awanturze z Kenem powiedział mi, że zamierza zaciągnąć się do wojska. Mówił, że to twój pomysł. To prawda, mamó?

Skinęła głową.

- Jeśli tu zostanie, będzie po nim. Sama widziałaś, co się wczoraj działo. Prędzej czy później musiało się to wydarzyć. Cieszę się, że nie było gorzej.

- Czy Ken wrócił do domu? - spytałam.

- Nie - odpowiedziała, prostując się na krześle - i jeśli przyjdzie, wyrzucę go za drzwi. To nie ma sensu. Weź sobie sok pomarańczowy i zjedz coś, Rain. Muszę z tobą porozmawiać - dodała ponuro.

Moje serce zaczęło bić szybciej, a karton z sokiem omal nie wypadł mi z rąk. Nalałam trochę soku do szklanki i usiadłam przy stole naprzeciwko mamy.

- Już się lepiej czuję, mam - zapewniłam. - W poniedziałek pójdę do szkoły.

- Mam nadzieję, że nie - usłyszałam w odpowiedzi.

- Jak to?

- Mam nadzieję, że już nigdy więcej nie pójdziesz do tej szkoły, Rain. Jeśli tu zostaniesz, twoje kłopoty nigdy się nie skończą. Nigdy. - Mama wypła łyk kawy.

Ponieważ od czasu naszej rozmowy w szpitalu nie wracała do tematu, który wtedy podjęła, przez ten tydzień nie wracałam do niego myślami. Teraz jej słowa zabrzmiały jak zapowiedź nieszczęścia, które ma się przydarzyć w koszmarnym śnie. Człowiek próbuje zapomnieć o nich, próbuje sobie wmawiać, że to tylko sen, ale gdzieś w głębi serca przez cały czas o nich pamięta.

- Jesteśmy dziś umówione na lunch.

- Umówione na lunch? Z kim, mam?

- Z kobietą, która jest twoją prawdziwą mamą, Rain. Dzwoniłam do niej przez cały tydzień i wreszcie udało mi się z nią porozmawiać. Kiedy jej powiedziałam, czego chcę, nie podskoczyła chyba z radości, ale wydawała się zadowolona. Pragnie cię zobaczyć. To całkiem naturalne uczucie.

- Naturalne? - odpaliłam bez namysłu. - Co ona może widzieć o naturalnych uczuciach? Przecież mnie sprzedała, prawda?

- No wiesz, była bardzo młoda, myślę, że nie miała wiel-

kiego wyboru. O tym zresztą ona sama ci coś zapewne opowie. Nie mogę mówić za nią. Nigdy wcześniej nie rozmawiałam ani z nią, ani z jej ojcem. Gdy to się zdarzyło, wszystko załatwił Ken. Mówiłam ci już, że początkowo byłam temu przeciwna, ale kiedy cię zobaczyłam, nie umiałam powiedzieć „nie”.

- A teraz chcesz mnie jej oddać, tak? - zaatakowała ją.

Złość w moim głosie i gniew w oczach musiał ją zabołec, ale zniosła go ze spokojem.

- Nie chcę cię oddać, Rain. Chcę, żebyś była bezpieczna i zdrowa. Chcę, żeby ci niczego nie brakowało i żebyś coś w życiu osiągnęła. Za wiele masz tu - wskazała palcem skroń - żeby można to było zmarnować. Założę się, że osiągniesz wszystko, czego naprawdę zechcesz.

- Ale, mammo...

- Jakie ale, kochanie? Rozejrzyj się wokół siebie. - Mama rozłożyła ręce, wskazując gestem nasze nędzne mieszkanie. - Co ja ci mogę dać, powiedz? Co tu mamy? Wiem, co cię czeka po powrocie do szkoły, i kiedy o tym myślę, ogarnia mnie śmiertelne przerażenie. Przekonałam twojego brata, żeby zgłosił się do wojska, i cieszę się z tego. Choć będzie mi ciężko, gdy odejdzie, tak w głębi serca jestem rada. I wiem, że muszę coś zrobić dla ciebie, zanim będzie za późno.

- Nie mogę cię zostawić, mammo. Chcesz wyrzucić Kena. Roy pójdzie do wojska. Beni nie żyje. Zostaniesz całkiem sama. Nie pozwolę na to. - Pokręciłam głową.

- Nie zostanę. Zamieszkałam w Raleigh z ciocią Sylwią. Odkąd zmarł wujek Clarence, mieszka sama i chętnie zobaczy mnie u siebie - powiedziała mama.

Przez chwilę nie mogłam wydusić z siebie słowa. Więc mama to wszystko zaplanowała? Naprawdę chce się rozstać ze mną? I z Royem?

- Tylko tak mówisz - powiedziałam z uśmiechem. - Sama wiesz, że nie wstaniesz tak po prostu i nie wyniesiesz się stąd.

- Owszem, Rain. Tak właśnie zrobię - oświadczyła twardo. - Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem tym wszystkim



zmęczona. Dość mam już nieustannego zmagania się z losem, tej wiecznej biedy. Dostyc mam zamartwiania się o was. Straciłam Beni i powiedziałam sobie, że nie pozwolę, żeby śmierć zabrała mi również ciebie albo Roya.

Uparcie kręciłam głową.

- Czy chcesz być dla mnie ciężarem przez resztę mego życia? - spytała nieoczekiwanie mama.

Łzy napłynęły mi do oczu.

- Nigdy nie będę dla ciebie ciężarem, mamó - jęknęłam. - Znajdę sobie pracę.

- Nie, Rain. Gdybyśmy tu zostały, nieustannie dźwigałabym straszny ciężar. Każdego dnia, gdy poszłabyś do szkoły, każdego dnia, zanim byś z niej wróciła, ilekroć wyszłabyś z domu, umierałabym ze strachu o ciebie. I nie mów mi nawet o pracy! - parsknęła z irytacją. - To dopiero bym ci się przysłużyła, gdybyś została kelnerką czy sprzątaczką! A może chciałabyś pracować ze mną w supermarkecie, co? Miałabyś ochotę ustawiać puszkę i wycierać posadzkę, ilekroć jakieś dziecko strąci z półki butelkę ketchupu?

- Mogłybyśmy się gdzieś przenieść. Mogłybyśmy wyjechać stąd razem, mamó. Poszłabym do szkoły w lepszej dzielnicy - zasugerowałam.

- Dokąd mogłybyśmy się przenieść? Jak? Za co wynajęłybyśmy mieszkanie? Ciocia Sylvia ledwo ma trochę miejsca dla mnie. Nie, Rain. Sama sobie zdajesz sprawę z tego, jaki to niedorzeczny pomysł. Masz dość oleju w głowie. Zastanów się tylko chwilę, na pewno przyznasz mi rację. Jestem tego pewna. Pomysł spokojnie, a zgodzisz się, że to najlepsze wyjście, jakie można było w tej sytuacji wybrać.

- Czego oczekujesz po tym lunchu, mamó?

- Oczekuję, że stanie się to, co powinno się stać - odpowiedziała. - Raz wreszcie wszystko będzie jak należy. Teraz coś przegryź i ubierz się ładnie. Spotkamy się twoją mamą w Georgetown. Wiesz, że to elegancka dzielnica. Będą tam szykownie ubrani ludzie. Nie możemy się przecież wstydzić swojego wyglądu. Nie ma o tym mowy, rozumiesz.

Spuściłam wzrok. Czułam napływające do oczu łzy.

- Być może któregoś dnia jeszcze mi podziękujesz - dodała smutno mama.

Wstała od stołu i zgarbiona, jakby dźwigała ciężkie brzemię, poszła do łazienki. Usłyszałam szum wody. Brała prysznic, a potem siedziała jeszcze długo w łazience, szykując się do wyjścia. Tak bardzo się starała, żeby wypaść najlepiej, jak mogła.

Zastanawiałam się, czego trzeba więcej - siły czy strachu - żeby uwierzyć, że inna kobieta będzie lepszą matką dla twojego dziecka?

Byłam jej dzieckiem, niezależnie od tego, czy w naszych żyłach płynęła wspólna krew, czy nie. Wiedziałam, że nigdy nie będę kochać kobiety, która mnie urodziła, równie mocno, jak kochałam mamę, ale ona wierzyła w potęgę dziedziczności i rodziny. Sądziła, że wspólna krew okaże się silniejsza od wszystkich przeszkód i oporów.

Co do mnie, to myślałam, że nowa rodzina przysporzy mi tylko więcej smutku i trosk, niż ich zaznałam dotychczas.

Mama włożyła swoją najelegantszą suknię, w której chodziła w niedzielę do kościoła, a ja granatową spódniczkę i białą bluzkę. Ponieważ nie miałam żadnego naprawdę porządnego zakietu, postanowiłam wziąć rozpinany granatowy sweter. Najlepszymi butami, jakie miałam, były czółenka na płaskim obcasie, choć i one były już trochę zniszczone i poobijane.

Siedząc przed lustrem i czesząc włosy, poczułam, jak gdzieś w dole brzucha zaczyna mnie drażnić niepokój. Czułam ból, gniew i strach, lecz jednocześnie ogarniała mnie coraz silniejsza ciekawość. Jaka jest moja prawdziwa matka? Jak wygląda? Jak się zachowa? Co powie, kiedy mnie zobaczy? Co sobie o mnie pomyśli?

Jak mam z nią rozmawiać, wiedząc, że mnie nie chciała? Uważałam, że mama wiąże z tym spotkaniem stanowczo zbyt wielkie nadzieje, co wcale nie było do niej podobne. O, nie

była marzycielką. Może kiedyś marzyła jak inni, ale rozczarowania i tragedie, jakie przeżyła, pozbawiły ją wszelkich złudzeń i na zawsze zachmurzyły niebo nad jej głową. Czego się naprawdę spodziewała po tym spotkaniu? Dlaczego się na nie zdecydowała?

- Jesteś gotowa, Rain? - Mama stanęła w drzwiach pokoju.

Do Georgetown było kawał drogi. Czekał nas długi spacer, a potem jazda metrem. Spojrzałam na mamę. Próbowала się uśmiechnąć i przez moment był taka, jaką pamiętałam z dzieciństwa - promienna i piękna.

- Bardzo ładnie wyglądasz - pochwaliła mnie, ale kiedy wstałam, zapinając ostatnie guziki, spoważniała. - A gdzie twój łańcuszek z krzyżykiem?

Zastanawiałam się przez moment. Od czasu, gdy byliśmy z Beni w lombardzie, tyle się wydarzyło, że kompletnie zapomniałam o łańcuszku.

- Och, mamó - jęknęłam w końcu bezradnie.

- Zgubiłaś go? Ktoś ci go zabrał?

- Nie, mamó. Zastawiłam go razem z bransoletką w lombardzie, żeby wykupić te nieszczęsne zdjęcia Beni. Tak mi przykro... Przepraszam cię.

Mama milczała przez chwilę.

- Wszystko, co jeszcze mamy do zastawienia w lombardzie, to nasze dusze - powiedziała. - Ale tego nigdy nie zrobimy. Chodźmy, Rain - zakończyła stanowczo.

Włożyłam granatowy sweterek i wyszłam za mamą z mieszkania. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wybieraliśmy się dokądś razem. Gdy byliśmy mniejsze, mama zabierała mnie i Beni na zakupy. Kiedyś wzięła nas wszystkich do wesołego miasteczka. Roy wstydził się trzymać nas za rękę, ale mama w końcu jakoś go przekonała, żeby to zrobić. Uśmiechnęłam się do tego wspomnienia.

Był piękny wiosenny dzień, dzięki czemu nasza wyprawa zyskiwała pewien nieoczekiwany urok. Mama również zdawała się cieszyć spacerem. Po dniach spędzanych w magazynach supermarketu i pomiędzy rzędami sklepowych półek każde wyjście na słońce musiało ją cieszyć.

Nigdy wcześniej nie byłam w Georgetown. Wiedziałam tylko tyle, że znajduje się tam wiele eleganckich restauracji i drogich sklepów, a wśród mieszkańców najwięcej jest zamożnych przedstawicieli wolnych zawodów. Mama zapisała sobie adres na kartce. Miałyśmy dotrzeć do 3000 M Street N.W. Żadna z nas nie znała dobrze miasta. Im bardziej oddalałyśmy się od domu, tym bardziej mama była zdenerwowana, choć starannie maskowała treść i robiła taką minę, jakby doskonale wiedziała, dokąd idzie i jak ma tam dotrzeć. Kiedy znalazłyśmy się na stacji metra, przestudiowałyśmy wiszący na ścianie plan miasta i wyruszyłyśmy w drogę.

- Jak potrafiłaś ją przekonać, żeby się z nami spotkała, skoro Kenowi nie udało się nawet z nikim z nich porozmawiać? - spytałam, kiedy wsiadłyśmy do metra.

- Matki mówią innym językiem - mruknęła. Uśmiechnęłam się do siebie i mama spojrzała na mnie. - Gdyby zadzwonił pijany Ken i nagrał na sekretarce wiadomość, że chce z tobą rozmawiać, odpowiedziałabyś na jego telefon?

- Nie - przyznałam ze śmiechem.

Mama ścisnęła mnie za rękę, żeby dodać mi otuchy. Podczas dalszej drogi niewiele ze sobą rozmawiałyśmy. Każda z nas była zanadto zaprzątnięta własnymi myślami i obie za bardzo denerwowałyśmy się tym, co nas czeka.

- Gdzie mamy się z nią spotkać, mamo? - spytałam, kiedy wysiadłyśmy na właściwej stacji.

Mama spojrzała na kartkę.

- „Cafe St. Germain” - powiedziała, choć wymówiła to „Cafe St. German”. - Co to, u licha, znaczy? - Biedaczka była zakłopotana.

- To francuska restauracja, mamo.

- Francuska? - zdziwiła się mama. - Wydawało mi się, że niemiecka. Nigdy nie jadłam żadnych francuskich dań - westchnęła. - Z kuchni francuskiej znam tylko napoleonki - zażartowała.

Roześmiałam się. Żart mamy trochę rozładował napięcie, jakie obie odczuwałyśmy. Wzięłam głęboki oddech i rozejrzałam się

po ulicy. Witryny luksusowych sklepów pełne były eleganckich ubrań, butów i smakołyków. Co krok mijałyśmy restauracje i kawiarnie z ogródkami, w których siedzieli dobrze ubrani ludzie i zajadali się apetycznymi daniami, śmiejąc się i gawędząc. Wszyscy wyglądali na zadowolonych z siebie. Jakże niepodobne było to wszystko do życia na naszym osiedlu!

- Którędy pójść? - zastanawiała się mama na głos. Nervowo okręciła się wokół. - Spóźnimy się.

- Tędy, mamó - powiedziałam, przyjrawszy się numeracji domów.

Kilka minut później znalazłyśmy się przed „Cafe St. Germain”.

Przez wielkie frontowe okna widziałyśmy w środku tłum eleganckich ludzi. Mężczyźni byli na ogół w garniturach i krawatach. Kobiety miały na sobie tyle biżuterii, że błyszczały jak choinki. Wszyscy byli starannie ostrzyżeni i uczesani. Suknie kobiet wyglądały na jeszcze droższe od biżuterii. Wyobraziłam sobie, że zapewne można by odnaleźć pośród tych strojów dzieła wszystkich sławnych projektantów mody. Nawet kelnerzy w szerokich czarnych spodniach, białych koszulach i czarnych muszkach wyglądali szykownie i elegancko. Przy wejściu stała, rozmawiając przez telefon, hostessa, która z powodzeniem mogłaby się znaleźć na okładce żurnala.

Mama patrzyła na to wszystko i stała jak sparaliżowana, przyciskając torebkę do piersi. Miałam wrażenie, że najchętniej odwróciłaby się na pięcie i uciekła z powrotem do metra.

- Wiesz, jak ona wygląda, mamó?

Mama pokręciła głową.

- Ona też nie wie, jak my wyglądamy - zastanawiałam się na głos.

- Powiedziała mi, żebym po prostu spytała o stolik Megan Hudson Randolph - wyjaśniła mama, która w końcu odzyskała głos.

Zajrzałam przez okno, wypatrując siedzącej samotnie kobiety.

- Najważniejsze, że nie jesteśmy spóźnione - powiedziała mama. - Przyszłyśmy w samą porę. Chodźmy, kochanie.

Zebrała w sobie całą odwagę i wyprostowała szczupłe ramiona, po czym weszła do środka. Ja tuż za nią. Hostessa spojrzała na nas z trochę rozbawioną, a trochę wzgardliwą miną. Miałam wrażenie, że wszyscy goście przerwali na chwilę rozmowy, by się nam przyjrzeć. Naraz poczułam się w swoim sweterku, jakbym miała na sobie szmatę; nigdy w życiu nie byłam równie świadoma tego, że moje buty są znoszone i odrapane. Mama nie odrywała spojrzenia od hostessy.

- Czym mogę służyć? - spytała ta, nim jeszcze do niej doszliśmy, jakby sądziła, że w ten sposób nas osadzi w miejscu albo przynajmniej wzniesie wokół siebie nieprzekraczalny dla nas mur obronny.

- Jesteśmy umówione na obiad z panią Megan Hudson Randolph - oznajmiła mama.

Rozbawiony uśmiech na twarzy hostessy zastygł w plastikowy grymas. Lekko pokręciła głową, jakby chciała się upewnić, czy się nie przesłyszała.

- Z panią Randolph? - powtórzyła, jakby nie dowierzała ozdobionym brylantowymi kolczykami uszom.

- Tak - odpowiedziała mama stanowczo. - Jesteśmy umówione... - spojrzała na zegarek - właśnie teraz.

- Och... - Hostessa zakłopotana zerknęła na kartę, na której najwyraźniej miała zapisane dane o swych gościach. - Tak. Pani Randolph zarezerwowała stolik dla trzech osób na godzinę pierwszą. Jeszcze jej nie ma - dodała.

Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy. Byłam tak zdenerwowana, że niewiele brakowało, żebym krzyknęła, byle tylko przerwać milczenie.

- Może w takim razie zaprowadzi nas pani do stolika - zaproponowałam. - Pani Randolph zapewne będzie pani za to wdzięczna.

- Och. Oczywiście - przytaknęła hostessa.

Odwróciła się i dała znak kelnerowi, który natychmiast podszedł. - Daniel, zaprowadź panie do stolika numer 22, *s'il vous plait*.

- *Oui, mademoiselle* - odpowiedział kelner.

Gdy ruszyliśmy za nim, mama obejrzała się na mnie. Miała oczy wielkie jak spodki.

- To oni tu także mówią po francusku?
- To po prostu część tego teatru, mamo.

Ludzie, których mijaliśmy po drodze, przyglądali się nam z zaciekawionymi uśmiechami. Jakaś kobieta nachyliła się do siedzącego z nią przy stoliku mężczyzny i szepnęła mu coś do ucha. Wybuchnął głośnym śmiechem. Stolik numer 22 znajdował się na samym końcu sali. Byłam pewna, że Megan Hudson Randolph specjalnie zamówiła to miejsce, żeby nie rzucać się w oczy. Dlatego także przyjdzie później od nas.

Kelner odsunął krzesło i mama usiadła przy stoliku. Potem odsunął moje krzesło. Mama przesunęła dłońią po obrusie.

- Dobra bawełna - powiedziała.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Jestem pewna, że to bardzo droga restauracja, mamo. Goście oczekują, że wszystko tu będzie w najlepszym gatunku.

Mama skinęła głową i uniosła wzrok na pomocnika kelnera, który postawił na stoliku koszyk z ciepłymi croissantami. Jego kolega nalał do szklanek wodę Evian. Mama patrzyła na to wszystko wielkimi oczami, jakby dopiero co wyszła z więzienia. Najbardziej luksusową restauracją, w jakiej bywaaliśmy do tej pory, była „Joe Mandel's Beef and Ribbs Dinner”, a i to nieczęsto się nam zdarzało.

Teraz, gdy już tu naprawdę byłam, miałam nerwy napięte jak postronki. Za każdym razem, kiedy do restauracji wchodziła samotna kobieta, wzbierała we mnie fala okropnej paniki. Choć już dawno siedzieliśmy, ludzie wciąż na nas zerkali. Zdawało mi się, że wszystkie szeptki, wszystkie śmiechy kierują się pod naszym adresem. Wreszcie do restauracji weszła brunetka w ciemnoniebieskim prążkowanym żakiecie. Podeszła do hostessy i zamieniła z nią kilka słów. Potem odwróciła się i skinęła nam głową. Na jej widok miałam ochotę skurczyć się i zapaść w siebie, tak żebym wreszcie poczuła się bezpieczna.

Mama wczytywała się w menu, narzekając na nadmiar francuskich słów.

- Skąd mamy wiedzieć, co to wszystko znaczy?
- Mamo - powiedziałam, wskazując ruchem głowy w kierunku hostessy.

Mama powoli odwróciła głowę. Kiedy kobieta, która mogła być moją matką, podeszła bliżej, wstrzymałam oddech. Była mniej więcej mojego wzrostu, ale miała pantofle na wysokich obcasach. Starannie uczesane włosy przycięte tuż poniżej uszu. Była drobna i szczupła. Wydała mi się ładna. Natychmiast zauważyłam, że mamy oczy tego samego koloru i taki sam zarys szczęki. Idąc do stolika, do ostatniej chwili zachowała poważny wyraz twarzy. Dopiero gdy napotkała mój wzrok, kąciki jej ust uniosły się niemal w uśmiechu. Wyglądało to tak, jakby chciała się uśmiechnąć, ale jakaś siła powstrzymywała ją przed tym.

Staneła przed nami i zwróciła się do mamy:

- Pani Arnold?
- Tak - potwierdziła mama.

Przez chwilę obie kobiety wpatrywały się w siebie z napiętą uwagą. Muszę przyznać, że mama nie sprawiała wrażenia niepewnej czy onieśmiałej.

- Jestem Megan Hudson Randolph - oświadczyła moja prawdziwa matka i odwróciła się do mnie.

- To pani córka, Rain - powiedziała mama. - Przywitaj się ze swoją mamą, skarbie.

- Dzień dobry - odezwałam się, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła.

Moja matka położyła na stoliku ozdobioną półszlachetnymi kamieniami torebkę i poczekała, aż kelner odsunie jej krzesło.

- Dzień dobry, pani Randolph - powitał ją uprzejmie.
- Proszę o wódkę Chopin i club sodę z plasterkiem cytryny,

Maurice - poleciła tonem osoby, która musi się natychmiast napić. Popatrzyła na mamę. - Czy chce pani coś zamówić, może wino?

- Mamy wodę - odpowiedziała mama, wskazując na stojącą przed nią szklanę.



- Znakomicie. To będzie wszystko, Maurice.
- Dziękuję, pani Randolph - rzekł kelner i odszedł.

Chociaż wiedziałam, że to nieuprzejme, nie mogłam odebrać od niej wzroku. Miała wspaniałą, gładką cerę, lekko wystające kości policzkowe o brzoskwiniowym odcieniu, na lewym policzku mały dołeczek. W uszach kolczyki w kształcie kropel z małymi brylantami. Kiedy położyła dłonie na stoliku, zobaczyłam największy brylant, jaki zdarzyło mi się widzieć w całym moim życiu. Dzięki reklamom w gazetach poznałam, że jej zegarek to rolex.

- Pozwoli pani, że zacznę od tego, pani Arnold, że jeśli pani wizyta jest częścią zabiegów pani męża, żeby wyciągnąć od mojej rodziny więcej pieniędzy, to...

- Nie chcę waszych pieniędzy. Przeklinam dzień, w którym wzięliśmy centa, a zresztą prawda jest taka, że ani ja, ani Rain nie zobaczyłyśmy wiele z tych pieniędzy - odparowała mama. - Nie potrzebowałam łapówki, żeby zająć się tym dzieckiem - dodała, wykonując gest głową w moim kierunku.

Matka popatrzyła na mnie znowu i tym razem przyglądała mi się trochę dłużej. Jej usta ułożyły się w uśmiech.

- Jesteś bardzo ładna. - W końcu zwróciła się bezpośrednio do mnie.

- I bardzo zdolna - dodała mama. - Ze wszystkich przedmiotów ma oceny celujące.

Moja matka uśmiechnęła się trochę szerzej. Spojrzała na stolik i pokręciła głową.

- No cóż, pod tym względem nie łączy nas podobieństwo rodzinne. Ja ledwo przebrnęłam przez studia - oświadczyła i westchnęła głęboko.

Kelner przyniósł jej drinka. Sięgnęła po szklanekę i pociągnęła solidny łyk. Gestem wskazała menu.

- Zamówmy coś do jedzenia.

Mama w końcu okazała zakłopotanie.

- Co zjemy, Rain?

- Myślę, że będą ci smakować *crevettes au safron*, mamó - powiedziałam.

- Naprawdę?
- Wiesz, co to jest? - spytała moja matka.
- Krewetki w sosie szafranowym - odpowiedziałam. Uniosła brwi.
- Uczę się francuskiego w szkole - wyjaśniłam jej.
- Mówiłam pani, że jest bardzo zdolna - pochwaliła mnie mama.
- Nie wiem, co to jest ta potrawa poniżej - przyznałam. - Wiem, że *canard* to kaczka, ale reszta...
- To sos żurawinowy. Mój ulubiony - poinformowała moja matka. - Chcesz tego spróbować?
- Proszę.
- Wezwała kelnera i przekazała mu nasze zamówienie.
- No cóż - powiedziała, odwracając się z powrotem do mamy. - Ściągnęła mnie tu pani, pani Arnold. Pora rzucić rękawicę.
- Rękawicę? - zdziwiła się mama.
- Ona chce przez to powiedzieć, że czeka, żebyś wyjaśniła, z czym przyszłyśmy, mamó - wyjaśniłam łagodnie.
- Och! - Mama popatrzyła na mnie, a potem znów na moją matkę. Poruszyła ramionami i wyprostowała się jak dumna kwoka, co zwykle robiła, gdy miała wygłosić jakieś dramatyczne oświadczenie. - Wiem, że nic pani nie wie o nas ani o życiu, jakie prowadziła przez te wszystkie lata Rain. Staralam się, jak mogłam, radzić sobie w granicach moich skromnych środków. Kiedy wzięliśmy Rain, miałam syna, a potem urodziłam jeszcze córkę, Beni. To po mojej matce, która miała na imię Beneatha.
- Doprawdy? - Moja matka nie potrafiła ukryć, że jest znudzona. Skinęła głową komuś w drugim końcu sali i pociągnęła kolejny łyk.
- Chodzi mi o to, że Beni została przed kilkoma tygodniami zamordowana - wyjaśniła mama.
- Moja matka omal nie zachłysnęła się swoim drinkiem. Odstawiła szklanekę i szybko otarła usta.
- Zamordowana?

- W naszej dzielnicy to nic nadzwyczajnego - wyjaśniła mama. - Zwykle nawet nie dociera to do prasy.

- Bardzo pani współczuję. Co za okropna historia. Czy policja ujęła mordercę?

- Nie. Zmarł wskutek przedawkowania narkotyków, ale to nie ma znaczenia. Jego śmierć nie przywróciła mi Beni. W każdym razie mój syn Roy wybiera się do wojska, a Ken, mężczyzna, któremu pani ojciec zapłacił, a który nigdy nie był za dobrym ojcem ani mężem, nie ma pracy i codziennie chodzi pijany. Ostatnio zresztą wyniósł się z domu.

- Rozumiem. - Moja matka wierciła się na krześle, jakby siedziała na grochu. - Przykro mi z powodu tych wszystkich kłopotów, ale nie rozumiem...

- Nie daję sobie już rady - jęknęła głośno mama. - Teraz, kiedy mój mąż odszedł, syn będzie w wojsku, a najmłodsze dziecko nie żyje, nie mam siły, by ciągnąć to dłużej - zakończyła, podnosząc głos na tyle, że moja matka rozejrzała się wokoło, przestraszona, że ściągamy na siebie powszechną uwagę.

- Bardzo proszę, pani Arnold, zachowajmy te sprawy dla siebie - pouczyła.

- Nic mnie nie obchodzi, kto słucha - odpaliła mama.

- Skoro nie chce pani pieniędzy, to czego pani chce? - spytała niecierpliwie moja matka.

- Czego chcę? - Mama wyprostowała się na krześle. - Czego chcę? Chcę, żeby wzięła pani odpowiedzialność za krew ze swojej krwi, kość z kości. Tego chcę - powiedziała ostro.

Przez chwilę moja matka wpatrywała się w mamę. Zerknęła na mnie i znów wbiła w nią spojrzenie.

- Żeby wzięła odpowiedzialność? - Pokręciła głową. - Nie rozumiem.

- A co tu jest do rozumienia? Rain jest pani córką. To pani sprowadziła ją na świat. Pora wziąć za nią odpowiedzialność.

- Chce pani, żebym zabrała ją do domu?

- Czy jej los w ogóle pani nie obchodzi? Proszę na nią

spojrzeć. - Mama wskazała głową w moją stronę. - To pani rodzone dziecko. Czy wspólna krew nic dla pani nie znaczy?

Moja matka zaczęła coś mówić, ale urwała na widok podchodzącego do stolika kelnera. Wyprostowała się na krześle i patrzyła, jak stawia przed nami zamówione dania. Mama spojrzała na swój talerz, a potem przeniosła wzrok na mnie, uśmiechając się niepewnie.

- Nie przypomina to żadnych krewetek, jakie dotąd w życiu jadłam. - Skrzywiła się.

- Jestem pewna, że będą pani smakować - powiedziała moja matka z wymuszonym uśmiechem.

- Czy mam podać coś jeszcze, pani Randolph?

- Nie. *Merci*, Maurice - podziękowała moja matka. Oparła łokcie na stole i nachyliła się do nas, patrząc to na mnie, to na mamę. - Niech pani pozwoli, że podsumuję to, co usłyszałam, pani Arnold. Chce pani, żebym ją wzięła z powrotem? Po tych wszystkich latach?

- To dobra i piękna dziewczyna. Każdy byłby szczęśliwy, mając taką córkę. Nigdy nie sprawiała żadnych kłopotów - oświadczyła mama.

- Wierzę pani. Jednak to... - pokręciła głową i uśmiechnęła się - ...to niewiarygodne. Skąd mogę wiedzieć, czy ona naprawdę jest tą osobą, którą według pani ma być?

- Chodźmy stąd, mamó - powiedziałam. Słowa mojej matki sprawiły mi wielki ból.

- Nie - ucięła mama. - Skąd ma pani wiedzieć? - spytała zimno. - Pani to wie. Proszę na nią spojrzeć - rzekła twardo, kiwając głową. - Nie jestem głupia, pani Randolph. Jestem biedna, ale nie jestem głupia. Można to zresztą zbadać, wie pani przecież o tym. Jeśli mnie pani zmusi, zażądam przeprowadzenia badań - zagroziła.

- Mamó...

- Chwileczkę, pani Arnold...

- Do czego chce pani doprowadzić? Czy chce pani, żebym zamieściła ogłoszenie w prasie, co byłoby kłopotliwe dla nas wszystkich?

- To szantaż - orzekła gniewnie moja matka.

- Powiedziałałam już pani, że nie chcę pieniędzy. Próbuje ocalić tej dziewczynie życie. Powinna mi pani być wdzięczna. Jeśli zostanie tam, gdzie była dotąd, prędzej lub później będzie miała kłopoty. Postanowiłam, że do tego nie dopuszczę. Czy chce mi pani powiedzieć, że przez te wszystkie lata nigdy pani o niej nie pomyślała, że nigdy nie była pani ciekawa, co się z nią dzieje?

Moja matka wyprostowała się na krześle i spojrzała na mnie. Nic na to nie mogłam poradzić, że na mojej twarzy malowało się oczekiwanie. Chciałam usłyszeć jej odpowiedź.

- Nie o to chodzi, że nie chcę mieć z nią nic wspólnego - odezwała się moja matka już łagodniej. - Oczywiście ciekawa byłam, co się z nią dzieje, ale mój mąż nawet nie wie o jej istnieniu. Kiedy mnie spytał, kim jest pani mąż i po co do nas dzwoni, powiedziałam mu, że nie mam pojęcia.

- Dlaczego zatem nie spytał o to pani ojca? - zaciekała się mama.

- Mój ojciec od dwóch lat nie żyje.

- Wobec tego może powinna pani poinformować męża o wszystkim.

- Nie mogę tego zrobić. Mamy dwoje dzieci. Mój mąż jest powszechnie szanowanym prawnikiem. W najbliższej przyszłości zamierza się ubiegać o wysokie stanowisko polityczne. To by go kompletnie załamało. Nie. - Stanowczo pokręciła głową. - To nie wchodzi w grę. Może uda mi się zdobyć dla pani trochę pieniędzy.

- Pieniądze! - rzuciła gniewnie mama. - Wy, ludzie, traktujecie te wasze pieniądze, jakby to był plaster na wszelkie bolączki. Czy nigdy nie przyszło pani do głowy, że rani pani innych? Pieniądze - powtórzyła. Spojrzała na stojący przed nią talerz i wstała z krzesła. Nieporuszona jak posąg, popatrzyła z góry na moją prawdziwą matkę. - W porównaniu z panią nie mam po prostu kompletnie nic, pani Randolph. Pani strój wart jest naszego rocznego czynszu. Ta pani fikuśna torebka kosztowała pewnie tyle, ile wydajemy przez cały rok na je-

dzenie. Wstyd mi za to, co stało się z moim życiem. Boję się o to dziecko, które pani ojciec nam tak beztrudnie powierzył. Spodziewałam się, że będzie pani miała dla swojej córki choć trochę miłości czy przynajmniej współczucia. Miejsce tej dziewczyny nie jest w getcie. Nie powinna chodzić po ulicach, na których panuje przemoc. Nie dlatego, że w jej żyłach płynie pani krew. Pani krew nie jest w niczym lepsza od mojej. To naprawdę dobra dziewczyna, zdolna i ładna. Zasługuje na więcej, niż ja mogę jej dać. Miałam nadzieję, że kiedy ją pani zobaczy, pani również to dostrzeże i poczuje pani coś tu - powiedziała, kładąc dłoń na swojej lewej piersi. - Ale widzę, że nie jest pani taką kobietą, jaką spodziewałam się poznać. Chodź, Rain.

Wstałam. Przed odejściem raz jeszcze przyjrzałam się swojej prawdziwej matce. Była obca, a jednak miała w oczach coś, co mnie pociągało, jakieś wewnętrzne ciepło, które sprawiło, że przez chwilę nie mogłam się zdecydować, żeby pójść za mamą.

- Zaczekajcie - odezwała się moja matka.

Mama się zawahała.

- Proszę, usiądźcie i zjedzcie - powiedziała matka. - Mam pomysł, jak można by to rozwiązać - dodała. - Proszę - rzekła błagalnie, widząc, że mama wciąż się waha.

Mama zadarła podbródek i spojrzała na nią sceptycznie, ale w końcu usiadła z powrotem. Zauważyłam, że przyglądają się nam niemal wszyscy wokół.

- Te krewetki są naprawdę pyszne. Powinna pani ich spróbować.

- Nie jestem głodna - odpowiedziała mama, ale nadziała krewetkę na widelec i podniosła do ust. Kiedy skosztowała, nie potrafiła ukryć przyjemnego zaskoczenia. - Więc jaki ma pani pomysł?

- Jak pani powiedziałam, niedawno zmarł mój ojciec. Matka potrzebuje kogoś, kto by z nią mieszkał. Nie ma najlepszego zdrowia. Jej stosunki z moją młodszą siostrą Victorią nie układają się dobrze i Yictoria, która nie jest mężatką, nie chce

z nią mieszkać. Matka jest osobą upartą, a poza tym lubi być niezależna. Nie znosi służących, a one jej, i wciąż muszą jej szukać nowych. Chciałabym, żeby ktoś z nią zamieszkał. - To duży dom, jest tam mnóstwo miejsca - ciągnęła moja matka. - Umieszczę nawet dziewczynkę w prywatnej szkole w pobliżu. To bardzo blisko Richmond.

- Chce pani, żeby Rain mieszkała z pani matką? Nie weźmie jej pani do siebie? - spytała z niedowierzaniem mama.

- Znajdzie się poza tym światem, który nazywa pani piekłem.

- Co zamierza pani powiedzieć matce?

- Moja matka zna prawdę. Zrozumię całą sytuację i zachowa dyskrecję. Jednak, jak powiedziałam, oprócz niej nikt w rodzinie nie wie o istnieniu dziewczyny. Victoria nigdy o niej nie słyszała i na razie wolałabym, żeby tak zostało.

- Nawet pani mąż? - spytała mama. - Nie powie mu pani prawdy?

- Nie - odparła moja matka. - Tak będzie najlepiej, proszę mi wierzyć. Przyznaję, że to piękna dziewczyna, i widzę, że jest inteligentna, ale on by tego nie zrozumiał.

- I co potem? - spytała mama. - Co z nią będzie dalej?

- Zobaczymy. Na razie zrobimy pierwszy krok. Zawiadomię was, kiedy wszystko będzie gotowe, i przyślę po nią kogoś.

Miałam ochotę krzyczeć. Moja matka ani razu nie zwróciła się wprost do mnie, starannie unikała nawet mojego imienia. I ja miałam oddać się w jej ręce?

- Mamo! - rzuciłam błagalnie, kręcąc głową.

- Ona ma rację, Rain. W ten sposób wyrwiesz się z piekła.

- Nie chcę iść do jakiejś szkoły dla snobów - oświadczyłam. To było tak, jakby Beni szeptała mi do ucha, co mam mówić.

- Uspokój się, dziecko. Nawet jeśli to szkoła dla snobów, to przynajmniej będziesz tam bezpieczna.

- Nie mam ubrań, jakie się nosi w takich szkołach, mamo.

Mama zastanowiła się nad moimi słowami i spojrzała pytająco na moją matkę.

- To nie jest problem. Spotkajmy się jutro o trzeciej u Saksa, kupię ci, co trzeba. Tu masz adres. - Moja matka otworzyła wytwornie zdobioną torebkę i wyjęła z niej wizytówkę z adresem. - Mam tam sprzedawczynię, która zajmuje się moimi zakupami. To jej wizytówka. Jeśli będziesz pierwsza, po prostu idź do niej i powołaj się na mnie.

Spojrzałam na kartonik, który trzymała w wyciągniętej ręce.

- Naprawdę chce pani, żebym zamieszkała z pani matką? - Nie umiałam nazwać jej mamą. Zaszokowało mnie tempo, w jakim wszystko się toczyło.

Moja matka podała mi wizytówkę, nie patrząc na mnie. Potem odwróciła głowę do mamy.

- To wszystko, co mogę zrobić - oznajmiła.

- Wierzę pani - powiedziała mama. - I to właśnie jest najsmutniejsze.

Moja matka położyła wizytówkę przede mną. Potem wstała i wzięła torebkę ze stołu.

- Wychodząc, zapłacę za lunch. - Do zobaczenia jutro, Rain - dodała, po raz pierwszy zwracając się do mnie po imieniu.

Patrzyłyśmy za nią, kiedy szła do wyjścia.

- Chcę zostać z tobą, mamó - powiedziałam natychmiast. - Nie chcę mieszkać z jakąś staruszką, choćby nawet była moją babką.

- Musisz iść tam, dokąd prowadzi cię twoja krew - mruknęła mama. - Przynajmniej będę wiedziała, że jesteś bezpieczna i żyjesz z dala od tego piekła, jakim jest nasza dzielnica. Mam nadzieję, że kiedy się zastanowisz, sama przyznasz mi rację. Jeśli nie chcesz zrobić tego dla siebie, zrób to dla mnie.

Nadziała na widelec krewetkę i podniosła do ust.

- To nawet nie jest takie złe - przyznała. - Tylko dlaczego używają tych dziwacznych francuskich słów zamiast napisać to wszystko po ludzku?

- Kto nazwał mnie Rain, mamó? Czy to ona wymyśliła to imię?

- Nie - powiedziała mama. - Twoja matka dotychczas



jeszcze niczego ci nie dała. Ani imienia, ani niczego innego. Niczego poza krwią, która krąży w twoich żyłach, i niezależnie od tego, czy zdaje sobie z tego sprawę, czy nie, pewnego dnia to będzie się liczyło. Pewnego dnia - powtórzyła.

W jej oczach pojawiła się jakaś głęboka mądrość, której być może nigdy nie miałam zrozumieć.

Lub może nigdy nie będę chciała zrozumieć.

Tylko czas mógł mi przynieść odpowiedź na wszystko.

## ZUPEŁNIE NOWY ŚWIAT

Kiedy Roy usłyszał, jak wszystko się potoczyło, na jego twarzy pojawiła się jak ciemna plama świadomość przegranej. Wysłuchał tego, co miałyśmy mu do powiedzenia, a potem schylił głowę, by ukryć ból malujący się w jego oczach. Kiedy się w końcu odezwał, jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

- To dobrze - powiedział, choć wiedziałam, że ma rozdarte serce. - Za tydzień wyjeżdżam i nie miałabyś nikogo, kto by cię chronił.

- Tutaj - dodała mama, jakby jego słowa wystarczyły, żeby utwierdzić ją w przekonaniu o słuszności podjętej przez nią decyzji.

- To dla mnie obcy ludzie, Roy - poskarżyłam się. - Moja biologiczna matka nadal chce ukrywać prawdę. Cóż to za alternatywa?

Roy podniósł głowę i popatrzył na mamę. Potem przeniósł wzrok na mnie. Podejrzewałam, że wszystko to ukartowali z góry, zanim jeszcze mama powiedziała mi cokolwiek.

- Potraktuj to tak, jakbyś miała jechać do szkoły czy coś w tym rodzaju - powiedział. - Wróć, kiedy tylko będę mógł, i szybciej, niż się spodziewasz, znów będziemy razem.

- Jasne - pochwyliła mama ochoczo jego optymistyczne słowa. - To dobre podejście do sprawy. Zastanów się nad tym, co powiedział twój brat - doradziła. - Roy jest rozsądnym

chłopakiem, zawsze taki był. Wszystko, co odziedziczył po ojcu, to uroda. Ken był kiedyś przystojnym mężczyzną - do dała niechętnie. Jej stosunki z Kenem doszły do punktu, w którym nie miała ochoty wypowiedzieć choćby jednego dobrego słowa pod jego adresem.

- Daleko mi do tego, żebym był przystojny, mamó - zaprzeczył Roy.

- Nie musisz mi mówić, jacy faceci są przystojni, a jacy nie. Jeszcze nie jest ze mną tak źle, żebym nie umiała tego sama ocenić - zażartowała mama. Robiła, co mogła, żeby wprawić nas w lepszy humor.

- Kiedy do niej pojedziesz? - spytał Roy.

- Jutro Rain idzie ze swoją mamą na zakupy, a pojutrze po nią przyjadą - odpowiedziała za mnie mama.

- Nigdy nie nazwę jej swoją mamą - zarzekłam się.

- No cóż, będzie musiała jakoś sobie z tym poradzić - rzekła mama. - Jeśli zechcesz, dasz jej szansę.

- Nie - uciełam. - Roy ma rację. Będę to traktowała tak, jakbym jechała do szkoły z internatem. Nic więcej - upierałam się.

Mama wzruszyła ramionami.

- Dopóki będziesz się trzymać z dala od tutejszych ulic, możesz to sobie nazywać, jak tylko chcesz.

Potem zajęła się obiadem. Robiła swoje najlepsze danie, a mianowicie zawijane zrazy wieprzowe z nadzieniem. Wbrew wydarzeniom, które z dnia na dzień przewracały nasze życie do góry nogami, heroicznie próbowała utrzymać w domu dobry nastrój. Oboje wiedzieliśmy, że walczy z własnym smutkiem, który mógł ją zalać jak rzeka, która przerwała tamę, i pogrążyć w głębokiej depresji. Kiedy mama włączyła radio i zaczęła nucić dobiegającą z głośnika melodię, Roy uśmiechnął się do mnie. Przez chwilę wróciliśmy pod prąd czasu do szczęśliwszych dni, do tego okresu naszego życia, kiedy wciąż jeszcze byliśmy pełnymi nadziei marzycielami. Wtedy pozwalaliśmy nawet, by Ken wciągał nas w swoje fantazje, i słuchaliśmy, jak snuje plany założenia własnego interesu,

wierząc, że przeniesiemy się na przedmieście, kupimy samochód, będziemy jeździć na wakacje. Krótko mówiąc, wierzyliśmy, że staniemy się częścią tej Ameryki, którą co wieczór widywaliśmy w reklamach, Ameryki zdrowych dzieci i szczęśliwych rodzin. Telewizja była dla nas okienkiem, przez które zaglądaliśmy do krainy czarów, gdzie spełniają się najśmielsze marzenia.

Podczas obiadu Roy opowiadał, czego zamierza się nauczyć w wojsku.

- Chcę się poznać na elektronice, żebym mógł znaleźć dobrą pracę, kiedy stamtąd wyjdę. Mam nadzieję, że zobaczę przy okazji kawałek świata, coś więcej poza ruinami i śmietnikami.

- Tylko nie zaciągnij mi się na ochotnika na żadną wojnę - zastrzegła zaniepokojona mama.

Roy roześmiał się dobrodusznie.

- Wystarczy, że zaciągnę się do armii, mamó. Od tej pory będę musiał słuchać rozkazów, czy mi się to spodoba, czy nie.

Przez dłuższą chwilę opowiadał o swoich przyjaciółach, którzy byli w wojsku, i o tym, co mu mówili o różnych sprawach. Nigdy dotąd Roy nie był taki rozmowny. Pomyślałam, że opowiada nam to wszystko, bo chce uniknąć milczenia, które sprawiało, że każde z nas pogrążało się we własnych ponurych rozmyślaniach. Muzyka, rozmowa, smaczny posiłek, jedzenie i sprzątanie - wszystko to pozwalało nam uniknąć myśli o budzących lęk zmianach, jakie czekały nas już od jutra. Od czasu do czasu na korytarzu rozlegał się odgłos kroków i wtedy przerywaliśmy, nasłuchując i czekając z niepokojem na chwilę, gdy w drzwiach stanie Ken. Mama przysięgała, że da mu po głowie patelnią i wypędzi na cztery wiatry.

- Kiedy oboje wyjedziecie - powiedziała - będzie miał cały ten pałac dla siebie, bo ja będę w pociągu do Raleigh.

Zmieniliśmy temat. Mama zaczęła opowiadać o cioci Sylvii i snuć wspomnienia z czasów młodości. Przez chwilę wydawało się, że tego wieczoru w ogóle się nie rozstaniemy, tylko

przesiedziły przy kuchennym stole aż do bladego świtu. W końcu mama westchnęła głęboko i potarła policzki dłońmi.

- Nie wiem jak wy, ale ja idę spać. Czuję się tak, jakby ostatnia doba miała nie dwadzieścia cztery, tylko czterdzieści osiem godzin.

- Ja też jestem zmęczony - przyznał Roy.

- A co Slim na to, że rzucasz pracę, żeby pójść do wojska? - spytałam.

- Nie był szczęśliwy, ale chce, żebym przyjeżdżał do niego do pracy, kiedy będę na przepustce. Powiedziałem mu, że nie sądzę, żebym tu spędzał czas na przepustkach. Mama będzie w Raleigh, ty gdzieś pod Richmond, po co miałbym tu wracać? Kiedy kończyliśmy pracę, oświadczył, że cieszy się z mojej decyzji i że sam postąpiłby tak samo, gdyby był młodszy. Narzekał, że tylko w tym roku już dwa razy go okradli.

Mama pokręciła głową, a potem pogłaskała Roya po głowie, tak jak kiedyś, gdy był młodszy. Nieoczekiwanie, w spontanicznym odruchu, nakrył jej rękę swoją wielką dłonią, przyciągnął ją do siebie, objął i przytulił. Mama z całych sił walczyła ze łzami, ale jej wysiłki były z góry skazane na niepowodzenie.

- Idźcie już spać - wymamrotała i szybko się odwróciła.

Patrzyliśmy za nią, a kiedy zniknęła w swoim pokoju, spojrzeliśmy po sobie. Na swoich twarzach ujrzeliśmy ten sam wyraz smutku i przygnębienia.

- Idę się spakować - powiedziałam cicho.

Roy skinął głową. Poszłam do swojego pokoju. Przez chwilę patrzyłam na to wszystko, co tak długo było moją codziennością, na rzeczy Beni i swoje. Do głowy napływały mi wspomnienia. Co mam ze sobą zabrać? Oczywiście chciałam wziąć jakieś pamiątki po Beni, przede wszystkim fotografie, kartki z życzeniami urodzinowymi, jakie dawałyśmy sobie nawzajem przez wiele lat, jej bransoletkę i ulubiony pierścionek. Żadna z tych rzeczy nie miała wielkiej wartości. Wszystkie były pozłacane i ozdobione sztucznymi kamieniami, ale należały kiedyś do niej.

Usiadłam na podłodze i zaczęłam przeglądać pudło z pamiątkami: jedne wywoływały mój śmiech, inne wprawiały mnie w zamyślenie.

Do drzwi zastukał Roy i zajrzał do pokoju.

- Chcę ci coś dać - powiedział.

- Co?

- To. - Ściągnął z palca sygnet z tygrysim oczkiem. Długo oszczędzał, żeby go sobie kupić, i był z niego bardziej dumny niż wiele osób byłoby z kamienia dziesięciokroć więcej wartego.

- Och, nie, Roy. Nie mogę tego przyjąć.

- Oczywiście, że możesz, Rain. Chciałbym, żebyś go zachowała. Jeśli kiedykolwiek poczujesz się samotna, weź go do ręki i pomyśl o mnie. No, weź. - Wyciągnął do mnie rękę. - Weź, proszę.

Sięgnęłam po sygnet i zacisnęłam go w dłoni.

- Mama dobrze postąpiła - powiedział. - Wiedząc, że was tu nie ma, będę spokojniej spał.

- Jeszcze będziemy razem, Roy. Wiem, że będziemy. - Powtarzałam te słowa jak modlitwę.

- Jasne. - Uśmiechnął się z wysiłkiem i odwrócił się, żeby wyjść z pokoju.

- Poczekaj - zatrzymałam go. - Siądź tu ze mną na chwilę, przejrzymy razem pamiątki.

Roy popatrzył na pudło, potem na puste łóżko Beni.

- Nie mam siły, Rain. Muszę się trochę przespać. Obiecałam Slimowi, że wpadnę do niego jutro i przed wyjazdem pomogę mu jeszcze dokończyć jakieś naprawy. Będę musiał wstać wcześniej niż zwykle.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem odwrócił się powoli, z trudem, jakby zrywał przy tym jakiś niewidzialny łańcuch, i wyszedł.

Następnego dnia po śniadaniu mama dała mi trochę pieniędzy. Wiedziałam, że jej na to nie stać, ale uparła się, żebym pojechała na zakupy i z powrotem taksówką.

- Przecież nie możesz jechać autobusem czy metrem z naręczem zakupów, bo jeszcze cię ktoś napadnie.

Nie umiałam zapanować nad zdenerwowaniem, jakie wywoływała we mnie myśl o spotkaniu z moją matką, tym razem bez asysty mamy. Nawet nie wiedziałam, jak się do niej zwracać. W sklepie byłam przed trzecią. Odnalazłam sprzedawczynię, której nazwisko znajdowało się na wizytówce od mojej matki. Nazywała się Autumn Jones. Była przystojną kobietą koło trzydziestki, miała jasne włosy i zielone oczy. Moja matka zadzwoniła do niej rano, więc Autumn spodziewała się mnie.

- Ach, tak - powiedziała, kiedy przed nią stanęłam. - Pani Randolph mówiła, że się trochę spóźni, więc żebyśmy zaczęły bez niej. Z jej wskazówek zrozumiałam, że potrzebujesz kompletu ubrań do nowej szkoły. Zacznijmy od bielizny, skończymy na butach - zaproponowała, prowadząc mnie do działu z bielizną. Autumn zdawała się dokładnie wiedzieć, czego i ile będzie mi potrzebna. Jej asystent, młody, ciemnowłosy szczupły mężczyzna, chodził za nami, nosząc zakupy lub zapisując je w notatniku.

Po rajstopach i skarpetkach przeszliśmy do nocnych koszul, szlafroków i kapci. Kiedy spytałam o jakąś cenę, Autumn poinformowała mnie, że mam się tym w ogóle nie kłopotać. Kiedy wreszcie pojawiła się moja matka, znajdowaliśmy się w dziale ze spodnicami i bluzkami.

W szytej na miarę czarnej garsonce wyglądała bardzo szykownie. Pomyślałam, że z rozpiętą pod szyją bluzką, w butach na koturnie i z lekko rozczochranymi włosami jest nawet całkiem seksowna.

- Przepraszam, że się spóźniłam, Rain, ale miałam jeden z tych dni - wyjaśniła z machnięciem ręki, jakby się spodziewała, że wszystko natychmiast zrozumie. Każdy dzień był dla mnie jednym z tych dni. - Do czego doszłyśmy, Autumn?

Kiedy Autumn zdała relację z dotychczasowych zakupów, moja matka podprowadziła nas do skórzanej garsonki, która natychmiast wpadła jej w oko.

- Bez wątpienia dziewczyna ma figurę w sam raz do tego

kompletu, pani Randolph - orzekła Autumn, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Owszem, ma - zgodziła się moja matka.

Wysłały mnie do przymierzalni ze spódnicą, bluzką i żakietem. Spojrzałam na metkę z ceną, przyczepioną do rękawa, i omal nie zemdlałam z wrażenia. Kiedy wyszłam z przymierzalni, obie pokiwały z uznaniem głowami.

- Alison chciała, żebym jej kupiła tę garsonkę - mruknęła moja matka - ale ona, niestety, nie wygląda za dobrze w takiej krótkiej spódniczce. Figurę ma po ojcu, jest za szeroka w biodrach i ma kościste kolana.

- Kto to jest Alison? - spytałam.

- Moja córka - wyjaśniła i po krótkim wahaniu dodała: - Twoja przyrodnia siostra. Jest od ciebie o trzy lata młodsza. Masz także przyrodniego brata Brody'ego. Chodzi do szkoły podstawowej i jest pewnym kandydatem do stypendium piłkarskiego. Oboje są niezłymi uczniami, ale Brody uczy się lepiej. Odziedziczył uzdolnienia po Grancie i tak się wyróżniał w nauce, że Grant postanowił go przenieść o klasę wyżej i polecił mu realizować indywidualny program nauczania, przygotowujący do college'u. Jest od ciebie o dwa lata młodszy, ale nie powiedziałaabyś tego, gdybyś go zobaczyła na ulicy. Alison też dobrze sobie radzi, tyle że okropnie trudno ją zagonić do nauki. Zadowala się średnimi ocenami. Doprowadza tym ojca do szaleństwa.

Spojrzałam na Autumn, która stała w sąsiednim przejściu między półkami, dobierając dla mnie kolejne komplety, bluzki i spodnie.

- Czy ona wie, kim jestem? - spytałam, wskazując ekspedientkę ruchem głowy.

- Och, niczym się nie przejmuj, powiedziałam jej, że to z mojej strony akt dobroczynności.

- Dobroczynności!

- Mów trochę ciszej z łaski swojej - zwróciła mi uwagę moja matka.

- Nie potrzebuję żadnej dobroczynności.



- Dobrze. Nie ma się o co kłócić. Musiałam jej przecież coś powiedzieć.

Nic na to nie mogłam poradzić, ale czułam się urażona. Matka unikała mego wzroku.

- Autumn, pokaż, proszę, Rain płaszcz i płaszcz przeciwdeszczowe - zadysponowała moja matka. - Będzie jej też potrzebna skórzana kurtka.

- Jak pani sobie życzy, pani Randolph. Rain, podejdź tu do mnie, dobrze? - poprosiła Autumn.

- Nie potrzebuję niczyjej dobroczynności - powtórzyłam z naciskiem.

Moja matka zaczęła oglądać spodnie, udając, że mnie nie słyszy.

Kiedy wybrałyśmy kurtkę, żakiet i płaszcz przeciwdeszczowy, poszłyśmy do działu obuwniczego. Matka kupiła mi wysokie buty, płaskie czółenka i buty na obcasie dobrane do eleganckiej garsonki.

- Jak mam to wszystko zabrać do domu?

- Rzeczy znajdą się w twoich walizkach, w limuzynie, która jutro po ciebie przyjedzie. Po co miałabyś to wszystko dźwigać z powrotem do... dokądkolwiek, żeby jutro znów się pakować?

Chciałam pokazać nowe stroje mamie, ale żadna z nas nie miała pojęcia, że moja matka aż tyle mi tego kupi.

- Nie mogę cię wysłać do swojej matki bez odpowiedniej garderoby - ciągnęła moja matka. - Dopiero bym się od niej nasłuchiwała.

- To znaczy, że już jej o mnie... mówiłaś?

- Coś w tym rodzaju - mruknęła.

- Coś w tym rodzaju? Co to znaczy? - spytałam.

- To znaczy... coś w tym rodzaju. Czemu musisz ciągle o coś pytać? - Wpatrywała się we mnie przez chwilę poirytowana, po czym jej wzrok złagodniał. - No, dobrze. Z moją matką są problemy. Potrafi okropnie dać się we znaki, a moja siostra jeszcze pogarsza sprawę - mruknęła.

- Powiedziałaś jej, że będę mieszkać z twoją matką?

- Powiedziałam jej, że znalazłam kogoś, kto zamieszka

z mamą. Wie, że musimy coś zrobić, a ona nie chce z nią mieszkać.

- Czemu? Przecież to jej matka, prawda?

- Kiedy poznasz Victorię, sama zrozumiesz - odpowiedziała, marszcząc brwi.

- Nie lubisz jej?

- O Boże, jak ty mnie ciągle wypytyjesz - westchnęła. - Czy musisz koniecznie od razu wszystko wiedzieć?

Oślupiałam. Chciałam spytać, a cóż w tym złego? W końcu to moja rodzina, nie? Miałam wrażenie, że matka czyta w moich myślach.

- Słuchaj, Victoria i ja nie zawsze się we wszystkim zgadzamy. Jesteśmy... różne. Mamy odmienne potrzeby. Victoria jest zadowolona, żyjąc samotnie, będąc... Victorią. Mnóstwo czasu spędzała, pracując z ojcem, i bardzo dobrze sobie z tym radziła. Wiele mu pomogła, prowadząc rachunki i nadzorując budżet jego przedsięwzięć. Nasz ojciec był developerem. Zawsze ją cenił, ale jej się zdawało, że woli mnie.

- A tak było?

Przez chwilę miała taką minę, jakby nie zamierzała odpowiedzieć, ale naraz się uśmiechnęła.

- Tak, prawdę mówiąc, tak. Ojciec był prawdziwym facetem i lubił kobiety, które wyglądają i zachowują się jak kobiety. Victoria robi wrażenie twardej, mało kobiecej. Zawsze się lepiej czuła z kalkulatorem w dłoni, niż trzymając kochanka za rękę. - Urwała i rozglądała się wokół. - Co jeszcze? Co jeszcze? - mruczała do siebie. - Och, pora zrobić sobie małą przerwę. Muszę wypić cappuccino. Chodź - zakomenderowała i ruszyła w kierunku windy. - Za chwilę do ciebie wrócimy, Autumn - rzuciła, mijając sprzedawczynię. - Na razie spakuj to, co wybrałyśmy do tej pory.

- Tak, pani Randolph.

Weszłyśmy do windy i moja matka nacisnęła guzik.

- A co z twoim mężem? - spytałam.

- Co z moim mężem?

- Czy nie będzie pytał o mnie, o te wszystkie wydatki?

- Moje wydatki nic go nie obchodzą. Mam własne pieniądze.

- A o to, że mieszkam z twoją matką? Przecież dowie się o tym, prawda?

- Tak - wykrztusiła, czekając, aż drzwi się otworzą.

- No i?

Odwróciła się do mnie z kwaśną miną.

- Nie wiem jeszcze dokładnie, co mu powiem. Prawdopodobnie, że poleciła mi cię przyjaciółka, która się zajmuje dobroczynnością. Uzna, że to bardzo szlachetnie z mojej strony. Robię coś dla mamy i jednocześnie znajduję dom dla dziewczyny w trudnej sytuacji - poinformowała, wyraźnie zadowolona z siebie.

- No, ale czy mimo to nie będzie cię o mnie wypytywał?

- Ma w tej chwili za dużo spraw na głowie, żeby zajmować się moimi problemami - powiedziała, idąc w kierunku kawiarni.

- Problemy. To tak mnie traktujesz?

- O Boże - jęknęła, przykładając dłoń do czoła. - Posłuchaj, wiem, że to wszystko nie jest dla ciebie łatwe, ale pomyśl też o mnie. Nie znam cię. Nie wiem, jak z tobą rozmawiać. Nie wiem nawet, czy w ogóle dobrze robię. Daj mi spokój na chwilę. Te nastolatki! - mruknęła. - Jakbym nie miała ich dosyć w domu.

- Mogę wrócić do mamy - zagroziłam.

- No jasne. Nie, dziękuję. To jedyna kobieta, której nie mam ochoty się narazić.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, kiedy to usłyszałam.

- Dajmy sobie na chwilę spokój, dobrze? Proszę. Boli mnie głowa. Czuję się, jakby ktoś grał nią w kręgle.

Poszłam za nią do kawiarni i usiadłyśmy przy stoliku.

- Na co masz ochotę? - spytała moja matka. - Podają tu znakomitą kawę mrożoną z bitą śmietaną - zasugerowała.

- Po prostu kawę - odpowiedziałam.

Odłożyła menu i spojrzała na mnie zdziwiona.

- Po prostu kawę? Ja tam lubię cappuccino. - Zamówiła

kawy i czekoladowe biszkopty. Potem wyprostowała się na krześle i zaczęła mi się przyglądać. - Opowiedz mi o sobie.

- Co chcesz wiedzieć?

- Czym się interesujesz? Co zamierzasz robić w życiu? Jakich masz kolegów? Czy chodzisz z jakimś chłopakiem? Czy będziesz tęsknić za kimś, kiedy zmienisz szkołę? - wyliczała. - O rany! - jęknęła głośno i nachyliła się do mnie nad stolikiem. - Myślałam, że jesteś bystra. No, powiedz coś.

Nie wiedziałam, czy mam się na nią złościć, czy nie. Choć mnie irytowała, wyczuwałam w niej także coś sympatycznego. Choć bogata i elegancka, wręcz snobistyczna, wydawała się jednocześnie trochę zwariowana, co sprawiało, że trudno byłoby mi się na nią naprawdę gniewać.

- Nie mam chłopaka, ale będę tęsknić za Royem. Tylko że on i tak idzie do wojska - powiedziałam.

- Roy to...

- ...mój brat - wyjaśniłam. Opuściłam wzrok. - Właściwie to nie jest moim bratem, ale wyrosliśmy w przekonaniu, że tak właśnie jest.

- Naprawdę dobrze się uczysz?

- Tak.

- Grasz na jakimś instrumencie? Występujesz w szkolnym teatrze? Należysz do cheerleaderek?

- Trzy razy nie - odpowiedziałam. - W szkole, do której chodzę, nie ma nic z tych rzeczy. Dużo czytam. Lubię muzykę, ale nie hip-hop.

- Hip-hop?

- No wiesz, to coś takiego jak rap.

- Och. - Utkwiła we mnie spojrzenie i po raz pierwszy poczułam, że szuka w mojej twarzy czegoś czy może raczej kogoś.

- Co z moim ojcem? - spytałam.

- Jak to co z twoim ojcem?

- Myślałam, że jesteś bystra. No, powiedz coś - zacytowałam jej własne słowa.

Przez chwilę wpatrywała się we mnie zaskoczona, potem się roześmiała.

- Widzę, że rzeczywiście jesteś moją córką. Dobrze. Nie wiem, co się z nim dzieje ani gdzie się teraz podziewa. Poznaliśmy się, kiedy chodziłam do college'u. Nie byłam wtedy całkiem grzeczną dziewczynką z bogatego domu. Prawdę mówiąc, chwilami nie cierpiałam swojej rodziny, swojego ojca, matki, ich bogactwa i pozycji. Czułam się, jakbym była częścią represyjnej struktury władzy, więc trzymałam raczej z buntownikami, poetami i śpiewakami protest songów. Szczerze mówiąc, wydawali mi się dużo ciekawszy. Jednym z nich był przystojny Afroamerykanin, który wyglądał jak nowe wcielenie Sidneya Poitier. Mieliśmy gorący, namiętny romans. Zaszłam z nim w ciążę. Resztę sama znasz.

- Jak się nazywał?

- Czemu pytasz? Chcesz go szukać?

- Po prostu chcę wiedzieć. Ty byś nie chciała, gdybyś była na moim miejscu?

Spojrzenie mojej matki złagodniało.

- Lany Ward.

- Co się stało, kiedy zaszłaś w ciążę?

- Ojciec zabrał mnie z college'u i posłał do szkoły na Środkowym Zachodzie. Poznałam Granta, który studiował prawo, zaręczyliśmy się, a kiedy skończyłam uczelnię, wyszłam za niego za męża. Tata pomógł mu w początkach kariery. Zapoznał go z wpływowymi ludźmi, politykami. Potem Grant założył własną firmę i wyrobił sobie doskonałą reputację. Teraz myśli o dalszej karierze politycznej, może któregoś dnia zostanie ministrem sprawiedliwości. Jest ambitny i zapewne osiągnie to, czego pragnie.

- Czy nigdy cię nie interesowało, co się dzieje z moim ojcem?

Moja matka westchnęła, zanurzyła biszkopt w cappuccino, potem skinęła głową.

- Tak. Słyszałam, że wyjechał do Anglii. To człowiek bardzo twórczy, był pisarzem i chciał uczyć. Zawsze mówił

o potrzebie zanurzenia się w epoce elżbietańskiej... Szekspir i te sprawy.

- I to wszystko, co o nim wiesz?

- Jestem teraz kim innym, niż byłam wtedy. Żyję w zupełnie inny sposób. Nie buntuję się już przeciw swojemu bogactwu i pozycji. Nie dławię się, pijąc kawę mieszaną srebrną łyżeczką. Musiałam wymazać go z pamięci, udawać przed sobą, że to wszystko nigdy się nie wydarzyło.

- Wobec tego musisz się fatalnie czuć, kiedy na mnie patrzysz. Musisz mnie nienawidzić - wywnioskowałam.

Znieruchomiała na chwilę, a potem gwałtownie pokręciła głową.

- Jak mogłabym cię nienawidzić? Nawet cię nie znam. - Zastanawiała się przez moment. - Może kiedy się poznamy bliżej, to cię znienawidzę - dodała tonem obietnicy.

Wciąż się to powtarzało. Ilekroć zaczynałam czuć wewnętrzne napięcie, rozbrajała mnie swoimi żartami.

- Po prostu nie mogę... przyjąć cię tak, jak mogłabyś... jak miałabyś prawo tego oczekiwać - powiedziała już poważnie. - Proszę, spróbuj mnie zrozumieć. Uwierz mi. Wtedy obu nam będzie łatwiej.

„Przede wszystkim będzie łatwiej tobie” - chciałam powiedzieć, ale przełknęłam te słowa i popiłam kawą.

- Chodź, dokończymy zakupy - zaproponowała. - Jak widzę, nie używasz zbyt wielu kosmetyków. Zresztą nie twierdzę, że ci to potrzebne. Ale mogłabyś coś zrobić z włosami. Wracają do łask kucyki. W loczkach też byłoby ci nieźle. Widzę, że masz nieprzekłute uszy. Nie miałabyś ochoty na kolczyki? W kolczykach dobrze byś wyglądała. Potrzebne ci będą jakieś ozdoby do stroju, broszki i tak dalej. No i założę się, że nie masz porządnego zegarka. Masz? Wszystko jedno. Chodź, kupimy zegarek.

Wcale niełatwo było mi się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć co chwila śmiechem. Moja matka czuła się bardziej zaabsorbowana kupowaniem mi tych wszystkich rzeczy niż ja. Idąc przez dział drogerijny, zdawała się nabierać nowych sił,

w miarę jak eksperymentowała z coraz to nowymi perfumami, szminkami i aromatycznymi płynami, podczas gdy ja zaczynałam się czuć tym wszystkim zmęczona. W końcu matka zatrzymała się i obejrzała na mnie. Moja mina powiedziała jej, co się ze mną dzieje.

- Przepraszam. Nie zamierzałam załatwiać aż tylu spraw naraz, ale z Alison nigdy nie mogę sobie na to pozwolić. Ona nienawidzi mojego gustu i nie lubi chodzić ze mną na zakupy. Jest w tym wieku, kiedy człowiekowi się wydaje, że nie ma większego nieszczęścia, niż pokazać się publicznie z matką.

Nie potrafiłam tego zrozumieć. Choć byłam już zmęczona, trudno byłoby mi nie cieszyć się z towarzystwa kobiety, która wiedziała wszystko o najnowszych stylach i trendach w modzie, kupowała mi najróżniejsze rzeczy i na dodatek zupełnie nie przejmowała się cenami. Mama nigdy nie mogłaby sobie na coś podobnego pozwolić. Od czasu do czasu kupowałyśmy coś w tanich magazynach z obuwem czy w domach towarowych, ale spędzenie całego popołudnia w eleganckim centrum handlowym i rozmowa o strojach, fryzurach i kosmetykach były spełnieniem moich marzeń. Matka roześmiała się, widząc moją minę, a ja po prostu nie mogłam nie odwzajemnić się jej tym samym.

- No dobrze, na początek starczy - oznajmiła, wybrawszy jedwabną chustkę, którą dołączyła do reszty zakupów.

- Na początek? - Zdziwiłam się. - Zrobiłyśmy dziś większe zakupy niż w całym moim życiu.

- Niech to będzie pierwsza lekcja, której udzieliłam ci jako matka - powiedziała, a jej ładnie wykrojone usta ułożyły się w uśmiech. - Kiedy kupujesz ubrania, to zawsze jest tylko początek. Żyjemy po to, żeby się bawić i cieszyć luksusem. Takie jest nasze przeznaczenie od czasów, gdy Adam wybrał listek dla Ewy.

- Nie tylko go wybrał, ale też za niego zapłacił. I to słono.

Przez chwilę zastanawiała się nad moimi słowami, a potem wybuchnęła szczerym śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać i również się roześmiałam.

Popatrzyła na mnie uważnie.

- Śmiejesz się jak on. - Zrobiła poważną, zamyśloną minę, a potem znów się uśmiechnęła. - Może coś z tego będzie - powiedziała. - Chodź, znajdziemy taksówkę. Jutro rano koło dziesiątej przyślę po ciebie samochód.

Upewniła się co do adresu.

- To jedno z tych komunalnych osiedli, tak? Dla ludzi o niskich dochodach?

- Tak.

- Nie dziwię się, że mama chce cię stamtąd wydobyć. Na jej miejscu prawdopodobnie zrobiłabym to samo. Nie wiem tylko, czy dałabym sobie z tym radę równie dobrze jak ona. To dzielna kobieta.

- Owszem - przyznałam. - Mama jest dzielna.

- Chciałabym cię bliżej poznać, Rain. Nigdy nie będę dla ciebie tym, kim jest ona, ale liczę, że przynajmniej zostaniemy przyjaciółkami. - Obejrzała się za siebie na dom towarowy. - Miałyśmy niezłą zabawę.

- Zabawę? Myślałam, że to ciężka praca - oznajmiłam, i moja matka znów się roześmiała.

Potem, pod wpływem nagłego impulsu, objęła mnie i zaraz zamachała na taksówkę.

Kiedy wsiałam, odwróciłam głowę i patrzyłam, jak odchodzi i znika wśród ludzi. Odetchnęłam głęboko. To był szalony dzień. Miałam w głowie kompletny zamęt, zupełnie się pogubiłam w kalejdoskopie emocji. Moja prawdziwa matka budziła we mnie zarazem uczucie sympatii i niechęci. Była taka piękna, pewna siebie i pełna życia. Chciałam być taka jak ona, a jednocześnie nienawidziłam się za to, że nie chcę być taka jak mama. Byłam niczym naciągnięta między nimi do granic możliwości gumka, ale już wiedziałam, że mama puści pierwsza.

Jak się okazało, mama nie była pewna, czy wszystko pójdzie tak, jak to planowała, i kiedy wróciłam do domu, już na mnie czekała. Rano poszła jak zwykle do pracy, ale zwolniła się wcześniej, żeby się upewnić, czy nic mi się nie przydarzyło.



- Gdzie twoje zakupy? - spytała, gdy stanęłam w drzwiach.

- Za dużo tego było, mamó. Moja matka zdecydowała się spakować te wszystkie rzeczy do walizek i wsadzić do samochodu, który jutro po mnie przyjedzie. Nie masz pojęcia, ile wydałyśmy pieniędzy i ile tego nakupowałyśmy - relacjonowałam bez tchu.

Mama siedziała przy stole, a ja naprzeciwko niej i opowiadałam po kolei o wszystkim, co kupiłyśmy, a także o wizycie w kawiarni i rozmowie o moim ojcu. Słuchała mnie uważnie, a jej oczy to ciemniały i smutniały, to znów rozjaśniały się radością.

- Dobrze - powiedziała, kiedy skończyłam. - To dobrze, że twoja matka jest taka, jaka jest.

- Nie sędzę, żeby jej rodzina była najszczęśliwsza na świecie, mamó - dodałam i opowiedziałam mamie o córce mojej matki, Alison, i o jej siostrze Victorii.

- W każdej rodzinie, biednej czy bogatej, zawsze znajdzie się jakiś problem, Rain. Kiedy nie ma się na głowie tylu kłopotów co my, po prostu łatwiej jest radzić sobie z innymi sprawami. No dobrze, zabiorę się do obiadu. Twój brat na pewno wróci głodny z pracy. Długo dziś tam siedzi. Nie chciał zostawić Slima z niedokończonymi naprawami. Gdyby jego ojciec był chociaż w połowie taki odpowiedzialny, nie tkwilibyśmy w tej nędzy - westchnęła.

Wstałam od stołu i poszłam do pokoju, żeby skończyć pakowanie rzeczy. Nie było tego wiele, ale zastanawiałam się nad każdym drobiazgiem, zanim zdecydowałam, czy powinnam go zabrać. Mimo to mama uważała, że jest tego za dużo.

- Nie ma potrzeby, żebyś wozila ze sobą te wszystkie stare ubrania i inne rzeczy, kochanie. Po prostu je tu zostaw. Oddam to komuś. Już spakowałam większość z tego, co zostało po Beni, żeby zanieść do sklepu z używanymi rzeczami, gdzie się je sprzedaje na cele dobroczynne.

Więc jeszcze raz przemyślałam wszystko po kolei i w rezultacie ujęłam z walizki niemal połowę tego, co spakowałam. Ostatecznie zostałam z torbą i małą walizeczką.

- Żałuję, że nie masz tego trochę więcej, ale naprawdę nie było sensu brać tych wszystkich rzeczy - powiedziała mama.

- Dałaś mi tyle, ile nigdy nie otrzymam od mojej prawdziwej matki, mammo. Tego, co mi dałaś, co wciąż mi dajesz, nie można kupić za żadne pieniądze - przypomniałam jej.

Uśmiechnęła się i uściśnęła mnie mocno. Potem skończyłyśmy robienie obiadu i czekałyśmy na Roya. Wrócił do domu pół godziny później niż zwykle.

- Zwijałem się najszybciej, jak mogłem - tłumaczył się - ale kilka razy musieliśmy przerywać pracę, żeby zająć się drobnymi naprawami, z którymi przyjeżdżali klienci.

- Nic się nie stało. Weź prysznic i siadamy do stołu. Wszystko jest gotowe - powiedziała mama.

Dopiero przy stole uświadomiłam sobie, że bardzo możliwe, iż jest to nasz ostatni wspólny obiad na bardzo, bardzo długo, może nawet... na zawsze. Straciłam cały apetyt. Niemrawo dłużyłam widelcem w jedzeniu.

- Przestańmy robić smutne miny - przerwała moje ponure rozmyślenia mama. - Każde z nas czeka coś lepszego, niż mieliśmy dotąd, słyszycie? Wszystko będzie dobrze. Poza tym nikt nie powiedział, że rozstajemy się na zawsze. Przestańcie się zachowywać w ten sposób, bo stracę wiarę w to, że dokonałam właściwego wyboru - poprosiła.

Roy uśmiechnął się do niej.

- Nie o to chodzi, mammo - powiedział, rozglądając się po naszym nędznym mieszkaniu. - Po prostu będę tęsknił za tymi karaluchami i wrzaskami dobiegającymi z korytarza.

Mama roześmiała się, ja także się uśmiechnęłam. Śmiech przełamał ponury nastrój i zaczęliśmy rozmawiać z większym entuzjazmem o tym, co zamierzamy robić w przyszłości. Potem Roy powiedział, że słyszał coś o Kenie.

- Charlie z „Big Top Hamburgera” wspominał, że widział go któregoś dnia z Greasym Maksem i Dudleyem. Mówił, że wyglądali, jakby planowali coś, jak to ujął, trefnego.

- Skończy jak jego brat - przepowiedziała mama. - Pod kluczem. - Pokręciła głową. - Żal na to patrzeć. Wy tego

pewno nie pamiętacie, ale kiedyś Ken był pełen nadziei i siły, wprost tryskał dobrą energią. Myślę, że to, co mnie w nim najbardziej pociągało... - mama się zamyśliła - ...to były jego piękne marzenia. Nie wyobrażałam sobie wtedy, że ktoś może mieć głowę pełną wspaniałych planów i żadnego z nich nie zrealizować. Uważajcie na swoje marzenia - dodała po chwili. - Kiedy za bardzo się rozmarzycie, wracajcie do rzeczywistości.

- Nie będę wiele marzył w wojsku, mamó - zapewnił Roy ze śmiechem. - Będę zanadto zmęczony.

- Będziesz, będziesz - odpowiedziała mama. - I zrealizujesz swoje marzenia.

Choć zrobiło się już ciemno, żadne z nas nie myślało o tym, żeby iść do siebie. Baliśmy się bezsenności, własnych myśli, a przede wszystkim poranka. Dotąd poranek zawsze oznaczał dla mnie początek. Teraz miał być końcem.

Jakaś godzinę po tym, kiedy wreszcie położyłam się do łóżka, drzwi uchyliły się i stanął w nich Roy. Otworzyłam oczy. Zachowywał się tak cicho, że w pierwszej chwili myślałam, że to tylko wyobraźnia płata mi figle. Potem uklęknął przy łóżku i wziął mnie za rękę.

- Nie zakochaj się w nikim za szybko, Rain - poprosił. - Pewnego dnia pojawię się w twoim życiu na powrót i będę wtedy zupełnie inny niż teraz. Będę starszy, będę mężczyzną i pomyślisz o mnie jak o kimś innym, pamiętasz, kiedyś ci to mówiłem.

- Nie zakocham się w nikim za szybko - obiecałam. - Ale ty obiecaj mi, że nie będziesz się bronił przed miłością, kiedy do ciebie przyjdzie. To za wysoka góra, żebyśmy mogli ją zdobyć. Być może nie jest nam to pisane.

- Zawsze będę cię kochać, Rain, i zawsze będzie to więcej niż zwykła miłość brata do siostry. - Przez chwilę milczał, a potem uniósł głowę, spojrzał na mnie w ciemności i dodał: - Może dlatego tak nienawidzę ojca. Sprowadził cię tu i uczynił moją siostrą. To było niedobre, nienaturalne. To on postawił nas w tej sytuacji.

- Inaczej moglibyśmy się w ogóle nie spotkać - zwróciłam mu uwagę.

- Tak, moglibyśmy się nie spotkać - przyznał. - Może byśmy się nie spotkali. A może istnieje jakaś magia, która łączy ludzi, którzy mają się naprawdę kochać. Może nikt nie potrafi na to nic poradzić. Po prostu nie zapomnij o mnie - poprosił. - Weź czasem do ręki mój sygnet.

Pochylił się nade mną i pocałował mnie w policzek. Natychmiast potem wstał i wyszedł z pokoju. Wszystko stało się tak szybko, że nie byłam pewna, czy mi się to tylko nie śniło.

Kiedy rano wstałam, umyłam się i ubrałam, już wyszedł do pracy.

- Nie chciał się z tobą jeszcze raz żegnać - wytłumaczyła go mama.

- Jak się czuł?

- Dobrze. Nie martw się o niego, da sobie radę - powiedziała z dumą w głosie.

Zjadłyśmy śniadanie, choć niełatwo mi było cokolwiek przełknąć. Wciąż spoglądałyśmy na zegar i kiedy dochodziła dziesiąta, wzięłam walizkę i torbę i wyszłyśmy przed blok.

Był pochmurny dzień. Wiał północno-zachodni wiatr i wszystko wskazywało na to, że zacznie padać deszcz. Włosy tańczyły wokół mojej twarzy. Mama otuliła się ramionami. Obie patrzyłyśmy na ulicę, na przejeżdżające samochody. W pewnej chwili minął nas bezdomny mężczyzna, popychając przed sobą wózek z supermarketu, załadowany brudnymi torbami. W oddali rozległo się wycie syreny.

- Musisz się cieszyć, że opuszczasz ten piekielny zakątek - zauważyła mama.

Wiedziałam, że stara się zachować dobrą minę, choć z trudem powstrzymuje łzy. Kiwnęłam głową.

- To dla ciebie wielka szansa, Rain. Jestem pewna, że będę z ciebie dumna. Żałuję tylko, że nie mogłam zrobić więcej dla Beni.

- Wiem, mamo, ale nie powinnaś się o to obwiniać.

- Ty także o nic się nie obwiniaj, dziecko. Nie miałaś dla

swojej siostry niczego prócz miłości. Słyszysz, co mówię, Rain? Nie dźwigaj w swoim sercu zbędnego ciężaru. Nie pozwól, żeby cokolwiek przeszkodziło ci osiągnąć coś w życiu.

- Dobrze, mammo. Kiedy zamierzasz jechać do ciotki Sylvii?

- Za dwa dni - odpowiedziała mama.

- Naprawdę do niej pojedziesz, prawda?

- Oczywiście, że pojedę. Masz jej adres. Napisz do mnie, a na pewno odpiszę - obiecała.

Nagle z ulicznego ruchu wyłoniła się jak czarny rekin lśniąca limuzyna. W naszej okolicy był to tak rzadki widok, że nie miałyśmy żadnych wątpliwości, po kogo przyjechała. Samochód zatrzymał się przed nami i zaraz wyskoczył z niego szofer.

- Rain? - spytał. Miał koło pięćdziesiątki, siwiejące włosy i przyjazne niebieskie oczy.

- Tak.

- Pozwól, że wezmę twoje bagaże - powiedział, sięgając po torbę i walizkę.

Mama podeszła z nami i kiedy otworzył bagażnik, zobaczyła rzeczy, które kupiła mi poprzedniego dnia moja matka. Westchnęła z radości, a po jej policzkach potoczyły się łzy szczęścia.

- Tylko popatrz na to wszystko. Odjeżdżasz stąd niczym jakaś księżniczka.

- Nie czuję się jak księżniczka, mammo.

- To się zmieni - zapowiedziała mama. - No dobrze, nie każ szoferowi na siebie czekać. Zbieraj się. Wygląda na to, że lada chwila zacznie padać.

- Mammo...

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Naprawdę wszystko będzie dobrze. Oddaję cię twojej matce, ale to nie znaczy, że o tobie zapomnę, skarbie. O nie, moi państwo, nie ma mowy.

Objęłam ją z całych sił i przytuliłam tak mocno, że pomyślała chyba, iż nigdy jej nie puszczę.

- Jedź już, jedź - szepnęła ochrypłym ze wzruszenia głosem. - Jedź na spotkanie tego, co cię czeka. Ruszaj w swoje życie.

Wypuściłam mamę z objęć. Na jej twarzy malowała się cała determinacja, na jaką mogło się zdobyć jej drobne ciało. Okrucieństwem byłoby przedłużyć chwilę rozstania.

Wsiadłam do limuzyny i szofer zamknął za mną drzwi. Mama stała na chodniku, uśmiechając się przez łzy. Przycisnęłam twarz do szyby i ruszyliśmy. Mama pomachała mi na pożegnanie, a potem odwróciła się i ruszyła z powrotem do domu.

Kiedy skręcaliśmy w najbliższą ulicę, byłam pewna, że dostrzegłam w tłumie Roya. Jego twarz była niewidoczna w cieniu, jakim okryły wszystko ciemne chmury, sunące nisko po niebie.

Kilka sekund później miałam za sobą nasze osiedle i całe życie, jakie dotąd znałam. Przedemną była nieznana przyszłość.

## BEZ ODWROTU

Kiedy byłam w czwartej klasie, mieliśmy próbny alarm pożarowy. Tydzień wcześniej dyrektor okropnie nas ochrzanił, ponieważ podczas próbnej ewakuacji szkoły za długo trwało, nim opuściliśmy klasy i budynek szkolny.

- Tym razem to był tylko alarm próbny - ostrzegł nas - ale następnym razem może wybuchnąć prawdziwy pożar i jeśli będziecie się tak guzdrać i robić tyle hałasu, to niejedno z was pożegna się z życiem.

Myślę, że nie tyle chciał nas przestraszyć, ile raczej zależało mu na tym, żebyśmy na przyszłość traktowali takie sprawy poważniej. Jednak gdy tydzień później rozległo się wycie syreny, wszystkich opanowało gorączkowe podniecenie. Jakaś dziewczyna zaklinała się, że czuje dym. Wszyscy natychmiast zaczęli się tłoczyć do drzwi. Na korytarzu już byli uczniowie z innych klas. Szybko przybywało ludzi. Ktoś krzyknął: „To prawdziwy pożar!”, i porządek, w jakim mieliśmy opuszczać szkołę, natychmiast diabli wzięli. Wokół rozległy się paniczne krzyki. Serce zamarło mi w piersi. Ktoś kogoś popchnął i w mgnieniu oka zapanował chaos. Pomimo wysiłków nauczycieli wszyscy zaczęli się pchać do wyjścia. Ja sama wpadłam w kompletne odrętwienie, a okropny lęk sprawił, że nie mogłam oderwać stóp od podłogi. Wtedy uniosła mnie ze sobą fala zbiorowej paniki. Napierające ze wszystkich stron ciała nie pozostawiały mi żadnej możliwości wyboru, a zbity

tłum, którego stałam się częścią, porwał mnie i poniósł do wyjścia. Wypadliśmy przed szkołę, walcząc o każdy oddech, jak niedoszli topielcy, wyłowieni z wody. Nigdy nie zapomniałam poczucia bezsily wobec potęgi zbiorowości, której nie sposób się przeciwstawić.

Tak właśnie się czułam, siedząc w luksusowym wnętrzu limuzyny, która unosiła mnie ze znajomego świata naszej dzielnicy - jedyne go świata, jaki dotąd znałam. Po raz kolejny musiałam ulec sile, nad którą nie mogłam zapanować i która niosła mnie wielopasmową autostradą przez wiadukty, pętle ślimaków i rozświetlone lampami tunele ku granicom Waszyngtonu. W jakimś sensie znów uciekałam z płomieni pożaru. Tak przynajmniej uważała mama. Kiedy zostałam uwięziona we wnętrzu samochodu, odcięta od świata za zamkniętymi oknami, dostrzegłam w jej oczach ulgę wywołaną przez myśl, że wreszcie jestem bezpieczna. Co do mnie, to wcale się tak nie czułam.

Szofer niemal się do mnie nie odzywał. Po jakiejś godzinie, gdy już wyjechaliśmy z miasta, odwrócił głowę i spytał, czy nie chcę posłuchać muzyki. Wyjaśnił mi, że w suficie nad moją głową zamontowane jest radio. Nie byłam w nastroju do słuchania muzyki, więc po prostu podziękowałam mu, nie dotykając żadnych gałek ani przycisków. Kierowca raz jeszcze obejrzał się na mnie, a potem w ogóle przestał się odzywać. Dopiero gdy zbliżaliśmy się do miejsca przeznaczenia, mruknął: „Już niedaleko”.

Jego słowa bynajmniej nie przyniosły mi ulgi. Ogarnęło mnie lodowate zimno. Otuliłam się ramionami i siedziałam wciśnięta w kątek miękkiego siedzenia, wyglądając przez okno. Kiedy zjechaliśmy z wielopasmowej autostrady, po obu stronach drogi pojawiły się ogrodzenia otaczające ogromne posiadłości. Wprost trudno było uwierzyć, że tak wielkie połacie ziemi mogą należeć do pojedynczych rodzin. Widoczne w odległości rezydencje były większe i wspanialsze od ambasad, które widziałam w Waszyngtonie. Wszystko wokół było czyste, schludne i zaskakująco nowe. Rozległe trawniki, otoczone



starannie przyciętymi żywopłotami, olśniewały świeżą zielenią, nakrapianą rabatami żółtych i czerwonych kwiatów. Fontanny tryskały wodą, która w blasku słońca wyglądała jak płynne brylanty. Gdziekolwiek widać było ogrodników w uniformach, którzy pracowicie dopieszczali najdrobniejsze detale krajobrazu. Uderzająca zamożność tej okolicy pogłębiała mój lęk. W tym otoczeniu wystarczyło jedno spojrzenie, aby poznać, że jestem uciekinierką z krainy nędzy, brudu i zbrodni. Byłam pewna, że na mój widok ludzie będą sobie zadawać tylko jedno pytanie: jak ja w ogóle trafiłam do tego raj.

Lęk i uczucie lodowatego, wszechogarniającego zimna sprawiało, że przebiegały mnie dreszcze i zęby mi szczękały. Uświadomiłam sobie, że popełniłam okropny błąd. Zamiast pchać się do tego świata, w którym nikt mnie nie potrzebował, powinnam oddać matce wszystkie te piękne rzeczy, które mi kupiła, i wrócić na swoje miejsce, zanim odeśle mnie tam moja babka. Bo tego, że to zrobi, i to zapewne natychmiast, gdy tylko mnie zobaczy, byłam pewna. Nie nadawałam się do tej eleganckiej, wymuskanej rzeczywistości.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił szofer, a ja poczułam, że zaraz spełni się nurtujące mnie przeczucie nieuniknionej katastrofy. Byłam tak przerażona, że ledwo mogłam oddychać.

Otworzyła się przed nami brama i długim podjazdem zajechaliśmy przed wspaniałą rezydencją, podobną do tych, jakie mijaliśmy po drodze. Dom był piętrowy. Wysmukłe kolumny podtrzymywały trójkątny fronton, nadający budowli wygląd greckiej świątyni. Przez całą szerokość portyku biegły kamienne schody.

Miałam wrażenie, że trawniki rozciągają się w nieskończoność. Na lewo od domu, przed garażem na trzy samochody, stał lśniący czystością rolls-royce, wokół którego lśniła jeszcze kałuża wody. Obok leżał wąż ogrodniczy.

Szofer wysiadł i otworzył tylne drzwi.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił z uśmiechem.

Powoli wysiadłam z limuzyny i spojrzałam na wznoszącą się przede mną budowlę. Wiał lekki wiaterek, ale wszystko

wokół było nieruchome; nie poruszały się nawet liście drzew i żywopłotów. Wszystko było pogrążone w takim bezruchu, że krajobraz sprawiał wrażenie wręcz namalowanego. Nagle słońce skryło się za chmurą i fasadę rezydencji okrył cień. W oknie na piętrze poruszyła się zasłona, ale nie zobaczyłam nikogo za szybą. Szofer zaczął wyładowywać moje bagaże.

- Możesz wejść do środka - powiedział. - Ja wszystko przyniosę.

Gdzieś w głębi serca liczyłam na to, że drzwi się otworzą i stanie w nich moja babka, by mnie powitać, ale nic takiego się nie wydarzyło. Dom zdawał się kompletnie wymarły. Nawet świergocące pośród gałęzi drzew ptaki zdawały się trzymać na dystans, zerkając nerwowo na frontowe drzwi.

Powoli zaczęłam wchodzić po schodach. Kamiennie płyty pod moimi stopami były nieskalanie gładkie i czyste. Wyobraziłam sobie, że muszą być równie starannie sprzątane i zmywane jak posadzki wewnątrz domu. Kiedy stanęłam przed drzwiami, nadaremnie rozglądałam się za dzwonkiem. Tylko na drewnianej płycinie drzwi, na wysokości mojego czoła, znajdowała się kołatka w kształcie lwiej głowy z pierścieniem w paszczy. Uniosłam pierścień i uderzyłam w drzwi. Wydawało mi się, że nikt wewnątrz nie usłyszał stuknięcia, więc uniosłam pierścień jeszcze raz. Tym razem stuknięcie było głośniejsze.

W chwilę później ogromne drzwi uchyliły się i zobaczyłam przed sobą pokojówkę. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat, a może nawet mniej. Blond włosy przycięte krótko, równo z uszami. Pojedyncze pasemka cieniutkich sztywnych drucików na skroniach i czole wyglądały, jakby były namalowane na bladej skórze. Piwne oczy, zdecydowanie za szeroko rozstawione, wydawały się dziwnie senne. Słońce wyszło zza chmury i rozjaśniło blaskiem posadzkę portyku z gładkiego białego kamienia. Pokojówka zmrużyła oczy. Pomyślałam, że najwidoczniej rzadko wychodzi na dwór. Na niskim czole wyraźnie odcinało się ciemne znamię.

Na granatowej spódniczce do kolan dziewczyna nosiła biały

fartuszek. Biała bluzeczka była zapięta pod samą szyję. Pokojówka miała drobny biust i zaskakująco szerokie biodra. Smutna, przysadzista dziewczyna sprawiała wrażenie osoby, której przeznaczeniem jest spędzić życie na wykonywaniu najpopularniejszych zajęć, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Świadomość tego losu nadawała jej twarzy wyraz chronicznej depresji. Zmierzyła mnie wzrokiem, a potem wychyliła się nieco, by zerknąć na szofera wyładowującego z bagażnika limuzyny moje walizki.

- Ty jesteś Rain?

Wydawała się zaskoczona. Czego się spodziewała? Co jej o mnie powiedziano? - zastanawiałam się.

- Tak.

Na twarzy dziewczyny odmalował się wyraz obrzydzenia i antypatii.

- Tędy - powiedziała, szybko odwracając się ode mnie.

Zawahałam się. Więc tak wyglądało moje powitanie? Zerknęłam na szofera, który ruszył w kierunku domu, dźwigając walizki, i weszłam do obszernego holu z posadzką z kremowego marmuru. Po prawej wisiało wielkie lustro w dębowej ramie, sięgające prawie do sufitu. Po lewej stał dębowy stół, na którym w cynowym wazonie złocił się bukiet żonkili.

Zmierzająca w kierunku schodów pokojówka zatrzymała się na moment.

- Nie mam całego dnia.

Spiesznie ruszyłam za nią, przyglądając się po drodze wiszącym na ścianach obrazom, widocznemu przez drzwi po lewej bogato umeblowanemu salonowi i obszernej jadalni na prawo od sieni. Stół zdawał się ciągnąć stąd do następnego stanu.

Pokojówka ruszyła w górę schodami wyłożonymi chodnikiem. Wzdłuż schodów biegła balustrada z ciemnoszarego marmuru, z sufitu zwisał wielki kryształowy żyrandol. Tak zapatrzyłam się na to wszystko, że potknęłam się i omal nie przewróciłam.

- Proszę uważać - odezwała się mechanicznie pokojówka. Zabrzmiało to niemal tak, jakby była zaprogramowanym automatem, bez najmniejszej troski o to, co się ze mną stanie. Potem poszła dalej, nie czekając na mnie na podeście, za którym zaczynał się drugi bieg schodów, pod kątem prostym w stosunku do pierwszego, jakby chciała czym prędzej mieć to wszystko za sobą.

Cały obszerny hol pełen był antyków - krzeseł i stołów, na których stały piękne wazy. Na marmurowym postumencie umieszczono figurę cherubina z brązu, ściany były szczelnie zawieszane obrazami. Większość z nich przedstawiała sceny z czasów kolonialnych, a niektóre po prostu mężczyzn i kobiety o arystokratycznym wyglądzie i pełnych poczucia wyższości minach, jakby patrzyli z góry na artystę, który ich malował. Czułam się niczym w muzeum.

Służąca zatrzymała się w otwartych drzwiach.

- To twój pokój - oznajmiła i cofnęła się o krok.

Zajrzałam do pokoju, który był chyba większy od całego naszego mieszkania w Waszyngtonie. Dwa okna wychodziły na wschód, dwa na południe. Wielkie łóżko z baldachimem na czterech kolumnach zasłane było biało-różową pościelą obszytą koronkami. Wszystko w pokoju wyglądało na kompletnie nowe - od różowego puszystego dywanu po toaletkę z lustrem, zasłony w oknach i biurko. Po lewej dostrzegłam drzwi do garderoby, z za nimi drugie, do łazienki.

Miałam własną łazienkę!

Moja mina wreszcie wywołała reakcję służącej. Na jej twarzy niemal pojawił się uśmiech. Omiotła pokój spojrzeniem, a potem odwróciła się do mnie.

- Kiedyś to był pokój panny Megan. Powiedziała mi to pani Hudson. Więc nie zniszcz tu niczego, słyszysz?

Pokój mojej matki. Bardzo stosownie, pomyślałam. Do pokoju wszedł szofer z walizkami.

- Gdzie pani Hudson? - spytałam.

- Jeszcze nie jest gotowa na przyjmowanie gości - odpowiedziała służąca. - Pani poleciła, żebym umieściła cię

w twoim pokoju i podała ci lunch. Przygotowałam sałatkę z kurczaka. Jeśli chcesz coś innego, będziesz musiała poczekać.

- Z przyjemnością zjem sałatkę z kurczaka - oświadczyłam. - Dziękuję. Czy ona źle się czuje? - spytałam.

Służąca przyglądała mi się przez chwilę.

- Nie wypowiadam się na temat swoich pracodawców. Po prostu robię to, co do mnie należy - odpowiedziała z urażoną miną. - Kiedy będziesz gotowa, zjedź do jadalni, to dostaniesz lunch - dodała.

- Przepraszam - powiedziałam, gdy odwróciła się, żeby odejść.

- Słucham? - rzekła zakłopotana.

- Jak ci na imię?

- Merilyn. - Jestem tu tylko ja i pani Hudson. Teraz również ty. Mam nadzieję, że nie będziemy potrzebowały nikogo więcej, chyba że będziesz sprawiać poważne trudności - dorzuciła oschłym tonem, odwróciła się i wyszła.

Jeżeli sama jesteś nieszczęśliwa, nie możesz wytrzymać, żeby nie unieszczęśliwić również wszystkich dookoła. Gdyby zostało mi jeszcze miejsce na współczucie, byłoby mi jej zapewne żal nie mniej niż siebie samej, ale w tej chwili nie potrafiłam wczuć się w cudze cierpienie.

Szofer postawił moje bagaże na podłodze i poszedł na dół po resztę. Gdy schodzili z Merilyn schodami, śledziłam ich wzrokiem, a potem weszłam do pokoju, odetchnęłam głęboko i przełknęłam swoje niepokoje, jak dziecko, które musi przełknąć jakieś okropne lekarstwo, bo mówią mu, że ono na pewno pomoże.

Kiedy szofer wniósł już wszystkie moje rzeczy, rozpakowałam się i rozmieściłam ubrania w komodzie i garderobie. Wszystko, co kupiła mi moja matka, zajęło nie więcej niż jedną dziesiątą pomieszczenia. Wypełnienie całej garderoby kosztowałoby fortunę, pomyślałam.

Materac był twardy, ale za to poduszki ogromne i mięciutkie jak chmurki. Kołdra lekka, delikatna i miła w dotyku. Wszystko pachniało nowością i świeżością. Czy po prostu zostało kupione specjalnie dla mnie, czy też było tu od niepamiętnych czasów?

W łazience poza wanną i prysznicem znalazłam również suszarkę do włosów i toaletkę z lustrem. Wszystko było wyszorowane i lśniło czystością. Nawet ręczniki wyglądały na świeżo kupione. Na umywalce stała elektryczna szczoteczka do zębów. Zajrzałam do szafki i odkryłam, że jest w niej wszystko, czego mogłabym potrzebować - od plastrów opatrunkowych po szampon i odżywkę do włosów.

Także toaletka była całkowicie wyposażona. W szufladach znalazłam szczotki do włosów i grzebienie, nożyczki, czątki i pęsetki, kremy i perfumy. Kiedy odkręciłam zakrętkę i powąchałam, poznałam perfumy, którymi pachniała moja matka. A przecież nie mogły znajdować się w szufladzie od czasu, kiedy tu mieszkała. Albo ona sama, albo moja babka - jedna z nich musiała je dla mnie kupić. Ale skąd którakolwiek z nich mogłaby wiedzieć, czy spodoba mi się ten zapach, czy nie? Wybór perfum to taka osobista sprawa, pomyślałam.

Podeszłam do okna, by rozejrzeć się po okolicy. Niedaleko od domu dostrzegłam jezioro. Przy pomoście uwiązane były dwie łodzie wiosłowe. Z wysokości mego okna nieruchoma, gładka, lśniąca w słońcu tafla wody wyglądała niby skuta lodem. Jak tu pięknie, pomyślałam. Tak bardzo chciałabym móc pokazać tę posiadłość mamie. Może jeszcze kiedyś będę miała taką okazję.

Nagle uświadomiłam sobie, że jestem głodna, i pośpiesznie wyszłam z pokoju. Zanim ruszyłam schodami w dół, zatrzymałam się na chwilę. Miałam dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, ale kiedy odwróciłam się i popatrzyłam na drzwi do innych pokoi, stwierdziłam, że wszystkie są szczelnie zamknięte. Przez chwilę nasłuchiwałam, a potem zeszłam na parter. Marilyn musiała na mnie czekać, bo gdy tylko pojawiłam się na podeście w połowie wysokości schodów, usłyszałam: „Nareszcie”.

Dziewczyna zniknęła w drzwiach jadalni. Na myśl, że mam usiąść sama przy tym przeraźliwie długim stole, zrobiło mi się nieswojo. Nakrycie dla mnie położono na najdalszym jego końcu. Idąc przez jadalnię, podziwiałam wymalowany na

ścianie fresk. Przedstawiał wiejską okolicę ze wzgórzami i strumieniem, pasącymi się zwierzętami i gospodarstwami. W pejzażu było coś, co sprawiało, że wyglądał, jakby wyobrażał odległe okolice. Siedząc za stołem, wciąż na niego patrzyłam.

Merilyn weszła przez drzwi do kuchni ze srebrną tacą, na której niosła talerz sałatki z kurczaka, krakersy i bułeczki.

- Co chcesz do picia?

- Napiję się wody - powiedziałam, wskazując na stojący przede mną dzbanek.

Merilyn postawiła talerze na stole i nalała mi szklanek wody. Potem cofnęła się o krok i stanęła w miejscu, jakby czekała, by zobaczyć, czy kurczak będzie mi smakował, czy nie. Zerknęłam na nią i spróbowałam sałatki.

- Pyszna - pochwaliłam.

Merilyn nie odpowiedziała na mój uśmiech. Po prostu odwróciła się i skierowała z powrotem do kuchni.

- Przepraszam - powiedziałam.

Odwróciła się do mnie.

- Słucham?

- Co to za malowidło? - spytałam.

- Powiedziano mi, że to miejsce w Anglii, gdzie mieszkała rodzina Hudsonów. Nie pytaj mnie, jak się nazywa, bo tego nie wiem. Nigdy nie byłam w Anglii - odparła i zanim zdążyłam jej zadać jeszcze jakieś pytanie, zniknęła w drzwiach do kuchni.

Kiedy zjadłam lunch, zaczęłam zwiedzać dom. Salon miał bardzo oficjalny charakter, meble wyglądały, jakby rzadko kiedy z nich korzystano. Wszystkie stoły były tak wypolerowane, że mogłam się w nich przeglądać jak w lustrze. Wszędzie wisały obrazy. Wszystkie zostały namalowane w tym samym stylu i w tym samym okresie, kiedyś dawno, bo farba pociemniała wskutek upływu czasu. Ilekroć słońce skryło się za chmurami, salon pogrążał się w ponurym półmroku. Nie paliła się żadna lampa, a meble były z ciemnego drewna.

Wyposażenie salonu wydało mi się bardzo eleganckie i kompletnie bezosobowe.

W gabinecie znalazłam przedmioty o bardziej osobistym charakterze. Na wielkim dębowym biurku stały fotografie. Na jednej z nich znajdowały się dwie dziewczyny - jedną była moja matka, a drugą najwyraźniej musiała być jej siostra Victoria, choć z trudem dawało się zauważyć między nimi jakieś podobieństwo. Victoria była szatynką, na wszystkich zdjęciach krótko ostrzyżoną. Miała surową twarz, szeroki nos, męskie usta. Wyglądało na to, że jest o dobre cztery cale wyższa od mojej matki. Obie dziewczyny znajdowały się razem na kilku zdjęciach, ale Victoria na wszystkich wyglądała tak samo - była szczupłej, niemal chłopięcej budowy i na jej ustach rzadko gościł choćby cień uśmiechu. Miała głęboko osadzone oczy i stanowczy, zdecydowanie twardszy i poważniejszy niż moja matka wyraz twarzy.

Na wielu zdjęciach pojawiał się również przystojny mężczyzna w starszym wieku. Domyślałam się, że musi to być mój dziadek. Miał niemal kwadratową szczękę i głęboko osadzone oczy pod szerokim czołem. Na niektórych fotografiach prawy kącik jego ust wykrzywiało coś w rodzaju zalotnego, choć zarazem ironicznego uśmiechu. Znalazłam tylko jedno zdjęcie kobiety, która zapewne była moją babcią. Musiało być stare, miała na nim najwyżej dwadzieścia kilka, może trzydzieści lat. Dostrzeżałam w niej wyraźne podobieństwo do mojej matki, choć zdawała się silniejsza; jej oczy miały wyraz takiego skupienia i nieustępliwości, jakby była ze stali. Włosy nosiła ściągnięte w kok, szyję zdobił piękny brylantowy naszyjnik. Wyglądał jak uosobienie elegancji. Ciekawa byłam, co o mnie pomyśli.

Na półkach stały tomy klasyków, wiele z nich w skórzanych oprawach. W kącie stolik, na którym znajdowało się coś, co wyglądało jak model osiedla z domami, trawnikami, a nawet latarniami wzdłuż ulic, maleńkimi samochodzikami i figurkami ludzi na chodnikach. Plansza nosiła inskrypcję HUDSON ACCRES. Każdy dom różnił się od pozostałych.



- Nie dotykaj tego! - dobiegł mnie od drzwi głos Merilyn. - Pani Hudson nie lubi nawet, kiedy ktokolwiek tu wchodzi. Powinnam cię była uprzedzić. Ja sama wchodzę tu tylko, kiedy sprzątam. Poza tym gabinetem możesz sobie chodzić po całym domu.

- Niczego nie dotykałam. Ale co to właściwie jest?

- Wiem tylko tyle, że to projekt, którego realizacja była największym marzeniem pana Hudsona. Lepiej chodźmy stąd - dodała szybko. Biedaczka wyglądała na poważnie wystraszoną, nawet nie próbowała tego ukrywać. - Pani Hudson będzie zła, kiedy się dowie, że cię nie uprzedziłam, żebyś tu nie wchodziła.

- Dobrze - odpowiedziałam i wyszłam za Merilyn z gabinetu. - Od jak dawna pracujesz u pani Hudson? - spytałam, kiedy znalazłyśmy się na korytarzu.

- Od trzech tygodni. Chciałabym utrzymać się w pracy i dlatego staram się nie popełniać błędów i nie pozwolić, żeby ktokolwiek wpakował mnie w kłopoty.

- Przepraszam - odezwałam się, widząc, że jest bardzo przejęta. - Nie chciałam narazić cię na nieprzyjemności.

Merilyn zagryzła wargi.

- Czemu nie wyjdiesz z domu? - spytała. - Na dworze jest bardzo ładnie, a ja nie miałabym z tobą kłopotu.

- Czy pani Hudson w ogóle nie opuszcza swojego pokoju? - spytałam zirytowana jej słowami.

- Prawdopodobnie zejdzie na kolację. Uważała, że do tej pory będziesz umiała znaleźć sobie jakieś zajęcie. - Zabrzmiało to, jakby powtarzała słowa mojej babki.

- Postaram się - odpowiedziałam zniecierpliwiona i wyszłam z domu. Przecież wie, że jestem jej wnuczką, pomyślałam, ale nie chce jej się nawet ze mną przywitać. Przez chwilę stałam na schodach, czując, że babcia zapewne nie przegapi mojej obecności.

Trzask zamykanego bagażnika sprawił, że zwróciłam uwagę na garaż. Popatrzyłam w tamtą stronę i zauważyłam starszego, wysokiego, łysiejącego mężczyznę, wycierającego ręce

w szmatę. Miał na sobie granatową bluzę i granatowe spodnie. Kiedy napotkał moje spojrzenie, uśmiechnął się przyjaźnie.

- Cześć - powitał mnie i złożył szmatę tak starannie, jakby to był elegancki ręcznik.

Zeszłam po schodach i podeszłam do niego. Blask świecącego za nim słońca otaczał głowę mężczyzny świetlistą aureolą. W rzeczywistości to tylko błyszcząca jego łysina. Kiedy znalazłam się bliżej, spostrzegłam, że brak włosów na głowie kompensowały krzaczaste brwi, nastroszone nad ciemnobrazowymi oczami. Miał wąską twarz z podłużnym wgłębieniem pośrodku podbródka i trochę za długi i za wąski nos, ale uśmiechał się ciepło i przyjaźnie. Popatrzył na mnie z rozbawioną miną.

- Cześć - powiedziałam.

- Jesteś naszą nową lokatorką, tak? - spytał głosem, w którym brzmiał tłumiony śmiech.

- Przepraszam, nie rozumiem.

Roześmiał się.

- Pani Hudson mówiła mi, że będzie z nią mieszkać jakaś młoda dama. Jestem Jake Marvin - przedstawił się i wyciągnął do mnie rękę. Kiedy podałam mu dłoń, poczułam się głupio, bo zniknęła w jego wielkiej prawicy i wyglądało to, jakby ścisnął mnie za przegub. - Zajmuję się samochodami i wożę panią Hudson, co zresztą ostatnio nie zdarza się zbyt często. Pochylił się nade mną i zmrużył oko. - To łatwa praca. Prawdę mówiąc, nie pracuję na pełny etat. Jak ci na imię?

- Rain Arnold - powiedziałam. Kiwnął głową, wciąż uśmiechnięty, jakby spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi.

- Widziałaś się z nią już? - spytał, wskazując gestem głowy na dom.

- Nie.

Znów się roześmiał.

- Nie zrobi niczego, dopóki sama nie zechce - wyjaśnił. - Nie miej jej tego za złe. Traktuje Carlton dokładnie tak samo jak wszystkich innych ludzi.

- Sądząc z tego, co mówisz, chyba za nią nie przepadasz.

- Och, nie, przeciwnie. Bardzo ją lubię. To nadzwyczajna

kobieta. Niewiele już takich zostało. Była wyzwolona, zanim jeszcze w ogóle zaczął się ruch wyzwolenia kobiet, tej całej... Jak jej tam...

- Gloria Steinem.

- Coś w tym guście. Rozejrzałaś się po domu?

Kiwnęłam głową.

- Jest taki wielki - powiedziałam.

- To prawda. - Odwrócił się i spojrział na dom. - Kiedyś należał do mego ojca.

- Do twego ojca? Ale...

- Stracił majątek, spekulując akcjami, i wtedy pojawił się pan Hudson i wszystko od niego kupił. To było już dawno temu. No i teraz jestem tu z powrotem.

- Zawsze byłeś szoferem pani Hudson?

- Nie. Przez dwadzieścia dwa lata służyłem w marynarce. Widziałem kawał świata - pochwalił się. - Jakiś czas pracowałem w radiu i w reklamie, potem prowadziłem hotel. Wreszcie zjawiła się pani Hudson i zaproponowała mi, żebym zostałem szoferem. To było po śmierci jej męża. Pani Hudson nienawidziła prowadzenia samochodu, nie mówiąc już o zajmowaniu się nim. Ponieważ nie chciałem pracować na pełny etat, przyjąłem jej propozycję i tak trafiłem z powrotem do domu. Zatoczyłem w życiu koło - zakończył, spoglądając w kierunku jeziora.

Przez chwilę oboje milczeliśmy, potem uśmiechnął się do mnie.

- Spodoba ci się tutaj. To piękna okolica, bardzo romantyczna. Poczekaj, aż zobaczysz słońce zachodzące za te drzewa - wskazał ręką zagajnik - i kaczki wracające na noc nad jezioro. Jesteś z miasta, prawda?

- Tak. Z Waszyngtonu.

Skinął głową.

- W nocy jest tu cudownie cicho i spokojnie. Dobrze wybrałaś - oświadczył i otworzył drzwi samochodu.

Chciałam powiedzieć, że niczego nie wybierałam, że tak naprawdę wybrano za mnie, ale w końcu tego nie powiedziałam.

łam. Wsiadł do rolls-royce'a i wprowadził go do garażu. Potem wyszedł i zasunął żaluzjowe drzwi.

- Mój własny rolls stoi tam - wskazał gestem.

Poszliśmy razem. Za garażem stał zaparkowany stary model forda.

- Nie mieszkasz tutaj?

- Nie. Przyjeżdżam, kiedy mnie wezwie. Mieszkam w Jessup's Gap, maleńkiej miejscinie, dziesięć mil stąd. U pani Brown - poinformowałam, drapiąc się po brodzie. Uśmiechnął się do mnie i wsiadł do forda. Zapalił silnik i uchylił okno. - Powiedziała mi, że będę cię wozili do Szkoły Dogwoodów i z powrotem. Więc będziemy mieć sporo czasu, żeby się bliżej poznać. Chyba że należysz do ludzi, którzy nie są gadatliwi z rana.

- Nie należę. Cieszę się, że będę miała z kim porozmawiać.

- To dobrze. Bo jeśli o mnie chodzi, to gęba mi się nie zamyka. Ani z rana, ani z wieczora. Tak przynajmniej ona mówi - dodał, wskazując gestem dom. Do zobaczenia. - Zaśmiał mi się i odjechał.

Patrzyłam za nim, dopóki ford nie zniknął mi z oczu. Szofer wydał mi się sympatycznym człowiekiem i wreszcie poczułam, że ktoś mnie naprawdę przywitał w nowym domu.

Ze spuszczoną głową poszłam nad jezioro. Miałam wrażenie, że ptaki rozchwierkały się głośniejszym, jakbym budziła ich szczególne zainteresowanie. Daleko na zachodzie zbierały się chmury, ścigając słońce. Nad jezioro nadleciała para kruków, potem zmieniły kierunek i pofrunęły do zagajnika. Powiał wiatr. Czułam, jak włosy tańczą wokół mojej głowy. Powietrze wydawało się czystsze, o wiele świeższe niż w mieście. Zamiast warkotu silników, pisku hamulców i trąbienia słychać było śpiew ptaków. Czułam zapach polnych kwiatów. Zerwałam i rozgryzłam źdźbło trawy.

Jake ma rację, pomyślałam. Krajobraz jest piękny i romantyczny, ale czy to wystarczy, żebym się tu dobrze czuła? Czy mogę być szczęśliwa, będąc tak kompletnie samotna?

Beni natychmiast znienawidziłaby to miejsce, pomyślałam i uśmiechnęłam się do tej myśli. Za daleko miałyby do hip-hopowych klubów, nudziłoby ją spacerowanie i podziwianie natury. Nienawidziłaby ciszy i narzekałaby na brak chłopców.

Natomiast Royowi zapewne by się tu spodobało. Nie cierpiał miasta, a ponieważ i tak był z natury samotnikiem, w przeciwieństwie do Beni nie przejmowałaby się brakiem towarzystwa.

Stałam na pomoście i popatrzyłam na jezioro. Powiew wiatru toczył drobne fale do brzegu. Łódki tłukły burtami o pomost. W jednej łodzi zebrało się trochę wody, ale druga najwyraźniej była szczelna. Nigdzie nie widziałam wiosł. Zastanawiałam się, czy moja babka pozwoli mi kiedykolwiek pływać po stawie. To mogłoby się spodobać Beni, pomyślałam. Royowi spodobałoby się z pewnością.

- Hej!

Odwróciłam głowę i zobaczyłam stojącą na trawniku Merilyn.

- Słucham?

- Telefon do ciebie! - zawołała, przywołując mnie gestem.

- Telefon? - Szybko ruszyłam w stronę rezydencji. Kto mógł do mnie dzwonić? Mama? Roy?

Zaczęłam biec. Merilyn wróciła do domu, ale czekała na mnie w sieni.

- Telefon jest tam - powiedziała, wskazując bawialnię o mniej oficjalnym charakterze od salonu.

Pośpiesznie podeszłam do telefonu i podniosłam do ucha słuchawkę.

- Mama?

- Nie, to tylko ja - odpowiedziała moja matka. - Jak się masz? Czy moja matka zdążyła ci już nagadać coś nieprzyjemnego?

- Nie. Jeszcze się w ogóle nie widziałyśmy. Chyba jest w swoim pokoju.

- No dobrze. Posłuchaj, nie kłóć się z nią. Nie odpowiadaj niegrzecznie, nawet jeśli cię zirytuje. Rób wszystko, co ci powie. Nie musisz jej kochać. Po prostu mieszkaj z nią, przestrzegaj obowiązujących w jej domu zasad i wszystko będzie dobrze.

- Kiedy cię zobaczę? - spytałam.  
- Przez kilka najbliższych dni nie będę mogła przyjechać. Postaraj się wypaść jak najlepiej, dobrze? Muszę już kończyć. Chciałam się upewnić, że dojechałaś bez problemów.

- Tak, dojechałam bez problemów - odpowiedziałam oschle.

- Najważniejszy jest dobry początek - pocieszyła mnie matka. - Niedługo do ciebie zadzwonię.

Odłożyła słuchawkę, nie żegnając się ze mną. Opadłam na fotel stojący obok stolika z telefonem. Siedziałam, wpatrując się w orła z brązu. Miałam wrażenie, że przygląda mi się nieżyczliwie.

- O nic mnie nie pytaj - mruknęłam. - Ja także nie wiem, dlaczego tu jestem.

- Doprawdy? - spytał ktoś głośno cierpkim tonem.

Odwróciłam głowę i zobaczyłam stojącą w drzwiach bawialni starszą kobietę. Natychmiast zerwałam się na równe nogi. Staliśmy naprzeciw siebie.

Była wyższa, niż się spodziewałam. Wciąż miała znakomitą sylwetkę. Najbardziej wyrazistym rysem ujętej w ramy siwych włosów twarzy była wydatna szczęka. Miała takie same oczy i nos jak moja matka, ale pełniejsze usta.

W kącikach oczu czaiły się głębokie zmarszczki, może dlatego, że mrużyła oczy, patrząc na mnie surowo, ale poza tym jej twarz była niemal zupełnie gładka. Nie wyglądało przy tym na to, żeby maskowała cokolwiek kosmetykami.

Ubrana była w sięgający do kostek szlafrok z turkusowego aksamitu ze złotymi frędzlami wokół kołnierza i rękawów. Spod szlafroka wyłaniały się aksamitne domowe pantofle od kompletu.

- Jestem absolutnie pewna, że wiesz, dlaczego tu jesteś - podjęła. - Siadaj - poleciła, wskazując fotel, z którego się przed chwilą zerwałam.

Pośpiesznie opadłam nań z powrotem.

Moja babka podeszła do obitej skórą kanapy i zajęła miejsce naprzeciwko mnie, otulając się szczelnie szlafrokiem.

Rozsiadła się, kładąc rękę na oparciu kanapy, i utkwiała we mnie surowe spojrzenie. W pewnej chwili jej oczy złagodniały, ale trwało to zaledwie moment.

- Megan powiada, że dobrze się uczysz. Mam nadzieję, że tym razem nie przesadza... jak to ma w zwyczaju. Nieznośna jest z tą swoją przesadą. W ogóle nie można jej ufać. No więc?

- Co więc?

- Dobrze się uczysz?

- Tak. Począwszy od siódmej klasy, zawsze otrzymywałam świadectwa z wyróżnieniem.

- A wcześniej?

- Wcześniej nie było wyróżnień - powiedziałam chłodno.

Przez krótką chwilę na wargach mojej babki igrał leciutki uśmiezek, ale natychmiast przywołała się do porządku.

- Sama rozumiesz, że wcale się nie cieszę z twojego przybycia. Nigdy nie rozpieszczałam Megan ani nie usprawiedliwiałam jej wybryków. Kiedy zaszła w ciążę, wysłałam ją daleko od domu, żeby nie narobiła nam wstydu. Nikt z rodziny nie był obecny przy porodzie. Potem już wszystkim zajął się mój mąż - rzekła sucho.

- Czy mam się stąd wynieść?

- Nie bądź głupia - zirytowała się. - Powiedziałam, że nie cieszę się z twojego przybycia, ale nie powiedziałam, że nie możesz tu mieszkać. Oczywiście, jeśli będziesz przestrzegać obowiązujących zasad - dodała szybko.

- To znaczy?

- Po pierwsze, nikt nie może wiedzieć, kim naprawdę jesteś. Na tym etapie twojego życia byłoby to dla wszystkich ogromnie kłopotliwe. Jestem znana z filantropii. Zasiadam w radach różnych instytucji dobroczynnych. Nikt nie będzie się dziwił, że zaopiekowałam się zaniedbanym dzieckiem ze slumsów - oświadczyła. Głos miała niższy i głębszy od mojej matki. Przemawiała wyraźnie i dobitnie, jakby to była lekcja dykcji.

- Zawsze masz mnie nazywać panią Hudson, a jeśli zjawi się tu Megan, co, mam nadzieję, nie będzie się zdarzało często, masz ją nazywać panią Randolph. Zrozumiano?

- Tak. - Pod powiekami zapiekły mnie łzy. Jak czułabyś się na moim miejscu, ty stara wiedźmo? - pomyślałam.

- To dobrze.

- Powiedziała pani po pierwsze, więc musi być i po drugie - odezwałam się, kiedy już przełknęłam ból i upokorzenie. Nie ukrywałam, że jestem wściekła, lecz moja babka wydawała się tym raczej rozbawiona niż urażona.

- Och, oczywiście, jest po drugie i po trzecie. Po drugie... wiem, skąd pochodzisz i jakie prowadziłaś dotąd życie. Wszystkie nawyki musisz zostawić za drzwiami tego domu. Nie ma mowy o paleniu, bałaganieniu, rozrzucaniu ubrań po całym pokoju, jak to mają dziś w zwyczaju rozwydrzone nastolatki. Nie życzę sobie wiszenia godzinami na telefonie. Bez mojego pozwolenia nie wolno ci tu nikogo zapraszać. I przede wszystkim nie ma mowy o słuchaniu głośnej muzyki! - Urwała na chwilę, jakby próbowała sobie przypomnieć dalszy ciąg przemowy, którą sobie zawczasu ułożyła. - Masz zawsze wyglądać czysto i schludnie. Często miewam tu ważnych gości, a skoro u mnie mieszkasz, będziesz stanowić wizytówkę mojego domu. Spodziewam się, że potrafisz się odpowiednio wyrażać. W chwili, w której dowiem się o jakichkolwiek narkotykach lub alkoholu, będziesz musiała nieodwołalnie opuścić ten dom. Czy mówię dość jasno?

- Moja rodzina jest biedna i wyrosłam w getcie, ale wiem, czym jest dobro i zło - odpowiedziałam podniesionym głosem. - Moja mama nie tolerowała wulgarnego języka. Nie mieliśmy wiele, ale zawsze byliśmy czysti i nigdy nawet nie tknęłam narkotyków.

- To dobrze - odpowiedziała. - Miejmy nadzieję, że to wszystko prawda.

- Owszem, to prawda - rzuciłam twardo. - W przeciwieństwie do wielu ludzi nie mam zwyczaju kłamać.

Na krótką chwilę jej usta przestały tworzyć wąską linię, a w oczach pojawił się błysk rozbawienia. Ale, podobnie jak poprzednio, trwało to tylko przez ułamek sekundy. Znow zaciśnęła usta i wyprostowała się, sztywna jak kij.



- Poczyniałam niezbędne przygotowania, żebyś mogła uczęszczać do Szkoły Dogwoodów. Będzie cię tam woził mój sofer. Mam nadzieję, że nie będę się za ciebie musiała wstydić. Tak się składa, że jest to jedna z najbardziej renomowanych szkół na Południowym Wschodzie. Jej dyrektorką jest Elizabeth Whitney, córka Eliego Whitneya, wynalazcy odziarniarki bawełny, i moja bliska przyjaciółka.

Nachyliła się do mnie, patrząc surowo.

- Wiele czasu minęło, odkąd mieszkała pod tym dachem osoba w twoim wieku. Moje wnuki, dzieci Megan, nieczęsto tutaj bywają.

Chciałam zauważyć, że być może nie czują się mile widziane, ale zacisnęłam zęby i nie powiedziałam ani słowa.

- Nastolatki to dziś zupełnie inny gatunek stworzeń niż za czasów mojej młodości - rzuciła babka po dłuższej chwili milczenia, po czym wstała. - Przebieramy się tu do kolacji. Spodziewam się, że matka zaopatrzyła cię w jakieś przyzwoite ubrania?

- Zapewne tak - odpowiedziałam - ale nie jestem tego pewna, bo nie wydaję pieniędzy, których nie mam, na żurnale.

Moja babka uśmiechnęła się krzywo.

- Za to ja znam Megan i jestem pewna, że wydała mnóstwo pieniędzy, żeby cię ubrać w najmodniejsze fatałaszkę. Zawsze szastała pieniędzmi. Sama była rozpieszczonym, zepsutym dzieckiem i teraz rozpieszcza i psuje własne dzieci.

- To dlaczego ją pani psuła, jeśli to takie złe?

- Nie psułam jej. To ojciec ją rozpieszczał. Poza tym już za późno, żeby cokolwiek zmienić. Nie zwykłam płakać nad rozlany mlek. To dobre dla mazgajów.

Tak, pomyślałam, jeśli ma się pieniądze, i to duże, łatwo się nie rozczulać nad życiem.

- Spodziewam się, że wykażesz podobną postawę. Kolacja będzie o wpół do siódmej - dodała i ruszyła do drzwi. Zanim wyszła, zatrzymała się i spojrzała na mnie. - Ach, te dzieci, ileż człowiek się przez nie wycierpi - mruknęła, kręcąc z ubolewaniem głową.

Cudownie, pomyślałam. Po prostu uwielbiam czuć się brzemieniem na czyichś barkach. Kusiło mnie, żeby wybiec z domu i zostawić wszystko za sobą. Może na to właśnie liczyła. Wtedy miałyby prawdziwe powody do zadowolenia. Mogłaby powiedzieć, że zachowałam się dokładnie tak, jak się tego po mnie spodziewała.

Była moją babką, kobietą twardą jak stal, ale ja byłam jej wnuczką i w moich żyłach płynęła ta sama krew, czy jej się to podobało, czy nie.

Nie ucieknę.

Jestem tu, babciu. Nie nazwę cię babcią, ale niedługo, tak, już niedługo, przekonasz się, że jestem twoją wnuczką. I wszystkie kłamstwa i fałszywe uśmiechy nie zmienią tego ani na jotę.

Odwróciłam głowę i spojrzałam na orła.

- Myliłam się - przyznałam. - Wiem, dlaczego tu jestem. Po to, żeby nauczyć tę bogatą, dumną kobietę, co znaczy rodzina.

Wydawało mi się, że moje słowa zaimponowały orłowi.

## KREPUJĄCE WIĘZI

Przeglądając swoją nieliczną, choć luksusową garderobę, czułam się jak ćma krążąca gorączkowo wokół płomienia świecy. Co właściwie miałam włożyć? Co miała na myśli moja babka, mówiąc: „Przebieramy się tu do kolacji”? Chciałam dobrze wybrać, by udowodnić jej, że moje wychowanie i środowisko, w jakim wyrosłam, nie pozbawiły mnie smaku i wycucia stylu. Jak ćma rzucałam się ku temu, co mnie najsilniej pociągało, po czym cofałam się, jakbym się bała, że poparzę sobie palce, przerzucałam stroje i wybierałam coś nowego tylko po to, by zaraz znów zacząć się wahać. Czy babka nie wydrwi mnie, jeśli będę ubrana zanadto oficjalnie? A jeżeli wybiorę tę piękną bluzkę i spódnicę, czy nie powie: „Nie mówiłam ci, że przebieramy się do kolacji”?

Dałam spokój ubraniom i zaczęłam się zastanawiać, dlaczego właściwie tak bardzo mi zależy na tym, żeby sprawić przyjemność babce. Ona nawet nie zeszła, żeby się ze mną przywitać, a kiedy już to wreszcie zrobiła, nie uczyniła nic, żebym poczuła się w jej domu mile widzianym gościem. Ludzie odnoszący się do innych z taką wyniosłością i pogardą jak ona zwykle budzili we mnie wyłącznie niechęć. Co chciałam osiągnąć, sprawiając przyjemność babce czy też zyskując jej uznanie? Czy zresztą mogłam liczyć na to, że kiedykolwiek zdołam naprawdę coś takiego osiągnąć? Byłam konsekwencją błędu popełnionego przez jej córkę, żywym przykładem na to, że dzieci mogą być dla swoich rodziców wyłącznie niepożą-

danym brzemieniem. Moja babka powiedziała mi to przecież prosto w oczy.

Przez chwilę stałam ze złożonymi na piersi rękami, przypatrując się swojej garderobie, a potem, usiłując nic sobie nie robić z myśli, jak przyjmie to moja babka, sięgnęłam po skórzaną spódnicę i dopasowaną skórzaną kamizelkę. Wybrałam je dlatego, że mi się podobały; nie po to, by sprawić przyjemność mojej babce. Przypomniało mi się coś, co w pewnej chwili, podczas prowadzonych przez nas w domu towarowym poszukiwań i przetrząsania półek, mruknęła pod nosem moja matka: „Jeśli sprawisz sobie przyjemność, będziesz szczęśliwa i dzięki temu również inni będą się przy tobie lepiej czuć”.

W pierwszej chwili ten punkt widzenia wydał mi się bardzo egoistyczny, ale kiedy o tym trochę pomyślałam, uświadomiłam sobie, że to wcale nie jest głupie. Kiedy człowiek sam nie czuje się dobrze, stanowi marne towarzystwo dla innych. Doskonałym potwierdzeniem tej opinii była Merilyn, która miała nieustannie tak kwaśną minę, że wszyscy wokół musieli się przy niej czuć fatalnie.

Włożyłam kremową bluzkę, którą moja matka wybrała do skózanego kompletu, dobrałam odpowiednie pantofle i starannie się uczesałam. Kiedy przed wyjściem z pokoju przejrzałam się w lustrze, moje serce biło mocno równym rytmem. Powiedziałam sobie, że wyglądam dobrze, lepiej niż kiedykolwiek w życiu. Muszę zrobić na mojej babce wrażenie.

Merilyn ustawiła na śnieżnobiałym obrusie zastawę z najdroższej chyba porcelany na świecie. Bałam się dotknąć cienkiego jak skorupka jajka kieliszka, bo miałam wrażenie, że gdy zacisnę wokół niego palce, to go po prostu zgniotę. Talerze miały pozłacane krawędzie i różowe różyczki pośrodku. Srebrne sztucce były tak ciężkie, że obawiałam się, iż jeśli widelec wypadnie mi z drżących palców, to stłucze porcelanę. Na dodatek sztucców ułożono całe mnóstwo, jeden widelczyk leżał nawet nad talerzem, obok łyżeczki. Nie miałam pojęcia, co z tym wszystkim robić.

Moje nakrycie znajdowało się tam, gdzie podczas lunchu, nakrycie babki na drugim końcu stołu. Kiedy przyszedłam, jeszcze jej nie było, mimo że nie zjawiłam się za wcześnie.

- Co będzie na kolację, Merilyn? - spytałam, kiedy z kuchni wyłoniła się służąca z dzbankiem wody, w której pływały kostki lodu. Byłam tak zdenerwowana, że nie mogłam spokojnie usiedzieć.

- Dziś jest wtorek. We wtorki pani Hudson jada ryby. Pstrąg z wody - odpowiedziała takim tonem, jakby chciała dodać: „Czy ci się to podoba, czy nie”.

Im dłużej siedziałam sama w pustej jadalni, tym głośniejsze wydawało mi się tykanie stojącego w kącie starego zegara z drzewa hikorowego. Patrzyłam na fresk, żałując, że nie mogę się na nim znaleźć. Malowany krajobraz tchnął spokojem i pogodą, których tak bardzo mi brakowało w obecnej sytuacji. W końcu usłyszałam kroki w holu i do jadalni weszła moja babka.

Kiedyś, bardzo dawno temu, widzieliśmy z Royem przed jedną z lepszych restauracji w Waszyngtonie całą gromadę zamożnych i elegancko ubranych osób, które zostały zaproszone na przyjęcie. Z zajeżdżających przed wejście lśniących limuzyn wysiadały wystrojone kobiety z wymuskаныmi fryzurami. Na szyjach miały brylantowe kolie, na ramionach futurzane pelerynki lub lamowane futrem płaszcze z czarnej kaszmirowej wełny. Panowie byli w smokingach. Wszystko zdawało się tak olśniewająco eleganckie i wspaniałe, że aż przystanąłam, by nasycić oczy blaskiem bogactwa. Miałam wrażenie, że patrzę na koronowane głowy, przybywające z jakiegoś zaczarowanego królestwa, w którym wszyscy są wysocy i piękni, nikt nie ma pryszczki ani zmarszczek, gdzie śmiech brzmi jak muzyka i zawsze panuje słoneczne pogoda.

- Kim są ci ludzie, Roy? - spytałam brata głośnym szeptem.

- To oni - odpowiedział głosem, w którym nie sposób było nie wyczuć goryczy.

- Jacy oni?

- Oni to oni - rzekł Roy, oglądając się za siebie. - Na świecie jesteśmy my i są oni. To oni.

Oczywiście wtedy nie miało to dla mnie żadnego sensu. W wieku dziewięciu lat nie miałam pojęcia o zróżnicowaniu klasowym, nigdy zresztą nie odczuwałam go równie silnie jak Ken, Beni i Roy. Mama zapewne zdawała sobie z niego sprawę, ale przyjmowała je z rezygnacją, jako część porządku świata. Starłam się podchodzić do problemu biedy i bogactwa tak jak ona. W końcu co za pożytek ma człowiek z tego, że patrząc na innych, skręca się z zazdrości i zadręczą myślami o własnym niedostatku?

Gdy jednak do jadalni weszła moja babka w eleganckiej sukni z czarnego aksamitu oraz w brylantowej kolii i kolczykach lśniących i skrzących się w blasku świec, mimo woli wstrzymałam oddech. Nie miałam żadnych wątpliwości co do tego, że jest jedną z nich, co tym bardziej podkreślało fakt, iż ja do nich nie należę.

Moja babka wyglądała jak królowa. Kroczyła powoli z dumnie uniesioną głową; zanim przeszła połowę drogi do krzesła, przystanąła na chwilę:

- Jest przyjęte, że kiedy starsi wchodzi do pokoju, młodzież wstaje z miejsc - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Zwłaszcza w jadalni.

Szybko się podniosłam. Babka zmierzyła wzrokiem mój strój i fryzurę. W pewnej chwili jej oczy znów przybrały na moment cieplejszy wyraz, lecz i tym razem trwało to tylko przez moment.

- Kto wybrał twój strój? - spytała surowo. - Twoja matka czy ty sama?

- Myślę, że obie - odpowiedziałam.

Moja babka pokręciła głową i ruszyła w dalszą drogę, podchodząc do swego krzesła.

- Megan z wielkim trudem przychodzi zachowywać się i ubierać, jak wypada żonie konserwatywnego polityka. Siedzący w niej zbuntowany uczeń nie chce się uspokoić. Czy młodzież znów nosi takie krótkie spódniczki?

- Takie sprzedawali w sklepie.

Moja babka zajęła miejsce i skinęła mi głową. Usiadłam.

- Wygląda na to, że potrafisz się ubrać i zadbać o swoją fryzurę - przyznała, nie mogąc ukryć do końca swojego zaskoczenia tym faktem.

Merilyn pośpiesznie napełniła wodą kielich babki, potem mój. Gdy tylko odstawiła dzbanek, natychmiast z wyrazem przerażenia na twarzy popędziła z powrotem do kuchni. Choć była antypatyczna, nie mogłam jej nie współczuć. Najchętniej poszłabym za nią i pomogła dziewczynie podać obiad. Zamiast tak siedzieć i czekać, wolałabym przygotować sos do sałaty czy zrobić cokolwiek innego, z czego byłby jakiś pożytek.

- Czemu miałabym tego nie potrafić? - spytałam takim tonem, jakby ożyły we mnie stare urazy mojej siostry. Nic na to nie mogę poradzić, że pewni ludzie, zwłaszcza tacy jak moja bogata i wyniosła babka, wprost prowokują mnie do tego typu wystąpień.

Babka Hudson nie odpowiedziała. Bez słowa rozłożyła serwetę i umieściła ją na kolanach, potem spojrzała na mnie. Czym prędzej zrobiłam to samo.

- Czasami znajdziesz się przy stole, kiedy będę przyjmowała ważnych gości. Oczywiście wszyscy zostaną poinformowani, że wychowałam się w trudnych warunkach, niemniej będą oczekiwać po tobie właściwego zachowania, chociażby z tego prostego powodu, że mieszkasz pod moim dachem. Ja również oczekuję tego po tobie. Spodziewam się, że będziesz wyglądała przyzwoicie, nawet podczas śniadania.

- Zawsze będę wyglądała przyzwoicie, ale nie zamierzam niczego udawać - odpowiedziałam chłodno.

Moja babka zaśmiała się zimno, kręcąc głową. Potem westchnęła, unosząc i opuszczając ramiona, jakby stanowiły niezmierny ciężar.

- Jak to się mówi? Im więcej się wszystko zmienia, tym bardziej pozostaje takie samo, jak było? Megan mawiała podobnie. - Uśmiech zniknął z twarzy mojej babki. - Dobrze

manieri nie mają nic wspólnego z udawaniem - powiedziała, nachylając się do mnie. - Dzięki dobrym manierom spotkania towarzyskie sprawiają uczestniczącym w nich ludziom przyjemność. Niedbała postawa, sterczące łokcie czy odzywianie się z pełnymi ustami są absolutnie niedopuszczalne. To po prostu kwestia uprzejmości w stosunku do ludzi, którzy siedzą z tobą przy stole.

Poza tym - podjęła po krótkiej przerwie - jutro zostaniesz zapisana do prestiżowej szkoły. Będziesz jadła posiłki w szkolnej stołówce w towarzystwie doskonale wychowanych młodych ludzi z najlepszych rodzin. Przecież nie chciałybyś głupio wyglądać, prawda? Chyba że... - dodała, patrząc na mnie z drwiącym uśmieszkiem... - istotnie jesteś głupia.

- Nie jestem głupia - zaprotestowałam stanowczo.

- To dobrze. Muszę przyznać, że masz właściwą postawę. To dobry początek. Megan do dziś się garbi. Czasem wydaje mi się, że robi to specjalnie, tylko po to, żeby mi dokuczyć.

Nie przypominałam sobie, żeby moja matka garbiła się podczas obiadu we francuskiej restauracji w Georgetown czy nazajutrz, gdy robiłyśmy zakupy, ale może byłam zbyt przejęta spotkaniem z nią, żeby zwracać uwagę na takie rzeczy.

- Wiem coś niecoś o dobrych manierach - oświadczyłam. - Jestem świadoma, że nie należy trzymać łokci na stole.

- Nie zawsze - odparła moja babka, urywając na widok wchodzącej do jadalni z sałatą Merilyn.

Babka siedziała i spoglądała na mnie. Czekałam, chcąc się przekonać, co ona sama robi, po który widelec sięgnie. Na jej ustach znów pojawił się uśmieszek.

- Widelczyk i łyżka nad twoim talerzem służą do deserów. Czasem jadam angielskie kruche ciasto z kremem waniliowym, bitą śmietaną i owocami. Oczywiście Merilyn nie ma pojęcia, jak zrobić ten deser, ale zamówiłam go u cukiernika, żebyś miała okazję nauczyć się, do czego służy widelczyk i łyżka.

- W jakich okolicznościach wypada trzymać łokcie na stole? - spytałam. - Zawsze wydawało mi się, że to niegrzeczne. Tak mówiła moja mama.



Moja babka spokojnie przeżuła kęs, który miała w ustach, otarła wargi serwetką, po czym nachyliła się do mnie, opierając łokcie na stole.

- Kobieta zdecydowanie lepiej wygląda, siedząc w taki sposób, niż wówczas, gdy siedzi tak - wyjaśniła, zabierając łokcie ze stołu. - Kiedy trzymam ręce na kolanach, wisząc nad stołem, wyglądam, jakby bolał mnie brzuch, prawda?

Pierwszy raz uśmiechnęłam się, słysząc słowa mojej babki, ale ona wcale nie była w nastroju do żartów.

- Tak czy nie?

- Chyba tak.

- Zapamiętaj sobie po prostu tyle, że nie opiera się łokci na stole podczas jedzenia, lecz wyłącznie wtedy, gdy musisz odezwać się do kogoś, kto siedzi naprzeciwko ciebie, rozumiesz?

Podczas posiłku tłumaczyła mi, jak należy trzymać sztućce, jak prosić o różne rzeczy, jak właściwie jeść rozmaite potrawy. Nigdy wcześniej nie sądziłam, że jedzenie może być takie skomplikowane. Po obiedzie, kiedy Merilyn podała kruche ciasto z bitą śmietaną i owocami, babka pokazała mi, jak należy używać widelczyka i łyżeczki.

- Czy tego wszystkiego nauczyła panią pani matka? - spytałam.

- Moja matka? - odpowiedziała pytaniem, a w jej głosie wyczułam gorycz. - Nie. Rodzice niewiele mnie nauczyli. Od najwcześniejszych lat chodziłam do prywatnego przedszkola, potem do prywatnej szkoły. Więcej czasu spędzałam poza domem niż w domu, ale kiedy zachowywałam się przy stole niewłaściwie, szłam spać bez kolacji.

- Miała pani rodzeństwo?

- Mam młodszą siostrę Leonorę, która mieszka w Londynie. Nie mam braci - dodała po krótkiej przerwie. - Siostra wyszła za mąż za barristera. Wiesz, kto to taki?

- Tak - odpowiedziałam. - To prawnik o szczególnych pełnomocnictwach, ale nie umiem powiedzieć dokładnie jakich. Wiem tyle, że barrister staje przed sądem, by bronić klienta.

- Bardzo dobrze - pochwaliła, unosząc brwi. - Widzę, że rzeczywiście przykładasz się do nauki. Jak dawałaś sobie radę z nauką, żyjąc w warunkach, jakie przedstawiła mi Megan?

- Nie wiem, co powiedziała moja matka, ale mama zawsze chciała, żebyśmy nauczyły się czegoś w szkole. Mimo że wiecznie brakowało nam pieniędzy, nigdy nie zgodziła się, żebyśmy pracowały z Beni po lekcjach, bo uważała, że nie będziemy w stanie pogodzić pracy z nauką.

- Rozumiem. Z tego, co mówisz, wynika, że twoja mama jest mądrą osobą.

- Mama jest mądra i naprawdę nas kocha. To, co nam się przydarzyło, jest niesprawiedliwe.

Oczy mej babki zwięziły się i zrobiły się zimne jak lód.

- Dlaczego twojej mamie tak zależało na tym, żeby się ciebie pozbyć?

- Wcale jej na tym nie zależało - zaprotestowałam. - Odkąd Beni zamordowano, mama po prostu bała się o mnie.

- Opowiedz mi o tym - zażądała moja babka.

Zrelacjonowałam jej pokrótce wszystko. Słuchała mnie uważnie, popijając kawę.

- Próbowaly cię podpalić? - Pokręciła głową. - Z tego, co mówiła Megan, zrozumiałam, że twoja mama, jak ją nazywasz, próbuje nas szantażować. Teraz, kiedy poznałam więcej szczegółów, zaczynam doceniać jej poświęcenie. Zrobię, co będę mogła, żeby pomóc ci wydobyć się z tej sytuacji.

Uśmiechnęłam się, trochę uspokojona. Być może mimo wszystko uda mi się nawiązać dobre stosunki z babką?

- Niemniej - podjęła - przedstawię wszystkim nasz... układ jako akt filantropii z mojej strony i chcę, żebyś respektowała moje życzenia i wymagania w stosunku do ciebie. Jeśli kiedykolwiek sprawisz mi zawód, rozstaniemy się szybciej, niż możesz przypuszczać. Zrozumiano?

- Tak - odpowiedziałam. Serce znów zaczęło mi walić jak szalone. Moja babka była niczym instalacja hydrauliczna w naszym mieszkaniu w Projektach. Przez jakiś czas z kranu leciała ciepła woda, w potem nagle robiła się lodowato zimna.

- Wyrażasz się przyzwoicie - przyznała babka. - Podoba mi się to. Nie cierpię tego prymitywnego i wulgarnego słownictwa, jakiego używa dziś większość dzieci. Moje wnuki nieustannie posługują się takim zaśmieconym językiem. Chcą się popisać czy może uważają, że właśnie dzięki temu są... jak to się mówi... w porządku? Jak byś powiedziała?

- Nie wiem, co bym powiedziała. Nigdy nie widziałam pani wnuków.

- Jeszcze je spotkasz, choć, jak zaznaczyłam, nieczęsto będziecie się widywać - oznajmiła, co podsyciło moją ciekawość. - Nie przepadają za mną.

- Dlaczego? - Może spytałam zbyt szybko, zanadto spontanicznie, ale nie umiałam zapanować nad ciekawością.

Moja babka patrzyła na mnie przez chwilę, a potem odstawiła kawę.

- Zawsze mnie zadziwia u dzisiejszej młodzieży brak wyczucia tego, co stosowne, a co nie. Kiedy byłam w twoim wieku, do głowy mi nie przyszło, żeby tak bezceremonialnie wypytywać o cokolwiek starszych, ale dziś wszyscy są wręcz dumni, mogąc roztrząsać publicznie swoje najbardziej prywatne sprawy. Wystarczy włączyć telewizor i już masz ludzi, którzy wywlekają przed audytorium najintymniejsze sekrety. Obrzydliwe. Ludzie kompletnie stracili szacunek dla samych siebie.

- Wyobrażam sobie - podjęła po chwili - że gdyby na moim miejscu znalazła się jakaś inna babka, wywlekłaby cię przed ludzi, może nawet wystąpiłaby z tobą w jakimś telewizyjnym talk-show. Jeśli czegokolwiek się u mnie nauczysz, mam nadzieję, że będzie to poczucie taktu - zakończyła.

W jadalni zapadło milczenie. Moja babka dokończyła kawę, nie odzywając się do mnie ani słowem. Kilka minut później rozległo się pukanie do drzwi. Z kuchni natychmiast wyłoniła się Merilyn.

- Czy spodziewa się pani kogoś, pani Hudson?

- To może być Victoria - odpowiedziała moja babka. - To bardzo do niej podobne, przyjechać akurat po kolacji - mruknęła.

Merilyn poszła otworzyć drzwi.

- Wiesz już, kim jest Victoria, prawda?

- Młodszą siostrą mojej matki, tak?

Moja babka nic na to nie odrzekła. Siedziała wyprostowana, wpatrując się w drzwi. Wkrótce do jadalni weszła Merilyn, a za nią Victoria.

- Dobry wieczór, mamo. - Victoria przywitała się z matką, a potem popatrzyła na mnie badawczo. - To ta dziewczyna, którą zaopiekowała się Megan?

W rzeczywistości ciotka Victoria wyglądała tak samo jak na zdjęciu stojącym w gabinecie. Miała krótko przycięte włosy i była chuda, wręcz koścista, trochę wyższa, niż się spodziewałam, sądząc z fotografii, miała też ciemniejsze oczy i może nie aż tak bardzo zimne, jak mi się wydawało. Była w tweedowej garsonce i bluzce z koronkowym kołnierzem. Buty na grubej podeszwie dodawały jej ze dwa lub trzy cale wzrostu. Podobnie jak na zdjęciach, miała ostrzejsze rysy i była bledsza od mojej matki. Nosiła dość duży, jakby męski zegarek i szeroką obrączkę.

- Jeśli chodzi ci o tę młodą damę, która siedzi ze mną przy stole, to nazywa się ona Rain Arnold - oznajmiła moja babka, wznosząc oczy do sufitu.

Zrozumiałam, że powinnam wstać, więc wstałam.

- Jak się pani ma? Miło mi panią poznać - powiedziałam, wyciągając rękę.

Victoria popatrzyła na mnie i wybuchnęła śmiechem.

- Już zaczęłaś uczyć Rain dobrych manier, mamo? Spodziewałabym się, że dasz jej dzień czy dwa, żeby trochę ochłoneła po zmianach, jakie zaszły w jej życiu.

Moja babka zeszywniała, a w jej oczach pojawił się wyraz oburzenia.

- Muszę przyznać, że niestety, nie udało mi się nauczyć ich ciebie, jeśli już o to chodzi, Victorio. Dziewczyna przywitała cię, jak należy.

- Ależ tak, oczywiście. - Victoria wyciągnęła do mnie rękę, mruknęła słowa powitania, a potem ruszyła wokół stołu.

- Chcesz zjeść z nami kolację? Podczas wczorajszej rozmowy powiedziałaś, że nie zdążysz przyjechać na czas, więc...

- Nie, przekąsiłam coś w pracy. - Victoria spojrzała na Merilyn. - Ale chętnie napiję się kawy. Zrób mi kawę, Merilyn, proszę.

Victoria usiadła za stołem naprzeciwko mnie.

- Tak, panno Victorio - powiedziała Merilyn i poszła do kuchni. Po drodze stanęła w drzwiach. - Czy zje pani do kawy kawałek kruchego ciasta z bitą śmietaną i owocami?

- Kruche ciasto? Widzę, że staramy się wywrzeć wrażenie na naszym gościu. Nie, dziękuję, Merilyn. Bitą śmietaną zawsze była dla mnie za ciężka. A więc... - ciągnęła Victoria, patrząc na mnie wymownie. Usiadłam. - Czy zdajesz już sobie sprawę, jakie szczęście cię spotkało?

Zerknęłam na moją babkę. Coś w jej oczach powiedziało mi, że Victoria nie ma pojęcia o tym, jaka jest prawda.

- Tak - odpowiedziałam. - Ponieważ wychowałam się w zupełnie innych warunkach, trudno mi się do tego wszystkiego przyzwyczaić.

Moja babka roześmiała się głośno. Po raz pierwszy odkąd ją poznałam, usłyszałam, jak śmieje się szczerze, pełną piersią.

- I co ty na to? Tak się składa, że to bardzo inteligentna i bystra młoda dama.

- Doprawdy? - spytała chłodno Victoria. - Jak Megan w ogóle poznała kogoś takiego?

- Megan także robi czasem coś dobrego dla innych. Powinnaś to sobie wziąć do serca, Victorio. Praca na Wall Street to jeszcze nie wszystko, co zdarza się człowiekowi w życiu. Jej nadmiar sprawia, że brak ci czasu na kontakty z ludźmi, czy to w celach dobroczynnych, czy jakichkolwiek innych.

- Roztrząsamy ten temat, odkąd pamiętam, mamo. Czy musimy dyskutować o tym po raz tysięczny, i to przy obcych? - spytała Victoria znużonym głosem.

Merilyn przyniosła filiżankę i spodeczek i nalała Victorii kawy.

- Czy życzy pani sobie czegoś jeszcze, pani Hudson?

- Nie - odpowiedziała zdecydowanie babka, przyglądając się spod oka mojej ciotce, która popijała kawę i zerkała na mnie ciekawie.

A może jednak wiedziała? Wyglądała na osobę dość inteligentną, żeby się wszystkiego domyślić. Nagle okropnie się zdenerwowałam.

- Victoria - oznajmiła babka - przejęła po śmierci mojego męża Everetta interesy rodzinne. Zwykle odwiedza mnie tylko po to, żeby podsunąć mi do podpisania jakiś dokument albo żeby czynić mi wyrzuty z powodu wysokich kosztów różnych rzeczy, na przykład utrzymania tego domu.

- Nie rozumiem, dlaczego się upierasz, żeby tutaj mieszkać, mammo. - Victoria wykonała szeroki gest ręką. - Mieszkasz tu sama. Nie ma sensu ogrzewać i sprzątać tak wielkiego domu, nie wspominając już o terenach wokół...

- Myślę, że do mnie należy decyzja, co będę ogrzewać, a czego nie - odparowała ostro moja babka. - A poza tym po co miałabym oszczędzać i w nieskończoność ciuć wszystkie te odsetki i dywidendy? Mam je zostawić tobie, twojej siostrze i jej dzieciom, żebyście mogli być jeszcze bardziej rozrzutni?

- Nie jestem rozrzutna, mammo. Staralam się tylko udzielić ci dobrej rady. Nie zależy mi na twoich pieniądzach. Spadek, dobre sobie... - parsknęła.

Babka spojrzała na mnie. W jej oczach malował się sceptycyzm.

Nie potrafiłam się oprzeć fascynacji. Więc tak wyglądają rozmowy bogaczy, pomyślałam. Choć mają mnóstwo pieniędzy, nie rozmawiają o niczym innym, tylko właśnie o nich. Próbowałam sobie wyobrazić podobną dyskusję na temat spadku, jaka mogłaby się toczyć między mamą, mną, Royem i Beni. Omal nie wybuchnęłam głośnym śmiechem.

- No dobrze - Victoria odstawiła filiżankę. - Co spodziewacie się osiągnąć, ty i Megan, zajmując się tą bystrą ubogą dziewczyną? Czy moja siostra nagle przypomniała sobie młode

lata, kiedy to tak namiętnie protestowała przeciw pieniądзом i walczyła o poprawę losu ubogich?

- Czemu nie zadzwonisz do niej i nie poprosisz, żeby wyjaśniła ci to osobiście?

- Ona nigdy do mnie nie telefonuje - odparła Victoria i roześmiała się, co nieoczekiwanie nadało jej twarzy młodzieńczy wyraz. Nietrudno było się domyślić, że obie siostry musiały ze sobą rywalizować od dziecka. Czy miałam wpaść, jak śliwka w kompot, w sam środek rodzinnych sporów? - Ilekroć posyłam jej informacje dotyczące interesów, zawsze dzwoni do mnie jakiś księgowy Granta.

- Megan nigdy nie miała zrozumienia dla spraw finansowych - powiedziała moja babka.

- Ciekawa jestem, skąd w takim razie bierze pieniądze - mruknęła pod nosem Victoria.

- Dosyć tego - ucięła babka. - Rain będzie miała jeszcze dość czasu, żeby się nawąchać naszych brudów. Nie musisz podtykać jej wszystkiego pod nos od razu pierwszego dnia po jej przyjeździe do tego domu.

- Och, bardzo cię przepraszam, Rain. - Victoria skłoniła głowę z najbardziej niedbale udawanym wyrazem ubolewania, jaki zdarzyło mi się w życiu widzieć. - Nie chciałam cię nastraszyć. - Potem zwróciła się do matki: - Gdzie ona śpi?

- W pokoju Megan.

- Naprawdę? Nie w jednym z pokojów gościnnych? To dla mnie niespodzianka.

Przez krótką chwilę moja babka wyglądała, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale szybko się pozbierała i pokręciła głową,

- To naprawdę nie ma żadnego znaczenia, gdzie ona śpi, a w pokoju Megan akurat wszystko było gotowe.

- Ale czy zwykle nie nocuje tam Alison? Czy wnusia nie weźmie ci za złe twojej decyzji?

- Czy pamiętasz jeszcze, kiedy Alison została u mnie ostatnio na noc, Victorio? Myślę, że nawet nie umiałaby sobie przypomnieć, gdzie zwykle sypia - odpowiedziała moja babka.

- Poślesz ją do Szkoły Dogwoodów? - Ciotka Victoria spojrzała na mnie pogardliwie.

- Owszem.

Victoria odwróciła się i spojrzała mojej babce prosto w oczy.

- Czy zdajesz sobie sprawę, ile to kosztuje? Tak się składa, że wiem, o ile podnieśli czesne, odkąd chodziłyśmy tam z Megan, i...

- Czemu nie miałby się o to martwić mój księgowy, któremu właśnie za to płacę, żeby się martwił o moje pieniądze?

- Nie rozumiem, dlaczego nie może pójść do szkoły publicznej? Jesteś przecież podatnikiem. Masz pełne prawo posłać ją do szkoły publicznej. Nie musiałybyś za nic płacić.

- No cóż, Victorio, decyzja należy do mnie.

Ciotka rzuciła mi gniewne spojrzenie, jakbym to ja zmusiła babkę, żeby posłała mnie do prywatnej szkoły.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała, kręcąc głową. W ciszy, jaka zapadła w jadalni, słyszałam tykanie zegara. Babka popatrzyła na mnie. Napotkawszy jej spojrzenie, szybko spuściłam wzrok. - Wszystko jedno - westchnęła ciotka Victoria. - Prawdę mówiąc, nie rozumiem połowy z tego, co robi Megan i trzech czwartych z twoich poczynań, mamó.

- Prawdziwy pech - zauważyła moja babka oschłym tonem.

Victoria pokręciła głową, westchnęła i poprawiła się na krześle, odwracając się ode mnie i siadając przodem do babki.

- Chciałabym omówić z tobą sprawy interesów, mamó - powiedziała. - Czy Rain pójdzie do siebie, czy my przeniesiemy się do gabinetu?

- To nie może poczekać, Victorio? Czuję się dziś zmęczona.

- Czy widziałas się w tym tygodniu z lekarzem? - spytała natychmiast Victoria.

- Nie. Nie muszę konsultować każdego kroku z lekarzem. Poza tym i tak niewiele może mi powiedzieć takich rzeczy, których bym i bez niego nie wiedziała.

Co jej dolega? - zastanawiałam się.

- Mimo to...



- Prawdę mówiąc, nie oczekiwałam dziś twojej wizyty, Victorio. Miałam zamiar położyć się wcześniej z książką i odpocząć. Zadzwoń do mnie jutro, to umówimy się na rozmowę o interesach. Uprzedzę mojego księgowego, żeby mógł być przy niej obecny.

- Wolałabym, żebyś nie ściągała go na nasze każde spotkanie, mamó. Miałaś okazję, aby się przekonać, że wiem, co robię. Zresztą rozumiesz chyba, że tata nie obarczałby mnie odpowiedzialnością za rodzinne finanse, gdyby się obawiał, że przekracza to moje możliwości.

- Owszem, natomiast przekracza to moje możliwości - oświadczyła babka, wstając od stołu. - Dlatego potrzebuję kogoś takiego jak Philip Gassman. - Odwróciła się do mnie. - Jutro o wpół do ósmej pojedziesz do Szkoły Dogwoodów. Szofer będzie czekał przed domem. Uprzedziłam Merilyn, żeby przygotowała dla ciebie śniadanie na wpół do siódmej. Mam nadzieję, że starczy ci czasu.

Ruszyła do wyjścia.

- Już się wybierasz do łóżka? - spytała zaskoczona Victoria.

- Zdawało mi się, że wyraziłam się dostatecznie jasno.

- Ale...

- Myślę, że nie powinnaś siedzieć dziś wieczorem zbyt długo, Rain. - Moja babka zerknęła na Victorię, potem spojrzała na mnie. - Chcę, żebyś była wyspana i przygotowana na wyzwania, jakie cię jutro czekają od samego rana. - Potem jeszcze raz popatrzyła na Victorię, znów na mnie i wyszła z jadalni.

Serce na moment zamarło mi w piersi. Ciotka Victoria rozparła się na krześle, przyglądając mi się uważnie pełnym złości wzrokiem. Na jej ustach pojawił się nieprzyjemny uśmiezek.

- Co, ściśle rzecz biorąc, spodziewasz się uzyskać od mojej matki? - spytała nagle.

- Przepraszam, nie rozumiem?

- Och, naprawdę, przede mną nie musisz niczego udawać - odpowiedziała, patrząc na mnie ze złością. - Nie jesteś pierw-

szą osobą, która się tu zjawia z nadzieją, że w taki czy inny sposób wyłudzi od mojej matki pieniądze. Nie mam pojęcia, co obiecała ci Megan.

- Po pierwsze, nie zjawiłam się tu z własnej inicjatywy, tylko zostałam przywieziona. Po drugie, nie oczekuję po pani matce niczego poza tym, co sama zechce mi dać. Nie jestem złodziejką. Nie zamierzam wypchać poszewki na poduszkę waszymi rodzinnymi klejnotami i prysnąć, gdy wszyscy będą spali, jeśli tego się pani obawia. Pani Randolph niczego mi nie obiecywała.

Victoria przez chwilę patrzyła na mnie bez słowa.

- Jak poznałaś Megan?

- Nie rozumiem, dlaczego się pani spodziewa, że będę tu siedziała, odpowiadając na pani pytania, jakbym była jakąś złodziejką. Nie chcę być nieuprzejma czy niegrzeczna, ale radziłabym, żeby z dalszymi pytaniami zwróciła się pani do pani Hudson. - Wstałam. - Proszę zadzwonić do swojej siostry. Przepraszam, ale ja również jestem już zmęczona. Zechce mi pani wybaczyć. - Odwróciłam się i z bijącym jak szalone sercem ruszyłam do drzwi jadalni.

Kiedy zobaczyłam stojącą tuż za progiem babkę, omal nie przewróciłam się ze zdumienia. Podśluchiwała naszą rozmowę! Babka popatrzyła na mnie bez słowa, tylko na jej wąskich ustach błąkał się znów ten dziwaczny uśmiezek. Odwróciła się i bez słowa poszła schodami na górę. Stałam jeszcze i spoglądałam za nią, gdy z jadalni wyszła ciotka Victoria. Minęła mnie bez słowa i poszła do bawialni, gdzie stał telefon.

W moim pokoju na biurku również stał aparat telefoniczny. Zastanawiałam się przez chwilę, a potem podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do mamy.

Zamiast dzwonka usłyszałam dziwne brzęczenie, a następnie mechaniczny głos oznajmił, że numer jest niedostępny. Ogarnęło mnie okropne przygnębienie. Gdzie teraz są mama i Roy? Co się z nimi stało? Naprawdę tak niewiele czasu potrzebowali, żeby się spakować i wynieść z naszego nędznego mieszkania? Domyślałam się, że żadne z nich nie miało ochoty spotkać się

z Kenem, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że zniknęłam z domu, co oznaczało, że stracił ostatnią szansę wyłudzenia jakichkolwiek pieniędzy od mojej rodziny.

Ale kiedy któreś z nich się do mnie odezwie? Kiedy będę miała od nich jakieś wieści? Już teraz rozpaczliwie tęskniłam za mamą i potrzebowałam jej bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Być może miłość i wzajemna troska o siebie były w naszym ubogim domu luksusem, ale był to luksus dla nas wszystkich dostępny. Ludziom, wśród których wylądowałam, niczego nie brakowało, za to wydawali mi się rodziną wyłącznie z nazwy. Kiedyś słyszałam, jak ktoś mówił, że ludzie mogą się kochać, mimo że się nie lubią. To tak, jakby miłość była naturalnym składnikiem życia rodzinnego. Oczekiwano, że każdy członek rodziny będzie kochał wszystkich pozostałych, to należało do jego roli, niezależnie od tego, co naprawdę czuł. Matki i córki, ojcowie i synowie, wszyscy mieli wszystkich kochać, ale jak przyszło co do czego, każdy okazywał się tak bardzo odmienny od pozostałych, że nie potrafili się dogadać w najprostszych sprawach.

Rodzina, do której trafiłam, była najlepszym tego przykładem. Nie wyglądało na to, żeby moja babka i ciotka Victoria pałały do siebie miłością. Niewielu widziałam w życiu ludzi, którzy bardziej by się od siebie różnili. Odnosiły się do siebie niewiele lepiej niż Ken i Roy, kiedy mój brat zaczął pić po śmierci Beni.

Jak miałam znaleźć sobie w tym wszystkim własne miejsce? Czułam się, jakbym dzień i noc stapała po cienkim lodzie. Bałam się, że cokolwiek powiem, pozory spokoju rozsypią się i rozplyną jak kra.

Usiadłam na wspaniałym łóżku i rozejrzałam się po swoim nowym pokoju. Większość dziewczyn z mojej szkoły czułaby się tu jak w niebie, a ja tymczasem miałam uczucie, że po prostu trafiłam do nowej klatki.

Owszem, nie było tu krat w oknach, które tak drażniły Beni w Projektach, ale mieszkający w tym domu ludzie byli uwię-

zieni podobnie jak ja. Miałam nadzieję, że nie zamieniłam jednego więzienia na drugie.

Przejrzałam swoją garderobę i wybrałam to, co postanowiłam włożyć, idąc do nowej szkoły. Potem położyłam się do łóżka i oglądałam telewizję, dopóki nie zaczęły mi opadać powieki. Zgasiałam światło i leżałam w ciemności, słuchając pojedynczych dźwięków, dobiegających spośród nocnej ciszy.

Wszystko było tu zupełnie inne niż w Projektach, gdzie nieustannie słyszałyśmy z Beni głosy i hałasy dobiegające z korytarza lub przez stropy i ściany z innych pięter. Tu nie dobiegało wycie syren ani trąbienie samochodów. Widziałam księżyc wyłaniający się spomiędzy chmur i gwiazdy. Widok tak ogromnej połaci nieba sprawiał, że czułam się w swym wielkim łóżku małeńka jak okruszek.

Tak wiele tu miałam powodów do radości i zadowolenia, tyle środków do walki z przygnębieniem i smutkiem. Ściany wokół były dość wysokie, by nie dopuścić nieszczęścia, obszerny hol powinien rozbrzmiewać śmiechem, a w lustrach odbijać się pogodne i radosne twarze. Jak bardzo samotna musi się czuć moja babka zamknięta w swoim pokoju, pomyślałam. Dzieliła nas niewyobrażalna przepaść, a jednak miałam nadzieję, że kiedy mnie zobaczyła, poczuła, że czegoś jej brakuje, czegoś, co było jej naprawdę potrzebne do szczęścia.

Tak jak ja.

Wskazówki zegara przesuwwały się powoli, a jego tykanie, monotonne niczym kapanie deszczu, przypominało mi, że można pragnąć wszystkiego, czego się tylko chce, ale nie sposób powstrzymać nadejścia jutrzejszego dnia.

## W PEŁNYM ŚWIETLE

Gdy tylko się obudziłam, natychmiast poczułam się, jakby w moim żołądku prażył się popcorn. Podrażnione zakończenia nerwów raz po raz eksplodowały. Blask słońca był jaskrawszy, niż się spodziewałam. Spojrzałam na zegarek, uświadomiłam sobie, że omal nie zasnęłam, i jednym susem wyskoczyłam z łóżka. Szybko wzięłam prysznic, włożyłam czarną spódnicę i kaszmirowy sweter. Potem spędziłam dłuższą chwilę na układaniu niesfornych włosów i wreszcie popędziłam na śniadanie. W jadalni czekała już na mnie szklanka soku pomarańczowego. W chwili gdy usiadłam, z drzwi kuchni wyskoczyła jak kukułka z zegara Merilyn.

- Co chcesz na śniadanie? Jajka, płatki, grzanki? Mamy też drożdżówki, bułki i szynkę.

- Och, nie, Merilyn. Nie dałabym rady zjeść rano tak dużo. Przynieś mi po prostu grzankę i kawę.

- Z masłem i dżemem?

- Tak, proszę.

Merilyn zniknęła w kuchni. Usiadłam na krześle z poczuciem zniecierpliwienia. Dlaczego nie mogę po prostu sama sobie zrobić śniadania? Bałam się nawet o to zapytać z obawy pogwałcenia kolejnej z niepisanych reguł domu, a także dlatego, że Merilyn pewnie by pomyślała, iż usiłuję zająć jej miejsce. Z równym powodzeniem mogłabym siedzieć na zde-rzaku, pomyślałam, wierząc się niespokojnie na krześle i bęb-

niąc palcami po stole. Kiedy wreszcie dziewczyna przyniosła mi grzanekę, byłam już tak spięta, że połknęłam ją, zanim sprzątnęła szklankę po soku, nalała mi kawy i wróciła do kuchni.

- Czy nie mówiłaś czasem, że nie jesteś głodna?

- Nie jestem. Jestem po prostu zdenerwowana.

- Denerwujesz się z powodu szkoły? - prychnęła Merylin przez nos. - A czym tu się denerwować? Nie mogą cię wylać - jęknęła po swoim, spoglądając na drzwi. - Wydawało mi się, że wczoraj dobrze się spisałam.

- No pewnie - odparłam zdziwiona.

- Ale pani Hudson powiedziała, że rozgotowałam rybę i zanadto wysmażyłam ziemniaki. - Rzuciła mi ostre spojrzenie. - Nie smakowało ci?

- Smakowało.

- Ja też uważam, że było w porządku, ale nikt się nie liczy z moim zdaniem - wyjaśniła znowu i wycofała się do kuchni.

Siedziałam, popijając gorącą kawę. Babcia Hudson jest naprawdę nieszczęśliwą osobą, uznałam, a mama zawsze mówiła, że nieszczęśliwi ludzie stanowią najlepszą glebę do narzekań. W ich ogrodach skargi szerzą się jak zielsko.

Gdy tylko staroświecki zegar wybił pół godziny, zerwałam się z krzesła i wybiegłam przed dom. Kiedy znalazłam się na zewnątrz, napotkałam piękny, ciepły dzień, z obłoczkami, które na lazurowym niebie wyglądały niby namalowane pędzlem malarza. Osłoniłam oczy dłonią i zobaczyłam Jake'a Marvin'a stojącego przy otwartych drzwiach tylnego siedzenia rolls-royce'a. Miał na sobie zgrabny popielaty uniform szofera z ciemną stębnówką na mankietach i kołnierzu i czapkę z daszkiem. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że jadę rolls-roycem! No, ładna historia, pomyślałam, wiezie mnie do szkoły auto z szoferem. Stałam tam, przed portykiem, jakby mnie wmurowało w ziemię. Szczęka mi opadła. Kiedy robiłam taką minę, mama zawsze mówiła, że wyglądam, jakbym chciała muchy w usta łapać.

Jake roześmiał się głośno.

- Uprzejmie proszę, panienko - powiedział, zginając się w przesadnym ukłonie. - Lepiej się nie spóźnić na spotkanie z dyrektorką Szkoły Dogwoodów, chyba że chcesz od razu pierwszego dnia trafić do komórki.

Roześmiałam się i zbiegłam po schodach. Kiedy ruszaliśmy, obejrzałam się za siebie. Wydawało mi się, że spoza zastony wyłoniła się twarz babci Hudson.

- I jak ci upłynęła pierwsza doba w gnieździe rodzinnym Hudsonów?

- Bardzo spokojnie - odpowiedziałam. - Poza spotkaniem z Victorią.

- Och, to odwiedziła was Victoria? I co o niej sądzisz?

- Nauczono mnie nie mówić o ludziach, dopóki nie mam o nich nic dobrego do powiedzenia, więc jeszcze się wstrzymam z wyrażaniem opinii - oświadczyłam, na co Jake odpowiedział wybuchem gromkiego śmiechu.

- Nie jest taka zła, na jaką wygląda - pocieszył mnie. - A jaka była twoja poprzednia szkoła?

- Jak więzienie. Przy wejściu stali strażnicy w mundurach i przechodziło się przez bramkę do wykrywania metalu. Cały teren był otoczony ogrodzeniem z drutem kolczastym, a w niektórych oknach nawet były kraty.

- No to czeka cię miła niespodzianka - rzekł.

Po drodze opowiadał mi o mijanych domach, ogrodach, kwiatach i drzewach. Opowiedział mi też wszystko o Szkole Dogwoodów, a przede wszystkim o tym, skąd się wzięła jej nazwa. Istotnie mówił prawdę, oznajmiając, że jest gadułą, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Przeciwnie, pomagało mi odebrać myśli od tego, co czeka mnie u celu jazdy.

Udało mi się to tak skutecznie, że w ogóle się na to nie zdążyłam przygotować. Nie uświadomiłam sobie nawet, że wjechaliśmy na teren należący do szkoły, dopóki Jake nie wskazał mi ujeżdżalni.

- Ujeżdżalnia? Co chcesz przez to powiedzieć? Jaka ujeżdżalnia?

- Dla koni. Prowadzi się tam naukę jazdy konnej.

- Konie? W szkole?

Znów się roześmiał.

- W Szkole Dogwoodów wszystkie dziewczyny uczą się jeździć konno. To jeden z wykładanych tu przedmiotów.

- Nigdy nie jeździłam konno. Prawdę mówiąc, nawet nie widziałam konia, chyba że jechał na nim policjant, albo w kinie czy telewizji - zaniepokoiłam się.

- Niczym się nie przejmuj. Na pewno mają kurs dla początkujących. Tyle że będziesz musiała kupić odpowiedni strój. Ale może pani Hudson się tym zajęła.

- Moja... Pani Randolph nic mi o tym nie wspominała - odpowiedziałam, odwracając głowę, żeby się przyjrzeć terenowi ujeżdżalni.

- Tam jest stajnia i stodoła - wskazał gestem dłoni. - Teraz wyłania się przed nami główny budynek. Po lewej są pracownie.

- A co się mieści w tym budynku, który widać w głębi?

- Sala gimnastyczna i basen.

- Basen? To basen też tu jest?

- Czy nikt cię nie uprzedzał, dokąd jedziesz? - spytał zaskoczony Jake.

- Wiem tyle, że to prywatna szkoła dla dziewcząt.

- Tak, a tam, na drugim brzegu jeziora - powiedział, wskazując na jeszcze bardziej imponującą kamienną budowlę - znajduje się Słodki William, prywatna szkoła dla chłopców, można by powiedzieć, bratnia uczelnia. Obie szkoły urządzają wspólne zabawy taneczne i niektóre zajęcia, jak również konkurują ze sobą w dyskusjach i innych imprezach. Tam jest stołówka.

Samochód skręcił i minęliśmy wsparty na dwóch słupach znak z półksiężycem. Napis głosił: SZKOŁA DOGWOODÓW DLA DZIEWCZĄT.

Szkoła? - pomyślałam. To wygląda raczej jak małe miasteczko. Głowa sama obracała mi się na wszystkie strony, a oczy ze zdumienia wprost wychodziły z orbit. Starłam się zobaczyć wszystko naraz: piękne drzewa i kwiaty, fontanny



i jezioro, boiska i korty tenisowe, kaplicę i osobny budynek Teatru Dogwoodów.

Jake zajechał przed główny budynek. Wysiadł i zadziwiająco szybko otworzył moje drzwi. Zawahałam się. Jeśli kiedykolwiek w życiu miałam ochotę schować się do mysiej nory, to było to właśnie w tym momencie.

- Wszystko będzie dobrze. - Ciepły głos Jake'a podział na mnie kojąco. - Gdy tylko wejdiesz do środka, zaraz po prawej będzie biurko, przy którym zobaczysz kogoś, kto się tobą zajmie.

- Skąd tak wiele wiesz o tym miejscu, Jake?

Zaskoczony zamrugał oczami. Popatrzył na budynek szkoły, potem znowu spojrzął na mnie.

- Tak się składa.

Wysiadłam, wzięłam głęboki oddech i ruszyłam do drzwi.

- Powodzenia, Rain! - zawołał za mną. - Przyjadę po południu, żeby pozbierać to, co z ciebie zostanie - dodał jeszcze ze śmiechem.

- Bardzo dziękuję za zachętę - powiedziałam, co wywołało kolejny wybuch śmiechu Jake'a.

Mamo, pomyślałam, otwierając wielkie szklane drzwi, nie miałaś pojęcia, nie miałaś najmniejszego pojęcia.

W korytarzu była posadzka z ciemnego marmuru; na ścianie znajdował się wielki fresk, sięgający aż do sufitu, przedstawiający anioły wznoszące się ku górze, ku niebiańskiemu światłu. Po prawej, tak jak zapowiedział Jake, siedziała za biurkiem, na którym stał komputer, młoda kobieta. Kiedy weszłam, odwróciła się do mnie.

- Nazywam się Rain Arnold - powiedziałam. - Miałam się spotkać z panią Whitney.

Przez chwilę wpatrywała się we mnie, jakby stała na pierwszej linii obrony i jakby do niej należała decyzja, czy przepuści mnie dalej. Jej oczy prześlizgnęły się po mojej twarzy, zlustrowały strój, a wreszcie powróciły do papierów, które miała rozłożone na biurku.

- Wejź przez te drzwi - poleciła, wskazując gestem drzwi

na lewo i podała mi jakiś folder - potem znów przez pierwsze drzwi po lewej. Tam jest gabinet pani Whitney. Jej sekretarka nazywa się Susan Hines.

- Dziękuję - odpowiedziałam.

Powróciła do swojego komputera tak szybko, jakby stanowiła jego część, a jej palce musiały być podłączone do klawiatury. Ruszyłam do drzwi. Moje kroki na marmurowej posadzce rozbrzmiewały echem pośród wysokich ścian obszernego holu. Marmurowe płyty posadzki były tak idealnie czyste, jakbym była pierwszą osobą, która w ogóle po nich przechodzi.

Korytarz był krótszy, niż się spodziewałam. Już po kilku krokach stanęłam przed drzwiami gabinetu pani Whitney. Weszłam do obszernego, starannie urządzonego sekretariatu. Susan Hines miała około trzydziestki, kasztanowe włosy i ciemne brązowe oczy, które w jej małej twarzy z płaskim nosem i wąskimi ustami wydawały się trochę za duże. Wyglądała na osobę toczącą nieustanną walkę z kaloriami; była dorodna i mocno zbudowana, a jej podbródek wydymał się, jakby połknęła balonik.

Mimo to miała przyjazny, ciepły uśmiech.

- Cześć - powiedziała szybko.

- Cześć. Jestem Rain Arnold - przedstawiłam się.

- Wiem. Pani Whitney czeka na ciebie. - Wzięła ode mnie folder.

Zastanawiałam się, dlaczego w ogóle przechowywała go do mego przyjscia dziewczyna z holu. Widać każdy człowiek i każdy papier krąży w tym miejscu własnymi drogami, pomyślałam.

- Proszę, siadaj - zaprosiła Susan Hines i wstała, by udać się do gabinetu.

Usiadłam na skórzanej kanapie i przejrzałam najświeższy rocznik Szkoły Dogwoodow. Poza tym, że jego wykonanie stanowiło świadectwo zamożności szkoły, same zdjęcia nie różniły się bardzo od tych, jakie widywałam w rocznikach innych szkół, poza tym, że przedstawiały niemal wyłącznie dziewczyny. Zaskakujące było dla mnie natomiast to, jak

wiele było w Szkole Dogwoodów przeróżnych klubów i zajęć sportowych. Uczennice startowały w konkursach i zawodach we wszelkich dyscyplinach, łącznie z jazdą konna, pływaniem i szermierką. Szermierka? Dla mnie to wyglądało niemal jak szkolenie do filmu.

Teatr był wielki i robił wrażenie najzupełniej prawdziwego. W ubiegłym roku wystawiono w nim musical *Król i ja*. Jak zauważyłam, uczestniczący w jego realizacji chłopcy byli uczniami Słodkiego Williama. W teatrze wystawiono również adaptację *Dziennika* Anny Frank. Znałam tę książkę i bardzo ją lubiłam. Czytałam Beni fragmenty *Dziennika*, a ona najpierw udawała, że jej to nic nie obchodzi, ale w końcu stawiała mi tak wiele pytań, że skłoniłam ją, żeby przeczytała całość sama.

- Pani Whitney czeka na ciebie - oznajmiła Susan, stając w drzwiach.

Szybko wstałam i weszłam do gabinetu. Na ścianach wisiały certyfikaty i dyplomy, zdjęcia polityków i dobroczyńców szkoły, z dedykacjami i pouczającymi sentencjami, zaczerpniętymi z klasyków, oraz dwa obrazy olejne, przedstawiające Szkołę Dogwoodów widzianą z różnych punktów, dzięki czemu można było zobaczyć jezioro i piękne ogrody.

Pani Whitney wyglądała na uwięzioną za swoim wielkim biurkiem z drewna klonowego. Zaskoczyło mnie, że jest taka mała, musiała mieć nie więcej niż pięć stóp i cal czy dwa wzrostu. Nie mogła ważyć powyżej stu funtów. Starannie uczesane siwe włosy były nieco przerzedzone i gdzieś tam między nimi skóra na głowie. Dyrektorka miała granatowy kostium, złote kolczyki w kształcie kropel i złoty zegarek, który wyglądał na bardzo drogi. Zauważyłam obrączkę, ale nie nosiła żadnych pierścionków.

Niedostatki budowy fizycznej nadrabiała postawą i głosem. Zachowywała się trzeźwo i rzeczowo, miała twarde, stanowcze spojrzenie, a na twarzy malowała się pewność siebie i zdecydowanie. Wyglądała na sześćdziesiąt parę lat; później miałam się dowiedzieć, że liczy siedemdziesiąt i nawet jej przez głowę nie przejdzie, że mogłaby ustąpić ze stanowiska. Wkrótce też

zorientowałam się, że jest żywym symbolem Szkoły Dogwoodów. To była szkoła pani Whitney i ona nie zamierzała oddać jej w inne ręce.

- Proszę, siadaj - zachęciła mnie, wskazując spojrzeniem niebieskich oczu stojące przed biurkiem krzesło.

Szybko zajęłam wskazane miejsce.

- Dziękuję, Susan - powiedziała, skinąwszy głową sekretarce, która zamknęła za sobą drzwi.

Przez długą chwilę pani \*Whitney po prostu wpatrywała się we mnie bez słowa. Byłam już niemal gotowa spytać ją, czemu mi się przygląda, lecz miałam tak ściśnięte gardło, że nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Mimo drobnej budowy pani Whitney przytłaczała mnie swoją postawą i władczym spojrzeniem.

- Jestem całkowicie świadoma twojej sytuacji - zaczęła. - Pani Hudson jest moją bliską przyjaciółką i bardzo sobie cenię jej dobroczynność, tym bardziej że uczyniła wiele dobrego dla Szkoły Dogwoodów.

Na wąskich wargach był zaledwie ślad szminki, na policzkach tylko odrobina pudru. Miała spiczastą brodę i tak naciągniętą skórę na policzkach, że kiedy mówiła, widać było, jak poruszają się pod nią kości. Na czole widniały zmarszczki, a wokół ust i w kącikach oczu głębokie bruzdy. Jednak jeśli nawet twarz pani Whitney postarzała się z wiekiem, to jej umysł i duch zachowały cały wigor młodzieńczego wieku. Wyglądała, jakby w każdej chwili gotowa była wyskoczyć ze swego ciała i stawić czoło każdemu wyzwaniu, przed jakim stanie.

Wywarła na mnie ogromne wrażenie.

- W chwili, gdy stąd wyjdiesz, ta część naszej rozmowy zostanie pogrzebana i zapomniana, chyba że pani Hudson osobiście ją wskrzesi. Rozumiesz?

- Tak, proszę pani - odpowiedziałam, niepewna, czy własny głos nie sprawi mi zawodu ani czy go w ogóle z siebie go zdołam wydobyć.

- To dobrze. Teraz przejdziemy do szkoły i twojej oso-

by. - Pani Whitney rozłożyła papiery na biurku. - Otrzyma-  
liśmy twoje świadectwa i muszę powiedzieć, że wynika z nich,  
iż jesteś inteligentną i pracowitą uczennicą, choć osobiście  
mam wątpliwości co do tego, czy poziom nauczania w twojej  
dotychczasowej szkole był odpowiedni. Jeszcze zobaczymy -  
dodała ostrożnie. - Spodziewam się, że spotka mnie z twojej  
strony przyjemna niespodzianka.

Szkoła Dogwoodów jest najstarszą tego rodzaju instytucją  
w naszym stanie. Za cel stawiamy sobie nie tylko przygotowa-  
nie naszych uczennic do dalszej edukacji, lecz również wszech-  
stronne ich wykształcenie. Nasze dziewczęta opuszczają szkołę  
przygotowane do intelektualnych, etycznych i emocjonalnych  
wyzwań, przed jakimi mogą stanąć w życiu. Jak wynika z nie-  
dawnych badań, dziewczęta uczęszczające do szkół żeńskich,  
wykazują pozytywniejsze nastawienie do kwestii dalszej eduka-  
cji.

Jednocześnie - ciągnęła pani Whitney - zdajemy sobie spr-  
awę z tego, że młode kobiety powinny być świadome istnienia  
odmiennych punktów widzenia i umieć współpracować z mł-  
odymi mężczyznami w różnych okolicznościach. Dlatego zachę-  
camy nasze uczennice do uczestnictwa w przedsięwzięciach  
realizowanych wspólnie przez Szkołę Dogwoodów i Słodkiego  
Williamia.

Masz przed sobą wyjątkową sposobność zdobycia wykształ-  
cenia, moja droga. Liczę, że to docenisz i zrobisz, co w twojej  
mocy, żeby spełnić wymogi, jakie stawiamy przed naszymi  
uczennicami.

Nie będę w tej chwili traciła czasu na szczegółowe zapozna-  
wanie cię z naszymi przepisami - dodała, wręczając mi niewiel-  
ką broszurkę - ale oczekuję, że przestudiujesz regulamin i za-  
pamiętasz jego wytyczne. Wiem, że napotkasz tu duże różnice  
w stosunku do tego, do czego byłaś przyzwyczajona w szkole,  
do której dotychczas uczęszczałaś w Waszyngtonie. Jesteśmy  
dumni z tego, że nigdy nie zdarzył się naszej szkole ani jeden  
przypadek używania narkotyków, wandalizmu czy przemocy.  
Nie tolerujemy i nie będziemy tolerować takich zachowań.

- Tego samego uczyła mnie mama - odparłam wojowniczo.

Pani Whitney uniosła brwi, ale dość już miałam tego, że każdy, z kim się stykałam, a kto znał warunki, w jakich wyrosłam, i widział, że mam ciemniejszą skórę, zdawał się oczekiwać, że albo należę do jakiegoś gangu, albo się nie szanuję, albo wreszcie okażę się złodziejką. W końcu ludzie potrafią niekiedy wznieść się ponad okoliczności, w jakich upływa ich życie, nieprawdaż?

- To dobrze - orzekła pani Whitney. - Nie chcę, żebyś traciła cenny czas, którego ci trzeba na zapoznanie się z nowym otoczeniem. Pragnęłabym tylko, żebyś pamiętała, iż będę osobiście śledzić twoje postępy w nauce. Obiecałam to pani Hudson.

- Dziękuję - powiedziałam tylko, choć miałam ochotę dodać: „Ja myślę”.

- Susan zaprowadzi cię do pana Bufurda, który będzie twoim doradcą w sprawach programu nauczania. Jest on zarazem naszym instruktorem sztuki dramatycznej. Tak się składa, że akurat dzisiaj będziemy wybierać obsadę do *Naszego miasta*. Znasz to?

- Owszem - odpowiedziałam. - To mój ulubiony dramat Thorntona Wildera. Przerabialiśmy go w szkole.

- To bardzo dobrze. - Moja odpowiedź najwyraźniej zrobiła wrażenie na pani Whitney. Wstała, by obejść biurko, i wtedy zauważyłam, ku swemu zdumieniu, że dyrektorka utyka. Zaskoczenie na mojej twarzy nie uszło uwagi pani Whitney.

- To nie jest skutek wypadku - wyjaśniła. - Od urodzenia mam jedną nogę krótszą, co oczywiście nie pozwoliło mi startować w olimpiadzie - dodała. Przez chwilę patrzyła na mnie z poważną miną, po czym się uśmiechnęła. Poczułam, że dzieląca nas bariera została przełamana, i roześmiałam się w odpowiedzi na jej żart. - Kalectwo i niski wzrost wcześniej uświadomiły mi, że nie mam czego szukać w sporcie i skierowały moją uwagę na inne dziedziny aktywności. Dzięki swoim osiągnięciom otrzymałam stypendium Fundacji Fulbrighta, studiowałam pedagogikę i przed trzydziestką zrobiłam

doktorat, napisałam dwie książki na temat filozoficznych aspektów edukacji i zostałam dyrektorką Szkoły Dogwoodów.

Jak się domyślam, potrafisz zrozumieć, że przeszkody i utrudnienia mogą się okazać całkiem pożyteczne - dorzuciła z błyskiem w oku - o ile motywują nas do tym większego wysiłku na rzecz ich przezwyciężenia.

Pomyślałam, że lubię panią Whitney, i naraz przestałam się bać swojej nowej szkoły i ludzi, których miałam w niej spotkać.

Droga z budynku administracyjnego do szkolnego prowadziła przez park. Słońce wędrowało po niebie, na którym nie było ani jednej chmurki. Wszystko wokół lśniło pełnią żywych barw.

- Jesteś z Waszyngtonu - powiedziała do mnie Susan po drodze. - To znaczy, że urodziłaś się tam?

- Tak, proszę pani.

- Och, nie musisz zwracać się do mnie tak oficjalnie. Jestem tu zwykłą sekretarką - rzuciła ze śmiechem. - Jestem z Richmond, nigdy wiele nie podróżowałam.

- Od jak dawna tu jesteś?

- Od trzech i pół roku. Pani Whitney jest osobą, z którą się świetnie pracuje, prawdziwą damą. Mam nadzieję, że ją polubiłaś. Zresztą wszyscy są tu mili. Moja mama liczyła na to, że poznam tu jakiegoś przystojnego profesora i wyjdę za niego za mąż, ale jak dotąd mi się to nie udało - Susan zachichotała. Kiedy tak szłyśmy w słońcu przez park, wyglądała młodziej niż za biurkiem w sekretariacie.

Z budynku szkolnego wybiegła gromadka dziewczyn. Szybko pomaszerowały w kierunku stajni i ujeżdżalni, gadając jedna przez drugą. Wszystkie miały na sobie stroje jeździeckie i wyglądały na młodsze ode mnie. Zdawało mi się też, że wśród dobiegających głosów dosłyszałam cudzoziemski akcent.

- Te dwie dziewczyny są z Francji - Susan wskazała parę dziewczyn idących na końcu grupki. - A ta mała z rudymi włosami jest Brazylijką.

- Naprawdę? Przysłali je tu rodzice?

- Mhm. W ramach programu wymiany. Mieszkają u tutejszych rodzin, a dziewczyny z tych rodzin - u ich rodziców we Francji i w Brazylii.

Byłam pewna, że wszystko, co widzę, bardzo spodobałoby się mamie i na pewno wywarłoby na niej ogromne wrażenie. Gdyby mnie teraz widziała, zyskałaby upragnioną pewność, że dokonała właściwego wyboru. Gdzie mogłabym być bezpieczniejsza niż tutaj? Miałam uczucie, że nad całym terenem Szkoły Dogwoodów musi się wznosić szklany klosz, chroniący ją przed wszelkimi szkodliwymi wpływami z zewnątrz. Wszyscy wokół wyglądali, jakby nigdy nie mieli do czynienia z nieszczęściem, biedą, przestępczością czy nawet chorobą. Po alejkach nie włóczyły się typki w rodzaju Jerada, na ścianach nie było graffiti, nie spotykało się na każdym kroku handlarzy prochami.

- Tędy - powiedziała Susan, otwierając przede mną drzwi.

Weszliśmy do budynku szkolnego. Przede wszystkim uderzyło mnie odkrycie, że na posadzce nie widać ani jednego papierka. Obok drzwi do klas wisiały tablice informacyjne, na których znajdowały się równiutko rozwieszane ogłoszenia. Przestronny korytarz był pełen światła i lśnił czystością. Rozległ się dzwonek oznajmiający koniec lekcji i zaraz potem następny, na początek kolejnej. Minęliśmy z Susan schludne sale ze stolikami, które wyglądały, jakby przed chwilą przywieziono je z fabryki. Kiedy szliśmy wzdłuż szyb oddzielających poszczególne sale, niektóre dziewczyny unosiły głowy, żeby się nam przyjrzeć. Mnie najbardziej zdumiało to, jak niewiele ich jest.

- A gdzie reszta klasy? - spytałam Susan.

- Proszę?

- Tu widzę tylko dziesięć dziewczyn, a w klasie, którą minęliśmy, było ich jeszcze mniej - osiem.

- Bo takie tu mamy klasy, skarbie. Pani Whitney uważa, że klasa nie powinna liczyć więcej niż dwanaście dziewcząt.

- Dwanaście? - Ze zdziwienia aż pokręciłam głową. - Tyle



osób siedziało w mojej starej szkole w jednym rzędzie. Jedna z klas liczyła niemal pięćdziesiąt osób.

- Pięćdziesiąt? - zdumiała się z kolei Susan. - A któż zdołałby nauczyć czegoś tylu uczniów naraz?

- Toteż nikt się o to nie starał - oświadczyłam krótko.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Susan. Zastukała do drzwi. - Przepraszam, panie Bufurd, przyprowadziłam Rain Arnold.

- Och, bardzo dobrze, znakomicie - usłyszałam męski głos i weszłam do klasy.

W sali siedziało tylko osiem dziewczyn. Wszystkie odwróciły głowy i spojrzały na mnie z nieskrywaną ciekawością. Pan Bufurd wyglądał na nie więcej niż jakieś dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat. Miał długie ciemne włosy, które jednak były czyste, starannie wyszczotkowane i ściągnięte w kucyk, oraz zadziwiająco zielone oczy. Nawet z odległości dostrzegałam ich niezwykle, żywe lśnienie. Liczył niecałe sześć stóp wzrostu, był zgrabny i wąski w biodrach. Na jego miękkich wargach o nienagannej linii gościł łagodny uśmiech.

Susan podała panu Bufurdowi moje papiery. Rozłożył je i przejrzał, a potem szybko podniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Witam. Dziewczęta - zwrócił się do klasy - poznajcie Rain Arnold. Na razie możesz usiąść tutaj, Rain - powiedział, wskazując na pustą ławkę w jednym z przednich rzędów. Szybko zajęłam wskazane miejsce. - Właśnie przygotowujemy się do lektury Hamleta. Jeszcze tego nie czytałaś, prawda?

- Owszem, czytałam - odparłam. - Co prawda, nie przerażaliśmy Hamleta w szkole. Przeczytałam go sama, w domu.

- Sama? - Pan Bufurd popatrzył po uczennicach. - Ciekaw jestem, czy przyszło wam kiedyś do głowy coś podobnego? Żeby samej przeczytać książkę? Jeśli któraś z was czytała Hamleta, niech podniesie rękę - dodał z życzliwym uśmiechem.

Dziewczyny zaczęły chichotać, ale żadna nie podniosła ręki. Pan Bufurd odwrócił się do mnie.

- Od roku próbuję zaszczepić w tych łepetynach nawyk samodzielnej lektury - rzekł, kiwając z ubolewaniem głową - ale, niestety... - zawiesił głos i westchnął smutno - ...bez skutku.

Dziewczyny znów się rozchichotały.

Susan zwlekała jeszcze przez chwilę z odejściem, tęsknie spoglądając na przystojnego nauczyciela. Wyglądała, jakby gotowa była oddać duszę, żeby móc cofnąć czas i zostać jedną z nas - uczennic. Wreszcie westchnęła cicho i wyszła.

- Co może nam pani powiedzieć o Hamlecie, panno Arnold? - podjął temat pan Bufurd.

Dziewczyny się ożywiły. W ich spojrzeniach dostrzegłam nieskrywaną nadzieję na to, że się zbłąźnię.

- Co chciałby pan wiedzieć? - spytałam. - Rzecz dzieje się w Danii. Bohaterem jest książę, którego ojciec zginął otruty przez stryja i którego matka poślubiła owego mordercę.

- To taka historia? - spytała z ożywieniem szczupła, długowłosa blondynka, siedząca o dwie ławki ode mnie. - Bałam się, że to będzie coś nudnego.

- No proszę - powiedział pan Bufurd. - Czy teraz, kiedy wiesz, że to historia zbrodni, Hamlet wydaje ci się bardziej interesujący, Maureen?

Dziewczyny znowu zachichotały.

- Ale Hamlet jest nie tylko historią morderstwa, prawda, panno Arnold?

- Tak mi się wydaje. Pada tam wiele pytań dotyczących życia i miłości.

- Miłości? - Ciemnowłosa dziewczyna podniosła krótko ostrzyżoną głowę i popatrzyła na mme wielkimi brązowymi oczami. Miała dziecinną, pucołowatą buzię.

- I seksu. - Pan Bufurd pokiwał głową. - Nie zapominaj o seksie, Tamatha. Prawda, panno Arnold?

- Nie sędzę, żeby można było uznać Hamleta za film dozwolony od siedemnastu lat - odpowiedziałam, co znowu wywołało śmiech pana Bufurda.

Dziewczyny spoglądały po sobie zdumione. To było tak, jakbym prowadziła prywatną rozmowę z nauczycielem.

- Dobrze - podjął pan Bufurd. - A czy zapamiętałaś z Hamleta jakiś cytat, oczywiście poza sławnym „Być albo nie być”?

Popatrzyłam po dziewczynach, a potem przeniosłam spojrzenie na nauczyciela. Czekał, trzymając w dłoni kredę, z drugą ręką wspartą na biodrze.

- „Zawsze pozostać wiernym sobie”.

Kiedy to powiedziałam, uśmiech pana Bufurda zrobił się szerszy. Skłonił przede mną głowę.

- Witam w Szkole Dogwoodów, Rain.

Gdy tylko skończyła się lekcja angielskiego, większość dziewczyn zebrała się wokół mnie, wypyując, skąd jestem i dlaczego dołączyłam do ich klasy dopiero w drugiej połowie roku szkolnego. Ani babka Hudson, ani moja matka nie przygotowały mnie na takie pytania, więc musiałam wymyślać odpowiedzi na poczekaniu. Oświadczyłam dziewczynom, że trafiłam do ich szkoły w wyniku programu wymiany obejmującego młodzież z biednych dzielnic, sponsorowanego przez prywatne instytucje dobroczynne. Dobroczynność i programy wymiany były dla nich czymś tak oczywistym, że żadna z nich nie wyraziła najmniejszych wątpliwości co do prawdziwości tych wyjaśnień. Moje dotychczasowe życie budziło ich ogromne zainteresowanie, zasypywały mnie pytaniami o warunki panujące w tak zwanym murzyńskim getcie. Wypytywały o gangi i przestępczość, ale czułam, że to, co opowiadam, odbierają raczej jak coś w rodzaju sprawozdania z telewizyjnej kroniki kryminalnej niż obrazków rzeczywistego świata.

Tylko jedna dziewczyna, Audrey Stampelton, trochę niezgrabna z powodu zbyt szerokich bioder i krótkich nóg, pozostała na swoim miejscu i nie wtrącała się do rozmowy, choć widziałam, że uważnie słucha każdego słowa. Domyślałam się, że chętnie by się przyłączyła, ale jest na to zbyt nieśmiała. Po lunchu zebrała się na odwagę i w powrotnej drodze podeszła do mnie na korytarzu.

- Jesteśmy sąsiadkami - powiedziała. - Nasza posiadłość leży tuż na południe od majątku Hudsonów. - Wyrzuciła to z siebie i natychmiast przyśpieszyła kroku, jakby się bała, że mogłabym podjąć rozmowę.

- Co ją ugryzło? - mruknąłam do siebie.

- Audrey jest neurotyczną introwertyczką - wyjaśniła tonem eksperta Maureen Knowland. - To prawie dziecko natury, dzięki czemu fantastycznie wypada na scenie.

- Na scenie? Jako kto? Audrey śpiewa?

- Nie, jako aktorka - wtrąciła ze śmiechem Pauline Bgart. - Występuje we wszystkich przedstawieniach pana Bufurda.

- Kocha się w nim do szaleństwa - obwieściła radośnie Maureen.

- Tak jak ty - przycięła jej Tamatha Stevens. Zanim Maureen zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Tamatha dodała: - I jak ja. Wszystkie się w nim kochamy. Masz szczęście, że jest twoim opiekunem, Rain. Gdyby mnie się tak trafiło, sto razy dziennie zgłaszałabym się do niego z jakimiś problemami.

Tamatha roześmiała się głośno, a reszta dziewczyn zaczęła chichotać. Śmiały się przez całą drogę do klasy.

Nic dziwnego, że pan Bufurd narzekał na ich łepetyny, pomyślałam i także się roześmiałam.

Czy nie traktowałam wszystkiego zbyt lekko? Nowa szkoła wydawała mi się zdumiewająco przyjazna. Szkoła, w której nie było dziewczyn takich jak Nicole, gotowych rzucić się na mnie z pięściami z byle powodu, wydawała mi się cudownie bezpiecznym miejscem.

A może to wszystko jest jedynie złudzeniem? Lepiej zachować ostrożność, pomyślałam. Dotychczas nic w życiu nie przychodziło mi łatwo. Nie miałam powodów, żeby uwierzyć, że teraz się to zmieni.

Po ostatniej lekcji zgłosiłam się do pana Bufurda, żeby zadać mu kilka pytań i dowiedzieć się czegoś więcej o szkole, ale gdy tylko weszłam do klasy, nauczyciel poinformował mnie, że właśnie rozpoczął nabór chętnych do *Naszego miasta*.

- Dziś, niestety, nie znajdę dla ciebie tyle czasu, ile powinienem ci poświęcić, ale obiecuję, że porozmawiamy jutro. Będę miał wolną godzinę - wyjaśnił mi. - Czy masz jakieś pilne sprawy, które chciałabyś załatwić dzisiaj?

- Nie - odpowiedziałam. - Jak na razie, wszystko układa się znakomicie. Będę musiała nadrobić trochę materiału z matematyki, ale myślę, że dam sobie radę.

- Podoba mi się to - rzekł, kiwając głową i wpatrując się we mnie pięknymi zielonymi oczami. - Wiara we własne siły bez domieszki próżności. To takie odświeżające. - Zastanawiał się przez chwilę, a potem spytał: - Do tej pory pewnie było ci w życiu nielekkko, co, Rain?

- To prawda - przyznałam.

- Wyznam ci coś w tajemnicy - powiedział. - Sam pochodzę z biednej rodziny. Do dziś spłacam kredyt zaciągnięty na studia. - Pan Bufurd spakował książki do teczki, zatrzasnął zamek i popatrzył na mnie. - Występowałaś kiedykolwiek na scenie?

- Nie - powiedziałam.

- A może mogłabyś posiedzieć z nami na przesłuchaniach? Pokręciłam głową.

- Nie masz nic do stracenia. Jeśli nie zostaniesz przyjęta, nie czeka cię nic strasznego. Osobiście uważam, że byłaby to dla ciebie znakomita okazja, żeby się wciągnąć do nowego środowiska, nawiązać nowe przyjaźnie, zaangażować w coś - powiedział. - Powinnaś zastanowić się nad moimi słowami. Ostatecznie jestem twoim doradcą naukowym i opiekunem.

- Za pół godziny ma po mnie przyjechać kierowca - wyjaśniłam, spoglądając na zegar.

- Zatem masz mnóstwo czasu - powiedział pan Bufurd. - Chodź ze mną do teatru, po drodze porozmawiamy. No chodź - powtórzył. - To nie boli.

Roześmiałam się.

- Dobrze.

Polubiłam pana Bufurda, ponieważ nie ograniczał się do

zadawania pytań. Po drodze do teatru opowiadał mi o swoich trzech siostrach, z którymi wychował się pod Baltimore; o tym, jak wahał się między teatrem a powołaniem nauczycielskim i jak wreszcie zdecydował się na wybór szkoły.

- Chyba byłby z pana dobry aktor - powiedziałam.

- Może, ale w sztuce nie chodzi o to, żeby zostać dobrym; do tego, żeby być aktorem, trzeba mieć prawdziwe powołanie. Zamieniasz głowę i ramiona w taran i walisz w drzwi, dopóki się nie uchyla odrobinę, a wtedy stajesz do zawodów, uczysz się, jak się sprzedawać, depcesz po innych, dopóki się nie przebijesz na afisze. Mnie najwyraźniej nie starczyło zapału, żeby iść tą drogą. Zresztą nabijanie dziewczynom łepetyn Szekspirem jest zapewne niewiele wdzięczniejszym zajęciem. - Miło mi spotkać kogoś, kto interesuje się literaturą - dodał po chwili i wskazał na wejście do teatru. - Jesteśmy na miejscu.

Wzięłam głęboki oddech i weszłam do środka. Hol był urządzony jak foyer w najprawdziwszym teatrze, z kasą, szatnią, bufetem i afiszami w gablotach na ścianach.

Pan Bufurd otworzył drzwi na widownię.

- Jaka ogromna.

- Osiemset miejsc - powiedział z dumą w głosie. - Ładna sala. Wielka scena.

Na scenie teatru czekała na nas gromadka dziewczyn i chłopców. Widownia rozbrzmiewała ich śmiechem. Na widok pana Bufurda wszyscy się uciszyli i zajęli miejsca, przy czym chłopcy poruszali się równie szybko i zwinnie jak dziewczyny.

- Dobry wieczór wszystkim - powitał ich nauczyciel. - Dziękuję za przybycie.

Podeszła do nas wysoka blondynka o zielonych oczach, tylko odrobinę jaśniejszych od oczu pana Bufurda. Miała na sobie długą spódnicę i błękitny kaszmirowy sweter, który ściśle przylegał do jej zgrabnej figury. Pod pachą trzymała notatnik i plik scenopisów.

- Dobry wieczór, Colleen - powiedział pan Bufurd. - To nasza nowa uczennica, Rain Arnold.

- Cześć - rzuciła blondynka, nie tracąc zbyt wiele czasu na powitania. - Mam tu wszystkie nazwiska w kolejności alfabetycznej - oznajmiła.

- Świetnie. Colleen jest moją asystentką- wyjaśnił pan Bufurd. - Zamierza poświęcić się pracy w teatrze.

Twarz dziewczyny jaśniała dumą.

- Rain Arnold? - spytała.

Kiwnęłam głową.

- To będzie jedna z pierwszych pozycji na liście, prawda? - zapytał pan Bufurd.

- Mamy Atwella - odpowiedziała Colleen, spojrzawszy na listę. - Martina.

- Wygląda na to, że będziesz musiała zrobić początek- zwrócił się do mnie pan Bufurd. - Tego się spodziewałem. Colleen pokaże ci, co masz przeczytać.

Usiadł na widowni, pośrodku trzeciego rzędu, za wszystkimi uczniami. Colleen wręczyła mi tekst i wskazała miejsce, od którego miałam zacząć.

- Lubi, żeby czytać zinnym głosem - powiedziała.

Zajrzałam do tekstu. To był akurat jeden z moich ulubionych fragmentów, w którym Emily Webb żegna się z życiem, ze wszystkimi drobnymi, ale ważnymi sprawami. Pamiętam, że płakałam, kiedy to czytałam.

- Gdzie mam...

- Na scenie - powiedziała Colleen. - A gdzież by indziej? No, zaczynaj.

Spojrzałam na pana Bufurda. Z plikiem papierów i długopisem w dłoni wydał mi się nagle obcy i oficjalny.

- Zaczynamy! - zawołał.

Po co ja się w to wszystko wpakowałam? - zastanawiałam się, wchodząc na scenę. Wszyscy na mnie spoglądali, niektóre dziewczyny były wyraźnie wściekłe, że tak śmiało wdzieram się na ich terytorium pierwszego dnia pobytu w ich szkole.

Stanąłam na scenie i popatrzyłam na widownię, ale reflektory świeciły mi w oczy i nie widziałam wyraźnie pana Bufurda.

- Zaczynaj! - powtórzył pan Bufurd, dostrzegając moje niepewne spojrzenie.

Rozległy się pojedyncze śmiechy.

Nic się nie dzieje, powiedziałam sobie i zaczęłam. Czytając, myślałam o mamie i o naszym rozstaniu. Na wspomnienie tej chwili łzy napłynęły mi do oczu, a smutek omal nie odebrał głosu, nim skończyłam. Kiedy umilkłam, nie rozległy się żadne oklaski, żadne odgłosy, tylko ciche szelesty.

- Dziękuję, Rain - usłyszałam głos pana Bufurda. - Poproś kolejną osobę, Colleen.

- Atwell Martin - odczytała Colleen.

Zeszłam ze sceny i zebrałam swoje książki. Pan Bufurd uśmiechnął się do mnie, po czym odwrócił głowę i spojrzał na scenę. Szybko ruszyłam do wyjścia, a potem alejkami do podjazdu, gdzie czekał na mnie Jake. Stał oparty o rolls-royce'a, rozmawiając z ogrodnikiem.

- Cześć! - zawołał na mój widok. - Skąd przychodzisz?

- Z teatru - wyjaśniłam. - Byłam na przesłuchaniu kandydatów do ról w sztuce.

- A niech cię! - Otworzył tylne drzwi, a ja zanurkowałam do obszernego wnętrza.

W drodze do domu Jake był równie rozmowny jak rano, gdy jechałam z nim do szkoły. Zасыpywał mnie pytaniami, ale niekiedy, zanim zdążyłam odpowiedzieć, sam zaczynał mi opowiadać o własnych doświadczeniach szkolnych.

Naprawdę się spodziewałam, że moja babka będzie mnie wypytywać o to, co wydarzyło się pierwszego dnia w szkole, ale Merilyn powiedziała mi, że ucina sobie właśnie popołudniową drzemkę i pojawi się prawdopodobnie dopiero na kolacji. Poszłam więc do swojego pokoju i wzięłam się do lekcji. Miałam sporo zaległości. Nie byłam całkiem szczerą z panem Bufurdem. Dziewczyny w Szkole Dogwoodów ze wszystkich przedmiotów były bardziej zaawansowane ode mnie. Wstydziałam się przyznać do tego, że jestem tak opóźniona w nauce.

Kiedy rozdzwonił się telefon, przez chwilę po prostu patrzyłam zdumiona na aparat. Zapomniałam, że go mam.



- Halo?  
- Rain, skarbie?  
- Mama! - krzyknęłam. - Dzwoniłam do ciebie, ale telefon był wyłączony.

- Wyłączyli go w dzień po twoim odjeździe. Ken nie zapłacił rachunku, ja też kompletnie o tym zapomniałam. Zresztą i tak mi to nie przeszkadzało, bo już się pakowałam, żeby wyjechać. Jestem w Północnej Karolinie u cioci Sylvii. Jak sobie radzisz, moje dziecko?

- Och, mamó. To wielki dom, oni są bardzo bogaci, a szkoła jest piękna, ale czasem okropnie za tobą tęsknię. I za Royem. Co u niego słychać? Gdzie teraz jest? - zasypałam ją pytaniami, żadna nowin.

- Nie miałam jeszcze od Roya żadnych wieści - powiedziała. - Wiesz, Roy nie przepada za pisaniem listów, więc jeśli nie pofatyguje się do telefonu, minie trochę czasu, zanim czegoś się dowiem. Dobrze się tam czujesz, Rain?

Umilkłam. Jeśli powiem mamie, jak się czuję w nowym domu, tylko ją zmartwię, pomyślałam.

- Wszystko w porządku, mamó. Wiesz, oni są bogaci, ale wcale nie tacy szczęśliwi, jak ci się wydaje.

- To tylko pierwsze wrażenie, Rain. Poczekaj trochę, a jestem pewna, że spotka cię coś wspaniałego.

Potem podała mi swój adres i numer telefonu. Obiecałam, że będę regularnie pisała.

Kiedy skończyłyśmy rozmowę, usiadłam na łóżku, walcząc ze łzami. Okropnie bolało mnie serce. Życie wydawało mi się takie niesprawiedliwe. Żeby się nie zamartwiać, zajęłam się nauką, a potem przebrałam do kolacji.

Tym razem, kiedy zeszłam na dół, pani Hudson już siedziała w jadalni. Przez chwilę bałam się, że jestem spóźniona. Moja babka była równie elegancka jak wczoraj, ale wyglądała na bardziej zmęczoną.

Przywitałam się z nią i usiadłam na swoim miejscu. Merilyn właśnie zaczęła podawać do stołu, gdy zadzwonił telefon.

- Czy mam odebrać, proszę pani? - spytała Merilyn.

- Tak, tak - powiedziała pośpiesznie moja babka. - Może to twoja matka - odezwała się do mnie, kiedy Merilyn wyszła z jadalni. - Miała tu zadzwonić, żeby się dowiedzieć, czy jeszcze żyjesz.

- Wiem, już dzwoniła.

Moja babka uniosła brwi.

- Mogłaby mieć tyle wychowania, żeby ze mną również zamienić kilka słów. Dlaczego moim dzieciom się wydaje, że wszystko, co dostają, po prostu im się ode mnie należy?

Już chciałam podsunąć jej odpowiedź, gdy w drzwiach stanęła Merilyn z wiadomością, że telefon jest do mnie.

- Już się zaczyna? - rzuciła zirytowana babka. - Koledzy, koleżanki czy...

- Przepraszam, pani Hudson. - Merilyn skłoniła się lekko.

- Tak?

- To ani kolega, ani koleżanka. To jej nauczyciel, pan Bufurd. Powiedziałam mu, że Rain właśnie je kolację, więc poprosił tylko, żeby przekazać, że wystąpi w roli Emily Webb. Próby zaczną się jutro.

## JAK PADAJĄ MOCARZE

- Co to znaczy? - spytała moja babka.

Kiedy wyjaśniłam jej, kim jest Emily Webb w *Naszym mieście* Wildera, zrobiła wielkie oczy, a miejsce umiarkowanego zainteresowania na jej twarzy zajął wyraz uznania.

- Całkiem nieźle jak na pierwszy dzień w nowej szkole - mruknęła. Ze wszystkiego, co dotąd powiedziała pod moim adresem, te słowa najbliższe były pochwały.

- Nie wiem, czy powinnam się tego podejmować - wyraziłam wątpliwości, co okazało się wielkim błędem.

- Nie wiesz, czy powinnaś się tego podejmować? - Moja babka wyprostowała się na krześle. Jej twarz zrobiła się purpurowa. - A to czemu? Bo wymaga to od ciebie trochę pracy? Czy twoja rodzina żyła z zasiłku? Czy przywykłaś do tego, że po prostu wszystko dostajesz za darmo?

- Nie - zaprzeczyłam, czując, jak pod moimi powiekami wzbierają łzy. - Mama nigdy nie korzystała z pomocy społecznej. Ken, owszem, nie przepuścił żadnej okazji, jaka się nadarzyła, ale mama nigdy nie wyciągnęła ręki po pomoc. I wcale nie jest tak, że boję się pracy. Czy naprawdę myśli pani, że łatwo mi było nauczyć się czegoś w mojej dawnej szkole, w murzyńskiej dzielnicy? Nie dostawałam dobrych ocen na piękne oczy - powiedziałaś dobitnie. - Nigdy w życiu nie podano mi niczego na srebrnej tacy.

Wstrzymałam oddech, spodziewając się, że moja babka

wybuchnie gniewem po tyradzie. Tymczasem, ku memu zaskoczeniu, kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu, a w oczach pojawił się wyraz zadowolenia. Co za zdumiewająca kobieta, pomyślałam.

- Skoro powiadasz, że zmagając się z przeciwnościami losu, to dlaczego występ w szkolnym przedstawieniu wydaje ci się niemal wspinaczką na Olimp? Czemu nie jest to dla ciebie bułka z masłem?

- Bo... bo jeszcze nigdy w życiu nie robiłam nic podobnego - wymamrotałam zakłopotana.

- I co z tego? Czy masz zamiar uciekać przed każdym nowym zadaniem, przed jakim staniesz? Gdzie ty masz kręgosłup? Mimo wszystkich zastrzeżeń, jakie miałam wobec twojej matki, gdy chodziła do college'u, jedno musiałam jej przyznać. Nigdy nie uciekała przed wyzwaniem, nawet jeśli oznaczało to, że musi znieść zniewagi i ubóstwo, jakich wcześniej nie zaznała. - Oczywiście - dodała - nie potrafię powiedzieć, czy dziś jest tą samą kobietą, jaką była wówczas.

- A co z moim ojcem?

- Z twoim ojcem?

- Niewiele o nim wiem.

- To tak jak ja - odparła. - I jeśli o mnie chodzi, wolę, żeby tak zostało.

To zakończyło dyskusję. Kiedy babka Hudson uznała rozmowę za skończoną, nie miało sensu próbować dłużej jej ciągnąć.

Następnego dnia lista osób stanowiących obsadę sztuki została wywieszona na drzwiach gabinetu pana Bufurda i wszyscy mogli się dowiedzieć, że przypadła mi w udziale powszechnie pożądana rola Emily Webb. Dziewczyny, które już wcześniej zazdrościły mi, że pan Bufurd został moim doradcą do spraw programu nauki, pękały z zazdrości. Większość z nich znosiła ją w milczeniu, ale Maureen Knowland ostudziła mój entuzjazm, mówiąc:

- Ciekawa jestem, co na to powie Corbette Adams.

- Co masz na myśli?

Corbette Adams, który chodził do Słodkiego Williama, miał zagrać George'a Gibbsa, który w sztuce kocha Emily i zostaje jej mężem.

- Myślę, że to oczywiste - rzuciła Maureen, wchodząc do klasy.

Wszystkie dziewczyny poza Audrey ciągnęły za nią. Ich śmiech dźwięczał mi w uszach jak stukanie puszek uwiązanych na sznurku do tylnego zderzaka samochodu.

Popatrzyłam na Audrey.

- Rozumiesz, o co jej chodzi?

Audrey uniosła na mnie wzrok, a potem przebiegła spojrzeniem po liście aktorów. Miała zagrać matkę George'a Gibbsa.

- Jesteś Afroamerykanką - powiedziała. - Owszem, masz jasną karnację, jednak...

- Co?

- Domyślam się, że dla nich jesteś po prostu czarna-dokończyła ze wzruszeniem ramion.

- Och - westchnęłam i przyjrzałam się nazwiskom na liście. Co powiedziałyby na to moja babka? Czy dalej twierdziłyby, że to tylko w moich oczach kretowisko wyrasta do rozmiarów Olimpu? - Znasz tego Corbette'a Adamsa?

- Mhm - mruknęła Audrey. - W zeszłym roku graliśmy razem w *Harveyu*. Corbette grał Elwooda, a ja jego siostrę.

- No i jaki on jest?

- Nie wiem. Myśmy tylko grali razem na scenie - odpowiedziała, jakbym pytała ją o najgłębsze, najbardziej mroczne tajemnice. Spuściła wzrok, a potem pośpieszyła do klasy.

Wróciłam spojrzeniem do listy. Skoro pan Bufurd uznał, że mogę zagrać tę rolę, to fakt, że jestem półkrwi Afroamerykanką, najwyraźniej nie ma takiego wielkiego znaczenia, uznałam.

Nie zmieniło to jednak faktu, że przez cały dzień czułam się nieswojo, a do teatru szłam z bijącym mocno sercem. Pierwszy raz w życiu miałam uczestniczyć w próbie teatralnej,

ale wcale nie czułam radosnego podniecenia. Ciągłe nie mogłam się ostatecznie zdecydować. Powtarzałam sobie, że w każdej chwili mogę się jeszcze wycofać.

Kiedy weszłam na salę, wszyscy już byli. Z ich spojrzeń od razu wyczytałam, że rozmawiali na mój temat. W końcu musiało ich intrygować, kim jest ta dziewczyna, która odniosła tak oszałamiający sukces, gdy tylko znalazła się w czcigodnych murach Szkoły Dogwoodów. Czy miałam w niej jakieś szczególne wpływy? Czy zasługiwałam na rolę Emily? Co myślał o tym pan Bufurd? Jak Corbette zagra zakochanego we mnie George'a?

Powoli podeszłam do siedzących na scenie chłopaków i dziewczyn. Asystentka pana Bufurda, Colleen Littlefield, wyszła przed innych.

- Spóźniłaś się - oznajmiła ze złowieszczą miną, kiwając głową. - Pan Bufurd w nieskończoność powtarza, że wszyscy muszą przychodzić na czas. Wejście we właściwej chwili ma zasadnicze znaczenie dla dobrego wrażenia - pouczyła mnie przemądrzałym tonem.

Inni obserwowali nas, ciekawi, jak zareaguję.

- Przepraszam - powiedziałam - ale wydaje mi się, że nie spóźniłam się tak bardzo.

- Spóźnienie to spóźnienie. Równie dobrze mogłabyś twierdzić, że nie bardzo jesteś w ciąży - dodała Colleen, co wywołało śmieшек. - Co ma zrobić reszta zespołu, kiedy ktoś przegapi swoje wejście?

- Zgadnij - rzucił któryś z chłopaków i wszyscy naraz wybuchnęli gromkim śmiechem. Zabrzmiało to jak śmiech niewidzialnych widzów w telewizyjnym serialu komediowym.

Rozejrzałam się wokół.

- Nie widzę jeszcze pana Bufurda - powiedziałam.

- Niedługo przyjdzie. Pod jego nieobecność ja się zajmuję zespołem. Wprawiam wszystko w ruch. Na tym polega moja praca - oświadczyła zadowolonym z siebie tonem.

- To się nią zajmij - zareplikowałam. Jeśli wydawało jej się, że mnie zakrzyczy i zastraszy, to powinna się udać na

lekcje do Nicole. - Na razie tracisz czas na komedianckie popisy.

Uśmiech natychmiast zniknął z ust Colleen. Kilka osób odwróciło głowy, żeby zobaczyć, jak się zachowa. Tylko Audrey wyglądała na zadowoloną.

- Czołem, załogo - usłyszeliśmy głos pana Bufurda. - Przepraszam za niewielkie spóźnienie.

Podeszłam do Colleen.

- Dlaczego on nie przychodzi na czas? Co powinniśmy teraz robić?

Oparty plecami o scenę chłopak roześmiał się głośno, a w jego szafirowych oczach pojawił się błysk uznania. Był wysoki i postawny. Kasztanowe włosy, w blasku reflektorów połyskujące odcieniem miedzi, opadały mu na szerokie ramiona ponad kołnierzykiem białej koszuli. Każda dziewczyna przy zdrowych zmysłach uznałaby, że to przystojny facet, pomyślałam. Przechylił trochę głowę w prawo, jakby czekał na moje dalsze słowa, i naraz nasze spojrzenia się spotkały.

Jego oczy nie zdradzały najmniejszego niepokoju, natomiast lekko rozchylił wargi. Miał prosty, rzymski nos, pozostający w idealnej proporcji do rysów twarzy, pewne siebie spojrzenie i jakąś wewnętrzną siłę, ale inną niż ta, którą widziałam zawsze w oczach Roya. Siła nieznanego czerpała z głębokich pokładów wiary we własne ogromne możliwości, a nie z bólu czy gniewu. Jego oczy pierwsze oderwały się od moich, nie po to jednak, żeby w ogóle opuścić moją osobę. Przeciwnie, najpierw obejrzał uważnie resztę mojej twarzy, przesunął wzrokiem po szyi, zatrzymał się na chwilę na piersiach, a potem powędrował dalej po biodrach i udach, aż do stóp, aby podjąć równie niespieszną powrotną podróż w górę, aż do moich oczu. Gdy nasze spojrzenia spotkały się ponownie, znalazłam w jego wzroku jeszcze większą ciekawość, a może nawet uznanie.

- Więc już się znacie... to dobrze - ucieszył się pan Bufurd, rzucając teczkę na krzesło. - Czy zapoznałaś już Rain z resztą zespołu, Colleen?

- Jeszcze nie, panie Bufurd. Przyszła tu dosłownie na sekundę przed panem.

- No dobrze. Słuchajcie, to jest moje najnowsze odkrycie - Rain Arnold. Mam nadzieję, że pomożecie jej poczuć się częścią naszej małej rodziny. Jak wiedzą ci z was, którzy uczestniczyli w realizacji moich wcześniejszych projektów, nie zajmuje nam wiele czasu zadziergnięcie tej szczególnej więzi, bez której wszystko kuleje. Od tej chwili każdy z całego serca życzy wszystkim innym powodzenia. - Wszyscy dostali już tekst, Colleen? - spytał, odwracając się do swojej asystentki.

- Wszyscy poza Rain Arnold, panie Bufurd - odpowiedziała Colleen słodkim jak syrop głosem.

- To daj Rain tekst i zabieramy się do pracy - zakomenderował pan Bufurd, klaskając w dłonie.

Colleen cisnęła we mnie egzemplarzem, jakby to był sztylet. Usiedliśmy na swoich miejscach.

- Najpierw niech wszyscy się przedstawia, potem przeczytamy sztukę. Zaczniemy od... Gerałda - powiedział pan Bufurd.

- Gerald Longchamp - odezwał się tęgi szatyn. - Gram pana Webba. - Chłopak popatrzył na mnie z niepewnym, krzywym uśmiechem. - Ojca Emily.

Zaraz potem dowiedziałam się, że przystojniak, który mi się tak przyglądał, to Corbette Adams grający George'a Gibbsa.

- Dla tych, którzy nie znają sztuki, kilka słów wstępu na temat inscenizacji - powiedział nauczyciel.

- Panie Bufurd - odezwała się Maureen Knowland, unosząc wysoko rękę. Grała Rebeccę Gibbs, siostrę George'a.

- Tak, Maureen?

- Zanim pan przyszedł, zastanawialiśmy się, jak pan zamierza rozwiązać pewien problem.

Słowo „problem” wypowiedziała bardzo wymownym tonem, spoglądając przy tym na mnie takim wzrokiem, że serce zaczęło walić mi w piersi.

- Problem? - spytał z zakłopotanym uśmiechem pan Bufurd. - Jaki problem? Ja tu widzę około dwustu problemów.



- Największy problem, panie Bufurd - zaszczebiotała Maureen. - Oczywiście wszyscy czytaliśmy *Nasze miasto* na lekcjach angielskiego i wiemy, że akcja rozgrywa się w małym miasteczku w Nowej Anglii. Wydaje mi się, że wtedy nie zdarzały się małżeństwa mieszane.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wszyscy wokół wstrzymali oddech, napięli mięśnie. Nikt nie poruszył ani ręką, ani nogą, nie było słyhać nawet szelestu ubrań.

Pan Bufurd przez chwilę patrzył na Maureen, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi.

- Ach - powiedział, kiedy wreszcie dotarł do niego sens jej pytania. Istotnie jest dobrym aktorem, pomyślałam. - Chodzi ci o to, że nasi George Gibbs i Emily Webb odbiegają trochę od tradycji?

- Trochę? - prychnęła Maureen i popatrzyła po reszcie, ale poza stojącą obok pana Bufurda Colleen wszyscy spuścili wzrok. Maureen wypchnęła czubkiem języka policzek i spojrzała na mnie, jakbym była cuchnącą bezdomną, która nie wiadomo skąd się wzięła.

- To ciekawe zagadnienie - rzekł pan Bufurd. - Nie chcę wygłaszać w tej chwili wykładu, ale wiecie, że Ameryka zawsze była, jak to się mówi, tygłem narodów i ras. Do wielkich zalet *Naszego miasta* należy to, że znakomicie nadaje się do adaptacji. To nie jest dramat rodzajowy, więc nie musisz się martwić o wierność wobec realiów, Maureen. Prawdę mówiąc, myślałem nawet o tym, żeby dodać w zakończeniu akapit podkreślający, że kolor skóry stanowi kolejną „warstwę nonsensu” w naszym życiu. Czy takie wyjaśnienie wszystkim wystarcza? - zakończył.

Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zerknąć na Corbette'a, który popatrzył na mnie, a potem szybko przed siebie.

- No to w porządku, zaczynamy - powiedział pan Bufurd i zaczęła się próba.

Odczytaliśmy dwa pierwsze akty, przy czym od czasu do czasu pan Bufurd przerywał nam, żeby objaśnić jakiś fragment

tekstu, albo opowiedzieć, jak wyobraża sobie daną scenę. Czytając swoją kwestię w scenie z George'em Gibbem, czułam na sobie spojrzenie Corbette'a Adamsa. Uniosłam wzrok i zobaczyłam na jego ustach uśmiezek. Potem Corbette spoważniał i zaczął czytać swoją partię. Ku mojemu zdziwieniu wyglądało na to, że już opanował tekst na pamięć. Nie potrafiłam się powstrzymać, by nie spytać go o to po próbie.

- Zawsze wiedziałem, że pewnego dnia dostanę tę rolę - wyjaśnił. - Więc już dawno zacząłem się jej uczyć. A jak tobie wchodzi?

- Proszę?

Większość ludzi opuszczała powoli teatr, ociągając się, żeby posłuchać naszej rozmowy. Maureen wręcz stała i gapiła się na nas, jakbyśmy już występowali na scenie.

- Trudno ci zapamiętać swoją rolę? - wyjaśnił głosem, w którym zbyt wyraźnie pobrzmiwał ton wyższości, żebym mogła tego nie odczuć.

- Nie wiem jeszcze, ale chyba nie jest to bardzo trudne. Oczywiście nigdy się nie spodziewałam, że przyjdzie mi zagrać Emily Webb. Prawdę mówiąc, w ogóle nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będę występowała w przedstawieniu teatralnym. Dopiero co trafiłam do Szkoły Dogwoodów.

- Wiem - powiedział, wciąż z tym swoim zadowolonym uśmiechem. Przynął się do mnie bliżej. - Nieźle namieszłaś w tyglu pana Bufurda. Mam nadzieję, że będzie z tego kupa zabawy - dodał, odwrócił się i dołączył do kumpli ze Słodkiego Williama.

Odwróciłam głowę i napotkałam wściekłe spojrzenie Colleen Littlefield. Patrzyła na mnie tak, jakbym była najobrzydliwszym stworzeniem na świecie. Jednak nie wzbudziło to we mnie lęku, lecz raczej doprowadziło do wybuchu złości, którą odczuwałam z powodu doznanej zniewagi. Być może przebudziła się we mnie po latach hibernacji babcia Hudson. Ruszyłam prosto na Colleen.

- Fatalnie zaczęłyśmy tę znajomość - odezwałam się - ale jeżeli naprawdę ci zależy na powodzeniu przedstawienia pana Bufurda, to daj spokój głupim uprzedzeniom rasowym i pomóż mnie także wypaść jak najlepiej.

- Nie mam żadnych uprzedzeń - uniosła się, spoglądając jednocześnie na pana Bufurda, aby się upewnić, że jej nie słyszy. - Dlaczego wy zawsze znajdujecie sobie jako wymówkę uprzedzenia rasowe, ilekroć tylko powie się pod waszym adresem najmniejsze słowo krytyki?

- Może dlatego, że uprzedzenia rasowe to wszystko, czego zaznaliśmy podczas ostatnich dwustu lat dziejów Ameryki - odpowiedziałam. - Ja w każdym razie nie zamierzam zrezygnować ze swojej roli bez wyraźnego polecenia pana Bufurda, więc lepiej zrobisz, jeśli pogodzisz się z moją obecnością - oświadczyłam i przypomniawszy sobie agresywne zachowania Nicole, przysunęłam twarz do jej twarzy tak blisko, że omal nie dostała ataku serca z wrażenia. Potem wbiłam spojrzenie w jej oczy i dodałam: - Lepiej nie wchodź mi więcej w paradę.

Nim zdążyła choćby mrugnąć, odwróciłam się i pomaszero wałam do wyjścia, wstrzymując oddech z nadzieją, że nie zmusi mnie, żebym wcieliła swoje groźby w czyn. Wypuściłam powietrze z płuc, dopiero gdy znalazłam się przed budynkiem na trawniku oświetlonym przez zniżające się nad horyzontem słońce.

- Niezła jesteś - usłyszałam, a odwróciwszy głowę, ujrzałam siedzącą w cieniu Audrey.

- Dzięki. Ty też jesteś dobra.

- Nie. Ja to mówię serio - odpowiedziała, podchodząc do mnie powoli. - Ty czytasz z uczuciem. Większość po prostu czyta i tyle. Nie dziwię się, że pan Bufurd wybrał cię do roli Emily.

- Dziękuję. - Tym razem mój ton był bardziej szczerzy, wciąż jednak zachowywałam pewną rezerwę. Dziewczyny ze Szkoły Dogwoodów znakomicie potrafiły ukrywać swoje prawdziwe uczucia za słodziutkimi minkami. Gdy napadła na mnie

Colleen, żadna nie przyszła mi z pomocą, a większość z nich sprawiała wrażenie raczej rozbawionych moimi kłopotami.

- Nie przejmuj się Colleen - poradziła mi Audrey, gdy szliśmy razem aleją przez park. - Ona jest taka okropna dla wszystkich.

- To żaden argument i, bądź pewna, nie pozwolę, żeby ktokolwiek mówił mi, co mam robić. Mój brat Roy zawsze powtarzał, że jeśli będziesz się zachowywać jak owca, inni będą postępować jak wilki.

Uśmiechnęła się.

- Gdzie jest twój brat? Chodzi do Słodkiego Williama?

- Nie - odpowiedziałam i roześmiałam się na samą myśl o takiej możliwości. - Zaciągnął się do wojska.

- Ja jestem jedynaczką. Masz więcej rodzeństwa?

- Nie. Miałam siostrę, ale zginęła.

- Zginęła? W wypadku samochodowym?

- Nie - powiedziałam. Zawahałam się. Zastanawiałam się, czy jeśli opowiem Audrey cokolwiek o swoim dotychczasowym życiu, nie rozgada tego od razu w całej szkole? - Powtarzasz plotki? - spytałam ostro.

Audrey przeraziła się nie na żarty.

- Nie... - zaprzeczyła szybko. Nie, ja tylko... ja tylko... - Wołała przyspieszyć kroku niż dokończyć. Zrobiło mi się głupio, że byłam dla niej taka niemiała.

- Audrey! - zawołałam. Odwróciła się. - Zaczekaj.

Zrobiła, o co prosiłam, ale trzęsła się ze strachu.

- Nie chciałam być nieprzyjemna - wyjaśniłam - ale trudno mi rozmawiać, bo dziewczyny tutaj nie robią na mnie wrażenia szczególnie szczerych.

Kiwnęła głową, a jej spojrzenie złagodniało.

- Bo nie są - przyznała. - Nie mam tu żadnej przyjaciółki - dodała po chwili. - Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, rzuciła: - Matka na mnie czeka. Muszę już iść.

Następnie dosłownie zbiegła do stojącego na parkingu czarnego mercedesa. Okrążyła samochód i wskoczyła na miejsce dla pasażera. W drzwiach kierowcy opuściła się szyba i z okna

wyjrzała na mnie sponad zsuniętych na czubek nosa słonecznych okularów drobna, ciemnowłosa kobieta. Potem szyba się zamknęła i mercedes odjechał.

Chwilę później zjawił się na parkingu Jake i ja również wyruszyłam w powrotną drogę do domu. Jake był jak zwykle rozmowny, na przemian to pytał mnie o coś, to sam mi coś opowiadał. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak wyglądają jego rozmowy z moją babką. Zanadto przypominał prawdziwych ludzi, był zbyt spontaniczny i bezpośredni. Pomyślałam, że mama również by go polubiła.

Kiedy zbliżaliśmy się do domu, zauważyłam stojący na podjeździe samochód i Jake powiedział mi, że u babci był lekarz.

- Co się stało? - spytałam szybko.

- Czy pani Hudson nie mówiła ci, że ma nieustanne kłopoty z sercem? - spytał. - Nie - odpowiedział natychmiast sam sobie. - Z pewnością nie podzieliła się z tobą tą informacją, skoro nie chce się do tego przyznać nawet sama przed sobą.

- Jakie kłopoty z sercem?

- Nie wiem dokładnie, ale o ile się w tym orientuję, pani Hudson powinna się zdecydować na rozrusznik serca. Tyle że za nic nie chce tego zrobić. Ta kobieta nie przyzna się do żadnej słabości. Taką ma naturę - powiedział, ale były to słowa podziwu, a nie nagany. - Może tobie uda się ją przekonać, żeby o sobie zadbała.

Mnie? - pomyślałam i omal się nie roześmiałam. Nie wyobrażałam sobie, żebym mogła mieć na babkę Hudson jakikolwiek wpływ.

Kiedy weszłam do domu, lekarz schodził właśnie po schodach. Był wysokim szatynem z rudawym wąsem i ciemniejszymi włosami.

- Ty musisz być Rain - powiedział. - Jestem doktor Lewis. Córka pani Hudson opowiadała mi o tobie.

- Dzień dobry - przywitałam się. - Czy wszystko jest w porządku?

Zszedł ze schodów i stanął przede mną. Zerknął w górę, po czym znów przeniósł wzrok na mnie.

- Nigdy w życiu nie znałem nikogo, kto w taki sposób odnosiłby się do własnej choroby. Twoja babka traktuje ją jak zniewagę, jak afront dla dobrego imienia. Ona niemalże wyzywa choroby i dolegliwości, żeby ją dotknęły, a gdy to nastąpi, ogłasza je *personae non gratae* - powiedział ze śmiechem. - Przepraszam, nie powinienem robić sobie z tego żartów. To dlatego, że ilekroć tu przyjeżdżam, zawsze wychodzę z poczuciem klęski. Pani Hudson powinna sobie natychmiast wszczepić rozrusznik serca - powiedział - ale nikt w jej rodzinie nie miał jeszcze rozrusznika, więc... - Sięgnął do kieszeni i podał mi wizytówkę. - Choć jej by się to zapewne nie spodobało, wolałbym, żebyś miała numer mojego telefonu. Gdyby poczuła się gorzej, zadzwoń do mnie. Jak rozumiem, pani Hudson chciała mieć w domu kogoś prócz pokojówki. Uważam, że to dobry pomysł. Jeśli nic się nie wydarzy, wpadnę w ciągu tygodnia.

Ruszył do wyjścia, zatrzymał się jeszcze na chwilę w drzwiach, uśmiechnął się do mnie i wyszedł.

Wpatrywałam się w wizytówkę, zapamiętując wydrukowany na niej numer. Skąd miałam wiedzieć, kiedy moja babka poczuje się gorzej? Czułam, że biorę na siebie ogromną odpowiedzialność. Dlaczego nie zajmie się nią raczej Victoria albo moja matka?

Pośpiesznie ruszyłam schodami w górę. Gdy weszłam na piętro, usłyszałam babkę wzywającą mnie ze swojego pokoju, więc podeszłam do drzwi. Po raz pierwszy widziałam jej pokój. Mój wydawał mi się wielki, ale ten był co najmniej trzykrotnie większy, po części urządzonej jak bawialnią - z dwiema kanapami, fotelami, niskimi stolikami i lampami. Łóżko z ciemnego klonu osłaniał wsparty na czterech kolumnkach baldachim, a zagłówek pokrywały rzeźbione gałęzie i liście. Pokój był wyłożony puszystymi jasnoniebieskimi dywanami, ściany również pomalowano na jasnoniebieski kolor.

W pierwszej chwili nie dostrzegłam babci Hudson. Spodziewałam się, że leży w łóżku, ale potem dostrzegłam ją w fotelu. Miała na sobie aksamitny szlafrok.

- I co? - spytała. - Jak było na próbie? Zrezygnowałaś? - Kąciki jej ust opadały ku dołowi.

- Nie. Nie zrezygnowałam. Pomimo drobnych trudności na początku próby wszystko poszło dobrze.

- Jakie miałaś trudności?

- Nie ja je miałam. Raczej moje koleżanki.

Przedstawiłam jej obiekcje, jakie wyrażały niektóre z moich koleżanek. Wysłuchiwała mnie i pokiwała głową.

- Spodziewałam się czegoś takiego - powiedziała. - Megan zawsze chowa głowę w piasek. Jak na osobę gotową rzucić wyzwanie całemu światu ma zadziwiającą skłonność do unikania drażniących problemów rzeczywistości.

- Może to dziedziczne - zasugerowałam.

Moja babka uniosła brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czy pani sama również ich nie unika? Ma pani kłopoty ze zdrowiem. Powinna pani słuchać swojego lekarza, a tymczasem tego nie robi.

- Za wiele sobie pozwalasz. Za kogo ty się uważasz, że odzywasz się do mnie w taki sposób?

Nie ustąpiłam.

- Jestem pani wnuczką - przypomniałam łagodnie. - W domu, w którym się wychowałam, troszczyliśmy się o siebie nawzajem i nigdy nie słyszałam, że trzeba mieć na to specjalne zezwolenie.

Twarz mojej babki złagodniała, brwi powróciły na swoje miejsce.

- Mój lekarz przesadza - powiedziała tylko.

- Po prostu martwi się o pani zdrowie i próbuje robić to, co do niego należy - oznajmiłam. - Powinna się pani cieszyć, że ma lekarza. Na naszym osiedlu łatwiej było o wizytę Marsjanina niż doktora, a kiedy ktoś był chory i musiał jechać do szpitala, traktowano go tam jak numer statystyczny, a nie jak

człowieka. Lekarzy nic nie obchodziło, czy ktokolwiek słucha ich zaleceń, czy nie.

- Nie potrzebuję wykładu nastolatki o tym, jaka to jestem szczęśliwa - rzuciła gniewnym tonem moja babka.

- Z tego, co powiedział doktor, wynika, że dobrze by to pani zrobiło - odpaliłam.

Babcia Hudson wzięła głęboki oddech.

- Nie zejdę dziś na kolację. Przekaż to ode mnie służącej i powiedz jej, żeby tu do mnie przysłała.

- Czy dzwoniła pani do mojej matki, żeby powiedzieć jej o wizycie lekarza? Albo do jej siostry?

Moja babka zaczęła się śmiać. Nagle przerwała i poprawiła się w fotelu, zaciskając dłonie na poręczach.

- Nigdy o nic nie prosiłam i teraz również nie zamierzam się odwoływać do miłosierdzia moich dzieci. Ani też - dodała ostrym tonem - wnuków. A teraz rób, co mówię.

- Tak jest - odparłam posłusznie i wyszłam z pokoju.

Zastanawiałam się, czy duma zawsze jest taka dobra. Owszem, pozwala zachować pewność siebie, ale jeszcze częściej staje na drodze lepszym uczuciom, przede wszystkim miłości. Może babcia Hudson nie potrafiła kochać własnych córek i wnuków. Może błędem było zakładać, że to tylko one zawiodły. Stojąc spokojnie z zamkniętymi oczami i zastanawiając się nad tym wszystkim, pogrążałam się w wirze sprzecznych emocji. Lepiej było po prostu brnąć przed siebie, myśleć o przyszłości tylko tyle, ile to konieczne, i czekać na okazję, kiedy będę się mogła uwolnić.

Wówczas tego nie wiedziałam, ale wkrótce miało do mnie dotrzeć, że nie uwolnię się nigdy. Warunkiem ucieczki byłoby zaprzeczenie wszystkiemu, czym jestem, a tego, jak się miałam przekonać, nigdy bym nie potrafiła.

Tego wieczoru, jakby umiała czytać w moich myślach, zadzwoniła moja matka. Chciała wiedzieć, jak upłynęły mi pierwsze dni w nowej szkole. Gdy powiedziałam jej o sztuce



i roli, jaką w niej gram, była chyba dumna i zadowolona ze mnie. Potem powiedziałam jej o babci Hudson i o tym, co usłyszałam od lekarza.

- Robiłam, co mogłam, ale mama jest strasznie uparta. Jak ona się czuje? - spytała moja matka po chwili milczenia.

- Czuje się zbyt zmęczona, żeby zejść na dół na kolację.

Kolację zjadłam sama. Głupio się czułam, obsługiwana przez Merilyn. Jednak czy to dlatego, że obawiałam się, co powie moja babka, czy dlatego, że już po prostu do tego przywykłam, przebrałam się do posiłku. Merilyn niewiele mi miała do powiedzenia poza tym, że według babci Hudson jedzenie było zimne.

- Może powinnam ją odwiedzić wcześniej, niż zamierzałam - zastanawiała się moja matka. - Postaram się przyjechać do was w następny weekend. Może zabiorę ze sobą Alison i Brody'ego. Już chyba pora, żebyście się poznali, choć musisz mi obiecać, że nie powiesz im prawdy. Obiecujesz?

- Obiecuję - przyrzekłam. Muszę przyznać, że byłam ich ciekawa, a skoro dla mojej matki było takie ważne, żeby nie wiedzieli, kim jestem, nie miałam zamiaru jej się sprzeciwić.

- Masz mój numer na wszelki wypadek, prawda?

- Czy nie powinnam mieć również numeru Victorii? Ona mieszka bliżej.

- To już sprawa Victorii. Powiedziałam jej, dlaczego chcę, żebyś mieszkała z naszą matką. Victoria ma dość rozumu, jeśli chodzi o interesy. Powinna być także dostatecznie rozsądna, żeby podać ci swój numer - oświadczyła moja matka.

Na tym nasza rozmowa się skończyła. Moja matka najwyraźniej nie miała zamiaru rozmawiać dłużej o Victorii czy dowiadywać się czegoś więcej o swojej matce. Miałam nadzieję, że zadzwoni do mnie mama. Usiadłam przy biurku i napisałam do niej długi list. Opisałam szkołę, nauczycieli i uczennice. Opisałam też teatr i sztukę, w której miałam grać, ale pominęłam konflikty i kontrowersje, jakie przy tej okazji wynikły. Postanowiłam przesyłać mamie tylko dobre

wiadomości. Na pewno modliła się, żeby jej decyzja okazała się słuszna.

Nie mogłam się doczekać nowin od Roya. Postanowiłam napisać do niego list, tak żeby móc go wysłać, gdy tylko dostanę adres. W liście do Roya napisałam szczerze o wszystkich moich obawach i trudnościach. Trudno byłoby mi zachować to wyłącznie dla siebie. Nie miałam tu nikogo, kto wysłuchałby moich narzekań, żadnej przyjaciółki czy siostry, z którą dzieliłabym pokój i mogłabym spokojnie pogadać. Potem zakleiłam list i schowałam do szuflady.

Następnego dnia okazało się, że babka Hudson już przygotowała dla mnie strój jeździecki. Kiedy go włożyłam i przejrzałam się w lustrze, roześmiałam się z samej siebie. Pomyślałam, że wyglądam głupio. Prawdę mówiąc, z początku okropnie się bałam wsiąść na konia, ale mój instruktor, pan Drewitt, wykazał wiele cierpliwości i po kilku pierwszych zajęciach wprost nie mogłam się doczekać kolejnych.

Wiedziałam, że niektóre dziewczyny, bardziej zaawansowane niż ja, śmieją się ze mnie, ale nie zwracałam na nie uwagi, a kiedy zaczęłam osiągać coraz lepsze wyniki, szybko odechciało im się śmiać. Pan Drewitt powiedział, że bardzo niewiele uczennic wykazuje takie zdolności jeździeckie jak ja.

Również na próbach wszystko szło dobrze. Colleen albo mnie unikała, albo zwracała się do mnie z większym szacunkiem, zwłaszcza odkąd się przekonała, że pan Bufurd coraz bardziej mnie chwali. Audrey zrobiła się trochę śmielsza i częściej się do mnie odzywała, choć nadal szybko się wycofywała, gdy tylko dołączyła do nas jakakolwiek inna dziewczyna. Po próbach czekała na mnie, a potem wracałyśmy razem na parking, gdzie rozstawała się ze mną natychmiast, gdy tylko pojawił się czarny mercedes jej matki.

Z czasem napięcie, jakie wywołałam pierwszego dnia, osłabło i nawet Maureen roztopiła się w tle. Oczywiście nie przychodziła na próby równie często jak ja. Ze względu na swoją rolę musiałam uczestniczyć w nich codziennie, podobnie jak Corbette.

Dziesiątego dnia, gdy oboje czekaliśmy na widowni, aż przyjdzie pora, żeby włączyć się do gry, usiadł obok mnie. Do tej pory, poza kilkoma krótkimi wymianami zdań, rozmawialiśmy ze sobą wyłącznie na scenie, wygłaszając swoje kwestie. Ponieważ nasze szkoły nie miały więcej wspólnych zajęć, niewiele mieliśmy okazji, żeby pogadać.

- Jesteś coraz lepsza - powiedział szeptem, nie odrywając oczu od pana Bufurda i tego, co się działo na scenie.

- Dziękuję.

- Szybko się uczysz. Podoba mi się to. Większość dziewczyn ze Szkoły Dogwoodów, z którymi miałem dotąd do czynienia, to okropne tumany.

- Z którymi miałeś do czynienia?

Odwrócił się do mnie z uśmiechem.

- Oczywiście na scenie.

- Oczywiście - powiedziałam.

- Zastanawiałem się nad drugim aktem - podjął Corbette.

- Tak?

- Jeśli masz ochotę, możemy trochę nad tym posiedzieć.

- Co masz na myśli? Przecież codziennie mamy próby - zdziwiłam się.

- Chodziło mi o to, że moglibyśmy się spotkać podczas weekendu. Na przykład w najbliższą sobotę.

- Pan Bufurd chce urządzić dodatkową próbę?

- Nie. Myślałem o tym, żebyśmy spotkali się we dwoje - wyjaśnił. - Nie potrzebujemy pana Bufurda, żeby przygotować materiał, a on na pewno bardzo się ucieszy, kiedy będziemy lepiej przygotowani do próby. Mógłbym cię zabrać w sobotę, powiedzmy, o drugiej. Urządzilibyśmy sobie próbę u mnie w stodole.

- W stodole?

- Mieszkam w stajni, z której moi rodzice i tak nie zamierzali korzystać. Teraz mam własny dom, rozumiesz, o co mi chodzi?

- Nie. - Pokręciłam głową. Miałam szczęście, że znalazłam sobie dom w prawdziwym domu, pomyślałam. - Czy tam nie śmierdzi?

- Nie - zapewnił ze śmiechem. - Mamy gospodarstwo, ale nie hodujemy w nim żadnych zwierząt.

- Co to za gospodarstwo?

Wzruszył ramionami.

- Moi rodzice chcieli mieć gospodarstwo na wsi. Można to nazwać teatrem na całego - dodał. - To jak, wpaść po ciebie?

- Muszę spytać pani Hudson. Zdaje się, że w sobotę przyjedzie jej córka. Nie wiem, czy nie powinnam zostać w domu.

- A po co miałybyś z nimi siedzieć? Czy nie możesz robić tego, na co masz ochotę?

- Nie. Muszę uzgadniać to, co robię, z panią Hudson.

- No dobrze. - Daj mi znać, jeśli będziesz mogła się wyrwać. - Wstał z miejsca. - Tylko zachowaj moją propozycję dla siebie. Nie chciałbym, żeby te tumany zaczęły plotkować.

- A co cię to obchodzi, skoro są takimi tumanami? - odpaliłam. Zastanawiałam się, czemu Corbette wstydzi się ze mną spotkać.

- Niby nic - odpowiedział. - Ale dziewczyny są takimi plotkarami! Chyba nie chcesz, żeby Maureen obgadywała cię za plecami?

- Nie - przyznałam.

- Ja także - rzucił i uśmiechnął się. - Mam nadzieję, że pani Hudson wypuści cię w sobotę.

Czemu najprzystojniejsi chłopcy muszą być tacy irytujący? - zadawałam sobie pytanie, lecz mimo to miałam ochotę spotkać się z Corbette'em. Wieczorem podczas kolacji spytałam babcie Hudson, czy dzwoniła moja matka, żeby potwierdzić wizytę.

- Wspominała coś o tym w ciągu tygodnia, ale dziś właśnie mnie poinformowała, że będzie musiała iść na jakieś przyjęcie z Grantem. Wydaje mu się chyba, że zrobi karierę jako polityk - mruknęła.

- A więc nie przyjedzie? - Trochę mnie to rozczarowało, ale jednocześnie odczułam ulgę. Byłam pewna, że spotkanie z przyrodnim rodzeństwem będzie dla mnie traumatycznym przeżyciem. Czy będą mi się przyglądać, szukając podobieństw, czy wyczują, że należymy do jednej rodziny?

- Odgrażała się, że wpadnie w ciągu tygodnia - mruknęła moja babka. - Chyba, oczywiście, że umrę wcześniej, to wtedy będzie tu natychmiast.

- To, co pani mówi, jest okropne. Jestem pewna, że moja matka martwi się o panią.

Babcia Hudson przyglądała mi się przez chwilę, a potem ze smutnym uśmiechem pokręciła głową.

- Jak na dziewczynę, która wyrosła w piekle getta, bo chyba tak się to czasem nazywa, jesteś zadziwiająco naiwna i ufna. Nie oszukuję samej siebie, Rain. Moje córki są rozpieszczonymi egoistkami, które nie widzą dalej niż czubek własnego nosa. Jeśli cokolwiek wydaje im się za trudne, po prostu tego nie robią, nawet jeśli oznacza to, że nie odwiedzą chorej matki. A może zwłaszcza wówczas, gdy oznacza to, że nie odwiedzą chorej matki - skorygowała.

- Ja również się nie oszukuję - powiedziałam - ale nie chcę stracić wiary w ludzi.

- To dlatego, że jesteś jeszcze dość młoda, żeby znosić rozczarowania - odrzekła chłodnym tonem. - Ja nie mam już czasu do stracenia.

Zacisnęła usta, wzniosła spojrzenie do sufitu, a potem zanurzyła łyżkę w zupie. Popatrzyłam na babkę Hudson i zrobiło mi się jej żal bardziej niż siebie samej i mamy. Ona uchwyciła moje spojrzenie i omal nie upuściła łyżki.

- Żebyś nigdy więcej nie ośmieliła się patrzeć na mnie w taki sposób! Co ty sobie wyobrażasz? Za kogo się masz, żeby patrzeć na mnie takim litościwym wzrokiem? Nie potrzebuję niczyjej litości, rozumiesz?

- Przepraszam - powiedziałam, odwracając spojrzenie. - Nie miałam nic złego na myśli.

- Kompletnie przez ciebie straciłam apetyt - oświadczyła niezadowolonym tonem. - Trudno byłoby zresztą uważać, że w ogóle jest tu na co mieć apetyt.

- Przepraszam - powtórzyłam, a pod powiekami zapiekły mnie łzy.

- I przestań mi się tu rozczulać. To jest po prostu nieznośne.

- Więc czego by pani chciała, żeby poprawić sobie humor? - jęknęłam.

Merilyn, która właśnie stanęła w drzwiach, zawahała się, a potem wycofała z powrotem do kuchni.

- Czego bym chciała? - zaśmiała się moja babka. - Czego bym chciała? Chciałabym być znowu młoda i móc uniknąć błędów, jakie popełniłam w życiu. Oto czego bym chciała - oznajmiła. - Czy masz jakiś sposób, żeby spełnić moje życzenie? Co?

- Nie - powiedziałam.

- Słusznie, nie ma na to sposobu. Więc powiem ci, czego w takim razie chcę. Chcę sił, żeby wytrzymać do końca. - Przycisnęła dłoń do piersi.

- Dobrze się pani czuje?

- Tak - potwierdziła. - Trochę się zasapałam. Dokończ kolację. Ja idę do łóżka.

- Prawie nic pani nie zjadła.

- Powiem Merilyn, żeby zrobiła mi herbatę i grzanekę. - Moja babka wstała powoli i ruszyła do wyjścia. W drzwiach nieoczekiwanie się zachwiała.

Podbiegłam do niej i ujęłam ją pod ramię. W pierwszej chwili próbowała się ode mnie uwolnić.

- Nic mi nie jest - zapewniła.

- Jest pani niesamowita. Może wybrałybyśmy się jutro na przejażdżkę konną - mruknęłam pod nosem, ale nie puściłam jej.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Odprowadzę panią na górę, pani Hudson - oświadczyłam stanowczo. - Czy się to pani podoba, czy nie.

- To bardzo miłe - powiedziała, idąc wsparta na moim ramieniu. - Taki brak szacunku.

Kiedy doszliśmy do schodów, zatrzymała się na chwilę, by nabrać tchu, a potem ruszyliśmy schodami. Choć wyglądało na to, że moja babka jest w stanie wejść na górę o własnych siłach, na wszelki wypadek nie puszczałam jej ramienia.

- Dalej dam już sobie radę sama - poinformowała, kiedy stanęliśmy na górnym podejściu schodów. - Wracaj i dokończ kolację. Mam wrażenie, że nie przeszkadza ci to, że Merilyn nie potrafi niczego porządnie ugotować.

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową. Babka spojrzała na mnie. W jej oczach pojawił się błysk rozbawienia.

- Pod wieloma względami jesteś do mnie podobna, Rain. Albo może taka, jaka ja byłam w twoim wieku. Uważaj, żebyś nie wpadła w życie w te same pułapki.

- Pułapki? Jakie pułapki?

- Seks i miłość - uściśliła. - To tylko pułapki, nic więcej.

Ruszyła do swego pokoju przygarbiona, powłócząc nogami. Wyglądała, jakby się postarzała o całe lata. Na szczęście nie obejrzała się za siebie, bo gdyby to zrobiła, odczułaby zapewne tylko jeszcze większą irytację na widok współczucia w moim spojrzeniu.

Wróciłam do jadalni, by dokończyć kolację.

- Gdzie jest pani Hudson? - spytała Merilyn.

- W swoim pokoju. Zle się czuje. Zanieś jej za jakieś pół godziny grzanekę i filiżankę herbaty - poleciłam.

- No pięknie - jęknęła Merilyn. - Albo mnie wyrzuci, albo umrze i zostanę bez pracy - wymamrotała niezadowolona.

- Jesteś egoistką bez serca - rozzłościłam się na nią. Merilyn popatrzyła na mnie wielkimi oczami. - Powinnaś mieć trochę współczucia dla starej, chorej kobiety.

- Co... czemu ona cię tak obchodzi? Traktuje cię nie lepiej niż mnie. Słyszę czasem, jak się do ciebie odzywa. To tylko stara kobieta bez serca. Nie musisz tak się nią przejmować.

- To moja sprawa, czym się przejmuję, a czym nie - odparłam stanowczo. - Nie życzę sobie, żebyś kiedykolwiek więcej odzywała się o niej w taki sposób.

- Wszyscy są tu strasznie czepliwi - jęknęła zboląłym tonem.

- Nie musisz tego znosić, jeśli ci się nie podoba - zirytowałam się. - Nie musisz czekać, aż pani Hudson cię wyleje. Możesz sama rzucić pracę.

- Może to zrobię.
- Chyba powinnaś - powiedziałam surowym tonem.

Odwróciła się na pięcie i zniknęła w kuchni. Siedziałam zła za stołem i zastanawiałam się, dlaczego ani moja matka, ani ciotka nie zainteresują się tym, kto i jak pracuje u ich matki. Kiedy skończyłam, poszłam do kuchni i wzięłam się do przygotowywania herbaty. Włożyłam chleb do tosterka.

- Po co to robisz? - spytała Merilyn.

-- Pomyślałam, że w ten sposób ułatwię ci życie - rzuciłam ostro.

Merilyn nie zauważyła sarkazmu w moim głosie.

- Dzięki - odpowiedziała i zabrała się do zmywania.

Poszłam na górę i zaniósłam babci Hudson jej kolację. Leżała już w łóżku, najwyraźniej szykując się do snu.

- Czemu to robisz? - spytała.

- Merilyn zawsze przypala grzanki - wyjaśniłam.

Moja babka spojrzała na tost i uśmiechnęła się.

- Masz rację - powiedziała. - Ale i tak nie jestem głodna.

- Dobrze pani robi, jak pani coś zje. Herbata też nie zaszkodzi. Człowiek potrzebuje płynów, żeby żyć.

- Czy ściągnęłam pod swój dach kandydatkę na lekarkę albo może na siostrę miłosierdzia? - zirytowała się moja babka.

Usiadłam koło łóżka.

- Co ty znowu wyprawiasz?

- Będę przy pani siedziała, dopóki pani nie zje - zagroziłam.

Babka spiorunowała mnie wzrokiem, bezwładnie opuściła głowę na poduszkę i zamknęła oczy. Wstałam i podsunęłam jej filiżankę. Uniosła powieki, spojrzała na mnie i wypita mały łyk herbaty. Kiedy podałam jej kawałek tosta, pogryzła go i przełknęła, nie odrywając ode mnie wściekłego spojrzenia.

- Zadowolona? - spytała.

- Tak.

- To dobrze. A zatem pozwól mi teraz zasnąć.



- Powinien panią obejrzeć lekarz - wyraziłam opinię. -  
Jest pani bardzo blada.

- Och... -jęknęła.

- Dobrze. Już idę. Dobranoc - powiedziałam i ruszyłam do  
drzwi.

- Dobranoc - dobiegło z łóżka. Wcale nie było to obojętne  
pożegnanie. Głos mojej babki był zaskakująco ciepły.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że znów leży z zamkniętymi  
oczami. Postanowiłam zadzwonić z samego rana po lekarza.  
Trudno, niech babcia Hudson się gniewa, jeśli chce.

## ZDANA NA WŁASNE SIŁY

Doktor Lewis przyjechał do babci Hudson dopiero po moim wyjeździe do szkoły. Nie ostrzegłam jej przed wizytą. Nim wyszłam, zajrzałam do jej pokoju; już nie spała, siedziała w łóżku, wsparta na poduszkach. Wyglądała trochę lepiej niż wieczorem, ale wciąż była osłabiona i mówiła z trudem.

- Jak się pani czuje? - spytałam.

- Dobrze - odparła krótko. - Zajmij się własnymi sprawami - dodała i wyгнаła mnie z pokoju machnięciem ręki, zanim zdążyłam choćby wspomnieć o wizycie lekarza. Bardziej przejmowała się tym, że widzę ją w takim stanie, niż własnymi dolegliwościami.

Duma czyni z niej kobietę samotną, uznałam.

W drodze do szkoły opowiedziałam Jake'owi, co zrobiłam.

- Dobrze postąpiłaś - ocenił. - Wreszcie znalazł się ktoś, komu starczyło odwagi, żeby podjąć właściwą decyzję. Oczywiście, niewykluczone, że od tego dnia będziesz spała w garażu - zażartował.

- Wszystko mi jedno - powiedziałam.

Spojrzał na mnie w lusterku i uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że zrobiła lepszy interes, niż się mogła spodziewać, kiedy postanowiła zrobić jeszcze jeden miłosierny uczynek i przygarnąć cię pod swój dach, co? - Po tych słowach przyglądał mi się w lusterku dłużej niż zwykle, jakby wiedział więcej i czekał tylko na zachętę z mojej strony, żeby coś dorzucić.

Przez resztę drogi do szkoły milczałam. Diabli mnie brali ze złości, że muszę udawać kogoś, kim nie jestem. Miałam ochotę uchylić okno i krzyknąć do mijanych domów i ludzi: „Jestem wnuczką pani Hudson. Moją matką jest Megan Hudson Randolph. A jeżeli nie słyszycie, to powtórzę głośniej. Jestem wnuczką pani Hudson...”.

Przez chwilę myślałam, że naprawdę mogłabym to zrobić. Jake miał dziwną minę.

- Wszystko w porządku?

- Tak - zapewniłam. Miałam ochotę się rozpłakać, ale powtórzyłam: - Tak, wszystko w porządku.

Przez cały dzień siedziałam jak na szpilkach, a nad moją głową unosiło się niczym chmura gradowa widmo gniewu babci Hudson, gotowe skropić się w postaci rześstego deszczu, gdy tylko wejdę pod jej dach.

Jake wiedział, czego się spodziewam. Kiedy witał się ze mną po próbie, miał bardziej ożywioną minę niż zwykle.

- Jak się czuje pani Hudson? - spytałam, gdy tylko przed nim stanęłam.

- No cóż, twoje poczynania musiały na niej zrobić wrażenie - odpowiedział. - Zgodziła się na wszczęcie rozrusznika.

- Naprawdę? Kiedy?

- Jutro rano. Biorąc pod uwagę zmienność jej nastrojów, doktor Lewis wyznaczył najbliższy możliwy termin. Dobrze się sprawiłaś, dziewczyno - dodał, a ja wskoczyłam do samochodu, żeby czym prędzej wrócić do domu i usłyszeć, co powie babcia.

Gdy tylko weszłam w drzwi, wybiegła mi naprzeciw Marilyn. Najwyraźniej nasłuchiwała w kuchni, czekając na chwilę, kiedy stanę w progu. Jej mina jasno zdradzała, że miała ciężki dzień, i pozwalała się domyślać, że dziewczyna jest na mnie zła. Domyśliłam się, że babcia Hudson musiała wyładować na niej swą złość, bardziej niż zwykle dokuczając jej kapryсами i naganami.

- Pani Hudson chce cię natychmiast widzieć - oznajmiła

z zadowoleniem. - Wygląda na to, że szybko narobiłaś sobie kłopotów. Nie dziwi mnie to - mruknęła.

Zdumiał mnie jej radosny ton, ale nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Wbiegłam po schodach i popędziłam prosto do pokoju babci Hudson. Wyglądała tak samo jak rano, leżała oparta plecami o wysoko spiętrzone poduszki. Zatrzymałam się niepewnie.

- Chodź, chodź - powiedziała szybko.

- Cześć.

- Cześć? Nie rób tej miny słodkiego niewiniątka, którą zawsze robiła w takich chwilach twoja matka. Sama wiesz, co nabroiłaś. Mam nadzieję, że teraz jesteś zadowolona - zaczęła. - Bez porozumienia ze mną wezwałaś doktora Lewisa, a ten bałwan uparł się, żebym dała sobie wszczepić ten rozrusznik, bo inaczej mam go więcej nie prosić. To takie irytujące. Człowiek dziś nie może nawet umrzeć spokojnie. - Popatrzyła na mnie uważnie. - Każdy musi wetknąć we wszystko nos. Nawet ludzie z pozoru godni zaufania.

- Niepokoił mnie pani stan, więc wezwałam lekarza.

- Nonsens.

- Nieprawda. To rozsądne postępowanie. Dojrzałe - dodałam.

Babcia Hudson wessała policzki i ściągnęła wargi, spoglądając na mnie surowo.

- Wydaje ci się, że jesteś już dostatecznie dorosła, żeby ocenić, co jest dojrzałym postępowaniem, a co nie?

- Tak - odpowiedziałam twardo.

Pokręciła głową, ale miejsce świętego oburzenia zajął na jej twarzy wyraz niechętnego pogodzenia z losem.

- Twoja mama, jak ją nazywasz, zrobiła naprawdę wiele dobrego, wychowując ciebie i twoje rodzeństwo w tych trudnych warunkach, w jakich przyszło wam żyć. No trudno, co się stało, to się nie odstanie. Nie ma o czym mówić. Niech się dzieje, co chce.

- O której ma pani operację?

- O dziesiątej. Doktor Lewis zapewnia mnie, że to tylko

prosty zabieg, ale mu nie wierzę. To, co opowiada, to czysta propaganda. Dziś nie ma nic prostego, poza niektórymi ludźmi, którzy u mnie pracują, a nawet i takimi, którzy mieszkają pod moim dachem - dodała z miną rozpieszczonego dziecka.

- Nie pojedę jutro do szkoły, tylko z panią - powiedziałam. Moja babka niemal podskoczyła na łożku.

- Nie ma mowy. Co za pomysł! - parsknęła.

- Ale...

- Posłuchaj no mnie, moja ty roztropna i dorosła panno. Chcesz wiedzieć, dlaczego nie pojedziesz? Bo ja tak mówię - oznajmiła ostro. - Jesteś tu tylko gościem.

Z trudem przełknęłam gorycz rozczarowania. Miałam nadzieję, że moja babka spojrzy na mnie inaczej, ale dla niej pozory wciąż były najważniejsze. Nazwisko pozostawało podstawową wartością, której należało bronić za wszelką cenę. Ja na zawsze pozostanę w tym domu i w tej rodzinie kimś obcym. To był dla mnie bolesny cios.

- A co z moją matką i Victorią?

- Niestety, musiałam do nich zadzwonić. Victoria niedługo przyjedzie. Megan powiedziała, że będzie jutro w szpitalu. Wolałabym żadnej z nich nie widzieć - dodała.

- Dlaczego? To pani córki. Dobrze, że będą przy pani.

- Po co? Żeby potrzymać mnie za rękę? - Babcia Hudson roześmiała się. - Będą tylko wszystkich denerwować, a Victoria będzie się kłóciła z lekarzem i dyrektorem szpitala o cenę aspiryny - powiedziała.

Kiedy wyobraziłam sobie opisaną przez nią scenę, nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu. Babcia Hudson złagodniała i poprosiła, żebym opowiedziała, jak było w szkole, w ujeżdżalni i na próbie. Pokazałam jej sprawdzone i ocenione testy i wypracowania. Uniosła brwi z miną wyrażającą uznanie.

- Muszę ci się przyznać, że kiedy Megan powiedziała mi o tobie i kiedy podjęliśmy decyzję, że pójdziesz do Szkoły Dogwoodów, nie sądziłam, że długo tam wytrzymasz. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby ktoś, kto wyrósł i wychował się w takich warunkach jak ty, mógł sobie w tej szkole poradzić.

- Dziękuję - powiedziałam. - Ja myślę.

Roześmiała się, a potem poleciła mi, żebym zeszła na dół i przypilnowała Merilyn.

- Któraś z nas musi nad nią stać, bo w przeciwnym razie nigdy niczego porządnie nie zrobi.

Uśmiechnęłam się do siebie. Po raz pierwszy odkąd zamieszkałam pod jej dachem użyła formy „my”.

Merilyn miała ponurą minę, zwłaszcza kiedy się okazało, że nie spadła na mnie żadna kara. Jedząc lunch, stwierdziłam, że pieczeń jest zbyt wysuszona, a ziemniaki za tłuste. Nie namawiałam Merilyn, żeby zносиła posiłek babci Hudson, ale ona w ogóle nie zwracała mi uwagi. Kiedy już skończyłam, wróciłam na górę, do babci, która - tak jak się tego spodziewałam - prawie nie tknęła jedzenia.

Ciotka Victoria przyjechała jakieś pół godziny po lunchu. Mimo choroby matki musiała koniecznie zrobić pewne rzeczy, aby dalej pozostawić sprawy własnemu biegowi. Sama to zresztą powiedziała po wejściu do pokoju babci Hudson. Wiedziałam, że mój widok zaskoczył Victorię. Weszła z teczką, którą położyła na łóżku chorej. Potem odwróciła się do mnie.

- Rozumiem, że to ty wezwałaś lekarza - powiedziała surowo.

- Tak.

- Czemu nie zadzwoniłaś najpierw do mnie albo do mojej siostry? - spytała ostro.

- Wydawało mi się, że lekarz powinien przyjechać jak najszybciej, a poza tym nawet nie zostawiła mi pani swojego numeru - odpowiedziałam.

- Czy moja matka prosiła cię, żebyś wezwała lekarza? - indagowała mnie dalej ciotka Victoria.

- Nie.

- Przestań przesłuchiwać Rain, jakby popełniła jakieś przestępstwo, Victorio - wtrąciła babcia Hudson.

Victoria wpatrywała się we mnie jeszcze przez chwilę wściekłym wzrokiem, a potem odwróciła spojrzenie, mruczając coś pod nosem.

- To bardzo śmiałe zachowanie. W końcu jest tu tylko gościem.

- Zrobiłam to, co wydawało mi się konieczne, i uważam, że reakcja doktora Lewisa potwierdza słuszność mojej decyzji.

Nie zwracając na mnie uwagi, ciotka Victoria otworzyła teczkę.

- Mam tu pewne dokumenty, które chciałabym z tobą przejrzeć, mam, a także takie, które chciałabym ci dać do podpisania - mówiła, wyjmując z teczki jeden dokument po drugim i układając je na kolanach babci Hudson.

- Teraz?

- Trzeba było powiadomić mnie wcześniej - oświadczyła z pretensją w głosie Victoria. - Czekaj cię poważna operacja, mam. Pewne sprawy należy z góry ustalić, tak żeby w razie czego nie doszło do niepotrzebnego zamieszania wokół majątku.

Ledwo powstrzymałam głośny okrzyk zgrozy. Tylko to ją teraz zaprzętało? Obawa przed sporami o podział majątku? Ciotka Victoria zauważyła moje otwarte ze zdumienia usta i zrobiła niezadowoloną minę.

- Może łaskawie nas opuścisz, proszę - powiedziała stanowczo. - To sprawy rodzinne.

Spojrzałam na babcię Hudson, a potem wstałam.

- Nie ma powodu, żeby ją stąd wyrzucać, Victorio. Wiesz dobrze, że pod nieobecność mojego księgowego i tak niczego nie podpiszę. Zanieś te papiery do niego. No - babcia Hudson machnęła na papiery, jakby to były dokuczliwe muchy - zabieraj je sobie.

- Ale, mam...

- Cokolwiek w nich jest, z pewnością może poczekać na mój powrót - zdecydowała babcia Hudson.

- O ile nic ci się nie stanie - upierała się Victoria. - Bo jeśli coś się nie uda, to narobisz niezłego zamieszania.

- Nie powinna pani wmawiać pani Hudson, że coś jej się stanie. Nic się z pewnością nie stanie, za to przed jutrzejszym

zabiegiem lekarz zalecił pani Hudson spokój. Nawet podał jej jakiś środek uspokajający.

Victoria błyskawicznie odwróciła głowę w moją stronę.

- Wydawało mi się, że miałaś stąd wyjść. Rozmawiamy o sprawach rodzinnych. Nikogo nie obchodzi, co o tym myślisz.

Kątem oka dostrzegłam, że babka przygląda mi się z zainteresowaniem. Obserwacja wymiany zdań, do jakiej doszło między mną a Victorią, zdawała się działać na nią krzepiąco.

- Zdrowie pani matki jest najważniejszą sprawą rodzinną w tym domu. Obiecałam lekarzowi, że zadzwonię, jeśli pani Hudson poczuje się gorzej, sam dał mi swoją wizytówkę. Zrobiłam, co uznałam za stosowne, i myślę, że zamiast się na mnie złościć, powinna mi pani raczej podziękować - oświadczyłam wojowniczo.

Twarz Victorii okryła się jaskrawym rumieńcem, a na jej szyi wyłoniły się błękitne żyły.

Babcia Hudson spojrzała na to z uśmiechem.

- Jeszcze nigdy tyle osób nie interesowało się moimi sprawami - powiedziała. Spojrzała na Victorię. - Kiedy na was patrzę, mam ochotę żyć w nieskończoność.

Victoria wyglądała, jakby udławiła się pestką od brzoskwini.

- Po prostu staram się robić, co do mnie należy - oznajmiła tonem bolesnej skargi. - Tego by po mnie oczekiwał tata.

Niechętnie pozbierała papiery i wrzuciła do teczki. Natychmiast potem stwierdziła, że musi zejść na dół, zrobić sobie coś zimnego do picia i zadzwonić dokądś w jakichś bardzo ważnych sprawach. Pomyślałam, że jeszcze nigdy w życiu nie widziałam kogoś równie zajętego, i powiedziałam o tym babci Hudson.

- Podejrzewam, że co najmniej połowa z tego, co robi, niczemu nie służy. Mój mąż osiągał dużo więcej dużo mniejszym nakładem sił.

Powieki zdawały się jej coraz bardziej ciążyć. Wyjęłam z rąk babci filiżankę z herbatą i poprawiłam poduszki. Cokolwiek dał jej lekarz na uspokojenie, środek istotnie wywarł



pożądany efekt. Życzyłam babci Hudson dobrej nocy, poszłam do swojego pokoju i wzięłam się do odrabiania lekcji.

Jakieś pół godziny później usłyszałam na schodach kroki Victorii. Uchyliłam drzwi i wyjrzałam przez wąską szczelinę. Victoria stanęła w drzwiach pokoju babci Hudson. Wiedziałam, że babcia śpi już głębokim snem. Victoria stała w drzwiach długą chwilę, po czym jej obcasy zastukały na schodach. Kiedy mijała moje drzwi, widziałam przez moment jej wściekłe oczy, rzucające mi pełne jadu spojrzenie.

Źrenice Victorii dręczyły mnie w koszmarach, jakie nawiedzały mnie tej nocy. Victoria prześladowała mnie nawet w krajobrazach mego dzieciństwa w Waszyngtonie, gdzie towarzyszyła Jeradowi i jego gangsterom, ścigającym mnie po wyludnionych ulicach slumsów. Miała ze sobą tę swoją przeklętą teczkę i wymachiwała nią, jakby chciała wymierzyć mi nią cios w głowę.

Doktor Lewis uparł się zawieźć babcię Hudson do szpitala ambulansem. Była z tego niezadowolona i domagała się odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie może po prostu pojechać rolls-roycem z Jake'em za kierownicą.

- W ambulansie - narzekała - wcale nie będzie mi wygodniej, przyciągnie tylko niepotrzebnie uwagę sąsiadów.

Zaczynałam rozumieć, że dla babci Hudson choroba jest wstydliwą sprawą, haniebną słabością, a nie czymś, nad czym po prostu nie możemy zapanować. Chciała utrzymać fakt wszczepienia rozrusznika w tajemnicy, pojechać do szpitala i z powrotem po cichu i nigdy nie wspominać nikomu o tym, co się stało.

Raz jeszcze prosiłam ją, żeby pozwoliła mi sobie towarzyszyć, ale się temu bardzo stanowczo sprzeciwiła. Równocześnie z Jake'em, który zajechał po mnie rolls-roycem, przed dom zajechał ambulans. Jake przyglądał się maszerującym szybko schodami w górę pielęgniarkom.

- Niech no tylko ją zobaczą, a przestanie im się tak śpieszyć. - Zerknął na mnie. - Nie martw się o nią. Umrze dopiero wtedy, kiedy naprawdę będzie tego chciała.

Skinęłam głową. W końcu Jake znał babcię Hudson dłużej niż ja i pewnie wiedział, co mówi. Moja babka miała dostatecznie silny charakter, by przypomnieć kostusze o wymogach etykiety i samodzielnie zdecydować, kiedy ją przyjmie.

Przez resztę dnia trudno mi było skupić się w pełni na zajęciach. Moje oczy nieustannie przyciągał ku sobie zegar. Niektórzy nauczyciele sądzili zapewne, że się nudzę i nie mogę się doczekać dzwonka. Minęła przerwa na lunch, po której zaczęły się popołudniowe lekcje. Trochę liczyłam na to, że matka zadzwoni do szkoły i opowie mi o przebiegu i wyniku operacji, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Moja klacz Flager zdawała się wyczuwać, że jestem zdenerwowana i rozproszona, bo była wyjątkowo niesforna. W pewnej chwili bez żadnej przyczyny puściła się kłusem, ja zaczęłam podskakiwać w siodle jak gumowa lalka, a na ustach pana Drewitta pojawił się uśmieszek. Kiedy zsiadłam z konia, chwiałam się jak pijany marynarz.

Nie lepiej czułam się podczas próby. Zapominałam, kiedy należało się odezwać, jak miałam się ruszać i gdzie stać na scenie, mówiłam tak cicho, że ledwo można było mnie dosłyszeć w pierwszym rzędzie. Ilekroć pan Bufurd zwracał mi uwagę, na twarzy siedzącej obok niego Maureen ukazywał się zadowolony uśmiech.

- Czy ty się aby źle nie czujesz? - spytała mnie szeptem Audrey, kiedy spotkałyśmy się za kulisami.

- Nie, to nie to. Martwię się o panią Hudson. Dziś rano pojechała do szpitala na operację. Mają jej wszczepić rozrusznik serca.

- Och, gdyby umarła, ktoś chyba dałby ci już znać? - spytała bez większego przejęcia.

- Nie wiem - odpowiedziałam, bo wcale nie byłam tego taka pewna.

- Czy jeśli umrze, wrócisz do Waszyngtonu?

- Nie mam pojęcia. - Pokręciłam głową. - Nie wiem, ale nie dlatego się martwię.

Audrey spojrzała na mnie jeszcze raz i przygryzła dolną wargę.

- Och, mam nadzieję, że cię nie odeślą. - Tak dobrze grasz...

- Wydaje mi się, że życie pani Hudson jest trochę ważniejsze od szkolnego przedstawienia, nie sądzisz?

- Co? Ależ tak, nie chciałam powiedzieć... to znaczy, chciałam powiedzieć... tak, oczywiście - wycofała się szybko.

Zrobiło mi się jej żal, wiedziałam, że po prostu pragnie się ze mną zaprzyjaźnić, ale w tej chwili nie miałam do niej dość cierpliwości. Na szczęście próba dobiegła końca.

Kiedy zebrałam książki, ujął mnie pod ramię Corbette.

- No i co? - spytał.

- Jak to co?

- Co będzie jutro?

- Och. Kompletnie o tym zapomniałam. Przepraszam. - Opowiedziałam mu krótko o ostatnich wydarzeniach.

- Wszystko będzie dobrze - uspokoił mnie. - Mojemu dziadkowi wszczepili rozrusznik serca w zeszłym roku. Zadzwoń do ciebie wieczorem, dobrze? Dobrze? - powtórzył, nie doczekawszy się mojej odpowiedzi.

- Co?... Tak, tak, dobrze... - powiedziałam, żeby się od niego uwolnić, i niemal pobiegłam, żeby jak najszybciej znaleźć się przy samochodzie. Uśmiech na twarzy Jake'a już z daleka powiedział mi, że wszystko poszło dobrze.

- No i po strachu - poinformował Jake, kiedy przed nim stanęłam. - Pani Hudson ma się bardzo dobrze. Za kilka dni wróci do domu.

- Naprawdę? To wspaniale - ucieszyłam się.

- No pewnie. - Uśmiechnął się. - Teraz jesteś im bardziej potrzebna niż kiedykolwiek dotąd.

W drodze do domu zastanawiałam się nad słowami Jake'a i tonem, jakim je wypowiedział. Przyszło mi do głowy, że podobnie jak Audrey i z pewnością jak Yictoria, zakładał, że

najbardziej martwi mnie moja własna przyszłość. Czy nikomu nie przyjdzie do głowy, że mogę się troszczyć również o innych? Ale właściwie dlaczego mieliby tak sądzić? - pomyślałam nagle. Przecież mnie nie znają.

Po przyjeździe do domu zastałam w bawialni moją matkę i ciotkę Victorię. Rozmawiały, popijając wino.

- Jak się czuje pani Hudson? - spytałam, ledwo stanęłam w drzwiach.

Ciotka Victoria prychnęła szyderczo, ale moja matka uśmiechnęła się ciepło.

- Wszystko w porządku, Rain. Dziękuję, że w końcu skłoniłaś ją do podjęcia właściwej decyzji. Już niemal od roku próbowałam ją namówić, żeby rozwiązała ten problem. Doktor Lewis powiedział mi o twoim telefonie. - Matka przymrużyła oko. - Jak tam w szkole?

- W porządku - odpowiedziałam.

- Słyszałam, że masz dobre stopnie,

- Tak.

Victoria chrząknęła.

- I grasz główną rolę w szkolnym przedstawieniu.

- Tak.

- Cudowne dziecko getta - rzuciła drwiąco Victoria i pociągnęła łyk wina. Przyjrzała się siostrze podejrzliwie zwięzonymi oczami. - Masz szczęście, że trafiło ci się takie utalentowane cudo, a nie narkomanka czy coś w tym rodzaju. - Victoria odwróciła głowę z powrotem do mnie. - Co nie znaczy, że wiemy wszystko na temat Rain Arnold. Policja zwykle nie udostępnia akt młodocianych.

- Nigdy nie byłam zatrzymana przez policję - rzuciłam.

- Rain cieszy się dobrą opinią i ma znakomite oceny - powiedziała łagodnie moja matka. - Zasluguje na to, żeby coś w życiu osiągnąć.

- Ach, jaka z ciebie szlachetna altruistka, Megan. A co Grant na to wszystko? - spytała ciotka Victoria.

- Grant zawsze popiera moją działalność dobroczynną, Victorio.

- Czegóż to ludzie nie zrobią, żeby umocnić swoją pozycję na scenie politycznej. - Ciotka Victoria pokręciła głową.

- Nie dlatego to robię - zaprotestowała ostro moja matka.

- Wiem, wiem - odpowiedziała znużonym tonem Victoria. - Czy naprawdę nigdy nie myślałaś o tym, żeby włożyć trochę swojej energii w działania, które przyniosłyby nam nieco więcej pożytku niż poklepywanie po plecach? Wciąż masz ten głupi pociąg do idealizmu, przez który już przed laty wpakowałaś się w kłopoty.

- Dostatecznie dobrze nam się powodzi, mimo że nie zarabiam. A poza tym dążenie do tego, by pomóc ludziom, którym powodzi się gorzej niż nam, nie jest wcale po prostu głupim idealizmem.

- I tak nigdy nie zaradzisz całemu złu tego świata, Megan - upierała się ciotka Victoria. - Dość masz kłopotów z własnymi dziećmi.

Matka zerknęła na mnie zatroskana.

- Czy pani dzieci są dziś z panią, pani Randolph? - spytałam, spodziewając się, że moje przyrodnie rodzeństwo może być w innej części domu. Wzięłam głęboki oddech. Tak pragnęłam poznać w końcu siostrę i brata!

- Nie chciałam zabierać ich tak nagle ze szkoły - odpowiedziała.

Przez chwilę w ogóle nie mogłam jej zrozumieć. Nie chciała zabierać ich tak nagle ze szkoły? Ich babka mogła umrzeć na stole operacyjnym, a im nie zależało na tym, żeby się z nią zobaczyć?

- Przyjadą niedługo - dodała, spostrzegłszy moją minę.

- Och, więc zostanie tu pani przez jakiś czas? - Miałam nadzieję, że będę miała okazję poznać moje matkę bliżej.

- O tym właśnie rozmawialiśmy z Victorią. Postanowiłyśmy wynająć na kilka tygodni pielęgniarkę. Victoria ma za dużo pracy, żeby móc tu spędzać dość czasu, a ja mieszkam za daleko. Nie chcę powiedzieć, że nie potrafiłabyś się zająć panią Hudson, ale nie zamierzamy cię tym obarczać. Powinnaś chodzić do szkoły - dodała, na co ciotka Victoria pokręciła głową i dokończyła wino.

- Wracam do biura - oznajmiła i wstała. - Obiecujesz dopilnować, żeby Grant przejrzał te papiery, które przesłałam w ciągu tygodnia?

- Tak - zapewniła moja matka znużonym głosem.

- Pamiętaj, że to dla mnie naprawdę ważna sprawa, Megan.

- Obiecuję. Dopilnuję, żeby je przejrzał - przyrzekła jeszcze raz moja matka, lecz ciotka Victoria wciąż nie wyglądała na ostatecznie uspokojoną.

- Zadzwoń do niego - zapowiedziała i ruszyła do wyjścia. W drzwiach stanęła i odwróciła się do mnie. - Na tablicy w kuchni zostawiłam swoją wizytówkę. Jeśli wydarzy się coś naprawdę ważnego, możesz do mnie zadzwonić, chociaż zasadniczo informacji o samopoczuciu matki będę oczekiwała od pielęgniarki. - Przeniosła wzrok na moją matkę. - Przynajmniej nie będziesz musiała dzwonić po moją siostrę i ściągać ją tu aż z Waszyngtonu. Zrozumiano? - rzuciła pod moim adresem.

- Tak, proszę pani - odpowiedziałam. Niewiele brakowało, żebym jej zasalutowała.

Zacisnęła wargi i wyszła. Kiedy zobaczyłam, że zmierza do drzwi wyjściowych, odwróciłam głowę do mojej matki, która położyła palec na ustach, gestem nakazując mi milczenie.

- Nie chcę rozmawiać przy Merilyn - szepnęła. Wskazała mi gestem stojący przed kanapą fotel, więc usiadłam naprzeciwko niej. - I jak się tu naprawdę czujesz?

Powiedziałam jej, jakie mam stopnie i że najbardziej lubię lekcje jazdy konnej i teatr.

- Ale jak wytrzymujesz z moją matką? Wiem, jaka potrafi być okropna. Jest uparta jak osioł.

- Nie kłóćmy się, jeśli o to ci chodzi. Ona udaje gorszą, niż jest naprawdę, i zawsze narzeka na współczesne wychowanie - powiedziała mi i to przypomniało mi o istnieniu dwojga pozostałych dzieci mojej matki. - Miałam nadzieję, że przyjedziesz z Brodym i Alison.

- To naprawdę nie takie proste oderwać ich niespodziewanie od wszystkich zajęć. Alison miała przed sobą decydujący sprawdzian, Brody'ego czekał ważny mecz. Uznałam, że lepiej zrobić, jeśli przyjadę z nimi innym razem. Nie martw się, w końcu się kiedyś spotkacie - powiedziała. - Miałaś jakieś wiadomości od swojej mamy i brata?

- Tylko od mamy. - Opowiedziałam jej krótko o tym, gdzie jest mama i co robi Roy.

- Powinnaś do niej zadzwonić i dać jej znać, że wszystko w porządku. Na pewno się o ciebie zamartwia.

- Zadzwonię - powiedziałam.

Moja matka rozejrzała się wokół i jej zmęczona, zmartwiona twarz rozkwitła nagle w uśmiechu.

- Ładny dom, co? Mieszkasz w moim dawnym pokoju, prawda? Po południu siadywałam w zachodnim oknie. Uwielbiałam patrzeć, jak zapada wieczór. - Otuliła się ramionami. - Czułam się wtedy taka bezpieczna, jakbym była w zamku, do którego można się dostać tylko po zwodzonym moście, a ten most jest podniesiony. Nie mogło mi się przydarzyć nic złego. Mój ojciec nigdy by do tego nie dopuścił. Gdyby od tego zależało moje szczęście, postawiłby na głowie cały dom. Nie mam pojęcia, ile razy siadałam mu na kolanach i słuchałam, jak roztacza przede mną perspektywy na przyszłość. Wszystkie te opowieści brzmiały jak bajki...

Niestety - podjęła z westchnieniem po krótkiej przerwie. - Nie można marzyć za innych. Kiedy poszłam do szkoły i przekonałam się na własne oczy, jak wygląda ten świat od podszewki, wszystko się zmieniło. Strasznie rozczarowałam swego ojca - wyznała ze smutkiem. - Ale tak widać musiało być.

- Ty i Victoria bardzo się od siebie różnicie. Aż trudno uwierzyć, że jesteście siostrami - powiedziałam.

Roześmiała się.

- Wiem, Victoria jest ode mnie o dwa lata młodsza, a zachowuje się tak, jakby była o dziesięć czy dwadzieścia lat starsza. Jest zbyt poważna. Zawsze taka była. Kiedy dorastała,

ojciec poświęcał jej mniej uwagi niż mnie, ale za to później zdawał się lepiej czuć w jej towarzystwie niż w moim. Victoria nigdy nie przeciwstawiała się jego dogmatycznym poglądom na temat ludzi, interesów i sensu życia. A mimo to... - zaważała się.

- Co?

- Na palcach mogłabym policzyć, ile razy widziałam, żeby całował ją z ojcowską czułością, podczas gdy mnie dosłownie obsypywał pocałunkami, a ja chichotałam jak szalona. - Umilkła; jej twarz rozjaśniły szczęśliwe wspomnienia. Potem posmutniała. - Niezależnie od tego, jak pewna siebie i zadowolona z życia wydaje się Victoria, nie mam wątpliwości co do tego, że czuje, iż została oszukana jako dziecko. Naprawdę szczerze jej z tego powodu współczuję.

- Byłaby wściekła, gdyby to usłyszała.

Moja matka skinęła głową i uśmiechnęła się lekko.

- Z drugiej strony wiem, że zazdrości mi mojego życia, choć twierdzi, że jest ono pogmatwane i nieszczęśliwe. No cóż... - powiedziała i wstała z kanapy. - Na mnie już pora. Gdyby się coś wydarzyło albo gdybyś czegokolwiek potrzebowała, zadzwoń do mnie. Mama wróci w niedzielę z pielęgniarką, panią Griffin.

Wstałam z fotela i matka uśmiechnęła się do mnie promiennie.

- Wiesz, odkąd cię poznałam, byłam pewna, że będzie ci tu dobrze. Szybko pokazałaś, że potrafisz docenić możliwości, jakie stwarza ci nowa sytuacja. Twoja mama miała rację. Nie można sprzeciwić się głosowi własnej krwi. Zanadto jesteś podobna do mnie, do mojej matki, do mego ojca, do Hudsonów.

- Ale nie jestem podobna do Victorii - zastrzegłam.

- Myślę, że jej twój pobyt tutaj też dobrze zrobi - odpowiedziała wymijająco i roześmiała się. Objęła mnie, uściśnęła krótko i zaraz ruszyła do wyjścia.

Było mi okropnie przykro, że już idzie. Tak bardzo chciałam z nią dłużej porozmawiać. Kiedy zamknęły się za nią drzwi,



stałam jeszcze przez chwilę w wielkim holu. W domu panowała głęboka cisza. Poczułam nawet wdzięczność dla Merilyn, która podeszła, by spytać tym swoim jęczącym głosem, co będę jadła - gotowanego pstrąga czy indyka.

- Masz dziś wolne, Merilyn - odpowiedziałam.

- Co takiego?

- Masz dziś wolne. Sama sobie zrobię jedzenie - wyjaśniłam.

- Ale ja jestem kucharką i...

- Ej, Merilyn, to tylko ja, wyluzuj się, dziewczyno - powiedziałam z uśmiechem.

- Bardzo proszę. Rób, co tylko chcesz - zgodziła się - ale pamiętaj, żebyś potem po sobie posprzątała.

Odwróciła się na pięcie i poszła do swojego pokoju. Ja wróciłam do siebie, żeby zadzwonić do mamy. Bardzo się ucieszyła ze wszystkich dobrych wiadomości, jakie miałam do przekazania. Opowiedziałam jej także o operacji babci Hudson i dodałam, że rokowania są dobre.

- Ciesz się mnie to - powiedziała mama. - Wątpię, czy twoja prawdziwa matka wzięłaby cię do domu w razie jej śmierci.

- Wszystko będzie w porządku, mamó. - Z jakiegoś powodu nie chciałam być krytyczna wobec mojej matki, choć miałam po temu bardzo wiele powodów, a nawet wiedziałam, że zawsze będę miała po temu powody.

Po chwili mama powiedziała mi o Kenie. Z jej tonu domyśliłam się, że wolałaby w ogóle o tym nie wspomnieć.

- Ken znów wpakował się w kłopoty.

- Co tym razem zrobił?

- Kilka dni temu policja zatrzymała go wraz ze współnikiem za próbę napadu na sklep monopolowy. Dał mi znać, prosząc o pomoc, ale nic dla niego nie mogłam zrobić. Nie stać mnie na adwokata.

- Tak mi przykro, mamó.

- Wiem, skarbie, ale tym bardziej się cieszę, że się stąd wyrwałaś. Nie myśl o tym. Niepotrzebnie w ogóle ci o tym mówiłam.

- Miałaś jakieś wieści od Roya? Słyszał już ostatnią nowinę o Kenie?

- Tak, dzwonił, wie o wszystkim. Ale pamiętasz, jak się rozstali z Kenem. Roy nie żałował go tak jak ty. Pytał o ciebie. Mówił, że radzi sobie dobrze.

- Podał adres?

Mama podyktowała mi adres jednostki. Potem jeszcze chwilę porozmawiałyśmy. Kiedy odłożyłam słuchawkę, wyjęłam list, który napisałam do Roya i zaadresowałam kopertę. Zamierzałam wysłać go nazajutrz.

Potem zrobiłam sobie kolację. Rybę przyrządziłam tak, jak robiłyśmy to zawsze z mamą, a ziemniaki puree utłukłam ze śmietanką, dzięki czemu były pyszne i delikatne, ale nie tłuste jak te, które przyrządzała Merilyn. To był najlepszy posiłek, jaki jadłam, odkąd tu przyjechałam, i przez chwilę poczułam się, jakbym znów znalazła się przy naszym stole, dawno temu, kiedy wszystko wydawało się jeszcze takie proste. Przypomniałam sobie marudzenie Beni i śmiech droczącego się z nią Roya, przechwalającego się swymi planami Kena i mruczącą coś nad kuchenką mamę. Dlaczego nie wiedziałam wówczas, że te szczęśliwe chwile są w rzeczywistości tylko złudzeniem?

Merilyn zajrzała do kuchni, obrzuciła niechętnym spojrzeniem zawartość mojego talerza i zniknęła. Siedząc nad kolacją, przypominałam sobie babcię Hudson śledzącą krytycznym spojrzeniem moje maniery przy stole. Uśmiechnęłam się do siebie.

Kiedy zmywałam, zadzwonił telefon. Przypominałam sobie o telefonie Corbette'a i popędziłam, żeby dopaść słuchawki, nim podniesie ją Merilyn, ale okazało się, że to pielęgniarka ze szpitala.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedziała i wtedy usłyszałam głos babci Hudson.

- Dzwonię, żeby spytać, co się dzieje w domu.

- Spokój - odpowiedziałam. - Wszystko w porządku. A co u pani?

- Powinam była zostać w domu. Przerobili mnie tu na jakieś elektroniczne dziwadło. Czy moje córki były? Pojechały?

- Tak.

- Czy dokonały już podziału majątku na wypadek, gdyby mi ten wynalazek ni z tego, ni z owego eksplodował w środku?

- Ja w każdym razie nic takiego nie słyszałam - odpowiedziałam ze śmiechem.

- Wyobraź sobie, że pielęgniarka nie chciała mi pozwolić na telefon. Musiałam formalnie zagrozić im procesem, żeby pozwolili mi zadzwonić. Będą mnie tu więzić do niedzieli. Nie rozpuść tego obiboka Merilyn. Mam nadzieję, że po powrocie zastanę w domu porządek.

- Przekażę jej to - obiecałam radośnie.

- Będę ci wdzięczna. I sama się nie rozpuść jak dziadowski bicz - dodała tonem ostrzeżenia.

- Życzę pani zdrowia - powiedziałam serdecznie.

Usłyszałam, jak odkłada słuchawkę. Kiedy Merilyn przyszła, żeby sprawdzić, w jakim stanie zostawię kuchnię, przekazałam jej słowa babci.

- Bardzo dobrze spełniam swoje obowiązki - oświadczyła. - Pani Hudson nie ma powodów, żeby na mnie narzekać.

- Wobec tego nie masz się czym przejmować - uspokoiłam ją.

Merilyn zlustrowała kuchnię i zniknęła bez słowa. Poszłam na górę, żeby się przebrać w domowy strój i zrelaksować trochę przed telewizorem. Po przeżyciach tego dnia byłam naprawdę zmęczona, spodziewałam się, że nie będę miała najmniejszych kłopotów z zaśnięciem.

Gdy tylko weszłam do pokoju, znów odezwał się telefon. Tym razem dzwonił Corbette.

- To co, mogę po ciebie wpaść o drugiej? - spytał tak szybko, jakby dzwonił w sekrecie przed kimś i chciał jak najszybciej mieć tę rozmowę za sobą.

- Chyba tak... - powiedziałam. - Tylko czy nie lepiej porozmawiać o tym najpierw z panem Bufurdem? - Wcale nie

byłam pewna, czy to taki dobry pomysł, żeby spotykać się z Corbette'em poza szkołą. Nie chciałam też wyprzedzać poczynań pana Bufurda. W końcu to on był reżyserem.

- Nie - odparł Corbette. - Zróbmy mu niespodziankę.

Nie byłam przekonana, ale nie chciałam się z nim spierać. Musiałam przyznać przed samą sobą, że jestem ciekawa, jaki się okaże Corbette.

Odłożywszy słuchawkę, popatrzyłam w okno i wyobraziłam sobie, że widzę w szybie odbicie Roya.

Spoglądał na mnie drwiąco i niespokojnie zarazem. Ciemne oczy patrzyły z tak dobrze mi znanym wyrazem troski.

Przebiegł mnie dreszcz. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie lepiej zrobiłabym, żyjąc jak moja prawdziwa matka - za murami zamku z podniesionym mostem, chroniona przez wyobrażoną fosę.

Przynajmniej dopóki nie będę znów zdana na siebie.

Nie musiałam długo czekać na odpowiedź.

## PRAWDA CZY FIKCJA?

Późnym rankiem zadzwoniła do mnie matka. Powiedziała, że rozmawiała z babcią Hudson i że wszystko jest w porządku. Potwierdziła wiadomość o powrocie babci w niedzielę. Potem dodała:

- W następny weekend odwiedzę was z Brodym i Alison. Miałam nadzieję, że Grant również będzie mógł przyjechać, ale niestety, wypadło mu akurat jakieś ważne spotkanie z politykami.

- Czy mówiłaś im o mnie? - spytałam.

- Tylko tyle, co innym - odpowiedziała. - A biorąc pod uwagę wszystko, co się właśnie wydarzyło, myślę, że to nie najlepsza chwila, żeby dokładać więcej. I tak trudno im będzie stawić czoło prawdzie.

Trudno im będzie stawić czoło prawdzie? A czemu nikt się nie zatroszczył, jak ja się czułam, kiedy odkryłam prawdę?

- Na razie zostawmy to tak, jak jest. Wszystko w porządku? - zapytała z niepokojem, jakby błagała, żebym uspokoiła jej nieczyste sumienie.

- Tak - powiedziałam, rozglądając się po ogromnym pokoju. Jakiż paradoks losu sprawił, że czułam się tu więźniem nie mniej niż w Projektach! Tyle że zamiast krat w oknach więziły mnie sekrety i kłamstwa.

Moja matka zakończyła rozmowę mglistymi obietnicami. Kiedyś w przyszłości będziemy prawdziwą rodziną, zapew-

niała. Nagle poczułam się, jakbym była podrzutkiem, kimś bez przeszłości. Wszyscy dorośli w moim życiu okazywali się postaciami wieloznacznymi i zmiennymi. Nie mogłam się w tym za nic połapać. Czy jestem po prostu idiotką, która chwytą się złudnej nadziei? Wszystko to razem przygnębiało mnie, pogrążając w otchłani smutku.

Jednak wpadające przez okno słońce szybko poprawiło mi nastrój. Każdy by przyznał, że jest cudowna pogoda, pomyślałam, patrząc na turkusowe niebo, po którym powoli żeglowały gdzieniegdzie maleńkie chmurki. Wszystko wokół - trawa i żywopłoty, kwiaty, fontanna, a nawet wysypane żwirkiem alejki - lśniło w blasku słońca. Humor mi wrócił i przypomniałam sobie, że o drugiej ma po mnie przyjechać Corbette.

Przejrzałam swoją garderobę i wybrałam szare spodnie i lekką bluzkę z kremowego jedwabiu. Przeciągnęłam po ustach szminką i szczotkowałam włosy, dopóki nie zaczęły lśnić, a potem zapatrzyłam się w lustro. Zastanawiałam się, co naprawdę o mnie myślą chłopcy ze Słodkiego Williama. Oczywiście, wszędzie znajdują się tacy, którzy będą pamiętać, że mam ciemniejszą skórę, ale co z resztą? Czy traktują mnie jak egzotyczne zjawisko, czy po prostu jak skutek przemieszania ras? Dla niektórych mogę być nawet godnym pożałowania błędem.

Czy naprawdę jestem taka ładna, jak zawsze twierdziła mama? Czy nie mam za szerokiego czoła, za dużego nosa? A ramiona... czy nie jestem za wąska w ramionach?

Kiedy tak patrzyłam na swoje odbicie, przyszło mi do głowy, że przecież niedługo stanę na scenie szkolnego teatru, aby wystąpić przed setkami ludzi. Wszyscy będą na mnie patrzeć. Co ja najlepszego zrobiłam? Co za urojenia sprawiły, że zgodziłam się wystąpić w teatrze? Byłam pewna, że będę miała okropną treść. Jak ją pokonać? Co zrobić? Sprawy zaszły tak daleko, że pan Bufurd nigdy mi nie wybaczy, jeśli się wycofam. Cały zespół, wszyscy mieliby mi to za złe. Nie miałam innego wyjścia, niż popracować nad tekstem z Corbette'em, być może on mi coś doradzi.

Koło drugiej zeszałam na dół. Nie mówiłam Merilyn, dokąd się wybieram. Z początku uznałam, że to nie jej sprawa, ale potem przyszło mi do głowy, że jeśli zadzwoni babcia albo ktokolwiek inny, może się o mnie zaniepokoić. Odszukałam ją bez entuzjazmu. Siedziała w gabinecie i czytała jakieś kolorowe czasopismo. W pierwszej chwili na mój widok omal nie spadła z fotela.

- Dlaczego się tak skradasz? - spytała ostro.

- Wcale się nie skradam. Mówiłaś mi, że pani Hudson nie życzy sobie, żeby siedzieć w tym gabinecie.

- Ja tu sprzątam.

- Niech ci będzie, wszystko mi jedno, co tu teraz robisz. Chcę ci tylko powiedzieć, że gdyby ktoś o mnie pytał, to jestem u Corbette'a Adamsa. Uczymy się razem tekstu *Naszego miasta*.

- Czy znów masz zamiar sama obsłużyć się wieczorem w kuchni?

- Owszem.

- Wobec tego mogę wyjść z domu. Należy mi się wolne - oznajmiła wojowniczo.

- Nie musisz mnie prosić o zgodę - powiedziałam.

- Wiem. Chcę cię tylko uprzedzić na wypadek, gdyby ktoś do mnie dzwonił.

Usłyszałam trąbienie i szybko wróciłam do frontowych drzwi. Corbette czekał na mnie w nowym czerwonym kabriolecie o sportowej sylwetce.

- Nie jest to tego rodzaju samochód, jakim jeździłby George Gibbs, ale to, niestety, wszystko, czym dysponuję.

Corbette był ubrany w bawełnianą niebieską koszulę i dżin-sy. Włosy miał potargane od wiatru.

- Masz tekst? - spytał, gdy podeszłam do drzwi samochodu.

- Tak. - Poklepałam czarną, skórzaną teczkę.

- Założę się, że już się zaczęłaś uczyć roli - powiedział, gdy wsiadłam.

- Może.

Roześmiał się i dodał gazu. Samochód ruszył tak szybko,

że siła bezwładności aż mnie wcisnęła w siedzenie. Krzyknęłam, a Corbette popatrzył na mnie zadowolony z wrażenia i popędził w kierunku bramy.

Poza codziennymi przejazdami do szkoły i z powrotem nie miałam dotąd okazji, żeby przyjrzeć się okolicy. Corbette zdawał się wybierać najmniej uczęszczane, boczne drogi. W pewnej chwili zjechał nawet na wyboistą polną drogę.

- Jedziemy na skróty - wyjaśnił mi, gdy samochód podskoczył po raz kolejny w koleinach. Na horyzoncie nie było jeszcze widać żadnych budynków.

- Czy zawsze jeździsz tędy do domu? - spytałam, starając się nie dzwonić zębami w trzęsącym się samochodzie.

- Od ciebie - powiedział, ale szybko uciekł przede mną spojrzeniem. Podejrzewałam, że woli, żeby nikt mnie z nim nie widział. - Jak ci się podoba w Szkole Dogwoodów?

- Bardzo.

- To musi być spora zmiana w porównaniu z twoją poprzednią szkołą, nie?

- Nie spora - odparłam. - Kolosalna.

Uśmiechnął się. Miał lśniące białe zęby. Z oświetloną słońcem twarzą i rozwianymi włosami wokół głowy wyglądał jak gwiazdor filmowy. Na pewno nigdy nie zastanawiał się, czy jest przystojny, bo odpowiedź była dla niego oczywista. Roy nazwałby go słodkim białym chłoptasiem, pomyślałam, i odwróciłam głowę, żeby się nie roześmiać.

Minęliśmy rozległą łąkę, na której pasły się krowy i kilka koni. Potem minęliśmy zarośnięte pola i jakieś zagajniki, po czym wreszcie wyłoniły się zabudowania gospodarstwa jego rodziców.

- Nie ma jak w domu - oświadczył, kiwając głową w kierunku wielkiego budynku na podmurówce z potężnych kamieni polnych. Musiałam przyznać, że nie przypominał niczego, co widziałam dotąd w okolicy.

- Zbudował go po powrocie z pierwszej wojny światowej mój dziadek. Tak mi przynajmniej zawsze mówiono. To dom w stylu eklektycznym. Rzeczywiście jest bardzo malowniczy.



W pewnej odległości za domem stała ogromna stajnia, świeżo pomalowana na szaro, z czarnymi obramowaniami wokół drzwi i okien. Do domu prowadził brukowany podjazd. Przed wejściem stały lampy na szarych słupach. Corbette zjechał z drogi prowadzącej do domu i pojechał w kierunku stajni.

- Czy mieliście tu kiedykolwiek zwierzęta?

- Dziadek miał konie i stadko rozplodowych byków, za które zbierał nagrody na wystawach rolniczych. Ale to było bardziej hobby niż poważne gospodarowanie.

- A co robi twój ojciec? - spytałam, oszołomiona wielkością domu i rozległością otaczającego go terenu. Za domem widziałam basen i kort tenisowy, nieopodal znajdowała się cieniasta altana i ogródek skalny z tuzinem fontann i kamiennymi ławami.

- Mój ojciec jest prawnikiem. Zajmuje się dużymi umowami, niekiedy nawet na skalę międzynarodową - poinformował Corbette. - Matka jest przewodniczącą z pół tuzina instytucji dobroczynnych i osobą bardziej zapracowaną od mego ojca. Tak przynajmniej twierdzi.

Zatrzymał samochód przed stajnią. Wokół panowała niesamowita cisza. Nigdzie na widnokręgu nie było widać żywej duszy.

- Czy twoja matka jest w domu?

- Nie. Jest na posiedzeniu rady któregoś ze swoich komitetów dobroczynnych. A ojciec pojechał do biura. Chodź - zachęcił mnie i nie tyle wysiadł, co wyskoczył z samochodu. Zanim wysiadłam, podszedł do stajni i otworzył przede mną wrota. - Moja kryjówka - powiedział i odsunął się, żeby wpuścić mnie do środka.

Część stajni została oddzielona w taki sposób, że powstał wielki salon. Poza kolorowym chodnikiem znalazły się tam przeróżne meble - sofa o dziwnie płynnych liniach, dwa skórzane fotele klubowe, stoliki i duży stół, wokół którego ustawiono krzesła. W kącie stał telewizor i wieża CD. Wokół niemalowanych belek stropu ciągnęły się sznury kolorowych lampek. Na ścianach wisiały plakaty filmowe i zdjęcia gwiazd

rocka. Całości dopełniało wielkie lustro, półka z książkami i stojące po prawej stronie biurko.

- Nie wierzę własnym oczom. To naprawdę była stajnia?

- W każdym razie nie czujesz końskiego zapachu. - Ani siana, ani nawozu. Chcesz się czegoś napić? - spytał Corbette, podchodząc do niskiej lodówki. Otworzył drzwiczki i zajrzał do środka. - Mam. piwo, wodę mineralną - z gazem i bez gazu, sok z żurawin. Sok z żurawin jest niezły do wódki. - Uśmiechnął się do mnie zachęcająco. - Wódkę też mam.

- Nalej mi po prostu wody - powiedziałam.

Otworzył butelkę i nalał do szklanki wodę mineralną, a potem otworzył sobie butelkę piwa.

- Rozluźnij się. - Wskazał kanapę, podając mi wodę.

- Dużo czasu tu spędzasz?

Na stole leżały czasopisma, w okolicach wieży stopy płyt CD i kasety, pośrodku salonu stał pojemnik na śmiecie wypełniony butelkami po piwie. Na stole, pod którym stała lodówka, leżało stare opakowanie po pizzy z okruszynami ciasta.

- Zwykle jadam i śpiam w domu, ale nieraz zdarzało mi się także nocować tutaj.

- Twoim rodzicom to nie przeszkadza?

- Dlaczego miałoby im przeszkadzać? Ulżyło im. Ojciec nawet wynajął cieślę, żeby dokonał przebudowy, kupił te wszystkie meble i pozwolił mi zabrać z domu stereo i telewizor.

Jakie to dziwne, pomyślałam, że rodzice mogą mieć do tego stopnia dosyć swego dziecka, by stworzyć mu dom poza domem.

Corbette usiadł na kanapie, popijał piwo i patrzył na mnie tak, jakby czekał, aż błysnę czymś olśniewającym. Rozejrzałam się dookoła, a potem otworzyłam teczkę i wyjęłam tekst.

- Może weźmiemy się do pracy? - zaproponowałam.

- Ja już znam swoją część na pamięć - rzekł Corbette tonem przechwałki.

Odłożyłam egzemplarz.

- Ja chyba... także.

Znów uśmiechnął się tym swoim pewnym siebie uśmiechem.

- Tak myślałem. - Spowaźniał. - Wiesz, że wszyscy przez ciebie szaleją?

- Przeze mnie? Czemu? Co ja takiego zrobiłam?

- Jesteś pierwszą dziewczyną z getta, która trafiła do Szkoły Dogwoodów. Dziewczyny były pewne, że padniesz przed nimi plackiem. A tymczasem ty wciąż je zaskakujesz i zbijasz z tropu, zwłaszcza Colleen.

- Czy ty też się spodziewasz, że padnę przed tobą plackiem?

- No. Ale twoje sukcesy mnie cieszą, bo nie znoszę tych pieprzonych snobek. Miło spotkać taką dziewczynę jak ty, kogoś, kto sporo już w życiu widział. Aż przyjemnie patrzeć, jak potrafisz utrzyć im nosa. Zazdroszczą ci, ale boją się z tobą zadzierać. Podoba mi się to. Jeszcze nigdy dotąd nie bawiłem się tak dobrze na próbach.

Odstawił butelkę i przysunął się bliżej.

- Weźmy się do roboty, bo za kilka godzin chcę być z powrotem w domu - powiedziała. - Spodziewam się telefonu opiekunki ze szpitala, a służąca nie jest moją fanką.

- Jasne, ale najpierw powinniśmy się trochę bliżej poznać. Dzięki temu łatwiej nam będzie potem grać razem na scenie. Uwierz mi, znam się na tych sprawach. Występowałem już w niejednej sztuce - dodał, kiwając głową.

- Nie wydaje mi się, żeby to miało największe znaczenie dla wczucia się w sytuację ludzi, których gramy - sprzeciwiłam się. - Z tekstu jasno wynika, że Emily i George są ludźmi nieśmiałymi. Brak im pewności siebie... Z tym możesz mieć największy kłopot - dodałam.

Przez chwilę wydawał się zaskoczony, ale zaraz się roześmiał.

- Jesteś całkiem zabawna - oświadczył. Sięgnął dłonią do szczeliny między siedzeniem a oparciem kanapy i wyciągnął małą plastikową torebkę.

- Mam niezłą trawkę.

- Co to jest?

- Na pewno poznasz się na towarze.
- Nie.
- Daj spokój. Przecież wy tam palicie chyba więcej trawy niż papierosów.
- Ja nie.
- Chcesz powiedzieć, że nie palisz?
- Nie.
- Słuchaj, przecież to bardzo przyjemne. Spróbuj, sama się przekonasz. Daję ci słowo, że warto.

Przysunął twarz tak blisko mojej twarzy, że niemal zetknęliśmy się ustami.

Odsunęłam głowę.

- Dziękuję, nie skorzystam z twojej propozycji. Więc po to mnie tutaj ściągnąłeś? Wydawało mi się, że mieliśmy przygotować drugi akt.

- Chciałem cię tylko lepiej poznać - wyjaśnił. - Ty nie masz ochoty poznać mnie bliżej? - Objął mnie lewym ramieniem i przyciągnął do siebie.

Opierałam się.

- Przestań, Corbette. - Położyłam mu prawą dłoń na piersi. - Nie wiem, czego oczekiwałeś, ale przyjechałam tu z tobą wyłącznie po to, żeby przećwiczyć tekst.

- Z tekstu sztuki wynika, że mamy się pobrać.

- No i?

- Potem Emily umiera podczas porodu. Żeby urodzić, musiała najpierw zająć w ciążę - powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Tego nie ma w tekście. Jakie masz jeszcze pomysły?

- Okropnie jesteś niemiła.

- Nieprawda. Nie jestem. Co najwyżej jestem tobą rozczarowana, Corbette. Czy to działa na wszystkie dziewczyny, jakie tu zapraszasz?

- Na większość - przyznał bez cienia żenady.

- No więc ja nie należę do większości. - Wstałam z kanapy. - Może lepiej będzie, jeśli odwieziesz mnie do domu, a do swoich ról będziemy się przygotowywali podczas prób w szkole.

- Nie wściekaj się. Co cię ugryzło? Nie chciałem powiedzieć nic złego. - Ze skruszoną miną wcisnął torebeczkę trawki na miejsce.

- Poza tym nie rzucam się chłopakom w ramiona - oznajmiłam.

Popatrzył na mnie sceptycznie.

- Nie wiem, co myślisz albo co ci wmówiono, ale w naszej dzielnicy nie wszyscy byli tacy sami, Corbette. Ludzie powinni traktować się nawzajem jako indywidualne jednostki, a nie jako stereotypy - wyjaśniłam mu. Poczułam, że robi mi się gorąco.

Corbette patrzył na mnie z coraz większym podziwem.

- Można przy tobie oszaleć, dziewczyno, ale wiesz co? Kiedy jesteś zła, robisz się jeszcze ładniejsza.

Często mówił mi tak Roy. Rozluźniłam napięte mięśnie, lecz nie usiadłam z powrotem na kanapie.

- Nie rozumiem, jak możesz tak żyć.

- Dlaczego?

- Czemu ciągle chcesz być z dala od swoich rodziców.

Popatrzył na mnie, a potem spuścił spojrzenie na podłogę.

- Zawsze byłem sam, odkąd mój brat umarł na chorobę krwi - powiedział. - Żeby nie mieć czasu na myślenie o nim, mama wciąż się czymś zajmuje. Z moim ojcem jest tak samo, i podejrzewam, że mój widok przypomina im o Johnnym i o tym, co się z nim... stało. Wolę mieszkać sam i nie odświeżać swoją obecnością ich bólu.

- Och, tak mi przykro - powiedziałam.

Wyprostował się. Miał taką minę, jakby walczył ze łzami. Usiadłam obok.

- Ile miał lat, kiedy zmarł?

- Cztery.

- To straszne. Wyobrażam sobie, co przeżyłeś, bo sama straciłam w tym roku siostrę.

- Co się z nią stało?

- Zamordowali ją gangsterzy.

- A niech to! Widziałas dużo więcej prawdziwego życia, niż się spodziewałem.

- To nie jest żadne prawdziwe życie, Corbette; to jest naprawdę nędzna vegetacja.

- Musisz się czuć samotna bez rodziny - zauważył. Nachylił się do mnie i wplótł zgrabne palce w moje włosy. - Nawet dla mnie jest to bardzo trudne, choć ja tylko udaję, że jej nie mam. Pewnie myślisz, że skoro jeżdżę sportowym samochodem i mieszkam w wielkim domu, a moi rodzice są bogaci, to mam wszystko, prawda? Pewnie mi nawet zazdrościsz, przyznaj się, Rain, zazdrościsz mi?

- Nie.

- Ależ tak! To dlatego jesteś w stosunku do mnie taka... lodowata.

- To śmieszne! - parsknęłam. - Niczego ci nie zazdrozczę ani nie jestem wobec ciebie zimna.

Uśmiechnął się.

- To dobrze. Naprawdę cię lubię, Rain. Niesamowita z ciebie dziewczyna. - Trzymał wciąż palce w moich włosach, nie pozwalając mi odsunąć głowy. Przyniósł usta do mojego policzka. - Masz rację, Rain. Jestem tu samotny. Okropnie samotny - szepnął i musnął ustami moje wargi.

Nie opierałam się, więc pocałował mnie jeszcze raz, tym razem bardziej zdecydowanie.

Całował mnie w policzek, potem w szyję.

- Wszyscy mi zazdrozczą mojego małego domku, choć czuję się tu naprawdę samotny, równie samotny jak ty. Ale w końcu nikt nie powiedział, że musimy być dwojgiem samotników.

Jego usta obwiodły zarys mojej twarzy, po czym powróciły do moich ust. Tym razem całował mnie dłużej, namiętniej, a jego ciało opadło na mnie, wciskając mnie w poduszki. Całował mnie w szyję, potem rozpiął guzik, żeby pocałować mnie w obojczyk, potem jeszcze jeden i jego ciepły język prześlizgnął się po moich piersiach. Serce mi waliło. Chciałam go odepchnąć i wstać, a tymczasem moje własne ciało nie chciało mnie słuchać, chciało pozostać w jego ramionach.

- Corbette - poprosiłam. - Proszę, nie...

- Rain, och, Rain. Jesteś taka ciepła, taka podniecająca - szeptał Corbette.

Jego palce zgrabnie rozpięły kolejny guzik. Dłonie wślizgły się do wnętrza bluzki i otoczyły moje ciało, błyskawicznie rozprawiając się z zapięciem stanika. Odłożył stanik, a usta natychmiast zawędrowały na moje piersi. Chwytał najpierw jedną, a potem drugą sutkę w usta. Jego ciało obezwładniało mnie swym ciężarem, ręce zaś zręcznie myszkowały po moim ciele.

Chciałam zaprotestować, ale zamknął mi usta kolejnym namiętym pocałunkiem. Jednocześnie rozpiął moje spodnie. W chwilę później jego palce wsunęły się w moje figi, wywołując we mnie gwałtowny dreszcz podniecenia. Byłam tym zdumiona, ale jakaś część mojej osoby wcale nie miała ochoty stawiać mu oporu.

- Wiedziałem, że będziesz dojralsza od tutejszych dziewczyn, wiedziałem - szeptał mi do ucha.

- Poczekaj, Corbette - poprosiłam słabo. - Nie jestem taka, jak ci się wydaje.

- Pragnę cię, strasznie cię pragnę, Rain.

Poczułam, że Corbette zaczyna rozpinąć spodnie. Byłam przerażona, ale jednocześnie podniecenie rozlewało się po moim ciele słodkimi dreszczami rozkoszy, skupiając się gdzieś w dole brzucha. Czułam się, jakbym tonęła w poduchach, a ciemniejsza strona mojej osobowości popychała mnie ku decyzji.

Corbette zaczął mi ściągać spodnie. Kiedy spróbowałam odsunąć jego rękę, tylko sapnął i uparcie parł do swego. Miałam już spodnie ściągnięte do kolan. Dłonie Corbette'a przesuwwały się po mojej pupie. Poczułam twardość jego członka, którego starał mi się wepchnąć między nogi.

Pokręciłam głową. To wszystko nie może się toczyć z taką szaleńczą szybkością. Nie wolno mi, pomyślałam.

- Poczekaj, nie, poczekaj - poprosiłam. - Za szybko się posuwasz. - Świat wirował wokół mnie.

- Nie dla ciebie - zaprzeczył. - No chodź, Rain.

Ostatecznym wysiłkiem szarpnęłam się na tyle, że udało mi się strącić go z kanapy. Kiedy tylko się od niego uwolniłam, podciągnęłam i zapięłam spodnie. Potem pozapinałam guziki bluzki. Corbette leżał na podłodze, kompletnie osłupiały.

- Co się dzieje? - spytał.

- Powiedziałam ci, że nie wskakuję nikomu do łóżka - przypomniałam. - Nie mówię, że cię nie lubię, Corbette, czy że nie mogłabym tego z tobą zrobić, ale na pewno nie dzisiaj. Po prostu nie mogę i już.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem się uśmiechnął.

- No dobrze - powiedział. - Potrzebujemy czasu, żeby się lepiej poznać? Proszę bardzo, widzisz? - rzekł, zapinając spodnie - nie ma ze mną żadnych problemów.

- Albo się bierzemy do pracy, albo odwieź mnie do domu.

- Dobrze, dobrze. Zaraz bierzemy się do pracy.

Wstał, poprawił włosy, wypił łyk piwa. Kiedy już odzyskał spokój, zaczęliśmy.

Pracowaliśmy przez godzinę, przy czym Corbette co chwila przerywał, by mnie całować, po czym zaraz cofał się z uniesionymi w geście kapitulacji rękami, tłumacząc, że tylko chciał mnie trochę bliżej poznać. Mimo paraliżującej świadomości, że pierwszy raz w życiu znalazłam się o krok od tego, by kochać się z chłopakiem, nie potrafiłam się nie śmiać. Corbette nie miał o tym pojęcia, ale tylko sekundy dzieliły mnie od nieodwołalnej decyzji. Omal nie straciłam panowania nad sobą, nawet trochę żałowałam, że do tego nie doszło, ale nie zamierzałam mu tego okazać.

W końcu uparłam się, że chcę wracać do domu. Corbette był rozczarowany, jednak posłusznie mnie odwiózł.

Wracaliśmy tą samą trasą, wyboistymi bocznymi drogami. Przed domem Corbette całował mnie długo i namiętnie, wędrując po moich piersiach dłońmi i zsuwając je po brzuchu aż do bioder. Odsunęłam się od niego i wysiadłam.

- Jutro o tej samej porze?

- Nie. Wraca moja opiekunka. Będę musiała zostać w domu, żeby pomóc.



- To może któregoś dnia w ciągu tygodnia po lekcjach?
- Może - powiedziałam.
- Będę się musiał solidnie napracować, żeby cię zdobyć, co? - spytał żartobliwie.
- To będzie dla ciebie coś nowego. - Roześmiałam się.
- Do widzenia, Emily Webb.

Kiedy patrzyłam, jak odjeżdża, połową duszy cieszyłam się, że wszystko skończyło się tak, jak skończyło, ale drugą połową, może nawet więcej niż połową, żałowałam, że do niczego więcej nie doszło. Owszem, Corbette był bogaty i arogancki, ale był również przystojny, a poza tym, jak dowodziło to, co opowiedział o śmierci swojego braciszka, także bardzo wrażliwy. Nic na to nie mogłam poradzić, ale zastanawiałam się, co na to powie babcia Hudson, szczególnie jeśli naprawdę zostalibyśmy z Corbette'em parą.

Wchodziłam po schodach, gdy zawołała mnie Merilyn.

- Był do ciebie telefon. Dzwonił jakiś Roy.
- Roy? - Szybko zeszłam na dół. - Kiedy?
- Przed godziną.
- Zadzwoń jeszcze?
- Nie mówił.
- Czy zostawił numer telefonu? - zasypałam ją pytaniami.
- Nie.
- Co powiedział?
- Nic. Pytał o ciebie. Poinformowałam go, że uczysz się z kolegą roli w przedstawieniu. Prosił, żeby przekazać, że dzwonił. To wszystko. Nie wynajmowałam się na twoją sekretarkę - dodała i zniknęła w kuchni.

Rozczarowana powlokłam się na górę i rzuciłam na łóżko. Wszystko się we mnie kotłowało. Po ekranie mojej pamięci przesuwwały się obrazy i dźwięki. Oczy Corbette'a rozplływały się w oczach Roya, głos Roya przechodził w głos Corbette'a. Ich pocałunki i pieszczoty stanowiły cały zasób doświadczenia zmysłowego, jakie zgromadziłam w życiu.

Leżałam z zamkniętymi oczami. Nie wiedziałam, czy powinnam była ulec, czy nie. Nie miałam pojęcia, co by nastąpiło,

gdybym to zrobiła. Zastanawiałam się, jakie niebezpieczeństwa i jakie rozkosze czekały na mnie za drzwiami, których progu właśnie omal nie przekroczyłam.

Zanim zeszłam, żeby zrobić sobie coś na kolację, Marilyn zniknęła. Stałam w kuchni, przeglądając zawartość kredensu i lodówki i zastanawiając się, co zjeść, kiedy zadzwonił telefon. Rzuciłam się i chwyciłam słuchawkę w nadziei, że to Roy, ale okazało się, że Audrey.

- Cześć - pisnęła po swojemu. - Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale dzwonię, żeby spytać, jak się czuje pani Hudson.

- Wszystko w porządku, Audrey - odpowiedziałam, nie umiając ukryć rozczarowania. Natychmiast poczułam wyrzuty sumienia, więc szybko dodałam: - Miło, że zadzwoniłaś.

To ją trochę ośmieliło.

- O ciebie także się martwiłam - dodała głośniejszym głosem. - Nieźle nam idą przygotowania do premiery, no nie?

- Nie wiem. Pierwszy raz w życiu występuję w przedstawieniu, więc trudno mi to ocenić.

- Wobec tego uwierz mi. Ja grałam już w kilku sztukach pana Bufurda i nigdy jeszcze nie szło nam tak znakomicie. To twoja zasługa, Rain. Naprawdę jesteś wyjątkowa.

- Dziękuję, Audrey. Kiedy ktoś ma taką tremę jak ja, potrafi docenić miłe słowa.

- Mhm - przyznała Audrey.

Przez chwilę obie milczałyśmy.

- Co dziś robisz? - spytałam. - Jeśli chcesz, możesz do mnie wpaść, zjemy razem kolację.

- Naprawdę? Muszę spytać mamę! - krzyknęła entuzjastycznie.

Usłyszałam, jak słuchawka stuknęła o blat stołu, i roześmiałam się do siebie. Natychmiast potem znów dobiegł mnie głos Audrey.

- Mama się zgadza. Nie będziemy wychodziły z domu, prawda?

- Nie będziemy.

- Zaraz przyjadę - zaczęła Audrey. Nawet się ze mną nie pożegnała.

Nie mogłam się nadziwić, jak łatwo nawiązać znajomość, a może nawet przyjaźń z tymi bogatymi białymi dziećmi. Widać samotność nie zna granic, nie dba o kolor skóry czy stan konta w banku. Samotność tylko czeka na okazję, żeby wniknąć do twego życia i okryć serce cieniem.

Niecały kwadrans później usłyszałam stukanie do drzwi i powitałam Audrey. Czarny mercedes już odjeżdżał sprzed domu.

- Cześć - rzuciła na powitanie. - Dzięki, że mnie zaprosiłaś.

- Chodź, jeśli chcesz, pokażę ci dom.

- Och, nie musisz. Byłam tu już kiedyś - powiedziała, kiedy zamknęłam drzwi. - Jest bardzo piękny. Gdy tu ostatnio byłam, spotkałam wnuka i wnuczkę pani Hudson.

- Naprawdę? Opowiedz mi coś o nich - poprosiłam ją.

- Nigdy ich nie widziałas?

- Chodź, pogadamy w kuchni. Pomożesz mi zrobić kolację.

- Zrobić kolację? Sama sobie robisz kolację?

- Tak - odparłam ze śmiechem. Audrey wciąż miała zdumioną minę. - To nie jest operacja na otwartym mózgu.

- Moja matka nigdy mi nie pozwala niczego gotować. Kiedyś upiekłyśmy razem ciasteczka, ale to było już dawno.

- Ja często gotowałam w domu, ponieważ moja mama pracowała do późna i wracała do domu zmęczona - wyjaśniłam, wchodząc z Audrey do kuchni.

- Co dziś zrobisz? - spytała Audrey, patrząc zdumionym wzrokiem na rozłożone naczynia. Musiała mówić prawdę. Wystarczyło mieć choćby minimum doświadczenia w pracach kuchennych, żeby się zorientować, co zamierzam przyrządzić.

- Smażę kurczaka - wyjaśniłam jej. - Ubijam całe jajko, potem obtaczam kawałki mięsa w mące, maczam je w jajku i panieruję tartą bułką.

Zademonstrowałam Audrey, jak się panieruje kurczaka.

- Co potem?

- Potem rzucam mięso na tłuszcz. Zaraz się usmaży.

Otworzyłam puszkę i wrzuciłam do rondelka marchewkę z groszkiem. Audrey śledziła wszystkie moje poczynania absolutnie zafascynowana.

- Możesz utłuc ziemniaki - powiedziałam. - Już się ugotowały.

Audrey wyglądała, jakby była w siódmym niebie.

- Muszę przypilnować ciasteczek - wyjaśniłam. - Roy mówi, że moje herbatniki zawsze są o krok od tego, żeby się spalić.

- Roy to twój brat?

- Tak - odpowiedziałam. - Opowiedz mi o wnukach pani Hudson.

- Trudno powiedzieć, żebym ich poznała. Szczerze mówiąc, Alison nie wydawała się niczym szczególnie zainteresowana. Brody jest miły. I jest bardzo przystojny, co najmniej równie przystojny jak Corbette Adams.

Uśmiechnęłam się.

- Co?

- Widziałam dziś Corbette'a. Zawiózł mnie do siebie i próbowaliśmy razem drugi akt.

- Och - pisnęła Audrey. Wyglądała na rozczarowaną.

Pomyślałam, że podobnie jak większość dziewczyn ze Szkoły Dogwoodów kocha się w nim i marzy, żeby to ją spotkało takie wyróżnienie.

- Wiesz, że ma własne mieszkanie w starej stajni?

- Tak, słyszałam o tej jego słynnej stajni.

- Jak to słynnej? Nie rozumiem.

- Sporo dziewczyn widziało jego stajnię. Ja nie - dodała szybko, zawzięcie tłukąc ziemniaki. - Ale Corbette nie jest specjalnie stały w uczuciach. Nie mam wielkiego doświadczenia, jeśli chodzi o chłopców, ostrzegam cię jednak, żebyś uważała. Nie poszłabym do jego stajni, nawet gdyby mnie zaprosił - upewniła mnie.

Uśmiechnęłam się do siebie. Przypomniała mi się bajka

o lisie i winogronach. Mama często nam ją powtarzała. Lis nie mógł się dostać do winogron, bo rosły za wysoko, więc wmaślał sobie, że na pewno i tak są kwaśne.

- Nie jest taki straszny, na jakiego wygląda - powiedziałam.

Nałożyłam na talerze kawałki kurczaka. Mięso miało złocisty kolor i pięknie pachniało.

- Corbette cieszy się opinią podrywacza. Inni chłopcy nazywają go miłośnikiem świeżych wisienek.

- Dlaczego?

- Bo się przechwala, że zdobył już mnóstwo dziewczyn - wyjaśniła Audrey, oblewając się rumieńcem.

Pokręciłam głową z uśmiechem.

- To wszystko pewnie tylko plotki. Chłopaki lubią się przechwalać po lekcjach w szatni. Myślę, że w rzeczywistości jest bardzo wrażliwy. Odkąd umarł mu braciszek, jego życie było strasznie ciężkie. Otworzył się przede mną i opowiedział mi trochę o sobie.

- Co takiego mówił?

- Mówił o swoim młodszym bracie, który umarł na jakąś chorobę krwi - powiedziałam. - Miał zaledwie cztery lata.

Audrey patrzyła na mnie przez chwilę. Zgasiałam ogień pod rondelkiem i przełożyłam marchewkę z groszkiem do miseczki. Kiedy podniosłam wzrok, Audrey wciąż się we mnie wpatrywała z dziwną miną. Wyglądała, jakby przed udławiła się gumą do żucia.

- Co się stało? - spytałam. - Masz taką zdziwioną minę. Wciąż ci się jeszcze wydaje, że gotowanie jest trudne?

- Nie, ale zastanawiałam się nad tym, co powiedziałaś o braciszku Corbette'a.

- No i co?

- Nie wiedziałam, że jego brat zmarł.

- To takie smutne. Miał tylko cztery latka - powtórzyłam. - Weź ziemniaki i marchewkę, ja wezmę kurczaka. Stół jest już nakryty i...

- Cztery latka? Och nie, brat Corbette'a ma co najmniej

osiem lat. Wiem, bo moja matka i pani Adams zasiadają w radach opiekuńczych różnych instytucji dobroczynnych.

Przekrzywiłam głowę.

- Nie rozumiem, o czym mówisz, Audrey.

- Brat Corbette'a nie cierpi na żadną chorobę krwi. Ma po prostu zespół Downa. Wiesz, co to jest?

- Tak. Ale wydawało mi się, że Corbette mówił o jakiejś innej chorobie, może nawet o białaczce.

Audrey stanowczo pokręciła głową.

- Umarł, mając cztery lata. Jestem pewna, że Corbette tak powiedział.

- Jeśli mi nie wierzysz, możemy zadzwonić do mojej matki - zaproponowała Audrey. - Matka Corbette'a zaszła w drugą ciążę dobrze po trzydziestce. Teraz ma czterdzieści kilka lat, więc coś musiało ci się pokręcić.

- Przecież pamiętam, co mi powiedział.

- Ale po co miałby ci opowiadać taką historię? - zastanawiała się głośno Audrey. Naraz jej twarz się rozjaśniła. - Może chciał, żeby zrobiło ci się go żal, bo wtedy łatwiej byłoby mu zdobyć kolejną ofiarę.

Wpatrywałam się w Audrey z natężoną uwagą.

- Rain?

Nie podobał mi się zapach, jaki czułam.

- O nie! - krzyknęłam i rzuciłam się biegiem do kuchni. - Ciasteczka!

Niemal wszystkie były spalone. A ja miałam wszystkiego dosyć.

## KOMU MOGĘ UFAĆ?

Jake przyjechał rano po rolls-royce'a, którym miał przywieźć ze szpitala babcię Hudson. Widziałam, jak zajechał przed dom, i zesłałam, żeby z nim pogadać. Chciałam z nim pojechać po babcię, ale nawet bałam się to zaproponować, lękając się, że tylko ją zirytuję.

- Dzień dobry, wasza wysokość - zażartował Jake, uchylając przede mną czapkę i kłaniając się nisko.

- Dzień dobry, Jake. O której przywieziesz panią Hudson?

- Powiedzieli mi, żebym przyjechał do szpitala na dziesiątą. Dziś to nie więcej niż jakieś czterdzieści minut jazdy. Prawie nie ma ruchu. - Spojrzał na rezydencję. - Jak ci się żyje samej w tym wielkim domu?

- Była u mnie wczoraj koleżanka na kolacji - pochwaliłam się. - Opowiadałam jej o duchach.

Jake roześmiał się głośno.

- Nastraszyłaś ją?

- Może trochę. Czy ty wierzysz w duchy, Jake? Moja mama wierzy.

- W takim domu jak ten zawsze coś pozostaje mimo upływu czasu - rzekł, zdejmując czapkę i drapiąc się w głowę. - W takich miejscach jak to historia się nawarstwia. Dużo się tu wydarzyło, ale nie spotka cię w tym domu nic złego - obiecał.

- Skąd taka pewność, Jake?

Wzruszył ramionami.

- Mnie samego nic złego tu nigdy nie spotkało - odpowiedział. Otworzył drzwi samochodu i spojrzał na mnie. - Przejdiesz się ze mną?

Miałam wielką ochotę się z nim zabrać, nawet zrobiłam krok w jego kierunku, ale potem się zatrzymałam.

- Nie, lepiej tu zaczekam - powiedziałam. - Zostały mi jeszcze lekcje do odrobienia, a chciałabym być w pełni swobodna, kiedy wróci pani Hudson.

- Ale wiesz, że pani Hudson wróci do domu z pielęgniarką?

- Wiem, Victoria uważa, że ta pielęgniarka jest bardzo kosztowna.

Jake roześmiał się i pokręcił głową.

- No cóż, nie ma nic złego w tym, że ktoś nie traci z oka zawartości portfela - zauważył, wsiadając do samochodu. - Jeśli podejdziesz do Victorii bez uprzedzeń, będziesz mogła wiele się od niej nauczyć.

- Wszystko, co można robić w obecności Victorii, to milczeć i słuchać - mruknęłam. Prawdopodobnie nie powinnam tego mówić, chociaż nawet przez myśl mi nie przeszło, że Jake mógłby komukolwiek powtórzyć, co powiedziałam. Po prostu czułam, że zabrzmiało to niewdzięcznie i podle.

Jake opuścił okulary i spojrzał na mnie z uśmiechem, a potem zapalił silnik, pomachał mi i odjechał. Patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął, a potem odwróciłam się i powoli wróciłam do domu.

Merilyn wzięła się właśnie do odkurzania i sprzątania. Wieczorem wróciła późno, a rano spała długo, nie pofatygowała się nawet do kuchni, żeby zrobić mi śniadanie. Wiedziała, że sama sobie poradzę, więc się nie przejmowała.

W gruncie rzeczy nie miałam wiele do nauki, co najwyżej pozostawało mi przygotować się lepiej do sprawdzianu z historii. Wszystkie inne lekcje odrobiłyśmy już z Audrey poprzedniego dnia. Gadałyśmy i gadały, dopóki nie przyjechała jej matka. Audrey przyznała mi się, że najbardziej na świecie,



bardziej niż o najlepszych stopniach i zagranii głównej roli w szkolnym przedstawieniu, marzy o tym, żeby mieć chłopaka. Powiedziała mi nawet, że kiedyś jej marzenie omal się nie spełniło, ale natychmiast wszystko źle się skończyło.

- Nazywał się Charles Princeton i chodził na specjalne zajęcia dla najbardziej zaawansowanych z francuskiego, na które chodziły uczennice ze Szkoły Dogwoodów i uczniowie ze Słodkiego Williama. Charles był ode mnie o jakiś cal wyższy, może wydałby ci się trochę pucołowaty, ale miał przepiękne niebieskie oczy. Kiedy na mnie patrzył, to czułam, że naprawdę na mnie patrzy. Spoglądał mi prosto w oczy, jakby mnie wzywał, żebym odwzajemniła jego spojrzenie. Wiesz, niektórzy chłopcy zawsze gapią się na twoje piersi w taki sposób, że czujesz się przy nich naga. Charles tego nie robił. Po prostu niekiedy spoglądał mi w oczy. Zawsze odwzajemniałam jego spojrzenie. W przeciwieństwie do większości dziewczyn nie jestem nieśmiała wobec chłopaków. Nie chcę przez to powiedzieć, że Charles cieszył się wielkim powodzeniem u dziewczyn. Ale też w ogóle nie zwracał na nie uwagi. Spoglądaliśmy na siebie, kiedy inni chłopcy wpatrywali się w najładniejsze dziewczyny z klasy. Charles zachowywał się bardzo powściągliwie. Z początku wydawało mi się, że dziewczyny po prostu go jeszcze nie interesują. Wiesz, niektórzy chłopcy są tacy niedojrzali, myślą tylko o baseballu.

Roześmiałam się.

- Szczerze mówiąc, niewiele znam sportowców - powiedziałam. - W naszej dzielnicy szybko się dorasta. W najstarszej klasie dwanaście dziewczyn zaszło w ciążę.

- Naprawdę? - zdumiała się Audrey, patrząc na mnie wielkimi oczami.

Bogate białe dzieciaki, pomyślałam. To, co im o sobie opowiadałam, było dla nich po prostu czymś kompletnie nierealnym.

- Czy zdarzyło ci się... bać, że jesteś w ciąży czy coś w tym rodzaju? - spytała Audrey. Najwyraźniej chciała się zorientować, jak wygląda moja aktywność seksualna.

- Nie, a ty?

- Ja? Ja tylko kilka razy całowałam się z Charlesem i pozwoliłam, żeby położył mi tu rękę. - Audrey wskazała na prawą pierś.

- I to wszystko? Jak go powstrzymałaś? - spytałam, równie ciekawa sekretów tych bogatych dziewczyn, jak one moich.

- Nie musiałam. Kiedy mnie tylko dotknął, zachował się, jakby położył dłoń na rozgrzanym piecu. Bardziej ode mnie przestraszył się tego, co zrobił.

Zrobiłam sceptyczną minę i pokręciłam głową.

- Naprawdę - potwierdziła Audrey. - To wina jego matki.

- Wina jego matki? Co chcesz przez to powiedzieć? To jego matka była z wami?

Audrey wbiła wzrok w podłogę.

- Przyrzekłam mu, że nikomu o tym nie powiem.

- To nie mów.

Natychmiast podniosła na mnie wzrok. Kiedy ktoś płonie chęcią opowiedzenia ci jakiejś historii, czasem najlepiej jest mu to odradzić, pomyślałam.

- Ale Charlesa już nie ma. Jego rodzina wyjechała stąd ponad rok temu, więc myślę, że nic się nie stanie, jeśli ci o nim opowiem.

- Czemu akurat mnie?

- Bo jesteś inna - oznajmiła z piskliwym, nerwowym śmiechem, brzmiącym jak grzechot tłuczonej porcelany. - I nawet nie to mam na myśli, że jesteś Afroamerykanką. Jakoś łatwiej mi się z tobą rozmawia - przyznała.

Uśmiechnęłam się do niej i czekałam, co powie dalej.

- Opowiedział mi, jak matka wyrobiła w nim lęk przed seksem. Wmówiła mu, że penis jest czymś w rodzaju żyjącego między jego nogami zwierzątka, obdarzonego własnym rozumem.

- Tak mówił?

- Mhm. Powiedziała mu też, że to zwierzątko wpędzi go w nie lada kłopoty, jeśli pozwoli mu na wszystko, czego zechce. Więc żeby je poskromić...

- Co takiego?! - Opowieść Audrey okazała się nadspodziewanie ciekawa.

- Kazała mu nosić ciasne gumowe majtki. Powiedział, że czasem sprawiało mu to prawdziwy ból. Powiedział mi też, że to dlatego bał się spoglądać na dziewczyny i o nich myśleć.

Widziałam w życiu różne paskudne rzeczy i wyrosłam w przekonaniu, że taki już musi być los biedaków. Zboczenia, rozwiązłość, pornografia - wszystko to było częścią świata, w którym wyrosłam, rozrastało się jak grzyb na naszym ciemnym, brudnym osiedlu. Ale to, co teraz słyszałam, wskazywało, że pieniądze nie stanowią bariery dla pokrętnych i obrzydliwych pomysłów. Matka Charlesa na swój sposób torturowała syna.

- To okropne - wymamrotałam. - A jego ojciec? Nie mógł poprosić ojca o pomoc?

- Jego ojciec wyprowadził się z domu wkrótce po przyjściu Charlesa na świat.

- Nie dziwię mu się - mruknęłam. Zastanawiałam się przez chwilę. - Czy kiedy poznałaś Charlesa w szkole, wciąż nosił te przyciasne gumowe majtki? Kiedy się całowaliście?

Audrey kiwnęła głową, oblewając się przy tym purpurowym rumieńcem.

- Co takiego?

- Przysięgnij, że o tym nikomu nie powiesz.

- Nie jestem plotkara, ale dobrze, przysięgam.

- On... powiedział mi, żebym stanęła w jednym końcu pokoju, a sam stanął w drugim, spuścił spodnie i pokazał mi te gumowe majtki, a potem je ściągnął, żeby mi pokazać, jak ono szybko...

- Jakie ono?! - niemal krzyknęłam.

- Jak ono szybko rośnie, a potem, kiedy go dotknie, natychmiast... tak jakby... spluwa.

Przez chwilę siedziałam z otwartymi ustami.

- Zrobił to przy tobie?

Audrey kiwnęła głową.

- To bardzo dziwne.

- Uciekłam - przyznała się Audrey. - Przestraszyłam się tego.

- Ja chyba też bym dała nogę na twoim miejscu. - Skrzywiłam się z obrzydzeniem. - To był twój jedyny chłopak?

- Właściwie tak. Potem nie widywaliśmy się już tak często. Wydaje mi się, że on chyba opowiedział o wszystkim matce i ona zabroniła mu się ze mną spotykać.

Audrey tak przeżywała fakt, że wreszcie opowiedziała komuś całą tę historię, że czym prędzej zmieniałam temat i zaczęłyśmy rozmawiać o telewizji, filmach, książkach i miejscach, jakie widziała w życiu. Przygoda Audrey była tak obrzydliwa, że aż zrobiło mi się niedobrze i sama chciałam o niej zapomnieć.

Kiedy opowiadałam jej o życiu w Projektach, odkryłam, że mam skłonność do podkreślania jego jaśniejszych stron. Moja relacja brzmiała niemal tak, jakbym opuściła cudowny świat, by cierpieć w wielkim domu, otoczona przez wszystkich tych okropnych bogaczy, i w luksusowej prywatnej szkole. Kiedy się rozstawałyśmy, Audrey spoglądała na mnie z zazdrością, a ja czułam, że ten wielki dom i nowa sytuacja mnie psują, zmieniają w kolejną osobę o sercu pełnym kłamstw i tajemnic.

Przed południem wróciła do domu babcia Hudson. Usłyszałam, jak otwierają się drzwi frontowe, i natychmiast rozległ się jej pewny, mocny głos. Pielęgniarka, pani Griffin, stała u boku babci, usiłując ją podpieścić. Pani Griffin była wysoką, ciemnowłosą kobietą. Wyglądała na całkiem silną, ale babcia Hudson nie miała ochoty korzystać z niczyjej pomocy.

- Gdzie są wszyscy? - zawołała.

Wybiegłam z pokoju i puściłam się pędem po schodach. Z kuchni wyszła Merilyn.

- Witamy w domu, pani Hudson - powiedziałam.

- Dzień dobry pani - dodała Merilyn.

Babcia Hudson rozglądała się wokoło gniewnymi oczami, zerknęła do salonu, a potem ruszyła do jadalni.

- Pani Hudson, chcę panią mieć w pani sypialni na górze - odezwała się pani Griffin.

- Chwileczkę - rzuciła babcia Hudson, zbywając życzenie pielęgniarki machnięciem ręki.

Pani Griffin popatrzyła na mnie, a potem na Jake'a który uśmiechnął się do niej promiennie i pokręcił głową, odradzając jej dalszą interwencję.

- Czy pod moją nieobecność choć raz wypolerowałaś stół?

- Tak, proszę pani.

- Nie wygląda na to. Na parapecie jest kurz. Dom trzeba odkurzać. Nie wystarczy chodzić z miotełką w rękę i przewiewać kurz z jednego miejsca na drugie. Mówiłam ci to przecież.

- Używałam odkurzacza - zapewniała Merilyn.

Babcia Hudson tylko parsknęła, a potem zajrzała do kuchni.

- Jeśli cokolwiek jest nie w porządku, pani Hudson, to nie moja wina. Rain także korzystała z kuchni. Wczoraj miała nawet gościa i sama gotowała.

Babcia Hudson spojrzała na mnie spod uniesionych brwi.

- A któż to taki cię odwiedził, Rain?

- Audrey Stempelton.

- Pani Hudson, jeśli nie będzie pani zwracała uwagi na moje polecenia, to równie dobrze mogę wracać do szpitala - powiedziała ostro pani Griffin.

Babcia Hudson popatrzyła na nią jak na uprzykrzoną muchę, ale posłusznie ruszyła w kierunku schodów.

- Przynieś mi herbatę i kruche ciasteczka - poleciła po drodze Merilyn. - Przyjdź do mnie za kwadrans - zwróciła się do mnie.

- Tak - odpowiedziałam i śledziłam ją wzrokiem, gdy szła schodami na górę w towarzystwie pielęgniarki.

- Daję tej pielęgniarce czterdzieści osiem godzin - rzucił Jake. - Do zobaczenia jutro rano - dodał i szybko wyszedł, najwyraźniej szczęśliwy, że może się wymknąć i wrócić do własnego spokojnego domu.

Merilyn rzuciła mi gniewne spojrzenie.

- Myślałam, że po sobie posprzątałaś - rzuciła pełnym pretensji tonem, odwróciła się na pięcie, sztywno jak mecha-

niczna zabawka, i udała się do kuchni, żeby zrobić herbatę dla babci Hudson.

Kiedy już wszystko w domu się uspokoiło, poszłam do babci. Siedziała na łóżku, podparta stertą poduszek. Wyglądało na to, że jest jej wygodnie. Pani Griffin właśnie zmierzyła babci ciśnienie.

- Może pani teraz zejść na lunch - zwróciła się babcia do pani Griffin.

- Sama zadecyduję o tym, kiedy będę jeść lunch, pani Hudson - odpowiedziała oschłym tonem pielęgniarka. - Jeśli chce pani, żebym wyszła z pokoju, proszę mi to powiedzieć wprost.

Babcia Hudson spojrzała na panią Griffin takim wzrokiem, że pielęgniarka powinna rozsypać się na miejscu w proch i pył. Ona tymczasem spokojnie pozbierała swoje rzeczy i wyszła z pokoju.

- Irytująca, bezwstydną, arogancką, jak wszyscy w tej całej służbie zdrowia. Nie ma lepszego powodu, by pozostać zdrowym, niż ten, że dopóki człowiek jest zdrowy, nie musi się stykać z tą hordą samozwańczych świętych, jakimi są medycy. Lekarze zachowują się, jakby chodzili po wodzie, pielęgniarki, jakby za każdym razem, kiedy się od nich czegoś chce, miały akurat przerwę na kawę. Za nic tam więcej nie wrócę. Tu żyłam i tu, w tym łóżku, umrę, kiedy przyjdzie pora - oznajmiła nieznośnym sprzeciwu tonem.

Nie mogłam powstrzymać kącików ust, które same składały mi się w uśmiech.

- Co w tym zabawnego, jeśli wolno spytać?

- Operacja najwyraźniej nie obniżyła pani aktywności, pani Hudson.

- No oczywiście. Jeśli chcesz wiedzieć, była w ogóle niepotrzebna, a poza tym to okropnie irytujące mieć coś... to urządzenie w piersi. A teraz mów, co się tu działo?

- Nic szczególnego. - Wzruszyłam ramionami.

- Wystarczy popatrzeć na dom. Do mojego pokoju nie zajrzała chyba, odkąd pojechałam do szpitala. Aż się wzdragam na myśl, że będę musiała zajrzeć do łazienki. Czemu tak trudno znaleźć służbę, na której można by polegać?

- Może powinna pani na razie odpoczywać, nie myśląc o tym za wiele. Pozbierać siły.

- Wszyscy dają mi jakieś rady. Podaj mi lepiej szczotkę z toaletki. Jestem okropnie rozczochrana.

Przyniosłam szczotkę.

- Uczesz mnie, Rain - poprosiła babcia i zamknęła oczy. - Jak ci idzie w szkole? Co z przedstawieniem?

- Wszystko w porządku.

- A co z matką? Odezwała się do nas?

Babcia Hudson otworzyła oczy, żeby zobaczyć, jaką mam minę.

- Przyjedzie za tydzień z Alison i Brodym, ale bez Granta.

- Jedna z tych okropnych rodzinnych wizyt. Nienawidzę ich. Czesz mnie jeszcze. A co z Victorią?

- Nie było jej tu, odkąd pojechała pani do szpitala.

Babcia Hudson uniosła brwi.

- To niespodzianka. - Przez chwilę milczała, a potem ujęła mnie za rękę. - Chcę, żebyś mi coś podała... - Urwała, by wziąć głęboki oddech. - Jest w sejfie w gabinecie, na ścianie za biurkiem. Będziesz musiała zdjąć najpierw portret mojego męża. Zdradzę ci szyfr. Zwykle nie popełniam błędów w ocenie ludzi i mam nadzieję, że teraz również się nie mylę. Czy uważasz, że jestem zanadto pewna siebie?

- Mówiłam to już, ale mogę panią zapewnić jeszcze raz, pani Hudson, nie jestem złodziejką.

Na ustach mojej babki znów pojawił się uśmiezek.

- Zobaczymy. Przekręcisz gałkę w prawo i zatrzymasz się na dziesięciu. Potem przekręcisz ją w lewo, do dwóch, a na koniec ustawisz z powrotem na dwunastu. Na wierzchu leży jasnożółta teczka. Przynies mi ją tu, zanim zjawi się Victoria. I nikomu o niej nie wspominaj. Zrozumiałaś?

- Tak.

Do pokoju weszła Merilyn z herbatą i ciasteczkami.

- Jeździłaś po herbatę do Chin? Całe godziny minęły, odkąd cię o nią prosiłam.

- Jeszcze nie minęło dwadzieścia minut, pani Hudson.

- Hm. Postaw tacę na stoliku.

Merilyn pośpiesznie postawiła tacę i cofnęła się o krok. Babcia Hudson sięgnęła do czajniczka.

- Za zimny.

- Woda była gorąca.

- Może dwadzieścia minut temu. Przynies gorącą wodę.

- Tak, proszę pani. - Merilyn zmierzyła mnie wściekłym spojrzeniem.

- A ty? - Babka odwróciła się do mnie. - Na co jeszcze czekasz?

Szybko wyszłam z pokoju i zbiegłam schodami w dół. Zastanawiałam się, czy to tylko złudzenie, czy też babcia Hudson wróciła ze szpitala jeszcze kaśliwsza, niż tam pojechała. A miała się poczuć lepiej. Szczerze współczułam Merilyn.

Przechodząc koło kuchni, zauważyłam panią Griffin, która nastawiła ekspres z kawą i robiła sobie kanapki. Miałam wrażenie, że mamrocze coś do siebie pod nosem. Zamknęłam za sobą drzwi gabinetu. Zdjęłam ostrożnie ze ściany portret mego dziadka i postawiłam go na podłodze. Przekręciłam gałkę sejfu zgodnie z instrukcją babci i drzwiczki się otworzyły. W środku były jakieś klejnoty, dokumenty, świadectwa narodzin. Zobaczyłam także jasnożółtą teczkę. Odłożyłam ją na biurko, zamknęłam sejf i powiesiłam portret na ścianie. Właśnie ruszyłam schodami w górę, gdy otworzyły się frontowe drzwi i do domu weszła Victoria. Odruchowo wcisnęłam teczkę pod pachę, tak by trudniej było zauważyć, że ją niosę.

- Jak się czuje matka? - spytała Victoria, nie bawiąc się w powitania.

- Dobrze. Pielęgniarka pomogła jej się ułożyć na górze. Teraz pani Hudson pije herbatę.

- A gdzie pielęgniarka?

- Je lunch.

- Zdaje się, że to jest ich ulubione zajęcie. Nie rozumiem, na co matce dyplomowana pielęgniarka. Zwykła salowa w zupełności by wystarczyła.

Victoria minęła mnie i skierowała się pokoju babci. Ponieważ



babcia nie chciała, żeby Victoria widziała teczkę, więc poszłam z nią do siebie. Zamknęłam za sobą drzwi i usiadłam za biurkiem z mocno bijącym sercem. Wszystkie te intrygi rodzinne były okropnie denerwujące. Na dodatek nie mogłam zapanować nad ciekawością, otworzyłam teczkę i rzuciłam okiem na znajdujący się w niej dokument.

Okazało się, że jest to testament babci Hudson.

Natychmiast zamknęłam teczkę i odłożyłam ją na biurko. Potem uchyliłam drzwi, by słyszeć, co się dzieje w domu. Gdy tylko Victoria wyszła, chwyciłam teczkę i zaniiosłam ją babci.

- Czy Victoria widziała cię z teczką?
- Nie zwróciła na nią uwagi.
- To dobrze. Podaj mi telefon.
- Czy nie powinna pani teraz przede wszystkim wypocząć?

- Niedługo sobie odpocznę za całe życie - odpowiedziała stanowczo. - Ale nie zejdem z tego świata, dopóki nie uporządkuję wszystkich swoich spraw. Podaj mi telefon.

Zrobiłam, co kazała. Czekaając na połączenie, babka przepędziła mnie gestem z pokoju.

Ci bogacze są okropnie pokręceni, pomyślałam i przez chwilę naprawdę tęskniłam za Projektami, za chwilami, kiedy siedziałam w naszym pokoju i nie miałam na głowie większych zmartwień, niż co zrobić na obiad.

W poniedziałek spotkałam Corbette'a dopiero podczas próby. Mimo naszego sobotniego spotkania zachowywał się tak, jakby nic się między nami nie wydarzyło. Nikt by się nie domyślił, że całował się ze mną, że chciał się ze mną kochać. Kiedy prowadziliśmy dialog na scenie, uśmiechał się złośliwie, co okropnie mnie drażniło. Pan Bufurd co chwila mi przerywał, żeby podkreślić, że powinnam być łagodniejsza, bardziej otwarta na świat. Dziewczyny śmiały się, zadowolone z mojego niepowodzenia. Niemalże słyszałam ich szepty: „Czy może

być łagodniejsza? Jak taka dziewczyna w ogóle mogłaby być niewinna i słodka?".

- Dotąd nie miałas z tym problemu, Rain. Odpręż się, skup się, weź głęboki oddech i spróbuj jeszcze raz.

Z trudem powstrzymałam łzy napływające mi do oczu. Uniósłam wzrok na Corbette'a, żeby wypowiedzieć do niego swoją kwestię. Starłam się nie widzieć przed sobą Corbette'a Adamsa, lecz bohatera sztuki, George'a Gibbsa, równie naiwnego i niewinnego jak ja. Wreszcie zagrałam na tyle dobrze, żeby pan Bufurd dał mi spokój.

- Teraz lepiej, bardziej mi się podoba.

Ledwo wytrzymałam do końca próby; nigdy dotąd nie czułam się równie zmęczona.

- Mówiłem ci, że powinniśmy więcej próbować - rzucił szeptem Corbette. - Potem do ciebie zadzwonię.

Patrzyłam za nim, a gdy był już blisko wyjścia, zawołałam go-

- O co chodzi, Rain?

- Czy możesz mi poświęcić chwilę? Proszę.

Corbette wyszczerzył zęby, rzucił do chłopaków coś, z czego się roześmiali, a potem ruszył w kierunku sceny.

Audrey popatrzyła na mnie, pozbierała swoje rzeczy i czym prędzej czmychnęła z teatru.

- Chcesz się spotkać? - spytał Corbette, gdy tylko zostaliśmy sami.

- Nie. Chcę wiedzieć, czemu zmyśliłeś tę okropną historię.

- Jaka okropną historię?

- O twoim bracie.

Przez chwilę patrzył na mnie, jakby w ogóle nie wiedział, o co mi chodzi.

- Ja niczego nie zmyśliłem - oświadczył tak stanowczo, że zwątpiłam w wiarygodność świadectwa Audrey.

- Powiedziałaś, że twój brat zmarł na jakąś chorobę krwi, kiedy miał cztery lata. A tymczasem słyszałam, że żyje.

- Wypytywałaś ludzi o moje sprawy rodzinne? - Corbette skrzywił się boleśnie.

- Nikogo o nic nie wypytywałam. W każdym razie do-  
wiedziałam się, że twój brat ma zespół Downa i przebywa  
w zakładzie. Czy twoja matka nie zasiada w radzie fundacji  
zbierającej pieniądze na leczenie i badania nad zespołem  
Downa?

Corbette rozejrzał się po sali. Potem popatrzył na mnie  
i usiadł ze zwieszoną głową, wciskając dłonie między kolana.  
Kiedy się odezwał, mówił powoli, nie unosząc głowy:

- Kiedy mój brat miał cztery lata, rodzice postanowili  
oddać go do zakładu. Traktowali go tak, jakby umarł. Strasz-  
nie się z nimi o to pokłóciłem. Tak! - Uniósł głowę i spo-  
glądał na mnie pałającymi oburzeniem oczami. - Moja mat-  
ka zasiada w radzie tej fundacji, podobnie jak zasiada w ra-  
dach wielu innych fundacji dobroczynnych. Mówiłem ci  
o tym przecież. Robi to, by ulżyć swojemu sumieniu, bo  
gryzie ją myśl, że oddała dziecko do zakładu, że wstydziła  
się pokazać je ludziom, wstydziła się, że ma Downa w ro-  
dzinie. A zespół Downa przenosi się z krwią, to kwestia  
chromosomów, które są we krwi, więc lepiej mi uwierz  
i nie słuchaj plotek jakichś tępaków. - Znów spuścił gło-  
wę. - Może i nie odbył się pogrzeb, ale on nie żyje, i to  
nie jest żadne kłamstwo - dodał, po czym wstał i ruszył  
do drzwi.

Chciałam coś powiedzieć, ale nie mogłam wydobyć z siebie  
ani słowa. Ogarnęły mnie wątpliwości. Więc jednak okazałam  
się niesprawiedliwa, niewrażliwa na jego cierpienie? A zatem  
opowieść o śmierci brata nie była tylko jeszcze jednym chwy-  
tem, wymyślonym po to, żeby zaciągnąć mnie do łóżka? Beni  
mówiła, że mam o sobie zbyt wysokie mniemanie, żeby dopu-  
ścić chłopaka za blisko. Czy faktycznie tak było? Czy zrobiłam  
właśnie to, co wysuwała jako zarzut pod moim adresem? Czy  
też tak się o siebie bałam, bo w rzeczywistości byłam równie  
niedoświadczona i równie mało wiedziałam o chłopakach jak  
Audrey Stempelton?

Dlaczego to wszystko jest takie skomplikowane? - myś-  
lałam. Czemu ludzie nie mogą być po prostu sobą, zamiast

udawać kogoś innego? Czułam się, jakbym znalazła się w zwodniczym świecie zwierciadeł i zwielokrotnionych odbić.

Kiedy wyszłam z teatru, czekała na mnie Audrey. Poza nią nikogo już nie było.

- I jak? - spytała na mój widok.

Powiedziałam jej, jak Corbette odpowiedział na zarzut kłamstwa.

- Wiedziałam, że mam rację - powiedziała, jakby wiarygodność jej informacji była w tej chwili sprawą najważniejszą.

- To teraz nieistotne, Audrey. Okropnie się czuję na myśl, że wymusiłam na nim te wyznania o kłótni z rodzicami i o jego matce. Czułam się, jakbym się wdarła siłą do jego mózgu. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy się ode mnie uwolni.

- Znów cię nabrał - upierała się Audrey. - Uwierz wreszcie w to, co o nim mówią. Nie bez powodu ma reputację podrywacza.

- Może. A może to tylko plotki rozsiewane przez zazdrosne intrygantki.

- Sama powiedziałaś, że omal cię nie zgwałcił.

- Nic takiego nie powiedziałam! Rozumiesz teraz, o co mi chodzi? Ludzie nie słuchają, co się do nich mówi, a potem przesadzają, przytaczając rzekomo cudze słowa. Skąd wiesz, że to się właśnie tak nie zaczęło?

- Myślę, że musiałabyś być głupia, żeby mu zaufać - oświadczyła złowieszczo.

Nie wiedziałam, czy jej wierzyć. Zauważyłam, że kiedy byłam wściekła na Corbette'a, promieniała szczęściem. Teraz znowu zrobiła się smutna i przygnębiona.

- Już nie wiem, komu i czemu mam ufać - poskarżyłam się Audrey. - Jestem zmęczona. Do jutra.

Jake stał oparty o samochód i czytał miesięcznik Amerykańskiego Stowarzyszenia Emerytów.

- Nie jesteś emerytem, Jake. Po co to czytasz?

Zamknął pismo i roześmiał się.

- Biorąc pod uwagę, ile czasu zajmuje" mi praca, z powodzeniem mogę się uważać za emeryta, księżniczko. A jak wypadnie przedstawienie? Warto kupić bilet?

- Nie wiem.

- Wyglądasz dziś trochę ponuro. Zapomniałaś swojej kwestii podczas próby?

- Nie, Jake, ale tęsknię za mamą, za bratem i za smutnym życiem, jakie wiodłam w Waszyngtonie.

Zaśmiał się.

- Chodź - powiedział, otwierając przede mną drzwi - Zawiozę cię dziś do domu trochę inną drogą, pokażę ci coś.

Wsiadłam do rolls-royce'a i zamknęłam oczy. Z napięcia i zdenerwowania rozboleła mnie głowa. Jake gawędził o pogodzie, o swoim lumbago i kursach akcji. Zainwestował trochę pieniędzy w akcje i zarabiał na tym lepiej, niż się spodziewał.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił w pewnej chwili, urywając opowieść o kursach akcji.

Uniosłam powieki.

Jechaliśmy nieznaną mi drogą wzdłuż ogrodzonej łąki pod lasem. Jake zwolnił i zjechał na pobocze koło ogrodzenia.

- Chodź, wysiadziemy tu na chwilę.

Podeszliśmy do ogrodzenia. Na środku łąki pasła się klacz z pięknym kasztanowym źrebięciem. Źrebię miało białą smugę, sięgającą od czoła po nozdrza. Trzymało się przy matce, która machała ogonem, jakby odganiała od niego muchy. Na nasz widok źrebię zaciekawione odwróciło łeb.

- Ma dopiero tydzień.

- Piękne. Co to za miejsce?

- Łąka należy do moich przyjaciół. Ale konik jest mój.

- Co takiego?

- Zainwestowałem w niego parę dolarów. To źrebak po znakomitym koniu wyścigowym Fallsburgu. Biegał na wyścigach w Yonkers w Nowym Jorku. Oczywiście to pewne ryzyko, ale w najgorszym razie zostanie mi piękne zwierzę, no nie?

- Jasne. Jest piękny, Jake.

- Ilekroć jestem przygnębiony czy smutny, po prostu tutaj przyjeżdżam i patrzę sobie na niego.

Pokiwałam ze zrozumieniem głową.

- Dzięki, Jake. Dziękuję, że mi go pokazałeś.

Jake wzruszył ramionami.

- Lepiej już jedźmy, bo oboje wylądujemy w komórce - powiedział.

Roześmiałam się. Kiedy odjeżdżaliśmy, wyjrzałam przez okno. Żrebak cały czas na nas patrzył.

W domu powitała mnie złowieszcza cisza. Przez chwilę nasłuchiwałam, czy z kuchni nie dobiegną mnie odgłosy krzątania Merilyn. Na podeście schodów pojawiła się pani Griffin ze swoją torebką.

- Ta kobieta jest nieznośna.

- Co się stało?

- Jeszcze przed południem zwolniła służącą, a od tej pory nieustannie kłóci się ze mną. Nie przyszedłam tu do pracy jako kucharka i pokojówka. Poinformowałam o tym jej córkę. Wezwałam taksówkę.

Minęła mnie na schodach i poszła dalej, nie oglądając się za siebie. Zniosłam książki do swego pokoju i szybko pomaszerowałam do babci Hudson.

- Gdzieś ty tak długo była?

- Ja... Jake pokazał mi swego żrebaka.

- To on kupił tego żrebaka? Dziwaczna inwestycja. Mężczyźni potrafią tak głupio marnotrawić pieniądze, kiedy inwestują we własne marzenia.

- Co się stało z Merilyn?

- Nie umyła wanny, przypaliła mi grzanekę i zrobiła kawę, która w ogóle nie nadawała się do picia. Kiedy zwróciłam jej na to wszystko uwagę, powiedziała, że rezygnuje z pracy. Stwierdziłam, że właściwie nigdy się do tej pracy nie przykładała, więc trudno mówić, że rezygnuje. Powiedziałam jej również, żeby się czym prędzej wyprowadziła, co też zrobiła. A co do pielęgniarki...

- Przecież nie może pani zostać tu sama.

- Oczywiście, że mogę. Nieraz mieszkałam w tym domu sama. - Urwała i przyjrzała mi się uważnie. - Z tego, co mówiłaś, wynika, że potrafisz gotować.

- A co na to wszystko Victoria?

- Jest zachwycona. Pomyśl tylko, ile w ten sposób zaoszczędzi. - Babcia Hudson poprawiła się na swoich poduszkach. - Co do mnie, wystarczy mi talerz zupy i grzanka z żółtym serem. Tylko jej nie przypal - dodała.

- Dobrze, proszę pani - odpowiedziałam i zeszłam do kuchni. Dodałam do grzanki dla babci marynowaną paprykę, plasterki pomidora i cebuli. Nie prosiła o to, ale mama zawsze dodawała pomidora i cebulkę do naszych grzanek.

Babcia Hudson spróbowała grzanki i spojrzała na mnie zaskoczona. Wstrzymałam oddech. Ugryzła kolejny kęs i przyjrzała się grzance ze zmarszczonymi brwiami.

- Znakomita - oceniła. - Wreszcie znalazł się ktoś obdarzony smakiem. Co za miła niespodzianka. Idź teraz, sama coś zjedz i weź się do lekcji.

Zeszłam z powrotem na dół. Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, zadzwonił Corbette.

- Cześć - powiedział. - Przepraszam.

- Nie ma sprawy. Rozumiem.

- To dobrze. Słuchaj, Rain, ja poważnie proponowałem, żebyśmy się spotkali któregoś dnia po lekcjach.

- Nie mogę, Corbette. Przynajmniej nie teraz. Poczekajmy z tym do premiery. Za dużo tego jak dla mnie. Poza tym przez jakiś czas będę tu miała więcej obowiązków.

- Och - westchnął rozczarowany. - Wciąż jesteś na mnie zła.

- Nie. Chodzi o to, że nie umiem tak dobrze jak ty panować nad swoimi emocjami na scenie. Poczekaj trochę, do premiery zostało nam już tylko parę tygodni.

Corbette milczał przez chwilę.

- Ale potem urządzimy sobie nasze prywatne przyjęcie po premierze? Tylko dla nas dwojga - dla mnie i dla ciebie? Urwiemy się z oficjalnego bankietu i pojedziemy do mnie? Dobrze? Zgódź się, Rain.

Miałam wrażenie, że w jednym uchu słyszę ostrzegawczy szept Roya, w drugim głos nakłaniającej mnie do złego Beni.

- Dobrze. - Głos mojej siostry przeważył, bo dobiegał w gruncie rzeczy gdzieś z głębi mego własnego serca. Ten głos mówił: „Pora się dowiedzieć, co to znaczy być kobietą”.

Za nic nie mogłam się tego wieczoru skupić na nauce. Moje myśli nieustannie wędrowały w kierunku Corbette'a i jego kryjówki w stajni. Czekał na mnie, wabił mnie do siebie. Ilekroć lądowałam w jego ramionach, wrywałam się z marzeń i wracałam do nauki.

Siedziałam do późnej nocy, ucząc się i czytając. Nie dlatego, żebym chciała wypaść lepiej w szkole.

Po prostu bałam się tego, co mogło mi się przyśnić.



## SPRAWY RODZINNE

W ciągu następnych dni babcia Hudson szybko wracała do zdrowia. Chcąc nie chcąc, musiała przyznać, że rozrusznik serca poprawia krążenie i ułatwia życie. Doktor Lewis odwiedził ją we wtorek. Byłam wtedy w szkole, ale po powrocie babcia opowiedziała mi, że lekarz robił jej wyrzuty z powodu zwolnienia pani Griffin.

- Twierdził, że to jedna z najlepszych pielęgniarek, specjalizujących się w opiece nad pacjentami z chorobami serca. Powiedziałam mu, że być może pani Griffin zna się na kardiologii, ale nie potrafi traktować pacjenta jak człowieka.

Wyobraziłam sobie minę doktora Lewisa i wybuchnęłam śmiechem. Próbował nakłonić babcie, żeby wzięła inną pielęgniarkę, ale bez rezultatu. Choćby nawet zajęła się nią sama Florence Nightingale, babcia Hudson i tak szybko wyгнаłaby ją z domu. Sama obecność pielęgniarki nieustannie przypominała babci o stanie jej serca i psuła humor. Zadzwoiła natomiast do agencji, żeby przysłali nową służącą. Wkrótce zjawiły się dwie kandydatki. Babcia rozmawiała z nimi, kiedy byłam w szkole, ale nie przyjęła żadnej z nich. O jednej powiedziała mi, że nie wierzyła, by dziewczynie mogło starczyć sił na posprzątanie całego domu.

- To było straszne chuchro, sama skóra i kości. Dostała zadyszki po odkurzeniu jednego pokoju. A druga miała cały czas skrzywioną twarz. Wyglądała, jakby ją bolały zęby.

Babcia Hudson była skłonna dobrze zapłacić, więc w agencji obiecali przysyłać kolejne kandydatki do pracy, dopóki któraś nie będzie jej wreszcie odpowiadała. Na razie sama sprzątałam tyle, ile mogłam, i przygotowywałam posiłki. Babcia coraz częściej mnie chwaliła, aż wreszcie pewnego dnia dosłownie zaczęła rozplływać się w pochwałach nad mamą i nad tym wszystkim, czego mnie nauczyła. Kiedyś podczas kolacji rozmawialiśmy o kucharce, która pracowała przed laty w domu jej rodziców, moich pradziadków. Przypominało to stosunki Scarlett O'Hary i jej Mammy w *Przeminęło z wiatrem*.

Moja matka zadzwoniła dwukrotnie, żeby dowiedzieć się, co u nas słyhać, a także by potwierdzić, że w sobotę przyjedzie z Alison i Brodym. Im bliżej było końca tygodnia, tym bardziej się denerwowałam. W czwartek odwiedziła nas Victoria. Trudno było to zresztą nazwać odwiedzinami. Właśnie siadałyśmy do obiadu, gdy do domu wpadła wzburzona Victoria. Jej oczy płonęły gniewem, a gdy machała rękami, rękawy czarnego płaszcza przeciwdeszczowego podkreślały każdy ruch jak cięcia miecza.

Z początku myślałam, że Victoria ma babci za złe zwolnienie służącej i pielęgniarki, ale okazało się, że sprawa jest o wiele poważniejsza.

- No i co, dobrze wam razem? Tak słodko sobie gawędzić... Naprawdę wzruszający obrazek.

- Jak się masz, Victorio - powiedziała babcia Hudson. - Dziękuję, istotnie czuję się lepiej.

- Wiem, jak się czujesz, mamó. Pozostaję w stałym kontakcie z doktorem Lewisem.

- Ach, tak? Nigdy mi o tym nie wspomniał. Zjesz z nami, Victorio? Rain przyrządziła doskonałą cielęcinę z ziemniakami, marchewkę z groszkiem i placki kukurydziane.

- Nie, dziękuję. Nie przyjechałam tu, żeby jeść, mamó.

- Więc mam nadzieję, że nie weźmiesz nam za złe, jeśli zabierzemy się do posiłku. Wiesz, że nie znoszę zimnych potraw.

Babcia Hudson zaczęła jeść. Yictoria stała przez chwilę nad

nami z wściekłą miną, po czym usiadła naprzeciw mnie i urwała sobie kawałek placka kukurydzianego.

- Co u ciebie słysząc, Victorio? Dokądś, zdaje się, wyjeżdżałaś - rzuciła tonem rodzinnej pogawędki babcia Hudson.

Wstrzymywałam oddech. Wiedziałam, że babcia lubi się z Victorią droczyć, ale czułam, że tym razem nie skończy się na żartach. Chciało mi się śmiać z Victorii, ale ukrywałam to, udając, że jestem całkowicie zajęta obiadem, żeby jej bardziej nie denerwować.

- Pojechałam do Richmond w sprawie realizacji Snowden Project, mam. Mówiłam ci o tym, ale kiedy mówię o interesach, nigdy mnie nie słuchasz.

- Bo to takie okropnie nudne, Victorio. Nie rozumiem, jak ty sobie radzisz z tymi wszystkimi bilansami zysków i strat, wierzytelnościami, księgami handlowymi i wynagrodzeniami dla robotników. To zajęcia dla mężczyzn.

Victoria wyprostowała się sztywno na swoim krześle. Wyglądała, jakby jej kręgosłup wysuwał się jak teleskop, unosząc głowę coraz wyżej i wyżej.

- Kwestionować perspektywy kobiety w świecie współczesnego biznesu to dziś nie dość, że staroświeckie, lecz obraźliwe. Kobiety nie tylko dorównują mężczyznom; pod wieloma względami są od nich lepsze, z czego nawet mężczyźni zaczynają sobie coraz wyraźniej zdawać sprawę - wycodziła Victoria przez zęby.

Babcia Hudson wzruszyła ramionami.

- Zawsze byłam zdania, że wynosząc się nad mężczyznę, kobieta tłumi jego naturalne skłonności i w rezultacie nie może wykorzystać przewagi, jaką jej daje natura.

- To twoje mniemanie, mam. Dziś już nikt nie traktuje podobnych opinii poważnie.

- Osobiście nie widzę powodu, żeby zmieniać zdanie tylko dlatego, że wokół mnie zaczyna dominować głupota.

- Nie przyjechałam tu, żeby dyskutować nad równouprawieniem płci, mam.

- Och, jak ja nienawidzę tej terminologii. Równoupraw-

nienie płci. To takie... abstrakcyjne. - Babcia Hudson popatrzyła na mnie. - Kiedy to słyszę, czuję się tak, jakbyśmy wszyscy byli kawałkami węgla ważonymi na szalkach wagi. - Zaryzykowałam uśmiech, a babcia odwróciła się do córki. - To jest naprawdę pyszne, Victorio. Na pewno nie chcesz spróbować cielęciny?

- Dziękuję.

- Kiedy jadłaś? - Babcia Hudson nie dawała córce spokoju. Żuła starannie mięso i przypatrywała się Victorii, jakby próbowała zrozumieć postępowanie jakiejś egzotycznej odmiany człowieka.

- Jem, kiedy jestem głodna - odpowiedziała niecierpliwie Victoria. - Nie dlatego, że ktoś uznaje, że akurat jest pora na obiad.

- Jakie to przyziemne - westchnęła babcia Hudson.

Victoria zrobiła wielkie oczy i westchnęła głęboko.

- Nie przyjechałam tu po to, żeby dyskutować na temat mojej diety.

- No dobrze, skoro zatem znamy powody, dla których tu nie przyjechałaś, to może powiedziałaśbyś wreszcie, co cię skłoniło do tej wizyty, Victorio? Oczywiście cieszę się, że cię widzę, ale wyglądasz, jakbyś miała mi do zakomunikowania coś niecierpiącego zwłoki. - Babcia Hudson sięgnęła po kiełich, wypła łyk wody i popatrzyła na córkę z wyrazem uprzejmego zainteresowania.

Victoria położyła ręce na stole. Miała szczupłe dłonie i zgrabne, długie palce. Mówiąc do matki, nie odrywała spojrzenia od ostrych paznokci, pokrytych perłowym lakierem.

- Dziś rano zadzwoniłam do twojego adwokata i dowiedziałam się, że wprowadziłaś zmiany do testamentu.

Babcia Hudson odłożyła widelec, spojrzała na mnie i wyprostowała się na swym krześle.

- Nie miał prawa rozmawiać z tobą na ten temat.

- Nie rozmawiał ze mną na ten temat. Cała sprawa wyszła na jaw, gdy zaproponowałam wprowadzenie pewnych zmian w zakresie powiernictwa. Na szczęście - dodała Yictoria,

spoglądając znacząco na babcię Hudson. - Czy Megan wie o wprowadzonych przez ciebie zmianach?

- Nie. Treść mojego testamentu to moja prywatna sprawa i nie życzę sobie, żeby ktokolwiek się w to wtrącał.

- Czy możesz mi wyjaśnić, jak to się stało, że część majątku zapisałaś kompletnie obcej osobie? - Victoria spojrzała na mnie, jakbym była potworem w kosmosu.

Omam się nie udławiłam tym, co miałam w ustach. Popiłam jedzenie łykiem wody. Więc babcia Hudson zapisała mi coś w testamencie?

- Nie mam zamiaru teraz o tym dyskutować. To nie jest temat na rozmowę podczas posiłku.

- To w ogóle nie jest temat na poważną rozmowę - oświadczyła zdenerwowana ciotka Victoria. - To jakiś dziwaczny i niepoważny pomysł. Czym poza smacznym posiłkiem zasłużyła sobie ta... ta dziewczyna... - Victoria wskazała na mnie dramatycznym gestem - ...na to, żeby znaleźć sobie miejsce w naszej rodzinie?

- Taka jest moja wola - odpowiedziała babcia Hudson. - I nie zamierzam z nikim na ten temat dyskutować.

- To nie jest przemyślana decyzja. Nie postępujesz jak osoba w pełni władz umysłowych.

- Jak śmiesz tak się do mnie zwracać? - zirytowała się babcia Hudson. Jej twarz spurpurowiała, w oczach pojawiły się groźne błyski.

- Pani Hudson nie powinna się denerwować - wtrąciłam.

- Co takiego? - Victoria popatrzyła na mnie morderczym wzrokiem.

- Doktor Lewis powinien pani o tym powiedzieć - dodałam.

Ciotka Victoria otworzyła usta, a potem zamknęła je, nie wydając żadnego dźwięku. Wściekłość odebrała jej głos. Zrobiła się taka czerwona ze złości, że zastanawiałam się, czy krew nie tryśnie jej z głowy jak gejzer.

Babcia Hudson popatrzyła na mnie, a potem spokojnie wróciła do jedzenia.

- Czego dodałaś do tej marchewki z groszkiem, że jest taka smaczna, Rain?

- Migdałów - odpowiedziałam.

- Ach, tak. - Babcia się roześmiała. - Nawet mi to nie przyszło do głowy. Powinnaś koniecznie tego skosztować, Victorio.

- Powiedziałam już, że nie jestem głodna. - Victoria zerwała się z krzesła, jakby parzyło ją w siedzenie. - Przyjadę w sobotę, kiedy tu będzie Megan. Powinnyśmy porozmawiać o naszych rodzinnych sprawach.

- Owszem, powinnyśmy - przyznała babcia Hudson. - Ile to lat upłynęło od naszej ostatniej rodzinnej rozmowy? Chyba z dziesięć.

Victoria wyglądała, jakby miała się udławić ze złości własnym językiem. Popatrzyła jeszcze na mnie, mruczając coś niezrozumiale pod nosem, a potem wyszła z domu, trzaskając drzwiami.

- I co? - spytała babcia Hudson, jakby nigdy nic. - Jaką niespodziankę masz dziś dla mnie na deser?

Nie pytałam jej o testament ani nawet o nim nie wspomniałam, żeby jej bardziej nie rozżłościć, ale podobnie jak Victoria nie mogłam się nadziwić, że nagle zdecydowała się włączyć mnie do grona swych spadkobierców. Czy to by znaczyło, że uznała mnie za członka rodziny? Nie miałam pojęcia, co na to powie moja matka.

Nie musiałam długo czekać na odpowiedź. Matka dotrzymała obietnicy i w sobotę przyjechała do nas z Alison i Brodym. Po śniadaniu posprzątałam trochę w domu. Babcia Hudson wciąż jeszcze nie zdecydowała się na nową służącą. Ponieważ korzystaliśmy tylko z małej części wielkiego domu, więc jedynie odkurzyłam i pozmywałam naczynia. Zaproponowałam, że zrobię lunch: przygotuję sałatkę z krewetek. Jake pojechał po zakupy do supermarketu, a przy okazji kupił świeże pieczywo. Byłam bardzo zadowolona, że mogę się czymś zająć. Miałam nadzieję, że dzięki temu szybciej upłynie mi czas do przyjazdu mego przyrodniego rodzeństwa.

Kiedy skończyłam, poszłam do swego pokoju, żeby wziąć prysznic. Przebrałam się w niebieską sukienkę i odpowiednie pantofle. Babcia Hudson wybrała elegancką suknię i starannie się uczesała. Gdy dołączyłam do niej w bawialni, by oczekiwać przybycia gości, słuchała jednej ze swoich ulubionych audycji radiowych, haftując na tamborku. Kiedy weszłam, przesunęła po mnie spojrzeniem.

- Bardzo ładnie wyglądasz - pochwaliła mnie.

Podziękowałam jej i usiadłam w miejscu, skąd widziałam podjazd.

- Już powinni być - powiedziałam.

- Nie spodziewałabym się, że Megan będzie na czas. Ta dziewczyna zawsze się spóźniała.

- Victoria jest pod tym względem zupełnie inna od siostry.

- O tak. Victoria nienawidzi niepunktualności. Dopóki mieszkaliśmy razem, nieustannie kłóciła się z tego powodu z Megan.

- Dlaczego one są takie różne?

Babcia Hudson patrzyła na mnie przez chwilę, jakby zamierzała zrobić mi wykład. Wyłączyła nawet radio, żeby jej nie przeszkadzało, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, przed dom zajechał samochód.

- Już są! - krzyknęłam z bijącym sercem.

- Lepiej idź i otwórz im. Jak znam Megan, to na pewno zapomniała klucza.

Ja mam ich wpuścić?

- Na co czekasz? - Babcia Hudson popatrzyła na mnie wielkimi oczami.

Powoli wstałam z kanapy i poszłam do drzwi. Gdy je otworzyłam, moja matka i Alison wchodziły właśnie po schodach. Wyszłam pod portyk.

- Oto i ona. Jak się masz, kochanie? - zawołała moja matka.

Alison skrzywiła się i zadarła nos, jakby chciała sięgnąć nim do nieba. Miała niemal równie ciemne włosy jak ja, ale krócej ostrzyżone i odczesane znad czoła. Z pulchną twarzą i dołeczkiem w brodzie wyglądała na rozpieszczoną, czy wręcz

rozpuszczoną przez rodziców. Z piętnaście funtów nadwagi poszło jej przede wszystkim w biodra i uda, co sprawiało, że jasnoniebieska sukienka wydawała się na nią trochę przyciasna. Alison wyglądała zresztą, jakby niezbyt ją lubiła. Jej wysokie, sznurowane, czarne buty z kolei zupełnie nie pasowały do sukienki. Mimo grubej podeszwy wyglądały jak wojskowe. W uszach nosiła maleńkie kolczyki z brylantami, w kształcie krzyżyków, a na palcach istną wystawę pierścionków. Na prawej ręce miała srebrne bransoletki, na lewej zegarek na lśniącym pasku z metalowej plecionki. Kiedy otworzyła usta, miałam okazję poznać najnowsze osiągnięcia ortodontji.

Gdy znalazła się przede mną, zauważyłam, że ma oczy w takim samym kolorze jak ja. Miałam tylko nadzieję, że moje nie są równie okrągłe i pozbawione wszelkiego wyrazu jak oczy mojej siostry.

- To moja córka, Alison - powiedziała matka. - Alison, poznaj Rain.

- Rain? - Alison ściągnęła kąciki ust, co sprawiło, że jej policzki komicznie się wydeęły. - Deszcz? Czy to prawdziwe imię?

- Tak. A ty naprawdę nazywasz się Alison?

Alison wydeęła pogardliwie usta.

- Jesteś taka śmieszna, że można po prostu pęknąć.

Spojrzałam na wchodzącego po schodach Brody'ego. Dźwiگاł oburącz wielki bukiet. Był wysoki, miał co najmniej sześć stóp wzrostu, i tak szeroki w ramionach, że obawiałam się, czy się zmieści w drzwiach. Nosił marynarkę od szkolnego mundurka, brązową ze złotymi szamerunkami, czarne spodnie i mokasyny z miękkiej czarnej skóry. Miał ciemne włosy, a w jego oczach było więcej zieleni niż brązu, choć tęczęwki były usiane piwnymi plamkami. Usta miał podobne do moich, ale wydatną, mocną szczękę. Wyglądał na sportowca - miał zdrową cerę, rumiane policzki i pełne, wiśniowe usta. Wydawał się bardzo pewny siebie, niemal arogancki.

- Cześć, jestem Brody Randolph. - Wyciągnął do mnie rękę. Uścisnęłam jego dłoń i chciałam cofnąć swoją, ale mnie



nie puszczał. Zaskoczona popatrzyłam mu w oczy. Spokojnie odwzajemnił moje spojrzenie.

- Nie będziemy tu chyba stać przez cały dzień - odezwała się zniecierpliwiona Alison. - Gdzie babcia?

- W bawialni.

Alison minęła mnie i weszła do domu. Matka uśmiechnęła się do mnie i poszła za nią, ale Brody poczekał, aż wejdę, i dopiero wtedy ruszył w moje ślady.

- Jak ci się podoba w Szkole Dogwoodów? Słyszałem, że chodzą tam straszne snobki.

- Powiem krótko. Odkąd tam chodzę, widziałam więcej dziurek w nosie niż laryngolog.

Brody wybuchnął głośnym śmiechem. Alison odwróciła głowę i rzuciła nam zaskoczone, pełne irytacji spojrzenie.

- Cześć, babuniu - zaszcebiotała, wchodząc do bawialni.

- Jak się masz, mamó? - spytała moja matka, która wręcz deptała Alison po piętach.

Na końcu weszłam z Brodym.

- Mamy nadzieję, że czujesz się lepiej, babciu. - Brody wręczył babci Hudson bukiet.

Ujęła kwiaty w wyprostowane sztywno ręce, jakby się bała, że zaraz dostanie od nich alergii, i popatrzyła na mnie.

- Proszę, znajdź jakiś wazon, Rain.

- Tak, proszę pani.

Alison popatrzyła na mnie.

- Rain jest twoją nową służącą, babuniu?

- Chwilowo jest moim domownikiem, pokojówką i kucharką, wszystkim naraz. I nie mów do mnie „babuniu”, bo wiesz, że tego nie lubię. Kiedy tak mówisz, czuję się, jakbym była moją własną babką.

- Przepraszam, babciu. - Alison skrzywiła usta i opadła na kanapę.

- Czy nigdy nie uczyłaś tej dziewczyny, jak należy siedzieć, Megan? Na co jej była ta cała szkoła wdzięku?

- Nienawidziłam jej - powiedziała Alison.

- To widać - zauważyła babcia Hudson.

Alison odwróciła głowę z pochmurną miną. Spojrzałam na Brody'ego i zobaczyłam, że wpatruje się we mnie. Uśmiechnął się, więc odwzajemniłam jego uśmiech.

- Dzwoniła do mnie Victoria. Powiedziała, że też tu dziś przyjedzie, bo chce z nami przedyskutować jakąś kwestię.

- Ciekawe jaką. - Babcia Hudson zerknęła na mnie z uśmiechem. - A co robi Grant?

- Je dziś obiad z naszym ambasadorem w ONZ-ecie i ministrem sprawiedliwości - pochwaliła się moja matka. - Jak się czujesz?

- Dobrze.

- Nie potrzebujesz pielęgniarki?

- Dajcie mi wszyscy święty spokój z pielęgniarką. Nie jestem jeszcze taka chora, żebym nie mogła się obejść bez pielęgniarki.

Moja matka uśmiechnęła się z przymusem, zerknęła na mnie, a potem rozejrzała się po pokoju.

- Jak ci się udaje utrzymać porządek bez pomocy służącej, mamo?

- Rain sprząta, jeśli trzeba, a poza tym nie robimy wokół siebie wielkiego bałaganu. Biorąc pod uwagę, jak łatwo utrzymać porządek, dziwię się, czemu tak trudno znaleźć dobrą pokojówkę.

- Tym się dotąd zajmowałaś? - spytała Alison. - Byłaś służącą?

- Sprzątałam w domu u mojej mamy, jeśli o to ci chodzi.

- U mamy? - Alison spojrzała na brata, ale Brody nie roześmiał się z jej słów ani się nawet nie uśmiechnął.

- Rain gra główną rolę w przedstawieniu szkolnym - pochwaliła mnie babcia.

- Naprawdę? Co to za sztuka? - spytał Brody.

- *Nasze miasto*. Gram Emily.

- Czy George'a Gibbsa też gra czarny? - spytała natychmiast Alison.

- Nie. Chłopak, który gra George'a, jest... całkiem biały - odpowiedziałam, na co mój brat wybuchnął śmiechem.

Nawet na ustach babci Hudson pojawił się uśmiech.

Twarz mojej matki wyrażała przyjemne zaskoczenie.

- Zaimponowałaś mi, Alison - powiedziała. - Nie wiedziałam, że znasz tę sztukę.

- Och, przerabialiśmy to już w zeszłym roku - oznajmiła moja siostra śpiewnym głosem.

- Na pewno lepiej wam poszło, niż wyjdzie nam - powiedziałam.

- Na pewno.

- Może zabiorę was na lunch - zaproponowała moja matka.

- Nie trzeba. Rain przyrządziła sałatkę z krewetek i lemoniadę.

- Kto wam robi zakupy, mamó?

- Zwykle Rain daje Jake'owi listę tego, czego nam potrzeba, a dwa razy pojechała z nim do supermarketu. Jak widzisz, radzimy sobie całkiem nieźle. Nie mam zamiaru zatrudnić na łąpu-capu kolejnej niekompetentnej pokojówki tylko dlatego, że tak wypada. - Babcia Hudson odwróciła głowę do wnuków. - A co słychać w szkole? - spytała Alison.

Alison spojrzała gdzieś w bok.

- Możliwe, że Brody wygłosi na koniec przyszłego roku szkolnego mowę jako najlepszy abiturient - odpowiedziała moja matka.

- A co z Alison?

- Alison ma trochę do nadrobienia.

- Matematykę, fizykę, angielski i nauki społeczne - wyliczał Brody.

- Zamknij się! - rzuciła zirytowana Alison.

- Alison!

- On się mnie czepia! - zaprotestowała Alison i spojrzała na mnie. - Pewno najbardziej lubisz hip-hop, co?

- Prawdę mówiąc, wolę Mozarta. Twoja babcia ma wspaniałą kolekcję płyt z muzyką klasyczną.

- O nie! - jęknęła Alison, krzywiąc się, jakby zjadła cytrynę. - Wszystko, tylko nie muzyka klasyczna.

- A może poszlibyśmy na spacer? - zaproponował Brody.
- Za dużo robactwa - skrzywiła się Alison.

Brody popatrzył na mnie, a ja zerknęłam na babcię Hudson. Miała zatroskaną twarz, ale nie chciałam wyjść na równie nieuprzejmą jak moja siostra.

- Jasne - powiedziałam. - Jeśli pani to nie przeszkadza, zjemy lunch za godzinę, pani Hudson.

- Musimy poczekać na mojego adwokata i Victorię, więc na razie możecie iść, dokąd chcecie.

- A czy ja mogę zostać i pooglądać telewizję? - spytała szybko Alison.

- Jechałaś taki kawał drogi, żeby oglądać telewizję? Czemu nie pójdziesz na spacer z Rain i Brodym? Jest taka piękna pogoda.

Alison splotła ręce i z ponurą miną wbiła wzrok w dywan.

- Jestem taka zmęczona - zajęczała.

- Ach, rób, co chcesz, tylko nie jęcz - ustąpiła czym prędzej moja matka.

Usłyszeliśmy, że otwierają się drzwi. Zaraz potem do bawialni weszła ciotka Victoria.

- Cześć, ciociu - przywitał ją Brody. - Co słyhać?

- Jestem ciągle zajęta - odpowiedziała krótko, spoglądając na babcię Hudson.

Alison podniosła oczy i powitała ciotkę głosem brzmiącym, jakby został nagrany na taśmie.

- Czy mogłybyśmy spędzić chwilę we trójkę, mamó? - spytała Victoria.

- Właśnie wybieramy się na spacer - poinformował Brody.

- A ja będę oglądała telewizję. - Alison zerwała się z kanapy.

Wyszliśmy z Brodym przed dom.

- Moja siostra robi się ostatnio nieznośna - wyjaśnił zwięźle zachowanie Alison. - Dziewczyny chyba po prostu mają taki okres w życiu.

- Nie przypominam sobie, żebym zachowywała się podobnie. Nie było nas stać na luksus przechodzenia przez żadne okresy.

- Opowiedz mi coś o sobie - poprosił Brody.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko. - Uśmiechnął się. - To znaczy, wszystko, co gotowa jesteś powiedzieć kompletnie obcemu facetowi.

Tak, pomyślałam, jesteście sobie kompletnie obcy. A tymczasem w naszych żyłach płynie ta sama krew. Gdybyś przyjrzał mi się uważniej, mógłbyś dostrzec między nami zaskakujące podobieństwa. Mamy wspólną matkę, a jednak idąc teraz razem nad jezioro, po raz pierwszy słyszymy nawzajem swoje głosy.

Opowiedziałam Brody'emu o mojej rodzinie, o szkole, o strasznej śmierci Beni. Słuchał mnie z zainteresowaniem, nie przerywając ani słowem. Dopiero gdy stanęliśmy na pomoście nad wodą, uświadomiłam sobie, że cały czas gadam.

- Alison powinna cię kiedyś posłuchać. Może wtedy by zrozumiała, jak wiele ma szczęścia w życiu. Słowo daję, jest bardziej zepsuta od zgniłego jaja. Od rana do wieczora nieustannie na coś narzeka. Jak ci się układało z bratem?

- Bardzo dobrze. Zawsze się mną opiekował.

- Aha, a moja siostra dostaje szału, ilekroć próbuję jej w czymś pomóc. - Brody przyjrzał mi się uważnie. - Założę się, że jesteś dobrą aktorką. Masz naprawdę miły głos.

- Dziękuję. - Szybko odwróciłam głowę, ale wciąż czułam na sobie spojrzenie Brody'ego.

- Jak myślisz, zdążymy przed lunchem popłynąć na drugi brzeg?

- Nie zdążymy. Muszę przygotować i podać posiłek.

- Naprawdę bardzo pomagasz mojej babci.

- Ona też mi bardzo pomogła.

- Moja rodzina w końcu zrobiła coś dobrego. - Brody pokiwał głową. - Może przyjadę, żeby obejrzeć wasze przedstawienie.

- Och, nie warto.

- Nie mów tak. Powinnaś mieć bardziej pozytywne nastawienie do tego, co robisz. Poza tym osąd należy do widzów. Pozwól, że sam ocenię, czy wasze przedstawienie jest dobre,

czy kiepskie. - Roześmiał się. - Chodź, pokażę ci swoje ulubione miejsce. Na to chyba starczy nam czasu.

Zawahałam się i obejrzałam na dom.

- No chodź! - Brody chwycił mnie za rękę i pociągnął tak mocno, że zatoczyłam się na niego i oboje omal nie wpadliśmy do wody. Chwycił mnie w ramiona. - Przepraszam - powiedział, patrząc mi w oczy i nie wypuszczając mnie z objęć. - Czasami brak mi wyczucia własnej siły.

Odsunęłam się od niego szybko.

- Rzeczywiście.

Brody znów się roześmiał, ale nie puścił mojej ręki. Chcąc nie chcąc, musiałam iść za nim wzdłuż brzegu, aż doszliśmy do kilku wielkich głazów, częściowo zanurzonych w wodzie.

- Ilekroć jestem u babci, zawsze tu przychodzę. Siedzę na skałach i patrzę w wodę. Jest tak przejrzysta, że widać w niej ryby. Chodź, sama się przekonasz. - Brody pomógł mi się wspiąć na ogromny głaz. Usiedliśmy i zapatrzyliśmy się w wodę. Po chwili istotnie dostrzegłam ciemne grzbiety ryb. Na ich widok aż krzyknęłam z radości. - Nie byłaś jeszcze nad jeziorem?

- Tylko raz. Zaraz po przyjeździe. Potem nie miałam już na to czasu.

- To cieszę się, że miałem okazję pokazać ci to miejsce. Po lunchu zabiorę cię w inne. Pokażę ci drzewo, na którym miałem kiedyś domek. Mogłabyś za to zadeklamować mi jakiś kawałek ze swojej sztuki. Szkoda, że nie możemy zostawić ich w domu i zrobić sobie we dwójkę pikniku nad jeziorem.

- Nie sądzę...

- Uspokój się. Ja tylko żartuję. Zresztą powinienem spędzić jakiś czas z babcią. Coś ci powiem - zaproponowałam, nie dając mi czasu na sprzeciw. - Pomogę ci sprzątnąć po lunchu. Alison też. Jak nie będzie chciała, to zagrozę, że powiem matce, że pali trawkę u koleżanek. Co ty na to?

Odwróciłam wzrok. Nie umiałam powściągnąć uśmiechu. Z jednej strony uczucie, jakie okazywał mi mój brat, było

bardzo miłe, ale z drugiej bałam się trochę tego, co powie i robi, kiedy pozna prawdę.

Kłamstwa, pomyślałam, są jak termyty drążące najgłębsze podwaliny ludzkiej duszy.

Brody nie przesadzał, opowiadając o wiecznie skrzywionej minie Alison. Podczas lunchu ani na chwilę nie przestała narzekać. W jadalni było jej za gorąco. Sos do sałatki z krewetek okazał się dla niej za ostry. Lemoniada była gorzka. Alison domagała się czegoś gazowanego, ale żadnych gazowanych napojów nie było. Pieczywo było czerstwe. Alison znalazła na ścianie swojej szklanki płamę. Sztućce nie były dość wypolerowane. Alison zaproponowała, żeby pojechać do restauracji.

Matka robiła, co mogła, żeby wprawić ją w lepszy humor. Brody powiedział jej, żeby nie zwracała na Alison uwagi, a Victoria po prostu patrzyła na wszystkich ponuro. Najwyraźniej nie była zadowolona z wyniku poważnej rozmowy z matką i siostrą, a od czasu do czasu rzucała mi takie spojrzenia, że czułam się niewygodnie na całym skądinąd wygodnym krześle. Nasze pierwsze spotkanie rodzinne wyglądało zupełnie inaczej, niż sobie to wyobrażałam. Gdzie tu miłość, która powinna wiązać rodzinę? Co dla tych ludzi znaczy słowo „rodzina”? Czy ja w ogóle chcę, żeby wiedzieli, że jesteśmy krewnymi?

Zgodnie ze swoją obietnicą Brody zgłosił się do pomocy w zmywaniu i powiedział Alison, żeby również przyłączyła się do sprzątanania.

- Dlaczego? Nie jestem służącą. Ona jest od sprzątanania - skrzywiła się.

- Rain nie jest tu po to, żeby sprzątać - zaprotestowała ostro babcia Hudson.

- Właśnie tego nie rozumiem, babciu. Po co ona tu w ogóle jest? Zaczęłaś prowadzić sierociniec?

- Nie jestem sierotą - rzuciłam.

- To co tu robisz?

Spojrzałam na matkę.

- Rozmawiałyśmy już o tym, Alison. Wyjaśniałam ci, jak działa fundacja „Pomóż dziecku!”.

- Tak, ona wie o tym wszystko - wtrącił Brody. - Wczoraj przez pół wieczoru gadała na ten temat z Rachel Sanders. No nie, Alison? - dodał z wymownym uśmiechem. - Wiem wszystko, Billy Crammer mi opowiedział.

Alison rzuciła mu nienawistne spojrzenie, ale Brody tylko się uśmiechnął.

- Nie pamiętasz już, co robiłaś wczoraj wieczorem?

- Zamknij się, Brody.

- Pomożesz nam sprzątać, prawda?

Alison popatrzyła na babcię Hudson, potem na mnie. Bez słowa pozbierała swoje talerze i sztućce i poszła do kuchni.

Brody uśmiechnął się do mnie.

Z Alison nie mieliśmy jednak wiele pożytku. Przeciwnie. Podając mi miskę, wypuściła ją z dłoni, zanim jej dosięgłam, i wielkie naczynie z hukiem roztrzaskało się u naszych stóp.

- Ależ z ciebie niezdar! - krzyknęła Alison.

- To twoja wina, Alison - wtrącił Brody. - Widziałem.

- Nieprawda!

Przykucnęłam i zaczęłam zbierać kawałki szkła.

- Co tu się dzieje?

W drzwiach kuchni stała babcia Hudson.

- Ona upuściła miskę.

- Nieprawda, babciu. To była wina Alison - powiedział Brody.

Babcia Hudson popatrzyła na niego, potem na mnie.

- Po prostu to sprzątnijcie - poleciła i wyszła.

- Dlaczego z ciebie taka świnia, Alison? - spytał Brody.

- A ty dlaczego bierzesz jej stronę? - Okrągłe oczy Alison zwięziły się w dwa owale lodu. - Podoba ci się? Ona jest czarna.

- Zamknij się - rzucił przez zęby Brody.

Alison uśmiechnęła się, zadowolona z siebie.



- Podoba ci się. Powiem mamie, jakie są rezultaty jej działalności dobroczynnej - oznajmiła i wyszła z kuchni.

- Przepraszam cię za nią.

- Nie mówmy już o tym. Gorsze rzeczy w życiu słyszałam.

- Wiem. I dlatego właśnie uważam, że to niesprawiedliwe.

- Sprawiedliwość? To słowo już dawno zniknęło z mojego słownika - powiedziałam z goryczą. - Ja sprzątnę skorupy, a ty wstaw talerze do zmywarki.

Kiedy skończyliśmy, okazało się, że wszyscy siedzą w salonie. Alison odkryła, że mieszkam w jej pokoju. Idąc przez hol, słyszeliśmy jej marudzenie.

- A jeśli będę chciała przyjechać tu na weekend - jęczała - to gdzie będę spała?

- Niestety, będziesz miała do wyboru tylko cztery sypialnie - odpowiedziała jej babcia Hudson.

- To nie to samo. Mój pokój to co innego. Teraz już na zawsze przejdzie jej zapachem. Nie będę w nim więcej spała - oznajmiła i wyszła nadąsana z pokoju. Na nasz widok zatrzymała się, niepewna, co robić.

- Słyszeliśmy, co mówiłaś, Alison. Jesteś żałosna - powiedział Brody.

- Ja jestem żałosna? - Alison przeniosła spojrzenie na mnie, potem znów popatrzyła na niego. Uśmiechnęła się, odsłaniając misterne metalowe klamry, spajające jej zęby. - Wstydzę się, że jestem twoją krewną - oznajmiła bratu i minęła nas, nie dodając ani słowa.

Może i lepiej, bo nie byłam ciekawa, co ma mi do powiedzenia.

Z drzwi salonu wyszła moja matka.

- Dokąd się wybierasz, Brody? - spytała, patrząc to na mnie, to na syna,

- Chciałem pokazać Rain drzewo, na którym miałem kiedyś domek.

- Obawiam się, Brody, że będziemy musieli niedługo jechać.

- Wydawało mi się, że mieliśmy jechać dopiero o czwartej.

- Ale musimy wyjechać wcześniej - powiedziała i znów spojrzała na mnie. - Powinieneś spędzić więcej czasu z babcią.  
- Nie ma problemu - oświadczyłam. - Ja i tak mam lekcje do odrobienia.

Brody wyglądał na bardzo rozczarowanego.

- No dobrze. Wiesz co, mam? Chyba wpadnę do babci w przyszłym tygodniu. I chciałbym zobaczyć to przedstawienie, w którym wystąpi Rain.

Moją matkę dosłownie zatkało. W jej oczach pojawił się wyraz przerażenia.

- W przyszłym tygodniu nie będziesz mógł przyjechać, Brody. W sobotę mamy na obiedzie Samsonów i tata chciał żebyście byli, bo oni przyjadą z dziećmi.

- Ale ich dzieci są jeszcze małe.

- Później o tym porozmawiamy, Brody.

- Dobrze, dobrze. Ale chcę przyjechać na przedstawienie, więc nie planuj mi niczego na ten weekend.

- Mówiłam ci, że to nie będzie nic wielkiego - wtrąciłam.

- Pamiętasz, co ci mówiłem o negatywnym nastawieniu? - przypomniał Brody z uśmiechem.

- Chodź, porozmawiaj chwilę z babcią - już łagodniej prosiła moja matka.

Skinął głową.

- Mam się już żegnać?

- Tak - powiedziała. - Do widzenia. - Odwróciłam się do matki. - Szerokiej drogi, pani Randolph.

- Dziękuję.

Popatrzyłyśmy na siebie przez chwilę, a potem poszłam szybko na górę. Nie oglądałam się za siebie.

Kiedy znalazłam się w swoim pokoju, zamknęłam za sobą drzwi i usiadłam przed oknem. Wysoko na niebie rysowały się pierzaste chmurki, poniżej rozciągał się sielski krajobraz. Ci ludzie zawsze będą mi obcy, pomyślałam. Na co liczyła mama? Nigdy nie tęskniłam za nią tak bardzo, jak w tej chwili. Wykręciłam numer cioci Sylvii. Telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie podnosił słuchawki. Rozczarowana wyciągnęłam się

na łóżku i zamknęłam oczy. Przypominałam sobie mamę, Roya i Beni. Te wspomnienia wywołały na mojej twarzy szczęśliwy uśmiech. Jak to dobrze, że mamy przeszłość, pomyślałam. Bez niej nie mielibyśmy się dokąd schronić.

W tej samej chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi. Podniosłam się. Czy to Brody wkradł się na górę?

- Proszę!

W drzwiach stanęła moja matka.

- Wpadłam do ciebie na słówko. Przykro mi, że tak się rozstałyśmy na dole, ale... co zaszło między tobą i Brodym?

- Nic. - Powoli zaczynałam rozumieć przyczyny jej dziwnego zachowania. - Do niczego go nie zachęcałam, jeśli chodzi ci o te bzdurne oskarżenia Alison.

- Oczywiście. Nawet przez chwilę nie traktowałam jej słów poważnie. Chodzi mi tylko o to, że to taka... delikatna sytuacja. Gdyby do ciebie dzwonił, odradź mu przyjazd na premierę, proszę, Rain.

- Spróbuję, ale Brody robi wrażenie upartego.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Nie potrzebowałam wiele czasu, żeby się na nim poznać. Cieszę się, że dobrze się rozumiecie z moją matką.

- Victoria wygląda na mniej zadowoloną.

- Owszem.

- Powiedziałyście jej prawdę?

- Nie.

- A jeśli okaże się to konieczne?

- Victoria... źle to zniesie. Mówiłam ci, że nigdy nie byłyśmy sobie szczególnie bliskie. Po raz ostatni zaufałam jej chyba, kiedy miałam siedem lat. Natychmiast poszła do ojca i powtórzyła mu moje słowa. Chciała mi tym dopiec. Nie przejmuj się Victorią. Tak znakomicie sobie tu radzisz. Jestem z ciebie dumna.

Popatrzyłam na nią zaskoczona.

- Wiem, że nie potrafię tego okazać tak, jak byś chciała, ale jestem z ciebie dumna - powtórzyła. - Powodzenia na scenie.

Z uśmiechem wymknęła się na korytarz i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Czułam się tak okropnie samotna, jakbym znalazła się na księżycu. Ale nie rozpłakałam się. Stłumiłam łzy i obróciłam je w gniew.

Powinnam wziąć od tych ludzi tyle, ile się da, pomyślałam. Mama miała rację. Powinnam być taka jak Alison, myśleć tylko o sobie i o swoich sprawach. Potem wrócę do mamy, opowiem jej o wszystkim i obie będziemy się zaśmiewać do łez z białych ludzi, którzy nie wiedzą, co zrobić z pieniędzmi, ale aż się duszą pośród nieustannych intryg i kłamstw.

Chciałabym być taka jak Alison, ale wiedziałam, że nie będę.

Mogę być tylko sobą. Naprawdę jestem taka jak Emily Webb, ufna i naiwna.

Może jeśli rzucę się w ramiona Corbette'a, wszystko się zmieni.

Może wtedy znajdę siłę, żeby wytrzymać w tym nowym świecie.

## WIELKI WIECZÓR

Babcia Hudson w końcu znalazła nową służącą. W samą porę, bo im bliższy był termin premiery, tym więcej czasu poświęcaliśmy na próby. Na dodatek nadchodziły egzaminy, a ja wciąż jeszcze miałam trochę do nadrobienia w szkole. Staralam się wymyślać takie posiłki, które można było najszybciej przyrządzić, z trudem nadażałam ze sprzątaniem. Babcia Hudson dostrzegała moje trudności i uświadomiła sobie, że nie możemy funkcjonować dłużej w taki sposób.

Na szczęście Afroamerykanka Sissy Williams zrobiła na babci od pierwszego spotkania znakomite wrażenie. Sissy była wysoka i krzepka, miała duże piersi i długie, silne ręce. Twierdziła, że ma czterdzieści jeden lat, ale babcia Hudson uważała, że ma koło pięćdziesiątki, może nawet pięćdziesiąt parę lat.

- Zresztą - dodawała - dopóki robi wszystko, co do niej należy, nie obchodzi mnie, ile ma lat.

Sissy miała pogodny charakter i przyjemny, melodyjny głos, ale pracę traktowała poważnie i sumiennie, co spodobało się babci Hudson. Była bardzo dumna ze swoich umiejętności, zwłaszcza kulinarnych. Wystarczył mi jeden obiad, by wiedzieć, że jest prawdziwą mistrzynią w tej sztuce. Sissy pochodziła z Południowej Karoliny i przez wiele lat pracowała jako kucharka w restauracji, którą prowadził jej wuj. Nie miała wprawdzie własnej rodziny, ale za to siostrzenice i sios-

trzeńców, którzy byli bardzo bliscy jej sercu. Polubiłam ją od pierwszej chwili, bo wygłaszała te same sentencje, które w dzieciństwie słyszałam z ust mamy. Jake również ją polubił.

- Ta może się utrzymać - zauważył. - Jest dostatecznie staroświecka, by zyskać aprobatę królowej.

Roześmiałam się z jego słów, a potem spytałam, czy pani Hudson zdaje sobie sprawę z tego, jak on sobie z niej kpi.

- Och, ja sobie z niej wcale nie kpię, księżniczko. Trochę żartuję od czasu do czasu, ale pani Hudson wie, że w głębi serca szczerze ją podziwiam.

- Znałeś ją, kiedy byłeś młodszy, Jake. Czy zawsze była taka twarda i niezależna?

- Tak - odparł bez wahania. Spojrzał na mnie z uśmiechem. - Zawsze wiedziała, czego chce, i zawsze to osiągała. W jej słowniku nie było takich słów jak „porażka” czy „rozczarowanie”. A czemu pytasz? Przeskrobałaś coś i boisz się, że zamknie cię w komórce?

- Nie - odpowiedziałam. Uśmiechnęłam się do siebie. Ciekawa byłam, co powiedziałyby Jake, gdyby się dowiedział, że babcia Hudson zapisała mi coś w testamencie. Czy byłby tym zaszokowany? A może właśnie nie? Wydawało mi się, że wie dużo więcej o życiu mojej rodziny, niż spodziewałabym się po szoferze.

Jake przyglądał mi się przez chwilę, a potem uśmiechnął się i pokręcił głową. Wracając ze szkoły, wstąpiliśmy na pastwisko, żeby obejrzeć jego żrebaka. Kiedy na niego patrzył, wydawał mi się głęboko szczęśliwy. Pomyślałam, że byłby z pewnością wspaniałym mężem i ojcem. Ja w każdym razie chciałabym mieć takiego ojca czy może raczej dziadka.

- Czemu nigdy się nie ożeniłeś i nie założyłeś rodziny?

- Nie wiem, księżniczko. Widać nie było tego w moich kartach.

- Myślisz, że wszystko, co się dzieje, po prostu musi się wydarzyć, Jake?

Odwrócił głowę i uśmiechnął się do mnie.

- Wiem, że bystra z ciebie dziewczyna, Rain, że dużo czytasz, ale ja po prostu tyle nie myślę. Przyjmuję to, co przychodzi... trochę jak niesiony wiatrem liść - dodał, wskazując targany podmuchami wiatru opadający listek. - Gdzie mnie rzuci, tam ląduję.

- Może to rzeczywiście najlepsze wyjście.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Jak już powiedziałem, nie myślę o tym - powtórzył i znów patrzył z ujmującą za serce czułością na swojego pięknego żrebaka.

Nie miałam pojęcia, ile lat ma Jake, ale z tego, co opowiadał, wywnioskowałam, że musi być stary, może nawet starszy od babci Hudson. Bardzo się od siebie różnili, a jednak kiedy się spotykali, wyczuwałam między nimi to szczególne porozumienie, jakie wynika ze znajomości trwającej dziesiątki lat. Marzyłam o tym, żeby móc opowiedzieć mu któregoś dnia całą prawdę o sobie i swojej rodzinie i usłyszeć, co on na to powie.

Pod koniec tygodnia ku mojemu zaskoczeniu zadzwonił Brody. Ponieważ nie odzywał się od czasu wizyty, przytłoczona natłokiem zdarzeń kompletnie zapomniałam o naszej wcześniejszej rozmowie. Zadzwonił wczesnym wieczorem. Gdy tylko usłyszałam jego głos, moje serce zaczęło bić jak oszalałe. Brody również robił wrażenie zdenerwowanego.

- Jak tam twoja okropna sztuka? - zażartował.

- Strasznie. Wszyscy, z reżyserem na czele, zaczynają się martwić o jej los. Niektórzy z aktorów do tej pory nie nauczyli się swoich ról na pamięć - powiedziałam, co zresztą było zgodne z prawdą.

- A scenografia?

- Och, tu mamy mały kłopot, bo pan Bufurd wymyślił jakieś efekty świetlne, a teraz wcale to nie wychodzi tak, jak sobie wyobrażał. Szczerze mówiąc, uważam, że nie warto przyjeżdżać, bo to będzie jedna wielka kłapa.

- I tak przyjadę, żeby zobaczyć się z babcią. Robi się coraz starsza, a robię sobie wyrzuty, że po tej operacji nie odwiedzam jej częściej. Mam własny samochód, więc to żaden problem.

- A nie szkoda ci czasu, który mógłbyś poświęcić na naukę? Twoja matka mówiła, że ubiegasz się o zaszczyt wygłoszenia mowy na zakończenie przyszłego roku szkolnego.

- Nic mnie to nie obchodzi. Dostałem propozycję stypendium ze szkoły sportowej przy USC. Po ukończeniu następnej klasy będę tam mógł pojechać. Wiesz, gdzie to jest?

Byłam zbyt zdenerwowana, żeby myśleć.

- Nie.

- W Los Angeles.

- Och...

- To kawał drogi. A dokąd ty chcesz pójść po ukończeniu Szkoły Dogwoodów?

- Nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

- O ile mogę Lo ocenić, uważam, że bez trudu dostaniesz się do takiego college'u, do jakiego tylko zechcesz. Czemu nie miałyby to być akurat USC?

- Nie wiem. Boję się coś planować.

- Rozumiem. Tamto wszystko wydarzyło się przecież bardzo niedawno. Byłaś na skałach nad jeziorem, żeby popatrzeć na ryby?

- Nie.

- No widzisz! Muszę cię tam jeszcze raz zaciągnąć, bo inaczej nigdy nie docenisz piękna tego zakątka. Załatw mi jakieś dobre miejsce w łoży dla gości. Jako gwiazda tego spektaklu nie będziesz z tym chyba miała trudności.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Jeśli zarezerwuję miejsce dla Brody'ego, moja matka będzie miała do mnie pretensje.

- Naprawdę nie warto, Brody.

- Nie rozmawiajmy o tym dłużej, Rain. Kiedy kurtyna się podniesie, będę tam siedział. Będę na ciebie patrzył.



- A czy twoja matka już wie o tych planach? - spytałam łagodnie. Podczas całej naszej rozmowy wyczuwałam w Brodym niepewność i nerwowość, które zdradzały, że kwestia jego przyjazdu nie jest sprawą oczywistą.

- Jeszcze nie wie, ale dzisiaj z nią o tym porozmawiam. Zarezerwuj mi miejsce i... och, jeśli nie miałabyś nic przeciw temu, może potem wybralibyśmy się gdzieś razem na kolację?

Serce podeszło mi do gardła.

- Nie mogę. Będziemy tu mieli przyjęcie dla zespołu.

- Och... - Brody zawiesił głos. Może jednak nie przyjedzie, pomyślałam. - Jakoś mnie na pewno wprowadzisz - dokończył z nadzieją w głosie. - Bądź co bądź jesteś odtwórczynią głównej roli.

Zaśmiałam się nerwowo. Jak go miałam zniechęcić? Brody zbijał wszelkie przeszkody, jakie wymyśliłam.

Porozmawialiśmy chwilę o babci, potem opowiedziałam Brody'emu o nowej pokojówce, a on oznajmił, że od naszego ostatniego spotkania nie rozmawia z Alison.

- Okropnie mi przykro, że stałam się powodem waszej kłótni.

- To nie twoja wina. To Alison jest wstrętna.

Kiedy wreszcie skończyliśmy rozmowę, miałam uczucie, jakbym się zapędziła w ślepią ulicę po zapadnięciu ciemności. Ilekroć dzwonił telefon, spodziewałam się, że to dzwoni moja matka, żeby spytać, dlaczego nie zrobiłam więcej, żeby zniechęcić Brody'ego do przyjazdu na premierę. Moja matka nie zadzwoniła tylko dlatego, że postanowiła przyjechać, aby omówić całą sytuację ze mną i babcią Hudson na miejscu.

- Ho, ho - powiedział Jake, zajeżdżając nazajutrz przed dom.

Na podjeździe stał samochód mojej matki, a obok samochód Yictorii.

- Co takiego?

- Nie ma końca rodzinnym deliberacjom. Te dwie damy nieczęsto się spotykają. Coś się święci.

Wysiadłam z samochodu, serce mocno mi biło.

- Uważaj, żebyś nie dostała w głowę czymś ciężkim, kiedy tam wejdiesz - poradził mi Jake.

Rzuciłam mu uśmiech na pożegnanie i weszłam szerokimi kamiennymi stopniami pod monumentalny portyk. Drzwi domu uchylałam cicho jak złodziej, jakbym się bała, że słowa Jake'a się sprawdzą i trafię na rodzinną bitwę. Tymczasem powitała mnie głucha cisza. Wśliznęłam się bezszelестnie do środka i wtedy poznałam przyczynę tego niezwykłego spokoju.

Ciotka Victoria nie usłyszała, że wchodzę, bo zanadto pochłaniało ją podsłuchiwanie rozmowy, jaką prowadziły w bawialni moja matka i babcia Hudson. Wstrzymałam oddech. Bałam się poruszyć, bałam się zdradzić swoją obecność, bo stałoby się jasne, że byłam świadkiem jej zachowania. Nagle Victoria gwałtownie odwróciła głowę, jakby poczuła powiew powietrza spowodowany przeciągiem. Na mój widok skrzywiła się groteskowo. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, wpadła do bawialni z głośnym wyrzutem:

- Dlaczego mnie nie uprzedziłaś, Megan, że zamierzasz dziś odwiedzić mamę?

Odetchnęłam. Nie mogłam się zdecydować, czy iść do siebie, czy przywitać się ze wszystkimi. Nie chcąc, żeby babcia Hudson uznała, że jestem nieuprzejma, nie miałam wyboru. Stałam w progu bawialni, żeby przywitać się z rodziną.

Moja matka i babcia Hudson siedziały na kanapie, Victoria dopiero co usiadła na drugiej, naprzeciwko nich. Wszystkie trzy uniosły głowy i spojrzały na mnie.

- Dzień dobry, pani Randolph - powiedziałam. Usta Victorii ułożyły się w zimny, nieszczerzy uśmiech. Kivnęłam jej głową. - Dzień dobry, panno Hudson. - Nie wiem dlatego i zaakcentowałam to „panno” zwyczajem babci.

- Wszystko w porządku? - spytała babcia, przyglądając nam się uważnie.

- Tak, tylko że muszę zaraz wziąć się do lekcji. Teraz, pod koniec roku szkolnego, mam więcej pracy niż zwykle.

- Może po prostu nie jesteś taka zdolna, jak ci się zdaje - rzuciła Victoria. - Może to cię nauczy trafniej oceniać swoje możliwości.

- Co ona może wiedzieć o swoich możliwościach? Nigdy nie miała okazji, żeby je naprawdę poznać - wzięła mnie w obronę babcia Hudson. - Jestem zaskoczona, że słyszę coś podobnego od ciebie, Victorio. Przecież to ty twierdziłaś, że kobiety potrafią osiągnąć tyle samo, ile mężczyźni.

- Większość kobiet - mruknęła Victoria.

- Mam celujące stopnie ze wszystkich przedmiotów - powiedziała, czując wzbierające pod powiekami łzy. - Jak dotąd, nie złamałam żadnych ograniczeń prędkości.

Babcia Hudson patrzyła na nas z rozbawioną miną, nawet moja matka przechyliła głowę, a na jej ustach pojawił się leciutki uśmieszek. Victoria odwróciła głowę z taką miną, jakby nic jej to wszystko nie obchodziło. Odwróciłam się i poszłam do siebie. W każdej szkole jest tak samo. Bliski koniec roku szkolnego wszędzie zaskakuje nauczycieli, którzy nagle zaczynają realizować program w przyspieszonym tempie i zadają coraz więcej lekcji do odrabiania.

Starałam się skupić na nauce, ale cały czas nasłuchiwałam kroków matki na schodach i pukania do drzwi. W końcu nawet je uchyliłam. Na pewno chciała dać mi burę za to, że zgodziłam się na przyjazd Brody'ego. Najbardziej niepokoiła mnie myśl o tym, ile z rozmowy matki i babki podsłuchiwała Victoria i jakie będą tego skutki.

Po dręczącej półgodzinie ciszę przerwały podniesione głosy. Teraz sama zgrzeszyłam ciekawością i podeszłam do drzwi. Ponieważ niewiele stamtąd słyszałam, zbliżyłam się cicho do balustrady i spojrzałam w dół. Drzwi wejściowe były otwarte, a w portyku stały, wydzierając się na siebie, moja matka i ciotka Yictoria.

- Dlaczego każesz mi płacić za swoje grzechy, Megan? Jak ci nie wstyd obarczać mnie odpowiedzialnością za własne błędy? Jak śmiesz wykorzystywać w taki sposób matkę?

- Nikomu nie każę płacić za swoje błędy ani nie wykorzystuję matki.

- A jednak ta... to nieślubne dziecko wkradło się jakoś w łaski matki, uwiło sobie gniazdko w jej domu i trafiło do testamentu. Co matka daje jej, odbiera mnie. Nie zamierzam się na to godzić. Jeśli ktokolwiek ma jej coś zapisać, to tylko i wyłącznie ty. Masz wpłynąć na matkę, żeby usunęła te zmiany z testamentu, bo inaczej zadzwonię do Grania.

- Jesteś okropna, Victorio. Zawsze byłeś złośliwa w stosunku do mnie. Nie mogę zrozumieć, czym sobie na to zasłużyłam - jęknęła moja matka.

Victoria roześmiała się zimno. Zeszłam o kilka stopni niżej i usiadłam na schodach.

- Nie możesz zrozumieć? - rzuciła zjadliwym tonem. - Oczywiście, ty zawsze udawałaś niewiniątko. Niewinna mała Megan nigdy nie rozumie, o co chodzi. Nie można jej za nic winić. Jest zanadto doskonała. Zawsze musimy wybaczać Megan albo płacić za jej błędy. Do tej pory! I jak się okazuje, również w przyszłości!

- Nigdy cię o nic nie prosiłam.

- Nie, oczywiście, że nie. To nie w twoim stylu poprosić o coś, Megan. Ty tylko potrafisz coś spieprzyć, a potem przyjść z tym swoim niewinnym spojrzeniem. Ojciec zawsze przed nim kapitulował. Ja musiałam się szczegółowo tłumaczyć ze wszystkiego, co zrobiłam i czego nie zrobiłam, ale Megan? Nigdy. Słodka, maleńka Megan. No cóż, teraz ojca już nie ma, a ja kieruję naszymi interesami i nie zamierzam płacić za twoje wybryki seksualne, i to na dodatek z czarnym. Jak możesz wprowadzać tutaj tę dziewczynę, jakby była częścią naszej rodziny i naszych interesów? Czy ty w ogóle nie masz poczucia godności i odpowiedzialności? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mogłoby ujawnienie tej historii oznaczać dla Granta? Czy jego kariera nic cię nie obchodzi?

- Tak wszystko wykręcasz, że wygląda dużo gorzej, niż jest naprawdę. A co do Granta, to od kiedy cię obchodzi cokolwiek jego kariera?

Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. Nagle na twarzy mojej matki pojawił się nieprzyjemny uśmiezek.

- Zazdrościsz mi go. Zawsze mi zazdrościłaś Granta.

- To żalosne.

- Doprawdy?

- Możesz myśleć, co chcesz, ale zapamiętaj sobie moje słowa, Megan. Jeśli imię tej dziewczyny nie zniknie z testamentu, skompromituję cię. Obiecuję - dodała Victoria i zeszła po schodach.

Moja matka patrzyła przez chwilę za siostrą, po czym wróciła z opuszczoną głową do domu. Wstałam, a ona podniosła na mnie wzrok.

- Słyszałaś?

- Tak. Gdzie jest babcia?

- W gabinecie. Całe szczęście, że nie słyszała tego, co ta żmija wygaduje, bo mogłaby dostać ataku serca.

- Co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem.

- Czy mam się wyprowadzić? Mogę pojechać do mamy.

- W żadnym wypadku. Po prostu martwi mnie Brody. Dużo o tobie mówił w drodze do domu; nie ulega wątpliwości, że wywarłaś na nim wielkie wrażenie. Uważa, że jesteś świeża, uczciwa i w ogóle wyjątkowa. Trudno mi się z nim nie zgodzić, ale nie chcę podsycać jego zapału. Teraz się uparł, żeby przyjechać na wasze przedstawienie. Zadzwoił z tą wiadomością do mojej mamy, a ona zaraz zadzwoniła do mnie. Ją też to martwi.

- Może powinnaś po prostu powiedzieć mu prawdę?

- Na razie nie mogę tego zrobić.

- Chcesz zawsze utrzymywać moje istnienie w tajemnicy przed światem?

- Jeżeli Victoria dotrzyma obietnicy, wkrótce się wszystko wyda.

- Wobec tego niech babcia wykreśli mnie z testamentu - zaproponowałam.

- Gdyby mojej matce choćby przemknęło przez głowę, że twoja obecność w testamencie jest takim problemem, mogłaby jeszcze nas obie wydziedziczyć i zapisać wszystko tobie, ot tak, na złość - uśmiechnęła się moja matka. - Będę musiała wymyślić coś innego.

- Moja mama mówiła, że kłamstwa mnożą się jak króliki; przybywa ich tak szybko, że wkrótce człowiek sam nie wie, od czego się zaczęły.

- To racja, oczywiście, ale na razie...

Zdażyłam już znienawidzić słowo „na razie”. I tak było to tylko chowanie głowy w piasek.

Matka wyprostowała się i podniosła głowę. Wyglądała w tej chwili tak, jak babcia Hudson na co dzień.

- Powiem Brody'emu pewne rzeczy, w które osobiście nie wierzę, Rain, ale proszę, pamiętaj, że chodzi mi tylko o to, żeby go zniechęcić.

- Jakie rzeczy?

- Nieprzyjemne... na twój temat.

- A jeśli ci nie uwierzy?

- Uwierzy. Tylko proszę cię o wyrozumiałość, dobrze?

Spojrzałam w bok. Czy naprawdę nie było innego wyjścia? Niesprawiedliwością było obciążanie wyłącznie mnie odpowiedzialnością za wszystko, oczernianie mnie, zamiast powiedzenia Brody'emu prawdy. Potem pomyślałam, że właściwie nie mam powodów, żeby przejmować się tym, co pomyśli sobie na mój temat Brody. Moja matka postępuje słusznie. Mój brat pojedzie do college'u i nigdy więcej nie będzie o mnie myślał. Niczyje kłamstwa nie zostaną zdemaskowane.

- Rób, co chcesz. - Odwróciłam się i ruszyłam schodami w górę.

- Rain...

Odwróciłam się do niej.

- Przepraszam cię, Rain. Naprawdę miałam nadzieję, że nikt cię tu nie zrani.

- Czemu miałabym ci wierzyć? Sama mnie ranisz.

Moja matka popatrzyła na mnie zakłopotana, a potem odwróciła się i poszła do bawialni, by przed powrotem do domu dokończyć rozmowę z babcią Hudson.

Dopiero na dzień przed premierą zdecydowałam w końcu, że jednak lepiej zrobię, rezerwując miejsca dla Brody'ego i babci Hudson. Wprawdzie od wizyty mojej matki więcej się nie odezwał, ale nie chciałam postawić go w niezręcznej sytuacji, gdyby jednak przyjechał. Babcia Hudson zaskoczyła mnie rano, oznajmiając, że Jake nie tylko odwiezie ją do teatru, lecz także będzie jej towarzyszył na sali. Ostatecznie zarezerwowałam trzy miejsca.

- Jake cię polubił. Poza tym głupio byłoby, gdyby miał nas zawieźć, a potem czekać przed teatrem.

Mówiła to, jakby czuła potrzebę usprawiedliwienia się przede mną z tego, że Jake pójdzie z nami na przedstawienie.

- Miło mi, ale nie chciałabym was wszystkich rozczarować. Niech pani nie spodziewa się po mnie zbyt wiele. Pierwszy raz w życiu będę występować na scenie i mam taką treść, że nawet nie wiem, czy nie zapomnę tekstu.

- Przestań - rzuciła. - Mówisz jak twoja matka, ona też nigdy nawet nie chciała spróbować. Od razu rezygnowała. Nie chcę tego słyszeć. Więcej pewności siebie. Kto gra lepiej od ciebie?

- Nikt - odpowiedziałam.

- O to mi właśnie chodzi. Doskonale dasz sobie radę. Niech ci nawet do głowy nie przyjdzie, że mogłoby być inaczej.

Powiedziała to z taką siłą, że zastanawiałam się, czy w razie suszy potrafiłaby ściągnąć deszcz, gdyby się uparła.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Dobrze.

- W porządku. Nie mówmy o tym więcej. Im dłużej człowiek się nad czymś zastanawia, tym bardziej traci wiarę we

własne siły. Po prostu idź i zrób, co do ciebie należy. Sissy - babcia Hudson odwróciła się do nowej pokojówki - czym przyprawiłaś tego kurczaka?

- Proszę?

- Jest wyśmienity. Cokolwiek z nim zrobiłaś, zrób to jeszcze raz.

Sissy uniosła brwi i popatrzyła na mnie z uśmiechem.

- Zrobi się, proszę pani. Zrobi się. - Sissy puściła do mnie oko i poszła do kuchni.

Im bliżej był dzień premiery, tym częściej Corbette przypominał mi o obietnicy wspólnego wieczoru.

- Już sprzątam chatę. To będzie nasze święto, Rain.

- Czy twoi rodzice nie będą chcieli spędzić z tobą wieczoru po premierze?

Skrzywił się.

- Moich rodziców nie będzie. Są umówieni i nie będą tego zmieniać z tak błahego powodu jak premiera.

- Nie przyjdą na przedstawienie?

- Jak dotąd, przyszli tylko raz. Nie mam im za złe, że nie przychodzą. Nie robię tego dla nich, tylko dla siebie.

nie wyglądało, żeby się dobrze czuł we własnym domu. Nie wiedziałam, czy próbuje brać mnie na litość, czy mówi prawdę, ale w każdym razie był bardzo przekonujący. Zachowywał się sympatycznie i świetnie współpracowało się nam na scenie. Dziewczyny pogodziły się z pomysłem obsadzenia mnie w roli Emily, tylko Maureen wciąż demonstrowała sceptycyzm co do moich możliwości. Audrey oczywiście była mną zachwycona, a po pierwszej próbie w kostiumach niemal wszyscy gratulowali mi udanego występu. Zaczynałam nabierać pewności siebie, którą zalecała babcia Hudson.

Ponieważ Brody nie odzywał się przez cały ten tydzień, doszłam do wniosku, że moja matka osiągnęła cel i wybiła mu z głowy przyjazd na przedstawienie. Babcia Hudson również nie wspominała o jego wizycie. Poczułam ulgę, choć jednocześnie zrobiło mi się trochę żal, że nie możemy zostać



przyjaciółmi, więcej nawet niż przyjaciółmi, w końcu byliśmy rodzeństwem i na pewno stałabym się dla niego lepszą siostrą od Akson. Inna sprawa, że każda normalna dziewczyna była by lepsza od jego wrednej siostrzyczki.

W dniu premiery wszyscy nauczyciele życzyli mi powodzenia i obiecywali, że będą na przedstawieniu. Ogarnęła mnie straszna trema. Uśmiechałam się, ale w środku wszystko się we mnie trzęsło. Kiedy wróciłam do domu, byłam już tak wyczerpana, że padłam na łóżko i ukryłam twarz w poduszce. Przysięgałam sobie, że za nic w świecie nie wyjdę z pokoju.

W takich chwilach najbardziej brakowało mi głosu mamy. Sięgnęłam po słuchawkę i wykręciłam numer. Telefon znów dzwonił i dzwonił, i znów nikt nie podniósł słuchawki. Co się stało? Czemu mama mnie o niczym nie uprzedziła? Czemu Roy więcej nie zadzwonił? Dręczyło mnie, że nie wiem, jak się z nimi skontaktować. Aż się we mnie wszystko gotowało od obaw.

Postanowiłam wziąć kąpiel. Nie będę myślała o niczym poza pierwszym zdaniem mojej roli. Kiedy je wypowiem, albo wszystko pójdzie gładko, albo słowa uwięzną mi w gardle i moja kariera teatralna szybko dobiegnie kresu.

Kiedy ucichły brawa, pomyślałam, że babcia Hudson chyba miała rację. Być może rzeczywiście nie potrafiłam ocenić swoich możliwości, bo nie miałam okazji, żeby je poznać. Wychodząc pierwszy raz na scenę, aby stanąć przed pełną widownią, cała się trzęsłam. Byłam pewna, że jeśli będę tak dzwonić zębami, to nikt nie zrozumie, co mówię, i ludzie wybuchną tak huraganowym śmiechem, że zawali się od niego cały teatr.

Tymczasem wydarzyło się coś całkowicie nieoczekiwanego. Poczułam się nagle, jakbym naprawdę znalazła się w innym świecie. Postać Emily owdądnęła moim ciałem i duszą. Nawet mój głos brzmiał jakoś inaczej, a kiedy się poruszałam, robiłam

to z wdziękiem niewinności, który widział we mnie pan Bufurd. Pomogło również to, że skierowane na scenę światła nie pozwalały mi niemal dostrzegać widzów. Czułam się prawie tak, jakbym powtarzała swoją rolę w samotności przed lustrem we własnym pokoju.

Również Corbette grał jak natchniony. Kiedy klęczał przed moim grobem i wypowiadał swoje ostatnie słowa, i potem, kiedy żegnałam go zza kulis, widziałam w jego oczach podziw. Moja rola porwała mnie i uniosła gdzieś w gwiazdy. Oklaski zdawały się nie mieć końca, a kiedy wyszliśmy się kłaniać, widzowie wstali z miejsc.

Nie mogłam powstrzymać łez. Nagle ktoś wszedł na scenę i podał mi bukiet pięknych czerwonych róż. Przez chwilę stałam jak sparaliżowana.

- To dla ciebie! - dotarły do mnie słowa ponad niekończącymi się owacjami.

Wyciągnęłam ręce po kwiaty i zobaczyłam rozpromienioną twarz Brody'ego. Więc jednak przyjechał!

- Dziękuję - powiedziałam i szybko przyjął kwiaty.

Kiedy już kurtyna opadła po raz ostatni, cały zespół wydał zbiorowy krzyk radości. Corbette objął mnie w półmroku i cmoknął w policzek.

- Byłaś cudowna - szepnął mi do ucha. - Ta noc należy do nas!

Gratulacje zawróciły mi w głowie. Pan Bufurd był ze mnie dumny. Cały zespół, wszyscy po kolei mi gratulowali. Nawet Maureen wykrztusiła wymuszone gratulacje, żeby ratować twarz.

Za scenę zaczęli napływać widzowie. Chciałam zmyć szminkę z twarzy, ale wciąż musiałam przyjmować powinszowania nauczycieli i innych gości. W pewnej chwili dostrzegłam wśród nich Jake'a, Brody'ego i babcię Hudson.

- Okropna sztuka! - zacytował Brody moje słowa z szerokim uśmiechem. - W porównaniu z waszą inscenizacją to, co było w naszej szkole, wydaje się po prostu śmieszne. Byłaś fantastyczna. Cieszę się, że przyjechałem.

Tak się we mnie wpatrywał, tak mnie ścisnął za ręce, że nie mogłam go po prostu odepchnąć. Musiałam się uśmiechać i dziękować mu, pomimo że babcia Hudson przyglądała się temu pełnym niepokoju wzrokiem. Na szczęście przerwał nam Jake.

- Muszę odwieźć panią Hudson do domu. Byłaś wspaniała, księżniczko. Jestem z ciebie dumny.

- Dzięki, Jake.

- Dobra robota, Rain. Trudno uwierzyć, że pierwszy raz w życiu występujesz na scenie. Chciałabym, żebyś poznała pana Conora MacWaine'a - dodała babka, wskazując gestem wysokiego ciemnowłosego mężczyznę w tweedowej marynarce. - Pan MacWaine jest dyrektorem szkoły teatralnej w Londynie, przyjacielem mojej siostry Leonory.

- Premiera zrobiła na mnie doskonałe wrażenie.

- Dziękuję.

- Nie wróć zbyt późno - dodała babcia Hudson. Uśmiech na jej ustach i blask w oczach powiedziały mi, że jest ze mnie dumna.

- To co z tą zabawą dla zespołu?

- Okazało się, że to będzie u kogoś w domu. Bardzo mi przykro, ale naprawdę nie mogę nikogo zaprosić. Przepraszam - powiedziałam szybko.

Brody w jednej chwili stracił dobry humor. Zrobiło mi się przykro.

Z kłębiącego się tłumu wyłonił się Corbette.

- Spadamy stąd - rzucił dostatecznie głośno, by Brody mógł go słyszeć.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie możesz nikogo zaprosić - powiedział Brody z zimnym uśmiechem.

- Mówiłam ci, żebyś nie przyjeżdżał. - Czułam się okropnie.

Corbette pociągnął mnie za rękę. Kiedy odchodziliśmy, Brody patrzył za nami, kompletnie zdruzgotany.

- Kto to był? - spytał Corbette, gdy przeciskaliśmy się między ludźmi do tylnego wyjścia z teatru.

- Wnuk pani Hudson.

- To on ci przyniósł róże?

- Tak.

- Ja też mam dla ciebie róże.

Wsiadliśmy do jego kabrioletu.

- Co za wieczór! - krzyknął Corbette, a potem ruszył z pis-kiem opon.

Spotkanie całego zespołu odbywało się w pizzerii nieopodal. Stawiał pan Bufurd.

- Czy nie powinniśmy wpaść tam chociaż na chwilę?

- Jeszcze zdążymy. Gwiazdy zawsze się spóźniają - roze-śmiał się Corbette.

Nie wierzyłam mu, ale w końcu i tak żyłam w świecie kłamstw. Jedno mniej, jedno więcej, co za różnica?

Corbette nie kłamał, mówiąc o różach. Gdy weszliśmy do stajni, wszędzie stały róże: na stole, biurku, telewizorze. Wazon róż stał nawet na środku dywanu.

- Musiałeś na to wydać fortunę - roześmiałam się.

- Jak często zdarzają się podobne premiery? Spójrz, co jeszcze mamy. - Otworzył małą lodówkę i wyjął butelkę szampana w srebrnym kubelku. - Wiesz, co to jest?

- Wiem, ale nigdy tego tak naprawdę nie piłam.

- Dziś jest wieczór, jakiego jeszcze nie było. Jesteśmy po premierze.

Wystrzelił korek i pianista struga popłynęła po szyjce butelki. Corbette nalał szampana do kieliszków.

- Za najzdolniejszą, najpiękniejszą i najbardziej czarującą uczennicę Szkoły Dogwoodów. - Trąciliśmy się kieliszkami i wypiliśmy szampana. - Smakuje ci?

- Tak.

Corbette dolał mi szampana i wzniósł kolejny toast, tym razem za pana Bufurda. Potem włączył muzykę, rozluźnił krawat i usiadł na kanapie. Klepnął dłonią siedzenie.

- Siądź na chwilę, zanim pojedziemy. Czuję się, jakbym przebiegł dziesięć mil.

- Ja też. Nie mogę uwierzyć, że się nam udało.

Emocje pieniły się we mnie jak szampan, którego Corbette nie przestawał dolewać do mojego kieliszka.

- Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem, wiedziałem, że będziesz świetna.

- Jasne - powiedziałam sceptycznie. - Pamiętam, jak się ze mnie śmiałeś pierwszego dnia.

- Śmiałem się z dziewczyn, którym się wydawało, że się nie sprawdzisz i szybko opuścisz zespół.

- Naprawdę myślisz, że mi tak źle życzyły?

- Nawet nie pytaj. Znam dziewczyny ze Szkoły Dogwoodów. W ich żyłach zamiast krwi płynie czekolada.

Roześmiałam się. Popijaliśmy pysznego szampana i żartowaliśmy sobie z dziewczyn, przede wszystkim z Maureen.

- Wciąż mam na twarzy szminkę! - uświadomiłam sobie.

- To tak jak ja. Słuchaj, to znaczy, że wciąż jesteśmy Emily i George'em. - Odstawił kieliszek, wyjął drugi z moich rąk i odwrócił do mnie głowę. - To znaczy, że jesteśmy małżeństwem.

Roześmiałam się. Śmiałam się ze wszystkiego, co mówił. Coraz bardziej kręciło mi się w głowie. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że Corbette całuje mnie po szyi i twarzy. Tak szybko rozpiął moją bluzkę, że byłam zupełnie zaskoczona, kiedy zsunął mi ją z ramion. Poczułam jego dłonie na plecach, a potem stanik uleciał z moich piersi. Nie opierałam się, kiedy mnie pocałował. Nim się zorientowałam, co się dzieje, byłam półnaga, a usta Corbette'a wędrowały po mojej szyi i piersiach, jego język ślizgał się po moich sutkach.

Kiedy odchyliłam głowę, poczułam się, jakbym spadała, spadała i spadała. Objęłam go za szyję, żeby nie uderzyć głową o podłogę. Pamiętam, że jego ręce błądziły po moich udach. Próbowaliśmy protestować, ale zamknął mi usta pocałunkiem. Był smaczny. Smakował szampanem. Noc wydawała się taka cudowna. Zamykając oczy na to, co robię, rzuciłam się w nią na oślep, poddając się emocjom.

Kiedy poczułam twardniejącą męskość Corbette'a między

udami, przez chwilę się wahałam, ale potem przestałam się opierać. Kołysałam się na kanapie w rytm jego pchnięć, słuchając lawiny westchnień i wyznań. Corbette szeptał mi do ucha jakieś obietnice, przysięgał, że mnie kocha, i mówił to wszystko, co mówią ludzie w książkach i filmach, kiedy chcą być ze sobą do końca życia. Znowu znaleźliśmy się na scenie. Corbette nazywał mnie Emily, przeplatał swoje wyznania cytatami ze sztuki. Odpowiadałam mu pomrukami. Gdy skończyliśmy i leżeliśmy przytuleni do siebie, musiałam na chwilę zemdleć. Kiedy otworzyłam oczy, Corbette leżał na wznak z uśmiechem błogiego zadowolenia na nienagannie wykrojonych ustach. Zaczęłam zbierać porozrzucane części garderoby. Wciąż kręciło mi się w głowie. Chwiejąc się na nogach, wciągnęłam figi i zapięłam stanik.

- Niedobrze mi - powiedziałam nagle, czując gwałtownie wzbierające mdłości.

Corbette natychmiast otworzył oczy. Miał przerażoną minę.

- Ale jesteś blada!

Zerwał się z kanapy i chwycił pojemnik na śmieci.

- Nie narzygaj na meble - błagał.

Zdażył w ostatniej chwili.

- Zdaje się, że miałaś za dużo wrażeń na jeden raz.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. Nieraz to już robiłem.

Serce uderzyło mi mocno. Jęknęłam i przewróciłam się na plecy.

- Poczekaj spokojnie, zrobię ci zimny kompres - powiedział Corbette, kładąc mi dłoń na czole.

Albo znowu zemdlałam, albo zasnęłam wyczerpana, bo kiedy uniosłam powieki, światło było zgaszone, a Corbette spał na drugiej kanapie. Spojrzałam na zegarek. Było prawie w pół do trzeciej!

- Corbette! - krzyknęłam, raptownie siadając na kanapie. Nie otworzył oczu. Wsunęłam nogi w pantofle. Kiedy wstałam,

zakręciło mi się w głowie, ale zaraz przeszło. Podeszłam do Corbette'a i potrząsnęłam go za ramię.

- Mhmmm... - Otworzył oczy. - O co chodzi?

- Jest już wpół do trzeciej. Czemu mnie nie obudziłeś?

- Tak? - Przetarł oczy i spojrzał na zegarek. - Rzeczywiście.

- W domu na pewno się o mnie niepokoją.

- Dlaczego? Nie możesz się urwać na noc nawet z okazji premiery?

- Musisz mnie natychmiast odwiedzić, Corbette. W tej chwili. Przyjęcie dla zespołu, które urządził pan Bufurd, oczywiście też przepadło! To okropne.

- Nie wszystko. - Uśmiechnął się do mnie.

- Odwieź mnie do domu, Corbette.

- Dobrze, dobrze, ale z ciebie maruda - gderał, mimo to jednak posłusznie podniósł się z kanapy.

Jechaliśmy wyboistymi polnymi drogami. Kiedy znaleźliśmy się przed domem, znów mi się zrobiło niedobrze.

- Dzięki za miły wieczór.

- Dobranoc, Corbette.

- Dobra - odpowiedział, nie wspominając, czy jeszcze kiedykolwiek do mnie zadzwoni. Odjechał, zanim postawiłam nogę na schodach.

Było niesamowicie ciemno i cicho. Otworzyłam drzwi z uczuciem, że stało się coś złego. Gdy tylko wśliznęłam się do środka, z kuchni wyłoniła się Sissy w szlafroku.

- Czemu jeszcze nie śpisz?

- Obiecałam pani Hudson, że poczekam, aż wrócisz.

- Och!

- Mam dla ciebie wiadomość od pana Brody'ego - dodała. - Czekał na ciebie do pierwszej.

- Pojechał do Waszyngtonu? - spytałam zaskoczona.

- Tak. Prosił, żeby ci powtórzyć, że powinien być posłuchać matki.

Nagle poczułam się, jakbym weszła pod zimny prysznic.

Zapomniałam o zmęczeniu i ocknęłam się na ponurą rzeczywistość otaczającego mnie świata.

Stawałam się taka sama, jak byli wszyscy wokół mnie. Zrobiło mi się żal Brody'ego: to niedobrze, że pojechał w nocy, zmęczony i rozczarowany.

Dawno temu moja matka oddała się jakiemuś mężczyźnie, bo żyła wtedy w świecie własnych fantazji. Teraz skazywała mnie na to, żebym także szła tą samą fałszywą drogą, od złudzenia do złudzenia, dopóki nie zostanie mi nic poza pamięcią.



## RADOŚĆ I BÓL

Wrażenie, jakie wywarła premiera, utrzymało się jeszcze przez dobry tydzień. Wszyscy nauczyciele gratulowali mi udanego występu. Nawet pani Whitney przysłała z budynku biurowego na lekcję pana Bufurda, żeby osobiście złożyć mi gratulacje. Babcia Hudson zaskoczyła mnie wiadomością, że na kolację przyjedzie pan MacWaine, żeby porozmawiać o mojej przyszłości. Nie rozumiałam, o co chodzi, dopóki pan MacWaine nie usiadł naprzeciw mnie przy stole.

- Sądzę, że możesz zrobić karierę na scenie - powiedział.
- Naprawdę?

Spojrzałam na babcię Hudson, która zachowała kamienny spokój.

- Nie sądzą, że bym była aż tak dobra.

Babcia Hudson westchnęła ciężko.

- Myślę, że pan MacWaine lepiej od ciebie potrafi ocenić twoje możliwości. Jest dyrektorem cieszącej się wielkim prestiżem szkoły teatralnej. Dodam tylko, że kandydaci muszą zdać egzamin wstępny, co wcale nie wszystkim się udaje. Prawda, Conor?

- Owszem.

Znów na niego spojrzałam.

- Niektórzy ludzie mają naturalne predyspozycje aktorskie. Z braku lepszego słowa możemy je nazwać talentem. To kwestia wyczucia czasu, umiejętności współpracy z innymi

aktorami, wewnętrznego spokoju. No i oczywiście wymaga to również odpowiednich warunków fizycznych, takich jak głos czy postawa.

Kiedy usłyszałem, że to był pierwszy występ sceniczny w twoim życiu, byłem zdumiony. Uważam, że masz te naturalne predyspozycje, jakich wymaga aktorstwo, i gdybyś je rozwinęła, mogłabyś spróbować swych sił na scenie.

Większość współczesnych aktorów nie potrafi grać głębszych, bardziej złożonych postaci. Wszyscy aktorzy powinni zaczynać od repertuaru klasycznego i od teatru. Różnica między teatrem i filmem polega na tym, że teatr opiera się na słowie mówionym. Masz znakomitą dykcję i dużą siłę wyrazu. W mojej szkole nauczyłabyś się, jak przekształcić ciało w prawdziwe narzędzie ekspresji. Każdy gest, każde spojrzenie, każde wypowiedziane słowo służą określonemu celowi i są mu podporządkowane.

Większość amerykańskich gwiazd filmowych to tylko produkty. Kiedy przestaną się sprzedawać, znikną bez śladu, a ich miejsce zajmie kolejny hollywoodzki towar. Aktorów reklamuje się dziś jak pastę do zębów, nie traktuje się ich już jak ludzi utalentowanych i wykształconych.

Nasza szkoła traktuje kształcenie aktora poważnie. Oczekujemy, że nasi uczniowie będą mieli dobre wyniki pod każdym względem. Ten warunek spełniasz. Sądzę więc, że moglibyśmy coś razem osiągnąć.

Znów spojrzałam na babcię Hudson.

- Pan MacWaine proponuje ci, żebyś zaraz po ukończeniu Szkoły Dogwoodów została uczennicą jego szkoły teatralnej w Londynie.

Ja? Na szczęście nie powiedziałam tego na głos, babcia Hudson zapewne nie oszczędziłaby mi kolejnej zgryźliwej uwagi na temat braku wiary we własne siły.

- Miałabym mieszkać w Londynie? - zapytałam głupio.

- To żaden kłopot. Rozmawiałam z siostrą. Bardzo chętnie przyjmie cię pod swój dach. Może nawet polecę z tobą do Londynu i zostanę tam, dopóki się nie zadomowisz, co na

pewno nie zajmie ci wiele czasu. Już od ładnych paru lat nie byłam w Londynie.

- Od kiedy widziałas naszą szkołę - dodał pan MacWaine - przybyła nam scena tańca i studio dźwiękowe.

- Tak, szkoła pana MacWaine'a przygotowuje uczniów także w zakresie śpiewu i tańca.

- Tańca?

- Będziesz się uczyła baletu i tańca współczesnego - wyjaśnił pan MacWaine. - Nasi nauczyciele cieszą się opinią doskonałych fachowców.

Siedziałam bez słowa.

- Czy nie wydaje ci się to ciekawą perspektywą? - zagadnęła mnie w końcu babcia Hudson, zniecierpliwiona brakiem reakcji z mojej strony.

- Tak, ale... ja po prostu nigdy nie myślałam o tym, żeby zostać aktorką.

- To co w takim razie zamierzałaś ze sobą zrobić, Rain? Wyjść za męża i urodzić gromadkę dzieci?

- Nie... myślałam o tym, żeby zostać nauczycielką.

- Tym zawsze będziesz się mogła zająć, jeśli nie dasz sobie rady albo dojdiesz do wniosku, że to nie jest zajęcie dla ciebie - powiedział pan MacWaine. - Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby pedagogika była twoim powołaniem. Natomiast nieczęsto zdarzało mi się mylić co do wyboru własnych uczniów. Wielu spośród nich osiągnęło znaczącą pozycję na londyńskiej scenie, w kinie i telewizji.

- A zatem? - Babcia Hudson bębniła palcami po lśniącej powierzchni stołu.

- Chyba... wydaje mi się... ja...

- Rozumiem. To duża zmiana, jesteś zaskoczona i potrzebujesz trochę czasu do namysłu - rzekł pan MacWaine z uśmiechem.

- Bzdura - wtrąciła babcia Hudson. - Albo Rain wierzy w swoje siły i podejmie decyzję już teraz, albo lepiej niech się w to w ogóle nie pakuje.

- Czy mogę się nad tym chwilę zastanowić?

- Ilu chętnych macie w tej chwili na liście, Conor? - spytała babcia Hudson.

Pan MacWaine zastanawiał się przez chwilę.

- Około czterystu.

- A ilu przyjmiecie?

- Nie więcej niż dziesięć osób.

Babcia Hudson popatrzyła na mnie wyczekująco.

- Jestem taka zaskoczona - jęknęłam.

Twarz babci złagodniała. Odwróciła głowę do pana MacWaine^.

- To prawda. Tej dziewczynie tak mało dobrego przydarzyło się w życiu, że teraz, kiedy pojawia się przed nią okazja, boi się i nie wie, co zrobić. Jutro do ciebie zadzwonię i przekażę jej ostateczną decyzję - obiecała w moim imieniu.

- Nie rozczarujesz się, Rain. Z tym, czego nauczysz się w mojej szkole, będziesz mogła wiele osiągnąć.

Kiwnęłam głową. Nie chciałam, żeby wyglądało na to, że jestem niewdzięczna. Byłam kompletnie zaskoczona perspektywą wyjazdu za ocean. Rozstanie z bliskimi stało się dla mnie na nowo sprawą aktualną i bolesną. Co powie na to mama? Co powie Roy?

Natychmiast po powrocie do swego pokoju wykręciłam numer ciotki Sylvii. Nie mogłam się doczekać, kiedy ktoś wreszcie odbierze telefon, żeby wszystko opowiedzieć mamie. I znowu kłapa. Nikt nie podnosił słuchawki. Czemu mama przez cały ten czas nigdy do mnie nie zadzwoniła? Może wróciła do Waszyngtonu, próbując pomóc Kenowi? Odszedł od niej, ale mama nie potrafiłaby tak po prostu skreślić kogoś na zawsze. Postanowiłam dzwonić codziennie, dopóki wreszcie ktoś nie odbierze.

Usiłowałam skupić się na nauce, ale moje myśli nieustannie wracały do rozmowy z panem MacWaine'em. Czy naprawdę jestem aż tak dobra? Czemu babci Hudson tak bardzo zależy na tym, żeby wysłać mnie do Anglii, że gotowa jest nawet osobiście odwieźć mnie na stary kontynent?

Może w rzeczywistości chodzi jej po prostu o to, żeby się

mnie pozbyć? Być może uznały wraz z moją matką, że w ten sposób uspokoją ciotkę Victorię i odsuną mnie od Brody'ego. Dopóki będę mieszkać w Anglii, dopóty utrzymanie mojej prawdziwej tożsamości w sekrecie nie będzie sprawiło najmniejszej trudności. A więc nie mam żadnego talentu, pomyślałam, chodzi wyłącznie o to, żeby się ode mnie uwolnić. Co za groteskowy pomysł: posyłać mnie do Londynu, żebym usiłowała zostać kimś, kim nigdy nie będę. I to był pomysł mojej matki i mojej babki. Jak mogłam im wierzyć? Co gorsza, nic im nie przeszkodzi w jego realizacji.

Tak chciałam mieć wiarę, że babci Hudson naprawdę chodzi o moje dobro! W końcu zapisała mi coś w testamencie, więc chyba ją trochę obchodzi?

A może to także było oszustwo? Może wszystko od początku zmierzało do tego, żeby wysłać mnie pełną złudnych nadziei do Londynu? Beni zawsze twierdziła, że jestem naiwna. Może miała rację? Jak ja dam sobie radę bez choćby jednej naprawdę życzliwej duszy?

To przypomniało mi Corbette'a. Od nocy spędzonej w stodole nie zadzwonił do mnie więcej. Nawet nazajutrz, żeby spytać, jak się czuję. Codziennie, wychodząc ze szkoły, spodziewałam się, że zauważę gdzieś jego zgrabną sylwetkę, ale się nie zjawiał. Wykorzystał moją naiwność? Może faktycznie jestem głupia. Pomyślałam, że nie powinnam na nic się zgadzać bez namysłu. Choćby nawet pozory były jak najbardziej zachęcające.

Wracając wieczorem do swojej sypialni, babcia Hudson zajrzała do mnie. Siedziałam właśnie nad matematyką i nawet nie usłyszałam, jak otwiera drzwi i wchodzi do pokoju.

- Rain.

- Och, przepraszam, ale mam tu problem.

- To tak jak ja. Bardzo mnie rozczarowałaś, Rain. Pan MacWaine wyświadczył mi grzeczność, przyjeżdżając na przedstawienie i odwiedzając nas dziś, żeby z tobą porozmawiać. Śmiało można powiedzieć, że tysiące młodych ludzi

bez wahania przyjęłoby taką propozycję. Nigdy dotąd nie wydawałaś mi się niewdzięczna, ale dzisiaj...

- Ja to wszystko doceniam. Tylko po prostu... Chciałabym najpierw porozmawiać o tym z mamą. Proszę - błagałam.

- Rozumiem. Może i masz rację - przyznała. - W końcu przez całe twoje życie ta kobieta była ci matką. Zadzwoń do niej zaraz i porozmawiaj z nią o tym.

- Już dzwoniłam, ale nikt nie odbiera. Zaczynam się niepokoić. Nie wiem, czy nie wróciła do Waszyngtonu, żeby pomóc Kenowi, który został aresztowany za napad.

- Aresztowany? - Babcia Hudson zastanawiała się przez chwilę nad moimi słowami. - Dobrze. Daj mi telefon i adres, a jutro twoja mama dostanie wiadomość, gdziekolwiek jest.

- Naprawdę?

- A jak myślisz, po co to mówię? Kiedy chcę coś zrobić, robię to. Nie tracę czasu na zastanawianie się: Zrobić? Nie zrobić? A co, jeśli to; a co, jeśli owo? Robię to, co trzeba zrobić, i już.

Zapisałam numer telefonu i adres ciotki Sylvii.

- Dobrze. A teraz wracaj do swojego problemu. I rozpraw się z nim bez skrępowań.

Patrzyłam za nią, dopóki nie zniknęła za drzwiami. Uśmiechnęłam się do siebie. Dostrzegałam podobieństwa między babcią Hudson i Victorią, ale nie umiałam odpowiedzieć na pytanie, jakie cechy odziedziczyła po niej moja matka.

Nazajutrz podczas lekcji jazdy konnej ku swemu zaskoczeniu zauważyłam Corbette'a stojącego przy ogrodzeniu ujeżdżalni z gromadką chłopaków ze Słodkiego Williama. Dokończyłam kółko i podjechałam do nich.

- Cześć - powiedziałam. - Co tu robicie?

- Mamy przerwę między lekcjami i pomyślałam, że można by wpaść i popatrzeć, jak się trzymasz w siodle. Moim zdaniem, dużo lepiej - dodał i wszyscy jego koledzy wybuchnęli śmiechem.

Nie rozumiałam, co ich tak bawi.

- Kwestia wprawy.

- Czy to zaproszenie? - spytał i otaczający go koledzy ryknęli gromkim śmiechem.

- Co ci się stało? - spytałam. - Czemu nie zadzwoniłeś?

- Byłem zajęty. - Uśmiechnął się do kumpli, którzy odpowiedzieli oblesnymi uśmieszkami i na powrót zaczęli mi się przypatrywać, czekając, co zrobię. - Dalej jestem zajęty, ale Teddy ma dziś akurat wolny wieczór.

- Jestem wolny - potwierdził wysoki szatyn.

- Z takim wyglądem jesteś pewnie wolny co wieczór - odpowiedziałam, a jego kumple ryknęli śmiechem i zaczęli klepać go po plecach.

- Bardzo zabawne - obruszył się Teddy i zaczerwienił się jak burak.

- A co się stało z George'em Gibbsem? - spytałam Corbette'a.

Wzruszył ramionami.

- Wyjechał z miasta i ożenił się z inną. Teraz ma z nią kupę dzieciaków i zmienia im pieluchy - zażartował głupio.

- Przynajmniej ma rodzinę - powiedziałam ostro. - I powód, żeby wstawać rano. A ty? - rzuciłam i zawróciłam klaczkę.

Nie oglądałam się za siebie. Przeszłam w galop i mimo karzącego spojrzenia nauczyciela wzięłam bramę skokiem, żeby dołączyć do reszty dziewczyn. Byłam taka wściekła, że nic mnie nie obchodziło.

Gdy tylko miałam okazję porozmawiać z Audrey, powiedziałam jej, że miała rację co do Corbette'a.

- Faceci. - Skrzywiła się, jakbyśmy mówiły o nekującej dziewczyny wysypce. - Nie wyjdę za męż. Wolę robić karierę.

Może ma rację, pomyślałam.

Po drodze do domu Jake jak zwykle miał mi wiele do opowiedzenia. Kiedy zbliżyliśmy się do domu, przypomniałam sobie, że dziś babcia Hudson miała się skontaktować z mamą. Wskoczyłam z samochodu i wbiegłam po schodach. Wpadłam do domu. W bawialni babci nie było. Przebiegłam jadalnię i zajrzałam do kuchni.

- Wiesz, gdzie jest pani Hudson, Sissy?
- Ostatnio widziałam ją za biurkiem w gabinecie. Babcia Hudson właśnie odłożyła słuchawkę.
- Dzień dobry. Znalazła pani mamę?
- Tak, Rain. Usiądź - powiedziała stanowczo babcia Hudson, wskazując na kanapę.

Patrzyła na mnie z wyjątkową powagą. Poczułam, że ogarnia mnie lodowaty lęk.

- Co się stało?
- Miałam nadzieję, że będę miała trochę więcej czasu, żeby przygotować się do rozmowy z tobą, Rain. Dlaczego znów muszę ponosić konsekwencje nieodpowiedzialnego postępowania Megan? - westchnęła. - Nie potrafiłabym zliczyć, ile już razy stawiała mnie w takiej sytuacji, ale co się stało, to się nie odstanie. Ojciec zawsze ją rozpieszczał.

- Co się stało? - powtórzyłam zniecierpliwiona.

Babcia oparła łokcie na biurku i nachyliła się do mnie.

- Kiedy Megan przyjechała tu i zapytała, czy mogłabyś mieszkać u mnie i chodzić do Szkoły Dogwoodów, nie byłam zachwycona. Dopiero kilka dni po tym, jak u mnie zamieszkałaś, Megan zadzwoniła do mnie i powiedziała mi o całej sytuacji.

- O jakiej sytuacji?
- O zdrowiu twojej mamy. - Babcia Hudson opadła na oparcie i westchnęła głęboko. - Twoja mama jest chora, Rain.
- Jak to chora? Co jej jest?
- Ma... raka. Bardzo szybko nastąpiły przerzuty. Leży w szpitalu. Rokowania są złe. Prawdę mówiąc, lekarz powiedział, że na ogół jest nieprzytomna. Twoja ciocia Sylvia zatrzymała się u przyjaciółki mieszkającej nieopodal szpitala. Dlatego nikt nie odbierał telefonu.
- Czy Roy wie o tym wszystkim?
- Tak. O ile wiem, dostał przepustkę i już pojechał do waszej mamy.
- Ja też muszę jechać.
- Wiem. Wszystko jest przygotowane. Za dwie godziny



Jake zawiezie cię na lotnisko. Na miejscu będzie na ciebie czekał samochód. Kierowca będzie miał tablicę z twoim imieniem. Zarezerwowałam ci pokój w hotelu. Tu... - sięgnęła do szuflady i wyjęła z niej kopertę... - masz pieniądze.

Wszystko działo się tak szybko, że nie mogłam ochłonać. Pokręciłam głową.

- To niemożliwe. Nie mogę uwierzyć, że moja mama trzymała to wszystko w tajemnicy.

- Prawdopodobnie bała się, że jeśli będziesz znała prawdę, nie zechcesz jej zostawić. Była dzielną kobietą.

Była? - pomyślałam. Mama... Mama...

- Rozmawiałam z panią Whitney. Nie musisz się przejmować egzaminami. Jeśli zajdzie potrzeba, będziesz mogła zdać w innych terminach.

Popatrzyłam na nią szczerze zdumiona. Była naprawdę niesamowita.

- Weź pieniądze - poleciła.

- Dziękuję - odpowiedziałam i przyjąłam od niej kopertę.

- Przykro mi, że musisz sama jechać w podróż w takiej chwili, ale...

- Dam sobie radę. - Myślałam już tylko o tym, żeby jak najszybciej wyruszyć w drogę do mamy.

- Wiem, że dasz sobie radę. Chcę, żebyś wiedziała, że będę czekała na twój powrót, Rain. Chcę, żebyś wróciła i osiągnęła to, co masz w życiu do osiągnięcia.

Kiwnęłam głową, a potem wstałam i wyszłam z gabinetu jak lunatyczka. Nie myślałam o tym, dokąd idę ani co robię. Byłam kompletnie nieprzytomna.

Babcia Hudson powiedziała Jake'owi, co się stało. Był zatroskany i cieplejszy niż zwykle. Na lotnisku odprowadził mnie do właściwego stanowiska i czekał, dopóki nie ruszyłam razem z resztą pasażerów do samolotu.

- To nigdy nie jest łatwe - powiedział. - Ja nie mogłem pożegnać się z matką. Byłem na drugim końcu świata, ale to w niczym nie umniejsza bólu. Musisz być silna, słyszysz?

- Będę, Jake.

- Do zobaczenia. - Uścisnął mnie, a potem odwrócił się i szybko pomaszerował przez poczekalnię.

Wkrótce zapinałam pas. Czułam się, jakbym wpadła w prawdziwy wir nieszczęść.

Tak jak zapowiadała babcia Hudson, na lotnisku czekał na mnie mężczyzna w ciemnym garniturze. Na tabliczce miał wypisane moje imię. Powiedział, że będzie moim szoferem, i spytał, dokąd mnie najpierw zawieźć, do szpitala czy do hotelu. Doradzał hotel, wybrałam szpital. Z tonu babci Hudson wywnioskowałam, że liczy się każda minuta.

- Będę tu czekał - powiedział szofer, zatrzymując się przed szpitalem.

Szybko poszłam do informacji. Starsza kobieta skierowała mnie na czwarte piętro. Kiedy wysiadłam z windy, natknęłam się na Roya. Siedział w małej poczekalni ze spuszczoną głową, łokciami opartymi na kolanach i twarzą ukrytą w dłoniach. Był w mundurze. Podeszłam do niego powoli. Byliśmy sami w poczekalni. Roy uniósł głowę. Oczy miał zaczerwienione. Zamrugał powiekami, jakby nie wierzył własnym oczom, a potem się uśmiechnął.

- Rain. - Wstał. - Rain. - Objął mnie i mocno przytulił.

Już zapomniałam, jak dobrze jest móc się schronić w jego silnych ramionach, położyć głowę na szerokiej piersi i poczuć jego dłoń na głowie.

- I co?

- Jest z nią naprawdę źle, Rain. Już nawet nie otwiera oczu. To tak jakby patrzeć na zwalniający zegar. Cieszę się, że przyjechałaś. Jestem pewien, że mama też się ucieszy. Pozna, że jesteś przy niej. Po prostu musisz trzymać ją za rękę i mówić do niej, tak jak ja, to pozna, że przy niej jesteś. Świetnie wyglądasz - dodał z uśmiechem. - Urosłaś czy co?

- Nie tak dawno się rozstaliśmy, Roy.

- Dla mnie to było bardzo dawno, Rain.

- Ty też dobrze wyglądasz. - Nie kłamałam. Roy wydawał mi się jakiś dojrzały, silniejszy, pewniejszy siebie.

- Jak ci się mieszka z białą rodziną?
- Nie jest mi łatwo. - Uśmiechnęłam się do niego i spoj-  
rzałam na drzwi. - Chcę zobaczyć mamę, Roy.
- Dobrze. Zaraz cię do niej zaprowadzę. - Objął mnie ra-  
mieniem. - Jak tu przyjechałaś?

Opowiedziałam mu, jak zorganizowała wszystko babcia Hudson.

- I limuzyna? Oni są naprawdę bogaci, nie?
- Mają mnóstwo pieniędzy, ale nie powiedziałabym o nich, że są bogaci. Ja przynajmniej nie zazdroszczę im ich bogactwa.

Nie byłam pewna, czy mnie rozumie, ale pomyślałam, że jeszcze znajdę czas, żeby mu to wyjaśnić.

Chociaż wiedziałam, że z mamą jest źle, nie spodziewałam się, że będzie wyglądała aż tak marnie. Wydała mi się dużo mniejsza, drobniejsza. Pod skórą policzków rysowały się kości. Oczy miała zamknięte. W pierwszej chwili pomyślałam, że już umarła, i ogarnęło mnie przerażenie.

- Roy?
- Jeszcze z nami jest - uspokoił mnie, wskazując na mo-  
nitory.

Wzięłam mamę za rękę i ścisnęłam mocno, tak mocno, jakby od tego zależało jej życie. Nie zareagowała.

- Mamo - wykrztusiłam przez ściśnięte gardło - to ja, Rain. Nie umieraj, mamo. Proszę cię, nie umieraj - błagałam.

Nie potrafiłam powstrzymać łez.

- Byłabyś ze mnie dumna. Nie mam żadnych problemów w nowej szkole i wystąpiłam w tym przedstawieniu, o którym ci mówiłam. Grałam główną rolę i teraz ludzie mówią, że mogę zostać aktorką. Mamo, mamo...

Kiedy opuściłam bezsilnie głowę, Roy objął mnie ramie-  
niem. Nie mogłam zaczerpnąć tchu. Weszła pielęgniarka. Przy-  
glądała się przez chwilę monitorom, a potem rzuciła nam  
przelotne spojrzenie, jakby się bała, że wyczytamy w jej oczach  
nieuchronny wyrok.

- Mamo, mamo... - powtarzałam, głaszcząc jej dłoń. Potem

wstałam i pogłaskałam ją po głowie, pocałowałam w policzek. - Czemu nie powiedziałaś mi prawdy, mamó? Zostałabym z tobą.

- Właśnie dlatego nie powiedziała.

Stałam nad mamą, gładząc ją po głowie. Spoglądałam na spokojną twarz mamy i przypominał mi się jej śmiech, jej pełen nadziei głos. Zawsze dzieliła moje marzenia, zachęcała do większej wiary w siebie, powtarzała, że jestem piękna i wyjątkowa.

- Czy mamę coś boli, Roy?

- Mówią, że nie. Nie wygląda na to, żeby ją bolało.

Przytuliłam się do mamy. Roy długo stał cierpliwie obok mnie. Wreszcie pogładził mnie po ramieniu.

- Może zejdziemy do bufetu? Napijemy się kawy, coś zjesz. Co ty na to?

- Nie jestem głodna, ale zejdę z tobą.

Pocałowałam mamę w policzek i wyszliśmy do poczekalni.

Roy kupił mi kawę, sobie kanapkę z szynką i serem. Usiedliśmy przy stoliku koło okna. Prócz nas w bufecie był niemal wyłącznie personel szpitala. Ludzie głośno rozmawiali, nikt nie zwracał na nas uwagi. Pewnie po prostu przywykli już do zmartwionych min na twarzach gości.

- Opowiedz, co u ciebie słysząc - zachęcił mnie Roy.

Wiedziałam, że chce mnie zagadać, żebym nie myślała wciąż o mamie, żebym nie zaczęła znowu płakać.

Opowiedziałam mu o szkole i innych zajęciach.

- Konie? - Uśmiechnął się. - Jeździsz konno?

- Nauczyciel mówi, że nawet całkiem nieźle.

Zaśmiał się.

- Czemu tylko raz zadzwoniłeś, Roy? Nie dostałeś mojego listu?

- Dostałem. Ale najpierw nie bardzo mogłem dzwonić, a potem, kiedy już zadzwoniłem i usłyszałem, czym akurat jesteś zajęta, pomyślałem, że lepiej zrobię, jeśli nie będę ci więcej zwracał głowy.

- Głupi jesteś, Roy.

Zrobił taką nieszczęśliwą minę, że natychmiast pożałowałam swoich słów.

- Nie mogłam się doczekać twojego telefonu. Niepokoiłam się o ciebie.

- Wiedziałem, że niedługo się spotkamy.

- Wiedziałaś o tym? Wiedziałaś od początku?

- Nie od początku, Rain. Powiedziała mi dopiero po twoim wyjeździe i zabroniła wspominać ci o tym choćby słowem. Przysięgam.

- Kiedy wyjeżdżałam z Waszyngtonu, strasznie dręczyła mnie myśl, że mama najwyraźniej nie kocha mnie tak, jak mi się wydawało, skoro tak łatwo się ze mną rozstaje. Byłam na nią wręcz zła i dopiero kiedy usłyszałam jej głos w słuchawce, zrozumiałam, że ona wciąż mnie kocha, że wszystko to robiła dla mnie. Nikt nigdy nie da mi tyle co ona, na pewno nie moja nowa rodzina.

- Ja ci dam, Rain. Możesz na mnie liczyć.

- Ty masz przed sobą własne życie, Roy.

- Chcę, żeby to było nasze życie, Rain. Wiesz o tym.

Opuściłam wzrok i napiłam się kawy. Zamknęłam oczy i wyprostowałam się na krześle.

- To wszystko dzieje się tak strasznie szybko - powiedziałam, nie unosząc powiek. Wciąż widziałam śmiejącą się Beni i śpiewającą mamę.

- Tak, to prawda - przyznał Roy. - Wszystko dzieje się bardzo szybko.

- Chodźmy z powrotem na górę, Roy.

- Na pewno nie chcesz nic zjeść?

- Nie.

Roy skinął głową. Dopił kawę. Poszliśmy do windy.

- Gdzie mieszkasz? Z ciocią Sylwią?

- Tak. Jestem pewien, że ty też będziesz mile widzianym gościem.

- Mam już zarezerwowany pokój w hotelu.

- Aha, rozumiem.

Kiedy wjechaliśmy windą na górę, spotkaliśmy w poczekalni ciocię Sylwię. Płakała.

- Och, dzieci! - zaszlochała na nasz widok. - Tak mi przykro. Wasza mama... umarła.

Odsunęłam się od niej i pobiegłam do drzwi. Pielęgniarka okrywała właśnie mamę całunem. Podbiegłam do łóżka.

- To nieprawda! - krzyknęłam do pielęgniarki.

- Przykro mi, kochanie.

Roy wziął mnie za rękę, a potem objął ramieniem. Oboje patrzyliśmy na mamę. Wyglądała tak samo jak wtedy, gdy wychodziliśmy do bufetu.

- Błagam... Czy jest pani pewna?

- Tak, kochanie - powiedziała łagodnie pielęgniarka. - Lekarz stwierdził to z całą pewnością.

Wtuliłam twarz w pierś Roya. Brat objął mnie mocno. Czułam szloch, jaki nim wstrząsał, gdy starał się zapanować nad łzami.

- Zaczekała na ciebie, Rain. Mama na ciebie czekała.

Pogrzeb był skromny. Zawiadomiliśmy rodzinę. Roy zadzwonił do cioci Alany w Teksasie, ale powiedziała, że jest chora i nie ma pieniędzy na podróż. Nie wiedziała również, gdzie może się podziewać wuj Lamar. Od dwóch lat nie miała od niego żadnych wiadomości. W rezultacie w pogrzebie uczestniczyła ciocia Sylvia z garstką przyjaciół, Roy i ja. Roy nie chciał zadzwonić do Kena do więzienia. Uważał, że śmierć mamy nic go nie obejdzie, a poza tym i tak nie wypuszczą go na pogrzeb. W końcu sama zadzwoniłam i zostawiłam dla niego wiadomość.

Babcia Hudson przysłała piękną wiązankę. Zadzwoniła także do mnie, w przeciwieństwie do mojej matki, która w ogóle się nie odezwała, ale potem powiedziała, że kwiaty, które przysłała babcia, były również w jej imieniu. Jak zwykle złożyła wszystko na barki babci Hudson, pomyślałam i zaśmiałam się w duchu.

Po pogrzebie wróciliśmy do cici Sylvii. Po południu Roy miał jechać z powrotem do obozu szkoleniowego. Wszyscy pocieszali nas i namawiali do jedzenia, więc nawet nie mogliśmy spokojnie porozmawiać. Wreszcie ujął mnie pod rękę i poprosił, żebym wyszła z nim do ogródka. Na otaczającym dom kawałku ziemi cicia Sylvia miała kilka grządek i altanę z drewnianymi meblami. Po niebie przesuwały się wielkie chmury. Wiał lekki wiaterek. Powietrze wypełniał słodki zapach kwiatów. W oddali sunął ponad dachami domów od-rzutowiec.

- Nie mogę uwierzyć, że mama umarła, Roy. Po prostu nie mogę uwierzyć, że to się stało.

Skinął głową.

- Trzeba trochę czasu, żeby to do człowieka dotarło.

Niezdarnie obracał w grubych palcach wojskową czapkę. Wyglądał całkiem nieźle. Mundur nadawał mu wyraz heroizmu. Dla mnie zawsze był bohaterem.

- Dokąd cię pošlą?

- Podobno do Niemiec, ale nie jestem pewny. A ty wracasz do szkoły?

- Tak - powiedziałam.

- Tak myślałem... teraz jest nas tylko dwoje. Kena nie liczę. Dla mnie przestał być jednym z nas. Już dawno temu, jeszcze w Waszyngtonie, trudno było mi myśleć o nim w ten sposób. W każdym razie kiedy skończysz szkołę, moglibyśmy... być znowu razem.

- Będiesz ze mną szczęśliwa, Rain - podjął Roy po chwili milczenia. - Moglibyśmy zostać małżeństwem. Nie ma po temu żadnych przeszkód. Nie jesteśmy rodziną. Nie mogę kupić domku pod miastem, ale myślę, że nie będzie ci źle. Poznałem w wojsku żonatych żołnierzy, niektórzy mają nawet dzieci.

To było takie kuszące - uciec wreszcie ze świata kłamstw, schronić się w silnych ramionach Roya i żyć, jakbyśmy się dopiero poznali.

- Mama by tego chciała. - Pokiwał głową.

- Naprawdę tak myślisz, Roy? - Uśmiechnęłam się.
- Nie wiem. Tak - zdecydował się. - Chciałaby tego. Roześmiałam się.

- Nie zamierzasz chyba wracać do tych bogatych białych ludzi, którzy cię nawet nie chcą, którzy cię nigdy nie chcieli - obruszył się Roy. - Co to będzie za życie, Rain?

- Nie wiem, Roy. Naprawdę nie wiem.
- Ale wracasz? - spytał gniewnie.

Odetchnęłam głęboko.

Znów do mnie wróciło stare pytanie, kim jestem.

- Na razie muszę znaleźć odpowiedź na pewne pytania.
- Pytania? Jakie pytania?
- Na przykład, kim jestem. Jeśli ucieknę z tobą, zanim poznam odpowiedź na to pytanie, nigdy nie da mi ono spokoju. Potrafisz to zrozumieć, Roy?

- Nie. - Opuścił głowę i pokręcił nią, jak zwykle, gdy wiedział, że nie ma racji lub gdy musiał się z czymś pogodzić. - Tak, być może.

- Pisz do mnie często, dzwoń.

- Wiesz, że nie jestem dobry w pisaniu. Co zrobisz po ukończeniu szkoły? Pojedziesz do Anglii, do tej szkoły teatralnej?

- Może.

- Robi się z ciebie elegancka dziewczyna, Rain.

- Nie wiem, co się ze mnie robi, Roy, ale jeśli nie dowiem się czegoś więcej o sobie teraz, to zawsze będzie mnie dręczyło pytanie, kim mogłabym się stać.

- No to ja się zbieram - powiedział po chwili.

- Wiesz, że cię kocham.

- Ale nie tak, jak ja ciebie.

- To prawda. Na razie tak jest, ale to się może zmienić.

W oczach Roya pojawiła się nadzieja.

- Ale też proszę cię, nie czekaj na mnie, Roy. Jeśli trafi ci się jakaś fajna dziewczyna, nie odganiaj jej kijem.

- Tak, bo dziewczyny po prostu się do mnie pchają.

Popatrzył na mnie, a potem się uśmiechnął i uściśliśmy



się na pożegnanie. Nigdy mnie tak długo nie trzymał w objęciach. Wreszcie rozluźnił uścisk.

- Jesteś dobra, Rain. Nie, jesteś lepsza od nich. Zawsze będziesz córką Latishy Carrol, pamiętaj o tym. Nieważne, co ci będą mówić, zawsze będziesz jej córką.

Skinęłam głową.

Pogłaskał mnie po policzku, a potem wszedł do domu. Nie chciałam patrzeć, jak odchodzi. Usiadłam w altanie i czekając, aż Roy pożegna się z cicią Sylvia, popłakałam sobie trochę. Potem wróciłam do domu i sama także pożegnałam się z cicią i jej przyjaciółmi.

Powiedziałam szoferowi, żeby zawiózł mnie z powrotem na cmentarz. Chciałam pożegnać się z mamą jeszcze raz, sam na sam, bez świadków. Stałam nad grobem z zamkniętymi oczami i przypominałam sobie jej głos.

- Żegnaj, mamó - szepnęłam. - Dziękuję za to, że kochałaś mnie bardziej niż samą siebie, mimo że nie byłam twoim dzieckiem. Zawsze będę o tobie pamiętać.

Zmówiłam krótką modlitwę, dotknęłam świeżej ziemi w miejscu, gdzie spadły moje łzy, a potem się wyprostowałam, odetchnęłam głęboko i wróciłam do limuzyny i oczekujących mnie obietnic przyszłości.

# EPILOG

Jake czekał na lotnisku przy wyjściu z poczekalni. Wziął torbę i uściśnął mnie serdecznie.

- Przykro mi - powiedział. - Jak się czujesz?

- W porządku, Jake. A jak pani Hudson?

- Równie wojownicza jak zwykle, może nawet bardziej, odkąd ciebie nie ma - rzekł ze śmiechem.

Kiedy weszłam do domu, babcia Hudson czekała na mnie w bawialni. Stanęłam w drzwiach.

- Dziękuję za kwiaty. Były piękne.

Skinęła głową. Uczucia jak zwykle wprawiały ją w zakłopotanie.

- Powinnaś wziąć ciepłą kąpiel i odpocząć przed kolacją. Rozmawiałam z panią Whitney. Chciała wiedzieć, czy chcesz przełożyć o tydzień termin egzaminów?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Tak. Wolę się czymś zająć.

- Bardzo mądrze - pochwaliła mnie babcia Hudson.

- Poprosiłam Sissy, żeby usmażyła dla ciebie sznycle cielęce. Wspaniale je robi.

- Dziękuję.

Babcia Hudson uciekła przede mną wzrokiem i wróciła do swego tamborka.

Posłuchałam jej rady i wzięłam kąpiel. Leżąc w ciepłej wodzie, zaczęłam nagle płakać. Nie mogłam się opanować. Płakałam i płakałam, jakbym się miała rozpłynąć, a potem równie nagle jak zaczęły, łzy przestały płynąć. Poleżałam jeszcze chwilę z zamkniętymi oczami, a potem umyłam twarz, wytarłam się i przebrałam do kolacji.

Czesałam włosy, stojąc koło okna, zapatrzona w gwiazdy. Z marzeń wyrwało mnie pukanie do drzwi. Babcia Hudson schodziła właśnie na kolację, elegancka jak zawsze.

- Miałam nadzieję, że będziesz już gotowa.

Byłam zdumiona. Dotąd zawsze spotykałyśmy się w jadalni, teraz po raz pierwszy miałyśmy zejść tam razem.

- Nie jestem właściwie głodna.

- Chodź. Kiedy poczujesz, jak pachną sznycle cieleące Sissy, zmienisz zdanie.

Może to i racja, pomyślałam.

- Dzwoniła twoja matka. Pytała, jak się czujesz, ale to było jeszcze przed twoim powrotem. Prosiła, żebym przekazała ci wyrazy współczucia i najlepsze życzenia. Dzwoniła do ciebie także twoja przyjaciółka Audrey i jakieś inne koleżanki. Zostawiłam listę w gabinecie. Dam ci ją po kolacji. O nic nikogo nie pytałam - zastrzegła się - prosiłam tylko, żeby się przedstawiali.

- Dziękuję.

Zeszłyśmy na parter. Zajęłyśmy swoje miejsca za stołem. Babcia Hudson miała rację. Sama nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka jestem głodna. A jednocześnie wciąż miałam wyrzuty sumienia, że jem, że mi smakuje. Jak długo czuje się smutek?

Babcia Hudson widziała moją melancholijną minę. Niewiele się odzywałam. Po kolacji odsunęła talerz, oparła łokcie na stole, splotła dłonie i popatrzyła na mnie.

- Nie znałam kobiety, którą nazywasz swoją mamą, ale o ile to potrafisz ocenić, zrobiła ona dla ciebie bardzo wiele, poniosła znaczne ofiary. Z pewnością chciałyby, żebyś w pełni wykorzystywała otwierające się przed tobą możliwości. To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat - oświadczyła, zdjęła z kolan i odłożyła na stół serwetkę, po czym wstała i wyszła z jadalni.

Przez chwilę siedziałam, słuchając bicia własnego serca. Potem zaczęłam zbierać wraz z Sissy naczynia ze stołu.

- Nie musisz tego robić, skarbie.
- Ale chcę, Sissy, pozwól mi.

Kiedy posprzątałyśmy po kolacji, wyszłam przed dom i usiałam na ławce. Gwiazdy lśniły na niebie tym jaśniej, że nie było księżyca. Gdzieś z daleka dobiegł mnie krzyk sowy. Brzmiał smutno i złowróźnie.

Czy mama i Beni gdzieś teraz były? Czy patrzyły na mnie skądś i czekały, aż się znów spotkamy?

Odwrociłam głowę i popatrzyłam na wznoszącą się za mną ogromną budowlę.

Czy kiedykolwiek stanie się moim domem?

Gdzie jest dom? Dom musi być także miejscem w sercu. Czy kiedykolwiek znajdę swój dom w tym świecie? Czy może powinnam skorzystać z propozycji Roya i uciec stąd czym prędzej? Przy nim na pewno czułabym się bezpieczna.

Choć właśnie przy nim mogłoby mnie spotkać najgorsze... to, że nigdy się nie dowiem, kim naprawdę jestem.

- Chcę własnego imienia, mamó - szepnęłam. - Chcę ciebie.

Wyobraziłam sobie aplauz niewidzialnej publiczności. Spojrzałam na wszystko, jakby przyszło mi odegrać tę głęboko wzruszającą scenę, i to mi trochę pomogło uporać się z bólem.

Aktorzy zawsze są po trochu kimś, kim nie są. Tak samo jest ze mną. Aktorzy zmieniają charaktery i osobowości, jakby nie mieli twarzy, wечно poszukując własnej tożsamości, czekając na oklaski i zastanawiając się, czy brawa należą się im, czy ludziom, których tylko udają.

Kim jestem?

Odpowiedź czekała. Postanowiłam pójść za radą babci Hudson - skorzystać z każdej szansy, jaka się przede mną pojawi, i otwierać jedne drzwi po drugich, aż wreszcie któregoś dnia poznam prawdę.

Wtedy wreszcie będę miała swój dom.